

# Wedrówki

Crichton Michael



calibre 0.9.43

**Michael Crichton**

# Wędrówki

*Przekład Barbara Przybyłowska*

*Przy samoanalizie istnieje niebezpieczeństwo, Że nie doprowadzi się jej do końca.  
Zbyt często poprzestaje się na częściowych wynikach.*

Sigmund Freud

*Nie jest w mocy słów określić istnienie.*

Lao-cy

*To, co widzisz, jest tym, co widzisz.*

Frank Stella

## Słowo wstępne

*Przez wiele lat podróżowałem samotnie. Nie zamierzałem pisać o moich wyprawach ani nie odbywałem ich w jakimś określonym celu. Przyjaciele pytali mnie, po co się wybrałem do Malezji, Nowej Gwinei czy Pakistanu, bo przecież jest jasne, że nikt tam nie jedzie odpoczywać. A ja jeździłem właśnie tam.*

*Czułem głęboką potrzebę wewnętrznego odmłodzenia się, doświadczenia czegoś nowego, życia innego, niż dotąd prowadziłem.*

*Często dokuczala mi świadomość, że za wszystkim, co robię, kryje się jakiś cel. Wydawało mi się, że jeśli czytam jakąś książkę, oglądam film czy przychodzę na proszony obiad, to robię to z jakiegoś powodu. Od czasu do czasu odczuwałem więc potrzebę zrobienia czegoś bez powodu.*

*Traktowałem te wyprawy jako wakacje, jako wytchnienie od codzienności; okazały się jednak czymś więcej. Pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że pod wpływem doświadczeń z podróży zaszły w moim życiu nader poważne zmiany. Moje podróże bowiem, choć mniej ekscytujące niż wyprawy rasowych poszukiwaczy przygód, dla mnie były prawdziwymi przygodami: musiałem walczyć z własnymi lękami i ograniczeniami, i nauczyłem się wszystkiego, czego tylko potrafiłem się nauczyć.*

*Jednak z czasem fakt, że nigdy nie pisałem o tych wyjazdach, zaczął mi dziwnie dokuczać. Zdobycie pewnych ważnych doświadczeń niemal zobowiązuje pisarza do tego, by o nich napisać. Pisanie pozwala uporządkować sobie owe doświadczenia, zbadać ich znaczenie i drogę, jaką się do nich doszło, a w końcu uwolnić się od nich. Poczulem, że mi ulżyło, kiedy po wielu latach zasiadłem do opisu miejsc, w których niegdyś byłem. Z przyjemnością też stwierdziłem, że wiele rzeczy mogę opisać bez zaglądania do notatek.*

*Zawsze nosiłem się z zamiarem zapisania pewnych epizodów z moich studiów medycznych. Postanowiłem, że odczekam piętnaście lat, aż staną się zamierzchłą przeszłością. Ku swemu zdziwieniu stwierdziłem, że czekam z tym już wystarczająco długo, i tak powstała pierwsza część tej książki.*

*Dołączyłem do niej także relacje z moich doświadczeń w dziedzinie, którą nazywa się niekiedy metapsychiką, zjawiskami nadprzyrodzonymi czy duchowymi. To niejako sprawozdanie z moich podróży wewnętrznych, uzupełniających podróże po świecie zewnętrznym, chociaż często zaciera mi się w myśli rozróżnienie między tym, co jest doznaniem wewnętrznym, a tym, co stanowi reakcję na bodziec zewnętrzny. Stwierdziłem przy tym, że wysiłek włożony w uporządkowanie własnych doznań okazał się bardziej owocny, niż się spodziewałem.*

*Często by uświadomić sobie, kim właściwie jestem, mam ochotę wyruszyć gdzieś daleko w świat. I nie ma w tym żadnej tajemnicy, dlaczego taka podróż jest potrzebna. Kiedy człowiek się odrywa od zwykłego otoczenia, od przyjaciół, codziennych zajęć, lodówki pełnej jedzenia i szaf pełnych ubrań - kiedy to wszystko znika - zostaje zdany na bezpośrednie doświadczenie. Takie bezpośrednie doświadczenie nieuchronnie musi uświadomić człowiekowi, kim jest ten, który go doznaje. Niekiedy nie jest to świadomość przyjemna, ale zawsze ożywcza.*

Zdałem sobie w końcu sprawę, że doświadczenie bezpośrednie jest najcenniejszym z moich doświadczeń. Człowiek zachodni jest nasycony ideami, bombardowany opiniami, pojęciami i systemami informacyjnymi wszelkiego rodzaju i z trudem przychodzi mu przeżycie czegokolwiek bez pośrednictwa owego filtra. A świat naturalny - tradycyjne źródło naszego bezpośredniego poznania - gwałtownie zanika. Współczesny mieszkaniec wielkiego miasta nie może nawet zobaczyć nocą gwiazd. Odebrano mu możliwość napawającego pokorą przypomnienia sobie, jakie jest miejsce człowieka w wielkiej strukturze świata, miejsce, które ongiś każda ludzka istota dostrzegała przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nic dziwnego, że ludzie utracili orientację, utracili rozeznanie, kim naprawdę są i po co naprawdę żyją.

Moje wędrówki umożliwiły mi zdobycie bezpośrednich doświadczeń i lepsze poznanie samego siebie.

W napisaniu tej książki pomogło mi wielu ludzi. Wśród tych, którzy przeczytali jej pierwotną wersję i udzielili mi porad i zachęty, byli: Kurt Villadsen, Anne-Marie Martin, moje siostry Kimberly i Catherine Crichton, mój brat Douglas Crichton, Julie Halowell, moja matka Zula Crichton, Bob Gottlieb, Richard Farson, Marilyn Grabowski, Lisa Plonsker, Valery Pine, Julie McIver, Lynn Nesbit i Sonny Mehta. Późniejsze wersje czytały niektóre występujące na kartach tej książki osoby, które także udzieliły mi cennych porad i wniosły pewne poprawki.

Jestem im głęboko wdzięczny, wyrażam też wdzięczność wytrawnym agentkom biur podróży, z których usług korzystałem przez wiele lat: Kathy Bowman z World Wide Travel w Los Angeles i Joyce Small z Adventures Unlimited w San Francisco.

Ponadto wiele zawdzięczam ludziom, którzy nie pojawiają się w mojej książce, a jednak wywarli głęboki wpływ na mój sposób myślenia. Mam tu na myśli zwłaszcza Henry'ego Aronsona, Jonasa Salka, Johna Foremana i Jaspersa Johnsa.

Celowo ograniczyłem zakres tej książki. Freud określił kiedyś życie jako pracę i miłość, ale ja postanowiłem poruszać te kwestie tylko o tyle, o ile łączą się one z moimi przeżyciami podróżniczymi. Nie poruszałem również spraw dzieciństwa. Było raczej moim zamierzeniem pisać o tych okresach Życia, w których się w nim działo coś mającego dla mnie, jak sądzę, istotne znaczenie.

Pozostaje mi tylko stwierdzić, że poczyniłem pewne zmiany w podstawowym tekście. Zmieniłem nazwiska i te cechy lekarzy i pacjentów w części dotyczącej moich doświadczeń medycznych, które mogłyby sprawić, że zostaną rozpoznani. W dalszych rozdziałach nazwiska i cechy występujących w nich osób zmieniłem na ich życzenie.

## **Czas medycyny 1965-1969**

## *Trup*

Niełatwo jest przepiłować ludzką głowę. Zębki piły wcinają się w skórę, ostrze ślizga się po gładkiej kości czołowej. Gdybym się pomylił i skierował piłkę nieco w bok, nie mógłbym przeciąć równo przez środek nosa, ust, podbródka i krtani. To wymaga ogromnego skupienia. Musiałem wszystko robić bardzo uważnie, a zarazem nie mogłem uświadamiać sobie tego, co robię, bo to zbyt okropne.

Czterech studentów od miesiąca pracowało nad tymi zwłokami, ale właśnie mnie przypadło w udziale otwarcie głowy starej kobiety. Kazałem kolegom wyjść z sali. Nie potrafili się przyglądać mojej pracy bez dowcipkowania, a to przeszkadzało mi się skoncentrować.

Kości nosa są szczególnie delikatne. Musiałem postępować bardzo ostrożnie, by nie uszkodzić ich cieniutkiej jak bibułka tkanki. Wiele razy przerywałem, by końcami palców oczyścić zębki piły z kostnych okruchów, a potem ciąłem dalej. I kiedy tak pociągałem piłką w przód i w tył, skupiony na tym, by dobrze wykonać zadanie, przyszło mi do głowy, że nigdy nie spodziewałem się, że takim torem potoczy się moje życie.

Właściwie nie chciałem być lekarzem. Dorastałem na przedmieściu Nowego Jorku, ojciec pracował jako dziennikarz. Nie mieliśmy w rodzinie lekarzy, a moje własne doświadczenia z medycyną nie były zbyt zachęcające. Mdlałem, ilekroć robiono mi zastrzyk albo pobierano krew.

Poszedłem na studia z zamiarem, że zostanę pisarzem, ale wcześniej ujawniły się moje zainteresowania naukowe. Na anglistyce w Harvardzie moje prace spotkały się z surową oceną i otrzymywałem za nie najwyżej stopień dostateczny z plusem. W wieku lat osiemnastu byłem pewien swojego talentu pisarskiego i uważałem, że to Harvard jest w błędzie, nie ja, postanowiłem więc przeprowadzić pewne doświadczenie. Tematem najbliższej rozprawki były *Podróże Guliwera*, a ja przypomniałem sobie, że George Orwell napisał o tej książce esej, który mógłby mi się okazać przydatny. Z pewnym wahaniem przepisałem tekst Orwella i przedstawiłem jako własny. Wahałem się, bo gdyby mnie na tym przyłapano, wyleciałbym sromotnie ze studiów. Byłem jednak całkiem pewien, że mój belfer nie tylko nie zna się na pisaniu, ale także jest słabo czytany. W każdym razie Orwell otrzymał na uniwersytecie harwardzkim czwórkę z minusem, co mnie przekonało, że anglistyka jest dla mnie stanowczo za trudna.

Postanowiłem wobec tego studiować antropologię. Ale ponieważ nie byłem pewien, czy chcę po ukończeniu studiów poświęcić się tej dziedzinie, zacząłem, tak na wszelki wypadek, uczęszczać na wstępne kursy medyczne.

Ogólnie rzecz biorąc, uważałem Harvard za miejsce pobudzające umysłowo, gdzie ludzie szczerze oddają się studiom i uczą, nie przywiązując szczególnej wagi do stopni. Ale zapisanie się na wstępne kursy medyczne było wkroczeniem w całkiem inny świat - paskudny i rządzący się zasadami współzawodnictwa. Najtrudniej było przebrnąć przez kurs chemii organicznej, powszechnie znany jako kurs podstawiania nogi kolegom. Jeśli nie dosłyszałeś na wykładzie, co powiedział profesor, i zapytałeś siedzącego obok, ten udzielał ci fałszywej informacji; próbowałeś więc zajrzeć do jego

notatek, ale tak je przed tobą zasłaniał, żebyś nic nie mógł zobaczyć. Również w laboratorium kolega przy sąsiednim stole ochoczo udzielał fałszywej odpowiedzi w nadziei, że popełnisz błąd albo, co lepsze, wzniesiesz pożar. Byliśmy karani obniżaniem stopnia za wzniesienie pożaru. Na moim roku zdobyłem wątpliwą sławę jako ten, który wzniesił w pracowni najwięcej pożarów, łącznie z nader widowiskowym wybuchem eteru, kiedy płomień sięgnął sufitu i zostawił na nim wielki ślad spalenizny, piętno mojej niezdarności, które wisiało mi nad głową do końca roku. Źle się czułem, musząc przyjmować podejrzliwą, wrogą postawę wobec innych, konieczną do osiągnięcia sukcesu. Sądziłem, że tak ludzki zawód jak medycyna powinien wspierać w jego adeptach rozwój innych wartości. Ale nikt mnie nie pytał o zdanie. Radziłem sobie najlepiej, jak potrafiłem. Wyobrażałem sobie, że medycyna to nie tylko gałąź wiedzy, ale zawód niosący pomoc ludziom. Rozwija się tak szybko, że ci, co ją uprawiają, nie mogą sobie pozwolić na dogmatyzm; winni być giętki i otwarci na nowości. To z pewnością ciekawa praca i bez wątpienia dająca poczucie, że pomagając chorym, robi się coś cennego ze swoim życiem.

Postanowiłem zatem dostać się na medycynę. Przeszedłem testy przydatności do zawodu, odbyłem kilka rozmów i zostałem przyjęty. Ponieważ jednak dostałem w tym czasie stypendium na wyjazd do Europy, odłożyłem studia medyczne na rok.

W następnym roku pojechałem do Bostonu, wynająłem mieszkanie w Roxbury, w pobliżu harwardzkiej szkoły medycznej, kupiłem sobie jakieś meble i zapisałem się na wykłady. I właśnie w czasie zapisów dowiedziałem się, że będę musiał przeprowadzać sekcję ludzkich zwłok.

Obejrzelismy rozkład zajęć dla studentów pierwszego roku i stwierdziliśmy, że już pierwszego dnia dadzą nam trupy do krojenia. Nie mogliśmy mówić o niczym innym. Wypytywaliśmy, jak to jest, studentów drugiego roku, starych praktyków, którzy patrzyli na nas z pobłażliwym rozbawieniem. Udzielali nam rad. Starajcie się dostać do obróbki chłopca, a nie babę. Staraj się, żeby to był czarny, a nie biały. Niech będzie raczej chudy, nie tłusty. I starajcie się o takiego nieboszczyka, który nie czeka od zbyt wielu lat.

Zanotowaliśmy sobie to wszystko skrupulatnie i czekaliśmy na ów fatalny poniedziałek. Wyobrażaliśmy sobie tę scenę, pamiętając, jak odegrał ją Broderick Crawford w *Not as a Stranger*. Zanim odsłonił zwłoki, burknął do przerażonych studentów: „Nie ma nic śmiesznego w śmierci”.

Tego ranka w amfiteatralnej sali profesor anatomii Don Fawcett wygłosił przed nami swój pierwszy wykład. Nie było przed nim żadnego trupa. Doktor Fawcett był wysoki i opanowany, w niczym nie przypominał Brodericka Crawforda. Większość czasu poświęcił na szczegóły organizacyjne, mówił, jak zostaną zaplanowane zajęcia w prosektorium, kiedy odbędą się egzaminy i o tym, że zajęcia z makroanatomii zostaną połączone z wykładami z mikroanatomii. „Nie można zostać dobrym mechanikiem, nie podnosząc maski samochodu, wy też nie możecie zostać dobrymi lekarzami, nie poznawszy makroanatomii”.

My jednak słuchaliśmy go jednym uchem. Czekaliśmy na zwłoki. Gdzie są zwłoki?

W końcu asystent wtoczył na salę platformę na kołach. Pod niebieską brezentową płachtą rysował się jakiś kształt. Wpatrywaliśmy się w ten kształt. Nikt nie słyszał ani słowa z tego, co mówi doktor Fawcett. W końcu zszedł z podium i zbliżył się do zwłok. Nikt go nie słuchał. Czekaliśmy na chwilę, kiedy ściągnie płachtę.

Ściągnął ją. Zrobiliśmy głęboki wydech. Całe powietrze uszło nam z płuc. Pod płachtą leżało ciężkie plastikowe prześcieradło. Wciąż nie było widać ciała.

Doktor Fawcett usunął plastikowe prześcieradło. Pod nim było jeszcze jedno, z białego cienkiego



materiału. Zdjął także to. Nareszcie mogliśmy zobaczyć jakiś bardzo blady kształt. Kończyny, tułów. Ale głowa, dłonie i stopy były obandażowane jak u mumii. Prawdę mówiąc, trudno było rozpoznać, że to ludzkie ciało. Powoli dochodziliśmy do siebie.

Uświadomiliśmy sobie, że doktor Fawcett wciąż coś mówi. Opowiadał nam szczegółowo o metodach konserwacji zwłok, o przyczynach, dla których się bandażuje dłonie i twarz. Mówił nam, że w prosektorium należy zachowywać się przyzwoicie. I uprzedził nas, że fenol, środek konserwujący, ma także właściwości znieczulające; drętwienie i mrowienie w palcach podczas sekcji jest rzeczą normalną, nie oznacza to paraliżu, którym zaraził nas nieboszczyk.

Zakończył wykład. Przeszliśmy do prosektorium, żeby dobrać sobie zwłoki.

Już uprzednio podzieliliśmy się na czteroosobowe grupy. Po głębokim namyśle, którą grupę mam wybrać, udało mi się dołączyć do trzech studentów, którzy wszyscy zamierzali zostać chirurgami. Sądziłem, że przyszli chirurdzy będą uwielbiali sekcje i wszystko zechcą robić sami. Przy odrobinie szczęścia będę mógł stać z tyłu i tylko się przyglądać, na co miałem wielką nadzieję. Zamierzałem nie tknąć zwłok nawet palcem, gdyby tylko mi się udało.

Sala prosektorium była duża i, jako że działo się to we wrześniu, niemile nagrzana. Wzdłuż ścian stało trzydzieści stołów ze zwłokami przykrytymi prześcieradłami. Asystent nie pozwolił nam zaglądać pod prześcieradła. Mieliśmy wybrać stół i czekać. Moja grupa obstawiła ten najbliżej drzwi.

Asystent udzielał nam pouczeń. Stanęliśmy obok naszych zwłok. Znow ogarnęło nas napięcie. Co innego siedzieć gdzieś wysoko w amfiteatrze i oglądać zwłoki z daleka, a co innego stać przy nich na wyciągnięcie ręki. Ale nikt ich nie dotykał.

W końcu asystent powiedział:

- No dobra, a teraz do roboty.

Zrobiło się cicho. Wszyscy studenci zabrali się do otwierania toreb z narzędziami chirurgicznymi, skalpelami i nożycami. Nikt nie tknął prześcieradeł. Asystent oznajmił, że już możemy je odsunąć. Dotykaliśmy lekliwe brzeżków tkaniny. Wstrzymując dech, ściągnęliśmy prześcieradło od strony stóp, odsłaniając dolną część korpusu.

Dostała się nam biała kobieta, bardzo stara i bardzo wychudzona. Jej głowa i stopy były owinięte bandażem. Nie było tak źle, jak to sobie wyobrażałem, choć obrzydliwie śmierdziało fenolem.

Asystent powiedział nam, że mamy przeprowadzać sekcję parami, stając po obu stronach ciała. Mieliśmy zacząć od nóg. Mogliśmy już zaczynać.

Nikt się nie ruszył.

Studenci oglądali się jeden na drugiego. Asystent zapowiedział, że jeśli zamierzamy trzymać się planu i zakończyć zajęcia w prosektorium w ciągu trzech miesięcy, musimy pracować szybko i wytrwale.

W końcu wreszcie zabraliśmy się do cięcia.

Skóra była chłodna, szarżółta, lekko wilgotna. Wykonałem swoje pierwsze cięcie skalpelem, tnąc w miejscu, gdzie udo łączy się z korpusem, a potem wzdłuż nogi aż do kolana. Ale ciąłem nie dość głęboko. Ledwie drasnąłem skórę.

- Nie, nie - powiedział asystent. - Tnij porządnie.

Przeciągnąłem znowu skalpelem i ciało otworzyło się, a my zaczęliśmy oddzielać skórę od leżącej pod nią tkanki. Wtedy pojęliśmy, że dokonywanie sekcji to ciężka praca, wymagająca zarówno dokładności, jak i znacznego wysiłku. Wykonuje się ją głównie za pomocą tępej strony

nożyc. Albo własnymi palcami.

Kiedy odsunęliśmy skórę, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyliśmy, był tłuszcz - gruba warstwa żółtawej tkanki otaczającej wszystko, co chcieliśmy obejrzeć. Z powodu panującego na sali upału tłuszcz był śliski i rzadki. Kiedy oskrobaliśmy tę warstwę, ujrzeliśmy mięśnie otoczone białawą, podobną do celofanu błoną. Była to powięź, mocna i elastyczna. Mieliśmy trudności z jej przecięciem, by dostać się do leżącego pod nią mięśnia. Same mięśnie wyglądały tak, jak się spodziewaliśmy; czerwone, o widocznych włóknach, pękate w środku i zwężające się u końców. Łatwo rozpoznaliśmy tętnice; wstrzyknięto w nie czerwony lateks. Ale nie mieliśmy pojęcia, jak wyglądają nerwy, póki nie podszedł do nas asystent i nie pokazał białych, twardych sznurków.

Popołudnie wlokło się koszmarnie; pracowaliśmy ociekając potem, w nieopisanym przenikliwym smrodzie. Nie mogliśmy ocierać potu, żeby nie rozprowadzać po twarzy fenolu. Zdarzało się nagle przeraźliwe stwierdzenie, że kawałek mięśnia odprysł i przyłnął ci do twarzy. Do tego upiorna sala, surowa, nagrzana, urzędowo szara. Było to ponure i wyczerpujące przeżycie.

Już same nazwy, których musieliśmy się nauczyć, były wystarczająco trudne: tętnica powierzchowna nadbrzuszną, tętnica powierzchowna zewnętrzna, powięź mięśnia grzebieniowego, przedni wyższy krąg lędźwiowy, więzadło rzepki. Razem wzięwszy, tylko tego pierwszego dnia mieliśmy zapamiętać koło czterdziestu nowych pojęć.

Pracowaliśmy do piątej, a potem zaszyliśmy nacięcie, spryskaliśmy je po wierzchu, by zachowało wilgoć, i poszliśmy sobie. Nie udało się nam dokończyć sekcji zgodnie z przewidzianym w podręczniku planem.

Pod koniec pierwszego dnia zajęć już byliśmy zapóźnieni.

Nikt nie miał zbytniego apetytu przy obiedzie. Studenci drugiego roku patrzyli na nas z rozbawieniem, ale nam w tych pierwszych dniach nie było do śmiechu. Zbyt ciężko musieliśmy walczyć z naszymi uczuciami, by w ogóle móc wykonywać to wszystko.

Wciąż dokuczał jesienny upał i w sali prosektorium zrobiło się nieznośnie gorąco. Pokłady tłuszczu topiły się, panował okropny zaduch; wszystko lepilo się w palcach. Pod koniec dnia zdarzało się, że gałka u drzwi była tak lepka, iż mieliśmy trudności z jej przekręceniem, kiedy chcieliśmy wyjść. Nawet jeśli w trupie załęgły się czerwce, co sprawiało, że asystent biegał po całej sali z packą na muchy, nie robiliśmy sobie z niego żartów.

Była to ciężka praca, a my po prostu staraliśmy się ją wykonać.

Mijały wciąż upalne tygodnie. Żyliśmy pod olbrzymią presją konieczności sprostania wymaganiom. Staraliśmy się nie zostawać w tyle, gdyż zbliżał się pierwszy egzamin z anatomii. Dwa popołudnia w tygodniu spędzaliśmy w prosektorium, a jeśli musieliśmy nadganiać, pracowaliśmy także w dni świąteczne. Zaczynaliśmy opowiadać sobie ponure, gorzkie dowcipy.

Krażył wtedy wśród nas taki dowcip:

Profesor anatomii pyta na egzaminie studentkę:

- Panno Jones, proszę wymienić narząd, który pod wpływem pobudzenia czterokrotnie powiększa swoją średnicę.

Zażenowana studentka coś bąka pod nosem.

- Nie ma się czego wstydzić, panno Jones. Tym narządem jest źrenica oka. A pani, moja droga, jest optymistką.

Po pierwszym egzaminie z anatomii otrzymałem pocztą list:

*Szanowny Panie Crichton Wprawdzie zdał pan ostatnio egzamin z makroanatomii na stopień dostateczny, ale zakres Pańskich wiadomości ledwie się pokrywa z naszymi wymaganiami. Byłoby pożądanym, gdyby w najbliższej przyszłości zgłosił się Pan do mnie na rozmowę.*

*Szczerze oddany George Erikson Profesor anatomii*

Panika. Zimny pot. Byłem wstrząśnięty. Potem przy lunchu dowiedziałem się, że wielu z nas otrzymało taki list. Niemal połowa wydziału. Tego popołudnia poszedłem do doktora Eriksona. Niewiele mi powiedział, tylko kilka słów zachęty i udzielił paru wskazówek co do sztuki zapamiętywania.

- Rozmawiajcie ze sobą - powiedział. - Wymawiajcie na głos poszczególne nazwy. Dobierzcie się parami i przepytujcie wzajemnie.

Wkrótce wszyscy w pracowni anatomicznej recytowali głośno poszczególne terminy i powtarzali formułki mnemotechniczne.

„Segment drugi, trzeci, czwarty czynią, że masz tyłek zwarty”. Miało to przypominać, że unerwienie mięśnia zwanego zwornikiem wychodzi z drugiego, trzeciego i czwartego segmentu kości ogonowej.

Zdanie: „Stara Lucja kaszle”, miało wskazywać na kolejność więzadeł podkolanowych.

Dla zapamiętania kolejności odgałęzień nerwu twarzy: skroniowego, jarzmowego, policzkowego, zuchwowego i szyjnego, mieliśmy zdanko: „Stary jamnik potrafi żwawo szczekać”.

Mój partner z pracowni wymyślił jeszcze jedną pomoc mnemotechniczną: „Do, du, jen, jeg” - dwoje oczu, dwoje uszu, jeden nos, jedna gęba.

Egzaminowano nas nieustannie, zwracając się do nas per „doktorze”, choć byliśmy dopiero studentami pierwszego roku. Pewnego razu asystent wyświetlił nam na ekranie zdjęcie rentgenowskie czaszki. Nigdy przedtem niczego takiego nie widziałem. Obraz rentgenowski czaszki jest czymś niewiarogodnie skomplikowanym.

- No, doktorze Crichton, co to takiego? - I wskazał białawy poziomo położony obszar blisko części twarzowej.

- Podniebienie twarde?

- Nie, ono jest tutaj. - Wskazał inną poziomą kreskę nieco niżej.

Skupiłem się i nagle przyszło mi do głowy:

- Dolna krawędź oczodołu.

- Dobrze!

To było wspaniałe uczucie.

Potem zapytał:

- A co to jest? - Coś małego haczykowatego wewnątrz czaszki.

To było łatwe.

- Siodełko tureckie.

- Co zawiera?

- Przysadkę... mózgową.

- A co jest tu obok?

- Zatoka jamista.

- Co zawiera?

Wyrecytowałem:

- Zakręt tętnicy szyjnej zewnętrznej, trzeci, czwarty i szósty nerw wzrokowy i dwa odgałęzienia nerwu trójdzielnego, oczne i żuchwowe.

- A ta ciemna przestrzeń pod spodem?

- To zatoka kości klinowej.

- Dlaczego jest ciemna?

- Bo zawiera powietrze.

- Dobrze. A teraz doktor Martin... - I zwrócił się do następnego członka grupy.

Pomyślałem sobie „Chwytam! Zaczynam coś chwytać!” Byłem poruszony. Ale zarazem rosło we mnie napięcie. Narastało z każdym dniem.

Żarty zaczęły się robić coraz bardziej prymitywne. Jeden z moich kumpli wypisał sobie na plecach kitla „Subiekt sklepu ze zwłokami”. A trupy otrzymywały nazwy: „Wesoły Zielony Olbrzym”, „Chudzielec”, „King Kong”.

Naszego nazwaliśmy: „Lady Brett”.

Po dwóch miesiącach, pewnego dnia, kiedy asystent wyszedł z sali, kilka osób zaczęło grać wątrobą w futbol.

- Biegnie, dobiega do końca pola... piłka jest w powietrzu... i... spalony! - Wątroba śmignęła w górę.

Kilku studentów udawało zgorszenie, ale nikt tak naprawdę nie był zgorszony. Już dokonaliśmy sekcji nóg, stopy zostały rozbandażowane; zrobiliśmy sekcję ramion, dłoni, brzucha. Mogliśmy stwierdzić, że oto leży przed nami na stole ludzkie ciało, ktoś martwy. Trudno było zapomnieć o tym, co robimy - widzieliśmy to przecież dokładnie. Nie było innego sposobu, by nabrać do tego dystansu, by się od tego oderwać, jak tylko przyjąć postawę bezwstydną i pogardliwą. Bez śmiechu nie dałoby się tego przeżyć.

Pewnych zadań w czasie sekcji nikt nie chciał wykonywać. Nikt nie chciał przepiłowywać na pół miednicy. Nikt nie chciał przeprowadzać sekcji twarzy. Nikt nie chciał spłaszczać strzykawką gałki ocznej. Rozdzielaliśmy między sobą te zadania, kłócąc się, który z nas ma co robić.

Udawało mi się wymigiwać od tych zajęć.

- No dobrze, Crichton, ale potem będziesz musiał zrobić głowę.

- W porządku.

- Pamiętaj, że teraz...

- Tak, tak, będę pamiętał.

Głowa czekała na mnie w dalekiej przyszłości. Będę się martwił, kiedy przyjdzie na nią czas.

Ale ten dzień w końcu nadszedł. Dano mi do ręki piłę do kości. Uświadomiłem sobie, że zrobiłem bardzo kiepski interes. Zwlekałem, a teraz stanąłem wobec konieczności dokonania masakry najgorszej ze wszystkich, przecięcia równiutko głowy, podzielenia jej jak melon na połówki, abyśmy mogli zajrzeć do środka, obejrzyć zagłębienia zatok, połączenia między nimi, naczyń krwionośnych. Spłaszczono oczy patrzyły na mnie, kiedy dokonywałem cięcia. Usunęliśmy

mięśnie wokół nich i nie mogłem zamknąć powiek. Musiałem po prostu przez to przejść i starać się wykonać wszystko poprawnie.

Odezwał się gdzieś we mnie jakby trzask wyłącznika, przestałem zdawać sobie sprawę w zwykłych ludzkich kategoriach z tego, co mam zrobić. Po tym trzasku byłem gotów. Ciałem dobrze. Była to najlepsza sekcja na całym wydziale. Ludzie się zeszli, by podziwiać moją robotę, bo przeciąłem głowę równiutko na pół i można było świetnie obejrzeć wszystkie zatoki.

Potem dowiedziałem się, że ten trzask wyłącznika jest niezbędny, by zostać lekarzem. Nie można funkcjonować, jeśli przygniata cię świadomość tego, co się dzieje. Mnie jednak nadal przygniatała. Robiło mi się słabo na widok ofiar wypadku na izbie przyjęć, podczas operacji czy przy pobieraniu krwi. Musiałem się uzbroić przeciw własnym uczuciom.

A jeszcze później się dowiedziałem, że najlepszym lekarzem jest ten, kto potrafi obrać sobie pozycję pośrednią: ani nie czuje się zdominowany przez swoje uczucia, ani się ich nie wyzbywa. To najtrudniejsza postawa ze wszystkich i znalezienie punktu równowagi - by nie być ani zbyt obojętnym, ani zbyt wrażliwym - jest czymś, czego niewielu się nauczyło.

W owym czasie miałem za złe, że nasze kształcenie wydawało się w równej mierze dotyczyć naszych emocji, jak i rzeczowej zawartości tego, czegośmy się uczyli. Ten aspekt emocjonalny wydawał mi się raczej tumanieniem, jakąś inicjacją zawodową niż prawdziwym wykształceniem. Upłynęło wiele czasu, nim zrozumiałem, że zachowanie lekarza jest co najmniej równie ważne jak to, co umie. A z pewnością nie podejrzewałem, że moje pretensje do medycyny skupią się niemal całkowicie na postawie emocjonalnej personelu medycznego, a nie na ich wiedzy naukowej.

## ***Dobra historia***

Do obowiązków studenta podczas praktyki szpitalnej należy przeprowadzanie wywiadów z pacjentami. Lekarz dyżurny mówi:

- Niech pan pójdzie do sali piątej do pana Jonesa. On ma dobrą historię.

To oznacza, że pan Jones potrafi jasno przedstawić dzieje swojej choroby. Idzie się więc do pana Jonesa, wysłuchuje jego opowieści i stawia diagnozę.

Student rozpoczynający praktykę szpitalną odczuwa zawsze wielką treść przy takich wywiadach. Usiłujesz zachować się profesjonalnie, tak jakbyś dobrze wiedział, co robisz. Próbujesz postawić diagnozę. Starasz się nie zapomnieć wypytać o wszystko, o co powinieneś wypytać, zbadać wszystko, co powinieneś zbadać, nawet jeśli to się nie wiąże bezpośrednio z daną chorobą. Bo nie chcesz wrócić do lekarza dyżurnego i powiedzieć mu: „Pan Jones ma wrzód żołądka” - tylko po to, by usłyszeć:

- To prawda, ale co z jego oczami?

- Z oczami?

- Tak.

- Jego oczy... hmm...

- Nie zbadał pan oczu?

- No... oczywiście. Tak.

- I nic pan nie zauważył?

- Nie...

- Nie zauważył pan, że ma lewe oko szklane?

- Och! Tak jest.

Aby uniknąć podobnie kłopotliwych sytuacji i ułatwić sobie zadanie, studenci uczą się pewnych stosowanych podczas wywiadu sztuczek. Pierwsza sztuczka polega na tym, by wydobyć od pacjenta diagnozę, a nie samemu się wysilać. Jak się zna diagnozę, treść przy wywiadzie jest już znacznie mniejsza. Kiedy się ma szczególne szczęście, czasem wypnie się coś lekarzowi dyżurnemu:

- Niech pan pójdzie do sali piątej do pana Jonesa. Ma dobrą historię wrzodu żołądka.

Albo można się zdać na łaskę pielęgniarek.

- Gdzie leży pan Jones?

- Wrzód żołądka? Sala piąta.

Czasami mogą być przy jego łóżku jacyś krewni. Warto wtedy spróbować:

- Dzień dobry, pani Jones. Jak się dziś czuje pan Jones?

- Świetnie, panie doktorze. Właśnie omawialiśmy z mężem dietę przeciwwrzdową, kiedy wróci do domu.

Sami pacjenci też na ogół wiedzą, na co są chorzy, i mogą o tym wspomnieć, zwłaszcza kiedy usiądzie się obok i zapyta serdecznie:

- No i jak się pan dzisiaj czuje, panie Jones?

- Znacznie lepiej.

- A co mówią lekarze o pańskim schorzeniu?

- Że to po prostu wrzód żołądka.

Ale nawet jeśli pacjent nie zna diagnozy, to podczas pobytu w szpitalu był już badany tyle razy, że jedynie słuchając jego odpowiedzi, można się zorientować, co robić dalej. Jeśli się wpadło na właściwy trop, pacjent wzdycha: „Wszyscy mnie wypytyją o te bóle po jedzeniu” albo: „Wszyscy mnie pytają o kolor stolca”. Jeśli zaś jesteś na fałszywym tropie, pan Jones ma pretensję: „Czemu pan mnie o to pyta? Nikt inny nie zadawał takiego pytania”. Często więc ma się poczucie, że lepiej podążać utartą ścieżką.

Nawet mając już jakieś pojęcie o diagnostyce, zawsze w wywiadach z pacjentami natrafia się na jakiś podniecający element niepewności. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy. Pewnego dnia lekarz dyżurny mówi:

- Niech pan pójdzie do pani Willis w sali ósmej. Ma dobrą historię nadczynności tarczycy.

Szedłem korytarzem myśląc: Nadczynność tarczycy... nadczynność tarczycy... Co ja wiem o nadczynności tarczycy?

Pani Willis była trzydziestodwuletnią wychudzoną kobietą; siedziała na łóżku, odpalając jednego papierosa od drugiego. Miała wytrzeszcz oczu. Była zdenerwowana i wydawała się nieszczęśliwa. Ciemno opalone ramiona i twarz miała pokiereszowane bliznami, zapewne po wypadku samochodowym.

Przedstawiłem się i zacząłem z nią rozmawiać, skupiając się głównie na problemach związanych z tarczycą. Tarczyca reguluje metabolizm całego ciała i ma wpływ na skórę, włosy, głos, temperaturę, wagę, zasób energii i usposobienie. Pani Willis udzielała mi wszystkich prawidłowych odpowiedzi. Nie może przytyć, choćby nie wiadomo ile jadła. Zawsze jest jej gorąco i śpi z odrzuconą na bok kołdrą. Zauważyła, że jej włosy stały się łamliwe. Tak, tak, tak, wszyscy ją o to pytają. Zniecierpliwiona, rzucała szybkie odpowiedzi. Wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Spytałem, gdzie się tak opaliła. Powiedziała, że siostrę odwiedziła w Alabamie. Było jej tam dobrze, bo mieszkanie siostry ma klimatyzację. Mieszkała u siostry przez trzy miesiące, a niedawno wróciła do Bostonu.

Dlaczego znalazła się w szpitalu?

- Z powodu nadczynności tarczycy.

Kto ją przywiózł tu do szpitala?

Wzruszenie ramion.

- Przyszłam sama, a oni kazali mi zostać. Z powodu tarczycy.

- Skąd ma pani te blizny?

- To cięcia.

- Cięcia?

- Większość z nich to cięcia nożem, a jedno szkłem.

Wydawało się, że blizny pochodzą z różnych okresów, jedne wyglądały na pięcioletnie, inne były świeższe.

- Tak, jedna jest sprzed pięciu lat, inne są nowsze.

- Jak to się stało?

- Mój mąż.

- Pani mąż? - Postępowałem ostrożnie. Chora była teraz bliska łez.

- Katuje mnie. Wie pan, kiedy jest pijany.

- Odkąd to się dzieje, pani Willis?
- Już mówiłam. Od pięciu lat.
- Dlatego pojechała pani do siostry?
- Siostra mówi, że powinnam wzywać policję.
- A wzywała pani?

- Raz. Nic nie zrobili. Przyszli i powiedzieli mu, żeby przestał. To wszystko. A on się potem wściekał.

Potężne łkanie wstrząsało jej ciałem, łzy spływały ciurkiem po policzkach.

Byłem zmieszany. Chwiejność emocjonalna jest charakterystyczna dla nadczynności tarczycy; pacjenci często szlochają. Ale ta kobieta była chyba poważnie nękana przez męża. Rozmawiałem z nią dalej. Przyszła do szpitala z powodu ran, a lekarze zatrzymali ją ze względu na nadczynność tarczycy. Ale to tylko pretekst, by ją trzymać z dala od gwałtownego męża. Tu w szpitalu jest względnie bezpieczna, ale co będzie, kiedy ją wypiszą?

- Czy ktoś rozmawiał z panią o mężu? Jakiś pracownik socjalny czy ktoś taki?
- Nie.
- Chciałaby pani, żeby ktoś z panią o nim porozmawiał?
- Tak.

Powiedziałem, że to załatwię, i wyszedłem pełen oburzenia. W owych czasach nie dopuszczano do świadomości faktu fizycznego znęcania się nad członkami rodziny. Wszyscy udawali, że żon i dzieci się nie bije. Nie było żadnych ustaw, żadnych agencji rządowych, żadnych schronisk, w ogóle żadnych instytucji chroniących skrzywdzonych. Głęboko przeżywałem niesprawiedliwość tego stanu rzeczy i osamotnienie tej kobiety, siedzącej na szpitalnym łóżku i oczekującej na odesłanie jej do domu, gdzie mąż znów będzie dźgał ją nożem.

Nikt się o nią nie zatroszczył. Doktorzy mogli sobie leczyć tarczycę, ale nikt się nie zajął jej prawdziwymi, zagrażającymi życiu problemami, wobec których stanęła.

Wróciłem do lekarza dyżurnego.

- Czy widział pan rany pani Willis?
- Tak.
- To rany od noża.
- Tak. Niektóre. - Wydawał się zupełnie spokojny.
- Leczymy ją na nadczynność tarczycy, a ona ma chyba znacznie poważniejszy problem.
- Jedyne, co potrafimy uleczyć, to nadczynność tarczycy - powiedział lekarz dyżurny.
- Sądzę, że możemy zrobić coś więcej. Choćby poczynić jakieś kroki, by ją trzymać z dala od męża.

- Jakiego męża?
- Męża pani Willis.
- Ona nie ma męża. Co panu powiedziała?

Powtórzyłem całą historię.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Pani Willis została tu przeniesiona z prywatnego sanatorium w Alabamie. Ma zamożną rodzinę, a mąż rozwiódł się z nią przed laty. Od dziesięciu lat przechodzi kuracje w różnych lecznicach. Te rany sama sobie zadała.

- O Boże!
- Pytał ją pan, czy przebywała w jakichś zakładach psychiatrycznych?



- Nie.

- A powinien pan zapytać. Nie jest całkiem zwariowana. Powiedziałyby, gdyby pan ją spytał.

Innym razem lekarz dyżurny powiedział:

- Niech pan pójdzie do pana Bensa. Ma dobrą historię wrzodu dwunastnicy.

Poszedłem do pana Bensa. Zatrzymałem się najpierw u stóp łóżka, żeby obejrzeć jego kartę szpitalną. To była jeszcze jedna sztuczka. Karta zawierała jedynie notatki pielęgniarek o kroplówkach i o podobnych sprawach, ale zawsze mogło to okazać się przydatne. A także sprawia to wrażenie profesjonalizmu, jeżeli po przyjściu do pacjenta najpierw się bada jego kartę.

- Widzę, panie Benson, że jest pan drugi dzień po operacji. - Sądziłem, że jeśli zoperowano mu wrzód, musiał to być poważny zabieg.

- Tak.

- I widzę, że oddał pan mocz.

- Tak.

- Jak się pan czuje. Jakież bóle?

- Nie.

Drugi dzień po operacji i nic nie boli? - pomyślałem.

- Niezwykle szybko dochodzi pan do zdrowia.

- Nie.

Pierwszy raz spojrzałem na niego uważnie. Siedział na łóżku w szlafroku, drobny, schludny mężczyzna w wieku czterdziestu jeden lat. Jak wielu pacjentów świeżo po operacji miał nieco nieprzytomne spojrzenie, jakby skierowane w głąb siebie, by czuwać nad gojeniem się rany. Ale w jego przypadku było inaczej.

- No - powiedziałem - niech mi pan opowie o swoim wrzodzie.

Harry Benson mówił głuchym, smutnym głosem. Pracował w dziale reklamacji w towarzystwie ubezpieczeniowym na Rhode Island. Przez całe życie mieszkał z matką. Była chora i potrzebowała jego opieki. Nigdy się nie ożenił i poza miejscem pracy mało z kim utrzymywał znajomości. Przez ostatnie pięć lat cierpiał na ciężkie bóle brzucha. Czasem wymiotował krwią. Z powodu tych bólów i wymiotów sześć razy przyjmowano go do szpitala. Robiono mu wielokrotnie transfuzje krwi. Dano mu do wypicia bar, żeby uzyskać rentgenowskie zdjęcie wrzodu. Lekarze powiedzieli mu w zeszłym roku, że jeżeli nie pomogą lekarstwa, potrzebna będzie operacja. Krwawienie nie ustawało, więc zgłosił się do szpitala i dwa dni temu przeszedł operację.

Taka była jego historia.

Tak jak zapowiedział lekarz dyżurny, była to historia klasyczna i po tak wielu kontaktach z lekarzami pan Benson przedstawił ją całkiem jasno. Znał nawet lekarski żargon, określenie „wypicie baru” dla uzyskania kontrastu przy prześwietleniu.

Czemu więc jest taki przygnębiony?

- Ze względu na to, co pan przeszedł, powinien pan się cieszyć, że ma pan już za sobą tę operację.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo oni nic nie zrobili.

- Co pan mówi?

- Otworzyli mi brzuch, ale nic nie zrobili. Nie wykonali operacji.  
- Panie Benson, chyba pan się myli. Usunięto panu część żołądka.  
- Nie. Mieli mi zrobić częściową resekcję, ale nie zrobili. Popatrzyli i zaszyli mnie z powrotem. I kryjąc twarz w dłoniach zalał się łzami.

- Co panu powiedzieli?

Potrząsnął głową.

- Jak pan myśli, co tu jest nie w porządku?

Potrząsnął głową.

- Czy sądzi pan, że to rak?

Wciąż szlochając, pokiwał głową.

- Panie Benson, ja tak nie myślę. - Nie miał spuchniętych gruczołów, nie tracił na wadze, nie miał żadnych bólów w innych miejscach. A już z całą pewnością nie wysłano by studenta na rozmowę z kimś, kto właśnie się dowiedział, że ma nieoperacyjny przypadek raka.

- Tak - powtórzył stanowczo. - To carcinoma.

Był tak przygnębiony, że poczułem, iż muszę natychmiast zadziałać.

- Panie Benson, zaraz to sprawdzę.

Poszedłem do pokoju pielęgniarek. Kręcił się tam lekarz dyżurny. Spytałem:

- Co z tym Bensonem? Zrobili mu resekcję żołądka?

- Nie, nie zrobili.

- Dlaczego?

- Bo kiedy go otworzyli, piekielnie mu się podniosło ciśnienie, więc zdecydowali, że nie mogą tego załatwić drogą operacyjną. Zaszyli go jak najszybciej.

- Ktoś mu o tym powiedział?

- Oczywiście. Wie o tym.

- Ale on myśli, że ma raka.

- Wciąż? Tak sądził wczoraj.

- Nadal tak sądzi.

- Zapewniliśmy go uroczyście - powiedział lekarz dyżurny - że nie ma raka. Mówiłem mu to ja, mówił mu ordynator, mówił mu lekarz prowadzący, chirurg, który przeprowadzał operację. Wszyscy mu mówili. Benson to dziwak. Wie pan, on mieszka z matką.

Wróciłem do Bensona. Powiedziałem mu, że sprawdziłem u lekarza dyżurnego i że wcale nie ma raka.

- Nie musi mnie pan oszukiwać - powiedział.

- Wcale pana nie oszukuję. Czy przyszedł do pana wczoraj ordynator i inni lekarze?

- Tak.

- Powiedzieli, że nie ma pan raka?

- Tak. Ale ja wiem. Nie powiedzą mi tego prosto w oczy, ale ja wiem.

- Skąd pan wie? - zapytałem.

- Słyszałem, jak mówili między sobą, kiedy myśleli, że nie słyszę.

- Powiedzieli, że ma pan raka?

- Tak.

- Co powiedzieli?

- Że mam guzy.

- Jakie guzy?

- Guzy przetokowe.

Nie ma nic takiego jak guzy przetokowe.

- Guzy przetokowe?

- Tak je nazwali.

Wróciłem do dyżurnego.

- Mówiłem panu, że to dziwak - powiedział. - Nikt mu nie mówił o żadnych guzach przetokowych, może mi pan wierzyć. Nie mam pojęcia, skąd... zaraz, niech pan poczeka... - Zwrócił się do pielęgniarek. - Kto leży na sąsiednim łóżku z Bensonem?

- Pan Levine, po usunięciu woreczka żółciowego.

- Ale on jest dopiero od dzisiaj. Kto tam leżał wczoraj?

- Zaraz, zaraz... wczoraj?

Nikt nie mógł sobie przypomnieć, kto tam leżał poprzedniego dnia. Ale lekarz dyżurny okazał się uparty. By to sprawdzić, trzeba było sięgnąć do dokumentacji. Zajęło to następne pół godziny i wciąż mówiło się o Bensonie, póki sprawa ostatecznie się nie wyjaśniła.

Następnego dnia po operacji pan Benson, zrozpaczony, że nic mu nie usunięto, udawał w czasie lekarskiego obchodu, że śpi. Przysłuchiwał się temu, co lekarze mówią między sobą, i usłyszał, jak omawiają przypadek pacjenta na sąsiednim łóżku, który cierpiał na arytmie spowodowaną zakrzepem w węzle zatokowo-przedsionkowym serca. Lekarze mówili coś o zatorze. Ale mówili tak cicho, że pan Benson usłyszał tylko piąte przez dziesiąte i sądził, że mówią o jego nowotworze, i to w dodatku „przetokowym”. A zbyt wiele razy przebywał w szpitalu, żeby nie wiedzieć, że nowotwór oznacza raka.

I dlatego był pewien, że umiera.

Wszyscy poszliśmy do niego, żeby mu to wytłumaczyć. I w końcu pojął, że mimo wszystko nie ma raka. Ogromnie mu ulżyło.

Inni odeszli, a ja zostałem z nim sam.

- Hej, niech pan posłucha, wielkie dzięki - powiedział i wcisnął mi dwudziestodolarowy banknot.

- To naprawdę niepotrzebne - odparłem.

- Nie, nie, niech pan to da Eddiemu w sali czwartej. - I wyjaśnił, że Eddie jest bukmacherem i prowadzi zakłady dla każdego na piętrze. - Niech pan to postawi na Świeże Powietrze w szóstej gonitwie - powiedział.

Był to pierwszy znak, że pan Benson jest na dobrej drodze do wyzdrowienia.

- Niech pan pójdzie do pana Careya na sali szóstej. To dobry przypadek zapalenia kłębuszków nerkowych - powiedział lekarz dyżurny. Mój zachwyty, że znam z góry diagnozę, natychmiast został przygaszony. - Chłop pewnie umrze.

Pan Carey miał dwadzieścia cztery lata. Siedział na łóżku i układał pasjansa. Wyglądał zdrowo i wesoło. Był tak przyjacielski, że dziwne mi się wydało, iż nikt nigdy nie wchodzi do jego pokoju.

Pracował jako ogrodnik w jakiejś posiadłości ziemskiej pod Bostonem. Parę miesięcy temu dokuczał mu ból gardła. Poszedł do lekarza i dostał jakieś pigułki, ale zażywał je tylko przez kilka dni. Nieco później zauważył obrzęki ciała i osłabienie. Później dowiedział się, że ma chore nerki. Teraz musi dwa razy w tygodniu poddawać się dializie. Lekarze coś chyba między sobą mówili

o przeszczepie nerki, ale nie jest tego pewien. Na razie czeka.

To właśnie teraz robił - czekał.

Był moim rówieśnikiem. Rozmawiałem z nim coraz bardziej przerażony. W owym czasie dializa była jeszcze kuracją egzotyczną, a przeszczep nerki wydawał się czymś wręcz niemożliwym. Statystyki nie wyglądały zachęcająco. Nawet jeśli transplantacja w ogóle się udała, przeciętny okres przeżycia nie wynosił więcej niż trzy do pięciu lat.

Rozmawiałem z człowiekiem skazanym na śmierć.

Nie wiedziałem, co mam mu powiedzieć. Przez chwilę rozmawialiśmy o drużynie Celtyków i o Billu Russellu. Wydawał się szczęśliwy, że może pogadać o sporcie, rad, że z nim jestem. A ja chciałem uciec z tego pokoju. Wpadłem w panikę. Czulem, że się duszę. Cóż mogłem tutaj zrobić? Byłem studentem medycyny, stojącym w obliczu kogoś, kto miał umrzeć z taką pewnością, jak pewne jest, że za parę tygodni skończy się sezon koszykówki. To było nieuniknione. Nie sądziłem, że potrafię cokolwiek mu powiedzieć Tymczasem on chyba cieszył się naszą rozmową. Zastanawiałem się nad tym, ile wie. Dlaczego jest taki spokojny? Czy nie zna swojej sytuacji? Musi znać. Musi być świadom, że może już nie wyjść ze szpitala. Dlaczego jest taki spokojny?

Po prostu gawędził o sporcie. O sezonie baseballowym. O wiosennym treningu.

W końcu nie mogłem już wytrzymać. Musiałem wyjść, opuścić ten pokój. Powiedziałem:

- No, jestem pewien, że wkrótce stanie pan na nogi.

Spojrzał na mnie z rozczerowaniem.

- Chodzi mi o to - dodałem - że jest pan zdecydowanie na drodze do poprawy zdrowia i za jakiś tydzień pewnie pan stąd wyjdzie.

Wyglądało na to, że czuje się głęboko zawiedziony. Powiedziałem nie to, co trzeba. Ale co miałem mu powiedzieć? Nie miałem pojęcia.

- Głowa do góry! Na pewno zrobią coś takiego, że będzie pan mógł stąd wyjść lada dzień. No, muszę już iść. Rozumie pan, obchód.

Teraz patrzył na mnie z jawną pogardą.

- Oczywiście. Świetnie.

Uciekłem, zamykając drzwi za sobą, odgradzając się od widoku tego człowieka w moim wieku, który był tak bliski śmierci. Wróciłem do lekarza dyżurnego.

- Co można powiedzieć komuś takiemu?

- To twarda sztuka - zauważył.

- On wie?

- Tak. Oczywiście.

- I co pan mu mówi?

- Nigdy nie wiem, co mam mu powiedzieć. Cholerna sprawa, no nie?

Kiedy dziś to wspominam, wydaje mi się wprost niepojęte, że przez cztery lata studiów medycznych nikt nigdy z nami nie mówił, oficjalnie czy nieoficjalnie, o umierających pacjentach. O śmierci, tym niewątpliwie najważniejszym zdarzeniu w życiorysie lekarskim, w Wyższej Szkole Medycznej na Uniwersytecie Harvarda nawet się nie wspominało. Nie poświęcono jednej chwili rozważaniom, co możemy przeżywać przy konającym pacjencie - strach, przerażenie, poczucie klęski, przykre przypomnienie o ograniczeniach naszej sztuki. Nie poświęcono jednej chwili zastanowieniu się nad tym, co przeżywa sam konający, czego może w takiej chwili chcieć lub potrzebować. Nigdy nie było o tym mowy. Zostaliśmy zdani sami na siebie, by się nauczyć czegoś o śmierci.

Kiedy dziś o tym myślę, wyobrażam sobie straszliwe osamotnienie, jakie musiał przeżywać młody człowiek, tkwiąc dzień po dniu w pokoju, do którego nikt nie chciał zajrzeć. Przychodzi do niego wreszcie jakiś nieszczęsny student i młody człowiek jest uradowany, że może przez chwilę pogadać z inną ludzką istotą. Chciałby porozmawiać o czymś, co stanowi prawdę jego życia. Martwi się o to, co się z nim stanie. Chce o tym mówić, gdyż inaczej niż ja - nie może się uchylić od rzeczywistości. Ja mogę uciec z jego pokoju, on nie. Jest unieruchomiony na miejscu przez wiszącą nad nim śmierć.

A ja, zamiast z nim o tym porozmawiać, zamiast zdobyć się na odwagę, by z nim posiedzieć, wymamrotałem kilka banałów i uciekłem. Nic dziwnego, że patrzył na mnie z taką pogardą. Nie zachowałem się jak lekarz. Chodziło mi bardziej o siebie niż o niego. A to on umierał.

Dotąd sam siebie oszukuję, że to nie było całkiem tak - że on nie był taki sam jak ja, że to nigdy mi się nie zdarzyło.

## **Oddział „warzywny”**

O czwartej rano gmeram w ciemnym schowku, próbując znaleźć to wszystko, co mam ze sobą zabrać: stetoskop, torbę lekarską, notes i coś tam jeszcze, gdyż w końcu nadszedł dzień, kiedy już przestałem być udającym lekarza praktykantem na części etatu w tym czy innym szpitalu. Dziś się zaczyna mój prawdziwy staż lekarski. Od dziś będę pracował w szpitalu co dzień i co drugą noc. Jestem okropnie podniecony i zdenerwowany, wszystko leci mi z rąk. W końcu mam już to, czego mi trzeba, ale nie mogę znaleźć kluczyków do wozu. Jest już piąta. Spóźnię się na swój pierwszy dyżur w Miejskim Szpitalu Bostońskim.

Stary ceglany gmach szpitala miejskiego bardziej przypominał więzienie niż cokolwiek innego. Znalazłem miejsce na parkingu i korytarzami na parterze dostałem się do właściwego skrzydła budynku.

Powiedziałem „dzień dobry” windziarzowi.

- Cześć, doktorze - odpowiedział niskim głosem. Na identyfikatorze widniało imię Bennie. Bennie był olbrzymem, mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ważył co najmniej sto pięćdziesiąt kilo, miał długie ręce, grube paluchy, długi nos i podbródek.

- Jadę na neurologię - powiedziałem.

Bennie chrząknął i zamknął rozklekotane drzwi klatki. Stara winda ruszyła w górę.

- Ładna pogoda - powiedziałem.

Bennie znów zachrzakał.

- Długo pan tu pracuje?

- Odkąd byłem tu pacjentem.

- To ładnie.

- Zrobili mi operację.

- Ach tak?

- W głowie.

- Uhm.

- Pańskie piętro, doktorze - powiedział Bennie, otwierając drzwi. Wszedłem z windy.

Pierwszy widok oddziału neurologicznego był porażający. Byli tam pacjenci, którzy siedzieli na krzesłach wijąc się wężowymi ruchami, określanymi jako płasawica. Byli pacjenci zaślinieni, przywiązani do krzeseł, którzy wpatrywali się w przestrzeń. Byli pacjenci leżący w łóżkach, pojękujący od czasu do czasu. Z dala dochodziły okrzyki bólu. Wszystko przypominało osiemnastowieczny dom wariatów.

Miałem tu spędzić sześć tygodni. Ruszyłem do pokoju pielęgniarek, by się tam zgłosić. Minałem wielkiego mężczyznę siedzącego na łóżku z prześcieradłem podciągniętym pod brodę.

- Hej, doktorze!

- Dzień dobry - powiedziałem.

- Hej, doktorze, czy może pan mi pomóc?

Żeby się upewnić, że mu pomogę, chwycił mnie mocno za ramię. Był to bardzo wielki mężczyzna,

dłonie miał jak połcie, twarz pod szczeciniastym szpakowatym zarostem pokrytą bliznami. Wyglądał niebezpiecznie. Wpatrywał się we mnie.

- Nikt mi tu nie chce pomóc - powiedział.

- Ejże?

- Pomożesz mi, doktorze?

- Oczywiście. O co chodzi?

- Niech mi pan zdejmie buty.

Wskazał brodą na łóżko, gdzie pod prześcieradłem rysowały się stopy. Zdziwiłem się, że leży w łóżku w obuwiu, ale był tak wielki i rozdrażniony, że nie usiłowałem go o nic pytać.

- Nie ma sprawy - odparłem.

Puścił moją rękę, a ja podniosłem prześcieradło.

Zobaczyłem dwie wielkie bose stopy. Dziesięć, a właściwie dziewięć palców, bo brak mu było jednego wielkiego palca. W jego miejscu sterczał tylko ciemny kikut.

Spojrzałem na twarz mężczyzny. Przyglądał mi się bacznie, rozpromieniony.

- No, naprzód - powiedział.

- Czego pan ode mnie chciał? - zapytałem.

- Żeby mi pan zdjął buty.

- A ma pan na sobie buty?

- Przecież ma je pan przed nosem! - krzyknął gniewnie.

Odsunąłem prześcieradło tak, żeby mógł zobaczyć swoje bose stopy. Ale on znów kiwnął głową.

- No, ściągnij!

- Ma pan na myśli te buty? - wskazałem na bose stopy.

- Tak, te buty na moich nogach. Co, jest pan ślepy?

- Nie - odparłem. - Niech pan powie, co to za buty.

- Po prostu ściągnij je pan!

Wydawał się jakiś nieuchwytny. Nie miałem pojęcia, co mu jest i jak mam postąpić. Postanowiłem się z nim nie spierać. Udałem, że ściągam mu buty.

- Jezus! - wrzasnął.

- O co chodzi?

- Nic pan nie umie? Rozsznuruj je naprzód!

- Och, przepraszam. - Udałem, że rozwiązuję sznurowadła. - Lepiej?

- Tak, o Jezu!

Udałem że ściągam najpierw jeden but, a potem drugi. Westchnął i rozkurczył palce.

- O, już lepiej. Wielkie dzięki, doktorze - Nie ma za co. - Chciałem już dotrzeć do pokoju pielęgniarek.

- Hej, nie tak szybko! - Znów złapał mnie za ramię. - Dokąd to?

- Do pokoju pielęgniarek.

- Z moimi butami?

- Przepraszam.

- Do diabła z przeprosinami. Nie urodziłem się wczoraj. Zostaw je pan tutaj.

- Dobrze. Już je stawiam. W porządku?

- Ani na chwilę nie można was spuścić z oka. - Nagle zmienił się na twarzy. Patrzył na prześcieradło z panicznym przerażeniem. - Hej doktorze, czy może mi pan pomóc?

- O co teraz chodzi?

- Niech pan zdejmie tego pająka z prześcieradła. Dobrze? Oba pająki. Widzi je pan?

- Widuje pan pająki?

- O tak, mnóstwo. Zwłaszcza ostatniej nocy. Obsiadły wszystkie ściany.

Był alkoholikiem w stadium delirium tremens.

- Muszę iść do pokoju pielęgniarek - powiedziałem.

Znów złapał mnie za ramię i przysunął swoją twarz do mojej.

- Nie tknę już więcej tych pajaków.

- Dobra myśl - odparłem. - Wrócę tu później.

Puścił mnie, a ja poszedłem do pokoju pielęgniarek. Było tam kilka sióstr i mężczyzna o pociągłej twarzy, około trzydziestki, nieprawdopodobnie wprost wymuskany; ostre kanty spodni, świetnie leżąca marynarka, odprasowany krawat, nienagannie ostrzyżone włosy. Spojrzał na zegarek.

- Doktor Crichton? Czy mam raczej powiedzieć: pan Crichton? Jestem Donald Rogers, ordynator oddziału neurologii, a pan się spóźnił. Kiedy mówię, że ma pan tu być o szóstej, to mam na myśli szóstą, a nie dziesiątą po szóstej. Zrozumiano?

- Tak jest, proszę pana.

Tak się zaczęła moja praktyka na neurologii.

Ale mi się trafiło!

Neurologia jest w zasadzie specjalizacją diagnostyczną, gdyż stosunkowo niewiele zaburzeń neurologicznych daje się uleczyć. Szpitalny oddział neurologii w Bostonie odzwierciedlał ten smutny stan rzeczy; w zasadzie przyjmowano tam „przypadki” tylko po to, żeby młodzi lekarze mogli je obejrzeć. Z trzydziestu siedmiu pacjentów na oddziale każdy cierpiał na coś innego. Nie przyjmowano chorego na oddział, jeżeli już na nim był ktoś o podobnym schorzeniu. To nie był oddział szpitalny - to było muzeum. Nazywano go powszechnie Warzywnikiem albo Oddziałem Warzywnym.

My jednak udawaliśmy, że to normalny oddział, gdzie pacjentów się leczy. Robiliśmy to wszystko, co się robi w każdym szpitalu. Były lekarskie obchody, pobieraliśmy krew, zarządzaliśmy konsultacje i badania diagnostyczne. Z całą powagą odgrywaliśmy role w tym przedstawieniu, choć mało mogliśmy dla kogokolwiek zrobić.

Prócz mnie - jedyne go studenta medycyny - staż na oddziale odbywał Bill Levine z Nowego Jorku, pracujący pierwszy rok na tym stanowisku lekarz dyżurny Tom Perkins i doktor Rogers, ordynator, który zawsze postępował zgodnie z przepisami. Rogers był niezmiernie dbały o swój wygląd; jego „prezencja”, jak to nazywał, budziła pełne lęku poszanowanie.

Pewnego dnia Levine, który nie cierpiał Rogersa, zapytał go o jego krawaty.

- Podobają ci się? - spytał Rogers swoim miękkim południowym akcentem.

- Ciekaw jestem, jak to robisz, Don, że zawsze są takie gładkie, bez najmniejszej zmarszczki.

- Robi to moja żona. Prasuje je.

- Naprawdę?

- Tak. Wstaje razem ze mną o piątej, a kiedy się ubiorę, prasuje krawat na mnie, kiedy już go zawiążę.

- Nie żartuj - powiedział Levine.

- Tak, właśnie taka jest - odparł Rogers. - Tylko raz przypaliła mi koszulę i musiałem się przebrać. Ale już więcej tego nie robi.



- O nie, dałbym za to głowę.

- Dostała dobrą nauczkę - zachichotał Rogers.

Z Rogersa był kawał sadysty. W klapie marynarki obok butonierki miał zawsze wpięte kilka szpilek. Przy obchodach lubił je wkłuwać w pacjentów, „żeby zbadać ich reakcje”. Był to oczywiście tylko marny pretekst. Stan żadnego z jego pacjentów się nie poprawiał ani w ogóle się nie zmieniał, z wyjątkiem dwóch, którzy mieli nieoperacyjne guzy mózgu. Ci powoli umierali. Ale u nikogo innego nie zachodziły żadne zmiany. Pacjentami byli ciężko chorzy ludzie, przetrzucani z jednej państwowej placówki do drugiej. Kiedy robiliśmy poranne obchody, nie mieliśmy nawet o czym mówić. Ale Rogers i tak wtykał w nich swoje szpilki.

Levine spędził dopiero miesiąc na praktyce w oddziale. Był to masywnie zbudowany, uśmiechnięty facet około dwudziestu pięciu lat, niemal całkiem łysy. Z natury dobroniosy, nie znosił Rogersa i całego oddziału. Swoją odrazę wyrażał, wypalając jointa każdego ranka przed obchodem.

Dowiedziałem się o tym już drugiego dnia. Przechodziłem obok męskiej toalety, poczułem dym i wszedłem do środka.

- Bill, co ty robisz?

- Jem śniadanie - powiedział, zaciągając się dymem. Podał jointa dyżurnemu Perkinsowi, który także się zaciągnął, a potem mnie.

Odrąciłem skręta.

- Chyba żartujecie?

Było wpół do siódmej rano.

- Nie chcesz, nie bierz.

- Czy to znaczy, że przy obchodzie jesteście na haju?

- Dlaczego nie? Nikt nie pozna.

- Na pewno można poznać.

- Ty wczoraj nie poznałeś. A myślisz, że Różowogłowy pozna? - Różowogłowym Levine nazywał Rogersa. - Uspokój się - dodał, zaciągając się głęboko. - Nikogo to nie obchodzi. Połowa siostrzyczek też jest naszprycowana. Wielka mi sprawa! A wiesz, skąd to mamy? Od Benniego.

- Od Benniego?

- Od Benniego. No, tego z windy.

Do obowiązków studentów medycyny należało codzienne pobieranie krwi od pacjentów. Każdego dnia pojawiałem się w pracy o szóstej i szedłem do pokoju pielęgniarek, gdzie lekarz z nocnego dyżuru odczytywał listę pacjentów, od których należy tego dnia pobrać krew. Tyle a tyle do probówek z czerwonym wieczkiem od pana Roberti, probówkę z czerwonym wieczkiem i z niebieskim wieczkiem od pana Jacksona, z różowym i niebieskim od panny Harrelson i tak dalej. Żeby zdążyć przed obchodem, musiałem w pół godziny pobrać około dwudziestu probówek krwi.

Cały kłopot polegał na tym, że to była moja pierwsza praktyka szpitalna, a nigdy przedtem nie pobierałem krwi. I miałem skłonności do omdleń na jej widok.

Odbywało się to tak: szedłem do pierwszego pacjenta, zakładałem mu krępulec na ramię, odczekiwałem, aż żyła nabrzmieje, i starałem się, nie mdlejąc przy tym, wbić w nią igłę. Potem, kiedy krew napłynęła, wbijałem igłę w tyle próżniowych rurek, ile ich ode mnie żądano, oddychając głęboko. Byłem w stanie całkowitego otumanienia. Szybko kończyłem, wyciągałem igłę, wtykałem tampon z waty w zgięcie łokcia, rzucałem się do najbliższego okna, otwierałem je na oścież

i wystawiałem głowę na styczniowe powietrze, a pacjenci krzyczeli na mnie, że jest im zimno.

Kiedy już udawało mi się dojść do siebie, zabierałem się do następnego pacjenta.

Nie potrafiłem obsłużyć dwudziestu pacjentów w pół godziny. Dobrze, jeżeli udało mi się załatwić trzech.

Na szczęście otrzymałem pomoc. Już pierwszego dnia. Podszedłem do wielkiego czarnego mężczyzny, który nazywał się Steve Jackson. Od razu poznał, że jestem zdenerwowany.

- Hej, człowieku, co ty wyrabiasz?

- Pobieram panu krew, panie Jackson.

- A czy ty wiesz, człowieku, co robisz?

- Oczywiście, że wiem, co robię.

- To dlaczego tak ci się trzęsą ręce?

- Ach, to... Nie wiem.

- Pobierałeś kiedyś przedtem krew?

- Oczywiście. Nie ma sprawy.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek dłużył w moich żyłach, człowieku. - I z tymi słowami wyrwał mi strzykawkę z rąk. - Co ci jest potrzebne, człowieku?

- Trochę krwi.

- Rozumiem. Do której rurki?

- Do tej z czerwonym i z niebieskim wieczkiem.

- Zostaw te rurki i przyjdź później. Dam ci je.

Wziął krępulec w zęby, zacisnął go wokół ramienia i przystąpił do ściągania sobie samemu krwi. Zrozumiałem. Był narkomanem i nie życzył sobie, by ktoś mu wtykał nos w jego naczynia krwionośne. Od tego czasu rzucałem mu tylko swój sprzęt na łóżko.

- Dziś żółte i niebieskie wieczko, Steve...

- Zaraz dostaniesz, Mike.

A ja szedłem do następnego pacjenta.

Pacjent leżący obok Steve'a był zwykle nieprzytomny. Steve przyglądał mi się, jak coś przy nim majstruję, by dobrać się do jego krwi, i chyba ten widok obrażał jego wrażliwość. Więc powiedział, że pobierze krew sobie i Hennesseyowi.

Pielęgniarki litowały się nade mną i pomagały mi pobrać kilka probówek. Także Levine, jeżeli był na dyżurze poprzedniej nocy, robił to za mnie. A po kilku dniach już nie musiałem za każdym razem wystawiać głowy za okno. I tak z pomocą wszystkich mogłem w końcu pewnego dnia ukończyć pracę przed początkiem obchodu.

- Milo widzieć, że przynajmniej raz zdążył pan na czas, panie Crichton. Robi pan chyba zbyt wielką sprawę z pobrania odrobiny krwi.

Ja także zacząłem nienawidzić Rogersa.

Tak wlokły się tygodnie. Studentowi medycyny wciąż robiło się słabo przy pobieraniu krwi, lekarze kurzyli trawkę przed obchodem, a kiedy tylko odwracaliśmy wzrok, Rogers wbijał szpilki, komu popadnie. Pacjenci po kątach wciąż się ślinili i wili w atakach płasawicy, a alkoholicy opędzali się od niewidzialnych mrówek i pajaków. Było to niczym obłąkańczy koszmar i płaciliśmy za to swoją cenę.

Którejś nocy personel urządził przyjęcie i spiliśmy się spirytusem z laboratorium. Około północy

stwierdziliśmy, że byłoby zabawne pobrać sobie krew i zrobić próbę wątrobową. Zaopatrzyliśmy nasze probówki w nazwiska pacjentów i wysłaliśmy je do badania.

Następnego rana pielęgniarki nie mogły wyjść z podziwu.

- Nie rozumiem, skąd u pana Hennesseya taki niebotyczny LFT. I u pana Jacksona także. A ten wskaźnik alkoholu? To jest niemożliwe. I kto zlecił te badania? Nie ma ich w zeszycie.

- Ach, te badania - powiedział Levine z oczami zaczerwienionymi jak u królika. - Ja je wezmę. - I rozdał nam kartki z wynikami. Okazało się, że wszyscy mamy oznaki poważnego uszkodzenia wątroby. A już z całą pewnością mieliśmy ciężkiego kaca.

- Gotowi do obchodu? - zapytał rześko Rogers. Odpowiedział mu chóralny jęk. - No, chodźmy. Już i tak jesteśmy spóźnieni o cztery minuty.

Więc ruszyliśmy.

Rogers był w niezwykle dobrym humorze i wbijał wiele szpilek w chorych. Wreszcie podszedł do pani Lewis. Łóżko pani Lewis było odgrrodzone parawanem, bo ta starsza kobieta znajdowała się w stanie półśpiączki, nie panowała nad swymi funkcjami fizjologicznymi i od czasu do czasu w kurczowych ruchach wydzielala z siebie odchody. Kiedy zbliżaliśmy się do łóżka pani Lewis, zawsze mieliśmy lekkie poczucie zagrożenia. A tego ranka z powodu kaca szczególnie nie chcieliśmy się na nic narazić.

Ale łóżko było czyste i nic nie było czuć. Wydawało się, że pani Lewis śpi.

- Ona chyba śpi - powiedział Rogers. - Sprawdźmy, jak dzisiaj reaguje. - I wbił w nią szpilkę.

Biedna nieprzytomna kobieta jęknęła.

- Hmm, wydaje się, że jest jakaś mała reakcja - stwierdził.

Wpiął szpilkę z powrotem w klapę kitla i nacisnął kciukiem brzeg kości tuż pod łukiem brwiowym pani Lewis. Bardzo mocno.

- To klasyczny sposób sprawdzania reakcji na ból - wyjaśnił.

Ciało pani Lewis zwinęło się z bólu, a dłoń sięgnęła pod pośladek. Kobieta szybkim ruchem plasnęła garścią kału na koszulę i wyprasowany krawat Rogersa. Potem znów opadła na łóżko.

- O Boże! - krzyknął Rogers, blednąc jak ściana.

- To haniebne - powiedział Levine, zagryzając wargę.

- Ona najwyraźniej nie wie, co robi - oświadczył Perkins, potrząsając głową.

- Panie Crichton, niech pan dopilnuje, żeby ją umyło. Ja idę się przebrać. Ale nie mam drugiego ubrania w szpitalu, będę musiał pojechać do domu.

- Tak, proszę pana - powiedziałem.

Pomogłem doprowadzić panią Lewis do porządku i błogosławiłem ją w duchu. A niedługo potem skończyłem praktykę na neurologii i przeszedłem na psychiatrię, gdzie spodziewałem się, że będzie mi lepiej.

## *Dziewczyna, która wszystkich uwodziła*

Wyznaczono wówczas trójkę studentów medycyny do odbycia praktyki na oddziale psychiatrycznym Massachusetts General Hospital. Był to oddział, gdzie żyło się we wspólnocie: piętnastu pacjentów jadło i spało przez sześć tygodni we wspólnej sali. Po sześciu tygodniach stawiano im diagnozę i zalecano dalszą terapię dla każdego pacjenta.

Lekarz dyżurny wyjaśnił nam tok postępowania. Każdemu ze studentów przydzielili się jednego pacjenta do przeprowadzania z nim wywiadów przez sześć tygodni. Potem mieliśmy złożyć raport lekarzom i uczestniczyć w postawieniu diagnozy. Inni lekarze będą także rozmawiać z naszymi pacjentami, ale my będziemy widywać się z nimi częściej, a zatem nasz głos zostanie wysłuchany z całą powagą.

Kiedy przyszedliśmy na oddział, odbywało się właśnie ogólne zebranie. Lekarz dyżurny nie mógł go przerwać, zatrzymaliśmy się więc na korytarzu, a on przydzielił nam pacjentów. Pacjentką Ellen została zażywna kobieta koło pięćdziesiątki, jaskrawo ubrana i wymalowana. Miała romans z pewnym lekarzem, który dostarczał jej amfetaminy. Teraz cierpiała na ciężką depresję. Bobowi przydzielono chudego pięćdziesięcioletniego mężczyznę o wyglądzie uczonego. Człowiek ten był w Dachau i teraz uroił sobie, że jest chory na serce. Mnie przypadła w udziale prześliczna dwudziestolatka z krótką jasną czupryną i w minispódnicze. Siedziała w bujanym fotelu, podwinawszy długie nogi i sprawiała wrażenie istoty bardzo spokojnej i opanowanej. Wyglądała na studentkę.

- Co jej jest? - spytałem.

- Karen udało się uwieść każdego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkała - odpowiedział lekarz.

Podczas praktyki na psychiatrii odbywa się spotkania z pacjentem trzy razy w tygodniu, a dwa razy w tygodniu omawia się z terapeutą wrażenia z tych spotkań.

Moim instruktorem był doktor Robert Geller, mężczyzna w średnim wieku, który nosił brodę i lubił prążkowane koszule. Reagował szybko i był bardzo bezpośredni w obejściu. Zapytał mnie, czego oczekuję po praktyce na oddziale psychiatrycznym. Powiedziałem, że psychiatria mnie interesuje i że nawet myślałem, by się jej w końcu poświęcić. Uznał, że to świetnie. Robił wrażenie człowieka opanowanego i zrównoważonego.

- Czy pan już coś wie o swojej pacjentce?

Tak. Wiedziałem. Wyjaśniłem mu, że nie miałem jeszcze okazji z nią porozmawiać, że tylko widziałem na sali dwudziestolatkę siedzącą na bujanym fotelu.

- I co?

- Wydaje się miła. Ładna. Z pewnością nie wygląda na chorą psychicznie.

- Więc co tutaj robi?

- Lekarz oddziałowy powiedział, że udało jej się uwieść każdego mężczyznę, jakiego spotkała.

- Co przez to rozumiał?

- Nie spytałem go o to.
- Naprawdę? Ja bym zapytał.

Wyjaśniłem, że nie przyszło mi do głowy, by zapytać: próbowałem sam się zorientować, po prostu przyjrzeć się jej.

- No i jakie ma pan wrażenie, przyjrzawszy się?
- Nie wiem - odpowiedziałem.
- Nie wie pan?
- Nie.
- Powiedział pan, że jest śliczna...
- Tak, bardzo ładna.
- Co pan pomyślał, dowiedziawszy się, że będzie pańską pacjentką?
- Chyba to, że nie wiem, czy potrafię sobie z nią poradzić.
- Z nią poradzić?

To taka sztuczka psychiatrów: powtarzanie ostatnich słów, by podtrzymać rozmowę.

- Tak - powiedziałem. - Nie wiem, czy potrafię poradzić sobie z jej sprawą.
- Dlaczego by pan miał nie potrafić?
- Nie wiem.
- Niech pan powie cokolwiek, co panu przychodzi na myśl.

To jeszcze jedna psychiatryczna sztuczka. Natychmiast poczułem, że muszę się mieć na baczności.

- Nic mi nie przychodzi na myśl - odparłem.

Doktor Geller dziwnie na mnie spojrzał.

- A więc boi się pan, że nie jest dość bystry, by jej dorównać?

- Nie!
- Nie chodzi tu o bystrość umysłu?
- Nie.

- A może obawia się pan, że nie ma dostatecznej wiedzy, by jej pomóc?

- Nie.

- To może pan się boi, że ze względu na nadmiar zajęć nie będzie pan jej mógł poświęcić dostatecznie wiele czasu?

- Nie, nie.
- Więc o co chodzi?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem.

Zapadła chwila ciszy.

- Boi się pan, że ją przepierdoli?

Byłem głęboko wstrząśnięty. To sformułowanie było brutalne i prostackie. Nie wiedziałem, jak mógł sobie coś takiego wyobrazić. Huczało mi w głębi czaszki, jakby mnie w nią zdzielił. Potrząsnąłem głową, żeby wyjaśnić sprawę.

- O nie, na pewno nie.
- Jest pan pewien, że nie o to chodzi?
- Tak. Jestem pewien.
- A skąd pan wie, że to nie to?
- Tak myślę. Jestem żonaty.

- Ach tak?

- I jestem lekarzem.

- Mnóstwo lekarzy pieprzy się ze swoimi pacjentkami. Nie słyszał pan o tym?

- Nie wierzę w to - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Sądzę, że kiedy pacjent przychodzi do lekarza, staje się od niego uzależniony, bo potrzebuje od niego pomocy i jest przestraszony. I zasługuje na to, żeby go leczyć, a nie wykorzystywać jego stan uzależnienia. Zasługuje na to, by dostać to, po co przyszedł.

Głęboko w to wierzyłem.

- A może ona po to tu przyszła, żeby popierdolić się ze swoim lekarzem?

- Hmm.

- Może tego właśnie potrzebuje, by poczuć się lepiej.

Zaczęło to mnie irytować. Zorientowałem się, do czego zmierza.

- Czy pan uważa, że ja chcę... uhm... mieć z nią stosunek?

- Nie wiem. Niech pan mi powie.

- Nie - odparłem - nie chcę.

- Więc o co pan się martwi?

- O nic się nie martwię.

- Przed chwilą mi pan powiedział, że nie jest pewien, czy potrafi sobie z nią poradzić.

- No, myślałem o tym tak ogólnie. Nie byłem pewien.

- Mnie to nie przeszkadza, jeżeli ma pan zamiar się z nią pieprzyć. Ale niech pan tego nie robi.

- Nie będę.

- To dobrze. Ile pan ma lat?

- Dwadzieścia cztery.

- Od jak dawna jest pan żonaty?

- Od dwóch lat.

- Szczęśliwie?

- Z całą pewnością.

- Z seksem w porządku?

- Najzupełniej. Wspaniale.

- Więc nie będzie pan przede wszystkim odczuwał pokusy?

- Co pan ma na myśli?

- Sądzę, że skoro jest pan szczęśliwy w małżeństwie i ma pan dobre życie seksualne, nie będzie pan wobec tej dziewczyny odczuwał pokusy.

- No, chyba... Nie, oczywiście nie.

- Czy ona jest ładna?

- Tak.

- Seksowna?

- Chyba tak.

- Założyłbym się, że umie manipulować mężczyznami.

- Zapewne.

- Założyłbym się, że wie, co powiedzieć i co zrobić, żeby owinać sobie mężczyznę wokół małego palca.

- No tak. Jestem pewien, że na mnie to nie podziała.
- Miło mi to słyszeć - powiedział doktor Geller - bo to będzie pańskie zadanie.
- Jak mam to rozumieć?

- Ta dziewczyna nie zna innego sposobu odnoszenia się do mężczyzn niż odwoływanie się do ich seksualności. Wszystko, czego jej potrzeba, przyjaźń, ciepło, pociechę, poczucie bezpieczeństwa, otrzymuje w akcie seksualnym. To nie najlepsza strategia życiowa. Musi się nauczyć, że są inne sposoby odnoszenia się do mężczyzn, że może otrzymać od mężczyzny ciepło i uznanie, którego się pragnie, nie idąc z nim do łóżka. Chyba nigdy przedtem tego nie doświadczyła. Doświadczy tego po raz pierwszy z panem.

- Tak.
- Póki w końcu jej pan nie przepierdoli.
- Nie. Nie zrobię tego.
- Mam nadzieję. No i życzę powodzenia. Niech mi pan da znać, jak stoją sprawy.

Uderzyło mnie, że rozmowa z doktorem Gellerem była taka pomocna. Choć oczywiście wbił sobie do głowy, że zamierzam mieć stosunek z tą dziewczyną, ale bynajmniej się tym nie przejmowałem. Byłem całkiem pewien, że nic takiego nie zrobię. Wiedziałem, że zostając lekarzem, biorę na siebie szczególną odpowiedzialność. Za różne sprawy. A to była jedna z nich.

Nie obawiając się zatem cielesnych pokus, chciałem jak najszybciej zobaczyć Karen i rozpocząć wspólną pracę. Poszedłem natychmiast na oddział i przedstawiłem się jej.

Była bardzo wysoka. Kiedy stanęliśmy obok siebie, sięgała mi do ramienia. Miała szczupłe sprężyste ciało i zielone oczy, którymi uparcie wpatrywała się we mnie.

- Jest pan moim lekarzem?
  - Tak - powiedziałem. - Jestem doktor Crichton.
  - Jaki pan duży. - Przysunęła się bliżej, póki nie dotknęła czołem mego barku.
  - Tak.
  - Lubię wysokich chłopców.
  - To dobrze - odsunąłem się trochę. Chyba ją to ubawiło.
  - Naprawdę jest pan moim lekarzem?
  - Tak. Dlaczego się pani uśmiecha?
  - Wygląda pan za młodo na doktora. Czy nie jest pan przypadkiem studentem medycyny albo kimś w tym rodzaju?
  - Proszę mi wierzyć, że jestem pani lekarzem.
  - Co to za nazwisko Crichton?
  - Szkockie.
  - Ja także jestem Szkotką. A jak ma pan na imię?
  - Michael.
  - Jak się do pana mówi? Michael czy Mike?
  - Michael.
  - Czy mogę zwracać się do pana Michael?
  - Doktorze Crichton. Tak będzie lepiej.
- Żachnęła się.
- Dlaczego? Musi pan być taki urzędowy?

- Mamy ze sobą pracować, Karen, i sędzę, że ten rodzaj stosunków powinniśmy mieć na względzie.

- A co to ma wspólnego z tym, jak się do pana zwracam? „Doktorze Crichton”. Brr, nie podoba mi się.

- Myślę, że tak będzie lepiej. To wszystko.

Poczułem się nieco zdenerwowany, stojąc tak obok niej. Jej fizyczność mocno oddziaływała. Wprawiła mnie w lekkie drżenie. Na początek miałem pobrać od niej krew do rutynowej analizy, więc zabrałem ją do małego pokoiku do oględzin lekarskich. Byliśmy sami.

- Nie zamknie pan drzwi?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo dobrze jest tak, jak jest.

- Boi się pan zostać ze mną sam na sam?

- Dlaczego pani tak uważa? - zapytałem. Mówiąc to, poczułem się bardzo biegłym psychiatrą, odpowiadającym pytaniem na pytanie.

- Czy mam się rozebrać?

- To nie będzie potrzebne.

- Naprawdę? Nie musi mnie pan zbadać? Ciała i wszystkiego?

- Pobiorę tylko trochę krwi.

Pogładziła palcami kozetkę do badań.

- Czy pozwoli pan, że się położę?

- Bardzo proszę.

Po skończeniu praktyki na neurologii z większą swobodą pobierałem krew. Ale jakoś trzęsły mi się ręce. Na pewno to zauważyła. Położyła się na kozetce i przeciągnęła jak kocica.

- Czy mam się położyć na brzuchu, czy na plecach?

- Najlepiej na boku.

- Ta kozetka jest za krótka. Muszę podkurczyć nogi. - Minispódniczka ześliznęła się z ud.

- Jeśli tak będzie pani wygodnie - powiedziałem.

- Czy to będzie bolało? - zapytała, szeroko otwierając oczy.

- Nie. Wcale nie...

- Czemu pan drży, doktorze Crichton?

- Wcale nie drzę.

- Ależ tak. Czy pana denerwuję?

- Nie.

- Ani troszeczkę? - Z uśmiechem nabijała się ze mnie.

- Jesteś piękną dziewczyną, Karen. Każdego możesz wprawić w zdenerwowanie.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Tak pan uważa?

- Oczywiście.

Zdawała się tym pokrzepiona, a ja także poczułem się spokojniej. Pomyślałem, że nic nie szkodzi powiedzieć jej, że jest pociągająca.

Zacząłem pobierać od niej krew. Patrzyła na igłę strzykawki, patrzyła, jak napełniam jej krwią próbówki. Miała spokojny wzrok osoby zrównoważonej.



- Jest pan kawalerem?
- Nie. Jestem żonaty.
- Opowiada pan żonie o wszystkim, co pan robi?
- Nie.
- Mężczyźni nigdy nie opowiadają - powiedziała z sarkastycznym śmiechem kogoś, kto ma doświadczenie.
- Moja żona kończy studia. Niekiedy nie widzimy się całymi dniami.
- Powie jej pan o mnie?
- To, co zachodzi między panią a mną, jest ściśle tajne - odparłem.
- Więc jej pan nie powie?
- Nie.
- To dobrze. - Oblizwała wargi.

Mieszkałem w Cambridge przy Marble Avenue. Żonę poznałem już w szkole średniej. Teraz studiowała psychologię dziecięcą w Brandeis. O jedną przecznicę dalej mieszkała szkolna koleżanka mojej żony z mężem. Oboje robili dyplomowe studia na Harvardzie. A przy następnej przecznicy mieszkała jeszcze jedna jej przyjaciółka, także z mężem, z którym w szkolnych czasach grywałem w koszykówkę. Cała nasza szóstka, wszyscy ustatkowani, pożenieni, wykształceni, znający się od lat, spędzała wspólnie wiele czasu. Odnowiliśmy dawne przyjaźnie i stanowiliśmy razem mały zamknięty świat.

Moja żona lubiła gotować. Towarzyszyłem jej w kuchni, kiedy przygotowywała coś do jedzenia, i rozmawialiśmy.

- Czy ta dziewczyna się uczy?
- Tak, zaczęła studia na Uniwersytecie Bostońskim. Mówi, że chce zostać prawnikiem - Inteligentna?
- Chyba tak.
- I jest twoją pacjentką?
- Tak.
- Co jej jest?
- Ma kłopoty w stosunkach z mężczyznami.
- A co ty masz z nią robić?
- Prowadzić rozmowy. Odkryć, na czym polega całe zło. A w końcu napisać sprawozdanie.
- Długie?
- Na jakieś pięć stron.
- No to jeszcze pół biedy - powiedziała moja żona.

Lekarz oddziałowy powiedział mi, że mogę się spotykać ze swoją pacjentką dwa razy w tygodniu. Albo trzy, jeżeli uznam to za potrzebne. Uważałem, że pożądane byłyby trzy razy w tygodniu.

Trzeba było zamówić sobie na te spotkania pokój do rozmów.

Spytałem Karen, jak to się stało, że przyjęto ją do szpitala. Powiedziała, że miała brzydką wpadkę z LSD w domu akademickim; policja kampusowa przywiozła ją tutaj.

- Ale nie wiem, dlaczego mnie zatrzymali. To nie była żadna wielka sprawa, po prostu mała

wypadka.

Zakonotowałem sobie w myślach, że powinienem to sprawdzić w dyrekcji kampusu, a potem zapytałem ją o pochodzenie i co się z nią działo, nim rozpoczęła studia.

Karen mówiła otwarcie. Dorastała w małym nadbrzeżnym miasteczku w Maine. Jej ojciec był kupcem. Zbałamucił wiele kobiet, a na nią nigdy nie zwracał uwagi. Nie podobało mu się, kiedy zaczęła chodzić z Edem, po prostu dlatego, że Ed był satanistą. Był wściekły, kiedy w wieku czternastu lat zaszła z Edem w ciążę. Kazał jej donosić dziecko. Oddała je do adopcji. Ojcu nie podobali się także inni jej chłopcy. Na przykład nie lubił Toda, syna bogatych rodziców, z którym też zaszła w ciążę, mając szesnaście lat. Ojciec chciał, żeby urodziła także i to dziecko, ale poroniła. Roześmiała się.

- W Puerto Rico.

- Miała pani aborcję?

- Tod jest bogaty. I nie chciał, żeby jego ojciec dowiedział się o tym. Roześmiała się. - Pewnie pan myśli, że jestem szalona.

- Nie. Wcale nie.

- Tak dużo pan pali, kiedy jesteśmy razem.

- Czyżby?

- Tak, odpala pan papierosa od papierosa. Czy to ja wprawiam pana w takie zdenerwowanie?

- Nie zdaje mi się.

- To dobrze. Nie chciałabym pana denerwować. Bardzo sobie cenię pańską pomoc.

Zawsze nosiła minispódniczki. Lubiła siedzieć skulona w fotelu. Czekwała na właściwy moment, by podwinąć nogi i pokazać mi różową bieliznę. Musiałem szybko odwracać wzrok, ale kiedy nasze oczy znów się spotykały, widziałem, że śmieje się ze mnie.

- No i jak? Czy już jest z panem w ciąży?

- Nie - odparłem doktorowi Gellerowi.

- Niech mi pan opowie, jak stoją sprawy.

Opowiedziałem mu wszystko, czego dotąd się dowiedziałem. Jej historia brzmiała straszliwie. Rozumiałem ją jako wołanie młodej dziewczyny o względy ojca, człowieka, który z całą pewnością nie był zdolny do tego, by dać jej miłość i otoczyć ją troską, jakiej potrzebowała. Był dla niej twardy i karał ją surowo. Dwie ciąży, potem wygnanie z domu... tułanie się po różnych przytułkach. To było przerażające. Uważałem, że Karen i tak dobrze sobie poradziła, skoro udało się jej dostać na studia.

- Dlaczego jest pan wobec niej taki opiekuńczy?

- Ależ nie.

- Tatuś to sukinsyn, a ona to jego ofiara?

- A czy tak nie jest?

- Jak Karen odnosi się do pana?

- Wydaje się bardzo otwarta.

- Niech ją pan zapyta o matkę.

Karen nie miała wiele do powiedzenia o swojej matce. Była emerytowaną nauczycielką, kulawą na jedną nogę po wypadku samochodowym. Jako istota słaba, pozwoliła wsiąść sobie na głowę mężowi, który ją maltretował. I nigdy nie stanęła w obronie córki, nawet kiedy wiedziała...

Zamilkła i patrzyła przez okno.

- Co wiedziała? - spytałem.

Potrząsnęła głową i wciąż patrzyła przez okno.

- Co wiedziała? - powtórzyłem.

Westchnęła.

- O moim ojcu.

- Co o ojcu?

- Mój ojciec mnie molestował.

- Co to znaczy?

- No wie pan, molestował mnie. Zakazał mi mówić o tym matce.

- Czy chce pani powiedzieć, że ojciec miał z panią stosunki seksualne?

Uśmiechnęła się.

- Taki pan urzędowy.

Rozmawialiśmy ojej ojcu przez tydzień.

- Dlaczego mi pani tego przedtem nie powiedziała?

- Nie wiedziałam, czy pan nie będzie na mnie zły.

Znów po kocie mu skuliła się w fotelu. Tym razem pod minispódniczką nie miała żadnej bielizny.

- Jak się do pana odnosi? - zapytał doktor Geller.

- Powiedziałbym: uwodzicielsko.

- Jak to robi?

- Zazwyczaj nie nosi bielizny pod spódniczką. A pewnego dnia pojawiła się na spotkaniu w nocnej koszuli.

- I co pan zrobił?

- Kazałem jej wrócić do swego pokoju i się przebrać.

- Dlaczego?

- Sądziłem, że tak będzie lepiej.

- Dlaczego?

- Próbuję zapanować nad jej kokieterią.

- Dlaczego?

- Bo jeszcze wiele muszę się o niej dowiedzieć.

- A czego pan nie wie?

Po jej drugiej ciąży matka odkryła, że Karen ma stosunki seksualne ze swoim ojcem, który wtedy postanowił oddać ją do rodziny zastępczej. W pierwszej rodzinie Karen była tylko przez sześć tygodni.

- Dlaczego?

Chodziło o pana domu. Nie mógł powstrzymać łapsk z dala od niej.

- A potem?

Nowa rodzina zastępcza. Tym razem wyrzuciła ją żona, bo zauważyła, co się zaczyna dziać między Karen a jej mężem.

- A potem?

Potem był pewien duchowny z rodziną. Mieszkała u nich prawie rok. Był to bardzo surowy

człowiek czystych obyczajów. Powiedział jej, by z tym skończyła, bo on nigdy się nie da przez nią skusić.

- I co dalej?

- Kłamał. - Wzruszyła ramionami. - Pewnego dnia jego żona wróciła wcześniej do domu i nas przyłapała. Ale wtedy już przyszedł czas, bym poszła na studia.

Powiedziała, że uczelnia wydała się jej nudna, taka jakaś zatechła. Miała dobre stopnie, choć przeważnie opuszczała wykłady. Lubiła wymykać się na wycieczki, wyjeżdżać na narty albo przejechać się do Nowego Jorku. Po prostu gdzieś się urwać. W szkole było tak nudno.

- Czy rozmawiał pan z ludźmi z uczelni? - zapytała. - Z administracji?

- Nie. A po co?

- Po prostu chciałam wiedzieć.

- A powinienem porozmawiać?

- Wszystko mi jedno. I tak nic o mnie nie wiedzą.

Przeprowadziłem rozmowę z jej matką, Helen, łagodną, zniszczoną kobietą koło pięćdziesiątki. Miała spuchnięte kostki u nóg, które nieustannie to krzyżowała, to ustawiała prosto. Była mocno przygnębiona, kiedy się dowiedziała, że Karen znalazła się w szpitalu z powodu zaburzeń psychicznych. Już od dawna się o nią martwi. To było takie trudne dziecko. Helen miała nadzieję, że skoro dostała się na studia, to teraz wszystko będzie w porządku, ale najwyraźniej nie jest.

Zapytałem ją o ciążę Karen. Helen odpowiadała wymijająco. Właściwie nie mogła sobie wiele przypomnieć na ten temat. Spytałem ją o zatargi między Karen a jej ojcem. Helen oświadczyła, że nigdy nie umieli dojść ze sobą do ładu. Spytałem ją o jego niewłaściwe poczynania.

- Jakie zachowania? - zdziwiła się Helen.

Powiedziałem otwarcie, o co mi chodzi.

- Karen to panu powiedziała? Co za mała kłamczucha.

- To nieprawda?

- Nie wiem, jak mogła powiedzieć coś takiego.

- Czy to nieprawda?

- Oczywiście, że nieprawda. Dobry Boże, za kogo nas pan uważa?

- Więc dlaczego oddaliście ją państwo do rodziny zastępczej?

- Bo wciąż się spotykała z chłopakami, dlatego. Musieliśmy ją odsunąć od tych chłopców.

A panu powiedziała, że to z powodu Henry'ego? I przysięgnę, że pan jej uwierzył. Mężczyźni zawsze wierzą we wszystko, co ona powie.

- A czego się pan po niej spodziewał? - powiedziała Karen. - Myślał pan, że się do tego przyzna?

Potem oświadczyła, że chciałyby dostać przepustkę ze szpitala na sobotę i niedzielę. Na uczelni jest zabawa i ona chciałyby na nią pójść. Powiedziałem: nie.

- Dlaczego nie chce pan dać tej przepustki? - spytał doktor Geller.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

- A co w tym złego? Myśli pan, że jest niebezpieczna? Albo że popełni samobójstwo?

- Nie.

- Myśli pan, że z kimś się prześpi?

- Być może.

- A cóż w tym złego?  
- Nic - odpowiedziałem. - Może robić, co zechce. Wszystko mi jedno.

- Więc niech ją pan wypuści.

- Chodzi mi o moją za nią odpowiedzialność.

- Pańska odpowiedzialność polega na postawieniu właściwej diagnozy, a nie na rujnowaniu jej życia.

- Nie chcę zrujnować jej życia.

- Bo pan nie może. Wie pan o tym.

- Wiem.

Dałem jej przepustkę. Przez cały tydzień myślałem o niej. Zastanawiałem się, gdzie jest, co robi. Spędziłem trochę czasu u siebie w domu, ale myślami byłem gdzie indziej. Życie Karen wydało mi się niebezpieczne. Żyła na krawędzi przepaści, w sposób całkowicie mi obcy. Ja zawsze byłem taki ostrożny, a tu spotkałem kogoś, kto robi to, co chce, mówi to, co mu się podoba, zachowuje się tak, jak chce się zachowywać.

Zaczęła mi się śnić. Jej oczy. Jej nogi.

- Jeżeli chce pan znać prawdę, to trochę zawróciła mi w głowie.

- Naprawdę? - powiedział doktor Geller.

- Tak. Ciągle o niej myślę i tak dalej.

- Sny?

- Czasami.

- Sny erotyczne?

- Czasami.

- Mnie także chyba mogłaby się śnić. Musi być cholernie pociągająca. I mówi pan, że jest inteligentna.

- Tak, jest bystra.

- Ładne ciało, ładna dziewczyna, ładne nogi i tak dalej.

- Tak.

- Więc to całkiem oczywiste, że pana pociąga. Rzecz w tym, co pan teraz robi.

- Nic.

- Może chce pan porozmawiać z nią o swoich uczuciach?

- Po co miałbym to robić? Ona jest moją pacjentką.

- To prawda - powiedział doktor Geller.

Zapadła długa cisza. Czekał. Wiedziałem z doświadczenia, że może długo czekać.

- No więc po co? - zapytałem.

- Skoro próbuje pana uwieść, może by pan omówił z nią jej zachowanie i powiedział jej, co pan czuje. Gdyby pan jej to uświadomił, mogłaby się zmienić.

- Chyba się nie zmieni.

- Skąd pan wie?

Poczułem się nagle zmieszany.

- Omawiać moje uczucia? To raczej nie jest dobry pomysł...

- To tylko propozycja - powiedział.

Karen wróciła z tygodniowej przepustki wesółą i niezbyt skora do wyznań. Spotkała się z przyjaciółmi. Była na kilku zabawach. Poczuję się rozdrażniony.

- Dlaczego mam to panu opowiadać? - spytała. - Czy to panu potrzebne?

- Do czego?

- Do pańskiego elaboratu na mój temat.

- Kto pani powiedział, że piszę jakiś elaborat?

- Ellen powiedziała Margie, że wszyscy studenci piszą sprawozdania ze swoich badań. - Margie była chorą na depresję kobietą, którą uwiódł jej lekarz. - Co pan o mnie napisze? - spytała Karen.

Siedzieliśmy w domu z żoną i przyjaciółmi przy obiedzie. W rozmowie wyłonił się temat rozwodu. Ktoś powiedział, że Marvin się rozwodzi, jeszcze jeden nasz znajomy ze studiów. Zimny dreszcz przeszedł siedzących przy stole. Zamrugały płomienie świec.

Zacząłem rozmyślać. A gdybym się rozwiódł? Byłbym zapracowanym lekarzem. Jakie kobiety bym spotykał? Głównie pacjentki. Byłbym bardzo zajęty. Nie miałbym wiele czasu na życie towarzyskie poza miejscem pracy. Kobiety, z którymi bym się widywał, byłyby moimi pacjentkami.

Z drugiej strony nawet gdybym się rozwiódł, nie mógłbym nigdzie bywać z pacjentkami, a już z całą pewnością nie mógłbym mieć z nimi stosunków seksualnych. Więc jak właściwie mógłbym sobie poradzić z tą sprawą? Skąd miałbym wziąć kobietę, z którą mógłbym pójść do kina czy do restauracji?

I jaki by był ze mnie lekarz, gdybym natrafił na kobietę, która by mnie podniecała? Jak bym się zachował? Całkowite oddanie medycynie jest dobre w teorii. Ale kiedy się ma do czynienia z seksownymi, pięknymi ciałami na kanapce do badań, z tymi nogami i z piersiami, i z karczkami, i z dziewczynami, które nie noszą bielizny...

Ona pewnie jest zakażona, pocieszałem się w myślach. Ale marna to była pociecha.

- Tak - powiedziałem doktorowi Gellerowi. - Mam kłopoty ze swoimi odczuciami.

- Pragnie jej pan, prawda?

- Czasami.

- Tylko czasami?

- No wie pan, panuję nad tym.

- Nie mówię, że pan nie panuje. A jak tam z pańskim małżeństwem?

- Nie zawsze jest tak wspaniale.

- W niczym małżeństwie nie jest zawsze wspaniale. Ale jak z życiem seksualnym?

- Nie tak świetnie. Nie zawsze.

- Więc myśli pan o Karen?

- Tak.

- Niech pan posłucha - powiedział doktor Geller. - To dobrze. Zasadniczo to normalne.

- Czyżby?

- Z pewnością. Niech pan sobie myśli o niej, ile chce. Byleby się pan z nią nie pierdolił.

- Nie będę się z nią pierdolił.

- To świetnie. Miło mi to słyszeć.

Skrupulatnie gromadziłem fakty, daty, informacje wszelkiego rodzaju. Napisałem dwudziestostronicowe sprawozdanie, czterokrotnie obszerniejsze, niż tego ode mnie wymagano.

Przedstawiłem je całemu personelowi psychiatrycznemu. Ukazałem w nim obraz molestowanej dziewczynki, która dorastała bez właściwego wsparcia i pomocy, ale dzielnie walczyła, by trzymać głowę nad wodą, i zapewne jej się to w przyszłości uda. Karen jest silna i inteligentna, i choć musi walczyć z ogromnymi przeszkodami, wierzę, że w końcu je przezwycięży.

Zebrałem od zgromadzonych lekarzy słowa uznania za mój doskonały i niezwykle szczegółowy raport. Ale oni widzieli przypadek Karen bardziej czarno. Będąc już na uczelni, rok temu dziewczyna próbowała popełnić samobójstwo. Po tej nieznaney mi próbie, na skutek przedawkowania barbituratów, musiano poddać ją dializie w innym bostońskim szpitalu. Karen ma poważne problemy z poczuciem własnej wartości. Zążywała wiele środków psychodelicznych. Jest zapewne na granicy schizofrenii. Jej inteligencja przeszkadza w dotarciu do jej prawdziwych uczuć. Dzięki swojej powierzchowności, którą potrafi oddziaływać na ludzi, zbytnio nie cierpi.

Ale prognozy nie są dobre. Z ponad pięćdziesięcioprocentową pewnością należy przewidywać, że w ciągu najbliższych pięciu lat popełni samobójstwo.

Byłem wstrząśnięty. Chciałem im powiedzieć, że się mylą, że ich obiektywne sądy i obliczenia są błędne. Chciałem ich pozbawić samozadowolenia. Tu chodzi o ludzkie życie. Mówimy o ludzkim życiu. Jeśli naprawdę sądzą, że Karen umrze, powinni jej pomóc. Powinni zapobiec jej bezsensownej śmierci.

Najspokojniej jak mogłem, powiedziałem coś w tym sensie.

Szef zespołu wypuścił dym z fajki.

- Prawdę mówiąc, niewiele możemy dla niej zrobić. - Umilkł. - Sam pan widział, jak z nią jest.

Kiwnąłem głową.

- Widział pan, jak się odnosi do ludzi.

Kiwnąłem głową.

- Uświadamia więc pan sobie, w jakim stopniu sama powoduje niefortunne wydarzenia w swoim życiu. I że zapewne nadal będzie je powodowała.

Przytaknąłem ruchem głowy i zrozumiałem nagle, że przecież w końcu mnie uwiodła. Szef zespołu rozłożył ręce.

- No trudno, ale tak już jest.

Wesoła czekała na mnie w sali rozmów.

- Był pan na zebraniu?

- Tak.

- I co o mnie mówili?

Była ciekawa jak dziecko.

- Ordynator będzie z panią rozmawiał.

- Niech pan teraz mi powie.

- Karen, dlaczego nie powiedziała mi pani o tym przedawkowaniu narkotyków?

- O jakim przedawkowaniu?

- W zeszłym roku. Kiedy już była pani na studiach.

- Och, nie było tego aż tak wiele.

- Chyba było.

- Myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. Sądziłam, że jeśli pan spyta kolegów, powiedzą panu o tym.

- Nie - powiedziałem - Nie pytałem kolegów.

Zbyła to wzruszeniem ramion.

- No więc, co się o mnie mówiło na tym zebraniu?

- No cóż - powiedziałem. - Oni sądzą, że pani potrzebuje dalszej kuracji. Uważają, że to ważne, by pani ją przeprowadziła.

- Czy to pan będzie mnie leczyć?

- Nie. Obawiam się, że nie. Moja sześciotygodniowa praktyka właśnie się kończy.

W poniedziałek zaczynam następną.

- Naprawdę? - Wydawała się wstrząśnięta.

- Tak. Pamięta pani? Mówiłem o tym w zeszłym tygodniu.

- Nie pamiętam.

- Ależ tak.

- Czy przynajmniej zobaczę pana znowu?

- Zapewne nie. Nie sędzę.

- Więc to tak? - Łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak.

- Naprawdę?

- Tak.

Wstała i patrzyła na mnie uparcie. Łzy, jeżeli się nawet pokazały, teraz znikły.

- No dobrze. Do widzenia. - Przemaszerowała obok mnie i wyszła, trzaskając drzwiami.

Nigdy jej więcej nie widziałem. Nigdy nie słyszałem, co się z nią stało, i nawet nie próbowałem się dowiedzieć.



## *Dzień w Bostońskim Szpitalu Położniczym*

Do harwardzkiej Wyższej Szkoły Medycznej należało pięć akademickich szpitali, ale klinika położnicza w Bostonie wydawała się studentom najmniej z nich interesującym. Już od ponad roku inne szpitale pozbyły się położnictwa, więc wszystkie porody odbywały się tutaj i w gmachu pełno było noworodków.

Dla większości moich kolegów położnictwo nie było zbyt pociągające, mnie jednak perspektywa obejrzenia porodu, a nawet przyjęcia jednego czy drugiego dziecka na świat, wydawała się wręcz fascynująca.

Już pierwszego dnia w Bostońskim Szpitalu Położniczym wkroczyłem w świat, który przypominał mi *Piekło* Dantego. Sala za salą wypełnione kobietami, zwijającymi się z bólu na łóżkach obciążonych gumowanymi prześcieradłami, takimi, jakimi się wyściela łóżeczka dla niemowląt, i krzyczącymi wniebogłosy w okropnej męce. Byłem przerażony. Przypominało mi to dziewiętnasty, może osiemnasty wiek.

- No tak. Te kobiety są pod działaniem skopolaminy - powiedział dziekan oddziału. - Domagają się tego. Ledwie się tu pojawią, już od progu żebrzą: „Proszę mi zrobić zastrzyk”. Więc dajemy im skopolaminę.

Skopolamina, znana z filmów o drugiej wojnie światowej jako wykrywacz prawdy, jest środkiem nasennym. Ale, jak oświadczył lekarz dyżurny, bynajmniej nie uśmierza bólu.

- Dlatego tak krzyczą. Skopolamina nie jest środkiem znieczulającym.

- To po co ją dajecie?

- Rzecz w tym, że to amnezjak. Czują bóle, ale kiedy już będzie po wszystkim, nie będą tego pamiętały.

I bardzo dobrze, pomyślałem sobie, patrząc, jak się zwijają i krzyczą. Wiele z nich przywiązano pasami do łóżka.

- Musimy je wiązać, jeśli nie chcemy, żeby pospadały i poobijały się. Jak się ich nie skrępuje, tłuką pięściami, wrywają igły z kroplówek i wyrabiają różne rzeczy.

Czułem się zażenowany w obecności tych kobiet. Niektóre były zamożnymi eleganckimi damami, ze starannym makijażem, włosami prosto od fryzjera, z wymanikiurowanymi paznokciami. Teraz leżały skrępowane na gumowanej podkładce, przeklinały, wrzeszczały, całkowicie tracąc panowanie nad sobą. Czułem się jak intruz oglądający coś, czego nie powinien oglądać.

- Po co to robicie? - spytałem.

- Bo domagają się tego. Mówi się im, co z tego będą miały, nawet się im pokazuje, ale one i tak swoje: „Wszystko mi jedno. Zróbcie mi zastrzyk”.

Przyglądałem się pielęgniarkom, próbując odgadnąć, jak one to znoszą. Przecież także są kobietami. Ale siostrzyczki miały nieprzeniknione, obojętne twarze. Jeżeli o nie chodzi, jest, jak ma być.

- Nie ma jakiegoś innego sposobu?

- O, z pewnością - powiedział lekarz.

Dalej w korytarzu były drzwi do innych pokojów. Nie było tam żadnych gumowanych prześcieradeł, pacjentki leżały na zwyczajnych szpitalnych łózkach, ciężko dysząc i pojękując, tylko od czasu do czasu wydając okrzyki bólu. Nad większością łóżek zwisały przewody do kroplówek.

- Te kobiety dostają przeciwbólowy epidural, czasem trochę demerolu, i lepiej radzą sobie z bólem.

Tutaj wyglądało to znacznie lepiej, jakoś bardziej po ludzku.

- Tak. Co nieco - przytaknął lekarz.

W głębi korytarza znajdowały się kolejne pokoje.

- Mamy tam dziewczęta z przytułku.

- Z przytułku?

- Niezameżne matki - powiedział lekarz i wymienił nazwę przytułku, z którego pochodziły.

Weszliśmy do ich pokoju.

- Tu trzeba pilnować pielęgniarek - powiedział. - Jak się im nie zwróci uwagi, nie dadzą tym dziewczętom nic na bóle. Czasem je tak zostawiają bez żadnej pomocy aż do porodu. Rodzaj kary za grzechy.

Nie mogłem w to uwierzyć. Znów znalazłem się w Dantejskim piekle.

- No tak, to jest Boston - powiedział lekarz dyżurny.

W pokoju było niezwykle spokojnie. Leżało w nim kilka dziewcząt, ciężko dysząc, biorąc głębokie oddechy i licząc skurcze. Czuwała nad nimi tylko jedna pielęgniarka, a i ona często wychodziła z pokoju. Niektóre z dziewcząt miały mocne bóle i wyglądały na przerażone, że są w takich chwilach same. Zostałem z nimi.

Jedna z dziewczyn, Debbie, była ładniutkim rudzielcem. Ucieszyła się, że ma towarzystwo, i opowiedziała mi wszystko o przytułku i o zakonnicach, które go prowadzą. Debbie nie była katoliczką, ale jej rodzina rozżłościła się na nią, kiedy zaszła w ciążę. Pięć miesięcy temu oddali ją do przytułku. Od tego czasu ani razu jej nie odwiedzili. Odwiedzało ją kilka koleżanek szkolnych, ale z rzadka. Pisała do niej siostra i powiadomiła ją, że ojciec nie pozwala nikomu z rodziny się z nią widzieć, póki nie będzie po wszystkim.

Debbie powiedziała, że zakonnice traktowały je dobrze. Jeśli puszczało się mimo uszu ich wykłady o grzechu, w przytułku nie było im źle. Większość dziewcząt miała piętnaście, szesnaście lat. Wszystkie się martwiły, że opuszczają lekcje. Debbie zadała się z chłopakiem z wyższej o rok klasy.

Dziewczyna naczytała się książek o ciąży i rodzeniu dzieci i opowiadała mi, jak dzidzius się rozwijał w jej brzuchu, jak najpierw był malutki jak główka szpilki, a kilka miesięcy później już było mu serduszko. Opowiedziała mi, jak odeszły jej wody, i o skurczach, i jak trzeba oddychać, kiedy przychodzą bóle; razem z innymi dziewczętami ćwiczyła te oddechy. Wiedziała, że nie dostanie żadnych środków przeciwbólowych. Zakonnice jej to powiedziały.

Od czasu do czasu, kiedy chwytały ją skurcze, przerywała rozmowę. Prosiła wtedy, bym podał jej rękę, i ścisła ją z całych sił. Potem ją puszczała, aż do następnego razu.

Wspomniała, że dziewczęta często rozmawiały o zatrzymaniu przy sobie dziecka i że większość z nich tego chciała, ale zdaniem Debbie, wiele z nich nie nadawało się na matki. Ona sama chciałaby zatrzymać dziecko, ale wiedziała, że to niemożliwe, bo ojciec nigdy by na to nie pozwolił, a zresztą musi wrócić do szkoły.

- Czy mogę znów wziąć pana za rękę?

Kolejny atak skurczów. Spojrzała na zegar ścienny. Powiedziała mi, że powtarzają się teraz co trzy minuty. Oświadczyła, że to już nie potrwa długo.

Pogadałem z innymi dziewczętami. Wszystkie zachowywały się tak samo, w pełnym skupieniu radziły sobie z napadami bólów. W większości mówiły, że nie chcą widzieć dziecka po urodzeniu, bały się, że zbyt trudno będzie im się z nim rozstać. Doświadczały dotkliwych bólów fizycznych, a mówiły o swoich ciężkich przeżyciach duchowych, ale dawały sobie z nimi radę. Miały w sobie spokój i godność.

Tymczasem obok, w salach przeznaczonych dla klas wyższych, prywatne pacjentki, szacowne mężatki, przywiązane do łóżek, klęły jak szewcy i wrzeszczały wniebogłosy.

Nie mieściło mi się to w głowie. Te, które miały zostać ukarane, przeżywały to tak wspaniale, a te, które miały być otoczone względami, doświadczały tego tak ciężko.

Pierwszy raz w życiu oglądałem poród. Z jednej strony odbywał się tak właśnie, jak oczekiwałem. Z drugiej jednak, widok pojawiającej się malutkiej główki, a potem ciała, przeniesionego nagle do całkiem nowej rzeczywistości, nie był dla mnie zwykłym doświadczeniem lekarskim, to był cud. Chodziłem jak urzeczony. Obejrzałem jeszcze kilka porodów i nie mogłem się przyzwyczać do tego uczucia, które mnie ogarniało za każdym razem. Byłem w uniesieniu.

Wróciłem do pokoju dziewcząt z przytułku. Wciąż było tam spokojnie; dziewczyny nadal ciężko dyszały, pozostawione samym sobie. Debbie nie było. Sprawdziłem w innych pokojach i nigdzie nie mogłem jej znaleźć.

Pod drzwiami sali porodowej spotkałem lekarza dyżurnego.

- Niech mi pan powie, czy ta dziewczyna z przytułku już rodzi?

- Jaka dziewczyna?

- Debbie.

- Nie znam jej.

- Na pewno pan zna. Taka ładna, ruda. Debbie.

- Nigdy nie patrzę im w twarze - oświadczył lekarz.

Zbrzydziłem sobie Bostoński Szpital Położniczy. Przestałem tam przychodzić na dyżury.

Od tamtych czasów warunki, w jakich dziecko przychodzi na świat, bardzo się zmieniły. Teraz przy porodzie obecny jest mąż, a on nie pozwoli, by wiązano jego wyjąca jak zwierzę żonę, choćby lekarze i pielęgniarki nie widzieli w tym nic zdrożnego. Wyraźnie też dostrzega się zgubne konsekwencje rodzenia znarkotyzowanych dzieci. W późnych latach sześćdziesiątych naturalny poród w Bostonie był rzadkością. Tych niewielu lekarzy, którzy przy nim obstawali, uważano za cudaków. Obecnie naturalny poród nie jest niczym wyjątkowym. Pominąwszy rozpowszechnioną ostatnio skłonność do cesarskich cięć, położnictwo jest jedną z tych dziedzin medycyny, która zmieniła się na lepsze. A Bostoński Szpital Położniczy dawno zlikwidowano.

## *Zawszona przy przyjęciu*

Emily miała sześćdziesiąt lat i żyła samotnie w małym mieszkanku. Opiekunka społeczna przy rutynowych odwiedzinach zastała ją nieprzytomną, leżącą na podłodze i natychmiast wyprawiła ją do szpitala.

Na izbie przyjęć stwierdzono, że chora jest z nieznanego powodu pogrążona w półśpiączce. Jej ubranie było brudne, ona sama zawszona. Wykąpano ją i odwieszono, i przyjęto na oddział.

Emily była wysoką siwą kobietą o ostrych rysach. Gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, spała. Kiedy się próbowało ją obudzić, tylko coś mruczała i odpychała rękę. Nikt nie wiedział, co jej jest, jak długo leżała na podłodze w mieszkaniu ani dlaczego zapadła w ten stan nieprzytomności, ale analizy laboratoryjne wykazały poważne braki w jej organizmie.

Lekarz dyżurny Tim obejrzał jej kartę.

- Zawszona przy przyjęciu - sarknął. - Najwyraźniej zaniedbana, chyba ze starości. Bóg wie, jak długo leżała na tej podłodze.

Zastosowano wobec Emily odżywianie dożylnie, by poprawić jej stan, ale się nie budziła. Nikt nie potrafił stwierdzić, co jej właściwie jest. Wiadomo było, że mieszkała sama w jednej z uboższych dzielnic miasta. Najwyraźniej nie miała przyjaciół ani rodziny. Nikt jej nie odwiedzał. Samotna stara kobieta, widocznie niezdolna do tego, by o siebie zadbać, była całkowicie zdana na nas.

A my nie potrafiliśmy powiedzieć, dlaczego na nic nie reaguje. Wydawała się pogrążona w głębokim śnie, a my nie wiedzieliśmy dlaczego.

Nagle trzeciego dnia się obudziła. Rozejrzała się wokół.

- O cholera jasna! - zawołała.

Jej język wytworzył jeszcze większy dystans między nią a personelem lekarskim. Starsza pani, która przeklina! Niewątpliwie cierpi na uwiad starczy. Zaczęliśmy zadawać jej pytania. Jak się nazywa?

- Myślisz, że nie wiem? Odwal się, ojczulku!

Czy wie, gdzie jest?

- Nie bądź śmieszny.

Czy wie, który to dzień tygodnia?

- A ty wiesz?

Czy wie, kto jest prezydentem kraju?

- Franklin Delano Roosevelt - odpowiedziała z chichotem.

Zasięgnięto porady psychiatrycznej. Psychiatra uznał, że Emily wykazuje „dziwaczne pojmowanie świata, dziwny tok myślenia i wrogie nastawienie”. Stwierdziwszy, że była zawszona przy przyjęciu do szpitala, wyraził przypuszczenie, że chora może być we wczesnym stadium starczej demencji.

Nadal nie mieliśmy pojęcia, dlaczego zapadła w śpiączkę, i robiliśmy jej dalsze badania. W tym czasie sypiała chyba nieco mniej i ogólnie przejawiała pewne ożywienie. Ale nadal zachowywała

się dziwnie: nigdy się nie wiedziało, z jakim przyjęciem człowiek się spotka, wchodząc do jej pokoju.

Jednego dnia to było: „Ach, dottore, jak się pan dzisiaj ma?” - z wyraźnie włoskim akcentem. „Co nowego w Rialto?” Innego: „Na zachodzie bez zmian?” I przy tym ten irytujący chichot.

Raz spytała:

- Czy znów będziecie mnie kłuć tymi igłami? Ludzka doświadczalna morska świnka, co? Myślisz, ojczulku, że nie wiem, co ze mną robicie?

Nie znosiła Tima, a on się jej odwzajemniał. Ale z jakiegoś powodu polubiła mnie.

- Och, wielki cherubinie, *como esta usted!* Pablo powinien cię malować, kochasiu.

Rozmawiałem z nią. Dowiedziałem się, że nie ma żadnej rodziny, nigdy nie wyszła za mąż, od wielu lat żyła samotnie. Zadałem jej zwykłe pytanie, jakie się zadaje starszym ludziom, czy ma jakieś hobby. Parsknęła pogardliwie na samą myśl o tym.

- Hobby! Hobby! Nie jestem idiotką.

- Więc jak pani spędza czas, Emily?

- To nie twój zasrany interes, *dottore*.

Zdumiewała mnie. Stanowiła tajemnicę nie do rozszyfrowania, ale biła z niej jakaś siła, jakaś władczość.

Snułem domysły, że może kiedyś była bogatą bostońską damą, zrujnowaną w czasie kryzysu, a teraz się zgrywa, bo jest zażenowana swoją sytuacją. Podejrzewałem, że może urodziła się gdzieś za granicą. Wyglądało na to, że zna się na muzyce i literaturze, że zna wielu artystów, bo wciąż nawiązywała to do Pabla, to do Ezry, to do Theloniusa, to do Milesa.

Tim i inni lekarze nie zauważali tych aluzji. Po prostu uważali, że cierpi na uwiąd starczy. Właściwie coraz bardziej irytowała Tima. Zarządzał ciągle nowe badania.

Wciąż nie wiedzieliśmy, co jej jest. Emily miała wiele drobnych dolegliwości - lekką niedoczynność tarczycy, niewielką anemię - ale to nie tłumaczyło stanu zapaści, w jakim się u nas pojawiła, stanu, który minął. Tim w dalszym ciągu zarządzał analizy. W końcu oświadczył:

- Musimy coś zrobić z jej anemią. Zarządzą biopsję szpiku.

Biopsja szpiku jest zabiegiem bolesnym. Zapytałem:

- Po co?

- Po prostu, żeby uzupełnić badania.

- Ale jej analizy krwi są coraz lepsze, brak jej chyba tylko żelaza. Po co chce jej pan robić biopsję?

- Uważam, że to potrzebne - powiedział Tim.

Właściwie nie lubiłem Tima. Miałem dotąd przez lata mojej praktyki szpitalnej ogromne szczęście do lekarzy oddziałowych, do których mnie przydzielano, ale nieuchronnie, wcześniej czy później, musiałem trafić na takiego, z którym nie potrafiłem dojść do ładu.

Drażniło mnie w nim wiele rzeczy. Poza swoją ścisłą specjalizacją nie miał głębszego wykształcenia. Nie znał się na sporcie, na polityce, na kulturze, nawet tak dostępnej jak współczesny film. Więc jeśli pacjenci nawiązywali do którejs z tych spraw, nie potrafił ich zrozumieć.

Z tego powodu czy też może z innych Tim odnosił się niechętnie do pacjentów. Robił przykre uwagi niemal każdemu, kto się znajdował pod jego pieczęcią. Uskarżał się też na rodziny pacjentów i na kłopoty, jakie mu sprawiają, nachodząc szpital.

Był także szorstki w obejściu. Szarpał chorych na łóżkach, popychając ich i krzycząc:

- Nie, nie tak! Masz leżeć, jak cię ułożyłem.

Kiedy dziś go wspominam, myślę, że był przestraszonym człowiekiem pragnącym pokryć krzykliwą gburowatością poczucie własnej nieudolności. Ale wtedy uważałem, że jest odrażający. Cały personel szpitalny był świadkiem jego zachowania i nieraz wymienialiśmy między sobą spojrzenia nad łóżkiem pacjenta. Sadziłem, że Tima należy usunąć. Uważałem, że potrzebna mu pomoc psychiatry. Ale nikt nic nie robił w tym kierunku, a ja na moim stanowisku nie mogłem sugerować, że jednego z członków zarządu szpitala należałoby zamknąć w odosobnieniu. Byłem tylko studentem medycyny, najniższym z najniższych. A po trzech miesiącach Tim miał wystawić mi stopień.

Ale teraz Tim zamierzał przeprowadzić biopsję na kości biodrowej Emily, zabieg bolesny i, jak uważałem, całkiem zbędny. Wiedziałem, że nie śmiałby tego zrobić, gdyby Emily nie była starą samotną kobietą bez krewnych i przyjaciół, nie lepszą niż jakiś zapijaczony włóczęga. Kobieta, którą przyjęto zawszoną do szpitala.

- Zrobię to o pierwszej - powiedział. - Chcesz asystować?

- Nie - odparłem.

- Możesz to zrobić sam, jeżeli chcesz - zaproponował mi na przekupne.

- Nie.

- Dlaczego?

Już zgłosiłem sprzeciw, więc teraz powiedziałem tylko:

- Mam zajęcia na całe popołudnie.

- Trudno - odparł Tim. - Tracisz okazję. Wezwę do pomocy pielęgniarkę.

Miałem nadzieję, że nie wykona tego zabiegu, a jednak wykonał. Test okazał się negatywny.

W szpiku Emily nie znaleziono nic złego.

Wciąż trzymał ją w szpitalu. Leżała tu już od dwóch tygodni. W szpitalu panuje niepisana reguła, by jak najszybciej się pozbywać starych ludzi. Emily przez pierwszy tydzień przybywało sił, ale teraz zaczęło się jej pogarszać, popadła w apatię.

Przy obchodach w następnych dniach cały zespół lekarski omawiał program dalszych badań Emily. Jakieś bardziej specjalistyczne analizy krwi, jeszcze jedno EEG, seria prześwietleń mózgu - pneumoencefalogram. Te badania miały zająć przynajmniej tydzień.

Już czułem się winny za jej biopsję szpiku. Teraz nie miałem wyboru. Zabrałem głos.

Powiedziałem, że choć Emily jest niewątpliwie dziwna, jej stan zdrowia wydaje się zasadniczo dobry. Nie ma żadnych szczególnych powodów, by poddawać ją tym badaniom. Jeżeli jej symptomy są skutkiem starości, to badania nic nie dadzą. Nie ma sensu poszukiwać diagnozy, skoro choroba jest nieuleczalna. Co prawda, nadal nie wiemy, dlaczego zapadła w śpiączkę. Ale skoro nie doszliśmy do tego przez dwa tygodnie, nie ma powodu sądzić, że uda się nam to w trzecim. Tymczasem Emily wyraźnie podupada na duchu. Przekonywałem, że powinniśmy ją wypisać i prowadzić dalsze badania w trybie ambulatoryjnym. Zwróciłem uwagę, że gdyby Emily miała rodzinę, nalegała by na nas, by ją wypuścić do domu, i mogłaby nas oskarżyć, że trzymamy ją w szpitalu, by wykorzystywać jako materiał badawczy.

Spociałem się podczas tego przemówienia. Wszyscy wpatrywali się we mnie. Ordynator nic nie odpowiedział. Zwrócił się do Tima i zapytał, na kiedy są zaplanowane kolejne badania.

Odpowiedział, że na cały przyszły tydzień.

Ordynator rzucił:

- Dobrze. Niech pan je robi.

I na tym stanęło.

Przeszliśmy do omawiania następnego pacjenta.

- Jak sądzicie, co mi jest? - spytała mnie Emily, kiedy byliśmy sami.

- Nie jesteśmy pewni - odpowiedziałem.

- Nic mi nie jest - oświadczyła. - Czuję się dobrze. Nie chcę już żadnych dalszych badań.

- Świetnie to rozumiem.

- Więc po co mam je znosić? To mnie boli - wskazała na zabandażowane biodro.

Znalazłem się teraz na niebezpiecznym gruncie. Musiałem starannie dobierać słowa.

- Jeżeli chce pani wyjść ze szpitala - powiedziałem - nikt nie może pani zatrzymać.

- Czy to znaczy, że mogę sobie po prostu wyjść?

- Nie. Najpierw musi pani dostać wypis. Ale jeżeli pani tego zażąda, muszą panią wypisać.

- Naprawdę?

- Będą próbowali panią namówić do zostania w szpitalu, ale nie mogą pani zmusić.

- To dobrze - ucieszyła się Emily. - Mam już dosyć tych waszych pierdolonych lekarzy i waszych pierdolonych badań.

- Zgadnijcie, kto się zmył - powiedział tego wieczora w kawiarni Tim. Emily.

- Tak?

- Wypisała się wbrew zaleceniom lekarzy.

- Kiedy?

- Dziś wieczorem. Wrzeszczała i przeklinała. Nikt nie mógł jej przemówić do rozumu. Myślę, że ktoś jej podsunął ten pomysł.

- Ciekawe kto.

- Myślę, że to ktoś z księgowości. Nie są pewni, czy jest ubezpieczona, i niepokoją się o pokrycie kosztów. Więc postanowili się jej pozbyć. - Westchnął. - Ale tylko poczekać. Wróci za parę tygodni, znowu zawszona. Stara zwariowana suka.

Dwa miesiące później przechodziłem korytarzem przychodni przyszpitalnej, kiedy poczułem szturchnięcie w żebra. Ktoś mnie potrącił. Mruknąłem coś i szedłem dalej.

- Hej, doktorze!

Zatrzymałem się i obejrzałem za siebie. Stała za mną dość elegancko ubrana kobieta w zielonym płaszczu z pelerynką i w zawadiacko nasuniętym na oko berecie. Palila papierosa w długiej cygarniczce z kości słoniowej. Patrzyła na mnie wyczekująco.

- Nie przywita się pan ze mną, doktorze?

Pacjenci nigdy nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielu ludzi widzimy, jak wiele twarzy przewija się przed nami, szczególnie w przychodni. Bywa, że jednego popołudnia mamy pięćdziesięciu pacjentów.

- Przepraszam, ale czyja panią znam?

Przechyliła na bok głowę. Zdawała się ubawiona.

- Panna Vincent.

Nic mi to nie mówiło.

- Panna Vincent?

- Emily.

Wpatrywałem się w nią, wciąż jej nie poznając. Próbowałem sobie przypomnieć kogoś, kto się nazywa Emily Vincent. I nagle rozjaśniło mi się w głowie. Emily! Ta kobieta zawszona przy przyjęciu!

Patrząc na jej ubiór i zachowanie, zrozumiałem wszystko. Emily należała do cyganerii. W latach dwudziestych była jedną ze zbuntowanych, niezależnych, obracających się w kręgach artystycznych kobiet. Znała wszystkich malarzy i literatów. Nigdy nie wyszła za mąż. Oczywiście kleła i paliła, i była zawadiacko niezależna i postępową. Odnosiła się pogardliwie do wszystkich zajmujących się nią lekarzy. Lubiła szokować i obrażać ludzi. W miarę upływu lat ze zbuntowanego podlotka stała się bojowniczką, na starość zachowała ten sam styl bycia. Stąd to „ojczulku”. Emily była hipiską.

- Jak się pani ma, Emily - powiedziałem.

- Całkiem dobrze, *dottore*. Może się pan do mnie zwracać: panno Vincent.

- Przychodzi tu pani do naszego ambulatorium?

- Mówią, że mam coś nie w porządku z tarczycą, więc łykam jakieś pigułki. - Wypuściła dym z papierosa. - Szczerze mówiąc, myślę, że to bzdura, ale mój lekarz jest taki przystojny. Więc jestem bardzo potulna.

- Wspaniale pani wygląda, panno Vincent - powiedziałem, próbując się przystosować do jej zmienionej osoby.

- Pan także - odparła. - No, muszę już iść. *Ciao*.

Odwróciła się teatralnym ruchem, powiewając pelerynką, i odeszła.



## *Zawał serca!*

Ciężka klęska spadła na szpital Beth Israel. Wszyscy praktykanci i lekarze potrzęsali głowami. Nieszczęście polegało na tym, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu czy figlem statystyki dwie trzecie pacjentów na oddziale było chorych na to samo. Zawał serca.

Lekarze zachowywali się tak, jakby we wszystkich kinach pokazywano ten sam film, a oni już go obejrzeni. Co więcej, większość pacjentów będzie musiała tu pozostać przez dwa tygodnie, więc film tak prędko się nie zmieni. Cały zespół był ponury i znudzony, bo z lekarskiego punktu widzenia zawał serca nie ma w sobie nic interesującego. Jest niebezpieczny i zagraża życiu, więc człowiek się martwi o pacjentów, bo mogą nagle umrzeć. Ale diagnostyka takich przypadków jest dobrze opracowana i są metody terapii prowadzące do uzdrowienia.

Byłem już na ostatnim roku akademii medycznej i postanowiłem po jego ukończeniu porzucić medycynę. A zatem moje trzy miesiące praktyki w Beth Israel miały mi dać to wszystko z zakresu interny, czego mogłem się jeszcze nauczyć. Musiałem jak najlepiej spożytkować ten czas.

Postanowiłem dowiedzieć się czegoś o uczuciach pacjentów dotkniętych tą chorobą. Bo chociaż lekarze byli znudzeni zawałami mięśnia sercowego, pacjenci z całą pewnością nie uważali swoich przypadków za nudne. Byli to przeważnie mężczyźni w wieku czterdziestu, pięćdziesięciu lat i znaczenie tej choroby było dla nich jasne: starzeją się. Była dla nich przypomnieniem o ich nieuchronnej śmiertelności i mieli odmienić swoje życie: rodzaj pracy, sposób odżywiania, a nawet sposób uprawiania stosunków seksualnych. Byłem więc bardzo zainteresowany tymi pacjentami. Ale jak się do nich zbliżyć?

Nieco wcześniej czytałem o doświadczeniach pewnego szwajcarskiego lekarza, który w latach trzydziestych objął posadę w Alpach, bo pozwalało mu to uprawiać narciarstwo, będące jego wielką namiętnością. Oczywiście skończyło się na tym, że ów lekarz musiał ratować ludzi poszkodowanych w wypadkach narciarskich. Ponieważ sam był narciarzem, interesowała go przyczyna tych wypadków. Wypytywał pacjentów, dlaczego im się przydarzył ów wypadek, spodziewając się, że usłyszy wyjaśnienie, iż skręcili zbyt gwałtownie albo wpadli na kupę kamieni czy coś w tym rodzaju. Tymczasem ku jego zdumieniu wszyscy podawali psychiczne przyczyny wypadku. Byli czymś zaniepokojeni, coś odciągnęło ich uwagę i tak dalej. Lekarz dowiedział się zatem, że proste pytanie: „Dlaczego zламаłeś nogę?” - wywołuje ciekawe odpowiedzi.

Postanowiłem to wypróbować. Chodziłem od pacjenta do pacjenta i pytałem:

- Dlaczego miał pan atak serca?

Z medycznego punktu widzenia to pytanie nie było tak bezsensowne, jak mogłoby się wydawać. Podczas wojny w Korei sekcje zwłok młodych ludzi wykazały, że amerykański sposób odżywiania prowadzi do zaawansowanej arteriosklerozy już u siedemnastolatków. Trzeba było uznać, że wszyscy nasi pacjenci żyli od młodzieńczych lat z poważnie zatkanyimi tętnicami. Zawał serca mógł się zdarzyć w każdej chwili. Dlaczego więc czekali na niego przez dwadzieścia czy trzydzieści lat? Dlaczego wydarzył się w tym roku, a nie w następnym? W tym tygodniu, a nie w ubiegłym?

Ale moje pytanie: „Dlaczego miał pan zawał serca?” - zakładało, że pacjenci mieli jakiś wybór

w tej sprawie, że w jakiś sposób panowali nad swoim schorzeniem. Obawiałem się, że mogę ich rozzłościć. Zacząłem więc od najłagodniejszego pacjenta na oddziale, czterdziestolatka po lekkim zawale.

- Dlaczego miał pan ten zawał?

- Naprawdę chce pan wiedzieć?

- Tak, naprawdę.

- Dostałem awans. Moja firma chciała przenieść mnie do Cincinnati. Ale żona nie chciała ze mną jechać. Ma całą rodzinę w Bostonie. Dlatego.

Wyznał mi to całkiem po prostu, bez śladu gniewu. Zachęcony, zwróciłem się do innych pacjentów.

- Moja żona mówi o rozwodzie.

- Córnka chce wyjść za mąż za Murzyna.

- Syn chce studiować prawo.

- Nie dostałem podwyżki.

- Żona chce mieć jeszcze jedno dziecko, a ja sędzę, że nie możemy sobie na to pozwolić.

Nikt się na mnie nie gniewał, że zadaję takie pytanie. Przeciwnie, przeważnie kiwali głowami i mówili: „Wie pan, sam myślałem o tym, że...” I nikt nigdy nawet nie wspomniał o standardowych medycznych przyczynach arteriosklerozy, takich jak palenie, niewłaściwa dieta czy brak ruchu na świeżym powietrzu.

Wahałem się jednak z wyciąganiem wniosków. Wiedziałem, że wszyscy pacjenci, jeśli są ciężko chorzy, mają skłonność do dokonywania przeglądu swego życia i do wyrokowania, dlaczego im się to zdarzyło. Niekiedy ich wyjaśnienia wydawały się całkiem chybione. Spotkałem pacjentkę chorą na raka, która upatrywała przyczynę swojej choroby w łakomstwie, bo przez całe lata objadała się ciastkami z kremem, oraz pacjenta chorego na artretyzm, za który obwiniał swoją teściową.

Z drugiej strony istnieje jednak pewne przeświadczenie o związkach zachodzących między stanem psychicznym pacjenta a jego chorobą. Wskazywałoby na to występowanie określonych dolegliwości w określonym czasie. Na przykład, tradycyjnym sezonem pojawiania się wrzodów dwunastnicy jest połowa stycznia, zaraz po świętach Bożego Narodzenia. Nikt nie wie, dlaczego tak jest, ale wydaje się, że pewnie wchodzi tu w grę czynnik psychiczny.

Niektóre choroby kojarzą się z pewnymi typami osobowości. Na przykład znaczny procent pacjentów z owrzodzeniem jelit wykazuje niezwykle rozdrażnienie. Ponieważ jednak niełatwo żyć z tą chorobą, wielu lekarzy uważa, że to ona jest przyczyną nieustannej irytacji. Ale wielu podejrzewa, że jest odwrotnie, że to typ osobowości powoduje chorobę. Albo przynajmniej że to, czego skutkiem jest schorzenie jelit, zależy także od charakteru chorego.

Po trzecie, istnieje pewna niewielka grupa chorób fizycznych, które można skutecznie leczyć psychoterapią. Kurczaki, wole oraz schorzenia przytarczycza dają się usunąć zarówno chirurgicznie, jak przez kurację psychoterapeutyczną, co by wskazywało na to, że mają czysto psychiczne przyczyny.

I w końcu, każdy z nas wie, że drobniejsze przypadłości - zaziębienia, bóle gardła - przytrafiają się nam w okresach napięć, kiedy czujemy się ogólnie osłabieni. Wskazuje to na fakt, że odporność organizmu na infekcje zależy od naszego psychicznego samopoczucia.

Wszystkie te informacje niezmiernie mnie interesowały, ale w latach sześćdziesiątych w Bostonie uchodziły za błańostki. Ciekawe, tak. Warte odnotowania, tak. Ale nic takiego, co należałoby poddać poważnym badaniom. Medycyna podążała w zupełnie innym kierunku.

Przeglądałem teraz te dane zebrane od pacjentów po zawale serca i dostrzegłem, że z ich wyjaśnień wyraźnie wynika, że ich choroba jest czymś w rodzaju fizycznego oddziaływania przeżyć na cały organizm. Ci pacjenci opowiadali mi o wydarzeniach, które złamały ich serca w sensie metaforycznym. Opowiadali mi swoje historie miłosne. Smutne historie, od których bolały serca. Żony, rodziny, szefowie źle ich traktowali. Godzili w ich serca.

A wkrótce potem te serca zostawały dosłownie zaatakowane. I doznawali fizycznego bólu. A ten ból, ten zawał miał wymusić zmiany w ich życiu i w życiu ich otoczenia. Byli to mężczyźni w średnim wieku, i wszyscy przechodzili transformacje, o których dała im znać ich choroba.

To wszystko stawało się aż nadto przejrzyste.

Poszedłem z tym w końcu do Hermana Gardnera. Doktor Gardner był lekarzem naczelnym szpitala i niezwykle, głęboko myślącym człowiekiem. W tym okresie asystował codziennie przy naszych obchodach. Powiedziałem mu, że rozmawiałem z pacjentami i powtórzyłem mu ich wyznania.

Słuchał mnie uważnie.

- Tak - powiedział. - Wie pan, przyjęto mnie kiedyś do szpitala, bo wypadł mi dysk. Leżąc w łóżku, zacząłem się zastanawiać nad tym, dlaczego mi się to zdarzyło. I przypomniałem sobie, że dostałem do oceny rozprawę naukową pewnego mojego kolegi, którą musiałem odrzucić, a bardzo nie chciałem brać tego na siebie. Aby to odłożyć, dałem się wysunąć mojemu dyskowi. Pomyślałem wtedy, że to niezłe wyjaśnienie tego, co mi się przytrafiło.

Oto sam lekarz naczelny donosi mi o tego rodzaju doświadczeniu. I tu otworzyły się różne możliwości. Czy czynniki psychiczne mają większe znaczenie, niż im przyznajemy? Czy nawet może tak być, że czynniki psychiczne są najważniejszymi przyczynami chorób? Jeżeli tak, to jak daleko możemy się posunąć w tym kierunku? Czy możemy uznać zawał mięśnia sercowego za skutek schorzenia mózgu? Jakże zmieniłaby się medycyna, gdybyśmy uznali, że ci wszyscy ludzie przejawiają za pośrednictwem swoich ciał swoje przeżycia duchowe.

Ponieważ obecnie leczymy ich fizyczne ciała, działamy tak, jakby chore były serca, a mózg nie miał z tym nic wspólnego. Leczymy serce. Czyżbyśmy leczyli niewłaściwy narząd?

Takie pomyłki nie są czymś nieznanym. Na przykład pewni pacjenci z ciężkimi bólami brzucha właściwie cierpią na jaskrę, chorobę oczu. Operacje brzucha nic nie dawały, ale gdy uleczono im oczy, bóle brzucha ustawały.

Jednak dalsze rozszerzenie tej koncepcji rodziłoby myśl mogącą wprawić w popłoch. Myśl o konieczności nowego pojmowania medycyny, o całkiem nowym spojrzeniu na pacjenta i chorobę.

Weźmy najprostszy przykład: wszyscy wierzymy jako w rzecz oczywistą w teorię zarazków roznoszących chorobę. Wysunął ją sto lat temu Pasteur i przetrwała próbę czasu. Istnieją zarazki - mikroorganizmy, wirusy, bakterie - które dostają się do naszych ciał i powodują zakaźne choroby. Tak to działa.

Wszyscy wiemy, że czasami łatwiej nam się zarazić, czasem trudniej, ale podstawowej zasady przyczyny i skutku - zarazki powodują chorobę - nikt nie kwestionował. Jednak myśl, że zarazki są stałym składnikiem naszego otoczenia, a zarażenie się nimi wynika z naszego stanu psychicznego, jest stwierdzeniem zupełnie nowym.

Jeśli zatem przyjmujemy taką koncepcję chorób zakaźnych, jak daleko możemy posunąć się dalej? Czy stan psychiczny wywołuje raka? Powoduje zawał serca? Jest przyczyną artretyzmu? A co z chorobami wieku starczego? Czy stan psychiczny jest powodem choroby Alzheimera? A dzieci?

Czy to stan psychiczny wywołuje białaczkę u niemowląt? A co z wrodzonymi ułomnościami? Czy to stan psychiczny powoduje mongolizm? A jeżeli tak, to czyj stan psychiczny - matki czy dziecka? A może obojga?

Przy dalszym zgłębianiu tej myśli dochodzi się nieprzyjemnie blisko do średniowiecznych pojęć, że kobieta, która będąc w ciąży przeżyła ciężkie przerażenie, rodzi zdeformowane dziecko. Przy wszelkich rozważaniach na temat stanu psychicznego automatycznie pojawia się myśl o winie. Jeśli samemu spowodowało się swoją chorobę, czyż nie ponosi się za nią winy? Medycyna w swoim rozwoju dołożyła wiele starań, by oderwać od choroby pojęcie kary za grzechy. Tylko parę chorób, takich jak alkoholizm i narkomania, wciąż łączy się z pojęciem winy.

A zatem pomysł, że to procesy mentalne powodują choroby, ma także swoje wsteczne aspekty. Nic dziwnego, że lekarze wzbraniają się pójść tą drogą. Ja sam się z niej wycofałem na wiele lat.

Według doktora Gardnera ważne są oba aspekty, psychiczny i fizyczny. Nawet jeśli uważamy, że zawał serca miał podłoże psychiczne, to skoro został uszkodzony mięsień sercowy, należy go leczyć jako chorobę fizyczną. A więc postępowanie lekarskie w tym przypadku jest metodą właściwą.

Nie byłem o tym całkiem przekonany. Bo skoro się uważa, że jakiś proces mentalny spowodował uszkodzenie mięśnia sercowego, to czy inny proces mentalny nie mógłby go naprawić? Czy nie powinniśmy skłaniać pacjentów, by do zwalczania choroby używali zasobów swoich sił wewnętrznych? Ale nie robimy tego. Wręcz przeciwnie: stale powtarzamy ludziom, żeby leżeli spokojnie, niczym się nie przejmowali i zdali się na nas, a my zajmujemy się ich kuracją. Umacniamy w nich poczucie, że są bezradni i słabi, sami nic nie mogą zrobić i mają bardzo na siebie uważać, nawet kiedy idą do łazienki, bo najmniejszy wysiłek i - bach! - mogą umrzeć.

Nie wydawało mi się, żeby takie zalecenia, udzielane przez kogoś obdarzanego zaufaniem przez pacjenta, dobrze działały na jego podświadome procesy mentalne. Wydawało się, że takie nasze zachowanie może tylko opóźnić kurację. Ale z drugiej strony niektórzy pacjenci, którzy nie słuchali lekarzy i z powodu poruszenia w kiszkach raptem wyskakiwali z łóżek, nagle umierali. Kto chciałby wziąć na siebie za to odpowiedzialność?

Minęło wiele lat i dawno już porzuciłem medycynę, kiedy zdobyłem sobie pewien pogląd na chorobę, pogląd, który wydaje się mi rozsądny. Oto on:

Sami sprowadzamy na siebie choroby. Jesteśmy bezpośrednio odpowiedzialni za każdą chorobę, jaka na nas spada.

Niekiedy rozumiemy to doskonale. Nie powinniśmy robić szaleńczych wyskoków i się zaziębiać. W przypadku cięższych przypadłości, które na nas spadają, ich mechanizm nie jest dla nas tak jasny. Ale niezależnie od tego, czy dostrzegamy ten mechanizm, czy nie, czy w ogóle istnieje taki mechanizm, czy nie istnieje, zdrowiej jest wziąć odpowiedzialność za swoje życie i za wszystko, co się w nim dzieje.

Oczywiście na nic się nie zda obwinać siebie o własną chorobę. To jest całkiem pewne. (Rzadko na coś się przydaje obwinianie kogokolwiek o cokolwiek). Ale nie znaczy to także, byśmy się mieli wyrzec wszelkiej odpowiedzialności. Nie jest zdrowo wyrzec się odpowiedzialności za swoje życie.

Innymi słowy, jeżeli mamy do wyboru powiedzieć; „Jestem chory, ale nic na to nie mogłem poradzić”, czy też: „Jestem chory, bo sam ściągnąłem na siebie tę chorobę”, to lepiej jest myśleć i zachowywać się tak, jakbyśmy sami ją na siebie sprowadzili.

A to z jednego powodu. Jeżeli bierzemy odpowiedzialność za pewną sytuację, możemy także nad nią zapanować. Jesteśmy mniej wylęknieni i zachowujemy się rozsądniej. Umiemy lepiej skupić się na tym, co możemy zrobić, by poprawić swój stan i wspomóc leczenie.

Postrzegamy wówczas we właściwych proporcjach prawdziwą rolę lekarza. Lekarz nie jest cudotwórcą, który może nas uratować magicznymi zaklęciami, ale doświadczonym doradcą, który pomaga nam w dochodzeniu do zdrowia. Wyjdzie nam na dobre, jeżeli będziemy pamiętali o tym rozróżnieniu.

Kiedy jestem chory, idę do mojego lekarza, jak każdy człowiek. Lekarz ma skuteczne narzędzia, którymi może mi pomóc. Ale te narzędzia mogą także mi zaszkodzić, uczynić mi krzywdę. Muszę zdecydować. To moje życie i to ja ponoszę za nie odpowiedzialność.

## *Lekarze W, X, Y oraz Z*

Pan Erwin, lat pięćdziesiąt dwa, został przyjęty do szpitala z powodu zaciemnienia odkrytego w jego płucach przy rutynowym prześwietleniu u prywatnego lekarza. W szpitalu powtórzono badanie. Nie było wątpliwości, że ma zaciemnienie w górnej części lewego płatu.

Powiedziano panu Erwinowi, że powinien się poddać operacji, i zgodził się na to. Ale kiedy przyszło do podpisania formularza, poprosił o czas do namysłu. Następnego dnia znów zalecono mu operację i znowu się zgodził, ale wycofał się w ostatnim momencie. I tak minął tydzień.

Pan Erwin nigdy nie pytał, co takiego ma w płucach, co wymaga interwencji chirurga. W ogóle o nic nigdy nie pytał. I nikt nie był szczególnie chętny, by mu powiedzieć. Pod pewnym względem obraz rentgenowski był nienormalny: wyglądało na to, że to guz, ale nie w swojej klasycznej postaci. Pan Erwin był ogromnie zdenerwowany i lekarze postanowili poczekać, aż się zdecyduje na operację.

Z drugiej strony tydzień to tydzień; trudno uzasadnić zajmowanie przez taki czas kosztownego łóżka. Ale lekarze nie chcieli wypisać pana Erwina, bo wiedzieli, że gdy wyjdzie ze szpitala, nie podejmie już żadnych dalszych kroków w celu ratowania zdrowia. Tak więc nastąpił impas. Pan Erwin nadal nie pytał o operację i nadal nikt mu o niej nie mówił.

Wreszcie pod koniec tygodnia pojawił się u nas z wizytą doktor W, chirurg z pobliskiego szpitala. Doktor W, były sportowiec, wielki mężczyzna o huczącym głosie, głęboko wierzył w zbawczą moc chirurgii. Zespół lekarski zapoznał go z przypadkiem opornego pana Erwina. Doktor W był zgorszony, że szpital tak się pieści z tym człowiekiem, i zażądał natychmiastowego z nim spotkania.

Wszedł do jego pokoju i powiedział:

- Panie Erwin, jestem doktor W. Ma pan raka i ja go panu usunę.

Pan Erwin wybuchnął płaczem i zgodził się na operację.

Następnego dnia przeprowadzono zabieg chirurgiczny. Usunięto mu ziarnistą narośl. Wewnątrz tej narośli znaleziono jakąś włóknistą substancję, którą patolodzy zidentyfikowali jako kawałeczek wołowiny. Pan Erwin musiał widocznie zakrzusić się kiedyś w czasie jedzenia. Kęs utkwiał w płucach i obrósł tkanką ochronną.

Kiedy pan Erwin obudził się z narkozy, uradowany personel szpitalny podzielił się z nim dobrą nowiną. Ale pacjent wciąż był ponury. Wciąż często popłakiwał. Po paru dniach oświadczył, że wie, iż się go okłamuje, wie, że ma raka. Doktor W mu to powiedział. Miejscowi lekarze zapewniali go, że doktor W się pomylił, że nie ma żadnego raka. Pokazywali mu wyniki badań patologa. Pozwolili mu obejrzeć jego kartę szpitalną. Pan Erwin im nie wierzył.

Dwa dni później wdrapał się na wąskie okno swojego pokoju i wyskoczył. Zginął na miejscu.

Doktor X przeprowadził operację nogi pewnej trzydziestosiedmioletniej kobiety. Miał jej podwiązać żyłę udową. Natychmiast po operacji kobieta zaczęła się skarżyć na ostry ból w nodze, która posiniała, była zimna i z zanikającym tętnem. Dwadzieścia cztery godziny po zabiegu stan

chorej się nie poprawił i zdano sobie sprawę, że doktor X się pomylił i zamiast żyły udowej podwiązał tętnicę. Kobiecie trzeba było amputować nogę aż do biodra.

Doktor X był starym Żydem, zbiegiem z nazistowskich Niemiec. Było wiadomo, że popełniał błędy już przedtem i że odebrano mu prawo wykonywania operacji w podmiejskim szpitalu. Ciekawe było, czy zostanie pozbawiony tego prawa także w tym przypadku.

Zainteresowały mnie tu dwie sprawy. Pierwsza, że kobiety w ogóle nie powiadomiono o stanie rzeczy. W owych czasach, jeszcze przed zalewem oskarżeń o błędy lekarskie, tej tak ciężko poszkodowanej przez lekarza znanego ze swoich zaniedbań kobiecie, inni lekarze nic nie powiedzieli. Nie przygotowano jej, względnie jeszcze młodej, matki dwojga dzieci, do zmian w jej życiu po amputacji nogi.

Drugą sprawą był fakt, że stało się przedmiotem dyskusji, czy doktor X ma utracić prawo do przeprowadzania zabiegów chirurgicznych, jak gdyby mogły być co do tego najmniejsze wątpliwości. (Istotnie szpital nie pozbawił go tego prawa całkowicie. Nie wolno mu było tylko operować samodzielnie).

Doktor Y omawiał sprawę pewnego komiwojażera, którego przyjęto do szpitala, by mu zoperować pęcherzyk żółciowy. Człowiek ten był zdeklarowanym alkoholikiem i obawiano się, że w czasie pobytu w szpitalu popadnie w delirium tremens, co skomplikowałoby kurację, a nawet mogło go zabić. Postanowiono, że pozwoli mu się w szpitalu na piwo; dostawał co dzień skrzynkę piwa od odwiedzających go kumpli.

Spytałem doktora Y, czy nie niepokoi go fakt, że jego alkoholiczny pacjent jest także komiwojazerem. Kiedy rana pooperacyjna się zagoi, powróci zapewne do swoich podróży, prowadząc wóz po pijanemu. Czy szpital, wiedząc, że ten człowiek jest alkoholikiem, nie ponosi żadnej odpowiedzialności za niego, jego pracowników czy za całą zbiorowość kierowców?

- Ach, to trudna sprawa - powiedział doktor Y. - Badałem na przykład ostatnio z ramienia firmy ubezpieczeniowej pewnego pilota z linii pasażerskich, który był chronicznym alkoholikiem.

- No i co pan w tym przypadku zrobił? - spytałem.

Doktor Y wzruszył ramionami.

- Wydałem mu certyfikat - powiedział. - A co miałem zrobić? Nie mogłem mu odebrać środków do życia.

Doktor Z był siedemdziesięcioośmioletnim lekarzem, którego przyjęto do szpitala w stanie bliskim śpiączki i w końcowym stadium niewydolności serca i nerek. Jego syn także był lekarzem, ale nie w naszym szpitalu, więc jak każdy inny krewny mógł odwiedzać ojca, lecz nie miał nic do powiedzenia w jego sprawie. Oświadczył jednak, że życzy sobie, żeby ojciec umierał w spokoju.

Staruszek był w krytycznym stanie niemal przez tydzień. Pewnej nocy wystąpiło u niego zatrzymanie działalności serca, ale go reanimowano. Nazajutrz przyszedł syn i zapytał, zresztą bez cienia pretensji, po co staruszka przywracano do życia. Nikt mu nie odpowiedział.

Później tego samego dnia doktor Z doznał rozległego zawału serca. Było to w czasie obchodu. Na wieść o tym wszyscy rzucili się do jego pokoju. W jednej chwili otoczyło go grono ubranych w białe kitle stażystów i lekarzy, zajmujących się gorliwie starcem i wtykających mu igły w ciało.

Pośród tego wszystkiego doktor Z doszedł jakoś do przytomności, usiadł na łóżku i wykrzyknął głośno i wyraźnie:

- Nie zgadzam się na to leczenie! Nie zgadzam się na to leczenie!

Lekarze popchnęli go, by się położył. Zastosowano mu wszystkie zabiegi. Zwróciłem się do lekarza asystującego z zapytaniem, jak to jest możliwe. Ten człowiek jest przecież lekarzem i niewątpliwie umiera; umrze jeśli nie dziś, to jutro. Dlaczego personel szpitalny sprzeciwia się jego życzeniu i życzeniu jego rodziny? Dlaczego nie pozwala mu umrzeć?

Nie było na to żadnej sensownej odpowiedzi.

Doktor Z umarł wreszcie w czasie weekendu, kiedy mało kto z obsady lekarskiej pozostał na dyżurze.



## *Rozstanie z medycyną*

Tuż na pierwszym roku, wkrótce potem, kiedy przeciąłem piłką chirurgiczną ludzką głowę, postanowiłem porzucić medyczne studia. Poszedłem do naszego dziekana, doktora Lorenzo, i oznajmiłem mu, że chcę odejść, że medycyna to nie dla mnie.

- No dobrze - powiedział. - Niech pan pójdzie do Toma Cormana. Jeżeli po spotkaniu z nim będzie pan tego samego zdania, może pan odejść.

W owym czasie w Wyższej Szkole Medycznej Uniwersytetu Harvarda obowiązywał przepis, że nim się ją porzuciło, należało porozmawiać z psychoanalitykiem. Doktor Corman był psychoanalitykiem. Wielu studentów dobrze go znało. Chodzili do niego na rozmowy.

Doktor Corman był drobnej postury, ale energiczny i bezpośredni.

- Co pan ma za kłopoty?

- Chcę porzucić studia medyczne.

- Dlaczego?

- Bo ich nie cierpię.

- A zatem?

To mnie speszyło. Wyjaśniłem mu, że jestem na uczelni już od trzech miesięcy. Spróbowałem i wcale mi się to nie podoba. Po prostu tego nie lubię. Nie lubię tego, czego mam się uczyć, nie lubię swoich kolegów. Nic mi się w tym wszystkim nie podoba.

- A zatem?

Poprosiłem, żeby mi wyjaśnił, czego ode mnie oczekuje.

- Dlaczego się pan zapisał do szkoły medycznej? - zapytał.

- Chciałem być lekarzem.

- Co to znaczy?

- Chcę pomagać ludziom.

- Az iloma pacjentami pan się dotąd spotkał?

- Z żadnym.

- A więc nie robi pan tego, po co pan tu przyszedł. Przyszedł pan tu, żeby pomagać ludziom, a zamiast tego siedzi pan cały dzień na wykładach. Prawda?

- Prawda.

- Mogę zrozumieć, że pan tego nie znosi. Większość pańskich kolegów też tego nie cierpi. To nic nie znaczy.

Pomyślałem, że jednak coś znaczy. Znaczy, że tego nie znoszę.

- Pierwsze dwa lata uczelni medycznej nie dają nawet pojęcia o tym, co to jest być lekarzem, którym chce pan zostać... Sądzę, że powinien pan poczekać do następnego roku, kiedy zacznie pan spotykać się z pacjentami, odbywając praktyki w szpitalu.

Odpowiedziałem mu, że za długo musiałbym czekać. Chcę odejść zaraz.

- No dobrze - odpowiedział. - Ale niech pan weźmie pod uwagę stosunki na uczelni. Nie radzę porzucać wydziału w środku roku akademickiego. To nie będzie dobrze widziane, jeśli zechce się

pan dostać na jakiś inny wydział. Lepiej będzie, jeśli pan ukończy ten rok, a potem odejdzie.

To do mnie przemówiło. Więc w końcu doktor Corman wyperswadował mi natychmiastowe porzucenie studiów. A po pierwszym roku już byłem bardziej przekonany do medycyny. Pomyślałem sobie, że spróbuję przetrwać jeszcze drugi rok.

Drugi rok był jeszcze gorszy. Znow poszedłem do doktora Cormana.

- Chcę porzucić medycynę.
- Wciąż się panu nie podoba?
- Nie znoszę jej.
- Czego pan nie znosi?
- Wykładów.

I istotnie tak było. Jak na tak sławną uczelnię medyczną jakość nauczania była wręcz haniebna. Tak kiepska, że studenci się właśnie zbuntowali i domagali się prawa do delegowania jednego studenta na każdy wykład, by go nagrał na taśmę, a potem rozdał te nagrania innym. Władze uczelniane się wzbraniały, ale studenci się uparli i w końcu wygrali.

Kiedy wysłucha się jednego czy drugiego wykładu, w którym trudno się doszukać jakiegoś logicznego sensu, a potem musi się szperać po podręcznikach, żeby wyjaśnić sobie to, czego prelegent zapomniał wyjaśnić, łatwo dojść do wniosku, jak nędzne jest takie nauczanie.

Prowadziłem cykl wykładów w Cambridge i mam niejakie doświadczenie w przygotowywaniu i wygłaszaniu takich wystąpień. Wiedziałem, ile czasu zajmuje - w moim przypadku dziesięć do dwudziestu godzin - przygotowanie się do wykładu. Wiedziałem, jak to jest, kiedy człowiek jest dobrze przygotowany, kiedy jest przygotowany byle jak, a kiedy tylko pływa się po powierzchni tematu.

Wykładowcy na Harvardzie przeważnie pływali. Jeden czy drugi gość stawał przed nami z garścią notatek z zeszłorocznych wykładów w ręku notatek z nagryzmlonymi na marginesach paroma zmianami tekstu - i zaczynał mówić. Fakt, że było paru wspaniałych wykładowców, jak Don Fawcett czy Bernard Davis, tylko uwydatniał nieudolność reszty.

- Czy spotyka się już pan z pacjentami?
- Tak. - Już zaczęliśmy wstępne zajęcia w szpitalu.
- No i jak?
- To lubię.

- No dobrze, ale wykłady, których pan nie lubi, skończą się za kilka miesięcy, a potem będzie pan miał do czynienia z pacjentami. Czy słusznie by było, żeby miał pan odchodzić teraz?

Wyperswadował mi ten pomysł.

Wkrótce upłynął drugi rok. Byłem na trzecim roku i odbywałem pełnoetatowy staż w kolejnych specjalnościach, właściwie mieszkając w szpitalu. Wtedy sądziłem, że chcę zosiać albo chirurgiem, albo psychiatrą. Ale kiedy odbywałem mój trzymiesięczny staż na chirurgii, poczułem się zdumiewająco znudzony. Podobał mi się pragmatyzm chirurgów, podobała mi się ich aktywna postawa wobec świata, lubiłem chwile napięcia towarzyszącego ich pracy i lubiłem mówić ludziom, co mają robić. Wszystko to mnie pociągało. Ale zauważyłem, że chirurdzy są zainteresowani każdym przypadkiem, a ja nie. Dla dobrego chirurga każdy woreczek żółciowy stanowi coś ciekawego. Jeśli chodzi o mnie, uważałem, że kiedy widziało się jeden woreczek żółciowy, widziało się już wszystkie.

Zacząłem więc podejrzewać, że chirurgia nie jest moim przeznaczeniem.

Pozostawała psychiatria, ale miałem przecież pewne kłopotliwe doświadczenie z pacjentką: okazałem się nieudolny jako terapeuta. A co gorsze, kiedy pracowałem w klinice, stykając się z tyloma pacjentami, z iloma tylko mogłem, zacząłem uważać, że psychiatria ma nader ograniczone pole działania. Nie sądziłem, by naprawdę mogła ludziom pomóc. Widywałem ciężko chorych, umieszczonych w zamkniętym zakładzie, z poważnymi zaburzeniami umysłowymi, dla których psychiatria nie mogła chyba dużo zrobić, a już z pewnością doprowadzić do wyleczenia. Z drugiej strony wiele było dobrze sytuowanych osób, które nie wydawały mi się chore, ale raczej zbyt łatwo folgujące swoim zachciankom. Psychiatria wydawała się im czymś niby podanie pomocnej dłoni, co nie budziło mojego zachwyty. I wcale nie byłem pewien, czy to jest także dobre dla nich.

A zatem rozczarowałem się zarówno do chirurgii, jak i psychiatrii.

Znów zgłosiłem się do doktora Cormana.

- Przecież jeszcze nie odbył pan stażu na wszystkich oddziałach - powiedział. - Skąd może pan wiedzieć, że się panu nie spodoba pediatria, ortopedia albo interna?

- Jestem całkiem pewien, że nie.

- Zaszedł pan już dosyć daleko. Czy nie powinien pan jednak doprowadzić sprawę do końca?

Znów mi wyperswadował, bym został.

Kiedy doszedłem do wniosku, że nie pociąga mnie żadna dziedzina medycyny, miałem już za sobą trzy i pół roku z czteroletniego programu studiów. A zatem naprawdę nie było sensu teraz odchodzić.

Wróciłem do doktora Cormana i powiedziałem, że mam zamiar zdobyć dyplom, a potem rozstać się z medycyną. Westchnął.

- Sądziłem, że w końcu pan odejdzie - powiedział. - Ma pan zbyt bujną wyobraźnię.

Miał rację. Utrzymywałem się na uczelni z pisania sensacyjnych i niesamowitych powieści i miałem wybijałą wyobraźnię. Często słuchałem wyznań pacjentów, myśląc, jak mógłbym tego użyć w książce. A czasem, kiedy słyszałem o objawach chorób, myślałem: „To niewątpliwie anemia, ale czy mógłbym wymyślić jakąś nową chorobę, która by miała takie same objawy?”

Kiedy człowiek udaje się do lekarza, to oczywiście nie życzy sobie, by ten dostrzegał w nim rozdział książki, czy wyjaśnienia jego przypadku anemii wymyślał jakieś fikcyjne choroby. To było dla mnie całkiem jasne. Zrozumiałem, że nie zachowuję się jak lekarz, do którego sam bym chciał się zwrócić o poradę. Pomyślałem więc, że powinienem porzucić medycynę.

Miałem także i inne problemy. Po prostu nie zgadzałem się w znacznej części z taką medycyną, jaką wówczas uprawiano. Nie zgadzałem się na to, że aborcja na życzenie jest nielegalna. Nie zgadzałem się na to, że pacjenci nie mają żadnych praw i muszą siedzieć cicho, i wykonywać to wszystko, co nakazują im lekarze. Nie zgadzałem się z tym, że jeśli zabieg łączy się z jakimś ryzykiem, pacjent ma o tym nie wiedzieć. Sprzeciwiałem się temu, by zmuszać do poddania się kuracji ludzi śmiertelnie chorych nawet wtedy, kiedy chcą spokojnie umrzeć. Nie zgadzałem się z tym, że jeśli przydarzył się błąd, lekarze powinni to ukrywać przed pacjentem.

Prócz tego szerokiego zakresu wykroczeń przeciw etyce, budził mój sprzeciw także tak popularny w owym czasie sposób myślenia nowych lekarzy-naukowców. Nie potrafiłem traktować człowieka jako worka reakcji biochemicznych, które z jakiegoś powodu przebiegają nie tak, jak powinny. Uważałem, że ludzie są skomplikowanymi istotami, które niekiedy dają znać o swoich problemach

zaburzeniami biochemicznymi. I sądziłem, że mądrzej jest przede wszystkim zająć się człowiekiem, a dopiero potem jego biochemią. Choć wiele się mówiło o kuracjach zgodnych z tym moim poglądem, w praktyce nikt nic nie robił prócz wyrównywania poziomu enzymów. Wciąż spotykałem pacjentów, którzy całe tygodnie leżeli w szpitalu i mieli oczywiste problemy, ale nikt nie zauważał tych problemów, bo nie wykazywały ich analizy laboratoryjne. Kazało to podejrzewać, że lekarze nie patrzą na swoich pacjentów jak na ludzkie istoty.

Owa moda na lekarzy-naukowców wyhodowała na uczelni pewien typ studenta, z którym miałem niewiele wspólnego. Moi koledzy skłonni byli uważać sztuki plastyczne, literaturę i muzykę za mało ważną rozrywkę. Mieli sprawy kultury w takiej samej intelektualnej pogardzie, z jaką fizyk odnosi się do astrologii. Wszystko poza medycyną było dla nich czystą stratą czasu.

W owym czasie wybudowano w Harvardzie nową bibliotekę medyczną. Pewnego dnia pojawił się w niej pewien blady, eterycznie wyglądający mężczyzna i rozglądał się po niej. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to Louis Kahn, jeden z moich idoli. Mocno podniecony oznajmiłem przy lunchu:

- Louis Kahn był dziś u nas w bibliotece.

- Kto?

- Louis Kahn.

Głębokie zastanowienie.

- Czy to nowy profesor medycyny?

- Nie. Architekt.

- Ach tak?

I rozmowa potoczyła się dalej na inny temat.

Louis Kahn był nie tylko sławnym architektem. Po wzniesieniu przez niego kilka lat temu budynku na Uniwersytecie Pensylwanii był niewątpliwie najbardziej uznanym na świecie architektem obiektów medycznych. Na Harvardzie wybudowano w owym czasie wiele pomieszczeń szpitalnych i wiele się mówiło o ich wadach i zaletach. Jak można było sensownie o tym dyskutować, jeśli się nigdy nie słyszało o Louisie Kahnem?

Ten szczególnie ukierunkowany sposób myślenia prowadził do dziwacznych wyczynów lekarskich. Słyszałem kiedyś, jak zespół lekarzy układa plan zabiegów chirurgicznych dla pewnego biznesmena w średnim wieku. Wszyscy byli zgodni, że najlepszą metodą leczenia jego schorzeń jelitowych będzie dokonanie na nim pięciu oddzielnych operacji. Pierwsza miała oczyścić mu kiszki. Podczas drugiej miano wyciąć mu otwór w żołądku, żeby mógł się wypróżniać do worka. Trzecia miała dokonać czegoś jeszcze innego. W czwartej miano zaszyć otwór w żołądku i podłączyć go do jelit. Piąta znów miała coś tam załatwić. Wziąwszy wszystko razem, facet miał wyjść ze szpitala całkiem odnowiony, po dziewięciu miesiącach.

Innym wyjściem była procedura dwustopniowa, która zajęłaby tylko trzy tygodnie i nie wymagałaby tworzenia sztucznego odbytu, ale była wyraźnie mniej skuteczna od kuracji pięciostopniowej.

Wyraziłem przypuszczenie, że ów człowiek może się sprzeciwić pięciu operacjom. Słuchali moich wątpliwości ze zdumieniem. Dlaczegoż by miał się nie zgodzić?

Powiedziałem, że może nie zechce spędzić dziewięciu miesięcy życia w szpitalu, poddając się raz za razem operacjom. Przypomniałem, że człowiek interesu może się troszczyć o inne sprawy poza

swoim zdrowiem. Martwi się o rodzinę, o swoje dochody, o pozycję w firmie. Dziewięciomiesięczne oderwanie od codziennego życia może mu przysporzyć mnóstwo trudności.

Dodałem także, że życie z workiem na odchody wiąże się z poważnym zakłóceniem funkcjonowania organizmu i nikt łatwo się na to nie zgodzi, choćby tylko na jakiś czas.

Nie, nie, powiedzieli. My mu to wszystko wytłumaczymy, na pewno się zgodzi na pięciostopniową kurację.

Oczywiście się na nią nie zgodził. Chciał możliwie najkrótszej kuracji i uznał ich starannie opracowany plan za idiotyzm. Z obrzydzeniem odniósł się do pomysłu przytwierdzenia mu worka na odchody. Lekarze potrząsali głowami. Co można począć z takim, który nie dba o swoje zdrowie?

Fakt, że pacjenci są złożonymi ludzkimi istotami z bogatym życiem poza szpitalem, nigdy nawet nie zaświtał w ich świadomości. Ponieważ sami nie mieli żadnego życia poza szpitalem, uznawali, że nie ma go także nikt inny. Nie brak im było wiedzy medycznej, ale nie rozumieli prostych ludzkich uczuć.

Nie zachęcała mnie także do naśladowania postawa lekarzy oddanych bardziej praktyce niż teorii. Jako ludzie byli mi bliżsi niż tamci, często mieli szerokie zainteresowania, których brakowało młodszym rocznikom adeptów sztuki medycznej. Ale i oni nie byli zbyt zadowoleni ze swojej pracy. Nawet jeśli kochali medycynę - a przeważnie ją kochali - nieraz przestawali lubić swój tryb życia. W owych czasach, kiedy praktyki grupowe należały do rzadkości i lekarz był zdany sam na siebie w bezpośrednich stosunkach z pacjentem, praktyka niosła ze sobą tyle napięć, że po dziesięciu latach lekarz był kompletnie wykończony. Ci ludzie mieli rodziny, których prawie nie znali, łódzie, na których nigdy nie żeglowali, podróże, których nie odbyli, odwołując je przeważnie w ostatniej chwili. Wydawało się, że pacjenci odebrali im wszystko z życia. I niewiele dali w zamian.

Przyznawałem, że życie lekarza jest niewątpliwie poświęcone niesieniu pomocy ludziom, ale praktykujący lekarze nie byli tego pewni. Widywali wielu pacjentów, którym na pozór nic nie dolegało. Widzieli śmiertelnie chorych, których nie potrafili uleczyć. I raz po raz powtarzali: „Nie jestem pewien, czy naprawdę pomagam ludziom”.

Najpierw przypisywałem takie wyznania chwilowemu zmęczeniu czy panującej modzie na samokrytycyzm. Ale w końcu zacząłem im wierzyć. Mówili to poważnie. Wielu z nich tak właśnie czuło.

Oczywiście chciałem zerwać z medycyną, by zostać kim innym. Chciałem być pisarzem.

Od najwcześniejszych lat było to marzenie mego życia. Sięgało wstecz do czasów, kiedy ledwie nauczyłem się czytać i pisać. Gdy miałem dziewięć lat i byłem w trzeciej klasie, kazano nam napisać sztukę dla teatru kukielkowego. Większość uczniów napisała króciutką scenkę, a ja dziewięciostronicowy utwór, w którym występowało tyle postaci, że musiałem prosić ojca, by mi go przepisał w wielu egzemplarzach, żeby można było wystawić sztukę. Ojciec powiedział, że czegoś równie oklepanego nie czytał nigdy w życiu (co zapewne było prawdą); zraniło mnie to i stało się zarzewiem wieloletniego konfliktu między nami. Ale to właśnie ojciec niewątpliwie się przyczynił do mojego zainteresowania pisaniem. Był urodzonym gawędziarzem. Zawsze go prosiliśmy, już leżąc w łóżku, by na dobranoc opowiedział nam jakąś historyjkę, którą od ręki ilustrował małymi rysunczkami, póki nie zapadliśmy w sen.

Mój ojciec był dziennikarzem i redaktorem. Przy obiedzie często rozmawiało się u nas o pisaniu

i o poprawności języka, przy czym często, jeśli dochodziło do sporów, zaglądaliśmy po poradę do praktycznego słownika współczesnej angielszczyzny. Wiele jego redaktorskich uwag zapamiętałem do dzisiaj. („Uważaj z używaniem słowa »oczywiście«. Jeżeli coś jest naprawdę oczywiste, nie ma potrzeby o tym mówić, a jeżeli oczywiście nie jest, to bzdurą jest mówić, że jest”).

Ojciec przywiązywał wagę do jasności i zwięzłości wypowiedzi i potrafił być ostrym krytykiem. Ale robił to z humorem. Wśród dziennikarzy krąży wiele dowcipów i każdego wieczoru, kiedy wracał do domu, przynosił ze sobą jakiś kawał, często nie całkiem stosowny dla naszych uszu. Kiedy je powtarzał ku uciesze dzieciarni, matka mawiała:

- Uważaj, John.

Ojciec uważał umiejętność pisania na maszynie za coś niezbędnego w życiu i wszystkie dzieci wcześniej ją opanowały. Nauczyłem się pisać na maszynie, kiedy miałem dwanaście lat. I na pewno nie jest to sprawą przypadku, że z czwórki dzieci trójka zajmuje się wydawaniem książek, a czwarte ich pisaniem.

W każdym razie już w dzieciństwie wiele pisałem. Mając trzynaście lat zacząłem wysyłać swoje opowiadania do tygodników, a w wieku lat czternastu sprzedałem swoją relację z podróży w „The New York Timesie”. A było to tak: pojechaliśmy w lecie całą rodziną na wycieczkę do Arizony i zwiedziliśmy tam park narodowy, Sunset Crater.

Uznałem to miejsce za zachwycające, ale że nikogo innego prócz nas nie było tam tego dnia, podejrzewałem, że turyści je omijają, nie zdając sobie sprawy z tego, jak jest ciekawe.

- Dlaczego o tym nie napiszesz? - spytała matka.

- Dla jakiego pisma?

- Dla „The New York Timesa” - powiedziała. - Publikuje relacje z podróży różnych ludzi. -

Mama systematycznie gromadziła wycinki prasowe.

- Dla „The New York Timesa”? - powiedziałem. - Przecież jestem jeszcze dzieckiem.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć.

Spojrzałem na ojca.

- Zbierz wszystkie drukowane informacje, jakie mają w zarządzie - powiedział - i przeprowadź wywiad z nadzorcą parku.

Rodzina czekała na mnie na upale, a ja przeprowadzałem wywiad z nadzorcą, gorączkowo myśląc, o co mam go pytać. Ale dodawał mi otuchy fakt, że rodzice uważają, że potrafię to zrobić, choć mam tylko trzynaście lat.

Kiedy znaleźliśmy się znów w samochodzie, jadąc do następnego miejsca, ojciec zapytał:

- Ilu zwiedzających mają każdego roku?

- Nie zapytałem o to.

- Czy park jest otwarty przez cały rok?

- O to także nie zapytałem - Jak się nazywa ten nadzorca?

- Nie zapytałem.

- O Jezu! - powiedział ojciec. - A jakie publikowane materiały zebrałeś?

Pokazałem mu ulotki i broszury.

- No dobrze. To wystarczy. Na tej podstawie możesz coś napisać.

Po powrocie do domu napisałem artykuł i wysłałem go, a „Times” kupił mój reportaż i wydrukował. Byłem w siódmym niebie. Jestem prawdziwym pisarzem! Po latach dowiedziałem się, że redaktor działu podróźniczego Paul Friedlander mieszkał obok nas, a jego córka Becky była moją

szkolną koleżanką, więc pewnie wiedział, kto napisał ten artykuł, i uznał, że będzie zabawne go opublikować. Ale wówczas sądziłem, że udało mi się dostać na łamy prasy, że zrobiłem coś tak, jakbym był już dorosły, i dodało mi to niezwyklej zachęty do pisania. A ponadto zapłacono mi sześćdziesiąt dolarów, co na owe czasy było kupą forsy dla dzieciaka.

Zacząłem uprawiać inne rodzaje dziennikarstwa. Pisałem sprawozdania ze studenckich imprez sportowych dla miejscowej gazety. Byłem zarówno reporterem, jak i fotografem, i otrzymywałem za to dziesięć dolarów tygodniowo. A jeszcze w szkole pisywałem do harwardzkiego „Crimson”, gdzie występowałem jako krytyk literacki (darmowe książki), a niekiedy jako recenzent filmowy (darmowe bilety do kina). Pisywałem też sprawozdania sportowe do „Alumni Bulletin”, za co płacono mi sto dolarów miesięcznie.

Mając zatem za sobą taką pisarską przeszłość, naturalnie zamierzałem zarabiać piórem na pokrycie kosztów moich studiów medycznych. Ojciec płacił już za studia pozostałej trójki dzieci i nie mógł pokryć kosztów mojej uczelni. Musiałem jakoś na nią zarobić.

Najwyraźniej nie mogłem wyjść na swoje, pisząc dorywczo artykuły, więc postanowiłem napisać powieść. W owym czasie wielką popularnością cieszyły się szpiegowskie powieści o Jamesie Bondzie. Wiele z nich przeczytałem i postanowiłem zabrać się do tego gatunku powieści.

Ożeniłem się wtedy, a mój teść znał kogoś w wydawnictwie Doubleday. Posłałem tam moją pierwszą powieść. Odpowiedzieli, że jej nie wydrukują, ale że może ją opublikuje Signet. Signet kupił ją ode mnie i zadzwonił z zapytaniem, kto jest moim agentem, z kim mają przeprowadzić pertraktacje co do warunków umowy.

Nie miałem agenta, ale mój teść załatwił, że poznałem paru. Spotkałem się z trzema. Pierwszy reprezentował wielu sławnych autorów i onieśmiał mnie. Drugi mnie pouczał, jak mam pisać, co mnie mocno zirytowało. Trzecim agentem okazała się młoda dziewczyna, dotąd sekretarka pewnego agenta, która teraz próbowała działalności na własną rękę. Oświadczyła, że chce zostać moją agentką. Ponieważ była jedyną osobą deklarującą, że chce reprezentować moje interesy, wydało mi się słuszne, by to właśnie z nią podpisać umowę. I podpisałem.

Przez następne trzy lata studiów medycznych, by mieć czym opłacać rachunki, pisywałem dreszczowce. Nie miałem, oczywiście, zbyt wiele czasu na pisanie, robiłem to w czasie weekendów i podczas wakacji. A nabrawszy wprawy, tworzyłem te dreszczowce bardzo szybko. W końcu pisałem jedną powieść w dziewięć dni. Ale ta praca nie dawała mi wielkiego zadowolenia. Wykonywałem ją tylko po to, żeby mieć z czego opłacić chesne.

Potem powoli, niemal niedostrzegalnie, pisanie zaczęło się stawać dla mnie czymś znacznie bardziej interesującym niż medycyna. A ponieważ odnosiłem coraz więcej sukcesów, konflikt między pisarstwem a medycyną wciąż się zaostrzał.

Napisałem pod pseudonimem książkę zatytułowaną *Wyższa konieczność*. Znalazły się w niej słabo zamaskowane aluzje do pewnych osób w Wyższej Szkole Medycznej Uniwersytetu Harvarda. Po ukazaniu się książki wiele się mówiło o jej autorze, Jefferym Hudsonie, który tyle wie o Harvardzie. Przyłączałem się do tych rozmów. Kim może być ten Hudson?

To było zabawne. Potem książka została nominowana do nagrody Edgara za Największą Tajemnicę Roku. To także było zabawne. Niestety książka wygrała, a to znaczyło, że ktoś musi odebrać nagrodę.

Nagle wszystko przestało być zabawne.

Wiedziałem, że jeżeli ktoś się dowie, że to ja napisałem tę książkę, popadnę w ciężkie tarapaty. Na Harvardzie podczas praktyki klinicznej otrzymywało się stopnie na podstawie nieformalnej opinii ludzi, z którymi się pracowało. Gdyby ci ludzie się dowiedzieli, że piszę książki, moje oceny sięgnęłyby dna.

Pojechałem do Nowego Jorku i z drżeniem serca odebrałem nagrodę. Niepotrzebnie się martwiłem. Sprawa nie była zbyt rozreklamowana, a od złych następstw tego wydarzenia ochroniła mnie postawa lekarzy-naukowców, którzy uznawali literaturę za stratę czasu. Nikt się o tym nie dowiedział.

A wtedy kłopotliwa książka została zakupiona do filmu i wytwórnia filmowa wezwała mnie, bym przyjechał do Hollywood na rozmowę z autorem scenariusza. Odpowiedziałem im, że nie mogę przyjechać. Jestem studentem medycyny. Prosimi, bym przyjechał na weekend. Bardzo przy tym obstawali. Musiałem pójść do kierownika personalnego, by dostać zwolnienie na piątek. Doktor Gardner był bardzo sympatycznym człowiekiem. Zapytałem go, czy mogę mieć wolny najbliższy piątek.

- Jakaś śmierć w rodzinie? - zapytał.

Była to najczęstsza wymówka, jaką zwykliśmy się posługiwać. Na trzecim roku każdy z nas miał babkę i dziadka, którzy umarli już trzy - albo czterokrotnie.

- Nie.

- Ktoś zachorował? - zapytał.

- Nie.

Przełknąłem z trudem ślinę i powiedziałem mu prawdę: że to ja napisałem książkę i że kupiono ją do filmu, a teraz ludzie z Hollywood chcą, żebym do nich przyjechał i porozmawiał z autorem scenariusza, i potrzebny mi jest do tego wolny piątek. Ale może się nie martwić. Na pewno wrócę do pracy w poniedziałek.

Dziwnie na mnie popatrzył. Cóż to za idiotyczna wymówka! Dlaczego po prostu nie powiedziałem, że mi umarła babcia, tak jak to robią inni?

Ale rzekł tylko:

- Dobrze.

Pojechałem więc do Hollywood, rozbijałem się eleganckimi limuzynami, i jadłem obiad ze sławnymi osobistościami, a potem wróciłem i poszedłem znów do szpitala. Zerwała się spoistość mojego życia, wytworzyła się w nim szpara, która z czasem miała się dalej rozszerzać.

Podjąłem decyzję, by skończyć z medycyną latem po trzecim roku. Wówczas studenci medycyny ubiegają się o staż w szpitalu. Ja się nie ubiegałem. Oznaczało to, że po absolutorium zrywam z tym wszystkim.

Parę tygodni po podjęciu takiego postanowienia poczułem drętwienie prawej ręki. Po kilku dniach to odrętwienie rozszerzyło się na całe ramię i bark. Pomyślałem sobie, że może spałem na tym ramieniu i przygmiotłem sobie jakiś nerw. Zbyt mi to nie dokuczało i nie zwracałem na to większej uwagi.

Miałem dobre powody, by się tym nie przejmować. Podczas praktyki szpitalnej w różnych specjalnościach stwierdzałem u siebie objawy każdej choroby, o której się właśnie uczyłem.

I tak, będąc na dermatologii, byłem przekonany, że powiększają się mi pieprzyki na skórze.



Każdego wieczora po powrocie do domu oglądałem w ręcznym lusterku plecy, gdzie, byłem tego pewien, wyskoczył mi jak kropla potu czerniak.

Będąc na chirurgii, miałem krwawe stolce charakterystyczne dla wrzodu grożącego krwotokiem, co wymaga bezzwłocznej operacji - chociaż jeden z lekarzy powiedział mi wzgardliwie, że po prostu mam hemoroidy i że wita mnie w klubie.

Będąc na urologii, odczuwałem ból przy oddawaniu moczu i codziennie oddawałem jego próbkę do analizy, bo byłem pewien, że są w nim jakieś mikroorganizmy, których obecności nigdy nie stwierdzono.

Za każdym razem, kiedy kończyła się praktyka w kolejnej specjalności, wszystkie objawy danej choroby tajemniczo znikwały - ustępowały miejsca nowym, związanym z dziedziną następnej praktyki. Więc choćby te objawy wydawały się mi nie wiadomo jak wymowne, po roku nauczyłem się nie wpadać w panikę. I już z całą pewnością nie zamierzałem wpadać w panikę z powodu czegoś tak osobliwego jak drętwienie prawej ręki. Postanowiłem nie myśleć o tym. Nawet nie sprawdziłem w podręczniku, czego to może być symptomem.

Potem pewnego dnia, siedząc w kawiarni, sięgnąłem do kieszeni po drobne i stwierdziłem, że nie umiem ich rozróżnić dotykiem palców. Musiałem wszystkie monety wyłożyć na dłoń i obejrzeć, która jest która. Już wiedziałem, jak to się nazywa: astereognozja.

Wiedziałem też, że to z pewnością coś nienormalnego.

Wciąż starałem się nie zwracać uwagi na te symptomy. Przez następne dwa tygodnie nic szczególnego się nie wydarzyło, ale odrętwienie nie ustępowało. Pewnego dnia zapytałem kolegę, który był świetnym diagnostą:

- Co może być przyczyną drętwienia prawego ramienia?

Pomyślał przez chwilę i potrząsnął głową.

- Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to guz na rdzeniu kręgowym i stwardnienie rozsiane.

Pomyślałem: Co on może wiedzieć? Jest przecież tylko studentem medycyny. Nadal nic nie robiłem. Czekałem, że to minie. Nie mijało. Coraz bardziej się martwiłem o moją rękę i w końcu zajrzałem do podręcznika, żeby sprawdzić objaw guza na rdzeniu kręgowym i stwardnienia rozsianego.

Natychmiast rozpoznałem, że guz jest wysoce nieprawdopodobny. Jeżeli coś jest ze mną nie w porządku, to chyba mam stwardnienie rozsiane.

Stwardnienie rozsiane, postępujące zwyrodnienie układu nerwowego, coraz częściej dotyka młodych ludzi. To zakłócenie samoobrony organizmu, który atakuje własne włókna nerwowe jako ciała obce. Rozwija się w bardzo różny sposób. Nie jest znana jego przyczyna, nie ma skutecznych metod kuracji. Choroba jest nieuleczalna.

Jak się dowiedziałem z moich lektur, początki stwardnienia rozsianego mogą się przejawiać na niemal wszelkie sposoby. Fakt, że moje odrętwienie jednej tylko kończyny było bezbolesne i nie spowodowane żadnym poprzednim jej uszkodzeniem, mógł rodzić poważne podejrzenia. Ale nie można zdiagnozować stwardnienia rozsianego na podstawie tylko jednego zespołu symptomów. Trzeba długotrwałej obserwacji ataków neurologicznych i ich ustępowania, by potwierdzić diagnozę.

Przestałem szperać po literaturze. Przeszedłem do odbywania praktyki w następnej dziedzinie i miałem nadzieję, że odrętwienie zniknie. Nie znikło. Moje ramię wciąż było drętwie. Trwało to już teraz niemal od dwóch miesięcy.

Pewnego dnia w październiku, pochylając się nad łóżkiem pacjenta, poczułem mrowienie wzdłuż

nóg, jakby ukłucia prądu elektrycznego. Z moich lektur wiedziałem, co to jest: sygnał Lhermitte'a. Parestezja przy zgięciu szyi, i Sygnał Lhermitte'a jest znakiem rozpoznawczym stwardnienia rozsianego. Jestem na nie chory.

Znów rzuciłem się do szperania w książkach. Dla człowieka w wieku dwudziestu sześciu lat ta wiadomość nie była zbyt krzepiąca. Stwardnienie rozsiane może przebiegać rozmaicie, ale według statystyk mogłem oczekiwać w ciągu najbliższych pięciu lat zasadniczego pogorszenia mojego stanu, poważnych upośledzeń, które mi przeszkodzą w pracy; za dziesięć, piętnaście lat ciężkiego niedowładu, łącznie z utratą kontroli nad pęcherzem i jelitami, a za dwadzieścia lat śmierci.

Byłem przerażony. Ze zgrozą myślałem, że zostanę przykuty do łóżka, będę się załatwiał pod siebie i będę powoli tracił władze umysłowe. Ale przypomniałem sobie, że jeszcze nie byłem u lekarza, jeszcze nikt nie postawił mi diagnozy.

W końcu nie mogłem już dłużej znosić samotnie mojego lęku. Internista w ośrodku zdrowia wysłuchał mojej historii, zbadał mnie, a potem skierował do neurologa. Powiedziałem, że zgłoszę się do niego.

- Nie - rzekł. - Sam do niego zadzwonię. Może będzie mógł od razu pana przyjąć.

Neurolog przyjął mnie tego samego dnia. Był młody i energiczny. Spociałem się jak mysz w czasie badania. Potem kazał mi się ubrać i przejść do swego pokoju.

Ubrałem się i przeszedłem do jego pokoju.

- No - powiedział rześkim tonem - miał pan charakterystyczny objaw.

- Czy to znaczy, że mam to, czy nie mam? - zapytałem. Nie mogłem się zmusić do wymówienia tego słowa.

- Ma pan na myśli stwardnienie rozsiane?

- Uhm - potwierdziłem.

- No - powiedział - miał pan jeden jedyny taki atak. Prawda?

Poczułem, że zalewa mnie potężna fala, zwała mnie z nóg i wtrąca w wodne odmęty. Poczułem w gabinecie tego człowieka, siedząc na krześle naprzeciwko biurka, że tonę.

Neurolog zaczął mówić bardzo szybko:

- Ale niech mi pan da powiedzieć, co o tym należy myśleć. Zakładam, że naczytał się pan na ten temat.

- Tak.

- Wszystkie te książki kłamią. Niech pan mnie posłucha i zapomni o tej lekturze.

Z pewnością próbuje mnie pocieszyć, pomyślałem.

- Książki są oparte na przestarzałych i nieścisłych danych. Powiem panu, jak należy spojrzeć na tę chorobę, a raczej na ten syndrom, bo to jest raczej syndrom, a nie choroba.

Mówił głośno i szybko, zdając sobie sprawę, że mam rozproszoną uwagę i w panice wycofałem się w głąb siebie. Powiedział, że znaczny procent ludzi ma niekiedy w swoim życiu doznania podobne do moich. Większość z nich nie zgłasza się z tym do lekarza, a lekarze nie mają nawet pojęcia, jak powszechne są takie odosobnione epizodyczne doznania. Ale on sam sądzi, że jest to zjawisko bardzo powszechne, że dotyczy niemal dziewięćdziesięciu procent ludzi. Powiedział mi, że wielu moich kolegów studentów ma podobne pojedyncze przypadłości, ale tylko u jednego przydarzyło się ich więcej.

W moim przypadku rodzi się pytanie, czy w ogóle będę miał dalsze ataki, czy też będą mi się zdarzać od czasu do czasu, a ja będę doznawać pewnych zakłóceń w funkcjonowaniu, czy też będą

się często powtarzać i stwarzać mi poważne trudności w życiu.

- Niech pan to potraktuje podobnie jak szmery w sercu - powiedział. Jest to ostrzeżenie przed możliwością pojawienia się poważnego problemu, ale nie można z góry określić, czy takie szmery będą występowały przez całe życie, czy będą bardzo dokuczliwe i czy mogą doprowadzić do śmierci. Pozostaje tylko obserwować i czekać.

- Jak długo muszę czekać, żeby się dowiedzieć, co ze mną będzie? zapytałem.

- Dwa do pięciu lat. Jeżeli przez następne dwa lata nie wystąpią żadne dalsze objawy, będzie pan mógł się nieco uspokoić. A jeżeli nie będzie ich pan miał przez następne pięć lat, to może pan zapomnieć o całej sprawie.

Potem rozmawiał ze mną o tym, co mam robić. W zasadzie nic. Przyczyna stwardnienia rozsianego nie jest znana. Istnieją pewne skuteczne metody łagodzenia jego skutków, ale samo schorzenie jest nieuleczalne. Skoro więc nic nie mogę zrobić, powinienem zadbać o ogólny stan zdrowia, unikać stresów i zmartwień i starać się o tym nie myśleć.

Neurolog był tak otwarty, tak rzeczowy, że mogłem wprost z jego gabinetu wrócić do pracy. Mimo złych wieści trzymałem się dobrze.

Dwa dni potem wezwał mnie internista. Powiadomił mnie, że dostał opinię neurologa. Spytał mnie, jak się czuję, a ja się nagle rozplakałem. Wstyd mi było, że płaczę w jego gabinecie, ale nie mogłem się powstrzymać. Internista powiedział, że chciałby uzyskać jeszcze jedną opinię, i wysłał mnie do doktora Dereka Denny-Browna, najslawniejszego naonczas neurologa na Harvardzie. Słuchałem jego wykładów. Nie byłem zbyt uszczęśliwiony, że teraz mam się z nim spotkać jako pacjent.

Powiedział mi to samo. Tak, zapewne to jest taka wstępna dolegliwość. Tak, będę musiał poczekać, żeby sprawdzić, jak to będzie w moim przypadku. Tak, to jest okres dwóch do pięciu lat oczekiwania. Tak, jestem chory. Tak.

Kompletnie się załamałem. Nie mogłem wrócić na oddział. Zrobiłem sobie kilka dni wagarów. Wciąż popłakiwałem. Byłem przerażony i przybity, i wściekły. Właśnie obchodziłem swoje dwudzieste szóste urodziny. Właśnie zacząłem odnosić pierwsze sukcesy jako autor. Właśnie miałem porzucić medycynę i zacząć karierę pisarską, a tu... coś takiego. Ta przeraźliwa wizja.

Każdego ranka budziłem się pełen napięcia, sprawdzając, czy nie ośleplę, czy nie zdrętwiała mi jakaś inna część ciała, czy nie jestem sparaliżowany. I miałem tak czekać całe lata, nim zdobędę pewność. A ja nie mogłem znieść oczekiwania przez tydzień. Jakżeż mogę czekać przez dwa do pięciu lat? Takie napięcie było nie do zniesienia.

Ale skoro nic w tej sprawie nie mogłem zrobić, musiałem w końcu wrócić do pracy, podjąć jakieś normalne życie.

Mój internista powiedział, że powinienem się zwrócić do psychiatry. Czy kiedyś się spotkałem z doktorem Cormanem?

- Tak - odpowiedziałem. - Dobrze znam doktora Cormana.

Doktor Corman wysłuchał mojej historii, kręcąc nosem.

- Właściwie - rzekł - poza guzem struny rdzeniowej i stwardnieniem rozsianym istnieje jeszcze trzecia możliwość.

- Jaka?

- Histeria konwersyjna.

- Jak to? - wykrztusiłem. Histeria konwersyjna było to stare pojęcie psychiatryczne. Już od

dawna, jeszcze w dziewiętnastym wieku, rozpowszechniły się wśród ludzi - szczególnie wśród kobiet - wszelkiego rodzaju dziwne przypadłości, takie jak omdlenia, utrata wzroku, paraliż, które nie miały żadnej organicznej przyczyny. Te schorzenia zostały uznane za objawy hysterii konwersyjnej, w której pacjent przejawia w fizyczny sposób swoje problemy psychiczne.

Wiedziałem oczywiście, że zdarzają się takie rzeczy. Leczyłem w szpitalu pewną kobietę, która utraciła wzrok na tle histerycznym. Ślepa od czasu do czasu, a potem jej to mijało. Była najwyraźniej pomyłona. Widziałem również przypadek histerycznej ciąży. Ta kobieta miała wszelkie objawy ciąży i nawet doszło u niej do bólów porodowych, choć oczywiście dziecka nie urodziła, bo w ogóle nie była ciężarna.

- To mnie nie dotyczy - powiedziałem - nie jestem histerykiem.

- Doprawdy?

- Oczywiście, że nie jestem - odparłem obrażony. Dorzuciłem, że na histerię cierpią głównie kobiety.

- My widzimy więcej histerycznych mężczyzn - powiedział doktor Corman.

Zwróciłem mu uwagę, że w przypadkach hysterii konwersyjnej pacjentki wykazują charakterystyczną obojętność wobec swoich schorzeń. W ogóle się nimi nie przejmują. Moja pacjentka, która ślepa od czasu do czasu, uskarżała się wprawdzie na to, ale nie była tym tak przygnębiona, jak można się spodziewać. A ja jestem wręcz przybity swoim przypadkiem.

- Naprawdę? - zapytał doktor Corman.

Zaczął już mnie irytować i dałem mu to do zrozumienia.

- Gdybym był na pańskim miejscu - powiedział - wziąłbym pod uwagę fakt, że ze wszystkich możliwych diagnoz histeria konwersyjna jest właściwie najbardziej korzystna.

Nie wierzyłem, że jestem histerykiem. Inni lekarze, którzy się mną później zajmowali, także wspominali o takiej możliwości. I choć odretwienie ręki trwało przez kilka lat, nie miałem żadnych innych objawów chorobowych. Dowiedziałem się, że jest to istotnie dość powszechne, że się ma jakąś odosobnioną neurologiczną przypadłość. Na szczęście nie przydarzyła mi się żadna inna. Nauczyłem się odstukiwać w drewno i dbać o ogólny stan zdrowia.

Dopiero po dziesięciu latach mogłem, patrząc wstecz, zastanowić się, czy moja decyzja porzucenia medycyny była dla mnie aż tak trudna, aż tak bolesna, że aby ją podjąć, potrzebowałem dodatkowego bodźca w postaci ciężkiej choroby - lub przynajmniej możliwości ciężkiej choroby. Gdyż bezpośredni efekt straszliwej diagnozy był pozytywny; zostałem zmuszony do zadania sobie pytania, co chcę zrobić z resztą mojego życia, jak mam ją spędzić.

I stało się dla mnie jasne, że jeśli istotnie mam przed sobą tylko kilka lat niezakłóconej chorobą aktywności, to chcę je spędzić na pisaniu, a nie na uprawianiu medycyny czy czeokolwiek innego, czego oczekiwali ode mnie koledzy, przyjaciele, rodzice i całe społeczeństwo. Choroba pomogła mi stanąć na własnych nogach, dokonać trudnego wyboru.

Zrywając z medycyną, poszedłem za głosem instynktu. Miałem robić to, co naprawdę chciałem robić. Ale większość ludzi uważała, że utraciłem wiele prestiżu. W owych czasach pozycja lekarza była bardzo wysoka. Opinia publiczna lokowała lekarzy tuż po sędziach Sądu Najwyższego. Porzucenie medycyny, by zostać pisarzem, wydawało się większości ludzi równie szokujące jak wiadomość, że ktoś porzucił stanowisko w Sądzie Najwyższym, żeby zostać prostym farmerem. Podziwiano moją stanowczość, ale uważano, że brak mi poczucia rzeczywistości.

Wtedy, podczas ostatniego roku moich studiów, doszło do publicznej wiadomości, że napisałem książkę pod tytułem *Andromeda znaczy śmierci* za duże pieniądze sprzedałem ją do filmu. Z dnia na dzień zostałem uznany za cieszącego się powodzeniem pisarza i to odmieniło wszystko w moim życiu. Stażyści i rezydenci, którzy dotąd mnie nie zauważali, nagle zaczęli się mną interesować. Przedtem jadałem lunch samotnie, teraz nigdy nie byłem sam - każdy chciał usiąść obok mnie. Stałem się znakomitością.

Bardzo mnie raziła jaskrawa nieszczerłość, z jaką mnie traktowano. Nie rozumiałem wówczas, że dla ludzi taka sławna postać jest kimś ze świata wyobraźni; wcale nie chcą wiedzieć, kim naprawdę ten ktoś jest, tak jak dzieciaki w Disneylandzie wcale nie próbują ściągnąć plastikowej głowy z postaci Mickey Mouse, by odsłonić pod nią miejscową kilkunastolatkę. Dzieci chcą oglądać Mickey Mouse. A lekarze w restauracji chcieli oglądać młodego pana doktora Hollywood. I właśnie jego widzieli.

A ja po prostu siedziałem i przyglądałem się temu, jak na mnie patrzą.

Trudności, jakich doświadczyłem dostosowując się do mojej nowej pozycji, były niczym w porównaniu z rodzajem doświadczeń, przez które miałem przejść później. Miałem wiele bolesnych i ciężkich przeżyć, ale, dla równowagi, były także radosne i pobudzające. Często powracam myślą do medycyny i do mojego studenckiego życia. Gdybym nie musiał go odmienić, pozostałbym lekarzem. Rozstanie z medycyną zmusiło mnie do dokonywania wszelkiego rodzaju zmian, których, gdybym przy niej pozostał, nigdy bym nie dokonał.

## **Wędrowki 1971-1986**

## *Seks i śmierć w Los Angeles*

W roku 1971 zamieszkałem w Los Angeles, a moja żona została w La Jolla. Rozstaliśmy się, bo po pięciu latach wspólnego studenckiego życia ona chciała mieć normalną rodzinę, a ja chciałem robić karierę w literaturze i w filmie. Dlatego właśnie wyjechałem do Los Angeles, żeby spróbować pracy z wytwórnią filmową. Los Angeles to dziwne miasto. Nikogo tam nie znałem i przez dłuższy czas czułem się samotny i nieszczęśliwy.

Wprowadziłem się do kamienicy w Zachodnim Hollywood. Było to miejsce znane z tego, że przenoszą się tam ludzie po rozwodzie, gdyż można było wynająć umeblowane mieszkanie tylko na sześć miesięcy. Moje mieszkanie było umeblowane kanapami i fotelami obitymi wytłaczanym zielonym aksamitem, w nieco meksykańskim stylu. Dywan był zielony w żółte cętki. Kuchnię urządzono na żółto. Okna wychodziły na Sunset Strip. To był Hollywood. I już to samo było podniecające.

Popołudniami siadywałem nad basenem. Można tu było zastać zawsze tych samych lokatorów. Był wśród nich pewien gwiazdor piłki nożnej ze swoją przyjaciółką aktorką (wciąż się ze sobą kłócili); pewna modelka, dawna Miss Arizona, która wyglądała niezwykle pięknie w bikini (zawsze była nieśmiała i niepewna siebie); pewien księgowy z przenośnym radiem i wielkim cygarem, który czytał nowojorskie gazety (do nikogo się nie odzywał); była też jakaś kobieta w wieku około trzydziestu lat, ponoć burdelmama (przeplýwała basen tam i z powrotem, a potem czytała „Hollywood Reporter”).

Zawsze sobie wyobrażałem, że mieszkanie w Hollywood jest czymś bardziej atrakcyjnym, niż w istocie było. Piłkarz i jego przyjaciółka stanowili pociągającą parę, ale ponieważ wciąż się ze sobą użerali, trzymałem się od nich z dala. A śliczna Miss Arizona lizała rany po nieszczęśliwym małżeństwie z gwiazdorem rock and rolla, nigdzie nie bywała, siedziała w domu, patrzyła w telewizor i martwiła się o spłatę rat za samochód. Mieszkało tam także kilka gwiazd filmowych, ale zawsze nosiły ciemne okulary i nie wdawały się w rozmowy ze zwykłymi ludźmi.

Później księgowy z cygarem przestał się pokazywać nad basenem. Zapytałem Miss Arizonę, czy się wyprowadził. Pokazała mi wycinek prasowy. Znalaziono go na lotnisku Kennedy'ego w bagażniku cadillaca z kulą w głowie.

Nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać. Pewnego wieczoru przebierałem się właśnie do obiadu, kiedy zastukał do moich drzwi portier sprzed głównego wejścia do budynku.

- Doktor Crichton?

- Tak.

- Chodzi o pannę Jenkins.

- Pannę Jenkins? - nie znałem tego nazwiska.

- Z tego domu. Zna pan pannę Jenkins?

- Chyba nie.

- No tę, co mieszka w tym domu. Pomyślałem sobie, że musiał się pan z nią spotkać.

- No i co z panną Jenkins?

- Spadła z miski klozetowej.

Nie wiedziałem, dlaczego miałbym się tym zainteresować, i powiedziałem mu to.

- Ja myślę, że powinien pan ją obejrzeć.

- Dlaczego?

- Ona spadła z miski klozetowej.

- Czy zrobiła sobie krzywdę?

- To tylko jedno piętro wyżej, na ósmym.

- Ale po co mam ją oglądać?

- Bo ona spadła z miski klozetowej.

Ta rozmowa mogła się ciągnąć w nieskończoność. W końcu zaprowadził mnie na górę i z namaszczeniem otworzył drzwi do pokoju panny Jenkins.

Jej mieszkanie także było utrzymane w meksykańskim stylu i miało meble wyściełane zielonym wyłaczanym aksamitem. Już wiedziałem, kim jest panna Jenkins. Była to kobieta w okularach, około czterdziestki, młodsza z pary lesbijek mieszkających razem w tym domu przynajmniej tak długo jak ja. Panna Jenkins, całkiem ubrana, leżała teraz na wznak na kanapce w dużym pokoju, z ramieniem zwisającym bezwładnie nad podłogą. Była sino blada. Zdawała się nie oddychać. Jej kochanki, drugiej kobiety, nie było.

- Gdzie jest ta druga pani? - zapytałem.

- Wyszła z psem.

- Wyszła z psem? Nie wie, co się stało z panną Jenkins?

- Wie. To ona mi powiedziała.

- Co powiedziała?

- Ze panna Jenkins spadła z miski klozetowej.

Zbadałem szybko pannę Jenkins, stwierdzając nitkowane tętno, płytki przerywany oddech, rozszerzone źrenice, otwartą puszkę piwa i do połowy opróżnioną butelkę z pigułkami nasennymi.

Portier zapytał:

- Czy ona umarła?

- Nie - odpowiedziałem.

- Nie? - zdawał się zdziwiony.

- Nie - powtórzyłem. - Przedawkowała.

- Powiedziano mi, że spadła z miski klozetowej.

- Ale tu idzie o przedawkowanie.

- Czy może pan jej pomóc?

- Nie - odparłem.

- Nie jest pan lekarzem?

- Jestem, ale nic nie mogę zrobić. - I istotnie nie mogłem. Nie miałem licencji na uprawianie zawodu lekarza i popełniłbym poważne wykroczenie, gdybym cokolwiek zrobił w tej sytuacji. - Niech pan wezwie policję - powiedziałem.

- Wezwałem - oświadczył. - Choć wtedy nie byłem pewien, czy umarła.

- Ona nie umarła - stwierdziłem. - Co powiedziała policja?

- Powiedzieli, żeby wezwać straż ogniową.

- To niech pan wezwie straż ogniową.

- Po co mam wzywać straż ogniową? - zapytał.



W końcu ja zadzwoniłem do straży ogniowej, a oni powiedzieli, że przyślą karetkę pogotowia.

Tymczasem wróciła współlokatorka panny Jenkins z ujadającym pekińczykiem na smyczy.

- Co pan robi w moim mieszkaniu? - spytała podejrzliwie.

- Ten pan jest lekarzem - powiedział portier.

- To dlaczego jej pan nie pomoże?

- Wzięła za dużą dawkę lekarstwa - oświadczyłem.

- Nie. Spadła z miski klozetowej - powiedziała współlokatorka. Była to wysoka szczupła kobieta około pięćdziesiątki, o siwiejących włosach i surowym obejściu. Wyglądała jak nauczycielka.

- Czy pani wie, co zażyła? - zapytałem.

- Czy pan jest naprawdę lekarzem? Wygląda pan za młodo na lekarza stwierdziła.

Tymczasem pekińczyk podskakiwał koło nieprzytomnej kobiety, lizał ją po twarzy i warczał na mnie. Jego łapki zostawiły brudne ślady na bluzce panny Jenkins. Robił dużo zamętu.

Współlokatorka wzięła do ręki puszkę po piwie i zwróciła się do mnie:

- Pan wypił to piwo?

- Nie - odparłem.

- Na pewno? - Była bardzo podejrzliwa.

- Dopiero co tu wszedłem.

Zwróciła się do portiera:

- Czy to pan je wypił?

- Nie - odpowiedział. - Weszliśmy tu razem.

- Tej puszki tu przedtem nie było - oznajmiła.

- Może panna Jenkins wypila piwo?

Powtórnie zbadałem źrenice panny Jenkins, a wtedy pekińczyk ugryzł mnie w rękę do krwi.

Współlokatorka zobaczyła krew i krzyknęła:

- Co pan zrobił Buffy'emu?!

Chwyciła warczącego psa w ramiona i zaczęła mnie kopać, wrzeszcząc:

- Ty sukinsynu! Ty sukinsynu! Skrzywdziłeś biedne, niewinne stworzenie!

Próbowałem się wywinąć spod jej kopniaków; spojrzałem na portiera.

- Może pan na to coś poradzić?

- Gównu mogę, człowieku - mruknął.

Odezwało się głośnie stukanie w drzwi, ale nikt nie mógł do nich podejść, bo kobieta wciąż mnie kopała i okładała pięściami. Wrzeszczała teraz:

- Obrabowałeś mnie! Obrabowałeś mnie!

Wtedy usłyszeliśmy głos z głośnika:

- Hej tam! Odsuńcie się od drzwi. Wchodzimy!

- Cholera jasna - powiedział portier. - Gliny!

- Co?

- Włamuję się! - rozległ się głos.

- Aha! - krzyknęła współlokatorka. - Wiedziałam! - Otworzyła drzwi na oścież. Za nimi stał strażak w żółtym przeciwogniowym płaszczu, w spiczastym hełmie, z uniesionym w górę bosakiem. Szykował się do rozwalenia drzwi i był chyba rozczarowany, że same się przed nim otwarły.

- Co tu się, u diabła, dzieje?

- Ona spadła z miski klozetowej - powiedziała współlokatorka panny Jenkins.

- Czy już ugasiliście? - zapytał strażak.
- Wychodziłam z psem. Nie wiem, co się stało.
- Tu nie czuć dymu - powiedział strażak podejrzliwie. - Po coście tu się zebrali?
- Ta kobieta przedawkowała narkotyki - wskazałem pannę Jenkins na kanapie.
- Do licha, będzie potrzebna pomoc lekarska - odparł strażak, patrząc na kobietę. Wziął do ręki swój przenośny mikrofon. - Nie ma tu żadnego cholernego pożaru. Kto zgłosił pożar?
- Nikt nie zgłaszał pożaru - powiedziałem.
- Pewne jak cholera, że ktoś zgłaszał - upierał się strażak.
- Ten człowiek nie jest lekarzem - oświadczyła kobieta.
- Kim pan jest? - zapytał strażak.
- Jestem lekarzem.
- Chciałabym zatem wiedzieć, co ten pan robi w moim mieszkaniu powiedziała współlokatorka panny Jenkins.
- Ma pan jakieś dokumenty?
- Wezwałem go - wtrącił się portier - bo on jest lekarzem.
- Nie jest lekarzem.
- Chcę tylko wiedzieć, kto zgłosił pożar. Bo to sprzeczne z prawem.
- Już jesteśmy - sanitariusz z pogotowia pojawił się u drzwi z noszami.
- Możecie jechać - powiedział strażak. - Już tu mamy lekarza.
- Nie, niech pan wejdzie - zatrzymałem sanitariusza.
- Nie chce pan jej udzielić pomocy? - zapytał.
- Nie mam licencji - powiedziałem.
- To nie jest żaden lekarz. Skaleczył Buffy'ego.
- Nie ma pan czego?
- Licencji.
- Ale jest pan lekarzem, prawda?
- Tak.
- Nigdy go przedtem nie widziałam.
- Mieszkam w tym domu.
- I wypił moje piwo.
- Wypił pan jej piwo?
- Nie. Nie piję piwa.
- Myślę, że coś jednak sobie stąd łyknął.
- Ma pani na myśli to piwo?

Tymczasem pielęgniarki krzątały się wokół panny Jenkins, przygotowując ją do zabrania do szpitala. Spytali, jakie leki zażyła, ale jej współlokatorka wciąż powtarzała, że spadła z miski klozetowej. Strażak próbował mnie ostro wy badać, czy naprawdę jestem lekarzem, póki Buffy nie doskoczył do niego, by dotkliwie ugryźć go w rękę.

- Sukinsyn! - krzyknął strażak, chwytając za bosak.
  - Ani mi się waż - warknęła kobieta, tuląc do siebie psa.
- Strażak zabrał tylko swój bosak i skierował się do wyjścia.
- Jejku, jak ja nie cierpię Hollywood - powiedział, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.
- Wyszedłem zaraz za nim.

- Dokąd pan idzie? - zapytał mnie strażak.
- Mam randkę - powiedziałem. - Już jestem spóźniony.
- No tak, w porządku. Tylko niech pan na siebie uważa, do jasnej cholery.

Okazało się, że gospodarz budynku umieścił przy moim nazwisku na liście lokatorów litery MD, ponieważ sądził, że podniesie to prestiż kamienicy. Kiedykolwiek zdarzała się próba samobójstwa, portier zaglądał na listę lokatorów i wzywał lekarza. Byłem tam jedynym lekarzem. Do mnie kierował wszystkie zgłoszenia. Był to wielki budynek. Próby samobójstwa zdarzały się niemal co tydzień.

Kiedy zgłosił się do mnie po raz drugi, powiedziałem mu wyraźnie:

- Nie mam licencji. Nie praktykuję. Nic nie mogę poradzić.
- Czy nie mógłby pan tylko sprawdzić? Jestem całkiem pewien, że on nie żyje.
- Skąd pan wie?
- Wyskoczył z dwunastego piętra. Niech pan tylko sprawdzi, czy on naprawdę nie żyje.
- Dobrze. Gdzie on jest?
- Przed domem.

Zszedłem z nim na dół do holu. Była tam jakaś zapłakana kobieta. Rozpoznałem w niej dziewczynę z Atlanty, która przyjechała do Los Angeles sprzedawać tu kosmetyki, w nadziei że ktoś ją odkryje i zaangażuje do filmu. Zawsze była mocno wymalowana. Teraz szłochiała:

- O, Billy! Billy!...

Nie wiedziałem, że miała przyjaciela. Spojrzałem na portiera.

Pokiwał smutno głową.

- Billy wyskoczył z jej balkonu.

- O Boże!

Wyszliśmy na ulicę.

- Czy wezwał pan policję?

- A powinienem?

- Oczywiście - powiedziałem - skoro się zabił.

Na ulicy nie dostrzegłem ciała. Byłem spięty, przygotowując się na to, co zaraz przyjdzie mi zobaczyć. Wyobrażałem sobie, jakie to będzie straszliwe. Obeszliśmy dom od strony mieszkań. Wtedy portier wskazał mi krzaczki, którymi obsadzony był budynek.

- Billy jest tam.

- Tam?

Przez okropną chwilę pomyślałem, że Billy może jest dzieckiem. Podeszedłem do krzaka i zobaczyłem zwłoki żółtego kota.

- Billy to kot?

- Tak.

- Ściągnął mnie pan tu z powodu kota?

- No pewnie. A co pan myślał?

- Myślałem, że to człowiek.

- Nie, do diabła. Jak wyskakuje człowiek, zawsze wzywamy policję.

## *Psychiatria*

Żona dzwoniła do mnie do Los Angeles niemal co dzień. Uważała, że powinniśmy się znów zejść, aleja nie byłem o tym przekonany.

Namawiała mnie, bym odwiedził psychiatrę. Odmówiłem. Nie sędzę, by psychiatria dobrze robiła ludziom. Za duzo w niej prowadzenia człowieka za rączkę.

Pewnego dnia zadzwoniła, by mi oznajmić, że zdobyła dla mnie nazwisko pewnego psychiatry z Los Angeles. Ten człowiek, doktor Norton, pracował z wieloma pisarzami i artystami. Jest kimś bardzo wybitnym, profesorem na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Powiedziała, że powinienem pójść do niego.

Nie chciałem.

Wtedy powiedziała:

- Pewnie i tak cię nie przyjmie, jest bardzo ważny i zajęty.

Natychmiast poczułem się obrażony. Dlaczego miałby mnie nie przyjąć?

Czy nie jestem interesującą postacią? Czy nie uzna mojego przypadku za ciekawy? Zadzwoniłem bez zwłoki do jego gabinetu i umówiłem się na wizytę.

Arthur Norton zbliżał się do sześćdziesiątki, był opalony i wysportowany. Oświadczył mi, że na ogół nie przyjmuje nowych pacjentów, ale wysłucha, jakie mam kłopoty, a potem skieruje mnie do kogoś innego. Zgodziłem się.

I oto znalazłem się w szczególnej sytuacji. W gruncie rzeczy nie wierzę w psychiatrię. Nie chciałem odwiedzać psychiatry i nie sędzę, by coś było ze mną nie w porządku, ale uznałem za wyzwanie to, by przedstawić się doktorowi Nortonowi w jak najbardziej atrakcyjny sposób. Przez godzinę odsłaniałem przed nim niezwykle aspekty swojej osobowości. Rzuciałem dowcipami. Wyrażałem kontrowersyjne opinie. Naprawdę wyłaziłem ze skóry, by go sobą zainteresować. Zerkałem na niego spod oka, by sprawdzić, jak to działa. Wydawał się usposobiony przychylnie, ale całkiem nieprzenikniony.

Po godzinie powiedział, że sędzi, iż mam pewne życiowe sprawy do rozstrzygnięcia i przez pewien czas będę mógł korzystać ze sposobności porozmawiania o nich. Zaoferował mi siebie jako partnera do takich rozmów.

Aha! Sukces!

Wyszedłem z gabinetu w uniesieniu. Oczarowałem go.

Ale wciąż nie miałem przekonania do psychiatrii. I była kosztowna. Sześćdziesiąt dolarów za godzinę. Wszystko, co tyle kosztuje, jest zbyt dużym dogadaniem sobie. Do psychiatrów chodzą bogate nieroby.

Postanowiłem pilnie baczyć na to, ile mnie kosztują spotkania z doktorem Nortonem, i oceniałem po każdej sesji, czy była warta sześćdziesięciu dolarów.

Uznałem, że doktor Norton jest zastanawiający, bo jest taki normalny. Ja mu mówiłem o sobie, a on rzucał takie zdanka: „Czas pokaże” albo „Nie można zrobić omletu, nie rozbijając jajka”...

Myślałem: sześćdziesiąt dolarów za godzinę, żeby usłyszeć, że nie można zrobić omletu, nie

rozbijając jajka? Co w tym odkrywczego?

Ale lubiłem do niego przychodzić i uzalać się nad moim życiem, i opowiadać, jak to udało mi się znieść wszystkie krzywdy, jakich doznałem. Wkładałem w te skargi wiele twórczej energii, a on zdawał się mi współczuć.

Podczas piątej sesji - wybuliłem już wtedy na to trzysta dolarów - powiedział:

- No, zobaczymy, dokądśmy doszli.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Powiedział mi pan, że jako dziecko nie znajdował pan uznania w oczach rodziców.

- Tak jest.

- Jak dostawał pan na egzaminie dziewięćdziesiąt dziewięć punktów, oni pytali, dlaczego nie sto.

- Tak jest.

- Nigdy pana nie chwalili.

- Tak jest.

- Pomniejszali pańskie osiągnięcia.

- Tak jest.

- A teraz, już jako dorosły, kiedy pisze pan książkę, zawsze się pan obawia, że nie znajdzie uznania, choć dotąd się to chyba jeszcze nie zdarzyło.

- Tak jest.

- I czuje pan, że musi robić to, czego chcą od pana inni; ktoś do pana dzwoni i prosi o wygłoszenie przemówienia, a pan nie potrafi powiedzieć: nie.

- Tak jest. Ludzie nie dają mi spokoju.

- Mówiąc ogólnie, czuje pan, że musi przypodobać się ludziom, bo inaczej nie będą pana lubili.

- Tak jest.

- No dobrze - powiedział. - Kogo mi pan tu opisuje?

Nagle zgłupiałem.

Nie mogłem sobie przypomnieć, o czym mówiliśmy. Miałem kompletną pustkę w głowie. Ogarnęło mnie zawstydzające zamroczenie.

- Nie rozumiem, o co pan mnie pyta - powiedziałem.

- No dobrze - odparł. - Jest pan lekarzem. Gdyby spotkał pan kogoś, kto choćby nie wiadomo jak się starał, nigdy nie otrzymał żadnej pochwały ani poparcia, kto by wiedział, że cokolwiek zrobi, zawsze będzie to za mało, i kto jako dorosły jest bardzo niepewny siebie i łatwo daje się manipulować innym, to jak by pan określił takiego człowieka?

- Nie wiem - powiedziałem.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Widziałem, że doktor Norton do czegoś zmierza, ale nie wiedziałem do czego. Wciąż czułem się zamroczony. Nie mogłem zebrać myśli. Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Oniemiały, oszołomiony, wpatrywałem się w niego. On spokojnie czekał.

Zapadła długa cisza - Przepraszam - powiedziałem. - O co pan mnie pytał?

Doktor Norton próbował parę razy naprowadzić mnie na odpowiedź, ale na próżno. Wreszcie powiedział:

- Czy pan nie opisuje kogoś, komu brak pewności siebie?

Była to oczywista prawda. Nie mogłem temu zaprzeczyć. I już sam fakt, że nie potrafiłem dostrzec, do jakiego stwierdzenia zmierza, był znaczący sam w sobie. Doktor Norton wskazywał mi,

że jestem niepewny siebie, i niewątpliwie miał rację.

Byłem zdumiony. Tak zdumiony, jakby mi pokazał, że mam trzecie ramię wyrastające z piersi, czego nigdy przedtem nie zauważyłem. Jak mogłem tego nie zauważyć? Nigdy nie sądziłem, że brak mi pewności siebie. Zawsze uważałem, że mam ogromny tupet.

Doktor Norton próbował osłabić wrażenie, jakie to na mnie zrobiło, wyjaśniając, że nieraz trudno jest dostrzec wiele rzeczy w sobie bez pomocy z zewnątrz. Na tym polega zadanie terapeuty. On jest obiektywnym obserwatorem.

Była to dla mnie całkiem nowa myśl, że może być we mnie coś, czego nie potrafię dostrzec bez pomocy z zewnątrz. Ale to najwidoczniej prawda.

Już nigdy więcej nie wyliczałem kosztów, jakie poniosłem.

Było dla mnie jasne, że moje małżeństwo się skończyło i że pozostanę jako wolny ptaszek w Los Angeles. Zbliżałem się do trzydziestki, zdobyłem niejaką sławę jako pisarz, miałem swego psychiatrę i porsche targę. Krótko mówiąc, byłem gotów na wszystko, co życie ma mi do zaoferowania.

Ale moja akademicka przeszłość sprawiła, że byłem dość nieporadny, zwłaszcza wobec kobiet; nie znałem się na nich. Wyobrażałem sobie, że mogę zdziałać więcej, niż naprawdę mogłem.

Spotykałem się przez jakiś czas z pewną dziewczyną z agencji literackiej. Ale wkrótce spodobała mi się inna z tej samej agencji. Chciałem się z nią umówić, ale tak, żeby się o tym nie dowiedziała ta pierwsza.

- Jak pan sądzi, czy to się da utrzymać w tajemnicy? - spytałem doktora Nortona.

- Nie - odpowiedział.

- Dlaczego?

- Sadzę, że te dwie dziewczyny, pracujące w tym samym biurze, rozmawiają ze sobą i wkrótce odkryją, że chodzą na randki z tym samym mężczyzną.

- No i co z tego? - spytałem. - Co w tym złego?

- No cóż, obie mogą postanowić, by się z panem więcej nie spotykać.

Nie była to przyjemna perspektywa, Nie podobała mi się myśl, że mając teraz do dyspozycji dwie dziewczyny, mogę się ocknąć bez żadnej.

- O, nie sądzę, by tak się stało - powiedziałem.

Doktor Norton wzruszył ramionami.

- Czas pokaże.

Oczywiście, tak się właśnie stało. Dziewczęta odkryły prawdę i obie były na mnie oburzone za stosowanie takich niecznych sztuczek.

Później zacząłem się interesować swoją sekretarką, uroczą blondyneczką z wielkim biustem. Nigdy przedtem nie spotykałem się z tak piersiastą dziewczyną.

- Chyba się zakochałem w swojej sekretarce - wyznałem doktorowi Nortonowi.

- Niech pan tego nie robi - powiedział.

- Dlaczego? Nie widzę, w czym tu problem.

- To może skomplikować panu nie tylko pracę, ale także życie prywatne. Tak się zazwyczaj zdarza. A przynajmniej dostatecznie często, by można uznać za regułę, że nie jest mądrze romansować z własną sekretarką.

- Może to być regułą dla większości ludzi - oświadczyłem - ale ja sobie z tym poradzę.

- Czas pokaże - powiedział doktor Norton.

Nie upłynęły dwa tygodnie, a moje życie przemieniło się w piekło. Szybko się przekonałem, że urocze piersiaste dziewczę jest nie dla mnie. Ja to wiedziałem i ona także wiedziała. Nagle wszystko w biurze przestało funkcjonować: sprawy leżały niezalutowane, klienci odchodzili obrażeni, wszystkie terminy zostały zawalone. A moja wesoła promienna kalifornijska sekretarka chodziła po biurze ponura jak chmura gradowa. Każde jej słowo i każda uwaga skierowana do mnie były pełne goryczy i pretensji pod moim adresem.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Nie tylko nie udał się nam romans, ale w dodatku musiałem jej wypowiedzieć pracę.

- Co za heca! - powiedziałem do doktora Nortona.

- Szał piekiel jest niczym wobec gniewu urażonej kobiety - odparł.

Teraz pojąłem sedno jego pouczeń. Doktor Norton próbował dać mi do zrozumienia, że pewne prawa obowiązują już od dosyć dawna i życie zapewne nie zrobi dla mnie wyjątku. Trudno mi było to dokładnie pojąć. Wciąż myślałem, że sprawy potoczą się w tym kierunku, w którym zechcę, i wciąż dowiadywałem się, że jestem w błędzie.

Od kilku miesięcy spotykałem się z pewną dziewczyną, która mi się bardzo podobała, kiedy poznałem pewną fascynującą gwiazdę filmową. Nagle zapragnąłem umówić się z nią na spotkanie, ale zdawałem sobie sprawę, że może to być tylko krótka przygoda, która szybko się skończy, a nie chciałem, żeby moja dziewczyna się o tym dowiedziała.

- Jeśli się pan umówi ze sławną gwiazdą filmową, pańska przyjaciółka zaraz się o tym dowie - powiedział doktor Norton.

- W jaki sposób? - zapytałem. - To będzie obiad w ustronnej restauracji.

Okazało się, że o tym obiedzie w ustronnej restauracji doniósł tego samego wieczora plotkarski program telewizyjny. Nie tylko moja dziewczyna, ale cała jej rodzina i wszyscy znajomi mogli się dowiedzieć, jak postąpiłem. Moja przyjaciółka zerwała ze mną i zostałem uznany za nikczemnika.

Poczułem się paskudnie. Jakoś nie mogłem sobie ułożyć życia towarzyskiego. Obwinałem o to mój popęd seksualny.

- Nic na to nie mogę poradzić - powiedziałem doktorowi Nortonowi. Spotykam się z jedną dziewczyną, a potem poznaję inną i jej pragnę. A potem poznaję jeszcze jedną i także jej pragnę.

- Uhm - mruknął, powstrzymując się od komentarza.

- Kiedy to się skończy? - spytałem. - Może kiedy się zestarzeję, może za kilka lat uspokoję się pod względem seksualnym. Wtedy przestanę...

- No cóż - odezwał się. - Ja dobiegam sześćdziesiątki...

Wzruszył ramionami.

- To się nigdy nie kończy? - zapytałem.

Nie wiedziałem, czy ma mnie radować, czy przerażać taka perspektywa.

Doktor Norton był innego zdania co do charakteru moich kłopotów. Sądził chyba, że wpadam w kłopoty, bo nie mówię kobietom prawdy. Uważał, że powinienem oznajmić im wszystkim, że jestem w takim okresie życia, iż mam potrzebę spotykać się z wieloma kobietami, i tyle.

- Wtedy nie będzie się pan musiał z tym ukrywać - dorzucił.

Ale nie mogłem skorzystać z jego rady, bo obawiałem się, że żadna kobieta nie przystanie na to, że się spotykam także z innymi.

Rok później rozwiodłem się i kupiłem dom w Hollywood. Moje życie nieco się ustatkowało.

Udało mi się napisać parę scenariuszy filmowych i zabiegałem u producentów o ich realizację. Bardzo mi się podobało moje obecne życie, coraz bardziej się oddalałem od swojej akademickiej egzystencji, w której tkwiłem przez tyle lat. Wiele spraw w życiu filmowym wprawiało mnie w zakłopotanie. Na przykład to, że wszyscy związani z przemysłem filmowym kłamią. Kłamią cały czas. Mówią, że im się podoba twój scenariusz, a wcale się nie podoba. Mówią, że chcą cię zaangażować, a nie mają najmniejszego zamiaru. Nie mogłem pojąć, dlaczego filmowcy nie mówią po prostu tego, co myślą. To wprowadza tyle zamieszania. Dlaczego wszyscy kłamią?

I obyczaje w życiu filmowym też były inne niż te, do których przywykłem. W rozmowie o pewnym filmie szef studia zapytał:

- A może byśmy obsadzili w tej roli Joego Masona?

- Nie sądzę - powiedziałem.

Za tydzień znów mieliśmy naradę na temat obsady i szef studia zapytał:

- A co z Joem Masonem?

- On nie jest odpowiedni - powiedziałem. - Nigdy go nie lubiłem.

Na następnym spotkaniu szef studia wrócił do tematu:

- A Joe Mason?

Tym razem się wściekłem, bo film ciągle jeszcze nie miał obsady. Wstałem, pochyliłem się nad biurkiem i wykrzyczałem:

- Nie znoszę Joego Masona! Rzygać mi się chce na jego widok! Nie cierpię Joego Masona!

- Spokojnie - powiedział szef studia, podnosząc ręce. - Wystarczy, że nam pan to powie.

Zacząłem się uczyć tego, że zwykły, codzienny sposób porozumiewania się w Hollywood wymaga tego, co w życiu akademickim byłoby uznane za niedopuszczalny wybryk. Tu należało krzyczeć i wrzeszczeć, i obstawać przy swoim, co było wręcz nie do pomyślenia na Harvardzie. Ale w Hollywood najwidoczniej nie słuchano cię, póki nie wrzasnąłeś na nich z góry.

Całe środowisko hollywoodzkie było egzotyczne. Kręciło się tam wielu homoseksualistów i postaci jakby żywcem przeniesionych z desek teatru, narkomanów, zdarzały się tu orgie i działały wszelkiego rodzaju dziwne sprawy. Miało to swoje uroki, ale często czułem się nieswojo.

Zacząłem się wreszcie spotykać z dziewczyną powszechnie uznawaną za uosobienie seksowności. Bardzo mi to pochlebiało, że się pokazuję ze sławnym symbolem seksu, ale nigdy właściwie nie żyliśmy ze sobą. Seks jej nie interesował i nie kąpała się zbyt często, więc jej zapach gasił moje zapachy. Ale była pełna życia i sympatyczna, z przyjemnością spędzałem z nią czas.

Pewnego dnia zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że spóźni się na randkę, bo idzie na spotkanie z wróżką. Nie zdziwiło mnie to. Ludek hollywoodzki tkwił po uszy w tych wszystkich wariactwach, w spirytyzmie, astrologii, w wierze w skuteczność szczególnych diet.

Wszystkich interesowało, spod jakiego znaku zodiaku kto pochodzi. Na pytanie, jaki jest mój znak, odpowiadałem: „Neonu”. Było to czyste szaleństwo.

Przysłała bardzo podekscytowana.

- Musisz się spotkać z tą kobietą, Michael.

- Po co? - spytałem. Nie wierzyłem w żadne wróżki.

- Słuchaj, powiedziała mi o rzeczach, o których nikt nie mógł wiedzieć.

No pewno, no pewno, pomyślałem. One zawsze mówią takie rzeczy.

- Wyobraź sobie - ciągnęła - kiedyś skończyła mi się forsa i musiałam coś zrobić, więc nakręciłam niskobudżetowy film na Filipinach. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.



Istotnie nic nie wiedziałem o tym filmie.

- I kiedy tam byłam, poznałam pewnego lotnika, który zabierał mnie ze sobą, bym się przeleciała jego odrzutowcem.

Tego także nie wiedziałem.

- A ta kobieta medium powiedziała mi o tym wszystkim. A od nikogo nie mogła się o tym dowiedzieć.

Nie zrobiło to na mnie wrażenia.

- Pójdź do niej, a sam się przekonasz.

Nie chciałem iść. To tylko strata czasu i pieniędzy.

Później tego wieczoru opowiadałem jej o filmie pod tytułem *Świat Dzikiego Zachodu*, który chciałem zrobić. Wytwórnia MGM zachowywała się beznadziejnie. Jednego dnia twierdzili, że go nakręcą, a następnego, że skreślili film ze swoich planów. Martwiłem się, jak to się skończy.

- Pójdź do niej i zapytaj, Michael.

I załatwiła mi spotkanie z pierwszym medium, jakie widziałem w życiu.

Kobieta była Angielką w wieku około pięćdziesięciu lat. Wczesnym popołudniem miała na sobie pikowany szlafrok. Mieszkała w małym domku przy San Fernando Valley. W mieszkaniu wszystkie żaluzje były zaciągnięte, panował ponury mrok. Zaprowadziła mnie do pokoju w głębi domu, gdzie na podłodze leżały sztangi, a w kącie stał ćwiczebny rower. W pokoju czuć było talkiem. I tu było mroczno, bo i tu były spuszczone żaluzje. Posadziła mnie na łóżku, a potem usiadła obok mnie i wzięła mnie za rękę.

- Odpręż się, kochasiu.

Przez chwilę milczała. Wciąż trzymała moją rękę.

Postanowiłem, że skoro już zwróciłem się do medium, będę próbował je wspomóc, całkowicie wyjaławiając swój umysł. Siedząc obok niej, starałem się nie myśleć o niczym prócz tego, że mam zachować pustkę w głowie.

- Co ty robisz? - spytała po chwili. - Nie mogę cię odczytać.

- Staram się nie myśleć o niczym.

- Po prostu się rozpręż. Nie staraj się o nic.

- Dobrze - powiedziałem. Więc po prostu przyglądałem się sztangom i rowerowi w kącie.

A wtedy zaczęła mówić.

- Widzę cię w otoczeniu książek. Mnóstwa książek.

Powiedziała, że miałem pewien plan, który zawisł w powietrzu, ale nie powinienem się przedwcześnie martwić. Ten plan doczeka się realizacji pod koniec lutego.

Uznałem, że całkiem mi tu przyjemnie i że nie ma w niej nic niesamowitego, jak mogłem się tego spodziewać. Wyglądała na starszą panią, która czuje pismo nosem i mówi, co wy wachała. Miałem takie wrażenie, jakbym słuchał jej marzeń o mojej przyszłości. Czulem coś w tym rodzaju.

Wiedziałem jednak, że to, co mówi, jest nieprawdą. Był listopad. MGM odłożyło swoją ostateczną decyzję do piętnastego grudnia. Niezależnie od tego, co wytwórnia postanowi, niepodobieństwem było rozpoczęcie produkcji tego filmu, czy to w MGM, czy gdziekolwiek indziej, w lutym. A zatem zdecydowanie się myliła.

I powiedziała, że mam pociąg do mistyki i spirytualizmu. To także nieprawda. Byłem naukowcem. Nie interesowały mnie te bzdury.

I powiedziała, że ja sam jestem medium, co jawnie dowodziło - jeżeli jakikolwiek dowód był tu

potrzeby - że żadne z nas nie jest medium. Boja wiedziałem, że żadnym medium nie jestem.

Rzuciła także kilka uwag o mojej przeszłości i rodzinie, ale nic takiego, co można by uznać za konkretne. Siedząc obok niej, już sobie wyobrażałem, jak to będę ku uciesze moich przyjaciół zdawał im sprawę z tego wydarzenia. Medium? Kobięcina w szlafroku w pokoiku ze sztangami! Co za brednie!

Kilka tygodni później, piętnastego grudnia, wytwórnia MGM skreśliła z planów mój film *Świat Dzikiego Zachodu*. Jeśli o mnie chodzi, był to ostatni gwóźdź do trumny mojej wróżki.

Dwa dni później wytwórnia zmieniła zdanie. Mimo wszystko nakręcą film, jeżeli producent i ja zgodzimy się na niezwykle napięty plan robót. Nie podobał się nam ten plan, ale chcieliśmy nakręcić film, więc wyraziliśmy zgodę.

Produkcja zaczęła się dwudziestego trzeciego lutego następnego roku, więc musiałem przyznać, że co do jednego miała rację. Ale miałem wtedy mnóstwo spraw na głowie. Nareszcie robiłem film!

W sierpniu 1973 roku wracałem samolotem z Chicago, gdzie odbyła się premiera mojego filmu. Wyglądało na to, że odniesie sukces. Producent i ja zmieściliśmy się w niewiarogodnie niskim budżecie i niewiarogodnie napiętym terminie: nakręciliśmy i zmontowaliśmy cały film w sześć miesięcy. Wielu ludzi twierdziło, że to niemożliwe. Szły nawet zakłady o to, że się nam nie uda tego dokonać. Wkrótce posypią się głowy w studiu - ale nie nasze! Teraz, kiedy nagle skończyło się wewnętrzne napięcie, producent i ja wpadliśmy w nastrój niemal histerycznego samozadowolenia. Zrobiliśmy to! Nie tylko dotrzyaliśmy wszystkich terminów, ale wydawało się, że nie przeszkodził nam w osiągnięciu naszego celu nawet niski budżet. Siedząc w samolocie, czuliśmy się dosłownie na szczycie świata.

Nagle oblałem się potem. Moje ubranie nasiąkło nim w ciągu paru sekund. Ogarnęła mnie panika, napad potężnego lęku. Ale dlaczego teraz, w chwili takiego uniesienia? Dopiero po chwili potrafiłem to sobie uzmysłwić.

Przez całe życie dążyłem do wyraźnie określonych celów: będąc w szkole średniej, chciałem dostać się do dobrej uczelni, będąc na uczelni, starałem się dostać na studia medyczne; na studiach medycznych zapragnąłem zostać pisarzem, a będąc pisarzem, dostać się do filmu.

Miałem trzydzieści lat, ukończyłem studia, wykładałem na uniwersytecie Cambridge, wspiąłem się na Wielką Piramidę, zdobyłem dyplom lekarski, miałem za sobą małżeństwo i rozwód, byłem dyplomowanym członkiem Instytutu Salk, opublikowałem dwie powieści, które okazały się bestsellerami, i zrobiłem film. I nagle zabrakło mi dalszych celów.

Przez całe życie do czegoś dążyłem. To właśnie dlatego oblałem się potem: na myśl, co będę dalej robił.

Nie miałem pojęcia.

W następnych tygodniach popadłem w apatię, a potem w całkowitą depresję. Wszystko wydawało mi się bezsensowne. Nie ma potrzeby mówić, że współczucie otoczenia dla mojego stanu było dość nikłe. Depresja z powodu sukcesu - to nikogo nie wzrusza, a nawet nie spotyka się ze zrozumieniem. Moi przyjaciele nie zdawali sobie sprawy z tego, że ich także to może spotkać.

Zacząłem odwiedzać księgarnie i zakupiłem sobie wtedy za pięćset dolarów całe paki książek. Były to książki na wszelkie możliwe tematy: o dinozaurach, o balonach napełnianych ciepłym powietrzem, Karolu II, nurkowaniu, sztuce islamskiej, prognozowaniu pogody, grafice komputerowej, kuchni indonezyjskiej, kryminologii, Benjaminie Franklinie, Himalajach, miastach wiktoriańskich,

energii jądrowej, tygrysach, Leonardzie da Vinci, panowaniu brytyjskim w Indiach, czarnoksięstwie, państwie Inków, Winslowie Homerze. Ponieważ nic mnie nie interesowało, wszystko było równie nieciekawe.

Pewnego dnia wpadła mi do ręki książka pod tytułem *Be Herę Now*. Była to ezoteryczna quasi-religijna książka, odwołująca się do filozofii wschodniej. Normalnie nawet bym do niej nie zajrzał, ale moją uwagę przyciągnęła ręcznie wykonana oprawa i dziwny kształt. Autorem książki był Ram Dass, a właściwie Richard Alpert, profesor psychologii wydany z Harvardu. Byłem w latach sześćdziesiątych reporterem harwardzkiego pisma „Crimson”, kiedy usunięto z uczelni Alperta i jego kolegę Timothy’ego Leary za częstowanie studentów LSD. Dobrze zapamiętałem te wydarzenia. A teraz miałem w ręku jego książkę.

Zabrałem ją do domu i przeczytałem. Książka składała się z trzech części. Pierwsza zawierała zwykłą prozę, druga ręcznie składane wyrazy i obrazki, rodzaj kolażu, trzecia była zaś wprowadzeniem do medytacji.

Przeczytałem pierwszą część. Spodziewałem się, że będzie to beładne bredzenie biedaczyny, którego umysł przeżarł nadmiar kwasu i nadmiar mistycznych dociekań, które prowadziły donikąd. Znalazłem tu jednak przejrzystą opowieść o pewnym sprawnym, mającym znaczne osiągnięcia intelektualistcie ze Wschodniego Wybrzeża, który nagle odkrył, że jego życie, wille, żony, kochanki, sposoby, w jakie spędza wakacje, nie dają mu satysfakcji.

Dokładnie wiedziałem, o czym mowa.

Odczuwałem przecież to samo.

Richard Alpert, wygnany z Harvardu, człowiek najwyraźniej niezrównoważony, który zabrnął w ślepią uliczkę, teraz wydał mi się kimś, z kim mogłem się w znacznej mierze identyfikować. Musiałem tylko dokonać w sobie pewnej przemiany, dojść ze sobą do ładu, aby z nim się zgodzić. Richard Alpert mimo wszystko to ciekawy gość i ma coś ważnego do powiedzenia.

Ale było w tym coś jeszcze. Alpert, obecnie Ram Dass - to nowe miano nie mogło mi przejść przez gardło, nie chciałem nawet go wymawiać. Ram Dass wyjechał do Indii i po kilku latach powrócił z rozwiązaniem pewnych problemów, chyba wzmocniony. Miał lepsze wyczucie pewnych spraw, odnalazł nowe perspektywy.

Musiał po to odbyć pielgrzymkę do Indii.

Czy ja też mam tam jechać?

Nie mogłem znieść tej myśli i tego, co za sobą niesie. Nie mogłem spojrzeć na siebie jako świętego męża poszukującego prawdy. Odzianego w białe szaty i kontemplującego swój pępek. Wciąż robiłem zakupy w ekskluzywnych sklepach. Nadal lubiłem kupować u Brooks Brothers.

Musi być jakaś inna droga.

Mój stosunek do mistycznych podróży odzwierciedla dowcip o studencie, który poszukiwał w Indiach świętego męża. Znalazł go na szczycie góry i pyta, zasapany:

- Co oznacza życie?

Święty mąż na to:

- Życie jest kwiatem.

Student się obruszył.

- Życie jest kwiatem?

Na co święty mąż:

- A sądzisz, że nie?

Takie było moje przekonanie: nikt nie wie nic więcej niż ja. Naprawdę tak jest. Profesor może wiedzieć więcej na jakiś szczególny temat, a mieszkaniec jakiegoś miasta wie więcej niż ja o tym właśnie mieście. Ale jeżeli chodzi o rzeczywistość, nikt o niej nie wie więcej ode mnie. Wyobrażałem sobie, że wiem wszystko, co tylko można wiedzieć.

Wierzyłem, że dzieje człowieka przedstawiają nieubłagany triumf racjonalnej myśli nad przesądami, triumf, którego ostatecznym wyrazem jest nasze uznanie wiedzy naukowej za najlepszą metodę osiągania prawdy i badania wszechświata. Wiedziałem, że w przeszłości ludzie wierzyli w różnego rodzaju nonsensowne głupstwa, ale dzięki owocom naszej wiedzy naukowej możemy przezwyciężyć mroki i żyć w świetle rozumu.

To znaczy, że choć nasze obecne życie może się wydawać kiepskie, w przeszłych wiekach mogło być tylko gorsze. Wyobrażałem sobie historię jako dzieje stałego postępu. Niczego nie tracimy, jedynie zyskujemy. Ludziom, powiedzmy, w średniowieczu, nie działo się bynajmniej lepiej niż mnie. Uciskał ich ustrój społeczny, ustrój gospodarczy doprowadzał do ubóstwa, a wiara popychała ich do wznoszenia tych idiotycznych (choć pięknych) katedr.

Ja żyłem w świecie naukowym, zmierzającym szybkim krokiem naprzód, gdzie dzieła techniczne po pięciu latach usuwa się z biblioteki. Ale w zasadzie wolałem patrzeć w przyszłość. Żyjemy w podniecających czasach, poznajemy naturę rzeczywistości, naturę wszechświata i naturę życia na poziomie subatomowym. Przyszło mi żyć w najbardziej światłej, najbogatszej, najbardziej postępowej i wyzwolonej epoce w dziejach człowieka.

I wiedziałem, że mimo sławy, dobrobytu i rachunków, jakie płacę psychiatrze, jestem nieszczęśliwy.

A Ram Dass chyba nie był.

Przeczytałem jego książkę wiele razy, próbując znaleźć w jego opowiadaniu jakiś inny, mój własny sens. Za każdym razem, kiedy je czytałem, to, co Alpert miał w nim do powiedzenia, nabierało dla mnie coraz większego znaczenia, stawało się coraz jaśniejsze. Coraz wyraźniej mi wskazywało, jak się zachowywać, przedstawiało coraz lepszy sposób widzenia rzeczywistości.

Ale wciąż nie byłem gotów, by porzucić swój sposób życia i udać się do Indii.

Natomiast wiele czytałem. Znałem księgarnię pod szyldem „Bodhi Tree”, która specjalizowała się w literaturze ezoterycznej. Często tam zaglądałem i wkrótce takie imiona jak Krisznamurti czy Jogananda były mi równie znajome jak nazwiska Watsona i Cricka czy Hubla i Wiesela. I często jeździłem na Maui.

Na początku lat siedemdziesiątych Maui to było cudowne miejsce. Można tam było nurkować i słuchać podwodnych śpiewów garbatych wielorybów, włóczyć się po obrosłych bujną zielenią dolinach i nie być zastrzelonym przez hodowców narkotyzujących roślin. Przez dwie godziny można było dojść od plaży do pokrytego lodem szczytu Haleakala, wznoszącego się na trzy tysiące metrów nad poziom morza. Wewnątrz krateru Haleakala widać było wyraźnie trzy strefy, spopielony pustynny stożek, alpejską łąkę i dżunglę tropikalną. Cisza wewnątrz krateru i nieziemski wręcz krajobraz nadają temu miejscu szczególny urok.

W owych latach Maui nie była jeszcze zatłoczona. Nie wybudowano tam monstrualnych hoteli, które wyglądają, jakby je zaplanowali Walt Disney i Albert Speer. W Lahainie, małym śpiącym miasteczku zamieszkanym przez hippisów, księgarnie były pełne „uduchowionych” książek. Nie widywałem ich nigdzie indziej. Tam przeczytałem po raz pierwszy książki Seta, Carlosa Castanedy i Kena Wilbura. Wiele książek przeczytałem tam po raz pierwszy.

I jeszcze coś tam zrobiłem. Postanowiłem znowu podróżować.

## **Bangkok**

Podróżowałem już przedtem. Podróżowałem przez całe życie. Moi rodzice byli zapalonymi podróżnikami i zabierali dzieci ze sobą. Każdego czerwca, po ukończeniu roku szkolnego, ładowali nas wszystkich do samochodu i ruszaliśmy gdzieś daleko przed siebie. Jednego roku na południowy zachód, do Meksyku, innego na północny zachód, na wybrzeże Pacyfiku, kiedy indziej w góry kanadyjskie.

Nim skończyłem szkołę średnią, przewędrowałem już czterdzieści osiem stanów, od Kanady po Meksyk, i pięć krajów Europy.

Po ukończeniu szkoły średniej uzyskałem stypendium Henry'ego Russella Shawa i przez rok podróżowałem po Europie i Afryce Północnej.

Było to w 1965 roku. Roczne stypendium! Jakaż to szansa dla uczniaka! I wykorzystałem ją do końca. Do każdego muzeum w Paryżu czy Amsterdamie wchodziłem obładowany przewodnikami i literaturą uzupełniającą. Jeżeli znalazłem się w jakimś mieście w dniu, kiedy ważne muzeum było zamknięte, zostawałem o dzień dłużej. Obejrzałem wszystko, jadłem wszystko, doświadczyłem wszystkiego. W Egipcie wdrapałem się na piramidę Cheopsa i wszedłem do jej wnętrza. A potem zwiedziłem każde stanowisko archeologiczne między Sakkarą a Asuanem. Nic dla mnie nie było zbyt małe lub zbyt odległe, bym tam nie dotarł, nigdzie nie było dla mnie za gorąco lub zbyt plugawie; jeżeli gdziekolwiek było coś godnego uwagi, obejrzałem to. W Madrycie odszukałem kamienicę stanowiącą wczesne dzieło Antonia Gaudiego; we Francji odwiedziłem wszystkie budynki wzniesione przez Le Corbusiera. Przepychałem się przez tłum w Neapolu, by obejrzeć dzieła Caravaggia. We Francji i w Hiszpanii zwiedziłem wszystkie znane jaskinie prehistoryczne i zainteresowałem się budowlami klasztornymi w stylu romańskim. W Grecji spędziłem dwa tygodnie na samym tylko Peloponezie, szukając miejscowości wymienionych w *Guide bleu*. Posługiwałem się *Guide bleu*, bo był to najbardziej szczegółowy przewodnik, jaki mogłem znaleźć; i wybrałem go spośród innych, choć przez opisy różnych miejscowości przebijałem się z trudem, bo moja francuszczyzna była kiepska.

A zatem w czasie, kiedy zaczynałem studia medyczne, mogłem powiedzieć o całej Ameryce Północnej, Europie i Afryce Północnej: „Byłem tam”. Umiałem się tam obracać, byłem obznajomiony z różnymi językami, z różnymi walutami. Mój paszport i walizki były odpowiednio wyświechtane. Mogłem pojechać do obcego miasta, odnaleźć tam hotel, porozumiewać w obcych językach wystarczająco, by dać sobie radę, czuć się wszędzie swobodnie.

Byłem już doświadczonym podróżnikiem.

Trudności finansowe podczas studiów medycznych nie pozwoliły mi wiele podróżować w owych latach. A potem jakoś się od tego odzwyczaiłem. Nie byłem już zbyt ciekaw świata. Zajmowałem się budowaniem swojej kariery i parałem się życiem. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że już od dziesięciu lat nie wyruszyłem na prawdziwą wyprawę.

Kiedy popadłem w melancholię, uznałem, że powinienem gdzieś się wybrać. Postanowiłem pojechać do Bangkoku, dokąd usilnie mnie zapraszał mój przyjaciel Davis Pike. Kupiłem bilet

lotniczy, zadzwoniłem do Pike'a, że przyjeżdżam, i wyruszyłem w drogę. Moim pierwszym przystankiem był Hongkong.

Mało jest tak podniecających widoków jak te, które się ogląda podczas lądowania nocą na lotnisku Kai Tak w Hongkongu. Góry, woda, światła budynków stanowią jakiś magiczny świat; czułem się tak, jakbym się zanurzał w głąb rozjarzonego blaskiem klejnotu. W niezwykłym podnieceniu wyglądałem przez okno. A potem, kiedy wyszedłem z samolotu i osaczyły mnie różne wonie - ta szczególna azjatycka kombinacja zapachów morskiej wody, suszonej ryby i ludzkiego tłumu - moje podniecenie wzrosło jeszcze dziesięciokrotnie. A jazda taksówką przez miasto; otwarte, jasno oświetlone sklepy, ludzie przycupnięci na bruku, całe to uliczne życie - to było fantastyczne! Czegoś takiego nie widziałem nigdy w życiu!

Dotarłem do hotelu Peninsula i wydało mi się, że jest chyba największy na świecie. Takiego w Europie nie było. Wszystko było nieco inne. Na każdym piętrze służyli pomocą ludzie w białych liberjach. W pokojach kapało od zbytku, w eleganckiej wyłożonej marmurem łazience stała karafka z pitną wodą, a przy niej mały napis ostrzegający przed piciem wody z kranu. Bajeczne! Egzotyczne! To połączenie wystawnego marmuru z tym małym napisem! W Europie nie ma nic takiego.

Uszczęśliwiony, poszedłem spać.

Obudziłem się następnego dnia, gotów do zwiedzania Azji. Z przewodnikiem w ręku przeszedłem się ulicami Kowloonu. Potem pojechałem promem do Victorii. Chodziłem po niej, radując się ożywionym ruchem ulicznym. Potem poszedłem na Rynek Główny, uważając, że targowiska zawsze warto obejrzeć, bo można się po nich zorientować, jak żyją ludzie. Zawsze lubiłem oglądać targowiska na prowincji francuskiej czy w Afryce Północnej.

Rynek Główny to dwupiętrowy otwarty betonowy budynek o ścianach pokrytych kafelkami. Cuchnęło tam jak w kostnicy. Kurczaki i drobne zwierzęta zabijano na oczach klientów. Widziałem, jak jakiś mężczyzna wypruwa wnętrzności ze świni prosto na chodnik, a potem splukuje zanieczyszczoną powierzchnię węzłem ogrodowym.

Nagle poczułem się zmęczony. Musiałem się położyć. To był skutek zmiany strefy czasowej. Wróciłem do hotelu i przespałem kilka godzin.

Po południu wziąłem taksówkę do Aberdeen, po drugiej stronie Victorii. W owym czasie Aberdeen było szczególnym miejscem, olbrzymim basenem wodnym z łodziami, na których mieszkały tysiące ludzi. Wynająłem sobie łódkę i opłynąłem basen. Mogłem podejrzeć, jak ludzie żyją na tych łodziach. To były przerażające widoki. Znów ogarnęło mnie podniecenie. Potem poszedłem na nadbrzeżny targ w Aberdeen, gdzie mieszkańcy łodzi kupowali sobie żywność.

Chińczycy przywiązują wielką wagę do tego, by jedzenie było świeże. Często widywałem Chinki niosące plastikowe torby wypełnione wodą, w której pływały żywe ryby. Jak mi powiedziano, miał to być ich obiad rodzinny, zachowany w świeżości do ostatniej chwili.

Targowisko w Aberdeen mieściło się pod ciemnozielonymi namiotami, było bardzo rozległe i zatłoczone. Przyglądano mi się bacznie i rzucano dowcipy pod moim adresem, z czym zawsze spotykam się w Azji z powodu mojego wysokiego wzrostu, ale Chińczycy są weseli i czułem się tym ubawiony. Podziwiałem świeżość i różnorodność jarzyn. Przyjrzałem się działowi z odzieżą i innymi towarami. Z pewnym niepokojem przeszedłem do działu mięsnego. Ale byłem już psychicznie przygotowany. Ta część rynku w Aberdeen mną nie wstrząsnęła. Przepychałem się przez dział, gdzie sprzedawano ryby, a sprzedawcy krzykiem zachwalali świeżość i jakość swoich towarów. Jeden mężczyzna filetował ryby; około tuzina leżało przed nim na pochyłej ladzie. Każda ryba miała na

sobie kawałek czegoś czerwonego. To coś pulsowało. Nie mogłem się zorientować, co to jest. Podsunąłem się bliżej.

Ten człowiek filetował ryby tak zręcznie, że serce pozostawiał nietknięte. I te rybnie serca były, wystawione na pokaz, jako dowód, że jego ryby są naprawdę świeże. Patrzyłem na kilkanaście bijących rybich serc.

Musiałem się położyć.

Wkrótce zauważyłem, że powtarza się to, że przy zwiedzaniu miasta, jeżeli natykam się na jakiś poruszający mnie widok, odczuwam niespodziewane wyczerpanie, ciągnie mnie do mojego pokoju, muszę się położyć, by odzyskać siły. Ale było to w jakiś sposób poniżające. Byłem doświadczonym podróżnikiem. Te małe doznania nie powinny mnie wytrącać z równowagi. Dlaczego tak mnie poruszały?

Wydawało mi się, że to z powodu zmiany strefy czasowej. Ale jakakolwiek była tego przyczyna, objawy zakłóceń stawały się coraz cięższe.

Poderwało mnie kilka amerykańskich dziewczyn i zabrały ze sobą na wielki chiński obiad. Jedzenie było smaczne, ale niezwykle dziwne. Na pierwsze danie podano krewetki. Małe krewetki. Obieraliśmy je rękami ze skorupki i jedliśmy. Podano drugie danie. Wyrzuciliśmy skorupki z talerzy na obrus, żeby zrobić miejsce na potrawę, i ich stosy pozostały obok talerzy do końca wieczoru.

Potem było wznoszenie toastów. Chińczycy lubią pić za zdrowie i tym obrządkiem co chwila przerywano obiad. Zauważyłem, że wszyscy piją, trzymając szklankę w jednej ręce, a palcem drugiej dotykając jej dna. Spytałem siedzącą obok mnie Australijkę, dlaczego to robią.

- Toast należy wychylić, trzymając szklankę w obu rękach - powiedziała - ale jeden palec drugiej ręki wystarcza.

Dalsze dania stawiano przed nami godzinami. Można się było już przyzwyczaić do tego, że coś jest na środku stołu, skubnęło się co nieco, a potem podawano coś innego.

W pewnej chwili postawiono na środku stołu gotowaną rybę, jedną z wielu tego wieczora. Rozmawiałem właśnie z kimś i nim się zdążyłem obejrzeć, ryba znikła! Oskubana do czysta. A trwało to zaledwie kilka sekund.

- Co się stało z rybą? - spytałem.

Powiedziano mi, że to wielki przysmak. Każdy za nią przepada. Ta ryba kosztuje czterysta dolarów.

Skoro przeszła mi koło nosa, poczułem niepokój. Natychmiast atakowałem pałeczkami każde nowe danie, postawione na stole. Wkrótce pojawiła się nowa ryba, którą wszyscy lubili. W kilka chwil jej górna część została wyjedzona do czysta. Patrzyliśmy teraz na kręgosłup i na mięso, które było pod spodem. Wydawało się to takie proste: przerzucić rybę na drugi bok i usunąć ości, ale nikt przy stole tego nie zrobił. Ryba leżała więc przed nami, zjedzona do połowy.

W końcu zapytałem:

- Czy mogę przewrócić tę rybę?

- Nie wiem - odpowiedziała moja australijska sąsiadka.

- Chodzi o to - powiedziałem - czy byłoby to dobrze widziane, gdybym przewrócił tę rybę?

- Tak, oczywiście.

- To dlaczego nikt tego nie robi? - spytałem.

- Chyba z powodu tego, jak się tu dostali?

- Jak się tu dostali?



- I oczywiście, w jaki sposób wrócą do domu.

Nie rozumiałem. Odbiegliśmy chyba od podstawowego tematu ryby.

- A zatem wszystko będzie w porządku, jeżeli odwrócę tę rybę? - spytałem.

- A jak pan wróci do domu?

- W taki sam sposób, jak tu przyjechałem, chyba taksówką - A nie będzie pan musiał przebyć kawałka drogi wodą?

- Tak... - Jadąc do tej restauracji, musieliśmy w pewnym miejscu przesiąść się do łodzi.

- Wobec tego nie może pan przewrócić tej ryby - powiedziała. I wyjaśniła mi, że jeśli mam po posiłku przebyć drogę wodą, nie wolno mi odwracać ryby.

- To może przynajmniej usunę kręgosłup? - spytałem z nadzieją.

Potrząsnęła głową.

- Przykro mi...

Potem powiedziała coś szybko po chińsku, podszedł kelner i przewrócił rybę. Wszyscy rzucili się znów do jedzenia.

- On mieszka tutaj - wyjaśniła kobieta, podziękowawszy kelnerowi kiwnięciem głowy.

I tak się to ciągnęło: siedzieliśmy nad stosami skorupki po krewetkach, wnosząc toasty z palcem przytkniętym do dna szklanki, nie mając prawa przewrócić ryby na półmisku. Nie było wiadomo, co zaraz się zdarzy. Wreszcie pod koniec wieczora gość honorowy, starszy mężczyzna, który okazał się chińskim gwiazdorem filmowym, dał nam pokaz jakiejś sztuki walki. Miotał się po całej sali, szybki, sprężysty, silny, pełen wdzięku. Miał sześćdziesiąt siedem lat.

Pomyślałem, że o wielu sprawach jeszcze nie mam pojęcia.

Kiedy wylądowałem w Bangkoku, na lotnisku czekał mój przyjaciel Davis, który od pięciu lat mieszkał w Tajlandii.

- Co robiłeś w Hongkongu? Tam tak nudno. To Zachód, a nie prawdziwa Azja. Tu spędzisz czas znacznie ciekawiej.

Wioząc mnie z lotniska, udzielał mi podstawowych rad, jak mam postępować w Bangkoku.

- Są cztery zasady, których nie wolno ci nigdy złamać w Tajlandii. Zasada pierwsza: kiedy jesteś w świątyni, nigdy nie próbuj się wspiąć na posąg Buddy.

- Tak.

- Druga: zawsze trzymaj głowę niżej niż głowa posągu Buddy.

- Tak.

- Trzecia: nigdy nie dotykaj głowy żadnego Taję.

- Tak.

- I czwarta: nigdy nie wskazuj na Taję nogą uniesioną znad podłogi. To zniewaga.

- Tak - powiedziałem.

Osobiście uważałem, że wszystkie te sytuacje są wysoce nieprawdopodobne. Oświadczyłem Davisowi, iż najpewniej uda mi się zwiedzić Bangkok, nie łamiąc żadnego z tych zakazów.

- Wątpię - odpowiedział posępnie. - Mam tylko nadzieję, że nie złamiesz wszystkich czterech.

Potem nauczył mnie, jak wymawiać w języku tajskim nazwę ulicy, przy której mieszka. Miałem zamieszkać u niego i musiałem umieć wytłumaczyć kierowcy taksówki, dokąd ma jechać, a ponieważ taksówkarze nie rozumieją po angielsku ani nie znają pisma tajlandzkiego, stanąłem wobec konieczności wykucia adresu na pamięć. Dotąd go pamiętam: Sip-dżet, Sukhumvit soi ji-sip.

Dom Davisa był piękny, elegancko umeblowany, ze ślicznym ogrodem z basenem na tyłach. Przedstawiono mi służących, przypomniano, że mam zostawiać obuwie przy drzwiach wejściowych, i pokazano mi mój pokój na piętrze.

- Trzeba będzie usunąć Buddę z twojego pokoju - powiedział Davis. Postawiliśmy go na szafie, na najwyższym meblu w tym pokoju, ale w twoim przypadku nie wiem, czy... Ach, nie, widzisz, kiedy stoisz, jesteś wyższy niż Budda. To niedobrze. Porozmawiam ze służącymi.

- O czym?

- Sądzę, że zgodzą się zrobić dla ciebie wyjątek, skoro jesteś taki wysoki. Ale dobrze by było, gdybyś się nieco przygarbiał, kiedy jesteś w pokoju.

Pomyślałem sobie: jest to pojedyncza sypialnia, nikt do mnie nie będzie wchodził, będę sam, a Davis mówi mi, że mam się garbić z powodu Buddy. Wydawało mi się to nieco zwariowane, ale powiedziałem, że się postaram.

Podejrzywałem, że Davis robi sobie ze mnie żarty. Tak jednak nie było. Tajowie to cudowni, sympatyczni ludzie, ale religię traktują poważnie i w tych sprawach nie są tolerancyjni. Oglądałem później ocenzone i adaptowane przez tajlandzkie władze film Petera Sellersa *Dziewczyzna inna niż wszystkie*. Obejrzenie tej wersji filmu to było dziwne przeżycie: Peter Sellers wstawał od stołu, a posążek Buddy nagle wybuchał, iskrząc się czarnymi iskrami. I tak było, póki Sellers nie usiadł. Wtedy można było zobaczyć, że Budda jest znowu spokojny. Cenzor zaczerpnął każde ujęcie postaci Buddy, kiedy Sellers był wyższy niż jego posążek.

No więc dobrze. Tajowie traktują sprawę poważnie, omówiono rzecz ze służbą, a ja garbiłem się w swoim pokoju. Ale faktycznie rzecz biorąc, pierwsza zasada została złamana.

Następnego dnia poszliśmy na przechadzkę ulicami Bangkoku i mijaliśmy grupkę dzieciaków. Były śliczne, przyjazne, skupiły się wokół nas. Poglądziłem jedno z nich po główce.

- Ajajaj! - zawołał Davis.

Dwa z czterech nakazów zostały złamane.

- Buddyści - wyjaśniał Davis - wierzą, że głowa, najwyższa część ciała, jest uświęcona i nie powinno się jej dotykać. Od biedy można to jeszcze darować, jeśli chodzi o dziecko, ale nigdy nie dotykaj w ten sposób dorosłego. Mówię poważnie. Najlepiej w ogóle nie dotykać dorosłego Tajlandczyka.

Zgromiony, przytaknąłem.

Tego wieczora byliśmy na proszonym obiedzie i wdąłem się w rozmowę z tajlandzkim operatorem filmowym, który robił reklamówki dla firm australijskich i filmy długometrażowe na rynek tajlandzki. Był to bardzo ciekawy facet; rozmawialiśmy o jego zapotrzebowaniu na fachowych współpracowników i o metodach pracy. Potem gospodyni zaprosiła nas do pokoju stołowego na obiad. Poszliśmy razem, a kiedy byliśmy już koło drzwi, wskazałem mu, by wszedł pierwszy, i położyłem mu przy tym rękę na ramieniu. Był to całkiem naturalny, zwyczajny gest. Filmowiec zeszytniał na ułamek sekundy, potem przeszedł przez drzwi.

Rozejrzałem się. Da vis potrząsał głową.

A więc trzymanie się tej drugiej zasady było trudniejsze, niż sobie wyobrażałem. Musiałem powściągnąć moją naturalną skłonność do dotykania ludzi.

Po obiedzie rozsiedliśmy się na poduszkach wokół niskiego okrągłego stołu. Naprzeciw mnie siedziała jakaś Tajka. Trzymała się raczej na uboczu, z kimś rozmawiając. W miarę jak wieczór się przeciągał, zaczęła mnie obrzucać oburzonymi spojrzeniami. Potem przerwała rozmowę, by

wpatrywać się we mnie wzrokiem pełnym obrazy. Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

- Michael! - syknął Davis.

Rozejrzałem się. Wszystko zdawało się być w porządku.

- Stopy - szepnął Davis.

Siedziałem na poduszce, oparłem się o nią łokciami i założyłem nogę na nogę. Z moimi stopami wszystko było w porządku. Nie miałem dziury w skarpetce.

Ponieważ skrzyżowałem nogi, jedna stopa była oderwana od podłogi i wskazywała na tę Tajkę, która patrzyła na mnie z oburzeniem. Wskazywałem ją stopą!

Zmieniłem pozycję i postawiłem obie stopy na podłodze. Kobieta mile się uśmiechnęła.

- Postaraj się pamiętać, by zawsze trzymać obie stopy na podłodze doradził Davis. - To naprawdę jedyny sposób.

Złamałem już trzy z czterech zasad.

Popelniałem wówczas mnóstwo innych błędów. Nie zawsze pamiętałem, by zdjąć obuwie, kiedy wchodziłem do czyjegoś domu. Upodobałem sobie pozdrowienie tajlandzkie, kiedy człowiek się kłania i wykonuje z palców obu rąk daszek przed swoją twarzą. Nazywa się to *wai*. Lubiłem tak się witać, a Tajlandczycy byli ubawieni, widząc, jak to robię. Pewnego dnia pozdrowił mnie w ten sposób jakiś chłopczyk w pracowni krawieckiej. Odpowiedziałem mu tym samym.

- Nigdy nie stosuj *wai* do dzieci - powiedział Davis.

- O Boże! - jęknąłem. Zacząłem się już przyzwyczajać do własnej nieporadności. - Dlaczego?

- *Wai* w odniesieniu do dorosłego jest oznaką szacunku, a w odniesieniu do dziecka skraca mu życie.

- Nie wiedziałem.

- Nic nie szkodzi. Rodzice chyba się tym nie przejęli.

Nie złamałem tylko jednego zakazu, tego dotyczącego wspinała się na posąg Buddy w świątyni. W Tajlandii wsadza się za to turystów do więzienia. Świątynie są tu śliczne i znakomicie utrzymane. Pośród ulicznego zgiełku i brzydkich betonowych budynków często sprawiają wrażenie mieniących się złotem oaz spokoju.

Tajlandia była pierwszym buddyjskim krajem, jaki poznałem. Zadziwiało mnie wszystko - jaskrawy wystrój świątyń, sposób, w jaki ludzie się w nich zachowywali, kwiaty i kadzidła, i żółte szaty kapłanów.

Zauważyłem także, że z przyjemnością przebywam w tych świątyniach. Nie wiedziałem, co właściwie mi się w nich podoba, na pewno nie ich przytłaczająca ozdobność. Lubiłem ich nastrój, lubiłem się przyglądać zachowaniu wiernych. Nie wiedziałem nic zgoła o buddyzmie. Nie wiedziałem, czego naucza ta religia, jakie są jej zasady. W jednej ze świątyń pewien Taj mówiący po angielsku powiedział mi, że buddyści nie wierzą w Boga. No, tego już za wiele! Religia, w której nie ma wiary w Boga!

Wydało mi się to ciekawe, że tak mnie pociąga ta religia, gdyż przez wiele lat byłem zdeklarowanym ateistą i antyklerykałem. Ale tu w świątyni było po prostu... spokojnie. Poszedłem do księgarni i zacząłem czytać książki o buddyzmie.

Działy się także inne fceczy. Davis wydał obiad dla Petera Kanna, który tył w Azji korespondentem „The Wall Street Journal”. Znałem Petera już od wielu lat z harwardzkiego

„Crimsona”. Wciąż był sympatyczny, zabawny, bardzo bystry i kompetentny, ale teraz było w nim coś jeszcze. Jakaś twardość, którą podziwiałem. Peter był korespondentem w Wietnamie i pozostał w Azji po skończonej wojnie. Dorobił się szlifów oficerskich, ale ich nie nosił.

Przy obiedzie siedziałem obok pewnej angielskiej fryzjerki, która miała włosy ufarbowane z jednej strony głowy na czerwono, a z drugiej na zielono. Podejrzywałem, że to najnowsza moda w Londynie, ale nie byłem pewien. Nie wiedziałem nawet, czy mam się jakoś do tego ustosunkować, czy nie, więc milczałem.

W rozmowie przy stole przeskakiwaliśmy z tematu na temat, póki ktoś przypadkiem nie wspomniał, że Peter był w Hunzie. Natychmiast wszystkich ogarnęło podniecenie. W Hunzie? Naprawdę?

Nieprawdopodobne! Fantastyczne! Nick Spenser, sąsiad Davisa, zasypał Petera pytaniami:

- Był pan w Gilgicie?

- Tak.

- Dostał się tam pan samolotem?

- Tak.

- Jak długo pan tam był?

- Tydzień w Pindi.

- No to nieźle.

- Wszystko było w porządku - powiedział Peter.

- A był pan także w Chitral?

- Tym razem nie - odparł Peter.

Próbowałem się w tym wszystkim zorientować. Hunza, Gilgit, Pindi. Hunza to z pewnością jakaś miejscowość. Czuję się zagubiony, nie mogłem pojąć, jak to jest, że wszyscy siedzący przy stole wiedzą tyle o jakimś miejscu, o którym ja nawet nie słyszałem. I co takiego nadzwyczajnego było w Hunzie? Czy to jakaś lokalna osobliwość?

Nie dowiedziałem się, bo rozmowa potoczyła się dalej.

- A był pan także w Bhutanie?

- Nie, nigdy - powiedział Peter. - A tam można się dostać?

- Bi Ily był w Bhutanie.

- Naprawdę? Nigdy mi o tym nie wspominał. Jak mu się to udało?

- Zna kogoś z panującej rodziny. Dostał się tam z Darjiling.

- A co z Nagarem?

- Jak się dotarło do Hunzy, można też dotrzeć do Nagaru.

Nie mogłem nic wywnioskować z tej rozmowy. Słuchałem w milczeniu jakieś piętnaście minut. W końcu zwróciłem się do fryzjerki z czerwono-zielonymi włosami i zapytałem spokojnie:

- O czym oni mówią?

- O różnych krajach - odpowiedziała.

Omam się nie załamam. Mówili o jakichś krajach, a ja o żadnym z nich nawet nie słyszałem.

- Bhutan i Hunza to kraje?

- Tak. W Himalajach.

Poczułem się trochę lepiej. Kto wie, co tam tkwi na szczytach Himalajów? Uznałem, że można mi wybaczyć ignorancję. Ale kiedy rozmowa ciągnęła się dalej, uświadomiłem sobie, że świat, który dotąd zamieszkiwałem, to świat, o którym wiedziałem prawie wszystko, a przynajmniej o wszystkim

słyszałem. Moja nieznamość państw leżących w Himalajach, z jednej strony zawstydzająca, była także na swój sposób ożywcza. Na pewno coś o tym poczytam, kiedy wrócę do domu.

Przyjaciół Davisa, Ed Bancroft, przystojny bankier, był rozpustnikiem. Był to jedyny rozpustnik, jakiego znałem. Kiedy goście po obiedzie się rozjechali, oznajmił Peterowi i mnie, że pokaże nam słynne nocne życie Bangkoku. Davis wymówił się zmęczeniem.

W Patpong, dawnej rozrywkowej dzielnicy wietnamskiej, mieściły się kluby o takich nazwach, jak Playboy i Mayfair. W Playboju obejrzelśmy płasające dziewczyny z papierosem lub z bananem, wykonujące swoje wygibasy w fioletowym świetle przy piskach i okrzykach widowni. Można się było tym zachwycać dopiero po większej dawce alkoholu, większość widzów była dobrze podpiita.

Odwiedziliśmy jeszcze kilka barów, a potem poszliśmy do salonu masażu. Było to olbrzymie, nowoczesnie wyposażone pomieszczenie wielkości hotelu. Ed Bancroft zaproponował, byśmy zamówili sobie masaż całego ciała. Wyjaśnił nam, że polega on na tym, iż dziewczyna miętosi klienta w wannie napełnionej mydlaną wodą.

Zaprowadzono nas do jednostronnie przejrzystej szyby, przez którą mogliśmy zajrzeć do sali pełnej dziewcząt ubranych w wykrochmalone białe mundurki z tabliczkami z numerami. Wszystkie patrzyły w naszym kierunku, bo tuż pod szybą był umieszczony telewizor. Rzecz polegała na tym, że wybierało się numer i kierownik wywoływał wskazaną dziewczynę do wykonania masażu.

Ed, który mówił tajskim, porozmawiał z kierownikiem i pomógł nam podjąć decyzję. Najwyraźniej wybór niektórych z dziewcząt nie byłby pożądany. Nie mogłem się w tym połapać.

Dziwnie było tak stać przed tą szybą. Jak na mój gust, zbyt mi to przypominało targ niewolników albo jawną prostytutkę. Ale nikt tego tak nie traktował. Nikt nie miał uczucia, że dzieje się tu coś "brudnego i grzesznego"; był to po prostu salon masażu, zabiegu służącego zdrowiu. Udałem się z moją dziewczyną do wyłożonej kafelkami kabiny, gdzie znajdowała się wpuszczona w podłogę okrągła wanna. Dziewczyna rozrobiła w wiadrze mydliny, naląła trochę wody i usadziła mnie w wannie. Wyszorowała mnie ostrą szczotką, co sprawiło mi pewną nieco masochistyczną przyjemność, a potem gestem dała mi znać, bym się położył na brzuchu. Wtedy się rozebrała, namydliła swoje ciało, położyła się na mnie i zaczęła się wierać w mydlanej pianie.

Miałem z tym niejakie trudności. Nie mieściłem się w wannie, nogi mi sterczały na zewnątrz. Więc kiedy położyła się mi na plecach, odczułem dotkliwy ból w goleniach. A ponieważ grzbiet miałem wygięty, nie mogła dobrze do mnie przylgnąć. Z chichotem próbowała mnie tak upchnąć, bym przyjął wygodniejszą pozycję, ale wanna była za ciasna. Potem mydło dostało mi się do nosa i zakrztusiłem się.

Postanowiliśmy skończyć. Opłukała mnie z mydlin, a ja już sam się wytarłem, ubrałem i wróciłem po schodach na górę.

- No i jak było? - zapytał Ed. - Czyż to nie jest wspaniałe?

- Wręcz niezapomniane - zgodziłem się.

Pojawił się Peter i znów ruszyliśmy w drogę. Ed miał szczególny błysk w oku. Coś sobie knuł.

- Może dom publiczny? - zapytał.

- Ja nie mam ochoty - powiedziałem. - Już jest późno.

Peter zamruczał coś bliżej nieokreślonego.

- Tylko tam zajrzemy - powiedział Ed. Pokazywał nam miasto. Był jego doświadczonym znawcą; nie chciał przerywać wyprawy.

- No dobrze, tylko zajrzemy.

Ale nastrój w samochodzie był kiepski. Wciąż dolegała mi goleń po mydlanym masażu i nigdy bym się nie przyznał, że doznałem raczej ograniczonej rozkoszy. Peter w ogóle się nie odzywał. Pałac papierosa, wyglądał przez okno. Zostaliśmy postawieni w śmiesznej sytuacji mężczyzn, którzy chcą sobie poszaleć nocą w mieście, uganiając się za babami. Jest to sytuacja, która więcej mówi o mężczyznach niż o jakichkolwiek babach. Ale temu, co się działo o drugiej w nocy w parnym Bangkoku, nikt nie chciał pierwszy położyć kresu.

Ed uznał jednak, że nasze milczenie oznacza, iż znudził się nam dotychczasowy program zwiedzania miasta. Widział w nas facetów na wskroś zblazowanych, potrzebujących jakichś szczególnych podniet.

- Już wiem! - wykrzyknął, pstryknawszy palcami. - Dziecięcy dom publiczny!

- Ed - powiedziałem - a nie wystarczyłby zwyczajny dom publiczny?

- Nie, nie, nie! Dom publiczny z dziećmi, absolutnie! Posłuchajcie, to jest niewiarogodne miejsce. Musicie zobaczyć!

I pojechaliśmy dalej, zanurzając się w parną noc.

Przypomniała mi się Justyna z *Kwartetu aleksandyjskiego*, egzotyczne zdarzenia w egzotycznych krajach.

Peter wciąż patrzył przez okno. Zauważyłem oficerskie szlify na jego koszuli.

- Widziałeś kiedyś dziecięcy dom publiczny? - zapytałem.

- Osobiście nie - odpowiedział bardzo chłodno.

Bancroft podjechał boczną alejką do jednego z nierozróżnialnych betonowych budynków w Bangkoku. Był tam posterunek ochrony i centralny dziedziniec. Na dziedzińcu stały boksy do parkowania, zasłonięte od frontu.

- To miejsce na samochody; zasłania sieje, żeby nie było widać tabliczki z numerem - powiedział Ed. - Przyjeżdżają tu politycy, naprawdę ważni ludzie. Poczekajcie.

Wyskoczył z wozu i gdzieś zniknął. Po chwili wrócił.

- Wszystko w porządku.

Weszliśmy z ulicy na górę szerokimi schodami do pomieszczenia, które wyglądało jak wielkie mieszkanie z długim korytarzem prowadzącym do pokoiów po obu stronach.

- Zobaczmy, co dziś tu mamy - powiedział Ed. Zaprowadził nas korytarzem do pierwszego pokoju.

Wnętrze udrapowano w czerwone i różowe indyjskie tkaniny. Jaskrawe światło. Siedzące na poduszkach i wpatrzone w telewizor kobiety są ostro wymalowane. Nie wydają mi się dziećmi.

- Podstarzałe - mówi Peter, szczerząc zęby w uśmiechu.

Ed czuje się urażony.

- Podstarzałe! O Chryste! Stare! - Ed mówi coś szybko po tajsku do mężczyzny, który stoi obok niego.

- Ciekawe, w jakim właściwie są wieku - zainteresował się Peter. Odezwał się w nim teraz reporter, korespondent wojenny. Tyle a tyle kobiet przeciętnie w takim a takim wieku.

Idziemy dalej korytarzem do następnych drzwi. Pokój także udrapowany tanimi szmatami. Rozneglizowane kobiety, w stanikach, majtkach i podwiązках. Wrażenie burdelu psuje jednak fakt, że kilka z nich gotuje sobie coś do jedzenia w kącie pokoju. Te dziewczyny są nieco młodsze.

Mężczyzna spogląda na nas pytająco.

- Nie wiem, co ten facet sobie myśli - powiada Ed. - Kiedy byłem tu ostatnim razem w towarzystwie... - tu wymienia nazwisko wybitnej osobistości - mieli tu siedmio - i ośmiolatki. Naprawdę. Coś niezwykłego.

Poszliśmy dalej korytarzem, do jeszcze jednego pokoju. Za każdym razem, kiedy szliśmy tym korytarzem, wzmagała się moja klaustrofobia. Panowały tam dziwne zapachy, przytłumione wonią kadzidła. Korytarz wciąż się zacieśniał. Stały w nim małe kobietki, lepiące się do nas, próbujące nas przekonać, byśmy je wybrali, a nie te w pokojach. Jaskrawo wymalowane, w brudnej bieliźnie, szturchają nas i ściskają. Kiedy się uśmiechają, widać, że brak im zębów.

- O tutaj jest ten pokój - mówi Ed.

Drzwi się otwierają. Widzimy grono dziewczynek jeszcze przed okresem dojrzewania. Wyglądają na dziesięć, jedenaście lat. Ich ciemne oczy są podmalowane. Zachowują się nieśmiało. Przechadzają się powoli i rzucają bokiem spojrzenia. Jedna chodzi na chwiejnych nogach w pantoflach na wysokich obcasach, za dużych na nią.

- No i co powiecie, chłopaki? - pyta Ed. Uśmiecha się z podniecenia.

Ja chcę tylko stąd wyjść. Niech sobie myślą, że jestem niewieściuchem.

Nic mnie nie obchodzi, co sobie o mnie pomyślą. Chcę po prostu uciec od tych biednych dzieci i z tego cuchnącego korytarza, gdzie się mnie szarpie i dotyka, od tych wyciągających się do mnie rąk, od tego „Proszę pana, proszę pana...”

- Chyba zrezygnuję - mówię. - Jestem zmęczony.

- Hej, jeśli nie znalazłeś nic, co by ci się podobało, możemy poszukać dalej.

- Nie. Jestem zmęczony. Naprawdę. Poczekam na was na dworze.

- No, rób, jak chcesz. - Ed spogląda na Petera. - A ty, Peter?

Jest to typowa scena w przedstawieniu *Noc w mieście*, jakie odgrywamy. Jeden facet się wykruszył. Jest znużony albo ma poczucie winy, albo myśli o żonie lub o kimkolwiek innym, a teraz zobaczymy, jak się potoczy reszta wieczoru. Idziesz czy zostajesz?

- Chce mi się palić - mówi Peter. - Ja także poczekam na dworze.

- Ej, chłopcy! - Ed kręci głową, zawiedziony naszym zachowaniem. Nie wiecie, co tracicie.

- Będę musiał kiedyś z tego skorzystać - mówi Peter.

Wychodzimy z Peterem na dwór, siadamy na zderzaku wozu Eda, palimy papierosy i gadamy o tym, co się przydarzyło w naszym życiu przez dziesięć lat, od czasu, kiedyśmy się ostatnio widzieli. Nagle odnaleźliśmy dawną zażyłość, bo był to środek nocy, obaj byliśmy zmęczeni, obaj postanowiliśmy obejść się bez dziecięcej prostytutki i obaj chcieliśmy się upewnić, że tamten facet nie ma powodu uważać nas za tchórzy czy mięczaków. Naprawdę miło pogadaliśmy, a potem pojawił się Ed.

- Och, chłopaki, dużo straciliście. Oni tu mają naprawdę świetny materiał.

- No dobra.

- A co byście powiedzieli na to, by wpaść jeszcze do jakiejś kawiarni? Zobaczyć, jakie tam mają dziewczyny? Co?

Wymówiliśmy się zmęczeniem. Ed mówi, że czuje, że to nie była dostatecznie udana noc. Zapewniamy go, że tak. Udaje się nam w końcu dotrzeć do domu Davisa. Wchodzę do pokoju ze spuszczoną głową, żeby nie być wyższy od Buddy, i natychmiast zasypiam.

Następnego wieczoru poszedłem na obiad do domu pewnego właściciela agencji reklamowej

w Bangkoku. Był to Australijczyk, słynący ze swojej kuchni; każdy więc chciał dostać od niego zaproszenie.

Przed obiadem ktoś otworzył paczuszkę tajlandzkiej marihuany, zrobił skręta i puścił go wśród gości; jedni palili, inni nie. Ja się zaciągnąłem. Jak można być w Tajlandii i nie spróbować tajlandzkiej trawki?

Kiedy skręt obiegił wszystkich i wrócił do mnie, znów się zaciągnąłem.

- Lepiej uważaj - ostrzegł Davis. - To mocne.

- Nie martw się - powiedziałem. - Jestem z Los Angeles.

Davis wzruszył ramionami. Wypiłem przed obiadem parę kieliszków wódki. Czuję się świetnie, siedząc i gawędząc z ludźmi. W istocie rad byłem, że czuję się tak dobrze, bo od kilku dni nurtowało mnie coś w środku: poczucie, że jestem daleko od domu, że jestem samotny, że zapędziłem się na zbyt wielką odległość. Moje nowe doświadczenia napełniały mnie większym niepokojem, niż chciałem się do tego przyznać.

Ale wtedy, kiedy wstaliśmy, żeby przejść do pokoju jadalnego, zdałem sobie sprawę, że nie jest ze mną tak źle. Byłem w świetnym nastroju. Miałem tylko pewne kłopoty z koordynacją ruchów. To nic, pomyślałem.

Jak usiadziemy, znów wszystko będzie w porządku. Minie mi, jak coś zjem.

Zasiedliśmy przy stole. Po mojej lewej ręce siedziała Hinduska, żona jakiegoś dyplomaty, a księgowy z agencji reklamowej, Tajlandczyk, po prawej. Krążyły półmiski, rozmowa była bardzo przyjemna.

Wtedy nagle zacząłem widzieć wszystko na szaro. Szarość stawała się coraz ciemniejsza. A potem oślepnęłam.

Hinduska poprosiła mnie, bym coś jej podał.

- Przepraszam - powiedziałem - wiem, że to może zabrzmieć dziwnie, ale jestem ślepy.

Roześmiała się rozkosznie.

- Pan jest taki zabawny - Nie. Poważnie. Jestem ślepy.

- Chce pan powiedzieć, że nie widzi.

- Nie widzę.

- Niezwykłe! Ciekawe, dlaczego?

Sam byłem ciekaw.

- Nie wiem.

- Czy nie podejrzewa pan, że coś zjadł?

- Chyba nie. Nie sądzę.

- Czy widzi mnie pan teraz?

- Nie, wciąż nic nie widzę.

- Zastanawiam się, co powinniśmy zrobić - powiedziała.

- Nie wiem.

Zawiadomiono pana domu. Odbyto naradę. Wszyscy zdawali się to traktować jako normalną przypadłość. Pomyślałem: Czy inni w tym domu przedtem także tracili wzrok? Potem poczułem, że kilka osób niesie mnie na górę na piętro i kładzie na łóżku w klimatyzowanym pokoju.

Upłynęło trochę czasu. Otworzyłem oczy. Nic nie widziałem.

Dopiero wtedy zacząłem się martwić. Oślepnąć na chwilę to nic takiego, ale nie mijało. Ciekaw byłem, która godzina, i dłonią namacałem swój zegarek. Czy tak już pozostanie? Czy będę musiał



sobie sprawić zegarek Braille'a? Co to za pokój, w którym jestem?

Minęło jeszcze trochę czasu. Ktoś dotknął mojego ramienia. Spojrzałem i zobaczyłem starą Tajkę uśmiechającą się do mnie. Podała mi szklanę wody, zachichotała i odeszła. Po chwili wróciła. Wtedy już dobrze widziałem, ale czułem się okropnie. Potem zasnąłem. Znacznie później przyszedł Davis, cmoknął nade mną językiem i odwiózł mnie do domu.

Rano powiedziałem Davisowi, że nie zamierzam się wybierać na zwiedzanie miasta. Mam chęć spokojnie posiedzieć w ogrodzie nad basenem. Może coś poczytam. Muszę się uspokoić po tym dziwnym przeżyciu.

- Dobry pomysł - rzekł. - Tylko uważaj. Ogrodnik widział tam w ubiegłym tygodniu kobrę.

Davis oznajmił mi, że wyjeżdżamy na kilka dni na prowincję. Musiał sprawdzić stan sprzedaży firmy farmaceutycznej, w której pracował. Leki na recepty sprzedawano wówczas w Tajlandii legalnie w aptekach i wszystkie międzynarodowe firmy farmaceutyczne uważały ten kraj za ważny rynek.

Kraj był płaski i zielony, i piękny. Zatrzymywaliśmy się w chińskich hotelach i cudownie spędzaliśmy czas. W końcu dotarliśmy do Ayutthaya. Davis chciał sprawdzić swój sklep, zobaczyć, co się tam dzieje.

- Ale za rogiem jest wielki targ - powiedział. - Wielkie prowincjonalne targowisko. Zajrzyj tam, zobaczysz, że to ciekawe.

Poszedłem za róg.

Targ był ogromny, zajmował prawie hektar. W całości pokrywały go białe płachty dla osłony przed słońcem. Ta piękna otwarta przestrzeń pełna była różności, od warzyw po ubrania. Przechadzałem się, przyglądając temu, co ludzie kupują. Płachty były zawieszane nisko i musiałem pochylić głowę, ale widok rynku był fascynujący i z przyjemnością go oglądałem. Mój wysoki wzrost powodował wyraźne poruszenie. Ludzie zatrzymywali się i oglądali za mną. I jak większość Azjatów, śmiali się ze mnie. Najpierw śmiechy rozległy się to tu, to tam, ale narastały i ogarnęły wreszcie całe targowisko. Wszyscy śmiali się, pokazując mi sobie palcami, śmiali się i pokazywali. Dobrodusznie uśmiechałem się do nich. Wiedziałem, że nie mają na myśli nic złego. Był to po prostu wyraz zaskoczenia.

Śmiech trwał nadal. Huczał mi w uszach jak fale oceanu. Ludzie się rozbiegali, by zawiadomić przyjaciół. Całe miasteczko biegło, by mnie obejrzeć. Śmiech się wzmaczał. Teraz śmiały się już setki ludzi. Byłem na oczach wszystkich. Wszędzie widziałem otwarte rozrechetane usta. Spojrzałem wreszcie na ziemię i zobaczyłem u moich stóp starą Tajkę trzymającą się za brzuch i pokładającą z historycznego śmiechu. Swoim ciałem zagradzała mi drogę. Nie mogłem jej przecież nadepnąć.

Rozejrzałem się wokół i pomyślałem: Cóż to za ciekawe doświadczenie. Tu można się przekonać, co czuje człowiek, kiedy pięćset osób się z niego wyśmiewa. Jak to wtedy jest.

Nagle pomyślałem: Nienawidzę tego. Szybko odszedłem.

Wróciłem do sklepu, w którym zostawiłem Davisa. Uśmiechał się z chytrą kocią miną.

- Wiedziałem, że dadzą ci w kość.

- Jezu Chryste!

- Nie mają nic złego na myśli.

- Wiem - powiedziałem. - Ale w końcu...

Tajlandczycy są bajecznie dobroniuszni. Nazywa się ich Duńczykami Azji z powodu pogodnego usposobienia. Ich ulubione powiedzenie: *Mai pen rai*, oznacza mniej więcej: „Nic nie szkodzi” i zaprasza do darowania sobie wzajemnie wszelkich żalów i pretensji. Często zachwycałem się tą cechą ich charakteru, tak różniącego się od tego, do czego przywykłem w kraju.

Pewnego dnia w Bangkoku, wracając taksówką do domu Davisa, widziałem Tajkę i Europejkę, każdą w swoim samochodzie, próbujące się wyminąć w wąskiej uliczce. Obie wychylały się ze swoich wozów i wrzeszczały na siebie. Żadna z nich nie powiedziała:

- *Mai pen rai*.

Pomyślałem, że czas wracać do domu. Wyjechałem następnego dnia.

Ogólnie biorąc, uznałem to za wyprawę, która pozostawiła mi po sobie pewien uraz. Uświadomiłem sobie wtedy, że choć miałem siebie za doświadczonego podróżnika, w istocie byłem straszliwie ograniczony pod względem kulturowym. Zwiedziłem tylko niewielki kawałek świata - Amerykę Północną i Europę Zachodnią.

Zacząłem myśleć o innych miejscach, w których nie byłem. Nigdy nie byłem w Afryce Środkowej. Nigdy nie widziałem Australii. Nigdy nie wybrałem się na południe od Ameryki Środkowej. W rzeczywistości nie widziałem dotąd większości świata.

Już czas, by się dowiedzieć, co straciłem.

## *Bonaire*

Zachód słońca żarzył się czerwono nad oceanem, kiedy brnęliśmy niezdarnie po wodzie, oddalając się od brzegu ze zbiornikami powietrza i latarkami w rękach. Zanurzeni do połowy, zatrzymaliśmy się, by nałożyć maski i ściśle je dopasować do głowy. Za nami, w hotelu Bonaire ludzie schodzili się w jadalni na obiad.

- Głodna? - zapytałem siostrę.

Potrząsnęła głową. Moja siostra nigdy jeszcze nie była na nocnym nurkowaniu i oblatywał ją nieco strach.

Przyjechaliśmy na Bonaire latem w 1974 roku na dwutygodniowe wakacje, by sobie ponurkować. Kim ukończyła właśnie drugi rok prawa, a ja brulionową wersję mojej drugiej powieści; oboje spodziewaliśmy się porządnego wypoczynku i wspaniałego nurkowania.

Bonaire jest holenderską wyspą leżącą o sto kilometrów od wybrzeży Wenezueli. Wyspa ta jest właściwie szczytem zapadłej w toń oceanu góry o stromych zboczach; w odległości zaledwie dwudziestu metrów od piaszczystej plaży krystalicznie czysta woda ma trzydzieści metrów głębokości, dzięki czemu łatwo tam nurkować wieczorami. Po prostu wychodzi się o zachodzie słońca na plażę i spada na głębokość trzydziestu metrów. Można tam nurkować przez godzinę i zdążyć jeszcze do hotelu na obiad.

Tak właśnie zamierzaliśmy zrobić.

Moja siostra włożyła sobie ustnik między zęby, a kiedy wciągała powietrze, słyszałem świst. Skuliła ramiona, pokazując w ten sposób, że jej zimno. Chciała już zacząć. Przygryzłem swój ustnik.

Zanurzyliśmy się pod powierzchnię.

Świat wokół nas zrobił się ciemnoniebieski, nad piaskiem i krzaczkami koralu przemykały jak cienie małe rybki. Słyszałem bulgot pęcherzyków powietrza unoszących się koło mojego policzka. Spojrzałem na Kim, by sprawdzić, jak sobie radzi. Miała się świetnie, całkiem już rozprężona. Kim była wytrawnym nurkiem, a ja nurkowałem już od ponad dziesięciu lat.

Zeszliśmy wzdłuż zbocza głębiej, zanurzając się w mrok.

Zapaliliśmy latarki i natychmiast zobaczyliśmy świat w nasyconych, rażących oczy barwach. Korale i gąbki były jaskrawozielone, żółte, czerwone.

Spuszczamy się jeszcze głębiej w czarną wodę, widząc jedynie to, co się ukazuje w jasnym stożku światła padającego z latarek. Odkrywamy wielką rybę śpiącą pod nawisem ławicy koralowej. Możemy jej dotknąć, czego nie można zrobić nigdy w ciągu dnia. Ożywiają się nocne stwory. Nakrapiany w czarno-białe cętki węgorz wypełza ze swojej nory, rozwiera potężne szczęki i łypie na nas czarnym okrągłym okiem. Obok biodra przemyka mi ośmiornica i robi się czerwona ze złości. W koralowej niszy widzimy małego kraba w czerwone prążki, nie większego niż mój palec.

Podczas tego nurkowania zamierzałem zrobić parę zdjęć, więc miałem zawieszony na szyi aparat fotograficzny. Zrobiłem już kilka ujęć, kiedy moja siostra klepie mnie w ramię i pokazuje, że chce wziąć ode mnie aparat. Zdejmuję go z szyi i podaję jej. Poruszam się powoli. Świat wygląda dziwnie w rozkołysanym świetle latarki uwiązanej u mojego nadgarstka. Kim odbiera ode mnie aparat.

Nagle czuję mocne szarpnięcie za szczękę i wypuszczam z zębów ustnik. Nie mam dopływu powietrza.

Natychmiast pojąłem, co się stało. Pasek od kamery zaczepił o przewód. Siostra, pociągając do siebie kamerę, wyciągnęła mi także ustnik.

Nie mam powietrza. Jestem zawieszony nocą w atramentowoczarnej wodzie i nie mam powietrza.

Ale jestem spokojny.

Kiedy się gubi ustnik, zawsze spada on na prawą stronę. I zawsze można go odnaleźć, bo zawisa w wodzie na poziomie prawego biodra. Sięgam tam.

Ustnika nie ma.

Pozostaję spokojny.

Próbuję go namacać. Wiem, że jest gdzieś obok biodra. Musi tam być. Obmacuję pasek, zbiorniki z powietrzem na plecach. Moje palce przebiegają coraz szybciej po elementach wyposażenia.

Ustnika nie ma. Teraz już jestem pewien: nie ma go. Ustnika nie ma.

Pozostaję spokojny.

Wiem, że ustnik nie oderwał się od przewodu powietrza, bo usłyszałbym wtedy wielki wybuch. Tymczasem wciąż panuje tu niesamowita cisza. Więc ustnik jest gdzieś przy mnie. Jeśli nie spadł po prawej stronie, musi być gdzieś za szyją, blisko zbiornika. Dość trudno tam sięgnąć, ale zakładam rękę za szyję i próbuję namacać przewód powietrzny. Wyczuwam palcami wierzch zbiornika, pionowy metalowy zawór. Wyczuwam kilka rurek, nie wiem, która z nich jest przewodem powietrzny. I czuję coś jeszcze: że nie mogę znaleźć ustnika.

Pozostaję spokojny.

Na jakiej jestem głębokości? Sprawdzam na głębokościomierzu. Mam teraz dwadzieścia metrów nad sobą wody. To w porządku. Muszę tylko wydychać powietrze spokojnym, stałym strumieniem i wydostać się na powierzchnię. Na pewno potrafię. W każdym razie jestem przekonany, że potrafię.

Ale lepiej by było odnaleźć ten ustnik. Gdzieś tutaj.

Moja siostra unosi się w wodzie jakieś półtora metra nade mną. Jej płetwy lekko muskają mi twarz. Podpływam wyżej, a ona spogląda na mnie. Pokazuję jej na usta. Patrz, czegoś tu brakuje. Nie mam ustnika, Kim.

Macha do mnie, daje mi znać, że u niej wszystko w porządku. Trudzi się z zawieszeniem aparatu fotograficznego na szyi. Zdaję sobie sprawę, że w tych ciemnościach zapewne mnie dokładnie nie widzi.

Chwytam ją za ramię i pokazuję palcem na moje usta. Nie mam ustnika. Nie mam powietrza!

Kręci głową, wzrusza ramionami. Nie rozumie. O co mi chodzi? Co jej chcę powiedzieć?

Zaczynają mnie już palić płuca. Wydycham w jej kierunku parę bąbelków powietrza i znów wskazuję na usta: Na miłość boską, patrz, nie mam ustnika!

Kim powoli kiwa głową. Nie widzę jej oczu, bo światło się odbija w okularach maski. Ale chyba rozumie. Nareszcie chyba pojęła.

Płuca już mnie potężnie palą. Zaraz będę musiał wynurzyć się na powierzchnię.

Już nie jestem spokojny.

Kim w ciemności płynie powoli za mną. Jej latarka świeci teraz za moją głową, która rzuca cień na ławicę koralową pod nami. Siostra szpera palcami obok mojego karku, namacując przewód powietrzny. Coś tam przesuwają. Teraz jest po mojej lewej stronie. Nie po lewej, Kim! To musi być

gdzieś po prawej! Porusza się powoli. Jest taka spokojna.

Płuca mnie palą.

Wiem, że zaraz będę musiał wypłynąć na powierzchnię. Powtarzam sobie w kółko: pamiętaj o wydechaniu, pamiętaj o wydechaniu. Jeżeli zapomnę wydechać wznosząc się w górę, pękną mi płuca. Nie wolno mi wpadać w panikę.

Kim bierze mnie za rękę. Powoli, spokojnie coś mi podaje. To nie jest odpowiednia chwila, by coś mi podawać! Zaciskam palce na jakimś gumowym przedmiocie: to mój ustnik! Wciskam go między zęby i wydecham.

Woda bulgoce, a ja wciągam chłodne powietrze. Kim patrzy na mnie badawczo. Wciągam powietrze i odkaszluję parę razy. Ona unosi się w wodzie obok mnie i wciąż się mi przygląda. Czy wszystko ze mną w porządku?

Wciągam powietrze. Serce mi wali. Czuję się otumaniony. Teraz, kiedy wszystko już jest w porządku, czuję panikę, którą przedtem udało mi się zdławić. Mój Boże! Kim na mnie patrzy. A ze mną już wszystko dobrze.

Daję jej znak. Tak, w porządku. Kończymy nurkowanie, choć trudno mi się skoncentrować. Cieszę się, że już po wszystkim. Kiedy wydostajemy się na plażę, padam bez sił. Cały się trzęsę.

- To było niesamowite - mówi Kim. Opowiada, że przewód powietrzny tak się jakoś zawinął, że zwisał za moim lewym barkiem. - Nie wiedziałam, że może tak się zdarzyć. Zajęło mi dobrą chwilę, nim go znalazłam. Czy dobrze się czujesz?

- Chyba tak.

- Cały się trzęsiesz.

- Trochę mi zimno.

Wziąłem gorący prysznic. Sam w moim pokoju, poczułem gwałtowne pożądanie seksualne, instynktowne pragnienie. Pomyślałem: to typowe dla mężczyzny - skoro się umknęło śmierci, dąży się do prokreacji. Ale to prawda. Czuję to. A tu, o rety, jestem tylko z własną siostrą.

Pod koniec obiadu całkiem się uspokoiłem.

Następnych kilka dni upłynęło zupełnie zwyczajnie. Znów nurkowaliśmy. Nic złego się nie wydarzyło. Zabrałem się do czytania powieści, które przywiozłem ze sobą. Opalałem się. Spędziliśmy przyjemnie następny tydzień. I nurkowaliśmy w tych miejscach, gdzie nurkuje każdy, kto przyjeżdża do Bonaire.

Aleja chciałem czegoś więcej.

Wyczytałem gdzieś, że na północnym wybrzeżu wyspy znajduje się jakiś ciekawy wrak.

- Nie powiem panu, gdzie to jest - powiedział przewodnik podwodny, kiedy spytałem o niego.

- Dlaczego?

- Zginie pan tam.

- A pan tam był?

- No pewnie.

- I nie zginął pan.

- Wiedziałem, co mam robić. Ten wrak leży głęboko. Jego najpłytsza część leży na głębokości czterdziestu metrów. W takiej głębokości granicą wytrzymałości na dekompresję są cztery minuty.

- Czy to naprawdę statek kołowy?

- Tak. Z żelaznym kadłubem. Nikt nie wie, kiedy zatonął. Być może na przełomie wieków.

Próbowałem go pociągnąć za język w nadziei, że może wycisnę z niego coś, co mi pozwoli odnaleźć wrak.

- Czy statek stoczył się po zboczu?

To także gdzieś wyczytałem. Dno morskie wokół Bonaire stanowi ze wszystkich stron strome zbocze, sięgające w niektórych miejscach głębokości siedmiuset metrów.

- Tak. Statek chyba najpierw rozbił się o brzeg. Przynajmniej niektóre jego fragmenty znajdują się blisko brzegu na głębokości jakichś dziesięciu metrów, a potem zatonął. Kiedy zatonął, stoczył się po zboczu. Teraz tam leży na głębokości czterdziestu metrów.

- To musi być ciekawy widok.

- O tak. To piekielnie wielki wrak.

- A zatem jego szczątki leżą blisko brzegu na głębokości dziesięciu metrów?

- Tak.

- Jakie szczątki?

- Niech pan to sobie wybije z głowy.

Powiedziałem mu wreszcie:

- Już od ponad tygodnia nurkowałem tu z wami i pan wie, że umiem to robić. Nie musi pan brać na siebie odpowiedzialności. To nie jest w porządku, że nie chce mi pan powiedzieć, gdzie są te słynne szczątki.

- Pan uważa, że potrafi tam zanurkować? No dobrze. - I przedstawił mi sprawę w dość okrutny sposób. - Ma pan to zrobić tak: niech pan pojedzie dziesięć kilometrów na wschód, aż trafi pan na małą przystań. Tam się pan zatrzyma, wskoczy w ten cały pański rychtunek i popłynie na północ ze sto metrów, póki nie minie zielonego domku na brzegu. Kiedy zobaczy pan ten domek pod kątem sześćdziesięciu stopni, zacznie pan zaglądać w wodę. Zobaczy pan tam dziesięć metrów pod sobą maszt i liny. Spuści się pan w dół do tego masztu, a potem popłynie prosto skrajem zbocza tak szybko, jak pan potrafi. Kiedy będzie pan na głębokości dwudziestu metrów, oderwie się pan od zbocza i wypłynie na otwarty ocean. Będzie pan myślał, że płynie prosto, ale będzie pan opadał, aż wreszcie natknie się pan na wrak na głębokości czterdziestu metrów. Jest olbrzymi. Nie można go nie zauważyć. No i jak? Nadal się pan tam wybiera?

Wydawało się to trudne, ale nie niemożliwe.

- Tak - powiedziałem. - Na pewno.

- W porządku. Tylko niech pan pamięta, jak coś się panu przytrafi, ja się wyprę, że pokazałem panu, gdzie to jest.

- Dobrze.

- I proszę pamiętać, na tej głębokości będzie pan oszołomiony, więc trzeba uważać na czas. Wytrzyma pan to ciśnienie najwyżej przez cztery minuty. Ten wrak jest tak olbrzymi, że nie zdąży go pan obejrzeć w całości przez cztery minuty, niech pan nawet nie próbuje. Niech pan przestrzega zasady, żeby robić sobie przystanki, jak będzie pan wypływał na powierzchnię.

Nie ma komory dekompresyjnej w Bonaire. Na jej sprowadzenie potrzeba ośmiu godzin, więc nie chciej pan wyskoczyć za szybko. Jak pana dopadną kurcze, jest znaczna szansa, że pan nie przeżyje. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- I jeszcze jedno. Jeżeli pan postanowi tam się dostać, niech pan nie bierze ze sobą aparatu. Pański aparat ma certyfikat tylko na czterdzieści dziewięć metrów. Wypaczy się panu obudowa.

- Dobrze - powiedziałem. - Dziękuję za pomoc.

- Niech pan posłucha mojej rady - rzekł na koniec. - Niech pan nie próbuje tam się dostać.

Spytałem siostrę, co o tym myśli.

- Dlaczego nie? - powiedziała. - To brzmi całkiem interesująco.

Następnego dnia pojechaliśmy rozejrzeć się po okolicy.

Było tam coś w rodzaju przemysłowego mola ciągnącego się kilka metrów w głąb morza. Wyglądało na zrujnowane i od dawna nie używane. Kilka nędznych domków rozsypało się wzdłuż nabrzeża, ale żaden z nich nie był zielony. Nieco dalej na północ stało coś w rodzaju rafinerii czy jakichś zabudowań przemysłowych, z wielkimi przycumowanymi statkami. Woda w doku była ciemna i niezbyt zachęcająca.

Byłem za tym, żeby dać sobie z tym spokój. Spytałem siostrę, co o tym myśli. Wzruszyła ramionami.

- Skoro już tu jesteśmy...

- Dobrze - zgodziłem się. - Możemy przynajmniej obejrzeć ten maszt.

Zabraliśmy ekwipunek, nadmuchaliśmy kurtki i popłynęliśmy na północ.

Płynęliśmy całkiem energicznie. Wciąż zerkalem na domki na brzegu. Już miałem uznać, że przewodnik udzielił mi fałszywych wskazówek, kiedy nagle, obejrzawszy się za siebie, dojrzałem pod kątem sześćdziesięciu stopni zielone drzwi. Nie było ich widać z doku.

Spojrzałem w wodę. Prosto pod nami znajdował się ciężki maszt i metalowe liny zaczepione o ławicę koralu. Wyglądały niemal jak nowe.

- Myślisz, że to właśnie to?

Wzruszyła ramionami.

- Wygląda tak, jak opisywał.

Zapytałem ją, jak sądzi, co mamy dalej robić.

- Skoro dopłynęliśmy już tutaj...

- No to w drogę - powiedziałem. Wsunęliśmy sobie ustniki w zęby, wypuściliśmy powietrze z kurtek i opadliśmy w głąb.

Obejrzeliśmy maszt z bliska. Był dobrze widoczny, niezbyt obrosły wodorostami, ogromny, długi na dwanaście metrów i gruby na trzydzieści centymetrów. Przeplłynęliśmy wzdłuż niego, wciąż oddalając się od brzegu. Potem przykucnęliśmy i daliśmy nura, trzymając się spadzistego zbocza.

Schodzenie w dół jest zawsze ekscytujące, ale tym razem serce mi waliło szczególnie mocno. Pobliski zakład przemysłowy zanieczyścił wodę. Była mętna i mało co dało się w niej widzieć. Płynęliśmy niemal na oślep. Światła docierało tu niewiele i kiedy spuszczaaliśmy się w głąbinę, robiło się coraz mroczniej. A musieliśmy spuszczać się szybko, by zachować w zbiornikach jak najwięcej powietrza.

Na głębokości trzydziestu metrów spojrzałem w otwarty ocean i stwierdziłem, że udzielone mi wskazówki były błędne. W każdym razie trudno było się tu oderwać od zbocza i zanurzyć w mętny mrok. Postanowiłem zejść jeszcze głębiej, nim odpłyniemy. Na głębokości czterdziestu metrów ruszyłem przed siebie. Mogłem widzieć tylko na metr przed sobą i kiedy już zbocze zostało za mną, nie było na czym skupić wzroku. Widać było tylko mleczne smugi jakichś brudów zawieszonych w oceanie.

Skupiłem się głównie na tym, by nie przeoczyć wraku. Na tej głębokości nie dało się go poszukiwać. Nie mieliśmy na to ani czasu, ani powietrza.

I wtedy nagle w polu mojego widzenia pojawiła się masa zardzewiałego metalu.

Patrzyłem na wielką ścianę stali.

To ten wrak.

Zadziwił mnie; był większy, niż sobie wyobrażałem. Byliśmy przy kilu biegnącym wzdłuż dna kadłuba, na głębokości około pięćdziesięciu metrów. Włączyłem głębokościomierz i podpłynąłem w górę wzdłuż wraku do czterdziestu trzech metrów zanurzenia. Metalową powierzchnię kadłuba pokrywały piękne gąbki i korały. Tworzyły na niej cudowne wzory, ale w tej głębini wszystko było bezbarwne; poruszaliśmy się w świetle białocznym. Przez burtę dostaliśmy się na sterczący niemal pionowo pokład z masztami skierowanymi ku zboczu. To położenie wydawało się jakieś idiotyczne, ale oswoiliśmy się z nim. Zrobiłem parę zdjęć, rozejrzeliśmy się szybko wokół. I tak upłynęły nasze cztery minuty. Musieliśmy wracać na powierzchnię.

Kiedy nurek oddycha sprężonym powietrzem, do jego krwi dostaje się azot. Powoduje to dwojaki skutek. Po pierwsze, azot działa jak środek odurzający i powoduje zatrucie - narkozę azotową, słynną „ekstazę głębinową” - tym większą, im głębiej jest się zanurzonym. Ten stan odurzenia narkotycznego jest niebezpieczny; bywało, że ogarnięty nim nurek umierał, bo wyjmował z zębów ustnik, by dać trochę powietrza rybom.

Innym skutkiem dostania się azotu do krwi jest konieczność powolnego uwalniania go w miarę powrotu na powierzchnię. Jeśli nurek wydostaje się z głębiny zbyt szybko, azot ulatnia się bąbelkami z jego krwi jak dwutlenek węgla z butelki wody sodowej, kiedy się ją otworzy. Te bąbelki powodują bolesne kurcze w stawach. Mogą także powodować paraliż i śmierć. Czas potrzebny do dekompresji zależy od tego, jak długo nurek przebywał pod wodą i jak był głęboko.

Według tabeli dekompresyjnej siostra i ja wcale nie potrzebowaliśmy dekompresji, ale jej konieczność zależy od wielu zmiennych, takich jak temperatura wody, stan zdrowia nurka danego dnia, czy też od tego, że uciska go mokre ubranie, co przeszkadza uwalnianiu się azotu z ciała. Tyle czynników gra tu rolę, że postanowiliśmy zrobić dwa przystanki dekompresyjne, na dwie minuty na głębokości sześciu metrów i na sześć minut na głębokości trzech metrów - ot tak, na wszelki wypadek. Wykonaliśmy nasz plan i popłynęliśmy do przystani.

Oboje nie posiadaliśmy się z radości. Dotarliśmy do wraku i nie zginęliśmy. A ten wrak istotnie jest piękny!

Postanowiliśmy zanurkować tam znowu i obejrzeć go dokładniej. Ze względu na czterominutowe ograniczenie czasu musielibyśmy udać się tam dwukrotnie, raz, żeby obejrzeć rufę, a drugi raz, żeby zwiedzić część dziobową.

Kilka dni później opływaliśmy rufę statku na głębokości sześćdziesięciu metrów. Nasza wyprawa odbywała się bez zakłóceń. Widać było wyraźnie stalowe koła łopatkowe. Zaczęliśmy się już czuć całkiem swobodnie koło wraku. Czuliśmy się jak dzieci, które coś przeszkrobały, ale wcale nie jest im z tym źle. Byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. I przyzwyczajaliśmy się do narkotycznego odurzenia, które czuliśmy, docierając do wraku.

Parę dni potem znów zanurkowaliśmy i zwiedziliśmy część dziobową. Dziób leżał na głębokości siedemdziesięciu metrów i kiedy go opływaliśmy, poczułem silne zamroczenie. Chwyciłem za przyrządy i sprawdziłem na skali, ile mam jeszcze powietrza. Czulem, że mam trudności z koncentracją. Przystępowaliśmy do zanurzenia przy ciśnieniu 155 atmosfer, chciałem wracać, kiedy pozostanie nam 70, bo dotarcie na powierzchnię zabierało nam koło jedenastu minut.

Wrak był niewiarogodnie piękny. Miała to być nasza ostatnia wyprawa. Zostało mi 85 atmosfer



ciśnienia powietrza i mieliśmy jeszcze trochę czasu, postanowiłem więc pokazać siostrze małą kolonię koralu na jednym z masztów, na głębokości sześćdziesięciu metrów. Popłynęliśmy, by ją obejrzeć, i był już czas wracać. Zerknąłem na zegarek; cztery minuty już upłynęły, dobiegała końca piąta. Sprawdziłem zapas powietrza. Zostało mi 42 atmosfery.

Wpadłem w panikę. 42 atmosfery to dla mnie za mało, by wydostać się na powierzchnię. Co się stało? Musiałem się pomylić przy odczycie.

Spojrzałem znowu: 35 atmosfer.

Teraz popadłem w tarapaty. Nie mogłem wypływać szybko, to by tylko zwiększyło ryzyko wystąpienia kurczów. Nie mogłem także powstrzymać oddechu, zator naczyń krwionośnych na pewno by mnie zabił. Nie mogłem także oddychać rzadziej; cała rzecz w tym, że azotu pozbyć się można tylko przez wydechy.

Spojrzałem w kierunku powierzchni, ale nie było jej widać. Tafla wody była sześćdziesiąt metrów nade mną. Poczułem nagle cały ciężar wody nad sobą i to, że jestem zdany na łaskę losu. Choć byłem pod wodą, oblał mnie zimny pot. Nie wiedziałem, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Nie było czasu do stracenia. Im się jest głębiej, tym więcej zużywa się powietrza. Szybko ruszyliśmy w górę...

Z zasady wzbijanie się w górę odbywa się z szybkością dwudziestu metrów na minutę, co oznacza, że wypłynięcie na powierzchnię zajęłoby nam trzy minuty. Po minucie, na głębokości czterdziestu metrów, miałem w butli 21 atmosfer zapasu tlenu. Po dwóch minutach, zanurzony na dwudziestu metrach, miałem go już tylko 13,5 atmosfery. A przede mną były jeszcze przystanki dekompresyjne.

Nigdy jeszcze nie znalazłem się w takiej sytuacji. Mogłem oczywiście szybko wypłynąć na powierzchnię, ale dobrze by mi to nie zrobiło. Byłem zbyt długo pod wodą i powierzchnia mogłaby się okazać dla mnie śmiertelnie niebezpieczna. Musiałem pozostać pod nią, jak długo się dało. Ale nie mogłem przecież tkwić pod wodą przez siedem minut, mając tylko 13,5 atmosfery.

Zatrzymaliśmy się na głębokości siedmiu metrów. Siostra, która nigdy nie zużywała dużo powietrza, pokazała mi swój wskaźnik. Miała w zapasie 70 atmosfer. Ja miałem niespełna jedenaście. Spytała mnie gestem, czy chcę, żeby się ze mną podzieliła.

Uczyliśmy się dzielić powietrzem na kursach nurkowania. Ja sam praktykowałem to wiele razy. Ale teraz wpadłem w panikę. Wydawało mi się, że nie potrafię sobie poradzić z procedurą odcięcia dopływu swojego powietrza i manipulowania jej ustnikiem. Byłem na to za bardzo przerażony.

To dobre na kursie nurkowania.

Potrząsałem głową: nie.

Podpłynęliśmy w górę trzy metry i unosiliśmy się w wodzie tuż pod powierzchnią, przytrzymując się rozgałęzienia koralowca. Próbowałem w sobie wmówić, że ten drugi przystanek dekompresyjny nie jest tak naprawdę potrzebny. Co prawda, przekroczyliśmy dozwoloną granicę czasu przebywania pod wysokim ciśnieniem, ale tylko trochę. Może o minutę. Może nawet mniej.

Nie potrafiłem przekonać sam siebie, że czuję się dobrze - mogłem myśleć tylko o tym, jaki byłem cholernie głupi, żeby zostać tam do ostatniej chwili i narazić się na niebezpieczeństwo. Pomyślałem o wszystkich moich przyjaciółkach, których złapały kurcze, i jak to się stało. Historia zawsze była taka sama. Pewnego dnia coś zaniedbali, coś zrobili byle jak, czegoś zaniechali, na coś nie zwrócili uwagi.

Zupełnie jak ja.

Popatrzyłem na manometr, widząc, jak wskazówka powoli opada. Wydał mi się jakiś ogromny, wielki jak spodek. Widziałem każdą rysę, każde zadrapanie. Przy każdym oddechu widziałem drobne drgania wskazówki. Spadła już do poziomu trzech i pół atmosfery. Potem do dwóch. Nigdy jeszcze nie miałem tak małego zapasu powietrza, Zauważyłem na obrzeżu tarczy mały ząbek, nie pozwalający wskazówce opaść poniżej zera. Nadal oddychałem, wyginając ramię, by się upewnić, że nie łapie mnie kurcz. Z trudem wytrzymałem sześć minut dekompresji. Wskazówka dotknęła ząbka.

Wyssałem powietrze do czysta.

Na powierzchni siostra spytała mnie, czy dobrze się czuję, a ja odpowiedziałem, że tak, chociaż byłem roztrzęsiony. Wmawiałem sobie, że nic złego mi się nie stało, ale nie byłem tego pewien przez kilka godzin. Kiedy wróciliśmy do hotelu, uciałem sobie drzemkę. Po południu obudziłem się, czując ciarki na skórze.

Oho!

To jedna z zapowiedzi kurczy. Leżałem w łóżku i czekałem.

Ogarniało mnie coraz mocniejsze uczucie mrowienia. Najpierw na ramionach i nogach, potem na piersiach. Czulem, jak dociera do szyi... sięga twarzy...

Nie mogłem tego dłużej znieść. Wyskoczyłem z łóżka i poszedłem do łazienki. Nie miałem żadnych leków. Ale chciałem coś zrobić, może zażyć aspirynę. Cokolwiek.

Spojrzałem w lustro.

Całe ciało pokrywała różowa wysypka. Był to rodzaj zapalenia skóry.

Rzuciłem się do łóżka i znów zasnąłem. Nie dostałem żadnych kurczy.

Okazało się, że przyczyną podrażnienia skóry było mydło hotelowe.

Przez ponad dziesięć lat nurkowania nigdy nie miałem żadnych kłopotów. Ale podczas wakacji w Bonaire zdarzyło mi się być w niebezpieczeństwie dwa razy w ciągu dwóch tygodni.

Traktowałem wówczas te zdarzenia jak przypadek; ot, po prostu miałem pecha. Ale po roku zacząłem rozmyślać o tym, co kryło się za moim zachowaniem, za tym, że coraz zuchwalej podejmowałem ogromne ryzyko, aż wreszcie wpadłem w prawdziwe tarapaty. Zdumiałem się, kiedy w końcu zrozumiałem, czym to w istocie było. Wniosek nasuwał się sam: z jakiejś przyczyny próbowałem się zabić.

Dlaczego miałbym chcieć się zabić? Nie tłumaczyły tego żadne wydarzenia mojego życia w owym czasie. Praca szła mi dobrze. Zerwałem wprawdzie nieszczęśliwy romans, ale było to wiele miesięcy przedtem i nawet już o tym nie myślałem. Ogólnie biorąc, byłem wesoły i nastawiony optymistycznie.

A jednak miałem taki zamiar. Wciąż podejmowałem niebezpieczne i groźne przedsięwzięcia, nie wiedząc nawet, co kryje się pod tym postępowaniem.

Ale czy naprawdę byłem tego całkiem nieświadomy? Bo kiedy się głębiej nad tym zastanowiłem, przypomniałem sobie, że w czasie pobytu na Bonaire trapiły mnie dziwne myśli. Jak na człowieka na wakacjach byłem niezwykle spięty. Niepokoiłem się, że w sklepie z przyrządami do nurkowania źle mi napełnią zbiornik powietrza. Bałem się, że w restauracji podadzą mi zatrute jedzenie. Obawiałem się, że mogę mieć poważny wypadek samochodowy. A przecież drogi na wyspie były niemal puste, restauracje nienagannie czyste, zakład obsługujący nurków działał bezbłędnie. Wówczas tłumaczyłem sobie, że te obawy nie mają absolutnie żadnego uzasadnienia. Teraz musiałem uznać, że nie były to

obawy, ale utajone pragnienia.

W każdym razie nie udało mi się tego rozwikłać w czasie pobytu na Bonaire, a cały ten epizod przywrócił mi szacunek do potęgi sił działających w podświadomości. Przekonałem się wreszcie, że moje automatyczne niejako przekonanie, że wiem, co robię, jest po prostu nieprawdziwe.

Uznanie podświadomej motywacji mojego postępowania zmusiło mnie do jego analizy innymi metodami niż tylko świadoma introspekcja, ponieważ to, co mi się wydaje, że robię, nie jest z pewnością tym, co w rzeczywistości robię. Musiałem w jakiś sposób spojrzeć na siebie z pewnej perspektywy.

Uznawanym wówczas sposobem było wysłuchanie spostrzeżeń kogoś postronnego - przyjaciela, znajomego, terapeuty. Można było także zdobyć taką perspektywę, dokonując zmian we własnej świadomości, przyjmując tak zwane „stanowisko świadka”. Tego rodzaju medytacyjne metody zupełnie mnie wtedy nie interesowały. Ale zatrzymałem się przy innej użytecznej technice z całkowicie innych powodów.

Począwszy od mniej więcej 1974 roku, zaczęto przywiązywać znaczną wagę do tak zwanych rytmów okresowych, dziennych rytmów funkcjonowania ludzkiego ciała i wydzielania hormonów. Zauważono, że większość ludzi nie podlega dokładnie dwudziestoczerogodzinnemu cyklowi, ale że ich indywidualny cykl jest nieco krótszy lub nieco dłuższy, co oznacza, że niekiedy jesteśmy zsynchronizowani z cyklem dobowym, a niekiedy nie.

Zwrócono wówczas ponadto uwagę na psychiczne skutki cyklu menstruacyjnego u kobiet. W Anglii mówiło się o uznaniu syndromu napięcia przedmiesiączkowego jako okoliczności łagodzącej wyrok za przestępstwo, które w tym czasie popełniła kobieta. I powszechnie się z tym godzono, że wiele kobiet podlega miesięcznym fluktuacjom nastrojów i zachowania.

Zacząłem się zastanawiać nad tym, czy istnieje także męski cykl menstruacyjny. Albo coś w tym rodzaju. Istnieją przecież fizyczne analogie między obiema płciami - między męską moszną a wargami sromowymi kobiet, między jądrami a jajnikami, penisem a łechtaczką i tak dalej. Wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby u kobiet ukształtował się miesięczny cykl wydzielania hormonów, a nie było nawet śladu takiego cyklu u mężczyzn.

Było to zadanie dla endokrynologów, mnie hormony nie interesowały. Interesowało mnie sprawdzenie, czy istnieje jakaś regularność w pojawianiu się moich nastrojów, regularność, której nie jestem świadomy. Jak ją wyśledzić?

Zapytałem swego przyjaciela, Arnolda Mandella, neurobiologa, jak obiektywnie rejestrować subiektywne nastroje. Bo istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że na podstawie własnych danych można wytworzyć sobie błędny obraz. Arnold powiedział, że najlepszą metodą jest robienie znaków w notatniku, u góry strony, jeżeli nastrój był świetny, a u dołu, jeżeli był paskudny. Więc zacząłem to robić.

A skoro już robiłem te znaczki w dzienniczku, zacząłem także zapisywać kilka zdań na temat minionego dnia. Zawsze uważałem prowadzenie dziennika za nudziarstwo. Coś w duchu Franklinowskim. Ale skoro robiłem to dla szczególnych celów, wszystko było w porządku.

Po paru tygodniach ze zdumieniem przejrzałem swoje notatki. Co dzień jakieś wybrzydzenie. Jedna za drugą jakieś przykre uwagi pod adresem kogoś lub czegoś.

Nie uważałem sam siebie za kogoś szczególnie krytycznie odnoszącego się do świata i ludzi. Ale najwidoczniej taki właśnie byłem. Zacząłem dzień w dzień uważnie siebie obserwować. Chyba

naprawdę byłem często apodyktyczny i złośliwy, nawet kiedy wcale tego nie chciałem. Postanowiłem więc mieć się na baczności i zmienić sposób postępowania. Okazało się to zadziwiająco trudne.

Nigdy mi się nie udało wykryć miesięcznego cyklu zmiany moich nastrojów, choć od czasu do czasu próbuję znów to zrobić. Po latach zaprogramowałem swój komputer do zapisywania moich reakcji na czystym ekranie. Wciąż podejrzewam, że istnieje taki cykl, może dwumiesięczny, może siedmio - lub ośmiotygodniowy. Ale nigdy tego nie udowodniłem.

Uzyskałem jednak dowód, jak ważne jest prowadzenie dziennika, i prowadzę go dotąd. Przeczytałem *ponownie Autobiografię* Franklina i zwróciłem uwagę, że on także robił codzienne zapiski o sobie samym, dokładnie z takich samych powodów co ja. Ten człowiek, będący uosobieniem pragmatyzmu i skrupulatności, uznał, że systematyczne prowadzenie notatek jest jedynym sposobem, by się dowiedzieć, co się właściwie robi.

## *Pahang*

Zainteresował mnie sułtan Pahangu, największego i najbogatszego stanu Malezji. Coś o nim czytałem i słyszałem, że warto obejrzyć obchody jego urodzin - wyścigi konne w ogrodach pałacowych, tańce ludowe tubylców i uroczystość, podczas której jego poddani rytualnie zatrują ryby w rzece i odławiają je potem na świąteczny obiad. Brzmiało to wszystko nader egzotycznie. Dowiedziałem się w konsulacie malezyjskim w Los Angeles, że sułtan obchodzi urodziny pod koniec maja, i na tydzień przedtem poleciałem do Singapuru z nadzieją, że znajdę tam kogoś, kto mnie wprowadzi jako dziennikarza na sułtańskie przyjęcie. A jak mi się to nie uda, to i tak się tam jakoś wcisnę.

Byłem zachwycony pomysłem, żeby wtrzyknąć się bez zaproszenia na urodziny sułtana Pahangu, i wszystkim opowiadałem, że tak zrobię. Brzmiało to tak ekscentrycznie i zuchwale.

Niestety, kiedy przyleciałem do Singapuru, dowiedziałem się, że sułtańskie urodziny wcale nie są w maju. W maju przypadały urodziny starego sułtana, ale ten już zmarł kilka lat temu. Jego syn, obecny sułtan Pahangu, obchodzi urodziny dwudziestego drugiego października. Zjawiłem się tu o pięć miesięcy za wcześnie.

Poczułem się jak idiota. Zastanawiałem się, co mam teraz robić, jeśli już się znalazłem w Malezji. Skoro urodziny przeszły mi koło nosa, postanowiłem coś zwiedzić na prowincji Pahangu. Dowiedziałem się, że jest tu w dżungli park narodowy Taman Negara. Zorganizowanie wyprawy zajęło mi tydzień. Rząd malezyjski potrzebował jednak całego tygodnia na wystawienie mi przepustki na teren parku, gdyż w tamtych okolicach wciąż trwały walki z partyzantką komunistyczną.

Mój przyjaciel Don, u którego się zatrzymałem, udzielił mi pouczeń na temat partyzantów. Don był specjalistą od prawa międzynarodowego, ale brał udział w wojnie wietnamskiej.

- Wiesz, co robić, jeśli wpadniesz w zasadzkę? - zapytał.
- Nie - odpowiedziałem. I istotnie nie wiedziałem.
- Jeśli napadną na twój samochód, masz biec w kierunku strzałów.
- Naprawdę? - Nie wydawało mi się to logiczne.
- Tak. Wyskakuj z wozu i biegnij w kierunku ognia.
- Dlaczego?
- Bo oni to robią tak: dwóch chłopaków ustawiają po jednej stronie drogi i ci otwierają ogień, a cała reszta po drugiej stronie czeka, że wyjdiesz z wozu po ich stronie. Więc kiedy wysiądziesz, mają cię jak na widelcu. I o to im właśnie chodzi.

Zakonotowałem sobie w duchu: uciekać w stronę ognia.

- Pewnie nic się nie zdarzy - dorzucił Don - ale dobrze jest wiedzieć o takich rzeczach. Masz kompas?

Powiedziałem, że nie mam. Będę miał przewodnika.

- O Jezu! Nigdy nie wchodź do dżungli bez kompasu. I postaraj się o jakąś porządną mapę. To nie będzie łatwe, ale spróbuj ją zdobyć w Kuala Lumpur.

- Dobrze. Zdobędę.

- A wiesz, jak sobie radzić z pijawkami?

Don miał mnóstwo wiadomości. Pouczał mnie do późna w noc. Wnet poczułem się pełen energii. Kupiłem kompas, mapę i poleciałem do Kuala Lumpur na spotkanie z moim przewodnikiem. Był nim młody chiński biolog Dennis Young. Wyruszyliśmy w drogę tego samego dnia.

A oto jak się jedzie do Taman Negara.

W Kuala Lumpur, nowoczesnej stolicy Malezji, wsiada się do wozu terenowego i zaczyna podróż. Przez pierwsze trzy godziny droga jest dwupasmową brukowaną szosą wiodącą przez górzysty teren porosły dżunglą. Potem jest jednopasmowa brukowana droga, potem droga ziemna, a dalej tylko szlak wśród bagien. Po wielogodzinnej jeździe ów bagnisty szlak kończy się na rzece, w miejscu zwanym Kuala Tembeling. Kuala oznacza „ujście rzeki”, a większość tutejszych wiosek rozsiadła się u zbiegu rzek.

W Kuala Tembeling trzeba się przesiąść do długiej, wąskiej motorowej łodzi i płynie się nią w górę rzeki Tembeling, o niewiarogodnie spokojnym nurcie, mijając małe wioski rozsiane wśród dżungli. W miarę upływu godzin wiosek jest coraz mniej, a dżungli coraz więcej. W końcu wiosek już wcale nie ma. Jest tylko dżungla.

Po trzech godzinach łódź przybija do brzegu w miejscowości Kuala Tatian. Stoi tam kilka brzydkich murowanych budynków - pawilon restauracyjny i cztery czy pięć domków dla gości. To właśnie Taman Negara, dawniej prywatna posiadłość sułtana Pahangu, obecnie park narodowy.

Nigdy przedtem nie byłem w dżungli. I na pewno nigdy dotąd nie byłem tak daleko od cywilizacji. To miejsce było urządzone całkiem starannie, a Dennis najwyraźniej był oblatany i znał się na rzeczy. Jednak czułem się tak daleko od wszystkiego, co jest mi znane. Nie przyznałem się, że oblatuje mnie strach, ale czułem się wylękniony.

Natychmiast ruszyliśmy do najbliższej kryjówki obserwacyjnej. Dennis opowiada, że w Taman Negara żyją tygrysy, nosorożce i słonie, ale są płochliwe i rzadko da się je zobaczyć. Mamy zachowywać się bardzo cicho, bo inaczej się nam nie pokażą.

Po wejściu w głąb dżungli Dennis daje mi znak milczenia i już się do siebie nie odzywamy. Wspinamy się po drewnianych schodkach i zasiadamy w kryjówce: jest to drewniany szałas na wzniesieniu, z wąskimi okienkami wychodzącymi na polanę. Na polanie leży kopczyk soli otoczony odcisniętymi w błocie śladami wielu zwierząt. Ale w tej chwili nie widać żadnego.

Czekamy w milczeniu.

Bardzo mi to odpowiada, że mogę nie rozmawiać. Spędziłem całe lata na pisaniu, a nie na gadaniu. Milczenie mi nie przeszkadza. Patrzymy na porośłą trawą polanę ze słoną lizawką i czekamy na pojawienie się zwierząt.

Wkrótce nadchodzi jakaś angielska para. Zasiadają z nami w kryjówce i rozmawiają ze sobą. Kładę palec na ustach. Szepcą „Och, przepraszam” i milkną na trzydzieści sekund. Potem zaczynają szeptać. Myślałem, że muszą mieć coś ważnego sobie do zakomunikowania, ale wcale tak nie jest, ot, taka pusta gadanina. Nie lubię się wtrącać do cudzych spraw, ale proszę ich, by zechcieli być cicho. Dennis tłumaczy im, że jeśli w kryjówce nie będzie panowała kompletna cisza, żadne zwierzę się nie pojawi. Odpowiadają mi, poirytowani, że i tak nie ma tu przecież żadnych zwierząt. Milkną na parę minut, potem jedno z nich zaczyna bębnić palcami po ławce, a drugie oskubywać zeschnięte trawy uszczelniające belki szałasu, potem zapalają papierosy i wkrótce znowu szepczą, potem rozmawiają przyciszonym głosem, a potem już całkiem zwykłym tonem.

Kiedy na nich spoglądam, znów milkną, a po chwili wszystko zaczyna się od nowa.

Uświadamiam sobie, że ci ludzie nie potrafią zachować ciszy. Są niezdolni do milczenia. Chcą obejrzeć zwierzęta, ale nie potrafią usiedzieć cicho dostatecznie długo, by mogły się pojawić. Przyglądam się im ze zdumieniem. Wydaje się, że cierpią na swoisty rodzaj biegunki. Byliby zażenowani, gdyby się okazało, że nie wiedzą, do czego służy ubikacja, ale nie okazują najmniejszego zażenowania swoją niezdolnością do usiedzenia cicho dłużej niż kilka sekund.

Wreszcie odchodzą. Zostajemy z Dennisem sami na następną godzinę. Nie pojawia się żadne zwierzę.

Wracamy do kryjówki po obiedzie. Wieczór jest widowiskowy, bo pociemniałe niebo żarzy się od cichych błyskawic na pogodę, rzucających niebieskawe światło na polanę przed nami.

Otoczająca nas dżungla odzywa się wieloma głosami. Świerszcze cykają przenikliwie, cicho rechocą żaby. Sowa wydaje w przelocie krótki urwany krzyk, który rozlega się echem w dolinie.

Koło dziesiątej głosy zaczynają zamierać. O północy jest już całkiem cicho. Nie przyszło żadne zwierzę. Idziemy spać.

Mieszkam w domku pod numerem piątym. Dennis mówi mi, że mieszkał tu sułtan, kiedy przebywał w swojej letniej rezydencji. To już jest coś. Śpię w domu sułtana. Przynajmniej to mi się udało.

Następnego dnia wędrujemy po dżungli. Ścieżki w parku narodowym mają ponad trzy metry szerokości. Dennis tłumaczy, że trzeba je wycinać tak szeroko, bo dżungla szybko odrasta. Przy drodze spotykamy kwitnący czerwono imbir, palmy pnące i od czasu do czasu małe storczyki, ale krajobraz jest przeważnie jednostajnie zielony. Jest tu bardzo ciemno i gorąco.

Dennis obiecał, że zobaczą gibony, i słyszymy je wszędzie, jak hałasują w koronach drzew nad nami, wydając wyraźne poszczekiwanie. Słyszymy także, jak się przedzierają przez gałęzie, ale żadnego nie udaje mi się zobaczyć. W końcu przez lornetkę dostrzegam w oddali cztery czarne sylwetki rysujące się na tle nieba. Potrząsają gałęziami i nikną. Wreszcie zobaczyłem swoje gibony, nigdy nie obejrzę ich lepiej.

Próbując się im przyjrzeć, zboczyliśmy o kilka metrów ze szlaku. Oglądam się i widzę, że otaczają mnie paprocie i trawy mojej wysokości. W każdym kierunku mogę widzieć nie dalej niż na metr przed sobą. Całkiem się zgubiłem.

Dennis śmieje się i sprowadza mnie z powrotem na ścieżkę.

W drodze opowiada mi, że *orang asli*, członkowie plemion zamieszkujących lasy Malezji, mogą tygodniami wędrować po dżungli i nigdy nie zabłądzą. Sam Dennis odbył z tubylcami wiele wypraw przez dżunglę. Pokonywali razem setki kilometrów, a całe tygodnie później, w drodze powrotnej, każdego wieczora trafiali nieomylnie na miejsca swoich dawnych obozowisk.

Pytam, jak to robią. Dennis kręci głową. Nie wie. Spędził mnóstwo czasu w dżungli, ale, jak mówi, nie ma pojęcia, skąd to potrafią. Trzeba się tutaj wychować, powiada. To tak jak w wielkim mieście. Jeśli tam dorastasz, wiesz, jak się w nim obracać.

Wskazuje mi drobne zagrożenia - małego skorpiona na spróchniałym drzewie i pijawki wijące się jak robaki na ścieżce. Dennis idzie boso. Pijawki nigdy nie przysysają się do tego, kto idzie pierwszy, wyjaśnia. Są wyczulone na drgania. Pierwszy człowiek przechodzi spokojnie, a drugi i trzeci już je ma na sobie. Spoglądam w dół i widzę, jak pijawka pełźnie mi po sznurowadle. Dennis mówi, żebym się nie przejmował. Jeżeli się ode mnie nie odczepi, pokaże mi, co mam robić. Myślę:

Jeżeli się ode mnie nie odczepi...

Powietrze pod drzewami jest wilgotne i gorące. Spływam potem. Od czasu do czasu ze ścieżki otwiera się szerszy widok. Drzewa wyglądają jak przysypane barwnym pyłem - czerwonym i żółtym, białym i różowym. Stok wzgórza przedstawia podobny obraz jak jesienne zbocza wzgórz w Vermontie, tylko jest bledszy, jakby wypłowiwały. Dennis wyjaśnia mi, że w tej chwili jest pora sucha i że te drzewa kwitną. Dlatego są takie różnobarwne. Dostrzegam teraz tysiące małych kwiatuszków.

Idziemy dalej przez godzinę i docieramy wreszcie do miejsca, do którego zmierzaliśmy. Jestem całkowicie wyczerpany, nie mogę złapać tchu. Cieszę się, że możemy przez chwilę wypocząć. Zatrzymujemy się i natychmiast poznaję skutki sąsiedztwa tych wszystkich kwitnących drzew.

Pszczoły.

Cała obszerna połać dżungli stoi w kwiatkach i wokół nich roją się tysiące pszczoł. Nie zauważyłem ich w czasie marszu, ale teraz, na postoju, zlatują się do mnie. Łażą mi po rękach i po aparacie fotograficznym, kiedy robię zdjęcia. Spoglądam w dół i widzę je na ramionach i na trykotowej koszulce.

Denis mówi, że mam się zachowywać spokojnie, że ściągnęła je do mnie woń słonego potu. Nie użądla mnie, jeśli będę się poruszał powoli. To właśnie chciałem usłyszeć i natychmiast się odprężam. Nie boję się pszczoł i nie mam na nie uczulenia. Tych kilka pszczoł mi nie przeszkadza. To rodzaj ciekawego doświadczenia.

Pszczoły nadal mnie obsiadają.

Czuję, jak łużą mi po policzkach i po czole, czuję je w uszach i słyszę brzęk ich skrzydełek. Widzę, jak łużą po oprawce moich okularów. Łaskoczą, chodząc po powiekach. Wciskają się do ust. Już nie jestem odprężony.

Chce mi się wrzeszczeć.

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to powstrzymać się od krzyku. Oblepiły mi okulary tak gęsto, że ledwie widzę Dennisa. Na nim siedzi zaledwie kilka pszczoł, uśmiecha się więc do mnie.

- Wolą ciebie - mówi. - Jesteś taki przyjemnie słony.

Staram się zapanować nad oddechem, nie łapać spazmatycznie powietrza. Udaje mi się. Oddycham równo, ale i tak w każdej chwili mogę zacząć krzyczeć.

- Dokuczają ci te pszczoły? - pyta Dennis.

- Trochę - odpowiadam.

- Jeżeli tak - mówi Dennis - to możemy stąd pójść, a pszczoły odlecą.

Ale jestem zbyt zmęczony, by ruszyć się z miejsca. Muszę jeszcze przez chwilę ścierpieć te pszczoły. I kiedy tak pełzają po mnie, w dół po koszuli i w górę pod pachy, i po karku, i między palcami, kiedy wszędzie je czuję, zdaję sobie sprawę, że tylko czekam, aż która mnie użądli. Gdybym naprawdę wierzył, że żadna tego nie robi, mógłbym czuć się spokojny.

- Nie użądla cię - powtarza Dennis. - Po prostu chcą cię polizać. Są bardzo łagodne.

To wprost niepojęte, że mnie nie żądla. Mam już na sobie pszczelą skorupę. Siedzi ich na mnie tak dużo, że odczuwam ich ciężar.

I dotąd mnie nie użądliły. Patrzę, jak moja pierś usiana pszczołami wznosi się i opada. Już nie chce mi się robić zdjęć; zresztą przez pszczoły i tak mało co widzę.

Wreszcie Dennis pyta:

- Możesz już wracać?



- Tak - odpowiadam.

Powoli ruszamy. Pszczoły jedna po drugiej odlatują. Za chwilę jestem od nich wolny. Żadna mnie nie użądliła.

Tego popołudnia spotykam kilku *orang asli* z plemienia Semajów. Są to niscy, przysadziści negroidalni mężczyźni z kędzierzawymi włosami, różni od Malajów i Chińczyków, którzy stanowią tu większość ludności. Uważają mnie za zabawnego, bo jestem taki wysoki.

Jeden z tych mężczyzn, jak się okazuje, gotuje gwoździe w garnku. Mówią mi, że przygotowuje truciznę. Semajowie ściągają sok z drzewa *ipoh*, a potem gotują w nim gwoździe i głowy węży (Dennis twierdzi, że te głowy to tylko dodatek rytualny i nie mają wpływu na skuteczność wywaru). Uzyskana w ten sposób trucizna powoduje konwulsje i śmierć u zwierząt nawet tak dużych jak małpy.

Obok inny mężczyzna praży chiński tytoń z cukrem. Semajowie wolą go palić, kiedy jest spreparowany w ten sposób.

Ludzie wydają się spłoszeni. Dennis mówi, że zawsze zachowują się nieco dziwnie, bo nawet teraz, w dwudziestym wieku, Malajowie strzelają do nich dla sportu. Krążą opowieści o sułtanach Malezji, jeżdżących na maskach swoich bentleyów i strzelających w dżungli do tych małych leśnych ludzi.

Dennis opowiada, że tubylczy szamani cieszą się wielkim poważaniem i często wybitne osobistości malajskie zasięgają u nich porad w przypadku ciężkiej choroby. Semajowie nazywają swoich szamanów *berhalak*, co oznacza kogoś, kto popada w trans. Semajowie wierzą, że każdy z ich plemienia potrafi zapadać w trans, a zatem każdy jest w pewnej mierze szamanem, ale niektóre jednostki są do tego szczególnie uzdolnione i dlatego stają się prawdziwymi szamanami, którzy potrafią zwalczać złe duchy i leczyć ludzi z chorób. Na ogół obwołuje się szamanem tego, któremu przyśni się tygrys, i uważa się, że najpotężniejsi szamani są wcieleniami tygrysów.

Sny to ważny element życia Semajów i nawet sny małych dzieci omawia się tu szczegółowo, zachęcając dzieci do dalszego śnienia. Semajowie wierzą, że mogą kierować swoimi snami.

Tę noc spędziliśmy w kryjówce o kilometr od Kuala Tahan. Oddalenie nawet od tego stopnia cywilizacji jest podniecające. Jestem pewien, że tej nocy zobaczę tygrysa. Czuję to. Czuwam godzinami, przyglądając się błyskawicom na pogodę oświetlającym krajobraz. Ale nigdy nie zobaczyłem tygrysa.

Rano budzę się w kryjówce zziębnięty i zeszywniały. Dennis gdzieś sobie poszedł. Spoglądam przez okno na solną lizawkę. Pochyla się nad nią, przyglądając się odciskom zwierzęcych łap w błocie.

- Ślady dzikiej świni - mówi. - Przegapiliśmy ją.

Dzika świnia nie wydaje mi się zbyt zachęcająca. Co do mnie, jestem rad, że się przespałem, zamiast czuwać przez całą noc, żeby zobaczyć dziką świnię.

- Nie było tygrysów?

- Tej nocy nie było.

Spływamy łodzią z prądem do Kuala Trengganu, gdzie widzimy na skraju rzeki warana i fruującego nad nami dzioborożca. Potem na mokrym brzegu dostrzegamy ślady tygrysa. Wszyscy się entuzjasmują, że znaleziono te ślady, ale ja czuję się jeszcze bardziej zawiedziony: widzę tylko

ślady wszystkiego, nigdy rzeczy samej.

Planowaliśmy sobie, żeby z Kuala Trengganu udać się w górę jakiejś mniejszej rzeczki, ale wiosłarze powiedzieli, że w okresie suszy poziom wód jest za niski i nie da się popłynąć.

Wciąż rozżalony sprawą tygrysa, mówię im, żeby spróbowali.

Wzruszają ramionami i uprzedzają, że daleko nie dopłyniemy.

Nalegam, żeby jednak spróbować.

Uśmiechają się ze wzruszeniem ramion i ruszamy w górę rzeki. Niemal natychmiast siadamy na mieliźnie. Łódź trzeba przenieść wyżej, by ją ominąć. Wsiadamy, przeciągamy łódź, gramolimy się do niej z powrotem, szorujemy po skalistym dnie. Udaje się nam popłynąć ze sto metrów do następnej mieliżny. Znow wsiadamy i przeciągamy łódź. Robimy to jeszcze trzy razy, w końcu oświadczam, że nie ma sensu dalej się trudzić. Poziom wody w rzece jest istotnie za niski.

Wzruszają ramionami i uśmiechają się. Wracamy. Nikt się nie odzywa.

W powrotnej drodze znow się interesuję śladami tygrysa i chcę się zatrzymać, żeby je obejrzeć. Ale fala kilwateru naszej łodzi zmyła brzeg do czysta. Wszystkie znikły.

Tego wieczora po obiedzie wracam z Dennisem po ciemku do swojego domku. Dennis oświetla las latarką i mówi:

- Mat jest tutaj.

- Mat? - Para żarzących się oczu i jakiś ciemny kształt na ziemi.

- Tak. I jedno z jej dzieci.

Dostrzegam drugą parę oczu.

Dennis idzie w tym kierunku, ja za nim. Za chwilę widzę, że Mat jest ciężarną łanią. Spoczywa spokojnie na ziemi. Kiedy się zbliżamy, Mat wstaje. Jest piękna, ma blisko dwa metry wysokości i zachowuje spokój, nawet gdy do niej podchodzimy.

Dennis wyjaśnia, że słowo *mat* oznacza po malajsku piątek, co upamiętnia fakt, że właśnie tego dnia przed kilku laty łania wyszła z dżungli i podeszła do osiedla. Wieśniacy ją nakarmili, a ona pozostała. Niektóre sztuki z jej potomstwa także tu przychodzą.

- To z powodu Mat nie hoduje się tutaj kóz - mówi Dennis. - W wioskach malajskich ludzie chętnie hodują kozy, a potem je jedzą, ale kiedy pojawiła się Mat, mieszkańcy tej wioski zauważyli, że nie lubi kóz i może je stratować kopytami - I co wtedy zrobili?

- Już nie hodują kóz.

- Ale przecież tak je lubią.

- Tak, wiem. Ale pojawiła się Mat, więc oni już nie hodują kóz.

Historia Mat i wieśniaków stała się dla mnie symbolem całej tej mojej wyprawy. Wieśniacy spotkali łanię, łania z nimi pozostała, więc dlatego nie jadają już swego ulubionego mięsa. To wszystko.

Potrafiłbym wymyślić wiele innych rozwiązań. Zbudowałbym specjalne ogrodzenie dla kóz. Spróbowałbym przyuczyć Mat, by tolerowała kozy. Hodowałbym kozy w sąsiedniej wiosce i sprowadzał je do siebie dopiero w ostatniej chwili. Zdobyłbym zamrażarkę i przetrzymywał w niej mrożone kozie mięso. A może przepędziłbym Mat, by nie pojawiła się więcej.

Krótko mówiąc, walczyłbym, a ci wieśniacy po prostu pogodzili się z sytuacją i żyją sobie dalej.

Zacząłem zdawać sobie sprawę, ile razy podczas tej podróży odebrałem nauczkę, że trzeba

godzić się z sytuacją.

Pszczoly - nie lubię ich, ale musiałem je znosić. Nic nie mogłem na nie poradzić.

Niski poziom wody w rzece - chciałem popłynąć w górę rzeki, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Nieobecność zwierząt - przykro mi było, że ich nie spotkałem, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Nie mogłem sprowadzić deszczu; nie mogłem napełnić” wyschłych rzek ani powstrzymać dżungli od kwitnienia, ani kazać dzikim zwierzętom, by się przede mną ujawniły. Nad tym wszystkim nie miałem władzy i musiałem się z tym pogodzić. Tak jak musiałem się pogodzić z obecnością tamtej gadatliwej pary.

Zacząłem sobie uświadamiać, że chociaż nie mogli przestać gadać, ja sam miałem znacznie większy problem. Nie umiałem zaprzestać starań, by podporządkować sobie wszystkich - łącznie z tą parą. Nie mogłem pozostawić spraw własnemu biegowi. Byłem człowiekiem miejskiej cywilizacji, przyzwyczajonym do tego, że kieruje wydarzeniami. Pouczano mnie niezliczone razy, że mam działać i kształtować rzeczywistość, bo zachowanie mniej aktywne oznacza haniebną bierność. Całe życie przeżyłem w miastach, walcząc ramię w ramię z innymi walczącymi ludźmi. Jeśli chcemy cokolwiek spowodować, wszyscy walczymy. Walczymy o małżeństwo, posadę, podwyżkę wynagrodzenia, uznanie, dziecko, nowy samochód, nowe życie, nowy status, następny nabytek.

Żyłem w tak gorączkowo czynny sposób przez ponad trzydzieści lat i kiedy wreszcie doszedłem do tego, że próbowałem zapanować nad całym swoim życiem i pracą, i wszystkimi wokół mnie, znalazłem się dziwnym przypadkiem w malajskiej dżungli i doświadczyłem szeregu zdarzeń, nad którymi w żaden sposób nie umiałem zapanować. I nigdy nie będę umiał. Te zdarzenia przypomniały mi, że mam swoje ograniczenia - i to dość duże, biorąc rzecz szeroko - i że nie ma sensu tak się starać o władzę nad wszystkim, jak ja to robię, choćbym nawet to potrafił.

Kiedy wróciłem do domu, zauważyłem, że czuję się znacznie lepiej. Nie byłem tak wypoczęty, jak się niekiedy zdarza po wakacjach, ale czułem się lepiej w całym znaczeniu tego słowa. Przez długi czas nie mogłem się domyślić, dlaczego.

W Los Angeles nikt nawet nie wiedział, gdzie leży Malezja. Ludzie pytali, po co się tam wybrałem. Opowiadałem im o łani imieniem Mat i o wieśniakach, którzy przestali się odżywiać kozim mięsem. Nie była to wstrząsająca opowieść i nikt się nią zbytnio nie przejął, a ja się zastanawiałem, dlaczego wciąż ją opowiadam. Co jest w tej łani i tych wieśniakach? pytałem sam siebie. Aż wreszcie pewnego dnia pojąłem.

Dziesięć lat po tej wyprawie do Pahangu zapisałem te o niej wspomnienia w Los Angeles. Potem się przebrałem i poszedłem na gimnastykę.

Podczas ćwiczeń zauważyłem, że mam na sobie tę samą niebieską trykotową koszulkę, którą nosiłem w dżungli przed dziesięciu laty, kiedy obsiadły mnie pszczoły. Zawsze bardzo ją lubiłem, choć już mocno wypłowiała. Była to jedna z najstarszych sztuk mojej odzieży.

Po powrocie do domu wyrzuciłem ją.

Dosyć tego. Przetrzywanie rzeczy jest moim sposobem panowania nad własnym życiem. Za bardzo jest w nim obecna przeszłość. Wyrzuciłem tę koszulkę. To chyba krok we właściwym kierunku.

## *Słoń naciera!*

W roku 1975 zamieszkaliśmy, ja i Loren, w Craig Farm, na rancho państwa Craigów, którzy urządzili sobie zajmujący dwieście pięćdziesiąt kilometrów kwadratowych rezerwat przyrody w północnej Kenii. Poznaliśmy się z Loren przed rokiem i nasz namiętny romans rozwijał się właśnie w najlepsze. Wspólna wyprawa wydała się nam świetnym pomysłem. Pojechaliśmy do Craig Farm, bo chciałem sobie pospacerować między zwierzętami, co było zabronione w rządowych rezerwach przyrody.

Studiowałem kiedyś antropologię i po tylu latach pracy na uczelni miałem nadzieję, że zdobyłem pewne, choć skromne, ale za to całkiem bezpośrednie doświadczenie, pozwalające mi rozumieć, co to znaczy być prymitywnym myśliwym w afrykańskiej sawannie. Wyobrażałem sobie, jak się podkradam do dzikich zwierząt, podchodząc do nich niebezpiecznie blisko, tak że mogę widzieć, jak mięśnie napinają się im pod skórą, i obserwować ich zachowanie. Potem na jakiś nieuchwytny znak - może to z mojej winy, może trzasnęła gałązka pod moją stopą - odrzucają w tył głowy, lęklonie rozglądają się wokół i uciekają w popłochu. Ale wcale tak nie było.

Zwierzęta dostrzegały mnie z odległości pół kilometra i spokojnie sobie odchodziły. Jeśli próbowałem się do nich podkraść, oddalały się szybciej. Nigdy mi się nie udało podejść bliżej. Nigdy nie zauważyłem, że są zaniepokojone, nie mówiąc już o wpadaniu w popłoch. Nie odrzucały w tył głów. Spoglądały na mnie od czasu do czasu wyraźnie znudzonym wzrokiem, patrząc na żałosne podkradanie się do nich, i wolno odchodziły.

William Craig, który towarzyszył mi na przechadzkach, wyjaśniał, że każde zwierzę zachowuje właściwą dla siebie odległość od człowieka. Jakby zakreślały wokół siebie niewidzialny krąg. Jeżeli się przekracza jego linię, zwierzę po prostu odchodzi, póki nie przywróci właściwego oddalenia. Dla większości zwierząt wynosi ono jakiś ułamek kilometra.

Spędzaliśmy dzień, kryjąc się na otwartych równinach pośród zebra, żyraf i antylop, mając za sobą w tle ośnieżony szczyt Mount Kenya. Było to ekscytujące przeżycie, ale niosło ze sobą również rozczarowania.

Podkraść się, na przykład, do żyrafy (tak jak na filmach robią to Pigmeje) jest znacznie trudniej, niż to sobie wyobrażałem. Żyrafy nie są takimi głuptasami, na jakie wyglądają; mają doskonały wzrok i lubią się trzymać z zebrawi, zwierzętami o znakomitym węchu.

Zdałem sobie sprawę, że podchodzenie zwierząt jest umiejętnością, podobnie jak skok o tycze. Wygląda całkiem zwyczajnie, kiedy inni je wykonują, ale kiedy się człowiek sam do tego zabierze, spotyka go niespodzianka.

Nic nadzwyczajnego nie zdarzyło się tego dnia. Odkryłem, że zebry galopują jak konie, ale ujadają jak psy. Szczekanie jest dla nich charakterystycznym sposobem wydawania głosu. Nie widzieliśmy zbyt wielu zwierząt. Żadnych słońi ani lwów, ani innych, naprawdę podniecających zwierzątek.

I wszystkie te zwierzęta wydawały się wręcz obraźliwie obojętne. Nie przerażałem ich, po prostu nudziłem. To właściwie znieważające. Wszystko, co się zdarzyło tego dnia, brałem

osobiście do siebie, a te zwierzęta w swoim naturalnym otoczeniu wydawały się tak gruntownie mną niezainteresowane.

W tym stanie ducha powróciłem wieczorem do obozu Łamu Downs, by spędzić moją pierwszą noc pod gwiazdami Afryki. Nigdy przedtem nie obozowałem, prócz jednej nocy spędzonej na obozie Skautów Hrabstwa Nassau, kiedy miałem jedenaście lat, na Long Island. Ale było to tak daleko od Afryki.

Craigowie pokazali Loren i mnie wszystkie urządzenia: łóżka obozowe, syczące lampki gazowe, prysznic na świeżym powietrzu umocowany z tyłu namiotu i tak dalej. Było to całkiem luksusowe. Poczulem się tu świetnie.

Potem zjedliśmy obiad w obozowej mesie, a Craigowie opowiadali nam o swojej farmie i zwierzętach, które w niej hodują. Byli zatroskani, bo choć był to okres suszy, niepomyślne wiatry już dawno minęły, a słonie gdzieś znikły. Mieli zazwyczaj kilka słoni na swoim rancho, ale nie widziano ich już od całych tygodni. Rozmawialiśmy i jedli, póki nie zapadł mrok.

Po obiedzie Loren i ja poszliśmy do naszego namiotu. Zrobiło się już całkiem ciemno. Stwierdziłem, że nasuwa mi się kilka pytań. Jedno z nich dotyczyło dzikich zwierząt. Podejrzywałem, że te same zwierzęta, których nie umiałem podejść w ciągu dnia, mogą przyjść i odwiedzić mnie w nocy.

Craigowie się roześmieli. Nie, nie. Zwierzęta nigdy nie podchodzą nocą do obozu. Oczywiście zdarzyło się kiedyś, że obudzili się rano i znaleźli wielkiego nosorożca śpiącego na wygasłych resztkach ogniska, które rozpalili poprzedniego wieczora, ale to było coś niezwykłego.

- Jak niezwykłego? - spytałem. Bardzo chciałem to wiedzieć.

Nie zauważyłem dotąd, jak łatwo ludzie jednocześnie udzielają gwarancji bezpieczeństwa i się z niej wycofują.

Zaręczyli, że to absolutnie niezwykle. Niemal nigdy zwierzęta im nie dokuczają.

Zdarza się oczywiście, że jakaś małpa zapiszczy na drzewie i nas obudzi, czy takie rzeczy. Ale co do innych zwierząt, to nie, nigdy.

Mój niepokój znacznie się pogłębił. Kiedy wyobraziłem sobie nosorożca śpiącego tuż obok, płócienna ściana mojego namiotu wydała mi się taka wiotka. Czy jakiś zwierzak nie może wejść do namiotu?

- O nie - powiedzieli. Oczywiście, zdarzyło się kiedyś, że lampart rozdarł pazurami ścianę namiotu i śmiertelnie przeraził śpiącą w nim pewną panią. Obudziła się z takim wrzaskiem, że wystraszyła zwierzę. Ale to było w jakichś szczególnych okolicznościach. Nie mogą sobie już dokładnie przypomnieć, o co wtedy chodziło. Trzymali jedzenie w namiocie, a może ta pani miała okres - w każdym razie było to coś całkiem szczególnego. Nie może się zdarzyć, żeby lampart przyszedł i rozszarpał namiot bez żadnej przyczyny.

- Naprawdę? - spytałem.

- Naprawdę - zapewnili Craigowie, trochę już nudni z tą swoją grą w „tak, ale...” - Naprawdę, w nocy wokół obozu nie ma żadnych zwierząt. Zwierzęta nie lubią bliskości ludzi i tu nie podchodzą. A zresztą czy widzicie te latarnie?

Pokazali nam trzy niegasnące na wietrze latarnie rozmieszczone pośród namiotów. Te lampy świecą się przez całą noc, wyjaśnili, a światło odstrasza zwierzęta. Możecie być pewni. Żadne zwierzę nie pojawi się przy namiotach. Widzicie ten strumień za obozem? Czasem jakiś zwierzak pojawia się na drugim brzegu. Ale nigdy na tym, gdzie stoją namioty i latarnie, i gdzie są ludzie.

- Śpijcie dobrze - powiedzieli nam wesoło na dobranoc.

Loren i ja zasunęliśmy błyskawiczny zamek namiotu i położyliśmy się spać.

Loren często wyjeżdżała w dzieciństwie na obozy i całkiem spokojnie zasnęła w namiocie wśród dżungli. Ja natomiast byłem zbyt zdenerwowany, żeby zasnąć. Czytałem przez chwilę, mając nadzieję, że w końcu zmorzy mnie sen.

Ale wciąż czujnie nasłuchiwałem odgłosów z zewnątrz.

Nie było żadnych odgłosów z zewnątrz. Panował całkowity spokój. Czasem odezwała się jakaś cykada, wiatr lekko zaszumiał w drzewach akacjowych. Poza tym cisza. Na pryczy po drugiej stronie namiotu Loren odwróciła się od światła. Widziałem jej barki, jak rytmicznie wznoszą się i opadają. Pomyślałem: Ona przecież nie może po prostu już spać.

- Hej - szepnąłem - śpisz?

- To noc, prawda?

- Jesteś zmęczona?

- Idź spać, Michael.

- Nie jestem zmęczony.

- To zamknij oczy i niech ci się zdaje, że jesteś zmęczony.

Usłyszałem coś na dworze, jakiś odgłos.

- Hej, słyszałaś?

- To nic takiego. Ja już śpię, Michael.

Wkrótce potem Loren już pochrapywała. Zazdrościłem jej tej łatwości zapadania w nieświadomość.

Mnie natomiast zachciało się siusiać.

Starłem się zapomnieć o tej potrzebie. Nie wyjdę nocą z namiotu za nic w świecie. Namiot z latryną jest kawał drogi stąd, po drugiej stronie obozowiska.

Po pewnym czasie stwierdziłem, że jednak nie mogę o tym zapomnieć. Musiałem coś zrobić. Zajrzałem pod łóżko, żeby sprawdzić, czy nie ma tam nocnika. Craigowie to Brytyjczycy. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Nocnika nie było. Obejrzałem pozasuwane na zamki błyskawiczne klapy namiotu, żeby sprawdzić, czy uda mi się to jakoś zrobić bez wychodzenia na zewnątrz. Nie było sposobu.

Usłyszałem teraz wewnętrzny głos przemawiający do mnie: Na miłość boską, Michael, weź się w garść. Czego się boisz? Ciemności? A jak sądzisz, co tam takiego jest? Nie bądź śmieszny! Dobrze, że Loren śpi, bo straciłbyś jej szacunek. Dorosły mężczyzna boi się wyjść z namiotu na siusiu!

A inny głos mówił: Słuchaj, wcale nie musisz iść daleko. Możesz to załatwić o trzy kroki stąd. I pomyśl, o ile lepiej się potem poczujesz.

Ponieważ teraz było mi już bardzo pilno, wsunąłem na stopy pantofle, rozsunąłem zamek namiotu, wstrzymałem oddech i wychyliłem głowę na zewnątrz.

Było ciemno jak w studni. Latarnie, które miały się palić przez całą noc, zgasły. A przecież nie wybiła jeszcze północ.

Czułem się jak postać z filmu rysunkowego z tą głową sterczącą z namiotu, z napiętymi mięśniami karku, wyczekując, nasłuchując, wypatrując czegoś.

I nic. Nic tam nie było. Żadnych odgłosów, żadnych zwierząt, niczego. Oczy mi przywykły do ciemności, a nadal niczego nie widziałem. Uświadomiłem sobie, że wstrzymuję oddech.

Wyskoczyłem, wyszedłem poza liny namiotu, ulżyłem sobie, rzuciłem się do środka i zasunąłem zamek.

Już jestem bezpieczny!

Rozejrzałem się po namiocie. Loren spała, cicho oddychając. Zdumiało mnie, jak ona tak może. Zasnęła tak łatwo, jakby była w przyjemnym, bezpiecznym pokoju hotelowym.

Zazdrościłem jej, ale z drugiej strony ktoś przecież musiał czuwać tutaj w buszu. Zgasilem światło i położyłem się na plecach, całkiem rozbudzony, wsłuchując się w odgłosy. Nie było żadnego.

Panowała zupełna cisza. I zbliżała się już północ.

Mimowolnie zacząłem zapadać w sen, kiedy nagle usłyszałem wyraźny trzask. Był to trzask gałęzi łamiącej się pod stopą. Potem usłyszałem jakiś łomot. Coś wielkiego przedzierało się przez wyschłe krzaki.

Brzmiało to tak, jakby to był słoń.

Bardzo blisko.

Loren wciąż spokojnie spała.

Słuchałem dalej. Przez chwilę była cisza, a potem znów usłyszałem łomot. Odzywał się w leniwym rytmie, dokładnie takim, jak krok słonia. W każdym razie, cokolwiek to było, było to ogromne i bardzo bliskie.

Słuchałem dalej, a kiedy już nie mogłem wytrzymać, szepnąłem:

- Hej, śpisz?

- Uhm - odpowiedziała sennie, przewracając się na plecy.

- Posłuchaj - powiedziałem. - Tam coś jest.

Natychmiast się ocknęła i usiadła, oparta na łokciu.

- Gdzie?

- Tam, na dworze! Coś wielkiego. To chyba słoń.

Znów opadła na plecy.

- Słyszałeś, co mówili. Od tygodni nie ma tu żadnych słoni.

- No to posłuchaj!

Słuchaliśmy razem przez dłuższą chwilę.

- Nic nie słyszę - stwierdziła zirytowana. - Dlaczego szepczemy? odezwała się już normalnym głosem.

- Przysięgam ci - powiedziałem normalnym głosem - że coś słyszałem.

I właśnie wtedy dźwięk znów się powtórzył. Bardzo wyraźny i donośny.

Loren usiadła wyprostowana.

- Jak myślisz, co to może być? - szepnęła.

- Słoń.

- Widziałeśgo?

- Nie. - Właściwie do tej pory nie próbowałem zobaczyć źródła dźwięku. - Chyba nie możemy go zobaczyć. Wszystkie latarnie zgasły i na dworze jest ciemno jak w studni.

- Zaświeć latarkę. - Mieliśmy w namiocie silną latarkę na baterie.

- Dobrze. Gdzie ona jest?

- Koło łóżka.

- W porządku.

Znów odezwał się łomot. Jeśli mnie uszy nie myliły, źródło tego łomotu musiało być tuż, tuż, o kilka metrów od nas.

Z latarką w rękę podpełzłem do zamka błyskawicznego. Otworzyłem małą klapkę wentylacyjną, przesłoniętą siatką dla ochrony przed komarami, i zapaliłem światło. Ale odbiło się tylko od tej siatki i nic nie mogłem przez nią dostrzec.

- Co tam widzisz?

- Nic.

- Musisz otworzyć namiot. No co, boisz się?

- Tak.

- Dobrze - powiedziała Loren. - Ja to zrobię.

Wstała z łóżka, wzięła latarkę i podeszła do frontowej klapy. Rozsunęła zamek od dołu na jakieś dziesięć centymetrów. Znów rozległ się ten hałas na dworze.

- To chyba gdzieś blisko - szepnęła, nieco speszona.

Czekałem.

Rozsunęła dalsze dziesięć centymetrów zamka i na kilka sekund zaświeciła latarką na zewnątrz. Potem z powrotem zasunęła zamek i zgasiła latarkę.

- No i co? - zapytałem.

- Nic nie widziałam. Chyba nic tam nie ma.

- To skąd ten hałas?

Łoskot znów się odezwał, wciąż słychać było trzask łamanych gałęzi.

- Chyba nic tam nie ma - powtórzyła Loren. - To wiatr.

- To nie jest wiatr.

- Więc sam popatrz.

Wziąłem od niej latarkę. Podeszedłem do klapy wyjściowej i znów usłyszałem te trzaski.

- Jak myślisz, co to może być? - spytała, nasłuchując.

- Myślę, że to słoń.

- Przecież słyszałeś, co mówili. To nie może być słoń. To musi być coś innego. Jakiś wielki ptak na drzewie czy coś takiego.

Rozsunąłem zamek na cały metr i zaświeciłem latarką na zewnątrz. Stożek światła wbił się w ciemność. Poruszyłem nim wokoło. Zobaczyłem gałęzie drzew. Potem coś okrągłego i brązowego, a nad tym czymś jakieś zwisające kosmyki. Nie mogłem od razu rozpoznać, co to jest.

Nagle rozpoznałem: Patrzę na olbrzymie oko, a te kosmyki to rzęsy. Słoń był tak blisko, że krąg światła latarki padał prosto na jego oko. Stał o trzy metry ode mnie. Był ogromny. Jadł trawę i gałęzie krzewów.

- To jakiś cholerny słoń - szepnąłem, gasząc latarkę. Czuję się dziwnie spokojny.

- Żarty sobie stroisz! - szepnęła Loren. - Słoń? Widziałeś go?

- Tak.

- To dlaczego zgasiłeś światło?

- Nie chcę go wystraszyć.

Pomyślałem, że słoń może nie chcieć, żeby mu ktoś świecił latarką prosto w oko. Nie chciałem, żeby się rozzłościł lub przestraszył i stratował namiot. Nic nie wiedziałem o stanach emocjonalnych słoń, ale ten wydawał mi się spokojny i nie było sensu tego zmieniać.

Loren wyskoczyła z łóżka i wzięła ode mnie latarkę.



- Daj mi popatrzeć. Gdzie on jest?

- Nie ma obawy. Nie przegapisz go.

Zaświeciła latarką na zewnątrz namiotu i zeszywniała z wrażenia.

- Jest tuż obok.

- Przecież ci mówiłem. - Nie mogłem się powstrzymać od pewnego tonu wyższości; to ja miałem rację, twierdząc, że to słoń.

- A oni mówili, że zwierzęta nigdy nie przechodzą przez rzekę, i takie tam rzeczy...

- Nie wiem. Ale wiem jedno, że tuż przed namiotem stoi olbrzymi słoń.

- I co teraz zrobimy?

- Nie wiem.

- Czy myślisz, że on nam zrobi coś złego? Ja myślę, że nie.

Loren miała zwyczaj zadawania pytań i odpowiadania na nie, nie czekając na czyjąś twierdzącą czy przeczącą odpowiedź.

- Nie mam pojęcia, co robi.

- Myślisz, że powinniśmy próbować stąd uciec?

- Chyba nie - powiedziałem. - Chyba nie powinniśmy wychodzić z namiotu.

- Może od tyłu, tam gdzie jest pryznic?

- Nie sędzę.

- To może zawołajmy o pomoc. Ich namioty są tuż za drogą.

- Krzyki mogą go rozdrażnić - powiedziałem. - A zresztą co im powiemy?

- Powiemy, że mamy słonia przed namiotem.

- A co oni zrobią?

- Nie wiem, ale przecież muszą wiedzieć, co robić, kiedy słoń stoi przed namiotem turystów.

- Obawiam się, że krzyki mogą go zdenerwować.

- Może go jakoś przepłoszemy.

- On jest znacznie od nas większy.

- Więc co możemy zrobić? - spytała.

Przez cały ten czas, kiedy omawialiśmy nasze plany, słoń spokojnie sobie spacerował w zaroślach przed namiotem, objadając liście i stąpając ciężkim krokiem. Nie był rozdrażniony. Zresztą wszystkie nasze plany nie nadawały się do realizacji.

Wróciłem do łóżka.

- Co ty robisz? - zdenerwowała się Loren.

- Wracam do łóżka - odparłem spokojnie.

- Jak to? Kiedy ten niebezpieczny słoń jest tuż obok namiotu?

- Nic na to nie możemy poradzić - powiedziałem - więc możemy pójść spać.

I tak właśnie zrobiłem. Przysłuchując się, jak słoń buszuje w przyległych krzakach, szybko zasnąłem.

Następnego ranka po śniadaniu powiedziałem:

- Ale, ale, byłbym zapomniał. Zauważyłem wczoraj wieczorem słonia przed namiotem.

Och, nie, powiedzieli. To niemożliwe. Już od dawna nie widziano tu słoni z powodu suszy, zresztą i tak nigdy nie przechodzą na drugą stronę rzeki.

- A jednak był przed naszym namiotem.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Świeżo upieczony badacz przyrody, zwykle nie ma pojęcia o niczym, a jednak płaci za pobyt i należy zachować się wobec niego grzecznie. Ktoś odkasznął i zasugerował, że może się jednak pomyliłem.

- Nie - powiedziałem. - To był słoń. I w dodatku wielki.

- No dobrze - westchnął mój przewodnik i przyjaciel Mark Warwick, znakomity dwudziestotrzyletni przyrodnik. - Chodźmy zobaczyć.

Poszliśmy wszyscy razem i zbadaliśmy grunt wokół namiotu. Pełno tam było odchodów słonia, których trudno nie zauważyć. Na miękkiej ziemi widniały odciski jego nóg wielkości olbrzymich półmisków.

- Racja - powiedzieli. - W nocy był tu słoń!

- I to wielki! - ktoś dorzucił.

- Podeszedł tuż pod sam namiot. Nie napędził wam chyba strachu?

- O nie - odpowiedziałem. - Wcale nie.

- Dobrze się spało?

- Doskonale. W ogóle mi nie przeszkadzał.

I to była prawda. Kiedy przestałem się bać, spałem naprawdę dobrze. Zdziwiła mnie, kiedy już zobaczyłem to gigantyczne oko, nagle odmiana mojego stanu emocjonalnego - od z trudem dającej się opanować hysterii do najpełniejszego spokoju. Jak to się stało?

Przez długi czas uważałem, że zachowałem się tak, ponieważ jestem rozsądnym człowiekiem, który, stanąwszy oko w oko ze słoniem, rozważa wszystkie możliwości - uciekać, wołać o pomoc, przepłoszyć zwierzę i odrzuciwszy je wszystkie, podejmuje sensowną decyzję, by położyć się spać.

Ale później zdałem sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy tacy. Wszyscy możemy wpaść w panikę w sytuacji, na którą nie możemy mieć wpływu. A co bym zrobił, gdybym tak miał raka? Gdyby moja posada była zagrożona? Gdyby moje dzieci popadły w narkomanię? Gdybym zaczął łysieć? Gdyby przed moim namiotem pojawił się słoń?

Co, gdybym się musiał zmierzyć z czymś strasznym, z czym nie umiałbym sobie poradzić?

I histeria mija natychmiast, jeżeli jesteśmy gotowi usłyszeć odpowiedź. Nawet jeśli ta odpowiedź potwierdza nasze lęki. Tak, masz raka Tak, twoje dzieci popadły w narkomanię. Tak, przed twoim namiotem jest słoń.

Teraz rodzi się pytanie, co robić w takiej sytuacji. Uczucia, jakie cię ogarniają, mogą nie być przyjemne, ale histeria mija. Histeria towarzyszy naszemu wzdraganiu się przed spojrzeniem na to, co się naprawdę dzieje. Boimy się na to spojrzeć, choć w istocie to nasz opór przed takim spojrzeniem rodzi w nas strach. W chwili, kiedy na to spojrzemy, przestajemy się bać.

Wcale nie jest łatwo przewidzieć, co się zrobi w danej sytuacji. Pamiętam, że w 1968 roku przygotowywałem się do nurkowania z łodzi na morzu koło Wysp Dziewiczych. Obok mnie pewien mężczyzna zakładał na siebie pełny ekwipunek. Zainteresowało mnie to, gdyż był to przewodnik podwodny, a przewodnicy zazwyczaj nie zabierają ze sobą zbędnego oprzyrządowania. W końcu za ramię na łydce wetknął sobie nóż. Przez całe życie widywałem nurków zabierających ze sobą nóż, ale nigdy nie wiedziałem, po co to robią.

Zagadnąłem go:

- Przepraszam, ale po co pan zabiera ten nóż?

- No, wie pan, na wszelki wypadek.
- Na jaki wypadek?
- No, gdyby coś się przytrafiło.
- Na przykład co?
- Na przykład liny się zaplączą i trzeba je przeciąć, żeby się uwolnić.
- Jak to się może zdarzyć?
- A choćby na wraku. Jak się nurkuje w głąb wraku, to można się zaplątać.
- Ale tu nie ma żadnego wraku.
- Wiem, ale zawsze dobrze jest mieć przy sobie nóż. Widzi się coś ładnego, na przykład kawałek koralu, no to się go odcina i zabiera ze sobą.
- Tu jest teren chroniony, park podwodny, nie wolno stąd nic zabierać.
- Wiem, ale są także inne powody.
- Jakie?
- Obrona.
- Obrona przed czym?
- Przed tym, co jest tam na dole. Powiedzmy, przed rekinami.

Nóż miał raptem dwudziestocentymetrowe ostrze. Próbowałam sobie wyobrazić taką walkę pod wodą.

- I ten nożyk panu pomoże w walce z rekinem?
- Sakramencko dobrze.
- Pan sądzi, że przetnie mu pan tym skórę? - Wiadomo, że skóra rekina jest bardzo twarda.
- O tak, z pewnością. Przetnę.
- I wyobraża sobie pan, że można zabić rekina takim nożykiem?
- Czemu nie? Można.
- Oczywiście, żeby dźgnąć rekina, musi pan być okropnie blisko niego, prawda? Rekin chyba nie pod pływa tak blisko.
- Robi tak czasem, wie pan.
- Wiem. Ale rzecz w tym, że kiedy zobaczy pan rekina, zamiast uciekać w bezpieczne miejsce, musi się pan do niego zbliżyć, żeby go zaatakować tym swoim nożem.
- O nie, tak bym nie zrobił.
- Nie zrobiłby pan?
- Nie. Cofnąłbym się. Na pewno. Widzi pan, ten nóż jest na wszelki wypadek. Gdyby mnie gonił.
- Gdyby pana gonił, zamierzyłby się pan na niego nożem?
- No nie. Pewnie uderzyłbym go w nos rękojeścią. Pan wie, rekiny mają bardzo wrażliwe nozdrza. Jak się w nie trąci, zazwyczaj odwracają się i uciekają.
- To dlaczego nie uderzyłby go pan w nos kamerą? - zapytałam, wskazując palcem ten element jego wyposażenia, leżący tuż obok. - Trzymają pan przecież cały czas w rękach. Znacznie łatwiej uderzyć rekina wielką kamerą niż małą rączką nożyka.
- Tak, pewnie tak bym zrobił - powiedział.
- Więc po co panu ten nóż?
- Nigdy nie wiadomo - odparł i dał nura w wodę.

Nie mogłem się z nim spierać.

Później, kiedy wypłynęliśmy po nurkowaniu i znów znaleźliśmy się w łodzi, wyciągnął swój

nieużywany nóż i powiedział:

- Wie pan, myślałem o tym, o co mnie pan pytał, po co noszę przy sobie ten nóż. Wie pan po co?

- Po co? - spytałem.

- Bo czuję się wtedy bezpieczniej.

Z tym także nie mogłem się spierać.

- Po prostu czuję się na wszystko przygotowany, kiedy mam ten nóż.

- Ojej! - powiedziałem. - Wszystkie rekiny, jakie widziałem, wydały mi się takie wielkie, takie silne i szybkie. Nie sądzę, bym czuł się lepiej, wiedząc, że mam przy sobie nóż.

Spojrzał na mnie nagle.

- To pan widział rekiny? - zapytał.

Kiedyś razem z bratem nurkowaliśmy na Bora-Bora. Na łodzi było jeszcze dwóch nurków, mężczyzna i jego dziesięcioletni syn. Ponieważ chłopak był jeszcze mały, nurkowaliśmy w lagunie, a nie po zewnętrznej stronie rafy.

Ojciec chłopca nie mógł mówić o niczym innym tylko o rekinach.

- Czy tu w pobliżu są rekiny?

- Nie ma niebezpieczeństwa, niech się pan nie martwi - powtarzaliśmy mu. Właściwie laguna była pełna białonosych rekinów rafowych. Widywało się je ciągle, widziało się je, kiedy weszło się do wody, już o parę metrów od hotelowej plaży.

A mężczyzna mówił:

- No, nie martw się, synku. Nie ma tu żadnych rekinów. - Był zdenerwowany, mówił szybko, ręce mu się trzęsły. Tymczasem dzieciak zgoła się rekinami nie przejmował. Po prostu chciał nurkować.

Zanurzyli się pierwsi.

- Mam nadzieję, że temu facetowi nic się nie stanie - powiedział mój brat. Bo było pewne, że zobaczy rekiny, tam na dole.

Wyskoczyliśmy z łodzi i popłynęliśmy swoją drogą, badając ławice koralowe. Chwilę potem zobaczyliśmy, że ten człowiek wyciąga synka na powierzchnię. Dzieciakowi zabrakło już powietrza. On sam wrócił na dół i przyglądał się koralom. Robił pod wodą zdjęcia, posługując się fleszem.

Za chwilę zobaczyliśmy, że podpłynął, krążąc wokół niego, białonosy rekin. Wstrzymałem oddech, czekając, że facet wpadnie w panikę. Ale on go nie widział. Był zaabsorbowany swoimi zdjęciami.

Pokazały się inne rekiny. Mijały go z lewej strony. Mijały go z prawej. Prześlizgiwały się nad nim, prześlizgiwały się pod nim. Przez dziesięć minut miał koło siebie chyba z tuzin rekinów.

Będąc już z powrotem na łodzi, powiedział:

- Świetnie się nurkowało, prawda?

- Świetnie - zgodziliśmy się chórem.

- Dzięki Bogu, nie widziałem żadnego rekina - powiedział. - Nie wiem co bym zrobił, gdybym jakiegoś zobaczył.

## *Kilimandżaro*

Zakład stoi jak siedem do jednego - powiedział mój towarzysz podróży. - W jakiej sprawie? - spytałem - Że nie wejdiesz na szczyt Kilimandżaro. Zrobiliśmy głosowanie i wynik był siedem do jednego, że nigdy się tam nie wdrapiesz.

Było późne popołudnie w obozie w Ngorongoro Crater w Tanzanii. Kończyło się już moje dwutygodniowe safari w Afryce z przewodnikiem Markiem Warwickiem. Następnie miałem w planach zdobycie Kilimandżaro. Ale dotąd właściwie o tym nie myślałem.

- Ciekaw jestem - powiedziałem do Marka - jak ty głosowałeś.

- Ja głosowałem na nie.

- Ty także myślisz, że nie potrafię tego zrobić?

- Tak.

- Wszedłeś kiedykolwiek na Kilimandżaro?

Potrząsnął głową.

- Nie jestem szalony. Słyszałem, co opowiadali ludzie, którzy stamtąd wracali.

- A ja słyszałem, że to całkiem łatwe. Po prostu spacerek.

- Wiele ludzi zawraca z drogi - uprzedził. - Nie łudź się. To jest piekielnie trudne wspiąć się na wysokość ponad pięciu i pół tysiąca metrów.

Inaczej to widziałem kilka miesięcy temu, kiedy planując tę wyprawę, czytałem różne przewodniki po Afryce. Była w nich mowa jedynie o tym, że słynna góra Kilimandżaro jest wygasłym wulkanem równikowym, stożkiem o szerokiej podstawie i o zboczach pokrytych popiołem, co oznacza, że choć jest to najwyższa góra Afryki, wejść na jej szczyt jest całkiem łatwo bez specjalnego wyposażenia technicznego i znajomości sztuki alpinistycznej. Ponieważ Kilimandżaro wznosi się na równiku, warunki klimatyczne na niej są stosunkowo łagodniejsze niż na innych wysokich górach. Wspięcie się na szczyt nie przedstawia większych trudności. Co roku wchodzą tam tysiące ludzi. Jest to pięciodniowa wyprawa, którą bez trudu organizuje każda agencja turystyczna. Wyglądało na to, że cała sprawa to błahostka.

Siedząc na podłodze mojego domu w Los Angeles, obłożony przewodnikami, powiedziałem do Loren:

- Popatrz tylko, możemy się wspiąć na Kilimandżaro. Chcesz?

- No pewnie - odparła. - Czemu nie?

Zadzwoiłem więc do mojej agentki w biurze podróży i powiedziałem, że chciałbym wejść na Kilimandżaro, a ona na to, że nie ma sprawy; doradziła mi, by przedtem odbyć safari, i przypomniała, by zabrać ze sobą odpowiednie buty i kurtki futrzane, i to by było wszystko.

Nigdy nie byłem na żadnej wspinaczce, ale miałem buty wycieczkowe, które dostałem przed paru laty przy nakręcaniu jakiegoś filmu. Nosilem te buty przez tydzień na pustyni i pamiętałem, że były całkiem wygodne - nie za bardzo, ale znośnie. Miałem starą futrzaną kurtkę jeszcze z czasów bostońskich. Zapakowałem sweter i dodatkową parę dzinsów; agentka mi powiedziała, że we wszystko inne zostaniemy zaopatrzeni na miejscu.

Skoro to jest po prostu marsz pod górę, wierzyłem, że sobie poradzę. Raz w tygodniu grywałem

w tenisa i nie byłem potem zbyt zmęczony. Ale na wszelki wypadek przez ostatnie dwa dni na safari zmniejszyłem dzienną dawkę papierosów i piwa. Na wszelki wypadek.

I oto teraz mój towarzysz i przewodnik, biały myśliwy, który zabrał Loren i mnie na dwutygodniową podróż po Afryce, mówi mi w miłym afrykańskim zmroku, kiedy powietrze robi się chłodne i zachodzi słońce, i sznur dzikich zwierząt przeciąga wolno przez równinę Ngorongoro, ten człowiek mi mówi, że i on, i ludzie, którzy prowadzą ten obóz, doszli do wniosku, że nigdy nie potrafię wejść na szczyt Kilimandżaro.

Spojrzałem na niego z politowaniem, jak na kogoś wprowadzonego w błąd.

- Nie sądzę, by to było dla mnie trudne - oświadczyłem.

- Czy byłeś kiedyś na znacznej wysokości?

- Oczywiście - odpowiedziałem, próbując to sobie przypomnieć. Jako dziecko byłem na lodowcach w Kanadzie, odwiedzałem jakichś krewnych w Boulder w stanie Kolorado. Oczywiście, bywałem na znacznych wysokościach.

Nie sądziłem, że to ma takie wielkie znaczenie.

- Pięć i pół tysiąca metrów to bardzo wysoko - powiedział Mark, kręcąc głową. - Na takiej wysokości wszystko jest inaczej.

- Uhm - potwierdziłem bez przekonania. Nadal uważałem, że ma o mnie niewłaściwe pojęcie, a w każdym razie czegoś nie rozumie.

Mark uznał ogólnikowość mojej reakcji za wyraz z troskania.

- No, nie martw się - powiedział ze śmiechem, klepiąc mnie po ramieniu. - Po prostu żartowałem.

- Wcale nie.

- Ależ, zaręczam ci, że tak.

- O co się założymy, że tam wejdziesz? - zapytałem.

- Michael, to był tylko żart. Bierzesz wszystko zbyt poważnie.

Ale ja trwałem przy swoim.

- Stawiam ci obiad, kiedy wrócimy do Nairobi. - Wymieniłem francuską restaurację, o której kiedyś mi wspomniał, że jest dobra i droga.

Przyjął zakład.

- No dobrze - powiedział - ale jak potwierdzimy, że rzeczywiście wszedłeś na sam szczyt?

- Myślisz, że cię okłamię?

Uniósł w górę ręce.

- Po prostu pytam, skąd będę wiedział. Zakład to zakład. Jak mi tego dowiedziesz?

- Będą zdjęcia - powiedziałem. - Będę robił zdjęcia.

- Nie będą jeszcze wywołane - Wywołam je dla ciebie w Nairobi.

Okazało się, że w Nairobi nie można wywołać kolorowych zdjęć. Film należałoby wysłać do Anglii, a to trwałoby całe tygodnie.

- Uzyskam zaświadczenie od przewodnika albo od kogoś innego.

- Może być sfałszowane.

- No dobrze. Loren ci powie, czy wszedłem, czy nie.

- To prawda - zgodził się, kiwając głową. - Loren mi powie, czy ci się udało tam wejść.

Ustaliliśmy zatem, że po powrocie do Nairobi, jeżeli Loren mu potwierdzi, że osiągnąłem szczyt Kilimandżaro, on stawia mi obiad. Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl.

- A jeśli Loren nie wejdzie?

Mark pokręcił głową.

- Chłopcy opowiedzieli się sześciu przeciw dwóm, że ona wejdzie. O nią się nie martwili. Martwili się o ciebie.

- Wspaniale - powiedziałem.

Hotel Marangu stał u podnóża góry. Jego kierowniczką była przemiła starsza pani, Niemka z pochodzenia. Hotel był przedtem domem farmera; urządzony po spartańsku, ale miał wszelkie wygody. Uznałem, że istnieje tylko po to, by zapewnić nocleg turystom mającym się wspiąć na górę. Mówiono mi, że wiele jest takich hotelików w okolicy.

Po kąpieli Loren nadmieniła, że miała pod dostatkiem gorącej wody.

- No tak - powiedziałem. - Muszą ją tu mieć. Kiedy ludzie schodzą z góry, muszą mieć gorącą wodę bez żadnego cyganienia.

Gdy Loren się kąpała, ja wyszedłem do ogrodu za hotelem. Był wczesny wieczór. Choć zbliżaliśmy się do Kilimandżaro przez dwa dni, dotąd nie widziałem góry z powodu mgły. Nie mogłem jej zobaczyć także i teraz, ale w ogrodzie pośród róż na drewnianym podeście było przypięte małe zniszczone zdjęcie przedstawiające górę i drogę na nią prowadzącą. Kiedy obejrzałem to zdjęcie, wydało mi się, że Kilimandżaro wznosi się na wprost przed nami.

Wróciłem do pokoju i wyznałem Loren, że czuję się nieco zawiedziony, nie mogąc obejrzeć góry, na którą jutro mamy się wspiąć. Loren było to chyba obojętne. Niewiele ją obchodził ten abstrakcyjny aspekt całej przygody.

Tego wieczora w stołowym pokoju o ciemnej, wyfroterowanej do połysku podłodze była prócz nas jedna tylko grupka gości - jakaś rodzina amerykańska przy sąsiednim stoliku: mąż, żona i ich kilkunastoletni syn. Niemal się do siebie nie odzywali, a na ich twarzach malował się wyraz oszołomienia; ich ruchy, nawet kiedy podnosili do ust łyżkę z zupą, odznaczały się niezwykłą oszczędnością w wydatkowaniu energii. To byli ludzie, którzy mieli jakieś ciężkie przejścia za sobą.

Byłem pewien, że właśnie zeszli z góry.

- Dlaczego ich nie zapytasz - odezwała się Loren - jak było?

W wigilię naszej wyprawy to pytanie nieustannie drażyło nasze myśli. Czuliśmy się wręcz upojeni oczekiwaniem. Nasz stan upojenia stał w jaskrawej sprzeczności z przygnębieniem i ośpieniem amerykańskiej rodziny. Oczekałem do chwili, kiedy już będą wychodzić, i gdy mijali nasz stolik, zapytałem, czy wspięli się na sam szczyt.

Tak. Właśnie stamtąd zeszli po południu.

- Wszyscy weszliście na szczyt? - spytała Loren.

Tak, wszyscy weszli.

- A czy ktoś z was nie mógł się tam wspiąć?

Nie byli pewni, ale słyszeli o grupie angielskich studentów z innego hotelu, która wspięła się w tym samym czasie. Kilku z nich nie dało rady i zawrócili. Dostali choroby wysokościowej.

W czasie rozmowy wyraz ośpienia nie zniknął z ich oczu. Nie umiałbym określić, czy byli tak zmęczeni, czy rozczarowani, czy przydarzyło się im coś, o czym nie chcieli mówić.

- No, a jak tam było? - zapytałem różnym głosem. - Jak wspinaczka?

Umilkli. Wyglądało na to, że nikt nie chce odpowiedzieć na to pytanie.

Patrzyli po sobie. Wreszcie żona powiedziała:

- Dobrze. To była dobra wspinaczka.

- Trudna?

- Miejscami. Czwarty dzień nie był łatwy. Reszta była znośna. Peszyło mnie głucho brzmiące głosy, zamknięte w sobie. My byliśmy ich ciekawi, ale oni nie okazywali żadnego zaciekawienia nami. Nie pytali nas, skąd jesteśmy, nie pytali, czy zamierzamy wspinać się na górę. Nie udzielali nam żadnych rad ani wskazówek. Po prostu niebyt chętnie odpowiadali na nasze pytania. Potem rozmowa umilkła, powiedzieli nam dobranoc i poszli sobie.

- Uff! - westchnęła Loren, patrząc w siad za nimi.

- Na co my się porywamy? - powiedziałem.

- Ja myślę, że oni są po prostu zmęczeni.

Spałem niespokojnie i obudziłem się tuż po świcie. Wyszedłem do chłodnego ogrodu. Mgła się przerzedziła i po raz pierwszy dostrzegłem wznoszący się ponad różami rozległy biały stożek Kilimandżaro. Jego podstawa była tak szeroka, że poczułem się rozczarowany: wyobraziłem sobie, że będzie bardziej przypominał stromy stożek Fudzi niż białą kopę śniegu widniejącą teraz przede mną. Wyglądało to tak nieciekawie, że nawet nie chciało mi się zrobić zdjęcia.

Z drugiej jednak strony Kilimandżaro wyglądała bezpiecznie, jakoś macierzyńsko. Bardziej jak pierś niż góra. I to mi dodało otuchy.

Czy naprawdę może tam być aż tak źle?

Kierowniczka hotelu wygłosiła krótki wykład, by nas zorientować w sytuacji. Ku mojemu zaskoczeniu w tym hotelu nie tylko myśmy się szykowali, ale jeszcze sześć innych osób. Musieliśmy się podzielić na dwie czteroosobowe grupy, bo szalasy, w których mieliśmy zatrzymać się na nocleg, są czteroosobowe. Loren i ja utworzyliśmy taką grupę z pewnym prawnikiem z Kalifornii, Paulem Myersem, oraz ze szwajcarskim chirurgiem Janem Newmeyerem. Obaj byli doświadczonymi alpinistami, ale o dobre dziesięć lat starsi ode mnie. Miałem nadzieję, że potrafię dotrzymać im kroku. Loren niczym się nie trapiła. Miała tylko dwadzieścia dwa lata i była w dobrej formie.

Niemka miała mapy i fotografie; wygłaszała takie wykłady niezliczoną ilość razy i robiła to gładko i sprawnie. Dzisiaj, pierwszego dnia wejdziemy przez strefę lasów na wysokość trzech tysięcy metrów. Drugiego dnia przekroczymy strefę górskich łąk i dojdziemy do czterech tysięcy metrów. Trzeciego dnia dotrzemy do zimnej, wietrznej przełęczy między dwoma szczytami Kilimandżaro i spędzimy noc w blaszanym baraku na wysokości czterech i pół tysiąca metrów, u podstawy pokrytego popiołem i lawą stożka. Następnego dnia przewodnicy obudzą nas o drugiej i zaczniemy wspinać się jeszcze po ciemku, żeby znaleźć się na szczycie wczesnym rankiem, kiedy jest najlepsza pogoda i najlepsza widoczność. Jeżeli będziemy się trzymać tego rozkładu, każdy wejdzie na szczyt. Niedawno, powiedziała, wspinał się tam pewien sześćdziesięciolatek. Przyszedł trochę w tyle za innymi, ale osiągnął szczyt bez większych trudności. Należy pamiętać, że tam na górze jest o połowę mniej tlenu niż na poziomie morza. Główną sprawą na takiej wysokości, powiedziała, to się nie spieszyć. I dodała coś raczej osobliwego: że nie powinniśmy pozwalać, by nasi przewodnicy pchali nas naprzód. Czasami proponują, że będą nas popychać, ale sami się przekonamy, że to niewielka pomoc. Uprzedziła nas o niebezpieczeństwie choroby wysokościowej, że mamy natychmiast wracać, jeśli napadnie nas suchy kaszel.

Ze szczytu zejdziemy na nocleg na wysokości czterech tysięcy metrów, a następnego dnia wrócimy do hotelu. Razem cała wyprawa zajmie nam pięć dni. Przejdziemy łącznie sto szesnaście



kilometrów. Przewodnicy i tragarze są dobrze wykwalifikowani. Jeżeli potrzebujemy odzieży, dostarczy się nam do pokoju, kiedy będziemy się pakować. Jest pewna, że będziemy mieli udaną wycieczkę i życzy nam szczęścia.

Grupa wyrusza z hotelu różnym krokiem. Obok nas idzie dzieciarnia z pobliskich wiosek, zebrząc w łamanej angielszczyźnie. Świeci słońce, ciepły poranek niesie ze sobą nastrój wyczekiwania, przygody. Jestem ogromnie podniecony. Nigdy dotąd nie robiłem nic takiego i jestem pewien, że mi się to opłaci.

Nim minęła godzina, mój entuzjazm się ulatnia. Zebrzące dzieciaki przypominają mi, że nie jesteśmy żadnymi pionierami wytyczającymi nowe drogi, ale czymś w rodzaju pasażerów w podróży po dokładnie wytyczonym turystycznym szlaku. Ich przymilność mnie drażni, bo została już wypróbowana na moich poprzednikach, a to mi przypomina, że całe tysiące przeszły tę drogę przede mną.

Mgła gęstnieje, nie widzimy już góry, celu naszych dążeń. Maszerujemy po zakurzonej drodze przez biedne wioski, widoki nie są zbyt zachwycające, a dzień nie jest już ciepły, ale upalny. Oblewam się potem. Ubranie uwiera mnie w pasie, pije w kroczu i pod pachami. Co gorsza, czuję, że mam bąble na nogach, choć nie idę jeszcze nawet godziny.

Zatrzymuję się na poboczu drogi, ściągam buty i oglądam stopę. Loren mówi, że powinienem włożyć dwie pary skarpet, jedną cieńszą pod spodem, a na wierzch grubszą. Macham tylko ręką na te jej mądrości doświadczonej bywalczyńi obozów. Z moimi stopami wszystko będzie w porządku. Opatrze je sobie wieczorem. Mija mnie Paul i nadmienia, że może mi dać krecią skórkę, jeżeli jej potrzebuję. Mówię mu, że nie, że dziękuję i łamię sobie głowę, co to takiego może być ta krecia skórka. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Maszeruję dalej U podnóża Kilimandżaro zanurzamy się w tropikalny las. Jest bujny i piękny ze swymi szmerzącymi strumieniami i nawisami mchu na olbrzymich drzewach, tworzącymi nad naszymi głowami łukowate sklepienia przesłaniające słońce. Jest tu chłodniej, a szlak wiedzie wzdłuż czystego potoku. Na drzewach skrzeczą małpy. Czuję nowy przypływ entuzjazmu. Niebawem jednak wilgotność powietrza, wilgoć uwięziona w gęstwinie drzew, krople wody z nich spadające jak nieustanny deszcz zaczynają mi działać na nerwy. Ubranie mam całkowicie przemoczone. Już się nie zachwycam urodą miejsca, nie raduję czystością wód spadających z gładkich bloków skalnych. I stopy dokuczają mi coraz bardziej.

Z ulgą zanurzałem się w tropikalny las i z ulgą wynurzam się z niego wczesnym popołudniem, wydostając się na otwarte łąki porośnięte trawami wysokimi na dwa metry. Jestem już bardzo zmęczony - zadziwiająco zmęczony - a ścieżka wiodąca przez łąkę jest stroma. Rozważam, jak daleko jeszcze będę musiał iść. Przy drodze nie ma żadnych znaków informujących, gdzie jesteśmy i jak daleko jeszcze do miejsca noclegu. Nie mogąc nic zaplanować ani dostosować kroku do okoliczności, czuję, że moje zmęczenie jest wręcz niezmierne. Jak długo jeszcze będę musiał iść? Godzinę? Dwie? I wtedy widzę ponad trawami belki ustawione w kształcie litery A. To nasze chaty! Już są całkiem blisko. Jest dopiero czwarta. Nie jestem przecież tak naprawdę całkowicie wyczerpany.

Pijemy popołudniową herbatę. Paul i Jan są tu już od godziny. O tyle szybciej szli. Chaty znajdują się na wysokości trzech tysięcy metrów. Powinienem coś odczuwać, ale chyba nie sprawia mi to większej różnicy. Obchodzę wokół baraki i rozglądam się po okolicy. Jestem w świetnym nastroju.

Jedyny problem stanowią stopy. Okropnie bołą. Ściągam buty i widzę, że mam wielkie pęcherze

na piętach i małych palcach obu nóg. Opatruję je plastrami, zjadam wczesny obiad składający się z chleba i puszki wołowiny i idę spać. Paul mówi, że nigdy dobrze nie sypia na takiej wysokości. Spałem źle.

Ogarnia mnie niepokój na myśl o następnym dniu.

Następny dzień jest całkowicie odmienny. Pierwszego dnia krajobraz był urozmaicony - od pustynnej sawanny przez tropikalny las po górskie łąki ale znikąd nie było otwartego widoku, żadnego znaku orientacyjnego, żadnego wskazania, gdzie się człowiek znajduje.

Po prostu szło się pod górę.

Drugiego dnia otaczają nas niezmiennie górskie łąki. O godzinę drogi od baraków schroniska widzimy nagle z doskonałą wyrazistością szczyt Kilimandżaro, jej ośnieżone wulkaniczne stoki. Ogarnia mnie podniecenie. Zatrzymujemy się, żeby zrobić zdjęcia. Tu, na tej łące porosłej niską trawą, z otwartym widokiem, mogę wreszcie zobaczyć, gdzie jestem poruszam się po stoku olbrzymiego stożka. Ale ten wulkan jest tak rozległy, a jego zbocza tak łagodne, że wkrótce już nie można dojrzeć szczytu, jest gdzieś tam przed nami, ukryty za zwodniczo łagodnymi krawędziami. Znowu pozbawiony widoku celu mojej wyprawy upadam na duchu i wypytyuję przewodników, kiedy będziemy mogli znowu zobaczyć Kilimandżaro.

Niezmiennie pokazują mi ziemię pod nogami: „To jest Kilimandżaro”. Kiedy im wyjaśniam, o co mi chodzi, wzruszają ramionami. Chyba nie rozumieją mojej niecierpliwości, że chcę obejrzeć górę, na którą się wspinam. Wreszcie nasz przewodnik Julius mówi:

- Jutro będzie widać ośnieżony szczyt, przez cały dzień. Ale nie dzisiaj, tylko jutro.

Idę dalej. Nie jest już gorąco i miło się idzie po ciemnym gruncie, sprężyste uginającym się pod stopami. Niekiedy nasz szlak staje się głębokim po kolana rowem, wykopanym przez stopy, które tu przeszły przed nami. I spotykamy więcej ludzi po drodze, najwyraźniej są to turyści z innych hoteli, różnego rodzaju i w różnym wieku. Ta różnorodność dodaje mi otuchy.

Ogólnie biorąc, dzień jest przyjemny. Jedynym moim zmartwieniem są stopy, które mi mocno dokuczają. Włożyłem dziś zamiast butów tenisówki, ale co się już stało, to się nie odstanie. I często dostaję zadyszki. Zatrzymuję się na odpoczynek co piętnaście czy dwadzieścia minut. Loren chyba wcale się nie męczy, ale ja mam trzydzieści trzy lata, a ona dwadzieścia dwa. Zauważam jednak, że z biegiem dnia coraz bardziej są jej na rękę moje częste przystanki.

Skoro nie mogę oglądać szczytu, rozglądam się za krzewami lobelii, które, jak mi mówiono, pojawiają się na wysokości trzech i pół tysiąca metrów. Nie wiem, jak wyglądają, ale skoro już jesteśmy powyżej linii lasów, przyglądam się bacznie każdej dziwnej roślinie. Pytam przewodników: „Lobelia? Lobelia?”, ale oni tylko kręcą głowami.

Wreszcie, kiedy zatrzymujemy się na spóźniony lunch, zauważamy obok nas zielonawą roślinę wysoką na mniej więcej półtora metra, o grubych, mięsistych liściach. Julius pokazuje, że to lobelia.

Na każdym przystanku przewodnicy i tragarze siadają i palą papierosy. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Ja sapię i dyszę, i zatrzymuję się dla złapania tchu co piętnaście minut. Przypominam sobie właśnie, że lobelia rośnie na wysokości trzech i pół tysiąca metrów, co oznacza, że jestem zaledwie w połowie drogi.

Zaczynam wątpić, czy kiedykolwiek dojdę do szczytu.

Przez resztę dnia wypatruję już tylko baraków Horomba, gdzie mamy przenocować. Kiedy do nich docieramy, jestem skrajnie wyczerpany i stopy bardzo mnie bołą.

Położenie schroniska jest szczególnie malownicze. Spiczaste chaty usadowione na warstwie

czarnej lawy na wysokości czterech tysięcy metrów wznoszą się już ponad chmury. Powietrze o zachodzie jest tam różowe i purpurowe. Wiem, że znajduję się na wysokości, którą osiągną normalnie tylko samoloty, to zabawne. Ogarnia mnie uczucie oszołomienia. Teraz, kiedy wędruję po obozie, a nie muszę pchać się pod górę, zdaję sobie sprawę, jak mocno działa na mnie ta wysokość: nie mogę swobodnie oddychać, nawet kiedy siedzę. Przypominam sobie pewien termin z akademii medycznej: „dyspneja w czasie spoczynku”, krótkość oddechu w pozycji siedzącej. Nigdy nie wyobrażałem sobie, jaka panika ogarnia człowieka, kiedy nie może złapać tchu.

Rozmyślałam o chorobie wysokościowej, która grozi już na takiej wysokości. Choroba ta sprawia, że płuca napęlniają się płynem. Przyczyna tego jest nieznaną, ale jeżeli dostanie się suchego kaszlu albo bólu głowy, należy natychmiast wracać na dół, bo inaczej grozi to śmiercią. Dla sprawdzenia próbuję zakaszleć. Nie mam choroby wysokościowej.

Prawdziwe moje zmartwienie to stopy. Zwlekam ze ściągnięciem z nich tenisówek, żeby nie oglądać rozmiarów uszkodzeń. Kiedy wreszcie je zdejmuję, widzę, że opatrunek się przesunął i wcale mnie nie chroni. Pęcherze są jeszcze większe niż wczoraj, a niektóre z nich popękały, odsłaniając czerwoną, rozpaloną i niezwykle wrażliwą skórę.

Już jest ze mną marnie, skoro odkładałam na bok dumę i proszę Paula o pomoc. Zerka na moją nogę i wzywa Jana, który jest przecież chirurgiem. Jan wyciąga swoją krecią skórę - okazuje się, że to cienki bawełniany opatrunek, przylepny z jednej strony - i odcina od niej kawałki pasujące do moich bąbli. Zużywamy cały zapas jego kreciej skóry. Prostuje plecy i oznajmia, że jest zadowolony z opatrzenia moich ran. Dziękuję mu.

- Tak - mówi smutno. - Ale to niedobrze wygląda.

- Dlaczego?

- No tak - powiada, patrząc na moje stopy - musisz teraz wracać.

- Nie - odpowiadam.

- Myślę - mówi Jan łagodnie - że nie możesz dalej iść. Musisz jutro zejść na dół.

- Nie - mówię - pójdę dalej.

Siedząc z zabandażowanymi nogami i z trudem łapiąc oddech, jestem zdumiony własną determinacją. Ale to nie jest upór, to tylko logiczne rozumowanie. Maszerowałem przez dwa dni. Gdybym miał wrócić, zajęłoby to również dwa dni. To znaczy razem cztery. A gdybym wytrzymał jeszcze jeden, czyli łącznie pięć dni, to mógłbym w tym czasie dojść na szczyt i wrócić.

Za daleko już zaszedłem, żeby się cofnąć. Przynajmniej ja tak uważam.

Jan wychodzi. Za chwilę pojawia się Loren.

- Rozmawiałam z Janem. Bardzo się martwi o twoje nogi.

- Uhm.

- Mówi, że może się z tego wywiązać brzydka infekcja. Otwartą ranę łatwo zanieczyścić ziemią, i zakażenie gotowe.

Zastanawiam się, do czego zmierza.

- Już rozmawiałam z przewodnikiem - mówi Loren. - Nie będzie z tym żadnych kłopotów. Często tak robią. Odeślą z tobą na dół jednego tragarza i nie będziesz musiał się martwić, że zabłądzisz. I nie martw się o mnie. Paul i Jan będą nade mną czuwać, wszystko będzie dobrze.

Zachowuje się tak swobodnie. Wejście na tę górę nie znaczy dla niej zbyt wiele. Ciekawe, dlaczego tyle znaczy dla mnie.

- Nie wracam - mówię. I jednocześnie zdaję sobie sprawę, że całkiem się nie liczę

z rzeczywistością. Jesteśmy na zboczu góry na wysokości czterech tysięcy metrów. Mam paskudne bąble. Ona ma rację, powinienem wrócić.

- Twoje nogi wyglądają okropnie. Jesteś pewien?
- Tak, jestem pewien.
- No dobrze - stwierdza Loren. - Chyba wiesz, co robisz.
- Wiem.
- Mówią, że jutro będzie najgorszy dzień.
- To świetnie - odpowiadam. - Będę gotów.

Trzeciego dnia wyruszamy wczesnym rankiem. Droga nagle zaczyna się wznosić niemal pionowo; przez godzinę wdrapujemy się na czworakach po pokładach lawy. Powietrze jest tu już znacznie chłodniejsze. Wyruszyliśmy w swetrach, ale wkrótce wciągamy na siebie futrzane kurtki, potem rękawice, potem czapki.

Po dwóch godzinach robimy sobie krótki postój na wąskim nawisie skalnym na przełęczy. Nagle roztacza się przed nami zdumiewający widok. Nareszcie mogę obejrzeć topografię terenu.

Góra Kilimandżaro ma dwa szczyty. Kibo jest szerokim u podstawy, usypanym z popiołów wulkanicznych stożkiem ośnieżonym od południowej strony. Mawenzi wygląda całkiem inaczej - jego sylwetka rysuje się niemal pionową poszarpaną linią prowadzącą ku skalistemu szczytowi, z którego spływają w dół śnieżyste smugi. Mawenzi ma około pięciu tysięcy metrów wysokości, a Kibo 5895 metrów. Oba te szczyty dzieli odległość jedenastu kilometrów, między nimi na wysokości około czterech i pół tysiąca metrów leży pustynny płaskowyż zwany siodłem.

To tutaj właśnie zatrzymaliśmy się na postój, u podnóża Mawenzi, przyglądając się przez owianą wiatrami przełęcz tępo zakończonemu szczytowi Kibo, bezchmurnemu o tej porannej godzinie. Widok wspaniały i ponury zarazem. Po raz pierwszy podczas tej wyprawy czuję, jak jestem bezbrony wobec wrogiego otoczenia. Oto stoję na pustynnym wzniesieniu na wysokości czterech kilometrów. Nie ma tu żadnego drzewka, żadnej roślinki, śladu żadnego życia. Tylko czerwone skały i piach, i mroźny wiatr. Przed sobą, u podnóża Kibo, widzę jakiś błyszczący punkt - to blaszany dach małego schroniska Kibo, gdzie spędzimy noc przed czekającą nas następnego dnia wspinaczką w ciemnościach na wulkaniczny stożek.

Nasze ubranie, w którym przedtem było nam za gorąco i które tak nieprzyjemnie się lepiło, teraz przy tym wietrze wydaje się cieniutkie jak papier. Marznę. Wciągam na siebie wszystko, co mam ze sobą, i razem z Loren ruszamy naprzód przez siodło.

Nawet marsz po równinie jest trudny na tej wysokości i Loren prosi o wypoczynek - po raz pierwszy w czasie całej wycieczki. Koło południa pojawiają się chmury na szczytach i rzucają lotne cienie na pustynię. Jesteśmy teraz na łagodnym stoku prowadzącym do schroniska na wysokości pięciu tysięcy metrów. Odległości są tu zwodnicze. Wydaje się, że do zabudowań schroniska jest jakaś godzina drogi, ale po godzinie nie wydają się nam wcale bliżej.

Idziemy coraz wolniej i kiedy wreszcie docieramy do baraku Kibo, zastajemy już Paula i Jana, którzy doszli tu chwilę przed nami. Czujemy, że nadal poruszamy się bardzo powoli. To dziwne, rozrzedzone powietrze sprawia, że zachowujemy się, jakbyśmy byli pod wodą.

Paul i Jan stracili swój zwykły dobry humor. Właściwie wszyscy są poirytowani, kiedy wreszcie docierają do schroniska. Narzekają na wiatr, na jedzenie, na łóżka, na pogodę. Ogólny nastrój jest ponury.

- Widywałem to już przedtem - mówi Paul. - To wysokość. Z jej powodu jesteśmy tacy rozdrażnieni. I oczywiście wszyscy mają wątpliwości.

- Wątpliwości?

- Czy uda się im zdobyć szczyt.

I ja się właśnie nad tym zastanawiam. Paul jest doświadczonym himalaistą, który wiele razy zdobywał szczyty w Nepalu.

- Ty też masz co do tego wątpliwości?

- Nie tak naprawdę, ale czasem przychodzi mi to do głowy.

Urządzenie schroniska Kibo przywodzi na myśl syberyjskie łagry. Cztery ustawione wzdłuż blaszanej ściany trzypiętrowe prycze. Na środku pokoju miejsce do jedzenia. Przez szpary w ścianach wciska się wiatr. Nikt nie ściąga z siebie ubrania. O piątej mamy obiad. Owsianka i herbata. Nikomu nie chce się jeść. Myślimy o czekającej nas wspinaczce. Musimy dojść do szczytu przed dziesiątą następnego dnia rano, bo potem pogoda może się popsuć, chmury zasłonią widok i na szczycie zrobi się niebezpiecznie. Jeżeli będziemy się wspinać zbyt powoli, narazimy się na ryzyko, że z powodu pogody będziemy musieli zawrócić tuż przed szczytem.

Jeden z przewodników przedstawia nam plan: obudzą nas o drugiej w nocy i podadzą herbatę (żadnej kawy na tej wysokości); wyruszymy po ciemku. Jedna latarka na dwoje ludzi. Mamy trzymać się razem, żeby nie zabłądzić w ciemnościach. Do szczytu jest sześć godzin drogi. Po trzech godzinach dojdziemy do jaskini, gdzie możemy się zatrzymać na wypoczynek, ale nie ma żadnego innego miejsca, gdzie moglibyśmy się zatrzymać, póki nie osiągniemy szczytu i nie wrócimy tu do schroniska. Będzie bardzo zimno. Powinniśmy włożyć na siebie wszystko, co mamy.

Już mam na sobie wszystko, co ze sobą wziąłem. Włożyłem długie kalesony, trzy pary slipów, dwa podkoszulki, dwie koszule, sweter i futrzaną kurtkę. Na głowie mam wełnianą czapę. Tak ubrany idę do łóżka, ściągając z siebie jedynie buty przed wsunięciem się do śpiwora. Wszyscy inni też kładą się spać ubrani. Jesteśmy w łóżkach już o siódmej, milcząco wsłuchani w zawodzenie wichury.

Nie można zasnąć. Ilekroć na chwilę zapadnę w drzemkę, zaraz się budzę przerażony, przekonany, że się duszę, i dopiero potem zdaję sobie sprawę, że to działanie wysokości.

Nie tylko ja to przeżywam. Przez całą noc słyszę w ciemnościach postękiwania i przekleństwa w kilku językach. Odczuwam niemal ulgę, kiedy przewodnik mną potrząsa, wręcza mi plastikowy kubek napełniony pachnącą dymem gorącą herbatą i każe mi się ubierać.

Wokół mnie ludzie wkładają buty i rękawice. Nikt się nie odzywa. Nastrój jest jeszcze bardziej ponury niż wczoraj. Paul zatrzymuje się przy nas i życzy nam pomyślnej wspinaczki. Ciekaw jestem, czy to należy do tradycji wypraw wysokogórskich życzyć szczęścia przed wyruszeniem. Zaszliśmy już przecież tak daleko, zostało nam tak niewiele. Kto by się teraz cofnął? Nikt o zdrowych zmysłach. Zresztą, myślę, nie może tam być aż tak źle.

Bierzemy latarki, opuszczamy blaszany barak i w ciemnościach wspinamy się na górę.

Niemal natychmiast zaczyna się koszmar. Lampiony są bezużyteczne, bo wiatr je gasi. Panuje zupełna ciemność. Nie mogę nic przed sobą dojrzeć, nieustannie potykam się o kamienie i inne przeszkody. Jestem pewien, że byłoby to bolesne, gdybym czuł cokolwiek w nogach, ale są zdrętwiałe z zimna. Nawet kiedy poruszam palcami w butach, nic nie czuję. Kiedy gramolę się w górę, chłód podkrada się do moich nóg; najpierw ogarnia łydki, potem kolana, potem sięga już do połowy ud. Szlak wiodący w górę jest stromy i trudny do pokonania, ale chłód jest tak przenikliwy,

że zatrzymujemy się czasami na odpoczynek na krótką chwilę, tylko po to, by zaczerpnąć tchu w tej czerni i gramolić się dalej. Raczej wyczuwam, niż dostrzegam obecność przewodników, tragarzy i innych turystów. Od czasu do czasu słyszę jakiś głos czy chrząknięcie, ale większość towarzystwa brnie naprzód w milczeniu. Słyszę jedynie wiatr i własny ciężki oddech. Gdy tak idę, mam mnóstwo czasu, by się zastanawiać, czy moje nogi dlatego są odrętwiałe, że je sobie odmroziłem. To moja wina - jestem zupełnie nieprzygotowany do takiej wyprawy. Nie wziąłem ze sobą właściwego wyposażenia, z odpowiednim obuwiem włącznie; to poważne przeoczenie, mogę teraz ponieść za to karę. W każdym razie, czy odmroziłem sobie nogi, czy nie, jestem w tarapatkach. Szczerze mówiąc, nie sądzę, bym mógł zdobyć ten szczyt. Jeszcze przez chwile będę posuwać się naprzód, ale wątpię, czy to długo potrwa. Gdzieś obok słyszę Loren:

- Czy to ty?

- Tak - mówię. - Czujesz nogi?

- Nie czuję ich już od godziny - odpowiada.

A po chwili:

- Słuchaj, co my tu robimy?

To pytanie mnie zaskakuje. Właściwie nie mam na nie odpowiedzi.

- Przeżywamy przygodę - mówię i śmieję się wesoło.

Ona nie odpowiada mi śmiechem.

- To idiotyzm - rzuca. - Wchodzenie na tę górę to idiotyzm.

Jej słowa trafiają mi do przekonania. Nie mam żadnych wątpliwości, że ma rację. To czysty idiotyzm. Jednak uważam, że muszę bronić decyzji o wspinaczce, tak jakbym był jej entuzjastą. Nie chcę, by mnie za nią krytykowano.

Brnę naprzód w ciemnościach, zmęczony, odrętwiałe, łapiąc z trudem powietrze, zmarznięty na kość; przymuszony do forsownego marszu, stawiam nogę za nogą. Noga za nogą. Próbuję złapać jakiś rytm i poruszać się zgodnie z nim.

Rozważanie, czy to idiotyzm, czy nie, nie pomaga mi w utrzymaniu się rytmu. Puszczam mimo uszu to, co powiedziała Loren, i skupiam się na rytmicznym stawianiu kroków. Nie wiem, jak długo tak idę; za wiele trudu wymaga spojrzenie na zegarek. Trzeba by było niezdarnie odciągać jedną warstwę ubrania za drugą, by odsłonić świecąca zieloną tarczę, na której i tak trudno by mi było coś zobaczyć załzawionymi z zimna oczami. Po chwili także i czas staje mi się obojętny. Po prostu idę naprzód.

Dotarcie do jaskini w połowie drogi jest dla mnie niespodzianką. Nie jest w niej ciepło, ale przynajmniej stanowi osłonę przed wiatrem, więc wydaje się w niej nieco cieplej. Możemy tu teraz zapalić lampiony, więc mamy światło. Spoglądamy po sobie. Ludzie zbijają się razem, cicho rozmawiają. Na wielu twarzach dostrzegam przeżyty wstrząs. Nie jestem jedyny, który uważa tę wspinaczkę za koszmar.

Loren siedzi obok mnie i szeptem:

- Słyszę, że ta angielska para zawraca.

- Czyżby?

- Ona jest chora. Jedzie do Rygi z powodu wysokości.

- Och! - Nie wiem, o czym ona mówi, i tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Okropnie.

- A jak twoje stopy?

- Kawałki lodu.

Chwila milczenia, a potem szept:

- Słuchaj, wracajmy!

Jestem wstrząśnięty. Ta kobieta, która ma tyle energii, która tak świetnie panuje nad swoim ciałem, teraz chce się wycofać. Ma dosyć. Chce zrezygnować.

- Słuchaj - mówi Loren - wcale się nie będę wstydziła przyznać, że doszliśmy do pięciu tysięcy metrów, a potem zrezygnowaliśmy. Nie jesteśmy w formie. Pięć tysięcy metrów to cholernie wysoko.

Nie wiem, co powiedzieć. Ona ma rację, myślę.

Loren szybko ciągnie dalej:

- To po prostu głupie. Nie ma żadnego powodu, by to robić. To tylko rodzaj idiotycznego sprawdzania samego siebie. Po co? Kogo to obchodzi? Naprawdę wracajmy. Powiemy wszystkim, żeśmy tam byli. Kto będzie wiedział? To nie ma znaczenia. Nikt się nigdy nie dowie.

Ja będę wiedział, myślę sobie.

I myślę też o wielu innych sprawach, o tym, że nie chcę być dezercerem, i o tym, że dezercja może być zaraźliwa, że kiedy się już raz ucieknie z placu boju, to będzie się uciekać przez całe życie - ale ta cała gadanina o wyczynie sportowym, o sportowych ambicjach... Nie, w to chyba nie wierzę.

Wierzę w jedno: ja będę wiedział. Czuję się złapany w pułapkę wewnętrznej uczciwości. Nawet nie wiedziałem, że ją posiadam.

- Chcę iść dalej - odpowiadam.

- Po co? - pyta Loren. - Dlaczego to dla ciebie takie ważne, żeby wdrapać się na szczyt jakiejś głupiej góry?

- Doszedłem tutaj, mogę dojść dalej - mówię.

Brzmi to wykrętnie. Prawdą jest, że nie mam lepszej odpowiedzi. Kosztowało mnie zbyt wiele bólu i zbyt wiele niepokoju, by dojść aż dotąd, a teraz, tuż przed świtem siedzę w tej jaskini o parę godzin drogi od szczytu i nie mogę się cofnąć.

- Michael, to jest naprawdę głupie - nalega Loren.

Inni wychodzą szeregiem z jaskini, ruszają w górę. Podnoszę się na nogi.

- Idę jeszcze przez godzinę - oznajmiam. - Ty także wytrzymasz jeszcze godzinę. Potem, jeżeli będziesz chciała zawrócić, zawrócimy.

Wyobrażam sobie, że za godzinę będzie już świt i wszystko wyda się jej mniej nieprzyjemne. To ją zachęci, by iść dalej. Sądzę, że nie zrezygnuje, jeśli zobaczy, że ja idę dalej.

A ja idę - dalej. I zadziwiam siebie samego własną siłą i determinacją.

Na tle pięknej, wielobarwnej światłości jutrzeńki poszarpany kontur Mawenzi rysuje się z całą wyrazistością. Mówię sobie, że powinienem zatrzymać się na chwilę, by nasycić oczy tym widokiem, ale nie mogę. Powinienem się zatrzymać, zrobić zdjęcia, aby móc radować się nim później. Nie mogę nawet zrobić zdjęć. Utraciłem zdolność do zrobienia czegokolwiek, co jakaś zwierzęca część mojego mózgu uznaje za zbędny wydatek energii. Robienie zdjęć nie jest koniecznością, więc ich nie robię.

Coś jednak przenika do mojej świadomości. Nigdy nie widziałem nieba tak granatowego. Wygląda jak niebo z fotografii podróży kosmicznych i zdaję sobie sprawę, że tak powinno być, że znajduję się teraz niemal pięć kilometrów nad powierzchnią ziemi i trudno tu się spodziewać normalnego błękitu nieba wytworzonego przez warstwę atmosfery i zawieszzonego w niej pyłu.

I jeszcze jedno - horyzont nie stanowi linii prostej, jest zakrzywiony. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Na tle wschodu słońca jest wygiętym łukiem. Mogę zobaczyć na własne oczy, że stoję na kulistej planecie. Ale to nieprzyjemne uczucie, jakbym oglądał świat przez krzywe okulary. Odwracam oczy.

Stawiam nogę za nogą, nogę za nogą. Podpieram się laską, oddycham i staram się utrzymać rytm kroków. Czekam, aż powietrze się ogrzeje i wreszcie robi się trochę cieplej. Teraz mogę przynajmniej widzieć, dokąd idę. Ale kiedy podnoszę oczy, szczyt wydaje się bardzo daleko. Większość moich współtowarzyszy jest już przede mną, ich kolorowe kurtki ostro odcinają się od płowej barwy skalnego rumowiska.

Brniemy po kostki w wulkanicznym piargu po niemal pionowej stromiźnie. Robi się dwa kroki w górę i zjeżdża krok w dół. Dwa kroki w górę, jeden w dół. Cel wcale się nie przybliży.

W dwie godziny po wschodzie słońca przychodzi najgorsza chwila. Jestem do głębi wyczerpany i nagle uświadamiam sobie, patrząc na turystów wspinających się po zboczu, że idą dokładnie tak jak alpiniści w programie telewizyjnym National Geographic, na jednym z tych filmów, w których nieustraszeni zdobywcy szczytów przedzierają się przez śniegi ze spuszczonej głowami w dokładnie wymierzonym rytmie. Krok, oddech, oddech. Krok, oddech, oddech.

Wspinający się przede mną poruszają się właśnie tak. I ja tak robię. Staję się postacią z serialu telewizyjnego. Przestaję być sobą. Loren ma rację nie spodziewałem się, że będzie tak trudno. Nie jestem do tego stworzony. Nie jestem na tę miarę skrojony. Nie interesuje mnie ta sprawa, ani teraz, ani na przyszłość. Kogo zresztą obchodzi jakaś wspinaczka? Milion ludzi wspięło się już na Kilimandżaro i nie ma w tym niczego szczególnego. To żadne osiągnięcie. Wielka mi sprawa!

Mój przewodnik Julius zauważa, że jestem zmęczony. Proponuje, że będzie mnie popychał. Odmawiam. Proponuje to Loren, a ona się zgadza. Staje za nią, opiera ręce na jej biodrach i pcha ją w górę. Ale jakoś mi się nie wydaje, by tym pomagał Loren. Chyba jednak trzeba to zrobić samemu.

Za chwilę Loren mówi Juliusowi, by przestał ją pchać, i dalej idzie sama. Zdaje się nieświadoma mojej obecności, choć jestem od niej tylko o kilka kroków. Jest pogrążona w swoim własnym świecie i całkowicie skupiona na własnym wysiłku.

Próbuję sobie wyobrazić, co się dzieje w mojej głowie. Zaczynam pojmować, że wspinanie się na tej wysokości jest działaniem umysłowym, ćwiczeniem koncentracji i woli. Zauważam, że niektóre myśli wysysają ze mnie energię, inne natomiast pozwalają mi iść naprzód przez pięć czy dziesięć minut bez konieczności robienia przerw. Staram się ustalić, jakie myśli działają najlepiej.

Ku mojemu zdziwieniu dodające animuszu zdanka („Możesz to zrobić”, „Jesteś wspaniały”, „Tylko tak trzymaj!”) nie pomagają. Rodzą myśli przeciwne, że sam siebie oszukuję i że ostatecznie zawiodę.

Nie pomaga mi także skupienie uwagi na rytmie, liczeniu kroków i oddechów, popadanie w stan bezmyślności. Prowadzi to do umysłowego zubożenia, które nie jest złe, ale także nie jest szczególnie dobre.

To zdumiewające, że skupienie uwagi na własnym wyczerpaniu okazuje się nieszkodliwe. Mogę sobie pomyśleć: „O Boże, jak mnie bolą nogi! Chyba nie zrobię kroku dalej”, a jednak nie zwalniam. Nogi nie bolą mnie przecież bardziej dlatego, że pomyślałem coś, co jest prawdą.

W końcu odkrywam, że dobrze na mnie działa myśl o ciepłym basenie w Kalifornii. Albo o szklance piwa i dobrym obiedzie, na który sobie pójdę, kiedy wrócę do cywilizacji. O palmach na Hawajach i surfing.



O nurkowaniu. O czymś bardzo odległym od sytuacji, w której się znajduję. Jakieś miłe wyobrażenie czy marzenie.

Więc brnąc przez to skalne usypisko, myślę o basenach i palmach. Około ósmej Julius zaczyna okazywać zaniepokojenie. Inni już schodzą ze szczytu - co mam im głęboko za złe - i chce się upewnić, czy zdążymy wejść, nim przeszkodzi nam pogoda. Pytam go, jak daleko jeszcze do tego szczytu. Trzy kwadranse drogi.

Mówi o tych trzech kwadransach już od dwóch godzin.

To nie jego wina. Stoki poniżej szczytu Kilimandżaro stanowią dziwnie mało urozmaicony widok, podobny do tego, jaki ma mrówka spacerująca po obróconej do góry dnem salaterce. Jedyne, co się widzi, to zakrzywioną powierzchnię, zwężającą się w miarę zbliżania się do szczytu. Ale przez cały czas wygląda to tak samo.

Pobyt tutaj jest dramatycznym przeżyciem, bo całym ciałem czuje się stromiznę wspinaczki i dostaje się zawrotu głowy na widok tych, którzy już wspięli się wyżej. Ale kiedy się na to patrzy, nie robi to wielkiego wrażenia.

Julius zaczyna nas przynaglać, przekupując batonem czekoladowym i grożąc nadchodzącymi chmurami. Niepotrzebnie się trzusi. Idziemy tak szybko, jak tylko to możliwe, i wreszcie o dziewiątej docieramy do cypla skalnego Gillmana, na którym na betonowej płycie jest oznaczona wysokość 5699 metrów. Chociaż właściwy szczyt, Uhuru, ma 5895 metrów, większość turystów poprzestaje na cyplu Gillmana i uważa, że to całkowicie zaspokaja ich ambicje. Ja z pewnością postąpię tak samo.

Stoję na szczycie, pozuję do zdjęcia, czytam napis na płycie, patrzę na chorągiewki i na inne ślady pozostawione tu przez poprzednie grupy turystów. Obojętnie patrzę na roztaczający się stąd widok. Nie odczuwam żadnego uniesienia. Nie jestem z siebie zadowolony. Jestem w środku pustki. Po prostu jestem na szczycie. Mimo wszystko się tu wdrapałem i oto jestem.

Loren mówi, że to ja doprowadziłem ją na szczyt, a ja twierdzę, że sama tu weszła. Robimy sobie wzajemnie zdjęcia. I przez cały czas mam w głowie jedną myśl: „Jestem tu. Wszedłem tu”.

Jestem na szczycie Kilimandżaro.

Wrzeszcząc na całe gardło, zjeżdżamy na podeszwach butów po piargu, czasem się przewracając, a potem ześlizgując się w dół na siedzeniach. Wejście ze schroniska Kibo na szczyt zajęło nam siedem godzin, a wracamy tam w godzinę. Z Kibo maszerujemy jeszcze godzinę przez przełęcz. Pogorszenie pogody, którym nam grożono, wreszcie nadchodzi. Chwilami zacina śnieg z gradem. Docieramy w końcu do schroniska Horombo, gdzie zatrzymujemy się na nocleg. Razem wzięwszy, od drugiej rano przeszliśmy dwadzieścia dziewięć kilometrów.

Wieczorem w schronisku oglądam swoje stopy. Kiedy ściągam buty, widzę, że skarpety są poplamione krwią. Szybko wkładam z powrotem buty. Teraz te moje obrażenia już nie mają znaczenia. Juro wieczorem będę w hotelu. Przychodzi Loren z lusterkiem w rękę, pyta, czy chcę zobaczyć, jak wyglądam. Odpowiadam:

- No pewnie.

Nie widziałem siebie od czterech dni. Patrzę na brudną twarz z niechlujnym zarostem, na czerwona skórę i nabiegłe krwią oczy. Ta twarz w lusterku to twarz kogoś zupełnie mi obcego.

Miejscowy handlarz w Horombo sprzedaje piwo, po pięć dolarów butelka, i ma mnóstwo klientów. Paul i Jan kupują sobie po jednej. I ja także. Niemal natychmiast, koło piątej po południu, zasypiam.

Następnego dnia stwierdzam, że spuszczenie się z góry wymaga pracy zupełnie innego zespołu mięśni; jeszcze nie minęło południe, a już trzęsą mi się nogi. Stwierdzam także, że choć pęcherze na pięcie mniej mi dokuczają przy schodzeniu, ale za to wściekle bolą pęcherze na palcach... Dla moich nóg schodzenie nie jest dużo łatwiejsze.

Chociaż wracamy dokładnie tą samą drogą, zadziwia mnie, jak inne wydają się widoki w czasie powrotu. Po części jest to normalne doznanie turysty, każda droga wydaje się inna, kiedy się nią wraca. Ale po części to też sprawa mojego poczucia, że udało mi się zdobyć tę górę. Inaczej patrzę teraz na świat.

W hotelu woda w wannie natychmiast robi się niemal czarna. Żeby się wykąpać do czysta, musimy napełnić wannę dwukrotnie. Siedząc w hotelowym łóżku, ściągam skarpetki i odklejam krecią skórę. Nareszcie mogę dokładnie obejrzeć stopy. Pęcherze są zdarte, a spod nich wyziera sięgający od pięt aż po kostki płacheć krwawiącego, żywego, zanieczyszczonego piachem mięsa. Moje stopy wyglądają tak paskudnie, że polecam Loren je sfotografować, ale zdjęcia wychodzą jak z podręcznika medycznego i później je wyrzucam.

Przez wiele lat skóra na moich stopach została przebarwiona i kiedy byłem na plaży albo zdejmowałem obuwie, ludzi pytali:

- Co z pańskimi piętami? Mają taki dziwny kolor.

Wtedy zaczynałem im opowiadać, jak to się wspinałem na Kilimandżaro. A kiedy patrzyli na mnie jakoś dziwnie, przerywałem opowieść. Wreszcie w ogóle przestałem opowiadać o wyprawie na tę górę.

A oto czego się dowiedziałem: uważałem siebie za kogoś, kto nie lubi wysokości i chłodu, brudu, wysiłku fizycznego i niewygód. A oto spędziłem pięć dni w zimnie i brudzie, całkowicie wyczerpany. Straciłem dziesięć kilo wagi i miałem cudowne przeżycie.

Zrozumiałem więc, że definiowałem siebie zbyt wąsko.

Doświadczenie z wdrapaniem się na szczyt Kilimandżaro wpłynęło na mnie tak bardzo, że jeszcze długi czas potem przyłapywałem się na tym, że jeśli powiem: „Nie jestem kimś, kto lubi wykonywać tę czynność, jeść to a to czy słuchać takiej a takiej muzyki” - natychmiast niemal automatycznie robiłem właśnie to, czego, jak sobie wyobrażałem, nie lubię. Ogólnie biorąc, uznałem, że się myliłem co do siebie - lubiłem to, o czym sądziłem, że nie lubię. I nawet jeśli nie przypadło mi do gustu jakieś szczególne doświadczenie, dowiedziałem się, że lubię nowe przeżycia.

Po drugie, choć jestem wysoki, zawsze miałem się za fizycznie słabego i dość chorowitego. Po wejściu na Kilimandżaro okazało się, że jestem i fizycznie, i psychicznie wytrzymały. Musiałem sam siebie określić na nowo. Wdrapanie się na tę górę było najtrudniejszym fizycznie wyczynem, na jaki się zdobyłem w życiu, ale jednak mi się udało.

Oczywiście, było to tak trudne między innymi dlatego, że zabrałem się do sprawy jak zupełny idiota. Nie byłem w formie, nie przygotowałem się do tej wyprawy i nie chciałem nikogo słuchać.

Teraz wydaje mi się wręcz niepojęte, że nie próbowałem się dowiedzieć, co mnie czeka, że nie miałem najmniejszego pojęcia, jakiego wysiłku wymaga wejście na szczyt o wysokości niemal sześciu tysięcy metrów, żadnej wiedzy o odpowiedniej kondycji i stosownym ekwipunku. Całe to moje zachowanie wydaje mi się jakby celowo nierozważne, podświadomie prowadzące do wstrząsającego, trudnego doświadczenia. Na pewno o to właśnie chodziło. W dodatku jeszcze przez

całe lata nie doceniałem w pełni tego doświadczenia.

Wtedy jednak byłem po prostu wykończony. Po kąpieli, kiedy Loren już utrwaliła dla potomności na fotografii obraz moich pięt, przebraliśmy się i zeszli na obiad do lśniącej jadalni. Przy jednym stoliku siedzieli w milczeniu Paul i Jan, przy drugim inni uczestnicy wspinaczki. Czuliśmy koleżeńską wspólnotę, kiedy zasiadaliśmy do jedzenia. Byliśmy bardzo zmęczeni, bardziej zmęczeni niż głodni, przebywaliśmy także w jakimś innym świecie, zarezerwowanym dla wyczerpanych siłaczy, świecie, w którym nie mówi się o triumfach, ale rozlicza zyski i straty.

Przy innym stoliku jakaś rodzina przyglądała się nam ciekawie. Wiedziałem, że nazajutrz rano wyruszą na wspinaczkę. Na pewno chcą się dowiedzieć, jak tam jest.

Pomyślałem: I cóż im mogę powiedzieć? Nie mogę im przecież mówić, jak tam naprawdę jest. To nie miałyby sensu. Odwracałem więc oczy w nadzieję, że nie zapytają.

Ojciec rodziny zapytał jednak:

- Czy weszliście państwo na tę górę?

- Uhm - odpowiedziałem.

- Oboje?

- Uhm.

Chwila ciszy.

- Jak tam jest?

- Dobrze - odparłem. - Trudno, ale dobrze. Niektóre dni były bardzo trudne, ale dobrze jest czasem przeżyć taki dzień.

Wpatrywali się we mnie. Wiedziałem, czemu się tak wpatrują. Próbowali odgadnąć, dlaczego jestem taki oklapły. Nie przejmowałem się tym. Jutro sami się dowiedzą, co może oznaczać taka wspinaczka.

Kiedy po obiedzie wracamy do naszego pokoju, dzień już dogasa. Kilimandżaro unosi się nad ogrodem jak blada, czerwonawa, bezcielesna zjawa. Nieziemska. Nierealna. Już nierealna.

Następnego dnia odlatujemy do Nairobi.

## *Piramida Maga*

Kiedy się wspinam po stromym zboczach Piramidy Maga i rozglądam po rozległych ruinach budowli wzniesionych przez Majów w Uxmal, poranna zorza jawi mi się jak żółta wstęga rozpięta nad porośniętą dżunglą horyzontem Jukatanu.

Zabudowania dawnej metropolii w świetle wschodzącego słońca stanowią widok zgoła niezwykły. Z przewodnikiem w ręku odnajduję poszczególne miejsca. Przede mną biały budynek z dziedzińcem, znany jako Klasztor Żeński. Na zachód od niego wielki piętrowy Dom Gubernatora, o którym się mówi, że jest jedną z najwspanialszych budowli kiedykolwiek wzniesionych w Ameryce. Obok Dom Żółwi i Dom Gołębi. A za nimi porośnięte zielenią pagórki, kryjące w sobie jeszcze nieodkryte zabytki.

O świcie Uxmal jest pusty. Turyści jeszcze śpią. Od czasu do czasu odzywa się skrzeczenie papugi, ale na ogół w dżungli jest cicho. W mieście u moich stóp panuje spokój. Aleja czuję się wylękniony.

Widok z Piramidy Maga o niemal pionowym nachyleniu stopni prowadzących na jej szczyt może przyprawić o zawrót głowy. Ale jeszcze bardziej oszołamia świadomość, gdzie się naprawdę jest, gdyż Uxmal to wielka tajemnica.

Piramida, na której stoję, ma owalny zarys i trzydzieści osiem metrów wysokości. Nazywa się ją albo Piramidą Maga, albo Piramidą Karla, nie wiadomo dlaczego. Klasztor Żeński i Dom Gubernatora to nazwy umowne. Tak nazwano te ruiny, jeszcze zanim przybył tu w 1841 roku archeolog John Lloyd Stephens.

Dom Żółwi został tak nazwany, bo na jego fasadzie jest przedstawiony rząd żółwi. Dom Gołębi nosi taką nazwę, bo jego dach przypomina gołębnik. Ale nikt nie wie, jak naprawdę te budynki się nazywały i do czego służyły. Nikt nie ma o tym pojęcia.

Łatwo ulec lękowi na szczycie piramidy, kiedy się z niego widzi rozległe ruiny czegoś, o czym nikt nic nie wie. Uxmal jest miastem położonym o osiemdziesiąt kilometrów od wybrzeża oceanu i sto sześćdziesiąt kilometrów od Chichen Itza. Dlaczego je tutaj zbudowano? Jaką rolę odgrywało pośród innych miast Majów? Ilu ludzi zamieszkiwało ten wielki kompleks budowlany, o którym zapisy sięgają wstecz do roku pańskiego 987? Co to było za miasto?

Poprzedniego wieczora byłem na widowisku „światło i dźwięk” w Uxmal, podobnym do wszystkich takich widowisk na świecie, tylko tutaj wątek treściowy przedstawienia zrećźnie ukrywał przed widownią, jak mało wiadomo o miejscu, w którym się znajdujemy. Uxmal nie jest francuskim zamkiem ani piramidą egipską. Nie można dokładnie określić czasu jego powstania ani jego dziejów i przeznaczenia. Nie można wymienić jego władców, nie można zacytować ich rozporządzeń. Nie można nic powiedzieć o historii jego powstania. Uxmal jest całkowicie tajemniczą ruiną. Siedząc na widowni i oglądając kolorową grę świateł na budynkach, wyczuwałem coś w rodzaju zmywy wśród widzów, zmywy, by się nie przyznawać do głębi własnej ignorancji. To wręcz nie do zniesienia patrzeć na ten rozległy kompleks budowli i musieć przyznać, że nic się o nim nie wie. Chcieliśmy

wiedzieć. To dla nas zbyt znaczące, by nie wiedzieć. Uxmal to nie jakiś tam szczegół, przypisek historii. To wielkie, potężne miasto.

Skąd można się o nim czegoś dowiedzieć?

Patrzyłem na wschód słońca ponad zabudowaniami. Dżungla zaczynała się rozgrzewać. Za godzinę pojawią się tu turyści przechadzający się wśród ruin z przewodnikami w rękach. Czytają w nich ufnie o zasadach meczów piłkarskich, rozgrywanych tu ongiś na boiskach sportowych, i o znaczeniu różnych obrzędów, i o składaniu ludzkich ofiar. Znajdują datę założenia Uxmal i czytają, że jego późnoklasycycki styl nosi znamiona dekadencji. Nigdy się w tych przewodnikach nie wykazuje źródeł informacji. Nigdy się nie przypomina zwiedzającym, że uczeni nie potrafią do końca odczytać hieroglifów, których treść tak zręcznie podsumowują autorzy przewodników. Nie przypomina się, że uczeni nie wiedzą, jak powstała cywilizacja Majów, wznosząca te wielkie świątynie, dlaczego doszła do takiego rozkwitu i dlaczego zaginęła. Takie przypomnienia byłyby irytujące. Nikt nie chce, będąc na wakacjach, przechadzać się po wielkim zrujnowanym mieście i usłyszeć: „Nic o tym miejscu nie wiemy”.

Ale istotnie nie wiemy.

Im bliżej przyglądamy się historii, tym mniej wydaje się nam spójna. Patrząc na nią z dystansu, sądząc po tytułach rozdziałów podręczników, wygląda na wiedzę nader uporządkowaną. Ale przy bliższym przyjrzeniu się wrażenie to pryska. Wieki zwane ciemnymi wcale nie były ciemne. Nie wiadomo, dlaczego zostały nazwane „wiekami średnimi”; epoka odrodzenia to raczej czas narodzin niż odrodzenia. W każdym razie te hasła odnoszą się jedynie do historii europejskiej, drobnego ułamka dziejów świata. Inaczej wygląda to w innych częściach globu i w innych kulturach.

W większości przypadków nie dostrzegamy sposobu, w jaki konstruujemy naszą przeszłość. Docierają do nas interpretacje. Nigdzie nie jest to bardziej widoczne niż w interpretacji artefaktów prehistorycznych i pochodzących ze starożytności. Kiedy patrzymy na starożytne ruiny, nasze przekonania o ich kontekście historycznym są już w pełni ugruntowane. W Knossos na Krecie Arthur Evans odkrył ruiny budowli, którą nazwał pałacem króla Minosa. Od tamtych czasów turyści zwiedzają je z nabożnym przejęciem. A przecież nie ma żadnego jednoznacznego dowodu, że budowla w Knossos była pałacem ani że król Minos - jeśli istniał jako postać historyczna - miał cokolwiek wspólnego z jego budową i mieszkańcami. Podobnie bez końca się opowiada, jak to Heinrich Schliemann odkrył Troję.

Ale Schliemann odkrył jedynie nieznanie przedtem miasto w Azji Mniejszej. Nie ma żadnego dowodu na to, że Schliemann odkrył Troję. Nie ma nawet żadnego niezbitego dowodu, że Troja w ogóle istniała poza wyobraźnią poety.

Schliemann prowadził wykopaliska w Mykenach, słynnym historycznym greckim mieście. Ogłosił, że odnalazł grób Agamemnona. Nie ma żadnego dowodu na to, że go znalazł. Znalazł jakiś grób i nazwał go grobem Agamemnona. Ale nie ma nawet żadnych dowodów, że Agamemnon był postacią prawdziwą.

Wewnętrzna potrzeba rozumienia historii, wyjaśnienia, co znaczą te ruiny, które ma się przed oczami, jest przeogromna. Stąd się wziął wstrząs, jaki przeżywałem na szczycie Piramidy Maga, patrząc, jak ranne słońce rozświetla oblicze starożytnego miasta. Wkrótce jednak włożyłem pod pachę przewodnik i poszedłem się przechadzać po ruinach Uxmalu, udając, że rozumiem znacznie więcej, niż rozumiałem w istocie.



## *Śmierć ojca*

Kiedy byłem chłopcem, matka zawsze czekała na mój powrót z randki. Jest to oczywiście tradycyjna metoda rodzicielskiego nękania potomstwa, które doszło do wieku chodzenia na randki. Kiedy ją pytałem, dlaczego jeszcze nie śpi, odpowiadała:

- Bałam się, czy ci się nie stało co złego.

Nie dawało się jej tego wyperswadować. Nie mogłem jej zapytać, dlaczego uważa, że jeśli się nie położy, to zapobiegnie jakiemuś mało prawdopodobnemu wypadkowi, który mógł się mi przydarzyć. Nie było sposobów, by grzecznie kwestionować macierzyńską miłość albo logikę jej rozumowania.

Przypomniało mi się to w dziwnych okolicznościach dwudziestego siódmego grudnia 1977 roku. Kiedy na brytyjskich Wyspach Dziewiczych wspinałem się na łódź, wynurzając się z głębokości trzydziestu metrów po oględzinach wraku statku kołowego o nazwie „Rhone”, przewodnik podwodny Bert Kilbride spojrział na mnie znacząco i powiedział:

- Zadzwoń do domu.

- Co się stało? - spytałem.

Moją pierwszą myślą było, że dom się spalił. To często się zdarza w Kalifornii. Ale znałem Berta od wielu lat. Powiedziałby mi, gdyby o tym wiedział.

- Nie wiem - odparł Bert. - Ale właśnie pytano ranie z hotelu, czy jesteś na łodzi. Powiedzieli, że był do ciebie telefon z domu.

Nie wyglądało to na pożar.

- Czy mogę zadzwonić z łodzi?

- Nie. Lepiej zaczekaj, aż wrócimy.

- Czy radiotelefon mnie nie połączy przez centralę na lądzie?

- Radiotelefon nie działa tak dobrze. Lepiej poczekaj, aż wrócisz do hotelu.

To zdecydowanie nie wyglądało na pożar.

Staralem się odgadnąć, co to może być. Było to dwa dni po Bożym Narodzeniu, a ja spędzałem wakacje w Virgin Corda na brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Większość rodziny była u moich rodziców w Connecticut.

Kiedy wróciłem do hotelu, zadzwoniłem. Odebrała telefon moja młodsza siostra. Zapytała:

- Kiedy przyjedziesz, Michael?

- Co się stało?

- Nie powiedzieli ci?

- Nikt mi nic nie powiedział.

- Tato umarł.

Poczułem się całkiem ogłupiały. Bez sił, zmęczony i ogłupiały.

- Tato umarł?

Ojciec miał pięćdziesiąt siedem lat. Był jeszcze młody. Cieszył się dobrym zdrowiem.

- W swoim biurze - powiedziała siostra. - Miał zawał serca. Kimmy i Dougie poszli

zidentyfikować zwłoki. Kiedy przyjeżdżasz?

Powiedziałem, że kiedy tylko znajdę jakieś połączenie. Zaraz sprawdzę linie lotnicze. Spróbuję być u nich jutro. Powiedziałem, że jeszcze zadzwonię.

Odłożyłem słuchawkę. Loren zapytała:

- Co się stało?

- Umarł mój ojciec.

- Och, Michael. Tak mi smutno.

- Tak - powiedziałem, rozglądając się po hotelu, po palmach w holu. Ładne wakacje mi urządził.

Bo nagle poczułem się zły, naprawdę zły, że zrobił mi coś takiego. Opuścił mnie w tak nieodpowiednim czasie.

Loren powiedziała, że zadzwoni za mnie do linii lotniczych. Usiadłem w barze. Nie czułem smutku. Nic nie czułem. Rozglądałem się tylko po hotelu i wpatrywałem w ludzi wracających z plaży, w barmana myjącego szklanki i przygotowującego miseczki z orzeszkami na popołudnie i byłem zirytowany. Chciałem tu zostać, a muszę wyjechać.

I myślałem: Uważaj. Trudniej jest czuć żal po kimś, jeśli się z nim nie było w dobrych stosunkach. Bo między moim ojcem a mną nie układało się dobrze. Nigdy nie stanowiliśmy klasycznej pary: greczny chłopczyk i jego tatuś. A kiedy już dorosłem, wcale nie było lepiej. To nie przypadek, że byłem tu na Karaibach, a nie w domu razem z bratem i siostrą. Jeżeli o mnie chodzi, miałem go za kawał sukinsyna. A teraz nie żyje i wszystko zawisło w powietrzu. Nie będzie już żadnych rozmów, żadnych kłótni, żadnych nadziei na pojednanie. Po prostu - bęc! - i nie żyje. Nie mam ci już nic więcej do powiedzenia, Michael. Koniec.

Tyle że muszę wracać i wziąć udział w pogrzebie sukinsyna i zepsuć sobie tak mi potrzebne wakacje. A w dodatku zbiorą się tam wszyscy jego cholerni przyjaciele i będą mi opowiadać, jaki świetny był z niego facet.

Uważaj.

Byłem naprawdę zły. Obudziłem się następnego dnia bardzo wcześnie, o czwartej nad ranem, nie mogąc już potem zasnąć. Wciąż byłem zły. Czułem wściekłość przez cały lot do domu. Dotarłem do Connecticut dopiero późnym wieczorem następnego dnia, zmęczony i rozdrażniony. Naprawdę bardzo mi się nie chciało zostać tutaj. Nie mogłem powiedzieć tego nikomu z rodziny, bo oni wszyscy byli pogrążeni w żałobie, a ja byłem po prostu zły.

Następnego dnia znowu obudziłem się o czwartej i nie mogłem już zasnąć. Byłem tak zmęczony, że trudno mi było dalej się wściekać. W domu panował wyczerpujący mętlik. Nieustannie dzwonili do nas ludzie z całego kraju. Wszyscy byli bardzo mili. I było pełno roboty, pełno jakichś drobnych spraw do załatwienia, a to kwiaty, a to jakieś jedzenie, a to zjeżdżają jacyś krewni. Wyglądało to jak przygotowania do wielkiego przyjęcia, tyle że niosło to ze sobą same uprzykrzenia, a nie obiecywało żadnych przyjemności.

Podjąłem się załatwiać wszystkie sprawy i jeździć na posyłki, głównie dlatego, że byłem jedynym, który przez cały czas nie zalewał się łzami. Mój brat to zauważył i powiedział:

- Słuchaj, ja wiem, że go nie lubiłeś, ale to twój ojciec. No wiesz, tata starał się, jak mógł.

- Tak? Mam go gdzieś - powiedziałem.

Tak z grubsza podsumowałem swoje uczucia. Brat mnie rozumiał, co jeszcze pogarszało sprawę. A ja dodałem jeszcze, że pośród tego całego płacznego bałaganu ktoś musi pamiętać, że ten facet także źle się do niego odnosił. Nie tylko do mnie. Brat nie mógł przepadać za tatą po kilku



zdarzeniach, o jakich pamiętam. A kiedy tak pobił naszą siostrę, że trzeba było wezwać lekarza...?

- No tak, ale jednak... - powiedział brat i wyszedł. Odwrócił się od progu. - Posłuchaj, Mike. On już nie żyje.

Wiedziałem, że mój brat ma miękkie serce dla każdego. Miał łagodne usposobienie, jakiego ja nigdy nie miałem. Umiał wybaczać, czego ja nie umiałem. Tego właśnie skutecznie oduczono mnie przed wielu laty.

A zatem załatwiałem wszystkie sprawy. W porządku. Tyle że byłem tak strasznie zmęczony. Ledwie mogłem się ruszać. Kiedy pojechałem do kwiaciarni, było dla mnie ogromnym wysiłkiem otworzyć drzwi samochodu, wysiąść z niego, zamknąć drzwi za sobą, wejść do środka, pamiętać, po co tu przyszedłem, powiedzieć jako tako sensownie, o co mi chodzi, i odpowiedzieć na pytanie, jak będę płacił za kwiaty, czekiem czy gotówką. Czuję się tak, jakby to wszystko działo się pod wodą. Albo jakby coś złego się stało z moim sercem i brakło mi tchu. Poruszałem się powoli, boleśnie, nużąc powoli.

Kiedy już pozałatwiałem wszystko i byłem zupełnie wyczerpany, usiadłem z moją siostrą Kim w kuchni i pomagałem jej obierać jarzyny. Powiedziałem poirytowany:

- Nie wiem, dlaczego to ja muszę tu wszystko robić, dlaczego to ja muszę się trzymać, a wszyscy możecie być załamani.

- Nikt cię o to nie prosi - odparła.

Kiedy to usłyszałem, zdałem sobie sprawę, że ma rację. Sam wziąłem na siebie tę rolę. Poszedłem wtedy do swojego pokoju i zapłakałem.

Płakałem z mieszanymi uczuciami, bo wciąż byłem zły, ale teraz ogarnął mnie smutek. Smutno mi było, że tak się ułożyło między ojcem a mną, smutno, że tego już nigdy nie da się naprawić, smutno, że tak przeżył swoje życie, z poczuciem, że jest nieszczęśliwy, i starając się to ukryć.

Doznawałem wszystkich tych uczuć jednocześnie i na różnych poziomach. Było to dosyć dziwne, ale doznałem wyraźnej ulgi. Wciąż jeszcze byłem zły, ale już nie tak spięty. I już nie patrzyłem tak czarno na świat. Czekало mnie jeszcze wiele ciężkich prób: zjazd krewnych, oględziny zwłok i pogrzeb następnego dnia.

Wziąłem pigułkę nasenną, jednak to obudziłem się o czwartej rano z poczuciem, że muszę coś zrobić, o czymś postanowić. Potem sobie przypomniałem: już nie mogę zrobić nic. On nie żyje. Nie ma już o czym decydować. Nie mogę nic zrobić, by ulżyć matce ani nikomu innemu. Sprawa wymknęła mi się z rąk.

Nic już zrobić nie można.

Było to dziwne uczucie. Nic już zrobić nie można. Trzeba tylko jakoś przejść przez to wszystko i wziąć się w garść, i iść dalej. Płakałem teraz, ilekroć chciało mi się płakać, i to było bardzo dobre. Myślałem: Zdolność do płaczu jest nam tak samo przyrodzona jak zdolność do płodzenia potomstwa. Potrafimy oplakiwać. I jest to czymś zupełnie naturalnym.

A zatem, pomyślałem, robię teraz coś zupełnie naturalnego. Ale wzbraniałem się przed myślą, że czeka mnie jeszcze ten najokropniejszy z rytuałów: udanie się do domu pogrzebowego i obejrzenie zwłok.

Nawet same przygotowania do tego obrządku wyglądały ponuro. Zadzwoiłem rano do domu pogrzebowego i powiedzieli, że ojciec nie jest jeszcze przygotowany, mają pewne trudności i są trochę spóźnieni. Czy może to być o wpół do trzeciej?

Zgodziłem się.

Matka spytała:

- Co ci powiedzieli?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Robią ostatnie zabiegi przy zwłokach?

- Uhm... powiedzieli, że wciąż jeszcze pracują i... uhm... będą gotowi dopiero o wpół do trzeciej.

Kiwnęła głową.

- Mają trudności z ustami - powiedziała rzeczowo. - Ojciec umarł na fotelu z otwartymi ustami

i widać tak zastygł. - Zdawała się całkiem spokojna.

O wpół do trzeciej wszyscy włożyli płaszcze, chwycili za paczuszki z papierowymi chusteczkami do nosa i udali się do salonu domu pogrzebowego. Bałem się tam iść. Nigdy nie widziałem zwłok nikogo z rodziny, nikogo naprawdę mi bliskiego. Nie wiedziałem, co to za uczucie. Wolałbym zostać w domu, ale byłem najstarszym synem i musiałem towarzyszyć matce. Więc poszedłem.

Salon domu pogrzebowego mieścił się w osobno stojącym pawilonie. Stopnie prowadzące do niego były oblodzone, trzeba było wchodzić na nie bardzo ostrożnie. Świeciło słońce, ale na dworze było zimno.

W korytarzu matka spotkała swoją siostrę, patrzyliśmy na nie, czy się zgodnie przywitają. Przywitały się. Weszliśmy wszyscy razem, by obejrzeć zwłoki.

Kiedy wszedłem do sali, natychmiast przyszła mi do głowy szalona i niespodziewana myśl: „On jest tutaj. On wciąż żyje”.

Tymczasem matka rzuciła się naprzód, objęła ramionami ciało ojca i płakała, i przemawiała do niego, i całowała go. Byłem zażenowany, jakbym nie powinien być świadkiem tej sceny między nimi. W pewnej chwili obejrzała się na mnie i powiedziała:

- On jest taki zimny.

Ale znalazła się teraz naprawdę w swoim własnym świecie, widziała wszystko po swojemu i była w niej jakaś zadziwiająca siła i bezpośredniość. Płakała i mówiła do niego, ocierała swoje łzy z jego policzków. Naprawdę z nim obcowała.

Próbowałem sobie uświadomić, dlaczego pomyślałem, że on jest wciąż tutaj. Sprawdziłem jeszcze raz. Tak, naprawdę tak czuję. On jest tutaj. Unosi się gdzieś tu w tej sali. Jest zmieszany.

Wiedziałem, że ludzie doznają niekiedy takich wrażeń. Aleja nie należałem do tych, którzy wierzą, że dusza pozostaje przy zmarłym ciele, szczególnie po nagłej śmierci.

Więc skąd to uczucie? Wrażenie, że w sali jest ciepło, że on unosi się gdzieś pod sufitem, patrząc na nas z góry i dziwiąc się, dlaczego jesteśmy tutaj. Może wynikało z tego, że tak trudno mi było przyjąć do wiadomości fakt, że ojciec naprawdę nie żyje? Wpatrywałem się w jego pierś, oczekując, że zaczerpnie oddechu. Byłem pewien, że żyje. Wiedziałem, że jest w tym pokoju. Tylko nie mogłem odgadnąć, skąd to wiem.

Potem jeszcze chwilę popłakałem. Matka w końcu pożegnała ojca pocałunkiem i dała mi znać, że może już iść. W przejściu powiedziała przedsiębiorcy, że zrobili dobrą robotę, że ojciec wygląda bardzo ładnie. Potem wszyscy wyszli.

Jutro pogrzeb.

Następnego dnia matka oświadczyła, że chciałaby zobaczyć zwłoki ostatni raz, jeszcze przed pogrzebem. Nikt nie był tym zachwycony, bo przeżycia poprzedniego dnia przy oględzinach zwłok były dość wyczerpujące. Aleja chciałem potwierdzić swoje wczorajsze wrażenia, więc się

zaofiarowałem, że z nią pojedę.

Wróciliśmy do tej samej sali. Kiedy wszedłem, ogarnęło mnie zdziwienie, że mogłem nawet pomyśleć, iż mój ojciec jest tutaj. Odszedł. Pokój był zimny i pusty. Było w nim tylko ciało, które kiedyś należało do mojego ojca. Matka patrzyła na nie, podeszła bliżej, chwilę popłakała, jeszcze raz popatrzyła. Już go nie tuliła i nie całowała. Tylko stała przy nim przez chwilę. Potem wyszliśmy i pojechaliśmy na pogrzeb.

Ojciec był ważną osobistością i w związku ze swoją pracą miał wielu przyjaciół, którzy przyszli go pożegnać. Pogrzeb był okazały i stanowił piękny hołd złożony jego pamięci, aleja tak byłem zmieszany swoimi uczuciami, dotyczącymi jego obecności czy nieobecności, że siedziałem na nabożeństwie żałobnym i rozmyślałem: „Czy on jest tutaj?” Nie było go. Nabożeństwo kościelne nie miało dla mnie większego znaczenia.

Zauważyłem, że choć trudno mi dojść do ładu ze swoimi uczuciami, myślę jednak dość trzeźwo, by móc ocenić, co ma sens, a co go nie ma. Na przykład miało sens, że przychodzili do nas goście. Wydawało się, że łatwiej nam trzymać się w garści, kiedy jesteśmy zmuszeni do pogawędki z ludźmi. Krótkie rozmówki mają sens. To dobrze nam robiło: pogadajmy chwilę o koszykówce albo o tym, jak małemu Johnny'emu idzie w szkole. I wcale nie było konieczne mówić o tym, jak bardzo ludziom żal, że ojciec nie żyje. Zawsze się przy takich okazjach mówi: „Nie wiem, co powiedzieć”. Nie trzeba nic mówić. Samo przyjście do nas mówiło już wszystko.

Ale to, że niektórzy goście płakali i siedzieli dłużej niż pół godziny, już sensu nie miało. Tylko wyczerpywało nasze siły.

Miało także sens przywieźć coś do zjedzenia, ale coś dającego się łatwo przygotować, bo wszystko, co wykraczało poza odgrzanie dania, było nieprawdopodobnie trudnym zadaniem.

Obejrzenie zwłok miało sens. Miało sens odbieranie telegramów i telefonów, nawet do późna w nocy, bo nikt z nas i tak nie mógł spać.

Kościelne nabożeństwo nie miało dla mnie większego sensu. Sam kościół wydawał mi się martwy, a stary obrządek zużył się już przez setki lat i nie niósł ze sobą pociechy, przynajmniej nie dla mnie. Panowały nade mną emocje i moje pytania wymagały jakiejś prawdziwej odpowiedzi, a nie tej dostojnej sztucznej ceremonii, której najświeższe elementy pochodziły z dziewiętnastego wieku. Nie była to niczyja wina. Takie to właśnie dla mnie było. Matce dało to pocieszenie, a obrządek kościelny spełnił swoją ważną funkcję towarzyską.

Przeszliśmy potem na cmentarz, gdzie odbył się obrzęd pogrzebowy. Dzień był pogodny i słoneczny, chociaż chłodny. Wszyscy byli zmęczeni. Patrzyłem na grób i myślałem, czy jest tam mój ojciec. Teraz szukałem go wszędzie. Ale nie było go tu, na tym cmentarzu. Płyta grobowa wydała mi się taka mała. Wróciliśmy do samochodów i odjechaliśmy.

Spytałem brata, czy czuł coś niezwykłego przy odwiedzinach zwłok tego pierwszego dnia.

- Że niby co?

- Jakby tato tam był. Unosił się nad tą salą.

- Czułeś tak? Naprawdę? - zapytał.

- Tak. A ty?

- Ja nie - odpowiedział. - Po prostu żal mi było, że umarł.

Następnego dnia wróciłem do Kalifornii.

## *Irlandia*

Jestem reżyserem filmu opartego na prawdziwej historii wielkiego napadu na pociąg w wiktoriańskiej Anglii. Kręcimy film w Anglii i w Irlandii, rają w nim Sean Connery, Donald Sutherland i Lesley-Anne Down.

Spełnia się tajemne marzenie mojego życia. Jestem reżyserem międzynarodowego filmu, kręcę go za granicą z wielkimi gwiazdami kina. Cóż za podniecenie! Wkładam na siebie bluzę safari i zawieszam na szyi reżyserską lornetkę...

Ale jestem także w głębi ducha przerażony. To dopiero mój trzeci film, nie jestem jeszcze naprawdę doświadczonym reżyserem. Nigdy nie kręciłem filmu za granicą, nigdy nie robiłem filmu innego niż współczesny, nigdy nie pracowałem z cudzoziemskim zespołem. I choć pracowałem z dobrymi aktorami, nigdy nie miałem do czynienia z tak wielkimi gwiazdami.

Do reżyserowania filmu potrzebna jest władczość, a ja bynajmniej nie czuję się władczy. Przeciwnie, czuję się osamotniony i ogromnie spięty. Jestem w Dublinie sam. Loren została w Ameryce, kończy studia prawnicze. W zespole jest tylko trzech Amerykanów: ja, producent John Foreman i kaskader Dick Ziker. John ma bogate doświadczenie w kręceniu filmów za granicą, polegam więc na jego zdaniu. Ale w końcu to ja jestem reżyserem i sam muszę wykonać swoje zadanie. I mam pietra.

Nigdy nie wiedziałem, jak sobie radzić z lękami towarzyszącymi nowemu przedsięwzięciu. Chyba jedyne, co można z nimi zrobić, to je przeżyć, pogodzić się z tym, że przynajmniej jedna z moich obaw będzie usprawiedliwiona. Może przynajmniej ten strach przyczyni się do podniesienia jakości filmu. Ale tu w Dublinie nie sprawuję dobrze władzy. To po prostu nie działa. John Foreman powiedział mi, że angielska załoga filmowa nazywa reżysera generałem albo szefem. Nikt nie nazywa mnie szefem. Nikt się do mnie nie zwraca „sir”. Nikt się tu do mnie w ogóle nie zwraca.

Choć mam już trzydzieści osiem lat, zespół uważa, że jestem za młody, by wiedzieć, co robię. Całe towarzystwo próbuje mnie omijać, coś się dzieje za moimi plecami. Proszę, żeby coś zrobili w taki a taki sposób, a oni wykonują to całkiem inaczej. Ciągle muszę się z nimi spierać.

Jest wiele różnic w systemie produkcji filmów brytyjskich i amerykańskich. W Ameryce reżyser planuje zdjęcia z kamerzystą, w Anglii z operatorem filmu. Inaczej się numeruje sceny. Inna jest terminologia techniczna. Zespół angielski ma cztery przerwy na posiłek w ciągu dnia, Amerykanie tylko jedną na lunch. Jeżeli ma się pracować w nadgodzinach, zespół brytyjski musi się przedtem zebrać i to przegłosować.

Wydaje się, że nawet najbardziej podstawowe polecenia budzą w nich sprzeciw. W Ameryce uważają mnie za reżysera powściągliwego, ale w Anglii poziom wydatkowanej przeze mnie energii wydaje się zabawnie wysoki. Mój asystent, który jest wobec mnie tak krytyczny, że posuwa się aż do bezczelności, pyta mnie w końcu, czy coś biorę. Ma na myśli jakieś narkotyki. Zdziwiony pytam, dlaczego tak sądzi. Odpowiada, że cała załoga tak uważa, bo jestem taki prędko w działaniu. Zapewniam go, że nie biorę żadnych środków podniecających.

Kilka pierwszych dni zdjęciowych idzie kiepsko. Mamy załogę mieszaną, w połowie angielską,

w połowie irlandzką, i te dwie połowy nawzajem się nie lubią, co stanowi odzwierciedlenie odwiecznych antagonizmów. Kiedy coś idzie źle, jedna strona obwinia o to drugą. Praca posuwa się powoli. Nikt mnie nie słucha. Ja ustawiam kamerę w jednym miejscu, a załoga ją przesuwa. Zawsze ją przesuwają, choćby o kilka centymetrów. Ja ustawiam ją z powrotem tam, gdzie chcę ją mieć. Atmosfera jest okropna. Tak jakby wciąż trwała przerwa obiadowa. Nie nadążamy z wykonaniem dziennych planów.

Co wieczór wlokę się do swojego dublińskiego pokoju hotelowego. Wygląda jak poczekalnia w sanatorium gruźliczym. Podłogi są nierówne, na ścianach niegustowne tapety w stylu wiktoriańskim. Chcę zadzwonić do domu, ale telefony strajkują. Potem strajkuje także poczta. Jestem zupełnie odizolowany.

Pytam Johna Foremana, co mam robić. Mówi mi:

- Pogadaj z Geoffem. On cię lubi.

Geoffrey Unsworth to oświeceniowiec. Jest bardzo uprzejmy i dobrze wychowany. Wszyscy go uwielbiają. Co dzień jeździmy razem na plan zdjęciowy, więc mamy mnóstwo czasu na rozmowy. Wydaje się, że Geoff rozumie moje trudności, ale niełatwo mówić otwarcie o tych sprawach. On jest pełen właściwej Brytyjczykom rezerwy, a ja czuję się niezręcznie. Jak mogę go zapytać, dlaczego nie potrafię sobie tu zdobyć szacunku? Nie ma po co się ładować na pole minowe. Więc mówimy o sprawach technicznych: dlaczego nie robimy więcej scen zbiorowych, co robić, żeby gładziej nam szło. Geoff często powtarza:

- Chciałbym zobaczyć jakiś twój film.

Myślę, że jest po prostu uprzejmy. Mój ostatni film, *Coma*, ulega dopiero zatwierdzeniu w Ameryce i trudno byłoby sprowadzić kopię do Irlandii. Tymczasem trudności nadal się piętrzą. Po tygodniu Geoff mówi:

- Wiesz, myślę, że załoga chętnie by obejrzała jakiś twój film.

Powtarzam mu, że trudno będzie zdobyć kopię. Ale udaje mi się wysłać teleks z zamówieniem do MGM w Los Angeles.

Sytuacja pogarsza się z dnia na dzień. Między angielską a irlandzką częścią załogi wybuchają krzykliwe awantury. Stanowimy niespójną grupę, a ja wiem - to dlatego, że nie ma w niej przywódcy. Posuwamy się naprzód żałośnie powoli. Wykonujemy dobrą robotę, ale zabiera nam to zbyt wiele czasu. W pracy nad filmem nie ma miejsca na zwłokę, bo kiedy wyczerpią się fundusze, będziemy musieli przerwać produkcję, niezależnie od tego, czy film skończymy, czy nie. Cięży na mnie ogromna odpowiedzialność. Robić więcej scen zbiorowych. Wykończyć poszczególne sekwencje. Przyspieszyć kroku.

Ale kroku nie daje się przyspieszyć.

Geoff powtarza:

- Chciałbym, żebyś nam pokazał któryś z twoich filmów.

W końcu przysyłają mi kopię i w piątek po pracy wyświetlamy ją dla załogi. Większość ją ogląda.

W poniedziałek rano przychodzę do pracy, gotów do zwykłych codziennych zmagania. Idę na plan, wyszukując sobie drogę między zwojami kabli i stanowiskami reflektorów. Jeden z elektryków uśmiecha się do mnie.

- Cześć, szefie! - mówi.

Okazało się, że załoga uznała, iż *Coma* to całkiem dobry film, a ja najwidoczniej wiem, co robię.

Dzięki Geoffowi atmosfera zmieniła się całkowicie i dalej poszło nam znacznie sprawniej.

Załoga rozpościera pośrodku pola białą płachtę, żeby helikopter wiedział, gdzie ma wylądować. Przy ogrodzeniu gromadzi się tłum miejscowych.

Wpatrują się w tę płachtę, czekając na to, co się stanie. Ich uwaga zamienia ją w jakieś” dzieło sztuki, w dar z nieba, spowijający irlandzkie pole w roku 1978. Uważałbym to za zabawne, gdybyśmy nie byli tak spóźnieni.

Prowincjonalna stacja kolejowa za Mullingar, ósma rano. Jest dotkliwie zimno. Mamy zaraz nakręcać scenę na dachu pędzącego pociągu. Sean Connery zgodził się sam wykonywać akrobatyczne skoki na dachu pociągu. Przed stacją wypuszcza z sykiem parę mała lokomotywa z 1863 roku, ciągnąca za sobą specjalnie dla nas skonstruowane wagony. Czas już zacząć zdjęcia, ale helikopter z kamerą jeszcze nie doleciał z Anglii. Proponuję zrobić próbę sceny na dachu. Wspinamy się po drabinkach na wagony i zaczynamy.

Przez kilka minut Connery jest roześmiany jak dzieciak na karuzeli. Ten wspaniały sportowiec, który by mógł być zawodowym piłkarzem, teraz lekko i radośnie przeskakuje z wagonu na wagon. Zbliżamy się do mostu, musimy się więc położyć płasko na dachu. Most przemyka o parę centymetrów nad naszymi głowami. Connery śmieje się głośno.

- To cholernie fantastyczne!

Wracamy na stację i zaczynamy zdjęcia. Skończyła się zabawa, zaczyna się praca. Teraz potrzebna jest nieustanna czujność. Irlandzkie Linie Kolejowe udostępniły nam pięćdziesiąt kilometrów trasy w najpiękniejszej części kraju. Ale ponieważ jest to Irlandia, z dwudziestu mostów rozpiętych nad szlakiem każdy jest innej wysokości. Niektóre są bardzo niskie. Zbadaliśmy uprzednio na mapie i wymierzaliśmy wysokość ich wszystkich, ale nikt zbyt nie ufa mapie. Przed każdym ujęciem przepelzamy powoli pod mostem i sprawdzamy, ile przestrzeni mamy nad sobą.

Jeszcze bardziej niebezpieczne są przewody telefoniczne i elektryczne, które niekiedy przecinają szlak. Nie są nigdzie oznaczone i zauważa się dopiero w ostatniej chwili.

Wreszcie nasza autentyczna lokomotywa z epoki wyrzuca na nas potoki rozżarzonego żużlu i popiołu. Wzniecamy pożar dosłownie na każdym kroku. Co wieczora, kiedy biorę prysznic i myję włosy, woda w wannie jest czarna jak atrament.

Connery oddaje się pracy z całym zapalem. To jeden z najwspanialszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem, lekkomyślny i poważny zarazem. Wiele się od niego nauczyłem. Nie traktuje sam siebie zbyt serio, jest bezpośredni i otwarty.

- Uwielbiam jeść palcami - mówi, jedząc palcami w wytwornej restauracji i nie dbając o to, co inni o tym powiedzą.

Nie przejmuje się takimi drobiazgami. Jedzenie to naprawdę ważna sprawa. Ludzie podchodzą do niego po autografy, a on patrzy na nich spode łba.

- Ja teraz jem - mówi surowo - proszę przyjść później.

Przychodzą później, a on uprzejmie składa swój podpis na karcie dań.

Zachowuje się gburowato tylko wtedy, kiedy chce sprawić takie wrażenie.

- Przez większość życia byłem nieszczęśliwym - wyznaje. - Pewnego dnia pomyślałem sobie: „Jestem tutaj na jeden dzień, mogę się nim radować albo nie”. Postanowiłem więc, że będę się nim radował.

Taki już jest, ma poczucie wyboru i panowania nad sobą, nad swoimi nastrojami. To go czyni

takim silnym i pewnym siebie. Na jego widok aż ciśnię się na usta: „Oto prawdziwy mężczyzna”.

Pewnego razu jakaś kobieta siedząca obok niego w samolocie wzdycha:

- Ach, pan jest taki męski.

Connery się śmieje.

- Ależ ja jestem bardzo kobiecy.

I naprawdę tak uważa; wprost się delektuje tą stroną swojej natury. Jako utalentowany mim, lubi sam przed sobą odgrywać wszystkie role filmu. Zdumiewająco dokładnie naśladuje każdego aktora z obsady, łącznie z Donaldem i Lesley-Anne, swoją partnerką. Chyba świetnie się przy tym bawi. Pełną garścią czerpie przyjemności z życia.

Ja nie jestem równie otwarty, a on przekomarza się ze mną z tego powodu. Kiedyś w czasie zdjęć wydaje mi się, że jakiś jego gest jest nieco zniewieściały. Chcę zrobić powtórkę, ale nie wiem, jak to powiedzieć Seanowi, że ma coś zmienić. Jak powiedzieć 007, że jest zniewieściały?

- Sean, w ostatniej scenie wykonujesz ruch ręką.

- Tak. No i co? Myślałem, że było wszystko dobrze.

- No... uhm... ten ruch był trochę za słaby. Taki jakiś... bezwładny.

Przymruża oczy.

- Co mi chcesz powiedzieć?

- No... że mógłby być trochę bardziej zdecydowany... mocniejszy.

- Mocniejszy?

- Tak, mocniejszy.

- Chcesz powiedzieć, że wyglądam jak cipcia?

Szczerzy zęby w uśmiechu, ubawiony moim zmieszaniem.

- Tak, trochę - przyznaję.

- To tak mi powiedz, złotko! - ryczy. - Po prostu powiedz to, co chcesz. Nie ma co owijać w bawełnę. - I powtarza scenę, tym razem wykonując inny gest.

Potem bierze mnie na stronę.

- Wiesz - powiada - nie wyświadczasz nam żadnej przysługi, mówiąc do nas ogródkami. Każesz nam odgadywać, co masz na myśli. Uważasz, że to grzecznie, ale jest wręcz przeciwnie. Powiedz, co myślisz, i basta.

Przyrzekam mu, że spróbuję. Czasem mi się to udaje, ale nigdy nie potrafię być tak bezpośredni jak on. Poucza mnie:

- Powinieneś zawsze wyrąbać prawdę w oczy, bo jak powiesz komuś prawdę, to staje się ona już jego problemem.

Sam trzyma się tego wskazania, zawsze rąbie prawdę w oczy. Zdaje się żyć jedynie chwilą obecną, reagując na nią spontanicznie i nie zważając na przeszłość ani przyszłość. Zawsze jest autentyczny. Czasem mówi miłe rzeczy ludziom, o których wiem, że ich nie lubi. Czasem rzuca się gniewnie na bliskich przyjaciół. Zawsze mówi taką prawdę, jaką widzi w danym momencie. A jeżeli to się komu nie podoba, to już jego problem.

W dalszym ciągu kręcimy sceny na dachu pociągu. Załoga jest niezwykle uważna, nikomu nie stało się nic złego. Ale teraz przychodzą najbardziej ryzykowne sekwencje, kiedy Sean nie widzi mostu przemykającego nad nim i przysiada w ostatniej chwili. Most mija jego głowę o kilka centymetrów. Te ujęcia są starannie opracowane i wymierzone w czasie, ale czujemy prawdziwą

ulgę, mając je już za sobą.

W końcu kręcimy długie ujęcie z Seanem, który biegnie wzdłuż pociągu, przeskakując z wagonu na wagon. Ponieważ filmujemy tę scenę z różnych stron, operator i ja zwisamy z platformy, wszyscy inni są w pociągu. Staram się pilnie obserwować scenę, a także pamiętać, by przykucnąć w stosownej chwili, kiedy kamera przesuwa się mi nad głową.

Zaczynamy zdjęcia. Sean biegnie wzdłuż pociągu. Czuję mocny swąd i ostry ból w czaszce. Uświadamiam sobie, że od iskiei z lokomotywy zapaliły mi się włosy. Gorączkowo próbuję je ugasić, bo nie chcę, żeby kamera przejeżdżając nade mną uwieczniła dym, który unosi się z mojej głowy.

W czasie kiedy ja jestem zajęty tłumieniem ognia, Sean skacze na następny wagon, potyka się i pada. Myślę: „Jezu, Sean, nie przesadzaj, to nie musi wyglądać bardziej niebezpiecznie!” Zgodnie ze scenariuszem, Sean ma przy sobie tobołek z ubraniami. Wypuszcza ten tobołek i pada, a ja zdaję sobie nagle sprawę, że Sean nigdy by tak nie zagrał, musiał naprawdę upaść. Jednocześnie wciąż próbuję zdusić ogień na głowie. Sean gramoli się na nogi, podnosi tobołek i rusza dalej, krzywiąc się z prawdziwego bólu. Kiedy kamera obraca się nad moją głową, zgarniam spaleniżnę z czaszki. Robimy zdjęcia.

Potem zatrzymujemy pociąg. Wszyscy wysiadają. Sean paskudnie poranił sobie łydkę, trzeba ją opatrzyć.

- No jak tam? Jak się czujesz?

Patrzy na mnie.

- Czy wiedziałeś, że zapaliły ci się włosy? Powinieneś bardziej uważać.

I wybucha śmiechem.

Jego świeże spojrzenie pozwala mu dochodzić do zdumiewająco trafnych wniosków. Czwartego dnia zdjęciowego posadziliśmy w pociągu wszystkich prócz Seana, bo filmowaliśmy z helikoptera i kamera obejmowała pociąg na całej długości. Siedzę więc w środku w cylindrze na głowie i z radiotelefonem na kolanach. Kiedy pociąg rusza, słyszę, jak inżynier określa szybkość:

- Czterdzieści kilometrów na godzinę... pięćdziesiąt... sześćdziesiąt kilometrów na godzinę...

Ustaliliśmy poprzednio tę szybkość. Helikopter przesyła mi wiadomość, że jest na pozycji. Przez radio nadaje sygnał: akcja, i zaczynają się zdjęcia. Siedzę w wagonie i słucham warkotu helikoptera, próbując sobie wyobrazić, jak pracuje kamera, osądzić po dźwiękach, co się tam dzieje. Pilot oznajmia, że wszystko poszło dobrze. Zatrzymujemy pociąg, a Sean schodzi z dachu wagonu. Jest wściekły, tupie nogą i wnosi zażalenie:

- To jest cholernie niebezpieczne! Ten cholerny pociąg nie robi tych cholernych sześćdziesięciu kilometrów na godzinę!

- Ależ Sean - mówię - robi!

Po tylu dniach zdjęciowych kontrola prędkości jest już dobrze opracowana. To bardzo ważne, bo przy kręceniu filmu powinno się jechać z różną prędkością, zależnie od kierunku, w jakim nastawiona jest kamera. Jeśli się robi zdjęcia w kierunku przeciwnym do jazdy, pozorną prędkość jest większa, więc pociąg musi jechać wolniej. Jeśli robi się zdjęcia w kierunku zgodnym z jazdą, musi jechać szybciej. Jeżeli nie będzie się zmieniać prędkości, ostatecznie na filmie będzie to wyglądało tak, jakby pociąg raz jechał szybciej, raz wolniej.



Długo opracowywalis”my to wszystko. Jeden z asystentów reżysera siedzi w otwartej kabinie lokomotywy z radiotelefonem w ręku i określa prędkość. Kiedy osiągamy prędkość ustaloną, zaczynamy kręcić. Jest to powszechnie stosowana metoda.

Naciskam guzik walkie-talkie.

- Chris, jaką mieliśmy prędkość przy ostatnim ujęciu?

Głos z lokomotywy odpowiada:

- Sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Patrzę na Seana, który wzrusza ramionami, chwytą za słuchawkę i pyta:

- Skąd wiesz, że to było sześćdziesiąt kilometrów na godzinę?

Długa cisza.

- Liczymy słupy telegraficzne - odpowiada głos.

Sean oddaje mi aparat.

Powoli odsłania się cała prawda. Nasza lokomotywa pochodzi z 1863 roku i nie ma żadnych przyrządów do pomiaru prędkości. By oszacować prędkość, człowiek w kabinie musi liczyć z zegarkiem w ręku mijane słupy telegraficzne. Ale to oczywiście okropnie niedokładna metoda. Nagle się zastanawiamy: z jaką prawdziwą prędkością jechał pociąg?

Prawie przez cały czas zdjęć helikopter leciał równoległe do pociągu. Nadaję pytanie do pilota:

- Jak prędko jechał pociąg przy ostatnim ujęciu?

Przychodzi odpowiedź:

- Dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Myśleliśmy, że pan Connery całkiem zwariował, że sterczy tam na dachu.

Sean zwycięsko zakłada ręce na piersi.

- Widzicie? - powiada.

Ten epizod uświadomił mi całą potęgę świeżego spojrzenia. Robiliśmy już zdjęcia od paru dni i popadliśmy w wygodną rutynę. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, by zajrzeć, jak wygląda kabina maszynisty. Przez całe dni nikt nie pomyślał, by o to zapytać. Skąd znamy prędkość pociągu? Aż się prosiło, by o to zapytać. Tylko że nikt tego nie zrobił, póki Sean nie postawił swojego pytania.

Pewnego dnia po lunchu Sean mówi:

- Zmywam się pod koniec dnia.

- Co?

- Dość mam tego pociągu - odpowiada spokojnie. - Skończone. Wracam do Dublina, muszę się wyspać.

Mamy w planie jeszcze trzy zdjęciowe dni. Nie sądzę, by były nam potrzebne wszystkie trzy, ale mamy przed sobą przynajmniej jeden dzień roboty. Dlaczego on nas zostawia?

- Mam po uszy tego przeklętego pociągu - mówi.

A przecież tak dobrze się tu czuł, taka to była dla niego wesoła zabawa! Nie mogę pojąć, dlaczego tak nagle zmienił mu się nastrój. Oczywiście, widział, ile już zrobiliśmy, i wie, ile jeszcze zostało roboty. Około sześciu godzin kręciliśmy zdjęcia, a wyjdzie z tego w końcu piętnastominutowa sekwencja. Jestem po prostu nadmiernie ostrożny, jak powinien być każdy reżyser. Czy chce mnie przestraszyć?

- Jestem wykończony - powtarza. - Jestem wykończony.

I to wszystko, co mówi. Pod koniec dnia odjeżdża do Dublina.

Następnego rana kręcimy ostatnie kawałki, robimy ostatnie ujęcia z różnych punktów widzenia, takie tam rzeczy. Sterczę na dachu wagonu z kaskaderem i kamerzystą. Jedziemy bardzo szybko. Przy tej prędkości pociąg się kołysze i niebezpiecznie trzęsie; to szarpie nerwy.

I nagle, w jednej chwili, ja także mam dosyć tego pociągu. Tunele już nie są zabawne, zwisające druty nie stanowią już wyzwania, a trzęsienie się na boki wagonu i mroźny wiatr nie krzepią sił. To po prostu niebezpieczne i wyczerpujące. Chcę natychmiast się zatrzymać i zejść z dachu. I uświadamiam sobie, że to samo przydarzyło się poprzedniego dnia Seanowi. Miał dosyć i wiedział, kiedy z tym skończyć. Czas wracać do studia i zabrać się do czegoś innego.

## *Londyńscy spirytyści*

Towarzystwo Spirytystyczne Wielkiej Brytanii nazwałem spirytystycznym stołem szwedzkim. Mieli tam media wszelkiego rodzaju i można było zasięgnąć u nich porady za jedne dziesięć dolarów.

Towarzystwo posługuje się jasnowidzami, aby przyciągnąć ludzi do wiary w spirytyzm. Nie byłem tym zainteresowany, ale ciekawiła mnie możliwość powstawania zjawisk spirytystycznych, a oni mieli ogromny wybór mediów.

Byli tam wróżbici posługujący się psychometrią, umiejący czytać z przedmiotów trzymanyh w rękę i tacy, którzy wiedzieli wszystko o człowieku, ledwie wszedł do pokoju; byli tacy, którzy wróżyli z listków herbaty, inni z kart tarota, jeszcze inni z kwiatów, a był także taki, który robił coś z piaskiem. Byli wśród nich jasnowidze, którzy opowiadali klientom o ich rodzinie, o zmarłych krewnych i ich przeszłym życiu; jedni byli wnikliwymi psychologami, a inni zdeklarowanymi pragmatykami. Towarzystwo gromadziło łącznie czterdziestu jasnowidzów i stanowiło prawdziwą Mekkę dla wszystkich zainteresowanych spirytyzmem.

Ja wstępowałem tam niemal co dzień, wracając z pracy.

Zaraz po wejściu przechodziło się obok fotela Arthura Conan Doyle'a, najślawniejszego i najbardziej wpływowego członka Towarzystwa. Ten fotel zawsze zmuszał mnie do trzeźwego zastanowienia. Dla każdego, kto mając przygotowanie naukowe zaczyna zajmować się metafizyką, przykład Arthura Conan Doyle'a jest zastanawiający.

Twórca Sherlocka Holmesa był szkockim lekarzem, odszczepieńcem od wiary katolickiej, świetnym sportowcem i wiktoriańskim dżentelmenem. Chociaż kojarzy się go ściśle z chłodnym, dedukcyjnym umysłem jego powieściowego bohatera, Conan Doyle jeszcze podczas medycznych studiów miał skłonności do spirytyzmu, mistycyzmu i metafizyki. W jego dziełach często pojawia się wątek nadprzyrodzony, a powieść *Pies Baskerville'ów* cechuje ciągle napięcie między nadprzyrodzoną a racjonalną interpretacją wydarzeń.

W 1893 roku Conan Doyle wstępuje do Towarzystwa Badań Metapsychicznych, organizacji cieszącej się znacznym poważaniem. Jej prezesem był znany polityk Arthur Balfour, a wiceprezesami tak wybitni naukowcy, jak amerykański psycholog William James i przyrodnik, zwolennik teorii ewolucji, Alfred Russel Wallace. Toczyły się tam jednak spory, których przykładem może być skandal spowodowany przez fizyka Williama Crookesa i medium Florrie Cook.

W dziewiętnastym wieku seanse spirytystyczne były nader popularne. Grupa osób zasiadała wspólnie w ciemnym pokoju, a medium usiłowało wywołać duchy z zaświatów. Stosowano przy tym różne rekwizyty: srebrne tubki, przez które przemawiali zmarli, szafy, w których zamykano medium, latające krążki i inne świetliste przedmioty, które przemykały w powietrzu nad głowami zebranych. Na najbardziej widowiskowych pokazach medium wydzielalo ektoplazmę przybierającą postać zmarłego. Była to specjalność Florrie Cook.

Podczas swoich seansów Florrie zamykała się w szafie, gdzie popadała ponoć w trans. Wkrótce

wyłaniała się z niej w postaci niezwykle pięknej młodej kobiety w fosforyzującej szacie. To urocze zjawisko, które miało być duchem morderczyni Katie King, przechodziło przez pokój. A że postać ta była naga pod przejrzystą zasłoną, budziła sensację w wiktoriańskiej Anglii.

Będąc kiedyś świadkiem takiego seansu, William Crookes tak się zafascynował medialnymi zdolnościami Florrie Cook, że zabrał ją do swojego domu, gdzie mieszkała przez kilka miesięcy. W swoim czasie Crookes ogłosił, że Florrie jest autentycznym medium.

Ale dla większości ludzi było oczywiste, że Florrie Cook i Katie King to ta sama osoba. Wprawdzie Crookes dwukrotnie oświadczył, że widział jednocześnie obie, ale jego obiektywizm podawano w wątpliwość, a poza tym był znany z tego, że ma kiepski wzrok.

W końcu kontrowersyjny duch Katie King przestał się pojawiać i Florrie Cook materializowała innego ducha o imieniu Maria. Pewnego wieczora sir George Sitwell chwycił Marię za rękę, a ona krzyknęła i wybiegła z pokoju. Zebrani otworzyli szafę i zobaczyli, że jest pusta, a na jej dnie leży suknia Florrie Cook. Oszustwo się w końcu wydało.

Ten epizod jest przykładem, jak łatwowierny może być naukowiec. Jednak Conan Doyle zachowywał się bardzo podobnie jak Crookes; przez całe życie przejawiał zdumiewającą skłonność do uznawania za prawdę różnych nieprawdopodobnych wydarzeń. Chociaż powiadał, że naszym obowiązkiem jest demaskowanie fałszywych mediów, i choć wielokroć sam bywał narażony na oszustwa, ogólnie biorąc był ufny w najwyższym stopniu. Znalazło to znamienne wyraz w sprawie czarodziejskich fotografii, która ukazuje, jak nieostrożny bywał pisarz w swoich przygodach w świecie duchów.

W 1920 roku dwie dziewczynki z Yorkshire, Elsie i Frances Wright, stwierdziły, że sfotografowały dwie wróżki w miejscowym ogrodzie. Ojciec dziewczynek był fotografem amatorem, miał w domu własną ciemnię. Z tego i innych powodów fotografie te natychmiast wzbudziły podejrzenia. Rzecznik Kodaka uznał je za „w widoczny sposób sfalszowane”. Specjalista z nowojorskiego dziennika „Herald Tribune” oświadczył, że na zdjęciach są lalki. Wielu ludzi pytało, dlaczego wróżki są ubrane według ostatniej mody paryskiej.

Conan Doyle wysłał przyjaciela na rozmowę z dziewczynkami - sam nigdy się z nimi nie spotkał. Potem obejrzał zdjęcia i w artykule pod tytułem *The Corning of the Fairies* (Nadejście wróżek) ogłosił, że wierzy w autentyczność zdjęć małych uskrzydłonych istotek, co dowodzi, że wróżki naprawdę istnieją.

Właśnie nad tym głęboko się zastanawiałem: jak skądinąd rozsądny autor z wykształceniem medycznym mógł posunąć się tak daleko, by uwierzyć w istnienie wróżek? W przeszłości pozostawałem pod silnym wpływem Conan Doyle'a, teraz wyraźnie szedłem jego śladem. Postanowiłem zachować ostrożność.

Wydawało mi się, że przede wszystkim powinienem się przekonać, czy coś takiego jak „jasnowidztwo” w ogóle się zdarza. Bo wiedziałem z całą pewnością z moich doświadczeń lekarskich, że z samej obserwacji można się mnóstwo o człowieku dowiedzieć.

Spędziłem kiedyś pamiętną godzinę w Stambule, przyglądając się parze ulicznych sprzedawców na miejscowym bazarze, jak zagadywali przechodniów w dwunastu różnych językach, za każdym razem trafnie. Orientowali się według wielu bynajmniej nienadprzyrodzonych znaków rozpoznawczych. Chciałem zminimalizować ich liczbę, ustanowiłem więc sobie następujące zasady:

1. Nigdy nie podawać nazwiska.

2. Nigdy podczas wróżenia nie udzielać żadnych wskazówek o sobie.

Oznaczało to w praktyce, że starałem się w ogóle nie odzywać, żeby jasnowidz nie wiedział nawet, czy jestem Anglikiem, czy nie. Kiedy już musiałem coś powiedzieć, wydawałem z siebie tylko nieokreślone pomruki: „Uhm” lub „Hm”. Jednak kiedy się już raz wydało taki pomruk, trzeba było starać się przez cały seans powtarzać go dokładnie w taki sam sposób, bez najmniejszej zmiany w intonacji. Jeżeli jasnowidz zmusza do powiedzenia czegokolwiek, należy mówić: „Być może” albo „Nie jestem pewien”. I przez cały seans ograniczać się tylko do takich zdaneek.

3. Nigdy nie udzielać żadnych wskazówek wizualnych. Żadnych gestów, żadnych zbędnych ruchów, żadnego wiercenia się w fotelu podczas wróżenia. Zająć pozycję i trzymać się jej.

4. Starać się o niczym nie myśleć. Na wypadek jeżeli ktoś umie czytać w myślach. Nigdy nic nie wiadomo.

5. Starać się dokładnie zapamiętywać wszystko, co się usłyszało. To, co było celne, i to, co nietrafione. Ma się zazwyczaj skłonność przy spotkaniu z jasnowidzem przywiązywać wagę do tego, co powiedział trafnie, a pomijać to, w czym nie trafił. Chciałem zachować równowagę. Bardzo na to uważałem.

Byłem zadowolony z planu, ale wiedziałem, że bardzo trudno jest zastosować go w praktyce. Choć moją intencją było niedostarczanie wróżbicie zwykłymi kanałami żadnej informacji, z której mógłby czegoś się dowiedzieć o mnie, prawdą jest, że wszyscy wzajemnie przekazujemy mnóstwo informacji o sobie. Mówi o nas nasze ubranie, postawa, odcień skóry, ruchy, zapach ciała, sposób oddychania i tym podobne sprawy. Można temu zapobiec, jedynie przeprowadzając seans przez telefon. Powierzchność człowieka w nieunikniony sposób jest bogatym źródłem informacji. I choć *A* nie zamierzałem pozwolić, by jakiś mój ruch czy intonacja głosu mogła dostarczyć pożywki jasnowidzowi, czułem, że będzie niezwykle trudno wykonać mój plan doskonale. Niemniej jednak zamierzałem go wykonać najlepiej jak się da.

Szczęście mi sprzyjało. Pierwsze medium, z jakim się zetknąłem, świetnie odpowiadało moim planom. Była to kobieta po sześćdziesiątce, niemal niewidoma. Słyszała także kiepsko, bo osądziła, że jestem z Londynu. Nie sprostowałem. Po prostu usiadłem. Żeby nie myśleć o niczym, wpatrywałem się w jej obrzękłe nogi.

Mówiła o tym i owym, rzucając czasem jakieś psychologiczne spostrzeżenia, ale nic szczególnie odkrywczego. Po półgodzinie raczej beładnej gadaniny nagle zapytała z przerażeniem w głosie:

- Gdzież, u licha, pan pracuje? - Natychmiast dorzuciła: - Niech mi pan nie mówi, niech pan nie mówi. Nie mogę się jakoś z tym pozbierać. Nigdy przedtem nie widziałam nic podobnego. - Potem opowiedziała mi, co widzi.

Widziała mnie pracującego w pokoju przypominającym pralnię, z wielkimi białymi koszami, w których wiją się czarne węże, ale to nie były węże. I słyszała wciąż powtarzający się okropny dźwięk, coś jakby „Whuaaa-whu-uu, whuuu-whuaaa”, i widziała obrazki przesuwające się naprzód i w tył, naprzód i w tył. I coś jakby kapelusze czy cylindry, takie staromodne cylindry.

Nie mogła się w tym zorientować. Uznała to za nieprzyjemne, te dźwięki, te węże, wszystko razem.

- Jest pan nader osobliwym człowiekiem - powiedziała.

Ja, oczywiście, świetnie wiedziałem, o czym mówi. Widziała miejsce, gdzie właściwie mieszkalem przez ostatnie dwa tygodnie, pracując nad montażem filmu, przesuwając naprzód i w tył

taśmę przy akompaniamencie tych okropnych odgłosów. Był to film *Wielki napad na pociąg*, gdzie wszyscy aktorzy nosili cylindry.

Drobna niewidoma paniusia z obrzękniętymi kostkami w żaden sposób nie mogła tego wiedzieć.

Wszedłem z tego seansu z dziwnym uczuciem. Wszystkie moje starannie ułożone plany wydały mi się teraz nic niewarte. Choćbym nawet absolutnie nie potrafił zapanować nad swoimi ruchami, sposobem mówienia czy pochrząkiwaniem, choćby ona nie wiadomo jak dobrze udawała ślepotę, kiedy mnie wstępnie wybadywała, to przecież cholernie dobrze wiedziałem, że nie mogłem jej przekazać obrazu pokoju montażowego, obrazu, który ona mylnie odebrała jako widok pralni z wężami. W żaden sposób jej tego nie podsunąłem, to niemożliwe. Niewielu ludzi na świecie widziało filmową montażownię. Mało kto wie, co tam się dzieje.

Więc skąd wzięła te informacje?

Rozważałem dwie możliwości. Jedna, że była poinformowana. Umówiłem się z nią przez telefon pod zmienionym nazwiskiem, ale kiedy wchodziłem do budynku, ktoś w holu mógł mnie rozpoznać i dać jakoś znać tej kobiecie, kim jestem i że mam do czynienia z filmem. Wprawdzie na stoliku w pokoju, w którym mnie przyjmowała, nie było telefonu, ale kto wie? Jeżeli uzyskała taką informację, to tłumaczyłoby wszystko.

Drugą możliwością było to, że jest istotnie jasnowidząca i że całe zjawisko jest prawdziwe.

Parę dni później wróciłem do Towarzystwa Spirytystycznego. Tym razem natknąłem się na niskiego mężczyznę, rzeczowego i bezpośredniego w obejściu. Wyciągnął do mnie rękę, trzasnął palcami i powiedział:

- Proszę mi coś dać.

- Na przykład co?

- Może być zegarek.

Dałem mu swój zegarek.

- Niech się pan nie martwi. Oddam go panu. Proszę usiąść.

Trzymał zegarek w ręku, obracał go w palcach, bawił się nim. Siedział na bujanym fotelu. Zaczęła mnie boleć głowa. Źle się czułem w jego towarzystwie.

- Czy wierzy pan w spirytyzm? - zapytał.

- Nie wiem.

- Czy pański dziadek był żołnierzem?

- Nie wiem.

- Ach, rozumiem. Pan należy do tych, którzy w kółko powtarzają to samo. Nie chce mi pan w niczym pomóc, prawda?

- Nie wiem. - Trzymałem się swego planu, ale to było chyba głupie.

- Nieważne - powiedział. - Niech pan robi, co chce. Widzę pańskiego dziadka na koniu, wygląda na żołnierza. Widzę pańskiego dziadka, jak pracuje przy kamieniu. Widzę obok niego na ziemi kamienne odłamki; tak, obrabia kamień.

Mój dziadek zmarł w wojsku podczas epidemii grypy w 1919 roku, nim urodził się mój ojciec. Z zawodu był kamieniarzem. Widziałem na zdjęciach robione przez niego nagrobki.

- Pański ojciec zmarł - powiedział jasnowidz. - Całkiem niedawno.

Ojciec zmarł osiem miesięcy temu.

- Tak - powiedziałem.

- Jest mu dobrze. Pańska matka zbyt nad nim boleje. Powinien pan jej powiedzieć, że z ojcem wszystko dobrze i że życzy sobie, żeby przestała go opłakiwać. Powie to pan swojej matce?

- Tak - powiedziałem, myśląc przy tym: „O, na pewno, bratku. Już pędzę, by zadzwonić do matki i jej powiedzieć: jakiś nieodpowiedzialny facet trzyma w ręku mój zegarek i twierdzi, że tatuś jest z zaświatami i że mu tam dobrze, mamusiu. Już pędzę”.

Ale pomyślałem także, że to stereotypowa sytuacja. Skoro jakoś odgadł, że mój ojciec niedawno zmarł, mógł bez większego ryzyka powiedzieć, że matka zbyt się zamartwia i że powinienem ją pocieszyć, że ojcu jest dobrze. To jest sytuacja stereotypowa i nic nie znaczy.

Mężczyzna potarł ręką zegarek.

- Pański ojciec zrobił wiele dobrego i wiele złego.

Jeszcze jedna banalna uwaga. Można to powiedzieć o każdym zmarłym. Pozostałem niewzruszony.

- Pański ojciec żałuje tego, co panu wyrządził.

Nic nie powiedziałem.

- Pański ojciec starał się postępować jak najlepiej wobec pana, ale widzi pan, sam nie miał ojca, który by mógł go tego nauczyć.

To prawda. I niełatwo było to odgadnąć.

- Pański ojciec nie wiedział, jak z panem postępować, a pan oczywiście go onieśmiał. Mieliście więc trudności w porozumiewaniu się ze sobą. Ale on wie, że pana skrzywdził, i teraz tego żałuje. Chce, żeby pan o tym wiedział. Chce panu pomóc.

Nie odezwałem się.

- Często nocami spaceruje pan po mieście. Ojciec jest wtedy obok pana i chce panu pomóc.

W Londynie spotykałem się z pewną kobietą, która mieszkała niedaleko mojego hotelu. Często wracałem od niej nocą, radując się chłodnym powietrzem i lekką londyńską mgłą, i wtedy myślałem o ojcu.

- Jak rozumiem, pańska siostra jest prawniczką - powiedział nagle. Ale jest Amerykanką. Dlaczego jest w Anglii?

Moja siostra z mężem byli właśnie na urlopie gdzieś w Anglii. Nie widziałem się jeszcze z nimi, mieli przyjechać do Londynu pod koniec miesiąca.

I tak przez pozostałą część seansu. Mały człowieczek mógł irytować, ale rozpoznawał sprawy bardzo dokładnie.

Wróciłem po paru dniach. Tym razem spotkałem się ze Szkotką w średnim wieku, ubraną w tweedowy kostium, która wyglądała jak większa wersja panny Marple. Wielce autorytatywnym tonem poinformowała mnie, że pochodzę z Malty, że jestem jedynakiem, że zajmuję się czymś, co ma związek z jedzeniem i z restauracjami i że powinienem mieć się na baczności, bo jestem oszukiwany.

Wyszedłem oszołomiony. Wszystko to było wysrane z palca. Ta kobieta tylko przypadkiem mogłaby trafić na jakiś ślad prawdy o mnie. Ale pomyliła się w każdym szczególe.

Ponieważ reżyserowałem film, miałem do dyspozycji wóz z kierowcą. Mój kierowca, John King, zainteresował się, dlaczego tak często jeżdżę do Towarzystwa Spirytystycznego - Co oni tam właściwie robią, Michael?

- Mają tam jasnowidzów, media, które wróżą.

- Czy przepowiadają przyszłość?

- Niekiedy. A niekiedy mówią ci po prostu, jaki jesteś.
- A sam nie wiesz, jaki jesteś? - odezwał się w Johnie głos zdrowego rozsądku.
- Wiem, ale to ciekawe, kiedy ci mówi o tym ktoś, kto cię nie zna.
- Mówią prawdę?
- Przeważnie tak.

John umilkł. Potem zapytał:

- Czy wierzysz, że ktoś potrafi przepowiedzieć przyszłość?
- Myślę, że coś w tym jest - odparłem.

W moich poszukiwaniach doszedłem jak dotąd do takiej właśnie konkluzji. Byłoby absurdem obstawać przy tym, że wiedzę jasnowidzów o mnie można objaśnić w jakiś zwykły sposób. Jeden z nich wymienił imiona moich przyjaciół w Kalifornii. Inny opisał mój dom i zmiany, jakie w nim wprowadziłem. Trzeci przypomniał mi przykry incydent z czasów, kiedy chodziłem do trzeciej klasy; wypuściłem wtedy z klatki ukochanego kanarka panny Fromkin. Ptaszek wyleciał przez lufcik i przez godzinę nie wracał.

Wiedzy o tym wydarzeniu nie mogłaby dostarczyć cała sieć wytrawnych informatorów, nawet ja sam nie mogłem się z nią zdradzić niechcący w jakikolwiek sposób. Nie mogłem zrobić żadnego „przecieku” w sprawie panny Fromkin. Nie pamiętałem nawet o niej, póki mi tego nie przypomniano.

Było dla mnie jasne jak słońce, że nikt nie mógł o tym poinformować jasnowidza.

Mniej jasne było dla mnie jednak to, co się wydarzyło, co to wszystko znaczy. W szczególności opierałem się przed dokonaniem skoku od przyznania, że ktoś potrafi dokładnie opisać przeszłość, do przekonania, że ktoś może widzieć przyszłość. Widzenie przyszłości wydawało mi się czymś całkowicie innym niż odczytywanie przeszłości.

A to z jednego powodu: wszyscy możemy opowiedzieć o swojej przeszłości. Mogę komuś opowiedzieć o moim życiu i ten ktoś będzie coś o nim wiedział. Nie ma w tym nic tajemniczego. Czyjąś zdolność do jej poznania bez pomocy słów, zdolność do „czytania w myślach” można uznać za udoskonalenie prehistorycznych umiejętności, tak jak odrzutowiec jest udoskonaleniem dwupłatowca. Nie stanowiło to dla mnie prawdziwego problemu, choć nie wiedziałem, jak to się dzieje.

Natomiast miałem teoretyczne zastrzeżenia co do widzenia przyszłości, podobne do teoretycznych zastrzeżeń co do możliwości poruszania się z prędkością większą niż prędkość światła. Nie mogłem pojąć, jak to można zrobić, i nie potrafiłem się zmusić do uznania, że jest to w ogóle wykonalne. Przeszłość zresztą istniała w tym znaczeniu, że dawniej była terażniejszością, która potem przeminęła. Ale przyszłość jeszcze nie zaistniała. Jak zatem można ją zobaczyć?

Nie byłem zresztą pewien, czy tak dużo się dowiedziałem o przyszłości. Podano mi dokładne informacje o mojej przeszłości i terażniejszości, ale niewiele o przyszłości. W związku z tym nie byłem zbyt pewien siebie w rozmowie z Johnem.

- Co ci się tam tak podoba, że się z nimi spotykasz? - spytał.

- No po prostu... Nie wiem... Jestem ciekaw tego wszystkiego. - Było to najlepsze wyjaśnienie, jakiego mogłem mu udzielić. Zresztą tak było.

Potem, ponieważ wciąż patrzył na mnie ze zdziwieniem, dodałem:

- Wiesz co. Jak pójde tam następnym razem, zamówię seans także i dla ciebie.

Kiedy wyszedłem z mojego kolejnego seansu, zastałem go już w samochodzie. Był blady



i wystraszony.

- Jasny gwint! Wiesz, co on mi powiedział?

- No co?

Ale John nie odpowiedział.

- Skąd oni o tym wiedzą?

- O czym?

- Nie mogłem w to uwierzyć. Skąd on to wie? Aż dreszcze mi chodzą po plecach.

- Co ci powiedział?

- Nie, nie mam zamiaru ci o tym mówić. Obojętne. Nigdy tu nie wrócę. Nie chcę ci o tym mówić.

Opowiadał tylko o swoich wrażeniach z rozmowy, nie o samej rozmowie.

- Nie wiem, co ty w tym widzisz - powiedział później. - Nie wiem, dlaczego lubisz tam chodzić.

- A ja nie wiem, co ci się tam nie podobało - odparłem. Nie rozumiałem jego reakcji. Mogłem zrozumieć sceptycyzm albo obojętność. Ale strach?

Po kilku dniach dał mi odpowiedź. Kiedy wyjeżdżaliśmy ze studia, oświadczył:

- Prawdę mówiąc, nie chcę tyle wiedzieć o sobie, a także nie chcę, by kto inny wiedział.

A więc to był lęk. Lęk przed wystawieniem się na pokaz. Lęk przed naruszeniem jego prywatności. Lęk przed ujawnieniem jego tajemnic czy słabości. Lęk przed tym, co niesie przyszłość.

Rozumiałem go. Pamiętam, kiedy pierwszy raz spotkałem się z prawdziwym psychiatrą. Był ojcem mojej koleżanki z liceum i przy obiedzie siedziałem obok niego. Przez cały wieczór nie chciałem otworzyć ust, bo myślałem, że cokolwiek powiem, on przejrzy mnie na wskroś i będzie wiedział, że jestem płytkim, opętanym seksem, cierpiącym na głębokie zaburzenia młodym łotrem. Więc trzymałem gębę na kłódkę.

Po chwili psychiatra odezwał się do mnie:

- Taki jesteś milczący.

- Uhm - powiedziałem.

Żeby mnie pociągnąć za język, zadał mi parę pytań na temat, jakie przedmioty interesują mnie w szkole. Odpowiadałem mu lakonicznie. Nie chciałem, żeby mnie wciągał do rozmowy.

W końcu zapytał:

- Czy to moja obecność tak cię krępuje?

- Trochę - odpowiedziałem. A potem przyznałem mu się, że się bałem, że na podstawie moich przypadkowych słów będzie umiał mnie rozszyfrować.

Roześmiał się.

- Nie jestem teraz w pracy - powiedział. - I naucz się odganiać takie lęki.

Ale to mi nie wystarczało. Widać odgadł to, bo powiedział:

- Psychiatria nie jest wszechmocna. Jeżeli nie chcesz, żebym się czegoś o tobie dowiedział, zaręczam ci, że chyba nie udałoby mi się to podczas obiadu.

To już było coś więcej. Odprężyłem się i mile porozmawialiśmy ze sobą.

Ale wciąż pamiętam nieracjonalny lęk przed władaniem nade mną kogoś innego i przerażające poczucie, jak niezbadana jest psyche. Kto wie, co w niej tkwi? Lepiej do niej nie zaglądać. Lepiej także nie pozwolić zaglądać do niej innym. Można się narazić na przykry wstrząs.

Lęków już się dawno wyzbyłem i z całym zapalem odwiedzałem w Londynie moich jasnowidzów. Z czasem zacząłem dostrzegać pewne stałe sposoby ich zachowań.

Na przykład, zwykle nie trafiali w sedno, ale krążyli wokół spraw. Byli jak niewidomi, którzy

obmacują palcami figurkę ze wszystkich stron, żeby sobie wyobrazić, jak wygląda. Kawalek po kawałku odbierali wrażenie całości. I często powtarzali swoje czynności. Tak jakby krążyli wokół czegoś, próbując to wyczuć i rozpoznać.

Zauważyłem także, że nieraz mówią tak, jakby dokonywali przekładu z innego języka; jakby przynosili wyrażane przez siebie treści z jednego systemu wyobrażeń na drugi. Dlatego niekiedy odzywali się bardzo niejasno. Producent filmowy był to ktoś, „kto jest odpowiedzialny za innych”, montażysta to „ktoś, kto dostaje rzeczy wykonane poprzednio przez innych i tworzy z nich nową całość”; niedbała sekretarka to „osoba, która sądzi, że robi coś dobrego, ale się złości i popełnia błędy, z których nawet nie zdaje sobie sprawy”.

Niekiedy znów za bardzo odwołują się do konkretów. Nie mówią, że jestem pisarzem, ale: „Widzę pana w otoczeniu książek”. Nie mówią, że mam nowoczesny dom, ale: „Pański dom jest bardzo jasny, cały przeszklony i otoczony zielenią”. I tak dalej.

Zauważyłem także, że w zasadzie trzymają się raz obranego szlaku. Zdarza się, że z niego zbaczają, nagle się płacząc czy wręcz myląc. Ale już to zaobserwowałem, że mogą przez chwilę mówić coś nieprawdziwego, a potem wracają na zgubiony trop.

Próbowałem zauważyć, w jakich sytuacjach zbaczają i powracają. Zdaje się, że zbaczali z drogi, ilekroć zbyt koncentrowali uwagę na mojej osobie.

Kiedy uważnie patrzyli na mnie, mogli rzucać takie banalne uwagi, jak: „Pan wygląda bardzo młodo” albo „Pan jest wysoki”, albo „Pan nie jest Anglikiem, prawda?” I wtedy tracili trop. Wydaje się więc, że aby naprawdę dobrze mnie rozpoznać, musieli tracić z oczu moją fizyczną obecność. Kiedy najcelniej trafiali w sedno, mówili jakby do siebie, jakby mnie nie było w pokoju. W tym znaczeniu robili coś wręcz przeciwnego niż ci, którzy uprawiają „chłodne” techniki wróżenia, wymagające dokładnej obserwacji osoby, którą się ma przed sobą. Tu taka dokładna obserwacja powoduje błędy.

Zauważyłem także, że wiedza jasnowidzów jest jakby bezładna, że stanowi dziwne i niekiedy irytujące pomieszanie spraw znaczących z banalnymi, jakby wszystko liczyło się tak samo. Tak jakby nasze normalne rozumienie wagi informacji zanikało w procesie jasnowidzenia.

Zauważyłem wreszcie, że jasnowidze mają chyba własną specyficzną dziedzinę pomyłek. Chodziło o podobieństwo błędów. Mogli pomylić Kolorado ze Szwajcarią, plażę z pustynią albo książki medyczne z prawniczymi. Mogli mylić czas wydarzeń - często trafniej określali porę roku niż sam rok, często też błędnie podawali kolejność spraw i liczbę rzeczy. Chyba nie można oczekiwać od jasnowidzów dokładnej orientacji w tych sprawach; tego po prostu nie umieją.

Jasnowidze, których poznałem, wydali się mi wyrazistymi osobowościami. Jako ludzie bardzo różnili się między sobą, ale mieli podobne sposoby zdobywania informacji i posługiwania się nimi.

Umocniło to moje przekonanie, że naprawdę coś w tym jest, że ci ludzie mają dostęp do jakiegoś źródła informacji, którego nie mają zwykli zjadacze chleba. Nie wiedziałem, dlaczego oni mają ten dostęp, a reszta z nas nie. Ale nie wydawało się, by następowało to za sprawą jakichś magicznych sztuczek. Przeciwnie, wszyscy jasnowidze wydawali się niezwykle prostolinijni. Żadnych zainscenizowanych seansów, żadnej fosforyzującej ektoplazmy. Po prostu siedzieli i odbierali przekazywane przeze mnie wrażenia.

Dwóch jasnowidzów powiedziało mi, że jestem medium. Jeden powiedział, że będę pisał o świecie spirytystycznym. Pomyślałem sobie: „O tak, z pewnością, z pewnością”.

Po trzech miesiącach odwiedzania jasnowidzów ukończyłem pracę nad filmem i przyszedł czas, by opuścić Londyn. - No i co? - zapytał mnie John King. - Do jakiego wniosku doszedłeś?

Nie doszedłem do żadnego. Nie wiedziałem, co o tym sądzić. Byłem pewien, że niektórzy ludzie albo się rodzą z taką właściwością, albo zdobywają ją na drodze pewnych szczególnych ćwiczeń, tak że potrafią dotrzeć do jakichś innych niż nasze zwykłe źródła informacji i mogą wiedzieć o ludziach coś, czego nawet sobie nie wyobrażamy, że można wiedzieć.

Mniej byłem pewny tego, czy można przepowiadać przyszłość. Może tak, a może nie. I zawsze miałem w pamięci wpadkę Conan Doyle'a. Ja nie popełnię takiego błędu.

Te moje uczucia znalazły odzwierciedlenie w czasie mojego lotu z Londynu do kraju. Już po zgłoszeniu się na lotnisko usłyszałem, że British Air ogłosiło opóźnienie odlotu. Pasażerów przetrzymano w poczekalni przez kilka godzin.

Wreszcie oznajmiono, że samolot odleci po usunięciu jakiejś usterki, więc wpuszczono nas na pokład i podano napoje. Na dworze było już ciemno. Zasiadłszy w fotelu, czytałem książkę i spoglądałem od czasu do czasu w czerń za oknem. Zdawało mi się, że już lecimy. Wtedy pod oknem przejechała platforma z dźwigiem i złudzenie prysło. Gdybym nie zobaczył żadnego pojazdu naziemnego, trwałoby nadal.

Przypominało to nieco moje doświadczenia z jasnowidztwem. Wydawało mi się, że już jestem w powietrzu, ale uznałem, że lepiej chwilę poczekać i sprawdzić, czy nie tkwię jeszcze na ziemi.

## *Baltistan*

Droga do Baltistanu wiedzie wysokogórskim szlakiem prowadzącym na szczyt Maszerbrum o wysokości 7800 metrów w pakistańskim paśmie gór Karakorum.

Niewiele wiedziałem o górach Karakorum. Na mapie widać olbrzymi spiętrzony łańcuch górski, który biegnie od Afganistanu do Birmy, sięgając od Półwyspu Indyjskiego aż po Rosję. Zawsze myślałem, że to Himalaje. Ale okazało się, że nazwa Himalaje odnosi się tylko do wschodniego odcinka tego pasma; bardziej na zachód góry te nazywają się Karakorum, a jeszcze dalej na zachód Hindukusz.

Sądziłem także zawsze, że Himalaje to najwyższy łańcuch górski świata, ale wcale tak nie jest. Himalaje szczycą się Everestem, który jest samotnym najwyższym szczytem, ale najwyższym łańcuchem górskim jest Karakorum, zawierający drugi pod względem wysokości szczyt K2 oraz trzy inne ośmiotysięczniki. Dziesięć spośród trzydziestu najwyższych szczytów świata znajduje się w niewielkim łańcuchu Karakorum, który ciągnie się tylko na przestrzeni trzystu dwudziestu kilometrów, co stanowi nieco ponad jedną dziesiątą długości Himalajów.

Wyobrażałem sobie wreszcie, że Karakorum jest lesiste i zielone, tak jak amerykańskie Góry Skaliste. Nie zdawałem sobie sprawy, że większość szczytów Karakorum jest przeciętnie o trzy kilometry wyższa niż Góry Skaliste; są to w zasadzie gołe skały wznoszące się z pustynnych podnóży. Bije z nich ponura, owiana wiatrami dostojność, niemniej są to gołe skalne szczyty.

Wszystko to mogłem oglądać z samolotu linii pakistańskich, lecącego ze stołecznego miasta Rawalpindi na północ do Skardu. Te poszarpane ostre szczyty nie mają żadnego odpowiednika w Nowym Świecie. W porównaniu z nimi amerykańskie Góry Skaliste wyglądają jak małe zwietrzałe pagórki. Takie góry jak Nanga Parvat wręcz zapierają dech z podziwu.

Kiedy wylądowaliśmy na lotnisku w Skardu, znaleźliśmy się w pustynnym otoczeniu. Zeszliśmy z pokładu w duszny skwar. Migocące nad płytą startową warstwy nagrzanego powietrza zniekształcają zarysy otaczających nas nagich szczytów. Skardu miało być naszą bazą wypadową do dalszej wyprawy. Na miejscowym bazarze uzupełniliśmy zapasy i spotkaliśmy naszego łącznika wojskowego, Shana Affridi, przystojnego dwudziestoośmioletniego majora. Każdej wyprawie turystycznej w Pakistanie musi towarzyszyć łącznik wojskowy.

Cały następny dzień jechaliśmy dżipami drogą wykutą w skałach wzdłuż rzeki Indus i zatrzymaliśmy się na noc w Khapulu, sporym miasteczku o około czterystu domach, bo tak należy nazwać ludzką osadę w tej części świata. Nasz przewodnik Dick Irvin wynajął tragarzy na dalszą wyprawę. Uciążliwe negocjacje ciągnęły się do późna w noc, były tym bardziej skomplikowane, że nie mieliśmy dobrych map terenów, na które mieliśmy się dostać. Zdobycie dokładnej mapy w Pakistanie to w ogóle trudna sprawa. Dick miał przy sobie kserogram szkicu dokonanego przez kogoś, kto przed paru laty przebył ten szlak. To było wszystko, czym rozporządzaliśmy. Wobec tego nie było dla nas całkiem jasne, w jakiej kolejności będziemy mijać poszczególne wioski. Niektórzy z tragarzy chcieli nas porzucić to w jednej, to w drugiej wiosce, więc wybuchały kłótnie i wynikały z nich dalsze negocjacje. Tragarze powtarzali z uporem, że sami nie wiemy, dokąd się wybieramy.

Było dla mnie oczywiste, że mają rację.

Major Shan zachował podczas tych sporów dyskretne milczenie. Jestem pewien, że on także sądził, że sami nie wiemy, dokąd idziemy.

Rozmawiałem o tym z Loren. Pobraliśmy się zeszłej zimy, a ta wyprawa miała być naszą spóźnioną podróżą poślubną. Loren właśnie skończyła studia prawnicze i zachowywała się nader bez trosko.

Następnego rana przebywamy rzekę Shyok na *żaku*, tratwie z nadmuchanych kozich jelit umocowanych pod platformą z drewnianych bali, sterowanej wiosłem przez miejscowego przewoźnika. Poranne słońce zagląda do głębokiego wąwozu, a temperatura wzrasta do pięćdziesięciu pięciu stopni, choć dopiero ósma. Otwieramy parasole i ruszamy w drogę. Naszym celem na tę pierwszą noc jest Mishoke, wioska, która, jak sądzimy, leży między wioskami Kande a Micholu.

Znajdujemy się teraz w Baltistanie. Wysokie szare szczyty górskie, a w dolinie, którą idziemy, żółte płachetki pól pszenicy i małe wioski z kępami drzew morelowych. Krajobraz jest posepnie piękny i pełen sprzeczności. W tych okolicach kobiety muzułmańskie muszą zasłaniać twarze i kryć się przed obcymi mężczyznami. Przez cały dzień, kiedy maszeruję drogą, kobiety na mój widok uciekają w pole. Czuję się dziwnie, jakbym był dotknięty trądem. Ale słyszę, że te kobiety chichocą między sobą, i cała sprawa staje się czymś w rodzaju towarzyskiego ceremoniału, czymś takim jak uścisk ręki, tyle że stanowi jego przeciwieństwo.

Nie wolno fotografować tych kobiet i jako mężczyźni nie wolno mi oczywiście z nimi rozmawiać. W muzułmańskim Baltistanie obie płcie są ściśle od siebie rozdzielone. Niekiedy wieczorem nasze panie odchodziły od nas, by posiedzieć z wiejskimi kobietami. Jasne włosy Loren budziły wśród nich żywe zdziwienie. Kobiety gromadziły się wokół i dotykały jej włosów. Często uznawały, że musi być na coś chora. Małe dzieci kryły się przed nią, uważając ją za ducha. Kobiety ciekawił również ubiór Loren, gdyż nosiła spodnie. Macały czasem jej piersi, by sprawdzić, czy jest naprawdę kobietą.

Miejscowe obyczaje związane z rozdziałem płci wywoływały nieoczekiwane trudności. Kiedy przybywaliśmy wieczorem do jakiejś wioski, musieliśmy czekać z północą do studni po wodę. Bo jeśli kobieta zobaczy przy studni obcego mężczyznę, musi czekać z dala od niej przez następną godzinę, z obawy, że może on niespodziewanie znów się pojawić. Opóźniało to ich wieczorny posiłek i zakłócało życie całej wsi, więc czekaliśmy, aż miejscowi nabiorą sobie wody, nim sami ją zaczerpnijemy na własny użytek.

Po kilku dniach wędrówki Loren poszła kawałek w górę potoku, by się wykapać w pobliżu wioski. Poszła sama, bo gdybym jej towarzyszył, byłoby to naruszenie miejscowego obyczaju. Poradzono jej, by się wykapała najszybciej, jak można, co było zbędnym zaleceniem przy lodowatej wodzie górskiego potoku. Wkrótce biegiem wróciła do obozu, ściskając w garści ubranie i z włosami spienionymi od szamponu. Kiedy się kąpała w samej bieliźnie, napadła ją grupa kobiet z wioski i obrzuciła kamieniami. Musiała uciekać.

W innej wsi kobiety rozgniewały się, kiedy Loren odmówiła karmienia piersią ich dzieci; nawet kiedy major Shan (który zresztą zawsze zachowywał się z rezerwą) wyjaśnił im, że Loren nie ma mleka, nadal były gniewne. Nie mogły uwierzyć, że kobieta w wieku Loren nie ma dziecka i nie może karmić.

Za dnia temperatura sięga sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Spoceni pod naszymi parasolami, mamy tylko jedno pragnienie: wody! Nigdy przedtem nie interesowałem się szczególnie wodą. To takie coś, co wypływa z kranu i zawsze jest dostępne w obfitości. O wodzie nawet się nie myślało. Ale tutaj każdego ranka, nim wyruszymy, Dick Irwin zagląda do swoich notatek i mówi nam, gdzie w drodze możemy się spodziewać, że znajdziemy wodę. W wioskach oczywiście zawsze jest woda, ale leżały one w odległości kilkunastu kilometrów. Między nimi musieliśmy wypatrywać strumieni i kanałów nawadniających. Każde z nas nosiło przy sobie dwie litrowe butelki i napełnialiśmy je przy każdej okazji.

Woda była zawsze zanieczyszczona, więc oczyszczaliśmy ją za pomocą kryształków jodu, które zabarwiały wodę na czerwono i nadawały jej smak lekarstwa. Proces oczyszczenia wymaga czasu i jego długość jest zależna od temperatury wody. Musieliśmy sprawdzać przed wypiciem, jak długo już trwa proces odkażania, bo aż strach pomyśleć o możliwych skutkach wypicia zanieczyszczonej wody.

Z tego względu i z wielu innych czuliśmy się bardzo izolowani od reszty świata. Ta izolacja oznacza nowe warunki istnienia. Nawet najzwyczajniejsze wypadki mogą tu być bardzo kłopotliwe.

Musieliśmy, na przykład, przejść w bród rzekę - nie jakiś rwący potok, ale zwykłą lodowatą zimną rzekę o dość bystrym nurcie. Normalnie nie namyślałbym się przed wejściem do takiej wody, ale tu należy rozpoznać nową rzeczywistość. Jeśli człowiek się pośliznie i złamie nogę - zwłaszcza jeśli to będzie skomplikowane złamanie - należy się liczyć, że może umrzeć, nim się dostanie do cywilizowanego świata. Jeżeli się pośliznie i tylko skręci nogę w kostce, dwóch tragarzy będzie musiało go zanieść z powrotem, nacierpi się i cała wyprawa będzie zepsuta.

A zatem, postawiony wobec konieczności przejścia przez rzekę, człowiek czuje, że ciąży na nim absolutny zakaz doznania jakiegokolwiek urazu. Chcąc napić się wody, czuje nakaz sprawdzenia, czy jest właściwie odkażona, bo nie chce dostać biegunki, która pozbawi go sił. I tak dalej.

To był jeden aspekt izolacji, drugim był charakter samych wiosek. Wioski Baltistanu stanowią często skupisko kilkunastu drewnianych chałupek obok szosy. Oddalone są między sobą mniej więcej o osiem kilometrów. Dziennie przechodziliśmy około dwudziestu kilometrów. A zatem rano porzucaliśmy jedną wioskę, koło południa mijaliśmy inną, a pod wieczór rozbijaliśmy nasz obóz obok trzeciej. Zważywszy na niewielkie odległości między nimi, dziwne było, jak bardzo się między sobą różnią. Nawet moje niewyrobite ucho mogło uchwycić różnice językowe, widziałem też, jak w każdej wsi odmiennie budowali drewniane chaty. Każda wieś miała własny odrębny styl. Ta ich zadziwiająca różnorodność rodziła się zapewne z tego, że były to wioski górskie i przez większą część roku jedną od drugiej dzieliły głębokie zasy - były tak odcięte od świata, jakby dzieliły je setki kilometrów od najbliższych siedzib ludzkich.

A jednak w miarę upływu dni naszej wędrówki jakoś rozchodziła się wieść, że drogą idą ferengi. W każdej wiosce rozlegały się okrzyki ogłaszające nasze przybycie i zbiegali się ludzie, by nas obejrzyć. Rodzice brali za ręce dzieci i wyprowadzali je na drogę, by im pokazać cudzoziemców, inni wchodzili na dachy domów i patrzyli z góry, jak mijamy wieś. Ta ciekawość była całkiem przyjazna, ale wydawała się nam nieco dziwna.

Tylko z rzadka można było na tej drodze oglądać turystów. Miesiąc temu przechodziła tędy grupa himalaistów japońskich, a potem już prawie nikt.

Znów dawało się nam we znaki odcięcie od świata. Mieliśmy ze sobą różne sproszkowane i liofilizowane produkty, ale na tej wysokości trudno było zagotować wodę, więc nasze posiłki

często miały smak zupy z tektury. Ktoś poprosił Dicka Irvina, by kupił dla nas w wiosce jakąś świeżą żywność.

- Chyba nie powinniśmy o to prosić - powiedział. Wyjaśnił, że w tych odległych od świata wioskach Baltistanu hodują pszenicę, morele i trzodę, a to, co wyhodują, musi im wystarczyć na całą zimę. Nie mają żadnych nadwyżek na sprzedaż.

- Nawet gdybyśmy im dobrze zapłacili?

- Przecież im niepotrzebne pieniądze - rzekł. - Co by mieli z nimi zrobić?

- Co ty mówisz? - zapytał ktoś. - Jak ludziom mogą być niepotrzebne pieniądze?

- Najbliższy bank i bazar jest dopiero w Skardu, a to setki kilometrów stąd. Większość ludzi nie była nigdy nawet w sąsiedniej wiosce, a co mówić o Skardu. Gdybyście dali im pieniądze, trzymaliby je w domu i nigdy nie zrobiliby z nich żadnego użytku.

Opowiedział, że przed paru laty rząd wymienił walutę, zawiadomiono wszystkich mieszkańców kraju, by przywieźli stare pieniądze, nim utracą wartość. Stare pieniądze wciąż były tutaj w obiegu i wieśniacy bardzo się złościли, kiedy im mówiono, że już są nieważne.

Po dwóch dniach wędrówki zarysował się przed nami wyraźnie szczyt Maszerbrum.

Poszedłem przodem przed resztą towarzystwa, radując się chwilą samotności na szlaku. Około czwartej dotarłem do sennej od upału wioski. Sądziłem, że to Kande, gdzie mieliśmy rozłożyć na noc obóz.

Na moje przywitanie wybiegła grupka dzieciaków. Stłoczyły się wokół, dotykając mnie, mojego plecaka i aparatu fotograficznego. Wypytywały mnie o coś w kółko, aleja nie zwracałem na to uwagi, bo nie znam języka urdyjskiego i nic nie mogłem zrozumieć.

Pokazałem palcem na wioskę i wymieniłem jej nazwę, jak sądziłem, Kande. Nawet mnie nie słuchały, chyba z tego samego powodu - uznały, że cokolwiek im powiem, i tak będzie to dla nich całkiem niezrozumiałe. Próbowałem jakoś im pokazać, że pytam o nazwę ich wsi, ale bez powodzenia. Zniechęcony, dałem sobie z tym spokój.

Usiadłem, sięgnąłem do plecaka i zjadłem garść pożywnych chrupek. Dzieci uważnie przyglądały się wszystkiemu, co robię, i coś o mnie między sobą mówiły.

Przestały już dotykać mojego ubrania i obuwia, ale wciąż się interesowały japońskim aparatem, mówiąc coś i wskazując na niego palcami. O coś mnie pytały. Wreszcie zrozumiałem, to nie było bynajmniej urdyjskie słowo. Pytały: „Nipon? Nipon?” - najpierw pokazując na kamerę, a potem na mnie.

- Nipon? Nipon?

Pytały, czy jestem Japończykiem.

Byłem zbyt zdumiony, by się roześmiać. Mam blisko dwa metry wzrostu i najwyraźniej wyglądam na człowieka z Zachodu. Nie mogłem sobie wyobrazić, że nawet dziecko może mnie wziąć za Japończyka. Czyżby te dzieciaki nie dostrzegały wyraźnych różnic między ludźmi Zachodu a Japończykami?

Odpowiedź była oczywista: nie, nie dostrzegają. Po chwili zastanowienia zdałem sobie sprawę, że w ich oczach podobieństwa między mną a uprzednio przechodzącą tu grupą turystów japońskich są znacznie większe niż różnice. Byliśmy dla nich egzotycznymi cudzoziemcami noszącymi ciężkie buty i ubranymi w jaskrawe kolorowe kurtki ze sztucznego tworzywa, noszącymi ze sobą plecaki, parasole i aparaty fotograficzne, jedzącymi jakieś dziwne płatki trzymane w plastikowych torebkach - pod tymi wszystkimi względami ja i Japończycy byliśmy tacy sami. Całkowicie tacy sami i całkowicie

inni niż ta wiejska dzieciarnia. A cóż za znaczenie może mieć nieco odmienne zabarwienie skóry czy to, że mamy nieco inny wzrost? Te różnice są najwidoczniej nieistotne. Spojrzałem na to z ich punktu widzenia i uznałem, że mają rację.

Nie mogłem mieć tego za złe dzieciom, skoro sam popełniałem niekiedy podobne pomyłki. Przed trzema laty, jeżdżąc z Loren po Afryce Wschodniej, natknęliśmy się na plemię Samburu, które było w trakcie przeprowadzki. Samburu to plemię półkoczownicze i susza w północnej Kenii zmusiła tych ludzi do poszukiwania pastwisk dla bydła.

Kobiety poganiały osły, na które był załadowany cały dobytek. Zatrzymaliśmy naszego land-rovera, by porozmawiać z dwiema z nich, matką i córką. Kobiety te miały ogolone głowy i nosiły kunsztownie splecione paciorki, które opasywały im czoła i opadały na nosy. Uszy miały przekłute, a płatki uszne tak rozciągnięte, że zwisały prawie do ramion. Nosiły na sobie mnóstwo metalowych bransolet i naszyjników. Muchy bzycały wokół ich twarzy i łąziły po nich, a one nawet się nie trudziły, by je odegnać.

Wszystko, co miały, było ręcznie sporządzone z naturalnych materiałów. Osły dźwigały kosze i wory, zawierające ich dobytek.

Kobiety gawędziły wesoło w języku suahili z naszym przewodnikiem, Pochęstowaliśmy je gumą do żucia. Staralem się nawiązać z nimi jakiś kontakt. Popatrzyłem znowu na ich ogolone głowy przystrojone biżuterią i próbowałem dojrzeć w nich kobiety, istoty seksualne, ale miałem z tym niespodziewane trudności. Bardzo się wysilałem, by podziwiać sztukę, z jakim było wykonane wszystko, co posiadały. I wpadłem w pewien wewnętrzny popłoch, patrząc na muchy łążące im po twarzach i zdając sobie sprawę, że oto za chwilę wrócimy do naszego land-rovera i odjedziemy, pozostawiając je na tej skwarnej spustoszonej ziemi, poganiające osły ze skromnym mieniem. Przepaść między nami stała się tak wielka, że pomyślałem: „To nie są ludzie. To nie są ludzkie istoty”.

Byłem przerażony tą myślą. Studiowałem przecież antropologię. Byłem przygotowany lepiej niż inni, by dostrzegać człowieczeństwo za maską kulturowych artefaktów. I oto teraz walczyłem sam ze sobą, by postrzegać te dwie kobiety z koczowniczego plemienia jako istoty ludzkie, jako „takie same jak ty i ja”, i poniosłem klęskę. Widziałem w nich zwierzęta, stworzenia raczej żałosne, niepełnowartościowe.

Zazwyczaj kiedy przychodzi mi na myśl coś tak przerażającego, staram się, żeby inni tego nie zauważyli. Boję się, że ktoś może poznać, że jestem wobec niego niechętny, że go mam za głupca czy źle osądzam. Ale teraz patrzyłem na kobiety z całkowitą obojętnością. Wiedziałem bowiem jedno: nigdy nie będą miały najmniejszego wyobrażenia o tym, co myślę.

Przyglądałem się im, zrobiłem parę zdjęć. Wróciliśmy do wozu i odjechaliśmy, a kobiety wkrótce znikły nam z oczu w chmurze kurzu wzniesionego przez nasz samochód. I zaraz potem zapomniałem o swojej niezdolności dostrzeżenia w nich ludzi. Wszystko to odpłynęło gdzieś daleko, a ja zacząłem rozmyślać o tym, czy udadzą mi się zdjęcia i co powiedzą moi przyjaciele, kiedy im pokażę podobizny kobiet z plemienia Samburu.

Niedługo potem, jadąc do jeziora Baringo, przejeżdżaliśmy przez kraj Masajów. Przez cały dzień spotykaliśmy mężczyzn pilnujących bydła w polu i dzieci bawiące się na poboczu drogi.

Koło południa mijaliśmy idące szeregiem dziewczynki, ubrane w strojne białe suknie. Twarze



miały także wymalowane na białą i w radosnym nastroju chichotały i gawędziły ze sobą.

- O, popatrz - powiedziała Loren. - Idą do pierwszej komunii.

Zatrzymaliśmy wóz. Dziewczęta skupiły się wokół nas, uśmiechając się i radośnie machając do nas rękami.

- Czy to nie cudowne? - zawołała Loren. - Przypomina mi to moją pierwszą komunię.

Nasz przewodnik odchrząknął.

- To nie jest... uhm... pierwsza komunia - powiedział.

- Naprawdę? A co? - spytała.

Wyjaśnił, że dziewczęta udają się na obrzędowe wycięcie łechtaczki. Masajki są poddawane za młodu chirurgicznemu zabiegowi wycięcia łechtaczki. Loren słuchała tego wstrząśnięta, patrząc na uśmiechnięte dziewczęta.

- Dlaczego są takie szczęśliwe? - zapytała.

Potem chciała się dowiedzieć o sens tego okaleczenia. Ale oczywiście nie miało to żadnego racjonalnego uzasadnienia. Masajowie uważają, że usunięcie łechtaczki zmniejsza seksualne apetyty kobiet, ale i tak masajskie kobiety są znane ze swego temperamentu: po urodzeniu pierwszego dziecka nie wymaga się nawet od nich, by dochowywały małżeńskiej wierności.

- Więc po co to się w ogóle robi? - spytała Loren.

- To jakby promocja do wyższej klasy.

- Ładna mi promocja - szepnęła.

Kilka godzin później, wczesnym popołudniem przegrzał nam się silnik i zatrzymaliśmy się na chwilę, by otworzyć maskę i dać mu nieco wystygnąć. Wyciągnęliśmy z pudła kanapki. Niemal natychmiast pojawił się przy nas masajski chłopak, który opodal pilnował bydła na polu. Dałem mu kanapkę, którą przyjął z całą powagą.

Zaraz podbiegł do nas inny chłopiec. Powiedziałem do Loren:

- O, do licha, ale wpadłem. Teraz będę musiał wyżywić całe to cholerne bractwo.

Zacząłem szperać w pudle, szukając takich kanapek, których sam nie chciałem. Gdzie są kanapki z serem? Nie cierpiałem ich.

Ale kiedy nadbiegł ten nowy, pierwszy chłopiec przełamał swoją kanapkę i dał mu połowę. Zrobił to natychmiast, bez chwili wahania. Oba dzieciaki wpatrywały się we mnie, trzymając swoją połówkę kanapki. Poczulem wstyd.

Za chwilę zbiegła się do nas cała gromada dzieci i rozdaliśmy im resztę naszego jedzenia. Były miłe i onieśmiałe, tylko wpatrywały się w nas w milczeniu. Przyglądały się wszystkiemu, co robimy - jak ustawiamy aparat, jak ładujemy do niego film, jak kładziemy okulary przeciwsłoneczne nad deską rozdzielczą, jak popijamy coś na ochłodę z metalowych pojemników.

Przyglądały się nam z uprzejmą uroczystą powagą, o której już wiedziałem, że mogę się jej spodziewać od Afrykańczyków, i po chwili oswoiliśmy się ze sobą. Siedziałem w wozie przy otwartych drzwiczkach i patrzyłem na dzieci, a one wpatrywały się we mnie. Trwało to przez jakiś czas. Zamyśliłem się. Kiedy znów wróciłem do rzeczywistości, zauważyłem, że zachowują się dziwnie. Jedno po drugim pochylało się, przekrzywiała głowę i oglądało mnie z boku.

Z początku myślałem, że to jakaś zabawa, i uśmiechnąłem się do nich.

Nie odpowiedzieli mi uśmiechem, tylko wciąż tak jakoś dziwnie oglądali mnie z boku, o czymś ze sobą rozmawiając.

I wtedy zrozumiałem: próbowali zajrzeć mi pod szorty. Widzieli, że jestem bardzo wysoki, i byli ciekawi, czy wszystko inne mam odpowiednio wielkie.

Nie zachowywaliby się tak otwarcie, gdyby nie myśleli przy tym: On nigdy nie będzie miał najmniejszego pojęcia o tym, co robimy.

A ja aż za dobrze wiedziałem, co niesie za sobą taka myśl. To, że widzieli we mnie i w innych siedzących w metalowym pudle naszego land-rovera nie całkiem ludzi, nie całkiem ludzkie istoty. To nie są prawdziwi ludzie, oni myślą i czują inaczej niż my i nie rozumieją, co my tu robimy.

Pod koniec naszej wyprawy do Baltistanu wróciliśmy do Mishoke, sporej wsi niedaleko rzeki Shyok. O wieczornym mroku ludzie obchodzili tam doroczne święto, kiedy kobiety zapalają świece na grobach zmarłych. Była to piękna uroczystość, choć mężczyźni nie chcieli w niej uczestniczyć; siedzieli gdzieś na stronie i pokpiwali sobie z kobiet. Dowiedzieliśmy się także w Mishoke, że zastrajkowali przewoźnicy i nie ma żadnego sposobu, by w powrotnej drodze przepłynąć się przez rzekę.

Powiedziałem to Loren. Wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się. Nie przejęła się tym zbyt, wierzyła, że jakoś to się ułoży. Ale ja byłem bardzo strapiiony. Moim zdaniem, znaleźliśmy się w kiepskiej sytuacji.

Za niespełna dwadzieścia cztery godziny miały podjechać do Khapulu dżipy, by nas zabrać do Skardu. Jeśli nie będziemy na miejscu, nikt nie może przewidzieć, co się dalej stanie. Dżipy może na nas poczekać, a może nie. Z Khapulu nie było żadnej łączności, by je wezwać z powrotem, jeśli odjadą. Krótko mówiąc, najlepiej by było jakoś się dostać na czas do Khapulu.

A my nie możemy przepłynąć się przez rzekę.

A może by się dało jakoś przekonać przewoźników, by przerwali strajk? Nie, gdzieś sobie poszli. Zaoferowaliśmy zawrotne wręcz łapówki. Nie, przewoźnicy zeszli z brzegu i nikt nie wie, gdzie są. A może kto inny potrafi przeprowadzić tratwę? Nie, nie ma takiego. A może jest jakiś inny sposób, by się dostać na drugą stronę rzeki?

Tak, jest most na zachód od Khapulu, czterdzieści kilometrów od Mishoke, gdzieśmy właśnie utknęli. Ktoś jednak słyszał, że zeszłej zimy most popłynął. Rozpytywaliśmy się dalej. Ludzie z wioski potwierdzali, że most został uszkodzony, ale chyba nadal stoi i da się po nim przejść.

Ale przecież nie możemy przejść w parę godzin czterdziestu kilometrów. Jedząc nasz obiad o smaku rozgotowanej tektury, rozpytywaliśmy się dalej. Okazało się, że ktoś we wsi ma ciągnik o napędzie benzynowym i jakiś wózek, który można o ów ciągnik zaczepić. Może byśmy mogli wypożyczyć od niego ten ciągnik i dojechać do mostu?

Tak, możemy. Tylko niestety nie ma do niego benzyny. Zaoferowaliśmy dalsze łapówki. W końcu ludzie zaczęli się do nas schodzić z butelkami po piwie napełnionymi benzyną. Kupiliśmy je. Obejrzelśmy ciągnik i wynajęliśmy go na rano następnego dnia.

Mieliśmy zatem plan, ale jak na mój gust, za wiele w nim było elementów niepewnych. Trapiłem się tym w nocy pod namiotem. Loren wciąż była pogodna. Irytował mnie ten jej spokój. Czulem rozłam między nami, rozłam w naszym stosunku do rzeczywistości. Ja się martwiłem i uważałem, że mam powody do zmartwienia. Ona się nie martwiła i uważała, że nie ma się o co martwić. Ta różnica zdań między nami dodatkowo mnie przygnębiała.

Następnego dnia trzęśliśmy się i podskakiwali na wózku przymocowanym do ciągnika, jadącego po nierównym terenie i suchym dnem kilku szerokich rzek. U końca tej podróży byliśmy wyczerpani

i pokryci błotem. Ale kiedy dotarliśmy do mostu, okazało się, że jest w świetnym stanie. Przebyliśmy go, a na drugim brzegu większość z nas ściągnęła buty i zanurzyła twarze w zimnej wodzie rzeki. Byłem zły na Loren, trzymałem się od niej z dala, więc poszedłem z majorem Shanem na wzgórze, by sprawdzić, czy dżipy już zajechały. Usiedliśmy sobie w cieniu skały i w palącym południowym skwarze czekaliśmy na nie. Z naszego punktu obserwacyjnego mogliśmy zobaczyć kilka kilometrów drogi wijącej się przez ten piękny i posępny kraj. Paliliśmy papierosy. Shan wpatrywał się przymrużonymi oczami w drogę, migoczącą przed nami w słonecznym upale. Wreszcie powiedział:

- Dobre miejsce na zasadzkę.

- Co takiego? - zapytałem.

- Dobre miejsce na zasadzkę - powtórzył. Wyjaśnił mi, że z naszego wysoko położonego miejsca panujemy nad drogą; garstka mężczyzn mogłaby zatrzymać cały ciąg pojazdów, ludzie nie mieliby dokąd uciec; można by ich było wszystkich pozabijać.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Był całkiem poważny. Myślał, jak w najlepszy sposób pozabijać ludzi. Byłem zdumiony, że jego postrzeganie krajobrazu może być tak zupełnie różne od mojego.

- Jesteśmy tu blisko granicy z Indianami - powiedział. - Jako żołnierzowi nie wolno mi się oszukiwać. Muszę widzieć rzeczy takimi, jakie są.

Potem zmienił temat i zapytał mnie, od jak dawna jestem żonaty.

- Od dziesięciu miesięcy - powiedziałem.

- To nie jest pańskie pierwsze małżeństwo?

- Nie, drugie.

- Macie dzieci?

- Nie, nie mamy.

- A chcecie je mieć?

- Tak, mamy to w planie.

- Ona jest prawniczką - powiedział.

- Właśnie ukończyła studia.

- Ach tak. - Stuknął w paczkę papierosów i poczęstował mnie. To był chyba koniec naszej rozmowy.

Dżipy wreszcie przyjechały i wieczorem dowiozły nas do Skardu. W schronisku Loren padła na łóżko.

- Dzięki Bogu!

- O co chodzi? - spytałem.

- Tak się martwiłam.

- A ja myślałem, że wcale się nie martwisz.

- Chyba żartujesz? Żadnej łodzi, żadnego sposobu przeprawienia się na drugą stronę rzeki!

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Ponieważ ty się tym gryzłeś i nie było sensu, byśmy ubolewali nad tym oboje. To by było jeszcze gorzej.

- Wolalbym, żebyś mi jednak powiedziała.

- Po co? Nic by z tego dobrego nie wyszło.

Wiedziałem, o czym mówi, ale teraz poczułem nowy rodzaj osamotnienia. Nie było to osamotnienie związane z geografją, z odległością od reszty świata, ale takie, jakie powstaje wśród

ludzi, jakie może się zrodzić nawet między Loren a mną. Coś niepewnego, coś niejasnego i może nieuniknionego.

I w takim stanie ducha pożegnaliśmy Baltistan.

## *Shangri-La*

Pięć lat po tym, jak usłyszałem opowieści mojego przyjaciela o jego wizycie w tym bajecznym kraju, ja także wybrałem się do Hunzy. To małe górskie państewko, znane z dawna jako Shangri-La, tradycyjnie zamknięte dla cudzoziemców, otworzyło się dla nich w ubiegłym roku. Był to kraj, gdzie ludzie są piękni, inteligentni i odporni na zarazki; gdzie dożywa się na diecie z moreli do stu czterdziestu lat; gdzie żyje się w zgodzie z cudownym górskim krajobrazem, z dala od całego zła i zgnilizny cywilizowanego świata.

Taka była Hunza. I bardzo chciałem ją zobaczyć.

Nasza grupa czekała w Islamabadzie dwa dni na samolot, który miał nas zawieźć do Gilgat, bazy wyjściowej wypraw do Hunzy. Dwa dni to było nic. Peter czekał znacznie dłużej, a były takie wyprawy wysokogórskie, które musiały czekać miesiąc. Ale my musieliśmy się zmieścić w zaplanowanym czasie, a poza tym była teraz jeszcze inna droga, którą można się było dostać z Islamabadu do Gilgat - wiodąca na północ szosa karakorumska.

Ta ciągnąca się przez trzysta kilometrów droga, prowadząca przez najbardziej wypiętrzony łańcuch górski świata, jest nie lada wyczynem inżynierskim. Wiedzie niemal na całej długości jednym z najgłębszych wąwozów świata, wzdłuż koryta Indusu. Drogę tę zbudowali Chińczycy i wielu z nich zginęło w czasie jej budowy.

Wynajęliśmy sobie autobus, załadowaliśmy manatki i wyruszyliśmy. Sądziliśmy, że jazda potrwa piętnaście godzin, może dłużej, ale nikt nie był niczego pewny. Nasz wehikuł był typowym jaskrawo udekorowanym pakistańskim autobusem, który wyglądał na pierwszy rzut oka jak wytwór psychodelicznej wyobraźni lat sześćdziesiątych. Każdy kawałeczek jego powierzchni zewnątrz i wewnątrz był pokryty jakimś znakami, obwieszony tkaninami, lusterkami, blaszkami, a całość wymalowano w jakieś zakrętasy w jaskrawych kolorach. Wyglądało to okropnie, ale miało smak egzotyki. I na pewno było na co popatrzeć, kiedy się człowiek już znużył spoglądaniem przez okno na mijane krajobrazy.

Nasz pakistański kierowca był specjalnie dobrany, bo znał drogę. Przyprowadził ze sobą kilkunastoletniego chłopaka, który usiadł u jego stóp na stopniu schodków prowadzących do drzwi wyjściowych. Każdy kierowca autobusu zabierał ze sobą takiego chłopca, który za małym wynagrodzeniem oddawał mu drobne usługi, przynosił posiłek lub pilnował bagażu pasażerów.

Przez pierwsze parę godzin mijaliśmy płaskie pszeniczne pola, schludne wioski, kroczące drogą wielbłądy. Zatrzymaliśmy się na lunch w Abbottabadzie, mieście z wieloma starymi brytyjskimi kolonialnymi budynkami, które niegdyś było najdalej wysuniętą forpocztą imperium brytyjskiego w tej części świata. To z Abbottabadu Brytyjczycy w dziewiętnastym wieku dwukrotnie próbowali podbić Afganistan i dwukrotnie to się im nie udało. Te tereny wschodniego Pakistanu, graniczące z Afganistanem, są zamieszkane przez Pathanów i inne plemiona. Tak jak Afganowie, są oni zapalczywymi, wojowniczymi bojownikami. Całe ich życie przenika duch bojowy, dla nas, ludzi Zachodu, całkiem niezrozumiały.

Za Abbottabadem, kiedy zjeżdżamy w wąwóz wyłobiony przez Indus, krajobraz staje się

surowszy i bardziej posępny. Przez następne kilka godzin pokonujemy zakręty wzdłuż wijącej się rzeki, oglądając jej spływające wody i wznoszący się na wschodzie na wysokość siedmiu i pół tysiąca metrów szczyt Nanga Parbat.

Przez całe rano kierowca palił papierosy pachnące haszyszem, a teraz, w ciepłe południa, zaczął przysypiać. Siedzący obok chłopiec trącał go łokciem, kiedy mu opadała głowa, ale często autobus brał ciasne zakręty zbyt szeroko, byśmy mogli czuć się bezpieczni.

W końcu natarliśmy na kierowcę, który nas zapewnił, że wszystko jest w porządku. Spytałiśmy, co by mogło dodać mu wigoru. Powiedział, że muzyka. Wkrótce słuchaliśmy pakistańskiej muzyki dudniącej w psychodelicznym autobusie, chybotającym się na karakorumskiej szosie wzdłuż wąwozu Indusu w naszej podróży do bajecznej Hunzy.

Po dziesięciu godzinach jazdy zatrzymaliśmy się przy bocznej drodze, żeby „pójść na stronę” i rozprostować nieco nogi. Spotkaliśmy tam brytyjskiego hipisa, który powiedział, że szosa na północ jest zamknięta z powodu osunięcia się ziemi. Do Hunzy nie da się dojechać, musimy zawrócić. Mając za sobą dziesięć godzin jazdy, przyjęliśmy tę wiadomość nieufnie. Uznaliśmy, że chłopak to jakiś plugawy brudas, najwyraźniej pod działaniem narkotyków, i na pewno się myli.

Przy następnym przystanku zapytaliśmy, jak to jest. Tak, to prawda. Ziemia się osunęła i zablokowała szosę. Żaden pojazd nie może się dostać do Hunzy.

Spojrzałem na majora Shana. Chyba się tym zbyt nie przejął.

- Może oczyszczą drogę - powiedział, wzruszając ramionami.

Miałem nadzieję, że istotnie ją oczyszczą, gdyż przez cały dzień mijaliśmy obsuwy ziemi. Były to zwykle małe kupki kamieni, usuwane spychaczami, nie wyglądało na to, by mogły stanowić jakąś większą przeszkodę... Skały w korycie rzeki są kruche i wygląda na to, że szosa karakorumska od samego początku swego istnienia była skazana na takie niewielkie zasypywanie jej ziemią.

W każdym razie po dziesięciu godzinach trzęsienia się w autobusie nikt poważnie nie brał pod uwagę możliwości powrotu. Nalegaliśmy, by jechać na północ w stronę rumowiska.

- Jak dawno osunęła się ziemia? - zapytałem.

- Ze dwa dni temu - powiedział major Shan. - Może trzy.

Ktoś w autobusie potrząsnął głową.

- Pomyśleć tylko! Droga została zablokowana trzy dni temu i dotąd jej nie oczyścili. Co za kraj!

Wjechaliśmy na pustynną równinę. Była całkowicie pusta. Gdzieś w dali rysowały się jakieś pagórki. Na mapie miejsce to było oznaczone jako „terytorium plemienne”.

Ponieważ słońce chyliło się ku zachodowi, światło było tu mniej ostre. Zatrzymaliśmy się przy przydrożnej stacji benzynowej: mała szopka, kilka dystrybutorów, a wokół kilometrami pustynia. Widok był piękny i posępny.

Major Shan wziął mnie na bok i wróciliśmy do autobusu. Kopnął oponę. Zdawało się, że zwleka z jakimś oświadczeniem. Nie mogłem nic wyczytać z jego oczu przysłoniętych ciemnymi okularami.

Wreszcie powiedział:

- Nie wziąłem ze sobą broni.

- Tak?

- Mogłem wziąć. Myślałem o tym. Ale nie chciałem wystraszyć turystów, więc ją zostawiłem.

- To jakiś problem?

- Wie pan, nie mam teraz skąd wziąć broni.

- Sądzi pan, że może być potrzebna? - spytałem.

- Zaraz się ściemni - rzekł, rozglądając się wokół. - Mamy jeszcze godzinę drogi do ośpiska. Zanim się przez nie przedostaniemy, będzie już za późno, by jechać dalej. Będziemy musieli tam rozbić obóz i zatrzymać się na noc.

Wszyscyśmy się spodziewali, że tak będzie, ale mieliśmy w autobusie pełny ekwipunek: namioty, śpiwory, naczynia. To żadna trudność. No nie? Major Shan rozejrzył się.

- Ta okolica nie jest bezpieczna w nocy.

Te słowa zapadły mi w pamięć. Ta okolica nie jest bezpieczna w nocy.

Próbowałem zapanować nad rosnącym poczuciem niepokoju. Wyglądało to jak scena w złym filmie: autobus pełen ludzi, którzy nagle znaleźli się w opałach. Z trudnością udało mi się opanować drżenie szczęk, aby wydobyć z siebie właściwy głos. Kiedy się odezwałem, i tak wydał mi się zbyt cienki:

- Co pan ma na myśli?

- Ta okolica nie jest bezpieczna w nocy - powtórzył.

- Ale co to znaczy? Czy są tu gdzieś bandyci?

- Nie mogę powiedzieć, co może się zdarzyć. Ta okolica nie jest bezpieczna. Nie możemy tu obozować. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą broni.

- Co mamy robić? - Rozejrzałem się po okolicy, próbując dostrzec, dlaczego jest taka groźna. Dla mnie wyglądała wciąż tak samo.

Za autobusem wdałem się z majorem w rozmowę, ale nie wniosła ona nic nowego do tego obrazu rzeczywistości, jaki miałem przed oczami. Powiedział, że jesteśmy zagrożeni, a ja nie rozumiałem dlaczego.

- A nie sądzi pan, że jeżeli zjedziemy gdzieś kawałek w bok, o parę kilometrów od drogi, może będziemy mogli rozbić obóz i nic złego się nam nie stanie?

- Nie możemy obozować nigdzie na uboczu. - Jego głos brzmiał głucho. Wskazał palcem samochody mknące po szosie obok nas. - Żaden z tych samochodów się nie zatrzyma na noc. Nim się ściemni, będą już w bezpiecznym miejscu.

- To co możemy zrobić?

- Nie chcę straszyć pańskich przyjaciół. Jeśli zawrócimy około piętnastu kilometrów, w Chilas jest baza wojskowa. Możemy tam spróbować.

Teraz zaczynałem rozumieć. Chciał, żeby ktoś inny poinformował pozostałych o tym planie.

- Możemy tam spróbować?

Wzruszył ramionami.

- Będzie tam bardzo tłoczno dziś wieczorem. Może was nie przyjmą i zawrócą, ale wątpię, bo jesteście cudzoziemcami.

- No dobrze - powiedziałem i poszedłem zawiadomić innych, że major Shan sądzi, iż będziemy mieli wygodniejsze warunki noclegu w bazie wojskowej, jeśli zawrócimy piętnaście kilometrów, niż w obozie pod gołym niebem.

Nikt się nie sprzeciwił. Okazało się, że ta baza wojskowa w Chilas jest oddalona nie o piętnaście, ale o sto kilometrów. Nim się tam dostaliśmy, zapadła czarna noc. Jak przewidział major, baza była już zatłoczona, wszystkie baraki przepelnione. W świetle naszego autobusu mogliśmy zobaczyć ludzi śpiących na progach budynków, w swoich wozach, wszędzie. Nim znaleźliśmy kwaterę dowództwa i obudziliśmy kogoś, nim skierowano nas do pustego domku przeznaczonego na kwaterę dla inspektorów, była już prawie jedenasta. Wymęczeni, wyciągnęliśmy

z autobusu śpiwory i ułożyliśmy się pokotem na podłodze. Później zajechał jeszcze jeden autobus z cudzoziemcami. Spali na piętrze. Nawet nie uniosłem głowy, żeby ich obejrzeć.

Wyruszyliśmy w drogę o szóstej następnego rana. Rozsłoneczniony krajobraz wydawał się teraz wesoły, chociaż pusty. Byliśmy pewni, że czy droga jest zabarykadowana obsunięciem się ziemi, czy nie, dotrzemy dziś do Hunzy. Znów jadąc tą samą drogą, minęliśmy stację benzynową i dotarliśmy do koryta Indusu. Czuliśmy się w głębi ducha nieco zawiedzeni, że ominęła nas przygoda. Wyobrażaliśmy sobie, jak to napadają nas bandyci i rabusie, a my ratujemy się jakoś w ostatnim momencie. Ten wyimaginowany obraz był bardzo podniecający i już na pewno do końca wyprawy nie czeka nas nic równie niezwykłego.

Potem dotarliśmy do obsuwiska.

Byłem zupełnie nieprzygotowany na rozmiar tej katastrofy. Szerokie na osiemset metrów i długie na kilometr ziemne usypisko ciągnęło się od wierzchołka góry nad szosą daleko w dół, aż do rzeki. Miliony ton sypkiego piachu.

- Nic dziwnego, że nie mogli tego usunąć w dwa dni - odezwał się ktoś.

- Zwykle są bardzo sprawni - powiedział major Shan. - Ale tym razem zajmie im to chyba tydzień. Widzicie, jak sobie ludzie z tym radzą? Z tamtej strony podjeżdżają furgonetki i autobusy z Hunzy, a pojazdy z Islamabadu dotąd. Ludzie przechodzą przez zwałowisko i przesiadają się po drugiej stronie.

Ledwie mogłem coś zobaczyć po drugiej stronie, tak to było daleko.

Musieliśmy przejść pieszo przez zwałowisko.

Widziałem, jak ludzie, schyleni wpool, brną po stromym piaszczystym zboczach. Wędrowali w obu kierunkach ścieżką wydeptaną w stoku. To dobry teren dla górskiej kozicy.

Przyglądałem się temu i nagle ogarnął mnie lęk. To bardzo niebezpieczne wdrapywać się na zdradliwe osuwisko, tak niebezpieczne, jak przedostawanie się na drugą stronę ściętego lodem jeziora. Nikt mnie nie uprzedził o niebezpieczeństwie tej wyprawy, a właśnie przeżyłem w wyobraźni napad bandytów w okolicy niebezpiecznej w nocy. Było to bardzo miłe, ale mnie nie przygotowało na prawdziwe niebezpieczeństwo. A szczególnie na takie.

Zginął przy obsunięciu się ziemi w Pakistanie. (Cóż za okropny, żenujący koniec życia. I zupełnie niezrozumiały dla ludzi w Ameryce).

Zasypało go?

O nie, nic takiego. Ziemia osunęła się tam już parę dni przedtem, a on przechodził przez to zwałowisko, wpadł do rzeki i utonął.

Utonął?

Tak, zniosło go. Ciała nie odnaleziono.

Pamiętam, że był wysoki. Pewnie trudno mu było utrzymać równowagę.

Chyba tak...

Przykro to brzmiało w moich uszach.

Tymczasem na zboczach usypiska szła praca całą parą. Kilkaset metrów nad głowami piechurów działały buldożery wyglądające jak małe żółte zabawki. Co parę minut rozlegała się detonacja; to wojsko rozsadzało osypisko. Ziemia się trzęsła i w powietrze wylatywał pióropusz piasku i kamieni. W tym całym zgiełku ludzie pracownicy brnęli przez stromy, osypujący się piaszczysty stok. Co chwila większa gruda albo mniejsza ziemna lawina osuwała się na ludzi, ale oni tylko się uchylali



i pozwalali jej runąć w dół do rzeki.

Patrzyłem na to i wiedziałem, że nie przejdę.

...Słyszałem, że skrócił tę wycieczkę.

Naprawdę?

Stawał na głowie, żeby się dostać do tego Pakistanu, a jak trafił tam na jakieś małe osunięcie się ziemi czy coś takiego, strach go obleciał. Dostał pietra. Musiał zawrócić.

Przyglądałem się rumowisku razem z majorem Shanem. Poczęstowałem go papierosem. Zapytałem:

- Damy radę przez to przejść?

- O tak. Widzi pan, ilu przechodzi?

- Widzę, ale my mamy starszych ludzi w naszej grupie.

- Pomogę im.

- Mogą też być tacy, którzy się wystraszą.

- Im także pomogę.

- No dobrze... Uhm...

Spojrzał na mnie wyczekująco.

Nie mogłem zrobić nic więcej, jak tylko powiedzieć mu prawdę.

- Nie wiem, czy dam radę.

Słowa tego niezręcznego wyznania jakby zawisły w powietrzu. Major wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę. Skończył papierosa i rzucił niedopałek na drogę.

- Da pan radę - powiedział.

Miał rację. Nie było innego wyjścia, jak przebrnąć tę drogę, i zrobiłem to. Włos mi się jeżył, serce waliło, byłem przerażony, ale dałem radę.

Kiedy brnąłem przez osypisko, ten i ów z naszej grupy robił zdjęcia. Ale na zdjęciach naprawdę nic nie widać. Na zdjęciach nie wygląda to niebezpiecznie, a nawet ciekawie. Ale była to najbardziej niebezpieczna rzecz, jakiej dokonałem w życiu.

Dwa dni później zbliżałem się do Baltitu, stolicy Hunzy. Choć nie wierzyłem w opowieści o Hunzakutach, jak się nazywa miejscową ludność, teraz, kiedy się tu znalazłem, nie mogłem się im nadziwić; tradycje, którymi się szczycili, były zgoła niezwykle.

Jak głosiło podanie, górskie królestwo Hunzy zamieszkiwali potomkowie perskich żołnierzy z armii Aleksandra Wielkiego, który podbił Indie w 327 roku przed naszą erą. Miało to wyjaśniać, dlaczego Hunzakuci są tak dorodni, wysocy i jasnoskórzy, tak sprawni fizycznie i dlaczego stanowią tak doskonałą siłę bojową. Hunzakuci są nieporównanie bardziej inteligentni niż sąsiadujące z nimi rozbójnicze plemiona i czy to z powodu mieszkania na takich wysokościach, pszenno-morelowej diety, niespiesznego trybu życia, czy też z jakiejś innej przyczyny cieszą się nadzwyczajnym zdrowiem. Zdrowe także było ich życie społeczne. Ich władca, emir, rozstrzygał spory, które rodziły się w jego królestwie.

Gromadka dzieci wybiegła nam na powitanie. Uderzyło mnie, jak były brzydkie i zaniedbane. Etniczna mieszanka chińsko-persko-afgańsko-mongolska nie wydała tu pięknej nowej rasy, lecz skarłowaciałą, zdeformowaną krzyżówkę. W tym legendarnie samowystarczalnym kraju dzieciaki czepiały się naszych ubrań, błagając, byśmy kupili od nich jakieś wydobywane na miejscu kamienie. Przyjrzałem się temu, co wyciągały do nas w brudnych piąstkach. Były to dość marne granaty.

Szukałem w wioskach przedstawicielei tego bajecznie starego ludu, ale nie znalazłem żadnego. Wszędzie widziałem tylko nędzę i choroby, i oznaki ciężkiego życia w górach; wady wrodzone, dowody seksualnych związków wewnątrzrodzinnych, katarakty, krosty i zropiałe rany.

Samo położenie Hunzy jest urzekające. Małą krainę zielonych tarasowych pól, pokrywających czaszę wgłębienia pośród wysokich, ośnieżonych gór, przecina w środku rzeka Hunza. Nad miastem wznosi się malownicza forteca, ale zrujnowana, jej okna powybijano, a białe tynki osypywały się z murów.

Hunza była ongiś autonomicznym górskim państewkiem, jednym z ciągu feudalnych państewek położonych w Himalajach, takich jak Swat, Ladakh, Nagir, Nepal, Sikkim i Bhutan. W dziewiętnastym wieku Brytyjczycy wspierali je jako państwa buforowe między Indiami a potężnymi sąsiadami na północy, Chinami i Rosją. Przez całe wieki kraje te były odcięte od świata, niedostępne z powodu gór i zamknięte dla cudzoziemców. Obrastały zatem przeróżnymi mitami.

Kiedy Brytyjczycy nie mogli już zapanować nad rozbójniczymi napadami Hunzy na karawany, zbyt zuchwałymi nawet jak na ten nierządzący się żadnymi prawami skrawek świata, ujarzmili ją w 1891 roku. Pozostawili jednak Hunzie niepodległość. Ostatnio rząd pakistański zapragnął zawładnąć tym górskim państewkiem. Załatwili to w prosty sposób: odczekali, aż umarł ostatni ich władca, i nie dopuścili do objęcia po nim sukcesji. Ostatni emir Hunzy zmarł przed dwoma laty. Wtedy Pakistan przejął władzę nad krajem i udostępnił go turystom.

Oglądaliśmy więc jedynie skorupy po dawnej państwowości, resztki tego, czym była dawniej. Pozostaliśmy w Hunzie przez dwie doby. Było to spokojne i piękne miejsce, zwłaszcza o zachodzie słońca, kiedy doliny, pogrążone już w cieniu, świeciły blaskiem odbitym od śnieżnych szczytów górskich. Ale nie tak wyobrażaliśmy sobie Shangri-La.

Z Hunzy udaliśmy się do doliny Hopar w przyległym królestwie Nagiru. Opowieści idealizowały Hunzakutów i oczerniały Nagirów. Mieli być ciemniejsi, słabsi i bardziej zdeprawowani niż Hunzakuci. Nagirowie są brudni i odrażający. Wiadomo, że się jest w Nagirze, mówili Hunzakuci, bo tam jest tak dużo much.

Jak to się często zdarza, w oczach postronnego widza ludzie w sąsiadujących ze sobą krajach i sposób ich życia wydają się identyczne. To ich bliskość rodzi rywalizację między nimi, a jest naturalną ludzką skłonnością, by upatrywać wszelkiego zła po drugiej stronie doliny.

W Nagirze rozbiliśmy obóz w pięknej dolinie ciągnącej się wzdłuż lodowca Bualtar. Nigdy przedtem nie widziałem lodowca i uznałem, że ta rzeka zamarzłych brył stanowi ciekawy widok. Gołym okiem nie widziało się w ogóle lodu. Były tam tylko dwie pionowo wznoszące się ściany wyschłego błota, a pomiędzy nimi jakby płynąca rzeka szarych kamieni. Nagir ma wiele lodowców, pośród nich Hispar, długi na sześćdziesiąt pięć kilometrów - jeśli pominąć lodowce podbiegunowe, drugi co do wielkości na całym świecie. Ale Bualtar jest lodowcem niedużym i wygląda raczej łagodnie.

Pewnego dnia nasz przewodnik Dick Irvin, Loren i ja postanowiliśmy wspiąć się na lodowiec. Oboje z Loren byliśmy radzi z tej wycieczki. Podczas naszego pobytu w tym uroczym zakątku, gdzie rozbiliśmy obóz, zakradło się między nami jakieś nieme napięcie, nielicujące z pięknem otoczenia. Czulem, że Loren coś gnębi, ale jakoś nie kwapiłem się, by ją o to zapytać. Kiedy wreszcie jednak zapytałem, potrząsnęła tylko głową i powiedziała, że nic jej nie jest. Napięcie jednak pozostało.

Dobrze więc było spędzić dzień na lodowcu. Uznałem, że to fascynujące miejsce - niekiedy

trochę śliskie, wietrzne i bardzo zimne, co wydawało się dziwne po upale panującym w naszym obozie. Ale po początkowym zaskoczeniu lodowiec okazał się raczej nieciekawym, po prostu wielka zamarznięta rzeka pokryta kamieniami. Po godzinie mieliśmy już dosyć wspinaczki. Dick, znacznie lepszy od nas piechur, postanowił iść dalej, a my z Loren zawróciliśmy do obozu.

Mieliśmy zejść z lodowca ścieżką idącą po łagodnym zboczu, ale była to droga okrężna i idąc nią trzeba było nałożyć dodatkowe dwa kilometry marszu. Wspinając się na nawis skalny, wyszlibyśmy prosto na obóz. Na skałę tę wiodły ścieżki i widzieliśmy pasterzy goniących po nich kozy, wiedzieliśmy więc, że da się tamtędy przejść.

Wybraliśmy stosowną ścieżkę i zaczęliśmy się wspinać. Pod nogami mieliśmy niemal czysty osypujący się żwir. Ale ścieżka była szeroka na metr i nie było trudności z wspięciem się na nią przez pierwsze trzydzieści metrów. Im było wyżej, tym częściej się zatrzymywałem, by popatrzeć za siebie na lodowiec.

Potem ścieżka zrobiła się bardziej stroma i trochę węższa. Nieco mnie to stropiło i przestałem oglądać się za siebie, skupiając całą uwagę na pokonywaniu wzniesienia. Byliśmy jednak już w pół drogi i wydawało się rozsądne iść dalej.

Droga stawała się coraz gorsza. Wkrótce zwężyła się do trzydziestu centymetrów i stanowiła tylko pasemko żwiru, który niekiedy osuwał się nam spod nóg. Nie było czego się przytrzymać we wznoszącej się nad nami ziemnej ścianie, żadnej rośliny, której można by się uchwycić, tak że nawet małe potknięcie mogło mieć przerażające skutki. W drodze było wiele szpar, tam gdzie przedtem popękała ziemia.

W miarę jak się wspinaliśmy, te szpary stawały się coraz większe. Najpierw były szerokie na pół metra, potem na metr. Trudno było je przekroczyć - szczególnie jeśli nie miało się pewności, czy ziemia po drugiej stronie się nie osunie.

Byliśmy już na wysokości trzydziestu metrów. Jeszcze trzydzieści i wydostaniemy się na górę, do obozu. Szliśmy wciąż naprzód.

Ścieżka była teraz już bardzo wąska. W wielu miejscach musieliśmy przywierać do ziemnej ściany i przeciskać się obok niej. Coraz trudniej było posuwać się w górę.

A potem ścieżka się urwała.

Kiedyś w przeszłości ziemia w tym miejscu pękła i wytworzyła się co najmniej dwumetrowa szczelina między miejscem, gdzie stałem, a tym, gdzie szlak ciągnął się dalej. Stałem płasko przytulony do ściany. Niemal nie miałem gdzie postawić stopy. Nie mogłem się obejrzeć. Znalazłem się na wysokości sześćdziesięciu metrów na wąziutkiej ścieżce, w gliniastej skale i utknąłem tam.

Mam lęk wysokości, więc chciało mi się krzyczeć.

- Dlaczego się zatrzymałeś? - zapytała Loren. Była za mną. Nie mogła niczego zobaczyć, bo zasłaniałem jej widok.

- Nie ma drogi.

- Jak to nie ma drogi?

- Mam przed sobą mniej więcej dwumetrową szczelinę.

- Nie możesz jej przekroczyć?

- Nie, nie mogę jej przekroczyć. - Wpadłem już w popłoch.

- Czekaj - powiedziała Loren - może ja potrafię.

- Nie mogę się ruszyć - odparłem. - A zresztą zapewniam cię, że ty także tego nie potrafisz.

- Posuń się tylko troszeczkę. Chcę zobaczyć.

Odsunąłem się o parę centymetrów, tak żeby mogła zerknąć na dziurę przed nami. Zaczynałem się pocić.

- Szeroka - powiedziała.

- Za szeroka dla mnie. Czy możemy zejść na dół? - spytałem. Sam nie mogłem zobaczyć, bo z kolei ona zasłaniała mi widok.

- Za stromo - powiedziała. Stromą wąską ścieżką znacznie łatwiej iść w górę, niż schodzić.

- Czyli nie możemy ani iść w górę, ani zejść na dół.

- Tak.

Teraz już na dobre musiałem walczyć z ogarniającą mnie paniką. Miałem jedno ze swoich chwilowych przywidzeń. Oto co się zdarzy. Nic dramatycznego, żaden wielki wypadek, nic tak wielkiego jak tamto osunięcie się ziemi.

Po prostu wyszli sobie pewnego dnia na małą wycieczkę, jakoś zabłądzili w powrotnej drodze, zdenerwowali się i spadli ze skały. Od razu coś podejrzewaliśmy, kiedy nie pojawili się na lunch.

- Jakoś musimy to przejść - powiedziała Loren.

- Nie mogę tego przejść. Musimy zejść na dół.

- Nie potrafię zejść na dół - oświadczyła. - Zresztą ty też nie potrafisz. Staliśmy nieruchomo przez następne kilka minut. I ni stąd, ni zowąd usłyszeliśmy jakiś głos:

- Chyba macie jakieś trudności.

Był to Dick Irvin. Już przeszedł cały lodowiec i wracał do obozu. Zauważył nas, jak wspinamy się na skałę, i postanowił pójść za nami. Nigdy w życiu tak się nie ucieszyłem z żadnego spotkania.

- Nie ma przejścia, Dick - powiedziałem, próbując nie skomleć o pomoc.

- Nie ma sprawy - rzekł i jakoś, nie wiem jak, udało mu się precyzyjnie obok nas. Widziałem, jak strącił nogą w środek dziury bryłę ziemi, lekko po niej przeskoczył i z drugiej strony wyciągnął do nas laskę, najpierw do mnie, a potem do Loren. Następnie poprowadził nas ścieżką na górę. Trząsałem się cały, byłem zlany potem. Widziałem wszystko w zielonawym kolorze i zbyt jaskrawo. Na naszej drodze było jeszcze kilka szpar, ale Dick umiał je pokonać.

Kiedy dotarliśmy do szczytu, kręciło mi się w głowie i musiałem usiąść. Dick poszedł do obozu na lunch, ja siedziałem na ziemi i chciało mi się wymiotować. Loren wciąż pytała, czy wszystko w porządku. Powtarzałem jej, że tak, ale nic nie było w porządku. Nie zjadłem lunchu, nie byłem głodny.

Późnym popołudniem, kiedy zrobiło się chłodniej, Loren zaproponowała, byśmy poszli się przejść. Szliśmy skrajem doliny, patrząc na miasto i na tarasy pól. W tym sielskim krajobrazie nagle zaczęliśmy mówić o naszych planach na przyszłość, o życiowych nadziejach i o tym, kiedy wrócimy do domu. Stojąc w morelowym sadzie nad doliną Hopar, rozmawialiśmy o powiększeniu rodziny i pracy, i naszych planach, które były, co stawało się stopniowo coraz bardziej jasne, nie wspólnymi planami, tylko planami każdego z nas osobno. Temat rozmowy był poważny, a my byliśmy spokojni i uprzejmi wobec siebie. Żadne z nas nie chciało powiedzieć, że to koniec naszego małżeństwa, ale widoki na to zawisły w chłodnym wieczornym powietrzu. W końcu zaczęliśmy mówić o obiedzie, że jesteśmy bardzo głodni, i wróciliśmy do obozu.

Następnego ranka wyruszyliśmy naszymi dżipami w daleką drogę do Islamabadu. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie osunęła się ziemia, droga była już oczyszczona.

## *Rekiny*

Czy nurkowaliście kiedyś w przesmyku? - zapytał właściciel hotelu pierwszego wieczora, kiedy mu powiedzieliśmy, że lubimy nurkować.

- Nie - odparliśmy. - Jeszcze nie.

- O, musicie to zrobić. To najwspanialsze miejsce do nurkowania w Rangiroa.

- Co tam takiego jest?

- Szybki prąd, a także mnóstwo ryb.

- Rekiny? - spytał ktoś.

- Tak - odpowiedział z uśmiechem. - Zwykle są także rekiny.

Spędzałem na Tahiti Boże Narodzenie z rodziną, z bratem i siostrą, oraz z uzupełniającym kompletem ich współmałżonków, przyjaciółek i przyjaciół. Zwiedziliśmy kilka wysp, począwszy od najbardziej odległych.

Rangiroa, jedna z wysp archipelagu Tuamotu, jest oddalona o ponad godzinę drogi od Papeete, stolicy Polinezji Francuskiej. W swoim najwyższym punkcie wznosi się na trzy metry nad poziom morza. Z powietrza wygląda jak bledy płowy krążek wśród oceanu.

Wyspy archipelagu Tuamotu są stare. Ich wulkaniczne szczyty ulegały stopniowo erozji, aż wreszcie znikły, pozostawiając po sobie jedynie rafę koralową, która ongiś opasywała wyspę, a teraz zamyka jedynie lagunę.

W Rangiroa laguna jest ogromna - ma jakieś trzydzieści kilometrów średnicy. W opasującej ją rafie są jedynie dwa przesmyki, przez które dwa razy dziennie przedostają się wody przyływu i odpływu. Masy wody przepływające przez tylko dwa przesmyki sprawiają, że prąd jest tam naprawdę silny, a niesione falą obfite pożywienie ściąga mnóstwo ryb.

- Tam jest bardzo ciekawie - powiedział właściciel hotelu. - Musicie tam zanurkować.

Zwróciliśmy się do Michela, przewodnika podwodnego po lagunie, i powiedzieliśmy, że chcemy nurkować w przesmyku. Zajrzał do „rozkładu jazdy” i powiedział, że możemy to zrobić nazajutrz o dziesiątej rano. (Nurkować można tylko w porze przyływu do laguny, bo odpływ może człowieka wypchnąć na pełne morze).

Następnego rana, kiedy wszyscy już zebrali się na przystani, gotowi do drogi, moja siostra spytała Michela:

- Czy naprawdę w tym przesmyku są rekiny? - Wszyscy byliśmy doświadczonymi nurkami, ona jedyna z nas nie spotkała się dotąd z rekinami.

- Tak - odparł Michel. - Zobaczysz tam pani rekiny.

- Dużo?

Uśmiechnął się.

- Czasem trafia się ich dużo.

- Jak dużo?

Zobaczył, że jest trochę wystraszona, więc powiedział:

- Czasem nie widać żadnego. Gotowi?

Załadowaliśmy się do łodzi i wyruszyliśmy. Przesmyk jest czterystumetrową przerwą w atolu. Wewnątrz atolu laguna była spokojna, na zewnątrz rozkołysane fale oceanu uderzały nieustannie o rafę. Przybiliśmy, Michel wyciągnął pływak i szpulę sznura. Potem wygłosił wykład.

- Musicie trzymać się razem - powiedział. - Każdy ma swój ekwipunek i każdy spuszcza się pod wodę możliwie najbliżej drugiego. Schodźcie prosto w dół, nie zatrzymujcie się blisko powierzchni. Ja tu będę nad wami z tym pływakiem - wskazał nam go ręką - żeby łódź mogła podążać za wami. Prąd jest tu bardzo silny. W przesmyku jest dolinka, gdzie można się zatrzymać na odpoczynek; zwróćcie na nią uwagę. Stamtąd popłyniemy dalej i prąd wyniesie was na lagunę: poczujecie, że prąd zwalnia; tam możecie sobie do woli oglądać korale, póki nie wypłyniecie na powierzchnię i nie wrócicie do łodzi. W przesmyku nie schodźcie poniżej dwudziestu metrów. Dobrze?

Wzięliśmy rynsztunek i poczekaliśmy, aż wszyscy będą gotowi, czując jak fala kołysze łodzią. Wreszcie spuściliśmy się z boku łodzi w masy czarno połyskujących rozbryzgów.

Przy nurkowaniu zawsze pierwszą chwilę poświęca się na przystosowanie. Człowiek poprawia sobie maskę, a jednocześnie wyczuwa temperaturę wody, ocenia jej przejrzystość, rozgląda się wokół siebie, spuszczać się w dół. Tu woda była czysta. Widziałem po mojej lewej stronie bok przesmyku, nierówną skalistą ścianę, która schodziła w dół o jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć metrów od powierzchni, sięgając niebieskawego piaszczystego dna.

Zeszliśmy w dół. Dopiero kiedy zbliżaliśmy się do dna, uświadomiłem sobie, jak szybko się poruszamy. Prąd był naprawdę silny i to stawało się ogromnie podniecające - jeśli się człowiek nie obawiał, że zostanie porwany.

Niezależnie od tego, czy się płynęło naprzód, w tył czy na boki, prąd rwał z taką samą szybkością. Nie można było się zatrzymać. Nie można było niczego się uchwycić. Jeśli się złapało za kawałek koralu, to albo się go wyrывało, albo miało się wyrwane ramię. Człowiek po prostu unosił się z prądem, w mocy sił tak potężnych, że nie dało się z nimi walczyć. Jedyne, co można było zrobić, to odprężyć się i radować chwilą.

Po pierwszych paru minutach, kiedy już przywykłem do widoku współtowarzyszy zawieszonych w wodzie prostopadle do prądu, spoglądających w górę, poprawiających maski albo obracających się do tyłu, stało się to dla mnie świetną zabawą. Było to cośjakby jazda rollercoasterem, kiedy bezradność staje się przyjemnością.

I wtedy zobaczyłem rekiny. Najpierw poruszały się na granicy pola widzenia, tak jak zazwyczaj widywałem rekiny, szare cienie gdzieś daleko, tam gdzie woda wydaje się szaroniebieska. Potem, kiedy się do nich zbliżyłem, te cienie stały się konkretami. Mogłem dojrzeć szczegóły. I dostrzegłem więcej rekinów. Znacznie więcej.

Prąd znosił nas w sam środek licznego stada szarych rekinów. Miałem wrażenie, że się nurzam w całej ich chmarze. Była ich przynajmniej setka, krążyły w koło zwartą grupą.

Pomyślałem: O Boże!

Nie chciałem się przeprowiać przez ich tłum, wolałbym opłynąć je bokiem, ale nad prądem nie dało się zapanować, był całkiem obojętny na to, co bym wolał. Unosił nas prosto w sam środek stada. Próbując zapanować nad strachem, postanowiłem, że je sfilmuję. Spojrzałem na przyciski japońskiej kamery zawieszanej na mojej szyi, czując się nieco idiotycznie. Tkwię pośród setki rekinów i zastanawiasz się czy f-stop to jest f8 czy fi. Czy to nie wszystko jedno? Ale była to jedna z tych sytuacji, na które nie mogłem nic poradzić, więc równie dobrze mogłem sobie pomyśleć o czymś innym, zrobiłem zatem film (wyszedł bardzo zamazany).

Teraz już rekiny były wokół nas, nad nami, pod nami i ze wszystkich stron. Prąd unosił nas niczym pasażerów pociągu, ale wydawało się, że ich to nie dotyczy, pływały sobie swobodnie, śmigając potężnymi cielskami w tych osobliwych bocznych skrętach, które czynią ich ruchy podobne do ruchów żmii.

Rekiny odpływały, wracały, zataczały kręgi wokół nas, ale zauważyłem, że nigdy się do nas nie zbliżają. A my już przebiliśmy się przez ich tłum, prąd wyniósł nas na zewnątrz. A potem odpłynęły.

Oddech jeszcze nie wrócił mi do normy, kiedy Michel uniósł kciuk i wskazał gestem, że mamy zejść na dół do rozpadliny, o której wspominał. Był o dwadzieścia metrów przede mną. Widziałem go, jak przemyka nad dnem, a potem pochyla głowę naprzód i znika w rowie. Kiedy podpływałem do rowu, dostrzegłem chmurę bąbelków dobywających się z jego maski. Ja także się tam wśliznąłem i rozejrzałem się szybko po płytkim małym wąwozie, głębokim może na trzy metry i długim na sześć.

Odczułem znaczną ulgę, wydostawszy się poza zasięg prądu, ale niespodziewanie znalazłem się w czarnej chmarze diabłów morskich. Te płaszczki, poruszające się w gęstych zwartych stadach, wydawały się czymś poruszone. Sądziłem, że pojawieniem się nurków.

Wtem czarna chmara się rozpieczęła, a ja zdałem sobie sprawę, że to z powodu rekinów. Tuzin szarych rekinów wpłynął w ślepy zaułek. Teponose bestie o oczach jak paciorki, z których każda miała około trzech metrów długości. Przepłynęły gniewnie o pół metra od Michela i ode mnie. Dostrzegłem niewyraźnie, że Michel, wciąż spokojny, obserwuje badawczo, jak ja to znoszę. Patrzyłem tylko na rekiny.

Nigdy nie widziałem z bliska tak wielu rekinów razem i na ten widok doznałem wielu wrażeń: zobaczyłem, jak gruba i szorstka jest ich skóra, dojrzałem na niej jakieś przypadkowe okaleczenia, zadrapania i blizny; wyraźnie zarysowaną linię skrzeli, pozbawione powiek oko, groźne i głupie jak oko zbira. Oko jest najbardziej przerażającą rzeczą u rekinów, oko i wygięcie ich pyska. I widziałem, jak jeden z rekinów, który przemknął obok nas, wygiął w łuk grzbiet, co jak niedawno czytałem, jest u rekina szarego typowym zachowaniem grożącym zapowiedzią ataku.

Nadpłynęli inni nurkowie, wypuszczając bąbelki powietrza.

Rekiny uciekły. Ostatni z nich jeszcze się nam odgrażał na swój sposób, jakbyśrny zastawiali mu drogę. A może po prostu chciał się przed nami popisać.

Popatrzyliśmy po sobie. Za okularami masek wielkie, szeroko otwarte oczy. Michel kazał nam zaczekać w rowie jeszcze parę minut; sprawdził u każdego z nas powietrze; wpatrywaliśmy się w wielkiego diabła morskiego, starając się zachować spokój. Za chwilę Michel dał nam znak, że możemy wypływać z jaskini, by dać się ponieść prądowi. Znowu poczuliśmy, jak nas porywa i niesie w kierunku laguny. Już nieco osłabł, woda pociemniała, korale były teraz bardziej rozproszone, rozrzucone małymi kępkami po brązowym mulistym dnie. Ławice koralowe zamieszkiwały małe rybki; te już były całkiem swojskie. Najlepszy etap nurkowania dobiegał kresu. Kończyło się nam powietrze, więc podążyliśmy ku łodzi.

Miarą dobrego nurkowania jest ilość adrenaliny, która się po nim przetacza w żyłach, i rodzaj rozmów, jakie się prowadzi już na powierzchni.

- O Boże! Widziałas?

- Myślałam, że umrę!

- Czy to nie było zdumiewające?

- Wprost nie do wiary! Przyznaję, miałem małego pietra.

- Małego? Widziałem, jak się trzęsiesz.

- To z zimna.

- O tak, na pewno!

- Co za niewiarogodne przeżycie!

Michel siedział, cierpliwie przysłuchując się temu wszystkiemu. Uśmiechał się i kiwał głową, pozwalając nam ochłonać z napięcia. Dał znak sternikowi, by poczekał chwilę, aż się uspokoimy, nim zapanuje silnik i odwiezie nas do hotelu.

W hotelu wzięliśmy prysznic, przebraliśmy się i powędrowaliśmy do baru. Nie mogliśmy mówić o niczym innym, jak tylko o nurkowaniu, o naszych reakcjach na to, co widzieliśmy, jak blisko podплыnęły do nas rekiny, jak na nas patrzyły, jak się wtedy czuliśmy i czy wyjdą nam zdjęcia i oddadzą sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

Zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy otarli się o śmierć. Byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale przeżyliśmy. Było tak niebezpiecznie, że gdybyśmy wiedzieli, co nas spotka, nigdy byśmy tego nie zrobili. Mieliśmy szczęście. Pewnie, że była to dobra zabawa, ale też i przerażające przeżycie.

Potem przy obiedzie mój brat zapytał obojętnym tonem:

- Czy ktoś chce tam znowu nurkować?

Przy stole zapadła cisza, bo jego słowa stały w sprzeczności z tym, co się przed chwilą mówiło. To było naprawdę tak niebezpieczne, że nie powinniśmy tego robić.

- Ja to zrobię - powiedział.

Jedno po drugim wyznawaliśmy, że moglibyśmy znowu tam nurkować.

Następnego ranka, kiedy Michel powiedział, że dziś są nieodpowiednie pływy i że jeżeli chcemy nurkować w przesmyku, musimy poczekać do jutra, byliśmy źli. Czekać do jutra! Czuliśmy się zawiedzeni.

Nazajutrz po raz drugi nurkowaliśmy w przesmyku, ale już nie widzieliśmy prawie żadnych rekinów. Co za strata czasu, żadnych rekinów! Musieliśmy więc zanurkować po raz trzeci, żeby wreszcie zobaczyć duże stado rekinów i znów przeżyć cudowne chwile przerażenia.

Sądzę, że jedynym prawdziwym wyrazem naszych przekonań jest nasze postępowanie. Tak na przykład było, kiedy moja rodzina postanowiła powtórnie zanurkować w przesmyku. Cokolwiek się mówiło o rekinach przy obiedzie - wtedy i później - mieliśmy przekonanie, że nie są niebezpieczne.

W 1973 roku robiłem film, w którym jedna z postaci zostaje zaatakowana przez grzechotnika. Mieliśmy nakręcić scenę, kiedy wąż pełźnie po pustyni, potem atakuje, potem zatapia kły w ciele aktora i tak dalej.

Do tej sceny musieliśmy dobrać odpowiednie węże, tak jak się obsadza aktorów. Mieliśmy cztery „pelzaczki” do sceny podpełzania do ofiary i sześć „kąsaczy”, które miały atakować aktora. Sprowadzono je na plan w wielkich drewnianych skrzyniach.

Natychmiast odezwał się we mnie mój zadawniony lęk przed węzami. Ilekroć byłem w lesie i usłyszałem jakiś szelest, zawsze myślałem: „Czy to nie grzechotnik?” Zawsze się bałem, że ukąsi mnie coś, co mylnie biorę za świerszcza.

Kiedy poskramiacz węży wyciągnął drewniane skrzynie z wagonu, wszyscy w promieniu stu metrów schwycili się na za głowy. Ten dźwięk nie pozostawiał wątpliwości. Wiadomo było, co znaczy. Tego suchego, syczącego grzechotu nie można było pomylić z żadnym innym odgłosem.

Potem poskramiacz wypuścił węże. Każdy z nich miał dwa metry długości, był gruby jak męskie



ramię i obrzydliwie syczał. Wywarło to duże wrażenie na całej ekipie.

Ustawiliśmy się do pierwszego ujęcia. Kamerę siedemdziesiątkętrójkę z teleobiektywem ustawiliśmy na trójnogu w odległości dziesięciu metrów od węża. Na trójnogu zawieszono koc, który miał chronić samotnego operatora przed przerażającym gadem; reszta zespołu umieściła się jeszcze dalej. Wszyscy patrzyli, jak pierwszy z naszych podłych dwumetrowych grzechotników, wypuszczony na wolność, groźnie popęłźnie ku kamerze.

Wąż spojrzął na nas, odwrócił się i wijąc się pomknął ku pobliskim wzgórzom. Poskramiacz musiał go złapać i zatrzymać.

Ustawiliśmy się do zdjęć znowu. I znowu. I znowu.

Za każdym razem nieszczęsny grzechotnik po prostu próbował uciec. W końcu musieliśmy ustawić poza światłem kamery dwa szeregi ludzi i zagonić przestraszonego gada w jej kierunku.

Kiedy już mieliśmy nakręconą scenę podpełzania, ustawiliśmy się do następnej, kiedy wąż zwija się i atakuje. Do tej sceny użyliśmy jednego z „kaszaczy”. Miały ponoć być rozdrażnione i złe. Ich nadzorca oświadczył nam, że nie ściągnięto z nich jadu, bo mogło to zmniejszyć ich agresywność.

Przez następną godzinę próbowaliśmy skłonić „kaszacza” do ataku. Mieliśmy różne kije i gumowe pałki, i kowbojskie kapelusze, którymi wymachiwaliśmy i dźgaliśmy węża, by go rozdrażnić.

Wreszcie jeden uderzył. Ale wymagało to wiele trudu. Łatwo było stwierdzić dlaczego. Atak grzechotnika wygląda dość żałośnie. Może atakować tylko częścią swego ciała; z całej swojej dwumetrowej długości potrafi unieść w górę ledwie pół metra, a może nawet mniej.

Oznacza to, że gdyby na jakimś przyjęciu osoba siedząca obok mnie miała na talerzu przed sobą dużego grzechotnika, nie mógłby on zapewne mnie zaatakować, a w rzeczywistości nie mógłby nawet zaatakować osoby, na której talerzu się znalazł.

Te węże wcale nie są agresywne. Po ataku zęby jadowe wielkich dzikich grzechotników wbijają się w to, co można by nazwać ich dolną wargą. Wąż wygląda wtedy głupio i chyba wie o tym. W każdym razie na ogół chętniej ucieka, niż atakuje.

Między serią zdjęć umieszczano węże pod parasolką w żółte groszki. W miarę jak uciekały godziny, a ja nie uzyskałem odpowiednich zdjęć, zacząłem narzekać na to pieszczenie się z gadami. A niech poczują, jak praży słońce! Ich nadzorca protestował, ale ja obstawałem przy swoim i omal nie upiekłem jednego w ciągu minuty. Wąż zrobił się tak ospały, że trzeba go było wymienić na innego. Te straszliwe gady mają zmienną temperaturę ciała i wystawione na upał mogą się usmażyć jak jaja na patelni. Grzechotniki są, prawdę mówiąc, raczej kruchymi stworzonkami.

W rezultacie, chociaż zaczynaliśmy dzień z ochronnym kocem, teleobiektywem i z wylęknionym operatorem, koło południa cała ekipa stała już tylko o kilka kroków od olbrzymich grzechotników. Ludzie odwracali się do nich tyłem, strącali na nie popiół z papierosów i rozmawiali o sprawach postronnych. Nikt już nie obawiał się węży. Podświadomie przystosowaliśmy się do rzeczywistości, którą mieliśmy przed oczami.

Grzechotniki nie mogą nam zrobić krzywdy.

Przeważnie tak rzadko spotykamy się z dzikimi zwierzętami, że powinniśmy takim spotkaniem czuć się raczej wyróżnieni niż przerażeni.

Zależy to oczywiście od sytuacji i od rodzaju zwierzęcia. Rekiny białonose są stosunkowo łagodne, inne gatunki rekinów mogą nie być. Nie ma co udawać, że afrykańskie lwy to miłe zwierzęta, że można na ich widok wysiąść z samochodu i powiedzieć im „kici, kici”. Ale trzeba

zarazem zdawać sobie sprawę, że jeśli się wysiadzie z samochodu, a lwica nie ma przy sobie małych, to pewnie po prostu odejdzie. Z jakiegoś powodu ludziom trudno się zdobyć na właściwy stosunek do zwierząt. Co roku w amerykańskich parkach narodowych ginie lub doznaje obrażeń pewna liczba ludzi, którzy zbyt blisko podeszli do dzikich zwierząt, takich jak bizony, żeby zrobić im zdjęcie lub je nakarmić. U wielu mieszkańców miast zagięło nawet pojęcie „dzikiego zwierzęcia”; spotykają się jedynie ze zwierzętami domowymi albo ze zwierzętami w ogrodzie zoologicznym, więc dlatego mają nie powiedzieć czteroletniej córeczce, by stanęła obok bawołu w Yellowstone i pozowała razem z nim do fotografii. To będzie takie urocze zdjęcie!

Ten rodzaj ślepego zaufania jest odwrotną stroną ślepego lęku, jaki odczuwa wielu ludzi. Myślę niekiedy, że człowiek ma potrzebę znalezienia dla siebie jakiegoś szczególnego miejsca w przyrodzie i to go prowadzi do przeświadczenia, że jest szczególnie nienawidzony przez pewne zwierzęta, a przez inne szczególnie kochany.

Prawdą jest natomiast, że człowiek jest także rodzajem zwierzęcia. Zwierzęcia myślącego, ale jednak zwierzęcia.

Trudno mi było wyzbyć się strachu przed zwierzętami. A musiałem, gdyż moje doświadczenie kazało mi przestać postrzegać zwierzęta jako istoty budzące grozę. Nie mogłem udawać, że widzę coś, czego nie widzę. Ale trudno mi było wyzbyć się tego strachu.

Może nie chciałem, by przepadł gdzieś dreszczyk emocji. Nie lubimy się tych dreszczyków wyzbywać. Mówiłem ludziom, że pewne rekiny i węgorze jadowite nie są niebezpieczne, i obserwowałem, jak najpierw wydłużały się im twarze ze zdumienia, a potem gniewnie zaciskały usta. Nie wierzyli mi. Mówili, że opowiadam o szczególnych przypadkach. Przypominali, że ograniczam się do własnych doświadczeń. Rekiny nie są niebezpieczne? Węgorze jadowite nie są niebezpieczne? Węże nie są niebezpieczne? Ciekawe.

Nie chcieli tego słuchać. Kiedy przytaczałem fakty i dane statystyczne, złościли się jeszcze bardziej. A jednak szanse, że człowiek Zachodu będzie miał niebezpieczne spotkanie z dzikim zwierzęciem, są wprost znikome. W Ameryce co roku około sześćdziesięciu tysięcy ludzi ginie w wypadkach samochodowych, a jednak tej możliwości nikt się nie boi. Około siedmiu osób rocznie umiera z powodu ukąszenia węża, a każdy boi się węży.

Strach przed zwierzętami stanowi także część naszej kultury ludowej. Jest tematem książek, filmów i programów telewizyjnych. Jeśli się pominie to zjawisko, ma się takie samo poczucie straty jak wtedy, gdy przegapi się głośne telewizyjne widowisko, albo nie zna ostatniego intelektualnego prądu, albo nie prześledziło się najnowszych wyników sportowych. Traci się coś, co łączy z innymi ludźmi.

Inną przyczyną, dla której ludzie nie chcieli mnie słuchać, było to, że im przypominałem, iż skoro strach przed zwierzętami stanowi część naszej powszechnej kultury, a jedno z głębokich przekonań tkwiących w tej kulturze jest błędne, to każe nam się zastanowić nad tym, że może błędne są i inne jej przekonania. A to raczej przygnębiająca myśl.

Strach przed zwierzętami to także miłe dzieciinne uczucie i wyzbyć się go, to zamienić magiczny świat przeżyć dzieciństwa na praktyczną postawę wieku dojrzałego. Po pierwsze, to nieprzyjemne, a po drugie, pytacie sami siebie, dlaczego inni tego nie robią.

Jakie korzyści można wreszcie wyciągnąć z tego strachu? Może za pomocą straszaka przyrody ratuje się walory cywilizacji. Oto tkwię w zgiełku ruchu ulicznego, wdychając spaliny i inne

zanieczyszczenia powietrza, mając przed oczami ohydny krajobraz będący całkowicie dziełem człowieka, ale w istocie mam się dobrze, bo gdyby to wszystko gdzieś przepadło, pożarłyby mnie lwy i niedźwiedzie.

Gdyby dzikie zwierzęta - i dzika natura - były mniej przerażające, może nasza cywilizacja mniej by nam smakowała. Ale prawdą jest, że cywilizacja nie chroni nas przed dzikimi zwierzętami. Próbuje, choć w niedoskonały sposób, chronić nas przed nami samymi.

## Goryle

- Nie będę się zajmowała badaniem goryli - powiedziała Nicole. - Dlaczego? - spytałem.

- Bo to są ludzie.

Nicole była Belgijką i kiedy mówiła po angielsku, nie zawsze wyrażała dokładnie to, co miała na myśli. Sądziłem, że właśnie teraz jej się to zdarzyło.

- Goryle to ludzie?

- Tak, oczywiście.

Moja francuszczyzna była kiepska, ale z pomocą jej angielskiego i mojego francuskiego mogliśmy się dogadać.

- *Vraiment? Des gorilles sont des hommes?*

- *Oui.* Tak samo jak my.

- Tak uważasz?

Nicole była zoologiem i interesowała się szczególnie antylopami topi. Po latach badań nad topi nie dziwiło, że goryle były dla niej nieodróżnialne od ludzi.

- Nie wierzysz mi - odparła - ale ja oglądałam je w Wirundze. Goryle to nie zwierzęta. To ludzie.

Właśnie lecieliśmy do Wirungi. Siedziałem ściśnięty w kabinie małego samolotu obok pilota.

- Widać stąd wulkany - powiedział pilot, wskazując je ruchem ręki. Przed nami wynurzały się z mgieł Ruandy cieniste stożki gór. Nie wyglądały zbyt imponująco, nie tak jak je sobie wyobrażałem.

- Na lewo Karisimbi, w środku Visoke, a na prawo Sabinyo - powiedział pilot. - A to miasto.

Zboczył z kierunku wulkanów i zatoczył krąg nad Ruhengeri, miasteczkiem zabudowanym szafasami ciągnącymi się wzdłuż jedynej błotnistej ulicy. Wyglądało to niezwykle romantycznie.

Wylądowaliśmy i zatrzymaliśmy się w hotelu Muhrabura. W barze podbiegłem do Dona Facewta, mojego profesora anatomii, którego wykładu o trupach wysłuchałem przed wielu laty, w pierwszym dniu moich studiów medycznych. Doktor Fawcett porzucił Uniwersytet Harvarda, by pracować w Międzynarodowym Ośrodku Badań Chorób Zwierzęcych w Nairobi. Tego dnia wraz z grupą naukowców oglądał goryle; było to niezwykle interesujące. Wszyscy w hotelu byli bardzo podnieceni oględzinami. W barze nie mówiło się o niczym innym.

Po południu poszedłem na przechadzkę po Ruhengeri, miasteczku okolonym pięcioma wulkanami. Jedyne brukowana ulica, rozwalające się kolorowe kramy. Minęła mnie z turkotem taksówka wypełniona stojącymi kobietami śpiewającymi afrykańskie pieśni. Dzieciaki próbowały mi sprzedać papierosy impala w plastikowych woreczkach.

Nicole opowiadała o gorylach w Ruandzie. Jej mąż Alain pracował w tamtejszym parku narodowym i pomagał w ustaleniu naszego programu. A rzecz przedstawiała się następująco:

Park Wulkanów na granicy Ruandy i Zairu obejmował znaczny obszar jak na tak mały kraj. Żyzne zielone górskie stoki stawały się przedmiotem coraz większego pożądania ludności Ruandy, która od czasów drugiej wojny światowej wzrosła o pięćset procent. Pod tym naciskiem znaczną część parku przed kilku laty zamieniono w gospodarstwa rolne. Wciąż wzywano do oddania pod uprawy całej

reszty, ale konserwatyści w Ruandzie mieli trzy powody, by opierać się tym żądaniom.

Pierwszy był ten, że udostępnienie ludności całego terenu parku narodowego na dłuższą metę nie zmniejszyłoby presji. Przecież każdego roku trzydzieści trzy tysiące nowych rodzin domagały się ziemi. Gdyby cały park obrócono na gospodarstwa rolne, dostarczyłoby to ziemi tylko dla trzydziestosześcioletniej godni owego przyrostu ludności.

Drugim powodem było to, że ziemia na górskich stokach służyła jako rezerwuuar wilgoci. Gąbczasty wulkaniczny grunt zatrzymywał wodę deszczową i uwalniał ją stopniowo podczas sezonów suszy występującej w Ruandzie dwa razy w roku. Gdyby oddano te górskie zbocza pod uprawę, woda natychmiast wsiąkałaby w ziemię i ucierpiałyby na tym niżej położone gospodarstwa.

Trzecim wreszcie powodem sprzeciwu był fakt, że park wraz z przyległymi do niego terenami parkowymi w Zairze stanowił jedyne pozostałe jeszcze miejsce zamieszkania wspaniałych goryli górskich. Gdyby im je odebrano, goryle górskie zostałyby skazane na zagładę.

Aby ocalić Park Wulkanów, konserwatyści postanowili w 1979 roku, że ma sam zarabiać na własne utrzymanie, a nawet przynosić dodatkowe zyski. W tym celu przyuczono trzy stada goryli do kontaktów z ludźmi. Po roku uczyniono z tych goryli atrakcję turystyczną.

Przed kilku laty amerykańska badaczka Dian Fossey dowiodła, że można całkiem blisko podejść do stada dzikich goryli. Po wieloletniej wytrwałej pracy Fossey doszła do tego, że mogła siedzieć wśród stada, obserwować zachowanie poszczególnych osobników i robić notatki.

Teraz Fossey wyjechała, wygnana przez rząd Ruandy. (Po paru latach powróciła i została zamordowana). Jej pierwotne stado, grupa 5, było przedmiotem bieżących badań prowadzonych przez ośrodek naukowy w Karisimbi, umieszczony między wulkanami. Ale inni pracownicy, posługując się ponad rok jej metodami, przyzwyczajali trzy stada, oznaczone numerami 13, 11 oraz 8, do codziennych ludzkich odwiedzin.

Procedura takich odwiedzin była dość prosta. Zamawiało się je z góry (obecnie już kilka lat z góry), a potem dołączało do grupy pięciu czy sześciu turystów, których zabierano danego dnia na odwiedziny w stadzie goryli.

Rano udaliśmy się do parkowej strażnicy położonej na wysokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów na zboczu góry Sabinyo. Stamtąd mieliśmy zacząć poszukiwanie goryli. Każda grupa turystów miała przewodnika i tropiciela. Najpierw miano nas zaprowadzić na miejsce, gdzie widziano goryle poprzedniego dnia; tropiciel miał iść śladami goryli po wulkanicznych zboczach, póki nie natkniemy się na stado. Potem mieliśmy iść za gorylami aż do czasu, kiedy się gdzieś zatrzymają na południowy odpoczynek. Są wtedy spokojne i zazwyczaj pozwalają zbliżyć się do siebie. Niekiedy turyści znajdują goryle w ciągu pięciu minut, czasem znów zabiera im to pięć godzin. Nam zapowiedziano, że mamy być przygotowani na kilka godzin ostrej wspinaczki, powinniśmy włożyć rękawiczki dla ochrony przed poparzeniami pokrzywą i kiedy już się znajdziemy wśród goryli, mamy zachowywać się cicho i pilnować, by trzymać zawsze głowy poniżej głowy dominującego samca. Powiedziano nam także, że gdyby goryle nas zaatakowały, mamy stać cicho w miejscu i nie ruszać się.

Z tymi zaleceniami wyruszyliśmy w drogę.

Odnaleźć trop przejścia goryli jest dość łatwo. Pozostawiają za sobą nie tylko charakterystyczne ślady, ale także masę połamanych gałęzi. Miejscami wygląda to tak, jakby właśnie przez las

przejechał cały konwój dżipów.

Powiniennem po tym rozpoznać, co zaraz nastąpi, a jednak moje pierwsze spotkanie z gorylem - samcem o srebrzystym grzbiecie, dostrzeżonym przez bambusowe zarośla - było wstrząsające. Zwierzę było ogromne. Wydawało się tak wielkie, że pomyślałem, iż ulegam złudzeniu optycznemu spowodowanemu przez zasłaniające je bambusy. Nie wyglądał na goryla, przypominał raczej hipopotama.

Goryle górskie są wielkie.

Mark, nasz przewodnik, kiwnął głową. Od tej chwili mówiliśmy szeptem.

- Tak, są ogromne - powiedział. - W ogrodach zoologicznych widzi się goryle nizinne, inny gatunek. Goryle górskie są znacznie większe. Ten facet waży ze dwieście kilo.

Facet oddalał się teraz przez bambusowe zarośla. Jak na stworzenie wielkości hipopotama poruszał się szybko. My, istoty ludzkie, musieliśmy się dobrze zadyszeć, by nie stracić go z oczu. Goryle poruszają się charakterystycznymi susami, balansując na ugiętych nogach, podpierając się ramionami z dłońmi tak podwiniętymi, by opierać się na kłykciach. Jest to zachowanie uwarunkowane genetycznie, ale kiedy rozejrzałem się wokół, zauważyłem, że my, ludzie, poruszamy się bardzo podobnie. Niskie zarośla bambusowe zmuszały nas do ugięcia kolan, a parzące pokrzywy do zaciskania wrażliwych dłoni w pięści, by narażać na ból jedynie kłykcie palców.

Był to dziwny widok: goryle poruszające się jak goryle i goniący je ludzie, także poruszający się jak goryle. Tyle że ludzie byli niezdarni, szczególnie kiedy chcieli posuwać się szybko. Trudno jest biegać w kucki.

Wkrótce, rozglądając się uważnie, dostrzegliśmy więcej zwierząt, dorosłą samicę z małym gorylątkiem. Ta grupa, grupa numer 13, zachowywała się szczególnie ostrożnie. Mark, który znał obyczaje stada, wyjaśnił, że na ich terytorium znalazł się słoń i samiec o srebrzystym grzbiecie jest zaniepokojony.

Przez godzinę niemal truchtem goniliśmy za goryłami przez bambusy... Nie widzieliśmy ich, tylko słyszeliśmy, jak przedzierają się przez zarośla. Czasami były całkiem blisko, ale nam nie udawało się ich dojrzeć.

Wreszcie zwierzęta zatrzymały się na południowy odpoczynek. Wielki samiec położył się na wznak i leniwie żuł pęd bambusa. Znajdował się o jakieś dziesięć metrów ode mnie. Byłem zniecierpliwiony. Chciałem zrobić mu zdjęcie, ale leżał za nisko w leśnym poszyciu. Przez chwilę widziałem tylko jego wielką rękę, jak się unosi, chwyta bambus i znów opada. Od czasu do czasu podnosił potężny łeb, patrzył na nas, a potem kładł się z powrotem. Majstrowałem przy aparacie przygotowując się do chwili, kiedy będę mógł zrobić mu zdjęcie. Zmieniałem obiektyw, ustawiałem f-stop...

Stało się to wprost błyskawicznie. Rozległ się ogłuszający ryk, dźwięk tak głośny, jakby kolej podziemna zajęchała na stację, i zobaczyłem, że olbrzymi samiec rusza w moim kierunku. Nacierał niewiarogodnie szybko, rycząc ze złości. Prosto na mnie.

Jęknąłem, skuliłem się i padłem plackiem na trawę. Mocne ramię chwyciło mnie za koszulę. To on! Zdarza się, że goryle atakują człowieka. Podnoszą go do góry, gryzą, a potem rzucają jak ścierkę. A potem miesiają w szpitalu. Teraz ten goryl dobiera się do mnie...

To nie goryl, ale Mark chwycił mnie za koszulę. Przytrzymując mnie, bym nie uciekał, szepnął z naciskiem:

- Nie ruszaj się.

Ukryłem twarz w trawie. Serce mi waliło. Nie śmiałem spojrzeć do góry. Goryl stał tuż nade mną. Słyszałem, jak parska, czułem, jak ziemia trzęsie się pod jego krokami. Nagle zorientowałem się, że odchodzi. Usłyszałem z prawej strony rytmiczny chrzęst.

Mark szepnął:

- Możesz powoli podnieść głowę. On zrywa trawę.

Nie podniosłem głowy. Nie ruszyłem się. I dobrze zrobiłem, bo goryl znów zaryczał. Tłukł się pięściami po piersiach, aż grzmiało.

- Możesz już podnieść głowę - szepnął Mark. - Już wszystko dobrze.

Nie podniosłem głowy. Nie ruszyłem się. Czekałem, aż usłyszę trzask łamanych gałęzi oznaczający, że goryl się oddalił. Dopiero wtedy podniosłem głowę.

Zobaczyłem, że wielki samiec znów pada na trawę. Widziałem jego wielką łapę sięgającą po pęd bambusa.

- Po prostu chciał nam przypomnieć, kto tu jest szefem - powiedział Mark.

Rozumiałem to. Niewątpliwie.

- Dlaczego ruszył do natarcia?

Mark wzruszył ramionami.

- Coś mu się w tobie nie spodobało. Pewnie za gwałtownie majstrowałeś przy kamerze.

A potem przystąpił do wykładu, jak to nie należy się ruszać, kiedy goryl przystępuje do ataku.

Cała rzecz w tym, że wiedziałem wszystko o tym, jak się należy zachować w razie napaści goryla. Badałem obyczaje goryli, przeczytałem o nich wszystko, co się dało. Ale nie dowiedziałem się z tych książek, jak groźny może być atak goryla. Wielkość zwierzęcia, odgłosy, jakie wydaje, błyskawiczna szybkość, z jaką naciera, są doprawdy paraliżujące.

Stawić mu czoło, kiedy rusza do ataku, to jakby stanąć na torach na wprost pędzącego pociągu, z jakiegoś powodu wierząc, że się zatrzyma, nim cię zmiążdży. To wymaga niewiarygodnej odwagi.

A może po prostu doświadczenia. W ciągu tych dwóch dni goryle atakowały nas kilkakrotnie, ale nie było to już tak przerażające jak za pierwszym razem.

Drugiego dnia poszliśmy z Nicole i Rosalindą Aveling, przyrodniczką zatrudnioną w parku narodowym, obejrzeć grupę 11. Odnaleźliśmy ją w czymś w rodzaju zaułka wśród leśnej gęstwiny.

Było tam czternaście zwierząt, młodzież, dzieciarnia wdrapująca się na gałęzie drzew i wielki samiec pośrodku.

Zbliżyliśmy się ostrożnie. Wielki samiec przyglądał się, jak podchodzimy. Wreszcie ruszył. Zamarliśmy.

Zwierz podszedł do przewodnika. Podniósł wielką łapę i zamachnął się, by wymierzyć mu cios. Przewodnikowi nie drgnął ani jeden mięsień twarzy. W ostatniej chwili goryl powstrzymał zamach i klepnął go tylko lekko w głowę. Dał mu małego klapsa. Ot tak, dla zabawy.

Potem podszedł do tropiciela, który miał na głowie czapkę baseballową. Zdjął mu tę czapkę, obejrzał, parsknął i ostrożnie włożył ją z powrotem na głowę tropiciela. Potem odstąpił o parę kroków w tył.

Szepnąłem do Rosalindy:

- To zdumiewające.

- One zawsze tak robią - powiedziała. - To ich powitanie. Przecież on ich zna.

Dowiedziałem się od Rosalindy, że goryle bardzo szybko się uczą rozpoznawać ludzi. Dlatego zarząd parku nie pozwala turystom dzień po dniu odwiedzać tej samej grupy. Drugiego dnia goryle rozpoznają gości i pozwalają im podejść do siebie bliżej niż przedtem. A nadzorcy parku nie chcą, by goryle zaraziły się od gości katarem.

- Rozpoznają człowieka po jednym spotkaniu?

- O tak - powiedziała Rosalinda. - Są bardzo bystre. Ty także nauczysz się je rozpoznawać.

Miałem co do tego wątpliwości. Wszystkie goryle wyglądały dla mnie tak samo, różniły się tylko rozmiarami. Kiedy jeden czy drugi wychylał się ku mnie spośród gałęzi, nie umiałem powiedzieć, czy go już przedtem widziałem, czy nie.

Tymczasem przewodnik i wielki samiec stali, wpatrując się w siebie. Szpakowaty goryl chrząknął. Przewodnik odpowiedział także chrząknięciem. Już mnie pouczono o tym chrząknięciu. Wszyscy mieliśmy pochrząkiwać od czasu do czasu albo w odpowiedzi na chrząknięcie samca. Miało to oznaczać mniej więcej tyle: „Jestem tu i wszystko jest świetnie”. Mówiło się w każdym razie, że chrząkanie działa uspokajająco na goryle.

Chrząkałem więc z całym oddaniem, bo nigdy nie byłem tak blisko nich. Nigdy w życiu nie znalazłem się tak blisko dzikiego zwierzęcia bez ochronnej bariery. Nikt jednak nie miał przy sobie strzelby ani żadnej innej broni. Nasze bezpieczeństwo opierało się na założeniu, że goryle będą się zachowywać przyjaźnie. I chyba były przyjazne.

Rzecz polegała na tym, że byliśmy w ich rękach. Znajdowaliśmy się na ich terenie, byliśmy u nich gośćmi. I najwyraźniej wszystko było w porządku.

Odetchnąłem i ogarnęło mnie uczucie najwyższego zachwytu. Nigdy nie doświadczyłem niczego takiego. Być tak blisko dzikiego stworzenia i nie odczuwać żadnego zagrożenia! I powoli zacząłem rozróżniać poszczególne osobniki, tak jak zapowiedziała Rosalinda. Samicę ze sterczącym wielkim siekaczem, młodego samca, który w poczuciu własnej męskości przechadzał się godnym krokiem, maluchy nie większe niż ludzkie niemowlęta, które nas zaczepiały i biły się po piersiach, a potem umykały na drzewa.

Nie chciało mi się stamtąd ruszyć.

Przewodnik odprowadzał innych turystów, ja zostałem z Rosalindą i z Nicole. Płynął czas, a mnie zaczęło ogarniać niesamowite uczucie, że rozumiem, co się tu dzieje. Jakaś samica ruszyła w naszym kierunku, a ja pomyślałem: „Za bardzo się zbliżasz. Jemu się to nie spodoba”. I rzeczywiście, samiec spojrzął na nią i warknął, a samica pospiesznie wróciła na miejsce. Młodzież zbytnio się rozluła na gałęziach drzew. Samiec ryknął głośno i zaraz wszystkie zwierzęta zaczęły się już grzecznie bawić. Ale kiedy młody samiec podszedł do nas, by się nam przyjrzeć, uzyskał na to zezwolenie.

Wszystko to miało jakieś znaczenie. Istniał tu jakiś ład przestrzenny, były niewidzialne, a jednak wyraźne granice, których nie wolno przekraczać, a samiec o srebrzystym grzbiecie trzymał każdego na swoim miejscu. Po chwili zasnął. W olbrzymiej garści trzymał jakiegoś malucha, który wypełniał mu całą dłoń.

Starłem się uporać z moim poczuciem, że rozumiałem życie stada. Mamy skłonność do antropomorfizacji zwierząt, ale w tym przypadku trudno było jej nie ulec. W spokojnym otoczeniu goryle wydają się blisko z nami spokrewnione. Nicole miała rację: to ludzie. Nie spodziewałem się tego. Znajdowałem się już przedtem wśród innych wielkich małp i nigdy nie miałem takiego uczucia. Na przykład szympansy stanowią jawną parodię istoty ludzkiej, ale to zupełnie inne zwierzęta, złośliwe na różne sposoby i raczej nieprzyjemne. Orangutany wydają się łagodne i posępne, ale



w gruncie rzeczy nie są podobne do ludzi. A tu, pośród tej gromady goryli, miałem wyraźne poczucie, że się wzajemnie rozumiemy. Było to przemożne i smutne doznanie. Kiedy od nich odchodziłem, było to tak, jakbym się obudził ze snu.

W 1958 roku, kiedy George Schaller prowadził badania nad gorylami górskimi, oceniał ich liczebność na 525. Kiedy ja odwiedziłem Wirungę w 1981 roku, uważano, że jest ich około 275. Teraz jest ich chyba około dwustu. Nikt nie wie, jakie jest minimum niezbędne do zachowania ich populacji i czy ich liczba już nie spadła poniżej tej granicy. W każdym razie widoki są niewesołe.

Kiedy zeszliśmy z góry, powiedziałem do Nicole:

- Już rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że nie chcesz prowadzić badań nad gorylami, bo one są jak ludzie.

- Tak - odpowiedziała. - Nie mogłabym. - Urwała. - A także dlatego, że to zbyt smutne.

## *Zółwica*

Kiedy mijalem restauracje McDonalda w porcie lotniczym w Singapurze czy udałem się do stoiska Hertza, by wypożyczyć datsuna, którym miałem pojechać na północ do hotelu w miejscowości Kuantan na wschodnim wybrzeżu Malezji, nie czułem jeszcze smaku przygody.

Nie lepiej się czułem prowadząc wóz przez Singapur, miasto, które w ciągu dziesięciu lat systematycznie niszczyło wszelkie ślady egzotyki. Kiedy byłem tutaj pierwszy raz, w roku 1972, było to miasto czarodziejskie - po części ruchliwy ośrodek światowego biznesu, po części senna kolonia brytyjska, a wszędzie pięknie, ciepło, zielono. Gdziekolwiek się spojrzało, widać było siady dziejów miasta, jak na przykład druty kolczaste wokół tarasów domów kolonialnych, pozostałości po japońskiej okupacji. Było to miasto o wyraźnie wyodrębnionych dzielnicach: dzielnica indyjska, nadrzeczna dzielnica chińska i dzielnica malajska, a w każdej z nich inny nastrój, inne twarze, inne budownictwo, inne zapachy.

A teraz to wszystko gdzieś przepadło. Znikły nawet tak niewinne atrakcje jak wielkie hale targowe ciągnące się wzdłuż wybrzeża, gdzie można było nabyć wszystko, czego dusza zapagnie, od chili po kraby. By stać się prawdziwie nowoczesnym miastem, Singapur postanowił odmienić swoje niepowtarzalne oblicze i zastąpić je wieżowcami i olbrzymimi domami towarowymi, tak by wyglądać jak wszystkie inne wielkie miasta na świecie.

Przejazd przez miasto w kierunku północnym przez most prowadzący do Malezji, a potem odnalezienie drogi na wschodnie wybrzeże zajęły mi całą godzinę. Smak przygody bynajmniej się we mnie nie wzmógł, kiedy się włokłem za długim rzędem smrodliwych ciężarówek i furgonetek o dieslowskim napędzie, kiedy czekałem na zmianę świateł. Nic tak nie odbiera smaku egzotycznej przygody jak ruch uliczny. Jadąc wschodnim wybrzeżem Półwyspu Malajskiego miałem wrażenie, że odwiedzam miejsca, które kiedyś były odległe od świata, ale już nie są. Jedne za drugimi ciągnęły się monotonne miasteczka na wodzie, bagniska porośnięte krzewami mangrowymi, przede mną biegła nieco wyboista, ale nadająca się do użytku szosa.

Zaczął padać deszcz. Był to jeden z tych ulewnych malajskich deszczy, po których człowiek się spodziewa, że będą tropikalnie ciepłe, ale są przejmująco zimne. Zasunąłem okna, puściłem w ruch wycieraczki i poczułem się w swoim wozie odcięty od świata, powoli zapominając, gdzie jestem. Nawet kiedy deszcz ustał, byłem zdezorientowany.

Kuantan to duże brzydkie miasto - betonowe fabryki i rozległe place zastawione ciężarowymi hondami. Nie wyglądało to na miejsce, gdzie może się znajdować renomowany hotel, i nie widziałem żadnych znaków wskazujących drogę do Hyatt Kuantan. Jechałem dalej.

Zbliżała się noc. Kontury krajobrazu zaczęły się zacierać i szarzeć. Droga była źle oznakowana, a nie chciałem jechać nocą. Zgubiłem drogę do Hyatt, spytałem o nią w małej restauracyjce przy skrzyżowaniu, wróciłem i znów ją przeoczyłem. Nie była to żadna wspaniała przygoda, tylko po prostu powód do frustracji. Kiedy w końcu dotarłem do hotelu, zauważyłem natychmiast, że jest to miejsce, które nie zasługuje na dobrą sławę. Żałowałem, że tu przyjechałem.

Niełatwo było jednak zamówić teleksem uroczy pensjonacik na wschodnim wybrzeżu, a ja

przyjechałem tu wiosną 1982 roku ze szczególnej przyczyny - aby obejrzeć odbywające się o tej porze roku składanie jaj przez olbrzymie malajskie żółwie skórzaste.

Począwszy od maja przez kilka miesięcy żółwie te wynurzają się z oceanu, by złożyć jaja na pustych plażach wschodniego wybrzeża. Miejsca te są tak odcięte od świata, że nie wiadomo, czy żółwie nie wyginęły od 1950 roku, kiedy je ostatnio widziano przy składaniu jaj.

To wszystko, co o nich wiedziałem, ale sądziłem, że dowiem się czegoś więcej na miejscu. Więc kiedy tylko zameldowałem się w hotelu, oświadczyłem recepcjoniście:

- Przyjechałem tu, żeby obejrzeć żółwie.
- Tak? Nie mamy żółwi w hotelu.
- Te olbrzymie żółwie, które składają jaja.
- Nie ma ich tutaj.
- A na wybrzeżu?
- Nie wiem. Może dalej na północ. Będzie pan musiał zapytać.
- Kogo mam zapytać?
- Niech pan zapyta rano w biurze turystycznym. AJe ja myślę, że to nie ta pora.
- Czy składanie jaj nie zaczyna się w maju?
- Nie wiem. Myślę, że nie ma tu żadnych żółwi, że to niewłaściwa pora.

Co za tuman! - pomyślałem. O niczym nie ma najmniejszego pojęcia.

Dyrekcja hotelu powinna pomyśleć dwa razy, nim posadzi takiego kogoś za biurkiem recepcjonisty. Żółwie przecież muszą być wielką miejscową atrakcją i należałoby oczekiwać, że personel hotelu będzie coś o nich wiedział.

Ale następne dni przyniosły mi jedynie zawód. Wyglądało na to, że nikt nic nie wie o żółwiach. Wiedzieli o windsurfingu. Wiedzieli o wycieczkach do dżungli. Wiedzieli o wyprawach na oglądanie miejscowych tańców. Ale nikt nic nie wiedział o żółwiach. Pojechałem do miasta i odnalazłem miejscowe biuro turystyczne. Było zamknięte. Powiedziano mi, że kobieta, która je prowadzi, wyjechała do Kuala Lumpur i wróci za tydzień.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy przygotowywałem się do windsurfingu, któryś z mężczyzn pracujących na plaży rzucił mi mimochodem:

- Wczoraj widziano żółwie.
  - Kto je widział?
  - Chińczycy.
  - Gdzie je widziano?
- Wymienił nazwę hotelu.
- Gdzie to jest?
  - Na północ. Pięćdziesiąt kilometrów stąd.
  - I widzieli żółwie ostatniej nocy?
  - Około drugiej. Trzy żółwie - powiedział. - Ogromne. Po dwieście kilo.

Powiedziałem, że chciałbym je zobaczyć.

- Dlaczego nie? Właśnie jest ich pora.
- Tylko jak to urządzić?
- Nikt nie może tego urządzić. Żółwie robią, co chcą.
- Co mam zrobić, żeby je zobaczyć?
- Niech pan pojedzie do tamtego hotelu. Tam pokazują się żółwie.

- Co noc?

- Nie. Nie każdej nocy. Może pan zadzwonić, nim się tam pan wybierze.

Zadzwoniłem do hotelu. Tak, widziano żółwie. Przez ostatnie cztery noce widziano je trzy razy.

Tak, mogę zadzwonić później, a powiedzą mi, czy widzieli żółwie.

Zadzwoniłem kolo dziesiątej wieczorem. Kobieta powiedziała, że jeszcze nie było żółwi, to na nie za wcześnie.

Zadzwoniłem o północy. Nikt nie odebrał telefonu.

Ale i tak pojechałem.

W drodze zaczęło padać. Po pięćdziesięciu kilometrach na północ zajechałem do nowoczesnego hotelu - szary betonowy budynek z trawnikiem na froncie. Wciąż lało. Tuż obok była plaża. Wysiadłem z samochodu. Na plaży nikogo nie było i nie było czego oglądać. Deszcz wciąż lał strumieniami z nieba.

Z ciemności wyłonił się jakiś mężczyzna.

- Co pan tu robi?

- Przyszedłem obejrzyć żółwie.

- Dziś w nocy nie ma żadnych żółwi.

- Aleja myślałem...

- Nie ma żółwi.

Wróciłem do swego hotelu.

Zadzwoniłem następnego wieczora. Powiedziano mi, że ostatniej nocy widziano wiele żółwi, ale dziś jak dotąd żadnego.

O północy znów zadzwoniłem. Jakiś mężczyzna powiedział, że widział żółwia na plaży. Zapytałem, jak długo tam pozostanie. Odpowiedział, że wiele godzin.

Pojechałem.

Znów nikogo nie było w pobliżu hotelu. Loża recepcjonisty stała pustką. Nacisnąłem dzwonek, żeby wezwać kierownika. Nikt się nie pojawił. Wyszedłem na plażę. Noc była piękna, księżyc w pełni, kłębiaste obłoki na niebie, ciepłe powietrze. Na plaży, która ciągnęła się na całe kilometry w obie strony, nie widziałem nikogo.

Niebawem jakiś chłopak przejechał nad wodą na skuterze. Patrzyłem w ślad za nim, słuchając cichnącego warkotu. Po dziesięciu minutach wrócił.

- Żółwie? - zapytał mnie w ciemności. Mógł być handlarzem narkotyków.

- Tak - powiedziałem.

- Ja też ich szukam. I znajduję. Zabiorę tam pana.

- Dobrze. Dziękuję.

- Widział je pan kiedy?

- Nie, nigdy.

- A tego pan nie zauważył?

- Gdzie?

- Tu blisko. Pod drzewami - pokazał.

Na skraju plaży rosły jakieś drzewa, rzucające teraz cień w świetle księżyca. Pod jednym z nich ujrzałem jakiś kształt na piasku. Podeszedłem bliżej i zapaliłem latarkę błyskową.

Żółwica była ogromna, wielkości komody. Głowę zwróciła w kierunku oceanu. Płetwami wykopała dół głęboki chyba na metr. Teraz znosiła do niego miękkie, śliskie, przezrocyste jaja.

Poruszała powoli wspaniałą głową naprzód i w tył, a do oczu napływały jej łzy.

Żółwica musiała ważyć ze sto pięćdziesiąt kilogramów, może nawet więcej. Przeczłaganie się sto metrów w gąb plaży, wykopanie jamy niezdarnymi płetwami i złożenie w niej jaj wymagało od niej ogromnego wysiłku. Na pyszczku znać było wyczerpanie i oszołomienie. Oczy wciąż łzawiły, ale nie były to zapewne prawdziwe łzy, tylko jakaś oczna wydzielina. Patrzyłem na nią z podziwem, zdumiony jej wysiłkiem w dopełnieniu odwiecznego rytuału, który nakazywał jej powtarzać tę czynność co roku. Stałbym przy niej z radością całą noc.

Tymczasem na plaży zrobił się ruch. Nadciągnęło kilkunastu Chińczyków i Malajów. Dowiedzieli się o żółwicy. Przynieśli ze sobą wiele świateł, którymi oświetlili zwierzę. Zacząłem czuć się nieswojo. Teraz już cały tłum ludzi stał wokół żółwicy, przyglądając się, jak składa jaja.

Inni zaczęli zapalać flesze, żeby ją sfotografować. Przysunęli się bardzo blisko jej głowy i oślepiali ją rozbłysk za rozbłyskiem. W końcu ojciec chińskiej rodziny powiedział coś do swego syna. Chłopiec wdrapał się na grzbiet żółwicy i usiadł na nim, a ojciec zrobił zdjęcie. Zaraz potem cała rodzina zasiadła tam okrakiem, pozując do następnego zdjęcia, a żółwica tylko bezradnie machała płetwami.

Udało się jej w końcu sypnąć piaskiem w twarz stojącemu obok niej dzieciaka. Malec rozplakał się w ciemnościach. Malajczycy zaczęli krzyczeć i przeklinać. Jeden z Chińczyków upozował się do zdjęcia z nią, stając tuż obok jej głowy i przysuwając do jej pyska butelkę piwa, jakby dając jej się napić. Rozbłysk. Śmiechy.

Znów zajechał tamten chłopak na skuterze. Zatrzymał się i zaparkował swój pojazd. Ludzie zamilkli. Sądziłem, że to może jakaś urzędowa osoba, ale kiedy wkroczył w krąg światła, zobaczyłem, że to dziesięcio-, może jedenastolatek. Przemówił do zebranych spokojnie, najwidoczniej opowiadając im o żółwicy. Z jego gestów mogłem poznać, że tłumaczy, co ta żółwica robi. Pokazał jej ślad ciągnący się od wody na plażę. Jak pracowicie się odwraca głową do oceanu. Jak długo się trudzi, kopiąc jamę. Ile wysiłku ją kosztuje złożenie jaj. A potem, kiedy już je złoży, ile godzin jeszcze będzie tu leżeć, wyczerpana, nim zbierze siły, by znów popęznąć do wody i o świcie zanurzyć się w fale.

Słuchali w milczeniu. Mały Chińczyk zsunął się z grzbietu żółwicy. Dzieciak przestał płakać, bo go zachęcono, by dotknął jej skorupy i zawarł pokój z tym wielkim stworzeniem. Wytworzył się nastrój pełen uszanowania. Cofnięto się od pracowicie wykopanej jamy. Pomyślałem: Wystarczyło, by zrozumieli, co się dzieje z tym stworzeniem. Zanim im nie powiedziano, nie mogli sobie tego nawet wyobrazić, ale kiedy się już dowiedzieli, okazują współczucie i zrozumienie.

Wreszcie wszyscy się rozeszli. Ja zostałem. Chłopak usiadł w ciemnościach obok mnie.

- Anglik?

- Nie. Amerykanin.

- Ach, Amerykanin. Rono Reagan.

- Tak.

Pokazał palcem na rozchodzących się ludzi.

- Teraz iść. Zobaczyć żółw i iść sobie.

- Co im powiedziałaś? - zapytałem.

- Oni mówić, że chceć kupić jaja - powiedział. - Ja im mówić, gdzie kupić jaja, i oni sobie pójść.

- Oni teraz pójda kupić sobie jajek?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ja im opowiedzieć o żółwicy, o jajach. Oni słuchać.

- No tak.

- I ja im opowiedzieć, jaki jest koszt tych jajek. Kobiety powiedziały, że za duży. Chyba ich nie kupią.

- Nie?

Potrząsnął głową.

- Nie.

Żółwica została w jamie, poruszając od czasu do czasu płetwami. Po godzinie pojawiła się nowa grupa ludzi. Znowu rozbłyśki fleszów, znowu pozowanie do zdjęć. Wróciłem do hotelu.

## *Nauczyciel kaktus*

Jesienią 1982 roku uczestniczyłem w zjeździe zwołanym przez Brugha I Joya w Lucernę Valley w Kalifornii. Brugh Joy był wybitnym lekarzem z Los Angeles, który w wyniku głębokiej medytacji odsuwał się stopniowo od medycyny, zajmując się rozwojem osobowości, zdrowiem psychicznym i temu podobne. Od kilkunastu lat organizował dwutygodniowe zjazdy, podczas których dzielił się ze zgromadzonymi swoimi osiągnięciami.

Wydawało mi się to znakomitą okazją, by coś zdziałać w dziedzinie, którą się interesowałem od 1973 roku. Przecież kiedy się przeczytało książkę Rama Dassa, wiedziało się, że on ciągle robi coś nowego: żyje w klasztorze wyznawców zen, wykonuje ćwiczenia oddechowe, pości, przebywa ze swoim guru w Indiach. Ma się wrażenie, że wciąż próbuje nowego rodzaju doświadczeń.

Ja tylko czytałem o takich doświadczeniach, własnych tego rodzaju nie miałem. Przez dziesięć lat nie robiłem nic, tylko czytałem. A dziesięć lat to wystarczająco długo na powstrzymywanie się od wszelkich praktyk. Zacząłem się zastanawiać, czy to moje zainteresowanie jest autentyczne, czy po prostu szukam wymówek, by się od tych praktyk wykręcić.

Kiedy się dowiedziałem, że Brugh Joy, poważny lekarz, praktykujący u Johna Hopkinsa i w Klinice Mayo, podjął swoją duchową podróż, a teraz pomaga innym, jego seminarium wydawało się mi idealnym punktem startowym.

Seminarium odbywało się w Instytucie Lecznictwa Chorób Umysłowych w Lucernę Valley. Zabudowania, zaplanowane przez Franka Lloyda Wrighta, musiały ongiś być ostatnim krzykiem nowoczesności, ale dziś wyglądały nieco ekscentrycznie. Inicjatorem nowych naukowych metod leczenia schorzeń umysłowych (Bezbłędnej Filozofii Życia) był Edwin J. Dingle, który w latach dwudziestych odwiedził Tybet. Rozwieszony w instytucie wyblakłe zdjęcia tybetańskich świętych mężów i afisze w stylu art deco ukazujące, jak skutecznie unikać obstrukcji i innych problemów zdrowotnych, nosiły wszelkie cechy dziwnego spirytualizmu na kalifornijską modłę i przedstawiały je w bardzo już tracący myślką sposób.

Brugh Joy okazał się bladym, szczupłym mężczyzną około czterdziestki. Jeździł starym cadillakiem, nosił dzinsy i sportowe byle jakie koszulki. Był uprzejmy, mówił przyciszonym głosem i odnosił się z wyraźną rezerwą do otoczenia.

W seminarium brało udział czterdzieści osób. Pokrzepił mnie widok znacznej liczby profesjonalnie wyglądających gości w garniturach i krawatach, wśród nich wielu lekarzy i psychologów.

Przy pierwszym obiedzie w niedzielę Brugh ogłosił zasady, jakie będą nas obowiązywać przez następne dwa tygodnie. Żadnych telefonów. Nie wolno ani do nikogo dzwonić, ani ich odbierać. Mamy nigdzie się nie oddalać; jeśli nam czegoś będzie potrzeba, ktoś może pojechać do miasta i nam to przywieźć. Żadnego uprawiania seksu, żadnych używek. Codziennie będą się odbywały zebrania grupowe, ale obecność na nich nie jest konieczna. Czy na nich będziemy, czy nie, odniesiemy z nich korzyści.

Powiedział, że możemy spać albo w naszych pokojach, albo na pustyni. Mówił nam o grzechotnikach i oświadczył, że się dotąd nie zdarzyło, by ktoś został ukąszony podczas jego seminarium, ale to od naszego zachowania zależy, czy nie będziemy pierwsi...

Z jego słów wynikało jasno, że wkrótce osiągniemy odmienny stan świadomości. Nie byłem pewien, co to znaczy, ale brzmiało to interesująco.

Zjazd odbywał się według wytyczonego rozkładu. Co rano od wpół do siódmej do ósmej obowiązywało milczenie. W tym czasie pożądane było oddawanie się medytacji, ale nie było to przymusowe. Potem szliśmy na wspólne śniadanie.

O dziewiątej spotykaliśmy się w wielkiej sali konferencyjnej. Zaczynaliśmy od leżenia na podłodze albo na poduszkach, a Brugh przez około pół godziny puszczał nam z wielkich megafonów głośną muzykę. Jej natężenie i wibracje wywierały bardzo silne wrażenie. Ludzie popadali na jawie w senne przywidzenia, często także płakali. Potem siadaliśmy kręgiem, na chwilę biorąc się za ręce, i rozmawialiśmy o naszych przywidzeniach. Potem Brugh wygłaszał coś w rodzaju wykładu i o wpół do pierwszej mieliśmy przerwę na lunch.

Po południu spotykaliśmy się w małych grupkach albo spacerowaliśmy, albo siedzieliśmy wokół basenu, albo spaliśmy.

Obiad był o szóstej, a po nim odbywała się wieczorna sesja, która znowu zaczynała się od muzyki. Trwała do dziesiątej, a potem rozchodziliśmy się na noc.

Brugh karmił nas wszelkiego rodzaju muzyką - klasyczną, elektroniczną, popularną. Pierwsza symfonia Brahmsa, wątki z *Rydwanów ognia*, uwertura do *Wilhelma Telia*, muzyka z *West Side Story*. Nigdy nie było wiadomo, co się usłyszy.

Posiłki były w zasadzie lekkie i niemal zawsze wegetariańskie. Ale kiedy się już do tego przywykło, wjeżdżał na stół pieczony kurczak z kukurydzą w kolbach albo rostbef z tłuczonymi ziemniakami. Brugh zazwyczaj wygłaszał nam wykłady, ale czasem przeprowadzał z nami ćwiczenia. Pewnego dnia rozdał nam zeszyty i pudełka z kredkami i powiedział, że możemy albo coś narysować, albo napisać, a mamy wybrać to, co nam najtrudniej przychodzi.

Potem w środku konferencji zapowiedział, że mamy mieć dwa dni postu i milczenia.

Wkrótce stało się dla mnie jasne, że poczucie, iż panuje tu pewien ustalony ład, było złudne. Brugh starannie układał zajęcia w taki sposób, żeby łagodnie wytrącać nas z równowagi. Nie wiadomo było, czego się można spodziewać. Nie można było przewidzieć, co zaraz się zdarzy.

Pewnego ranka powiedział nam, że chce, żeby każdy poszedł na pustynię i szedł nią, póki nie znajdzie jakiegoś kamienia, drzewa czy rośliny, przedmiotu, z którym, jak się mu wyda, łączy go szczególny związek, a potem ma spędzić jakiś czas ze swoim „nauczycielem”, rozmawiać z nim i nauczyć się tego, co ma on do przekazania.

Czytałem o podobnych praktykach uczenia się od martwych przedmiotów sztuki medytacji i uduchowienia. Dlaczego nie? Skoro już tutaj jestem, mogę przerobić cały program.

Wyruszyłem więc na poszukiwanie nauczyciela.

Brugh powiedział, że nauczyciel sam da znać o sobie, my mamy jedynie być wrażliwi na jego głos. Przyglądałem się każdemu kamykowi i krzewowi, i każdemu drzewku, pytając sam siebie, czy to może być mój nauczyciel.

Miałem romantyczny pogląd na to wszystko. Wyobraziłem sobie, jak siedzę godzinami na pustyni



w podniosłym milczeniu, porozumiewając się z moim nauczycielem. Ale nic na pustyni do mnie nie zawołało. Miałem natomiast głęboko tkwiące we mnie uczucie, że mój nauczyciel bynajmniej nie znajduje się na pustyni, ale siedzi w instytucie. Nie była to przyjemna myśl. Wolałbym mieć swego nauczyciela gdzieś daleko. Ten z gmachu projektowanego przez Franka Lloyd Wrighta bynajmniej mi nie odpowiadał.

W zakątku terenu instytutu znajdował się mały pokój do medytacji. Przed nim był mały skalny ogródek, gdzie wśród głązów rosły różne gatunki kaktusów. I właśnie jeden z tych kaktusów, rosnący na skraju, tam gdzie się ten skalny ogródek zaczyna, ilekroć tamtędy przechodziłem, przyciągał mój wzrok.

Wciąż przyciągał mój wzrok.

Nie byłem tym bynajmniej uszczęśliwiony. Skalny ogród jest sztucznie wytworzoną imitacją natury. Już to samo, że mój nauczyciel może się znajdować na terenie instytutu, nie było myślą zbyt ponętną, ale odczuwałem niemal jako zniewagę, że miałby pochodzić z tego sztucznego ogródka. Co więcej, nie podobał mi się ten kaktus. Miał pospolity falliczny kształt i mnóstwo kolców. Ponadto był uszkodzony, miał jakieś wgniecenia z jednej strony. Nie był to bynajmniej jakiś szczególnie piękny kaktus.

Ale wciąż się mu przyglądałem. Tymczasem płynęły dni, inni już odnaleźli sobie nauczycieli, a ja nadal nie miałem. Czuję się jak leniwy uczeń. Zostawałem w tyle za innymi.

Pewnego ranka szedłem do pokoju medytacji i przechodząc obok kaktusa, pomyślałem: Jeżeli ten kaktus ma istotnie być moim nauczycielem, przemówi do mnie.

I kaktus się odezwał:

- Kiedy wreszcie przestaniesz biegać wokół mnie i mówić coś do siebie? - Był rozdrażniony niczym jakiś stary zrzęda.

Właściwie nie słyszałem jego głosu, tylko odniosłem takie wrażenie. W taki sposób, jak niekiedy widząc kogoś, wyczuwa się, co się w nim dzieje. Ale byłem zdumiony, że czuję osobowość kaktusa.

Było to wcześniej rano. W pobliżu nie było nikogo. Więc odezwałem się głośno:

- Czy jesteś moim nauczycielem?

Żadnej odpowiedzi.

- Czy porozmawiasz ze mną? - zapytałem. Rozejrzałem się wokół, by się upewnić, że nikt mnie nie widzi, jak tu stoję i przemawiam do kaktusa.

Kaktus nie odpowiedział.

- Dlaczego do mnie nie mówisz?

Bez odpowiedzi.

To przecież zwykły kaktus. Nic dziwnego, że nie odpowiedział - to tylko kaktus.

Pomyślałem sobie: Już samo to, że przemawiam głośno do kaktusa, świadczy, że źle ze mną. Ale, co gorsza, mam mu za złe, że mi nie odpowiada. To całkiem idiotyczne zachowanie. Za coś takiego zamyka się ludzi w domu wariatów.

A jednak wydawało mi się, że kaktus się nadał. Uraziłem jego uczucia, a może po prostu trudno z nim dojść do ładu.

- Wrócę tu później i pogadam z tobą.

Żadnej odpowiedzi.

Wróciłem później i zacząłem przemawiać do kaktusa. Znowu w pobliżu nikogo nie było. Sterczałem tak godzinę i mówiłem do niego. Kaktus nie odpowiedział mi nawet jednym słowem.

Czułem się zmieszany swoim idiotycznym zachowaniem. Wpadłbym oczywiście w popłoch, gdyby kaktus się odezwał. Ale z punktu widzenia kogoś uprawiającego duchowe ćwiczenia polegające na projekcji własnych myśli na przedmiot nieożywiony, nie radziłem sobie z tym zbyt dobrze, skoro nie umiałem sobie wyobrazić żadnej reakcji ze strony owego nieożywionego przedmiotu. Byłem kiepskim studentem metafizyki, nie umiałem się skoncentrować, miałem ubogą wyobraźnię. Urażałem sam siebie. Podejrzewałem, że inni prowadzą cudowne pouczające pogawędki z kamieniami i z krzakami.

A jednak narastało we mnie przekonanie, że to właśnie ten kaktus jest moim nauczycielem. Choć jest taki wyzywający i irytujący, i milczący, ale jednak to mój nauczyciel.

Postanowiłem go narysować, bo kiedy się coś rysuje, skupia się na tym przedmiocie całą uwagę. Czułbym się jednak mocno zawstydzony, gdyby ktoś mnie przyłapał na tym, że siedzę i rysuję kaktus. Rysowałem go kilkanaście razy. I wiele mi to dało.

Ten kaktus istniał na skraju cywilizacji. Posadzono go tam, gdzie kończy się bruk, jakby miał stać na warcie. Przeniesiono go z naturalnego otoczenia do ogrodu uczynionego ludzką ręką, wystawiając w ten sposób niejako na pokaz całe jego życie. Wbrew własnej woli stał się czymś w rodzaju eksponatu. Był najeżony kolcami, co nadawało mu wojowniczy wygląd. Ten kaktus miał ciężkie życie i był za młodu okaleczony: z jednej strony był pokryty bliznami i zmarniały. Można było poznać, że to uszkodzenie zdarzyło mu się wcześniej, bo ciągle zakłócało jego prawidłowy wzrost. W okaleczonym miejscu kolce były szczególnie gęste, jakby dla ochrony. Jediną strefą jego wzrostu był zielony wierzchołek, cała reszta była tylko świadectwem jego dziejów. Kaktus był cierpliwy; łąziły po nim mrówki, a on zdawał się nie mieć nic przeciwko temu. Był z pewnością dość urodziwy ze swymi czerwonymi kolcami na zielonym tle; zlatywały się do niego pszczoły. Miał wygląd uroczysty, kolce na nim były ułożone w jodełkę. Był to kaktus dostojny. Postrzegałem go jako kogoś wybitnego, milczącego, zachowującego stoicką postawę, kto znalazł się w nieodpowiednim dla siebie miejscu.

Wciąż go rysowałem.

Pewnego dnia, kiedy pojawiłem się obok niego z blokiem rysunkowym i kredkami, kaktus spytał mnie tym samym rozdrażnionym, pełnym wyrzutu tonem:

- Gdzie byłeś?

Zdumiałem się. Nie odzywał się do mnie od pierwszego dnia. A tym razem naprawdę poczułem się tak, jakby do mnie przemówił. Odpowiedziałem:

- Co cię to obchodzi? Nie odezwałeś się do mnie ani słowem. Dlaczego mam tu tkwić na skwarze cały dzień, czekając, aż coś mi powiesz? - Przyjąłem stanowisko obronne. Czułem, że ma mi coś za złe.

Kaktus nie odpowiedział.

Natychmiast pożałowałem swoich słów. A to pięknie! - pomyślałem. Uraziłem go. Po tylu dniach oczekiwania wreszcie się do mnie odezwał, a ja natychmiast na niego napadłem, czując, że muszę się bronić. Teraz już do mnie więcej nie przemówi. Miałem jedyną okazję i straciłem ją.

- Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem.

Żadnej odpowiedzi.

Nie miałem zamiaru prosić go o wybaczenie. Tego już byłoby za wiele, żeby dorosły człowiek miał prosić kaktus o darowanie mu winy. Choć może gdybym to zrobił, on znów by się do mnie odezwał? Naprawdę chciałem wiedzieć, co powinienem zrobić.

- Przebacysz mi?

Żadnej odpowiedzi. Twarda sztuka z tego kaktusa.

No dobrze, może rysując go, dowiem się o nim cośjeszcze. Więc znów rysowałem. I tego dnia widziałem chyba szczególnie wyraźnie jego obrażenia. Wyczuwałem, że zostały spowodowane przez kogoś, kto go kopnął, przechodząc obok - kogoś zamyślnego, kto nie widział, którędy idzie. Kogoś, kto go skłął, kiedy poczuł jego kolce w stopie. Ale kaktus doznał znacznie większych obrażeń niż ten przechodzień.

Zauważyłem, że kaktus przez kilkanaście lat po tym okaleczeniu rósł krzywo, ale potem wyrósł prosto ponad uszkodzonym miejscem i może w nagrodę za swoje udręki stał się silniejszy. Pomyślałem sobie, że może ta doznana krzywda go wzmocniła. Uczyniła go lepszym kaktusem.

Pomyślałem także, że choć kaktus ozdrowiał fizycznie, wciąż był psychicznie nastawiony na obronę i czujny. Sądziłem też, że musi mieć skłonność do ostrych osądów otoczenia. A fakt, że kaktus najpierw mnie do siebie zwabił, a potem odrzucił, nasuwał mi podejrzenie, że jest może nieco rozhisteryzowany. Jego rozwój umysłowy nie dotrzymywał kroku rozwojowi fizycznemu.

Nadleciał jakiś ptak pustynny i kręcił się wokół mnie, kiedy rysowałem. Był to zabawny ptaszek i dobrze się czułem w jego towarzystwie, choć kaktus wciąż nie chciał ze mną rozmawiać. Odtąd ilekroć przychodziłem go odwiedzić, miałem do niego mieszany stosunek. Nie mogłem się oprzeć uczuciu, że kaktus jest przedmiotem mojej projekcji. Ten dostojny kaktus! Wolne żarty! A jednak spędzałem z nim ciekawie czas, postrzegając go jako odrębną ode mnie istotę. I z pewnością coś mnie ciągle do niego ciągnęło.

Brugh nas ostrzegł, że ponieważ nie znamy się dobrze w naszej grupie, może zachodzić między nami zjawisko projekcji. Musimy zważać na to, co czujemy wobec innych, na to, co się nam w nich podoba czy nie podoba, bo te uczucia mogą być skutkiem naszej projekcji i powinniśmy zdawać sobie z tego jasno sprawę.

Po południu często wychodziliśmy na przechadzkę po pustyni. Kiedy wyszliśmy pierwszego dnia, jakaś idąca obok mnie kobieta spytała mnie:

- Czy pan jest zirytowany?
- Nie - odpowiedziałem.
- Czuję, że pan jest bardzo rozdrażniony.
- Ależ nie. - Było mi naprawdę akurat bardzo przyjemnie i byłem w świetnym humorze. Projekcja. To ciekawe. Ta kobieta była najwidoczniej poirytowana. Będę musiał na nią uważać.

Brugh był szczególnie zainteresowany tym, co nazywał „oddziaływaniem energetycznym”. Na drodze medytacji i dzięki doświadczeniu lekarskiemu odkrył, że istnieje pewien rodzaj energii w ludzkim ciele, nieznanym medycynie. Energia ta ma się skupiać w niektórych punktach ciała. Wyznaczył te punkty i później stwierdził, że odpowiadają one z grubsza czakrom, o których mówią nauki jogi.

Wiedziałem co nieco o czakrach. W jodze tantryckiej na przykład istnieje pogląd, że siła życiowa, czyli prana, rozchodzi się po ciele przechodząc przez siedem punktów węzłowych, czyli przez czakry. Są one rozmieszczone wzdłuż pionowej osi ciała. Pierwsze dwie są umiejscowione w brzuchu; trzecia pod żebrami w splocie słonecznym; czwarta nad sercem; piąta w gardle, szósta na czole, a siódma na czubku głowy.

Czakry są uważane za pomosty łączące nasze ciało fizyczne z ciałem astralnym, siedzibą doznań i uczuć. Każda czakra ma własny, charakterystyczny dla siebie kolor i pełni swoje funkcje.

Pierwsze dwie czakry zawiadują podstawowymi funkcjami życiowymi i seksualnością; trzecia poczuciem doczesnego ja - ta jest szczególnie aktywna na Zachodzie; czakra czwarta, ta koło serca, jest źródłem bezwarunkowej miłości; piąta, w gardle, jest związana ze zdolnościami twórczymi; szоста, czyli „trzecie oko”, łączy się z wydzielinami ciała, z intelektem i z wyższym ja; siódma zaś, która stanowi ich ukoronowanie, zawiaduje świadomością kosmiczną.

Powiada się, że ludzie szczególnie wrażliwi mogą widzieć te czakry, zazwyczaj postrzegając je w postaci wirujących świetlistych barwnych plam. Każdą z tych czakr można „pobudzić”, a energię przepływającą między nimi „zrównoważyć”. A jest także pewna szczególnie dynamiczna odmiana tej energii, zwana energią Kundalini, która czasem się rodzi i napawa lękiem tych, co pobudzili swoje czakry.

Tyle domniemań panuje co do czakr, a nawet znacznie więcej.

Głoszone przez jogę pojęcie przepływającej kanałami przez ciało energii nie różni się zbyt od chińskiego pojęcia energii chi rozprowadzanej ciągnącymi się wzdłuż ciała kanałami, w które dokonuje się akupunktury. Byłem przekonany o skuteczności akupunktury, ale nie twierdziłem, że skoro akupunktura jest skuteczna, to jej teoretyczne założenia muszą być poprawne.

I zawsze uważałem czakry za rodzaj metafizycznej ułudy. Oczywiście, może być krzepiąca myśl, że oddychając, wciągamy w siebie siłę życiową, rozprowadzaną później po ciele przez szereg punktów energetycznych. Że może to mieć znaczenie metaforyczne jako pomoc w medytacji, jako sposób wyobrażenia sobie, co zachodzi w nas samych. Ale nie wierzyłem w realne istnienie czakr, tak jak realnie istnieją serce i arterie, i nerwy.

Ale oto znalazł się pewien lekarz twierdzący, że czakry są absolutnie rzeczywiste i że jest poza nimi w ciele wiele innych punktów energetycznych - nad śledzioną, na sutkach piersiowych, w kolanach, w palcach nóg i tak dalej. Że tę energię każdy może łatwo wyczuć. Że można ją także zobaczyć. Że zaburzenia zdrowotne powstają na skutek zakłóceń w przepływie energii cielesnej, że ta energia ma niezwykle zdolności lecznicze. Że można ją przez dotyk czy nałożenie ręki przenosić z człowieka na człowieka.

W to wszystko wierzył Brugh.

Ja, by wyrazić to najdelikatniej, nie byłem o tym zbyt przekonany.

Na początek Brugh oznajmił nam, że na każdym z nas przeprowadzi swoje działania energetyczne. Podzielił nas na dwie grupy. Ponieważ ja znalazłem się w grupie popołudniowej, mogłem podejrzec, co się dzieje na zajęciach grupy porannej.

Cicho grała muzyka. Ludzie mający otrzymać swoją dawkę energii leżeli na stołach do masażu. Asystenci Brugha, którzy poprzednio uczestniczyli w konferencji, dotykali leżących w sposób, który miał uaktywnić ich czakry i ustalić równowagę przepływu ich energii cielesnych. Potem Brugh przechodził od stołu do stołu, pozostając przy każdym około pięciu minut. Wyciągał ręce nad różnymi częściami ciała tego człowieka, a potem ruszał dalej. Kiedy kończył, ludzie leżeli dalej jeszcze przez chwilę, nakryci kocami. Wreszcie się podnosili i wychodzili z sali.

I to wszystko.

Wyglądało to najzupełniej zwyczajnie.

Przewidywałem użycie przemocy, jakiegoś napięcia, potrząsania i szarpania, jakie pokazują uzdrowiciele w telewizji. Ale Brugh spokojnie przechodził od jednej osoby do następnej. A odbiorcy energii nie dyszeli ciężko i nie podskakiwali. Po prostu leżeli sobie na stołach. Nie było zbyt wiele do oglądania przy tym oddziaływaniu energetycznym.

Zauważyłem jedynie, że atmosfera w sali zrobiła się jakby gęsta. Siedząc w tym pomieszczeniu miało się wrażenie, że się jest na dnie słoika z miodem. Tak jakby człowiek się zanurzył w coś gęstego. Było tam spokojnie i przyjemnie.

Nikt nie miał rozmawiać o swoich przeżyciach, więc nie wiedziałem, co się właściwie zdarzyło w pierwszej grupie. Przechadzali się i uśmiechali, i zauważyłem, że pobrawszy swoją dawkę energii, chętnie odłączali się od grupy. Ale nie umiałem powiedzieć o nich nic szczególnego.

Po południu przysła kolej na mnie.

Leżałem na stole, a asystenci trudzili się nad moim ciałem, Zauważyłem, że kiedy lekko dotykali, powiedzmy, mojego kolana czy kostki, po chwili czułem, jakby ktoś położył rękę na tych częściach mojego ciała. Potem, po minucie czy dwu, nagle rozlało się ciepło po dolnej części mojej nogi. Kiedy tylko to się stało, asystenci natychmiast przechodzili do następnej części ciała, powiedzmy, do kolana i biodra - i czekali, aż znów ogarnie je ciepło. Czasem temu uczuciu ciepła towarzyszyło drobne drżenie mięśni, czasem nie. W każdym razie asystenci zdawali się wiedzieć, kiedy to ciepło się rodzi, bo natychmiast potem przechodzili do innej części ciała. Im większe połacie mojej doczesnej powłoki obejmowały ich zabiegi, tym mocniej czułem się odprężony. Niemal zasypiałem.

Ledwie sobie uświadamiałem, że stoi nade mną Brugh. Trzymał ręce o parę centymetrów nade mną. Bił z nich niezwykle żar. Jakby ktoś trzymał nad moim ciałem rozgrzane żelazo. Początkowo nieco mnie zdziwiło to nasilenie ciepła, ale w moim stanie całkowitego rozluźnienia nie zatrzymało to na dłużej mojej uwagi. Wszystko to się działo jakby we śnie.

Po chwili ktoś dotknął mojego ramienia i szepnął, że już koniec, że jeżeli chcę, mogę sobie odejść. Była to pora obiadowa. Podniosłem się ze stołu i wyszedłem na dwór.

Wzdłuż dróżki kwitły oleandry. Wprost wybuchły kwieciami. Za czerwonymi górami zachodziło słońce. Wszystko było skąpane w świetle i tętniło życiem. Powędrowałem między oleandrami i doszedłem do małego placzyku zabaw. Byłem już w instytucie prawie od tygodnia, ten placzyk był tuż przy dróżce, ale dotąd go nie zauważyłem. Usiadłem na huśtawce i kołysałem się naprzód i w tył. Ogarnęła mnie niezwykle błogość.

Zabłądziłem po drodze do jadalni. Kiedy już do niej dotarłem, stwierdziłem, że nie jestem głodny, ale z przyjemnością patrzę najedzenie. Wszystko wyglądało tak ładnie. Mogłem godzinę się wpatrywać w truskawkę, przyglądać się jej barwie i wzorkom, w jakie się ułożyły jej pesteczki. A chleb! Kromka chleba, jeśli się jej dobrze przyjrzeć, to coś zachwycającego. Wszyscy także wspaniale wyglądali, choć nie miałem ochoty na rozmowy. Moje doznania były zbyt osobiste, zbyt przemożne, by je rozmieniać na drobne w rozmówkach.

Uprzytomniłem sobie, że mam na nosie okulary, tę sztuczną zaporę stojącą między mną a światem, więc je zdjąłem. Widziałem bez nich całkiem dobrze i poczułem się znacznie szczęśliwszy bez tej bariery.

Potem zaczęło mi coś świtać w głowie. Przeszkadzają mu okulary. Nie ma ochoty na rozmowę. Nie jest głodny, ale z przyjemnością patrzy na jedzenie. Nie umie trafić w znanym otoczeniu. Odkrywa tuż pod nosem nowe rzeczy. Świat wydaje mu się szczególnie tętniący życiem.

Miałem wszystkie objawy charakterystyczne dla stanów psychodelicznych. A przecież nie brałem żadnych narkotyków. To żywe uczucie trwało we mnie przez dwa dni, a potem powoli zanikło.

Niektórzy zaczęli doświadczać doznań mistycznych. Wiadomości o tym rozchodziły się migiem przy obiadowym stole. Ten a ten miał widzenie. Ta a ta słyszała głosy. W sposób nieuchronny stało

się to przedmiotem rywalizacji. Sam Brugh nam powiedział, że każdy z nas ma swoją własną drogę i że nie powinniśmy porównywać naszych doświadczeń. A jednak porównywaliśmy. Przynajmniej ja porównywałem.

Cóż mogłem na to poradzić? Przyjechałem tu, by zdobyć doświadczenia mistyczne, wszyscy wokół mnie mają nader dramatyczne mistyczne przeżycia - niczym jakieś Joanny d'Arc - a ja nic. Udawałem tylko, że nawiązałem jakiś przypadkowy dialog z kaktusem, i tyle tego.

Byłem zazdrosny. Należy sobie jasno powiedzieć, że przeżycia mistyczne są znakiem łaski Bożej. Każdy o tym wie. A ta łaska na mnie nie spłynęła. Czułem się z tym doprawdy bardzo źle.

Pewnego wieczora, kiedy siedzieliśmy w kawiarni, popijając kawę i pogryzając figowe ciasteczka, Judith, lekarz psychiatra, powiedziała:

- Podczas dzisiejszej sesji widziałam aurę każdego z was.

- Naprawdę? - zapytałem, lekko odsuwając się od niej. Jeszcze jedna osoba mająca mistyczne doznania. Psychiatra oglądający aurę! Też coś.

- Tak. - Judith była uśmiechnięta i rozradowana. - Czy widziałeś kiedy coś takiego?

- Nie - odparłem, całkiem pognębiony. - Jak to wygląda?

- Mają różne kolory. Przeważnie są żółte i białe. Wciąż je widzę.

- Teraz? - zapytałem. - Tu, w kawiarni?

- Tak. Widzę aury każdego z was. Aura Sary jest żółta i różowa. - Judith wskazała siedzącą obok kobietę.

- Żółta i różowa. A jak daleko sięga?

- Jakieś trzydzieści centymetrów nad głową.

Wyciągnąłem rękę nad głowę Sary.

- Dotąd?

- Nie, nie tak daleko.

Powoli obniżałem rękę, przybliżając ją do jej głowy, i nagle poczułem ciepło. Zdumiony wstrzymałem ruch dłoni.

- Tu - powiedziała Judith. - Właśnie tutaj.

Mogłem to wyczuć.

Przesunąłem dłoń nad głową Sary. Wyczuwałem wyraźną granicę ciepła. Było to tak, jakby miała w sobie jakiś niewidzialny grzejnik emitujący ciepło do granicy trzydziestu centymetrów nad jej głową. Przeciągnąłem dłoń po tej granicy i poczułem po lewej stronie jakieś wybrzuszenie.

- Aura sięga nieco dalej po lewej stronie - powiedziała Judith. - Jakby jakiś guz. Tak.

Przeszedłem się po sali, trzymając rękę uniesioną nad ludzkimi głowami. W chwili gdy wyczuwałem ciepło, Judith mówiła: „Tak. Tutaj”. Wypróbowaliśmy to wiele razy z różnymi osobami.

Byłem niezwykle podniecony tym odkryciem, jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Nie myślałem, co robię. Po prostu to robiłem.

Potem zacząłem się zastanawiać, co to wszystko znaczy. Co czuję, kiedy opuszczam rękę? Czy istotnie wyczuwam aurę? Czy w ogóle istnieje coś takiego jak aura? Bo uważałem, że aura to także metafizyczna ułuda.

Ogarnęła mnie podejrzliwość. A może Judith otrzymuje ode mnie wizualny znak i mówi „tutaj”, kiedy widzi, że zatrzymuję rękę na jakiejś wysokości? Więc następnym razem zatrzymałem rękę ponad granicą ciepła.

- No nie - powiedziała. - Dotąd nie sięga.

Spuściłem dłoń niżej, poczułem ciepło.

- Tutaj.

I nagle ogarnęło mnie przerażenie. Pomyślałem: To niemożliwe. Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

Było to niemożliwe, a jednak się działo. Nie wiedziałem, co mam począć z tym doświadczeniem. Nie przypuszczałem, żebym zwariował. Wyczuwałem kontur ciepła tak wyraźnie, jak się wyczuwa wodę w wannie, kiedy się do niej włoży rękę. Wiadomo, kiedy się trzyma rękę w wodzie, a kiedy nie. Nie można się pomylić. To zjawisko fizyczne. Ręka będzie ciepła i mokra, nawet jeśli się nie wierzy w istnienie wanny z wodą przygotowaną do kąpieli.

To, co teraz czułem, było tak samo wyraźne i niedwuznaczne.

Nie miałem jednak pojęcia, co to jest. Wprost szaleńczo pragnąłem to wyjaśnić, ale wiedziałem, że nie potrafię. Więc po prostu zrezygnowałem. Było to zjawisko powtarzalne, którego nie mogłem sobie wytłumaczyć; o ile wiem, nikt nie potrafił tego wytłumaczyć, a jednak było to zjawisko realne. Gdybym, na przykład, miewał niekiedy po obiedzie zaburzenia psychiczne, Judith także musiałaby na to cierpieć, skoro teraz razem postrzegaliśmy zjawiska, które w rzeczywistości nie istnieją.

Nie, nie. To jest rzeczywiste. W porządku.

Coś się załamało w moim sposobie widzenia świata. Musiałem się pogodzić z tym doznaniem, więc się pogodziłem. Myślałem: Może potrafię sobie to wyobrazić później. Tymczasem jednak musiałem z tym żyć.

Podczas wieczornych przechadzek po pustyni jeszcze dwie osoby przy dwóch odrębnych okazjach zapytały mnie, czy jestem zirytowany albo przygnębiony. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego o to pytają. Nikt inny mnie nigdy dotąd nie pytał, czy jestem zły, kiedy po prostu spacerowałem po pustyni. Jeżeli ci ludzie uczynili ze mnie przedmiot swojej projekcji, to robili to w bardzo dziwny sposób. O co tu chodzi?

Zajęcia kursu nadal trwały. Wyznaczono nam ćwiczenia w medytacji. Jednym z nich było przesłanie bezwarunkowej miłości i przebaczenia wszystkim tym w naszym życiu, którym dotąd nie umieliśmy przebaczyć. Mieliśmy sobie ich wyobrazić, jak stoją przed nami, a potem obdarować ich miłością i przebaczeniem, i puścić wolno.

Stwierdziłem, że mam długą listę ludzi, którym winien jestem wybaczenie. Zadziwiające, jak długa była ta lista. Zdziwiło mnie także, kiedy stwierdziłem, kogo z tej listy mógłbym sobie wyobrazić i szybko mu przebaczyć, a z kim będę miał trudności. Kiedy w tych trudnych sprawach próbowałem uporać się z wybaczeniem, myśl gdzieś mi uciekała.

Załatwienie całej listy zajęło mi dobre parę dni. Wszyscy pozostali już dawno przeszli do innych ćwiczeń, a ja wciąż wybaczałem. Myślałem sobie: Ależ zabałagałem sobie życie, nosząc w sobie te wszystkie urazy. Pozbycie się dawnych animozji sprawiało ulgę, ale czasem towarzyszył temu głęboki smutek.

Kiedy stwierdziłem, że umiem wyczuwać aurę, nieco się uspokoiłem, bo okazało się, że ja też mam doznania mistyczne. Potem miałem więcej takich doznań, choć żadne z nich nie było takie, jak sobie wyobrażałem.

Na przykład słyszałem głosy.

Pewnego gorącego popołudnia siedziałem w pokoju medytacji. Obok mnie było paru doświadczonych medytatorów, którzy natychmiast siadali w pozycji lotosu i wyglądali na spokojnych i pogodnych. Do tej pory rzadko oddawałem się medytacjom, a pozycję lotosu uznawałem za nader niewygodną. Wciąż się wierciłem, trudno mi było ją utrzymać.

Nagle usłyszałem huczący głos. Zdawało się, że rozbrzmiewa w mojej głowie, wprawiając w drżenie kości czaszki, a zarazem w pokoju, jakby płynął z wielkiego megafonu. Głos był pełny i dźwięczny, rozlegał się echem jak głos Boga.

Głos powiedział:

- Jill St. John!

Otworzyłem szeroko oczy. Byłem pewien, że inni w pokoju musieli to także słyszeć. Ale wszyscy siedzieli dalej spokojnie w pozycji lotosu i ani drgnęli.

Nikt prócz mnie nie słyszał tego głosu.

Ale co mógł znaczyć? Spotkałem kiedyś Jill St. John, ale jej nie poznałem, a dźwięk jej nazwiska z niczym szczególnym mi się nie kojarzył. Głos nie powiedział: „Idź na zachód, chłopcze” ani: „Napisz do swego kongresmena”, ani niczego takiego, co by miało ręce i nogi.

Pomyślałem więc sobie: No fajnie, słyszałem głos, ale nie mogę o tym nikomu wspomnieć, bo powiedział po prostu: „Jill St. John!” Ale byłem tak podniecony, że słyszałem głos, że jednak się zwierzyłem:

- Wiecie, słyszałem dzisiaj głos.

- Naprawdę’?

- Tak. Był głośny i huczący, i zdawał się wypełniać cały wszechświat.

- To wspaniałe! A co powiedział?

- No... Coś bardzo osobistego.

Pragnąłem także mieć widzenie. Skoro się już znalazłem w tym pustynnym zaciszu, dlaczego bym miał nie zaznać pełni wrażeń, głosów i widzeń? Byłem żądny duchowych doświadczeń. Chciałem ich więcej.

Ale nie miałem widzeń. Siadywałem na pustyni, przyglądałem się mirażom i migotaniu unoszących się w górę warstw gorącego powietrza, ale to nie były widzenia.

Pewnego dnia przy lunchu rozmawialiśmy o tym, że ilekroć mamy do czynienia z działaniem energetycznym, Brugh nalega, żebyśmy zaczynali od wyobrażenia sobie wokół nas ochronnego kokonu albo tarczy dla osłony przed wszelkimi możliwymi skutkami tego działania. Wątpiłem, czy ta obrzędowa osłona ma w ogóle jakieś znaczenie.

Eileen, która zajmowała się działaniami energetycznymi, pochodząca z Alaski, odparła:

- Oczywiście, że ma znaczenie.

- Czyżby?

- Z pewnością. To zabezpieczenie pielęgnuje aurę.

- Co to znaczy: pielęgnuje aurę?

- Nigdy nie pielęgnowałeś swojej aury? - spytała Eileen ze zdziwieniem.

- Nie.

- Ale wiesz, jak to się robi...

- Nie mam o tym najmniejszego pojęcia.



- No wiesz, zdejmujesz z niej wszystko zbędne, co się na niej nagromadziło, a kiedy jest już czysta, to się ją jakby przeczesuje, żeby była ładna i puszysta.

Pomyślałem, że to naprawdę zabawne. Wyobraziłem sobie zakład kosmetyczny przyszłości - strzyżenie, manikiur i przeczesanie aury za jedną cenę. Kosmetyka ery Wodnika.

Eileen chyba kpi sobie ze mnie.

- Stań tu. Zrobię to za ciebie.

- Czy to potrzebne?

Obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem.

- To przecież nie będzie bolało.

To właśnie zawsze mówią w zakładach kosmetycznych. Stałem na środku kawiarni, a Eileen wygięła palce na kształt szponów i przeciągała ręką niczym grabiami w dół o trzydzieści centymetrów od mojego ciała. Tak jakby czesała niewidzialne futro. Po każdym przeciągnięciu otrzepywała rękę i czesała dalej. Wreszcie otworzyła dłonie i coś tam z nich zbierała, tak jakby były pokryte kłaczkami waty, a ona chciała się ich pozbyć. Patrzyłem na to jak urzeczony. Ale istotnie zauważyłem różnicę. Była to jakby kąpiel, poczułem się oczyszczony, schludny... wypielęgnowany. Inni patrzyli na to, krztusząc się ze śmiechu. W końcu ktoś spytał:

- No, Michael, jak to jest, jak się ma wypielęgnowaną aurę?

- Chyba was rozczaruję, ale zauważyłem różnicę.

- No nie!

- Ależ tak!

- Oczywiście, że to odczuleś - powiedziała Eileen. - Zawsze się czuje, kiedy ktoś pielęgnuje aurę.

Wówczas wszyscy w kawiarni zabrali się do pielęgnacji własnej aury. W końcu przestaliśmy sobie żartować z energii ukrytej w ciele.

W połowie konferencji Brugh oznajmił, że będziemy mieli dwa dni postu i milczenia. Nigdy przedtem nie pościłem i z ciekawością czekałem na to doświadczenie. Chciałem także побыć trochę na pustyni, a wiedziałem, że gdyby wydawano posiłki, poszedłbym na nie. Po prostu bym poszedł.

Dwa dni postu i milczenia wydawały się mi wyzwoleniem. I były: spałem na pustyni, wędrowałem po niej i rysowałem. Było mi dobrze, ale poczyniłem kilka niespodziewanych odkryć.

Przede wszystkim - na pustyni mówię do siebie. Kiedy uderzyłem się w palec u nogi albo potknąłem o kamień, wybuchalem potokiem przekleństw i gniewnych pomruków. Nic dziwnego, że ludzie sądzili, iż jestem poirytowany! Wystarczyło posłuchać, jak klnę i narzekam. A ja byłem tego całkiem nieświadomy. Odkryłem, że trudno mi z tym skończyć i chodzić po pustyni w zupełnej ciszy.

Po pierwszym dniu postu obudziłem się o północy na pustyni. Spojrzałem na niebo i zobaczyłem, że wszystkie gwiazdy Drogi Mlecznej pozmieniały swoje miejsca i ułożyły się w jedno olbrzymie słowo, zakończone wykrzyknikiem, wypełniające całą czaszę nieba.

Hej!

Nareszcie mam widzenie.

Byłem podniecony. Pomyślałem: To wspaniałe. To znaczy, że wszechświat patrzy na mnie i mówi mi „Hej!” To znaczy, że jestem zjednoczony z kosmosem i że Wszystko jest Jednością. To bajeczne.

Czekałem, że to widzenie zniknie, ale nie znikło. Spojrzałem na swój śpiwór i potem znów na

niebo. Wciąż mówiło do mnie „Hej!” Byłem bardzo z siebie zadowolony. To taka piękna, trwała wizja.

Potem pomyślałem: niebo wygląda tak dlatego, że spałem obrócony w tym kierunku. Gdybym się odwrócił na drugą stronę, niebo by mi tego nie powiedziało. Powiedziałoby mi „Jeh” z odwróconym wykrzyknikiem na przedzie, jak w pisowni hiszpańskiej. A może takie Jeh wyraża wzdrgliwą obojętność, jak „ech”? Co mnie obchodzisz? Więc może naprawdę mam wizję kosmicznej obojętności?

Z takimi myślami znów położyłem się spać.

Następnego ranka opuściłem swoje obozowisko i poszedłem rysować na pustynię. Po kilku godzinach chciałem wrócić, ale nie mogłem trafić do obozu. Pustynia wokół mnie wydała mi się całkowicie nieznanym miejscem. A wtedy uświadomiłem sobie, że nie mogę odnaleźć także instytutu. Zabłądziłem.

Nigdy mi się to nie zdarza. Mam dobrą orientację przestrzenną. Ale oto znalazłem się sam na pustyni, nie mogąc odnaleźć ani legowiska, ani instytutu. Dopiero po chwili przyszło mi do głowy, że skoro mam góry po lewej ręce, to instytut musi się znajdować po prawej. Wspiąłem się na wzgórze po prawej i zobaczyłem z niego instytut.

Ale gdzie jest mój obóz? Szukałem go ponad godzinę, a kiedy wreszcie go znalazłem, stwierdziłem po śladach moich stóp, że godzinę krążyłem wokół niego, wcale go nie widząc.

Może jednak post silniej na mnie zadziałał, niż przypuszczałem.

Pod wieczór poczułem ogromny przyływ energii. Wprost mnie rozsadzało to poczucie mrowiących się we mnie sił. Działiałem gorączkowo. Rysowałem w notesie i robiłem notatki długo w noc. Wreszcie koło północy położyłem się do snu i leżałem przez jakiś czas całkiem trzeźwy. Pomyślałem: To śmieszne. Chyba nigdy nie zasnę. Więc wstałem i rysowałem, i pisałem jeszcze przez kilka godzin.

To, co zanotowałem pozostając we władaniu tej energii, wydało mi się strasznie głupie. Głównie zajmowałem się kaktusami i nawypisywałem o nich mnóstwo bredni. Napisałem poemat, którego podmiotem lirycznym był kaktus. Napisałem traktat o kaktusiej filozofii. Narysowałem także projekty mody dla kaktusów, historię wierzeń kaktusów, kaktusowy komiks i zbiór powiedzonek kaktusowego prezesa. Wszystko to bogato ilustrowane. Strona po stronie takich głupstw. Późno w nocy.

Następnego dnia wspomniałem komuś, że doznałem takiego przyływu energii. Wypytał mnie o to dokładnie i powiedział:

- Sądzę, że była to energia Kundalini.

Wiedziałem co nieco o energii Kundalini. Jest to groźna, potężna siła doświadczana niekiedy po latach przygotowawczych medytacji przez adeptów jogi.

- Nie, nie - powiedziałem. - To nie była energia Kundalini.

- Skąd wiesz?

- Bo cały czas spędziłem na rysowaniu kaktusowych komiksów.

Uczestnicy konferencji doświadczali wielu niezwykłych przeżyć psychicznych. Ci sami ludzie, na spacerach w pustyni czy w drodze do jadalni, czasem byli radośni i szczęśliwi, czasem przygnębieni, a czasem nawet płakali z jakiegoś powodu.

Niektórzy jednak byli zawsze tacy sami. Jeden facet był zawsze wściekły. Zacząłem go unikać, schodząc mu z drogi, bo zawsze był taki sam. Miał przewrócone w głowie. Jego towarzystwo nie

było zbyt interesujące.

Pewnego wieczora Brugh puścił nam jakiś muzyczny kawałek, którego nie znosiłem. Po prostu nienawidziłem. Uważałem, że to głupia muzyka. Byłem wściekły, że muszę jej słuchać. Ta muzyka wydawała się śmieszna i banalna. Było poniżej mojej godności słuchanie czegoś takiego. Aż się gotowałem, kiedy się skończyła. Wpadłem w szal.

Powiedziałem głośno, co myślę o takiej muzyce. Nie tylko ja uważałem, że jest głupia. Kiedy mówiłem o tym, inni przytakiwali głowami. Miałem rację. Ta muzyka była idiotyczna...

Brugh zwrócił mi uwagę, że to zwykła muzyka, proste następstwo dźwięków, a ja mam do wyboru albo znaleźć w niej coś interesującego, albo irytować się na nią. Powinienem jednak wiedzieć, że mam jakiś wybór.

I rozmowa zesłała na inny temat.

Ale ja wciąż byłem wściekły. Brugh nie wyjaśnił mi moich zastrzeżeń. W rzeczywistości wcale nie zareagował na moje uczucia, wspomniał o nich i przeszedł nad nimi do porządku. Nie mogłem pozbyć się wściekłości. Czułem się dotknięty. Na przerwie, kiedy wszyscy poszli na kawę, wyszedłem sam i płakałem jak nadąsane dziecko.

Złościłem się przez dwa dni. Żaliłem się każdemu, kto chciał mnie słuchać. Byłem przekonany o tym, że mam powód, by się tak wściekać. Wydawało mi się, że wszyscy mi współczują.

A potem zauważyłem, że ludzie mnie unikają. Kiedy mnie widzieli na swojej drodze, skręcali w bok. Pomyślałem: Nie ma żartów. Uciekają od mnie. Stałem się nudziarzem.

I wtedy musiałem zrewidować przekonanie, które dotąd pielęgnowałem, że jestem taki nadzwyczajny, taki wykształcony, że mam taką wysoką pozycję społeczną, że nic mi nie można zarzucić. W końcu potrafiłem wyzbyć się gniewu i znów być w dobrym humorze. A ludzie przestali mnie unikać.

Nigdy nie wiadomo, kiedy uderzy burza emocjonalna. Niektórzy odkryli, że przeraża ich pustynia i nie mogą na nią wejść. Inni nie mogli wytrzymać samotności. Niektórzy nie byli w stanie zabrać głosu przed grupą, nie mogli znieść swego współlokatora w pokoju, nie umieli przestać myśleć o śmiecie zewnętrznym i niepokoiłi się, że nie docierają do nich najnowsze wiadomości. Niektórzy nie mogli się pogodzić z tym, że są zwykłymi członkami grupy - musieli być kierownikami. Niektórzy płakali w czasie tych dwóch dni postu. Niektórzy nie mogli znieść dwóch dni milczenia. Niektórzy musieli siedzieć zawsze blisko Brugha.

Kiedy się widzi, jak różne sprawy trapią ludzi, można stąd czerpać pewną pociechę. Mniej surowo osądza się samego siebie. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Co to za różnica, czy płaczę, bo mi się nie podoba dana muzyka, czy płacze kto inny, bo mu nie wolno jeść w czasie postu? Żaden z nas nie jest z tego powodu lepszy ani gorszy. To tylko przykłady, jak bardzo jesteśmy ogłupiali, jak sami się unieszczęśliwiamy przez nasze wierzenia i przekonania.

Jak gdyby obrona własnych przekonań była ważniejsza od zdobywania nowych doświadczeń i zmagania się z przeciwnościami.

Brugh nadal z nami pracował nad energetyką ciała. Przeprowadzał wiele ćwiczeń uczących, jak wyczuwać czakry, jak rozpoznawać rozmaite sposoby rozchodzenia się tej energii, jak ją przekazywać innym i jak ją od nich odbierać. Okazało się, że to całkiem łatwe.

Jeśli się stanie obok leżącego na wznak człowieka i powoli przesuwając dłonią wzdłuż jego ciała na wysokości trzydziestu centymetrów, można wyraźnie wyczuć ciepłe miejsca. To są czakry. Czasem

czakry wydają się nie tylko ciepłe, ale jakby rozedrgane i dmuchające powietrzem - jak gdyby w ciele były małe wiatraczki wydmuchujące powietrze na dłoń.

Aby wyczuć czakry, należy się odprężyć. Ale nie jest to jakiś szczególny duchowy stan odprężenia. Nietrudno go osiągnąć. Wystarczy się uspokoić na parę sekund, nim się zacznie. Wymaga to akurat tyle skupienia, ile go trzeba, by nawlec igłę.

Większość ludzi stwierdza, że ich jedna dłoń jest wrażliwsza od drugiej. I większość zauważa, że po chwili ręka nic już nie wyczuwa. Muszą wtedy potrząsnąć nią parę razy w przegubie, tak jakby się strącało z dłoni kropelki wody; wtedy wrażliwość powraca. A ponieważ metal przeszkadza przepływowi energii, badana osoba nie powinna mieć na sobie wielkich metalowych klamer u pasa w okolicy drugiej i trzeciej czakry ani metalowego wisiora nad czakrą serca. (Swoją drogą, dziwna to rzecz, że noszone przez nas ozdoby są jakby przeznaczone do tego, by przykrywać nasze czakry: korony, tiary, naszyjniki, wisiory, klamry pasów, wszystkie te rzeczy nosi się tam, gdzie znajdują się czakry).

Znów zauważyłem, że podczas działań związanych z energią powietrze robi się gęste. To bardzo przyjemne uczucie. Tak jakby się siedziało w kuchni, kiedy piecze się chleb. To przyjemność tego rodzaju.

I okazuje się, że wykrywanie energii jest sprawą obiektywną. Dwie osoby mogą badać trzecią i wykryją to samo: trzecia czakra jest gorąca, czwarta nieco przesunięta, piąta chłodna i tak dalej. Można przeprowadzić badania osobno, zapisać wyniki, a potem je porównać. Nie ma tu żadnych wątpliwości. Jest jasne, że ta energia cielesna jest autentycznym zjawiskiem swojego rodzaju.

I po to by je wyczuć, nie trzeba wcale być w szczególnym nastroju. Nie musi się być pogrążonym w medytacjach świętym mężem, nie musi się w to wierzyć. Trzeba tylko uciszyć się wewnątrz i przesunąć dłoń nad czymś ciałem. Energia cielesna jest autentyczna, zawsze występuje, jest tak prawdziwa, że najczęstszą reakcją w naszej grupie było pytanie:

- Dlaczego nikt nam przedtem o tym nie mówił?

Łatwo wyczuć tę energię. Brugh powiedział, że można ją także zobaczyć. Pewnego dnia poprosił nas o zasłonięcie okien, potem rozesłaliśmy na podłodze granatową płachtę, wyciągnęliśmy nad nią ręce i zmrużyliśmy oczy. Wtedy zobaczyliśmy tę energię.

Dziwna rzecz, uświadomiłem sobie, że widziałem już coś takiego jako dziecko, ale nie uwierzyłem wtedy własnym oczom i uznałem to za jakieś złudzenie optyczne. Najłatwiej zobaczyć energię na ciemnym tle przy słabym oświetleniu. Właśnie nasilenie światła jest tu ważne, chyba dlatego mieliśmy zmrużyć oczy.

Energia ma postać pasemek żółtej mgły wychodzących z czubków palców. Przy samych czubkach mgła jest gęsta, a dalej się rozprasza. Wygląda jak żółte kłaczki.

Trzeba się odprężyć, żeby dojrzeć energię, tak jak potrzeba rozprężenia, by ją wyczuć. W stanie roztrzęsienia można jej nie dostrzec, jest bardzo subtelna. Ale - tak jak z wielu innymi dostrzegalnymi rzeczami - kiedy się ją już raz zobaczy, wiadomo, jak ją odnaleźć. Potem znacznie łatwiej ją dostrzegać.

W pierwszej chwili znów uznałem, że to, co widzę, jest swego rodzaju złudzeniem optycznym. Ale inni też mogli zobaczyć energię i mówili o niej, więc nie mogło to być złudzenie.

Kiedy zobaczyłem energię, zacząłem się nią bawić - złożyłem razem palce, tak wyginając dłonie, by mogła się między nimi wytworzyć kulka żółtej energii. Próbowałem różnych rzeczy. Ktoś siedział naprzeciwko mnie. Pomyślałem: Spróbuję wysłać energię do niego.

Natychmiast ujrzałem żółtą mgłę zmierzającą długimi pasmami od czubków moich palców ku piersi tamtego. I wtedy ktoś siedzący obok powiedział:

- Patrz, to poszło prosto w jego pierś.

Wreszcie musiałem uznać realne istnienie energii.

Brugh rozdał nam karty tarota. Odczuwałem wielką niechęć do tej średniowiecznej metody przepowiadania przyszłości. Nie mogłem uwierzyć, żeby lekarz, naukowiec, mógł trwonić nasz czas na te głupie zabobony. Ale Brugh już nam udowodnił prawdziwość swego twierdzenia o istnieniu energii cielesnej, więc postanowiłem poddać się mu w sprawie kart. Powiedział:

- Przejrzyjcie je i wybierzcie sobie tę kartę, która się wam podoba najbardziej, i tę, która się wam podoba najmniej.

Najmniej mi się podobały Trzy Szpady, a najbardziej Magik. Mój wybór wydawał się prosty. Niektóre z tych kart były wyraźnie ładniejsze od innych, a niektóre wręcz brzydkie. To oczywiście kwestia gustu, ale wybór nie jest nieograniczony. Trzeba być prawdziwym dziwakiem, żeby wybrać jako swoją ulubioną kartę Śmierć lub Wisielca albo uznać za brzydką kartę z Kochankami czy z Dziesięcioma Pucharami. Nie dostrzegałem więc możliwości prawdziwego wyboru.

Brugh powiedział:

- Teraz wyobraźcie sobie, że karta, która wam się najmniej spodobała, podoba się wam najbardziej. Powiedzcie, co jest dobrego w karcie, która się wam najmniej podoba, a co złego w tej, która podoba się wam najbardziej.

To odwrócenie upodobań wydało mi się niemożliwe do przeprowadzenia.

Trzy Szpady przedstawiały serce przebite trzema szpadami na tle burzowych chmur i szarego deszczu. Nie mogłem w tej karcie dostrzec nic innego prócz bólu, cierpienia, ran zadanych sercu. W żaden sposób nie potrafiłem jej postrzegać jako dobrej karty.

Siedzący obok mnie próbowali mi pomóc. Ktoś podsunął, że nie widać tu krwi, więc jest to czyste cięcie. Kto inny powiedział, że to karta rozstrzygająca, ukazująca sięgnięcie do samego sedna spraw. Deszcz jest oczyszczający. Trzy szpady pozostają w równowadze. A każda z nich sięga samego środka. Szpady tworzą regularny trójkąt. Karta ma w sobie coś zdecydowanego, daje jakieś poczucie spełnienia. Można ją widzieć jako triumf intelektu nad emocjami, co należy uznać za dobre.

I tak dalej.

Pomyślałem, że zaczynam coś z tego chwytać. Popatrzyłem teraz na swoją ulubioną kartę, na Magika, i próbowałem uznać ją za złą. Karta przedstawiała ubranego na białą młodzieńca, stojącego wśród różnych przedmiotów, dumnie unoszącego w górę pałeczkę. Nad jego głową niczym aureola widnieje znak nieskończoności. Sądziłem, że ta biało odziana osobistość jest potężna i dobra.

Nie mogłem spojrzeć na tę kartę inaczej, nie mogłem jej uznać za złą. I znowu musieli mi pomóc inni. Magik wygląda na młodego żartownisia. Popisuje się swoimi sztuczkami. Nie wydaje się poważny. Wygląda na kogoś zajętego jedynie sobą, dbałego tylko o pozory, nieszczerego. Jego nieskazitelnie biała szata wskazuje, że nigdy nie zaznał uczciwej ciężkiej pracy; po prostu wyczyniał magiczne sztuczki. Jego pałeczka jest w rzeczywistości świecą zapaloną z obu stron, oznaką rozpustnego życia. Znak nieskończoności mówi, że nigdy nie może się zniżyć do życia prawdziwie czynnego. Wszystko to razem wzięwszy, Magik jest beznadziejnym obrazem przewagi formy nad treścią, pozorów nad rzeczywistością.

Słyszając to, nie mogłem się nadziwić, jak mogłem uznać Magika za pozytywną kartę. Miał tyle

negatywnych cech.

Brugh mówił nam, jak ważne jest umieć patrzeć na karty, a także na różne sytuacje życiowe, ze wszystkich stron. Dostrzegać dobro i zło, ale nie sądzić, że rzeczy same w sobie są wyposażone w dobro czy zło. Mówił nam, jak ludzie stają się sztywni, jeśli przywiązują do rzeczy określone wartości.

Potem wyznał, że udostępnił nam te karty tarota po to, by pozwolić nam na swobodną grę podświadomości, kiedy będziemy się przyglądali tym pradawnym wyobrażeniom. Karty same w sobie nie są ani dobre, ani złe, ale sposób, w jaki je postrzegamy, wiele mówi o stanie naszej podświadomości. I na tym polega ich wartość.

Wydało mi się to rozsądne, bo już doszedłem do wniosku, że to podświadomość, a nie świadomość z reguły wyznacza nasze działania. Teraz, patrząc na karty jak na okno otwarte na podświadomość, należało im przypisać taką moc, jaką się przypisuje podświadomości. Jeśli się uważa, że dzięki podświadomości można zajrzeć w przyszłość - a z całą pewnością niektórzy ludzie to potrafią - karty tarota mogą wesprzeć jej siły. Jeżeli się sądzi, że podświadomość odgrywa ważną rolę w analizie psychologicznej, karty tarota są cennym narzędziem w przeprowadzeniu takiej analizy.

Ponieważ niewątpliwie zachodzi związek między działaniem tarota a podświadomością, nie ma znaczenia, do jakiej interpretacji się odwołamy czy też może stworzymy własną interpretację. Jeśli powiemy sobie: „Następna karta, jaką wyciągnę, będzie przedstawiać moje przeczucie przyszłości”, to z samej definicji następna karta to powie, bo podświadomość właśnie tak ją zinterpretuje.

Pogodziłem się zatem z tarotem i posłusznie pracowałem nad kartami, ale nigdy ich nie polubiłem. Wydawały mi się zawsze cudzym snem.

Następnie Brugh wprowadził do naszych zajęć *I Cing*, chińską księgę wróżb, według której rzuca się sześć razy trzy monety, przeprowadza odpowiednią kalkulację wyników i szuka odpowiedniego wersetu w tekście.

Cała procedura liczbowa wydała mi się zbędnie skomplikowana, a kiedy się już przechodziło do tekstu, raczej niewiele to dawało. „Ktoś w istocie go powiększa; nawet dziesięć żółwi nie może temu zapobiec” albo „Trzeba naprawić studnię, nim się wyciągnie z niej wodę”. Trudno było w tym znaleźć jakiś sens.

A jednak mimo tych zastrzeżeń było w *I Cing* coś, co mnie pociągało. Zrazu myślałem, że aspekt matematyczny bardziej do mnie przemawia niż inne rodzaje wróżb. Potem uznałem, że nawykłem do komunikacji werbalnej, a *I Cing* zawiera teksty. A jeszcze później pomyślałem, że po prostu dobrze się bawię, przerzucając kartki tej książki. W końcu uznałem, że wszystkie przyczyny są prawdziwe.

Oczywiście podstawowy mechanizm oddziaływania *I Cing* jest taki sam jak działanie kart tarota - dostarczanie wieloznacznych bodźców do podświadomości. Wróżebne sentencje *I Cing* są równie wieloznaczne jak obrazki na kartach tarota.

Tradycyjne zarzuty wobec *I Cing*, że jego wersety „mogą oznaczać wszystko”, zaczęły nabierać dla mnie sensu. Oczywiście, że te wersety mogą oznaczać wszystko! I właśnie o to chodzi. To ma być szarada do rozwiązania przez podświadomość. Gdyby te wersety były jednoznaczne, nie byłoby tu miejsca na działanie podświadomości. Ich interpretacja byłaby całkowicie świadoma. A i tak pozostaje kwestia wiarygodności: jak chińska księga sprzed dwóch i pół tysiąca lat mogłaby rozwiązywać problemy współczesnego zachodniego człowieka? Sam pomysł jest absurdalny.

Bo oczywiście książka nie może niczego rozwiązać. Książka nie ma takiej mocy. Człowiek musi to zrobić sam. Człowiek może odpowiedzieć na swoje własne pytania. I jeżeli zdobędzie do nich dostęp, to już zna odpowiedzi. I w końcu to podświadomość odpowiada na zadawane samemu sobie pytania, i to dlatego tak wielu ludzi, łącznie z Carlem Jungiem i chińskim uczonym Johnem Blofeldem, uderzyła celność udzielanych każdemu osobiście przez tę księgę odpowiedzi.

Dzięki temu, że *I Cing* i tarot dostarczają dwuznacznego materiału do interpretacji, mogą stanowić pomoc w uzyskaniu dostępu do własnego ja. Tego rodzaju dwuznaczność zawierają w sobie wszelkie formy wróżb z rzucanych przedmiotów czy ze zwierzęcych wnętrzości, z pogody czy z takich zdarzeń jak lot ptaków; można w nich widzieć albo znak wróżebny, albo je zignorować.

I właśnie z tej przyczyny techniki wróżebne wydają się tak sprzeczne z nauką, dla której okazują się niezwykle pomocne.

Pod koniec drugiego tygodnia zacząłem myśleć o wyjeździe. Nie byłem w tym odosobniony. Wielu z nas mówiło o tym, co będą robić po powrocie do domu.

Ja osobiście marzyłem o wielkim hamburgerze. Kiedy tylko skończy się seminarium, odjadę, a po drodze kupię sobie wielkiego, wstrętnego, niezdrowego, nieuduchowionego hamburgera.

Nie mogłem się już tego doczekać.

Ostatniego dnia poszedłem pożegnać się z kaktusem. Kaktus siedział na swoim miejscu. Nie odzywał się do mnie. Powiedziałem, że jestem mu wdzięczny za to, co mi pokazał, i jak miło mi było spędzać z nim czas, co zresztą nie było całkiem prawdą, bo często bywałem rozgoryczony, ale pomyślałem sobie, że jest w tym jednak jakaś część prawdy. Kaktus nie odpowiedział.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że ten kaktus ze swego miejsca nie mógł nigdy obejrzeć zachodu słońca. Od lat tkwi w tym miejscu i jest pozbawiony widoku zachodzącego słońca. Łzy napęłniły mi oczy.

Kaktus powiedział:

- Dobrze było mieć cię obok siebie.

Wtedy naprawdę się rozplakałem.

W drodze do domu nigdzie nie mogłem trafić na McDonalda. Przejeżdżałem wreszcie obok baru Marie Callender. Wszedłem do środka i zamówiłem cziliburgetera i frytki, i coca-colę, i kawałek ciasta. Ale kiedy podano mi jedzenie, wydało mi się za sytne, za tłuste. Nie dokończyłem go. To nie było to, czego mi się chciało.

Po powrocie wstrząsnęła mną uroda mojego domu. Mieszkałem obok plaży w Malibu, ale już od dawna nie stawałem, żeby podziwiać widok, tylko uskarżałem się na ruch uliczny. Teraz byłem zdziwiony, że mieszkam w tak pięknym, zapierającym dech w piersiach miejscu.

W biurze zasiadłem do komputera. Litery na monitorze rozbłyskiwały i gasły jak neonowa reklama. Z początku pomyślałem, że komputer się zepsuł, ale potem zdałem sobie sprawę, że monitor sam się koryguje. Dzieje się tak przez cały czas, tylko nie jesteśmy tego świadomi, tak jak nie jesteśmy świadomi, że żarówka mruga sześćdziesiąt razy na sekundę. Patrzyłem na monitor i myślałem: Istotne spostrzeżenie, ale nie wiem, czy będę mógł pracować przed takim mrugającym monitorem.

Potem się dowiedziałem, że takie postrzeżenie ma zwykle miejsce w następstwie medytacji. Po

paru dniach mi to przeszło.

Przez jakiś czas po powrocie do domu czułem się cudownie ożywiony. Ale potem całe emocjonalne uniesienie tamtych dwóch tygodni opadło. Gdzieś się ulotniło, tak jak ginie cała radość wakacji, kiedy się jest zbyt sumiennym. Czułem się zniechęcony. Właściwie nie zrobiłem żadnego prawdziwego postępu, nie odniosłem żadnych namacalnych korzyści. Działanie energii było prawdą, medytacja była prawdziwa. Ale co z tego, jeżeli nie można utrzymać tego uniesienia i wnieść go do swego codziennego życia? Co to w końcu mi przyniosło? Jeszcze jedno złudzenie. Letni obóz dla dorosłych. Zawracanie głowy idolami Nowego Wieku.

Tymczasem musiałem się zająć praktycznymi sprawami. Dwuletni związek z moją partnerką dobiegał końca. Praca nie dawała mi zadowolenia. Musiałem przenieść biuro. Moja sekretarka aż się prosiła, żeby ją wywalić. Więc ją wywaliłem.

Dopiero znacznie później, kiedy obejrzałem się wstecz, stwierdziłem, że w ciągu ośmiu miesięcy po powrocie z pustyni zmieniłem partnerki, mieszkanie, pracę, sposób odżywiania, zwyczaje, zainteresowania, ćwiczenia gimnastyczne, cele - w istocie wszystko w moim życiu, co tylko dało się zmienić. Te zmiany następowały tak gładko, że nawet będąc w ich centrum, udało mi się nie zauważać, co się dzieje.

I zaszła we mnie jeszcze jedna zmiana: polubiłem kaktusy i zawsze, gdziekolwiek mieszkam, trzymam jakiś kaktus w domu.



## *Jamajka*

W 1982 roku zakończyłem swój dwuletni partnerski związek z Terry, prawniczką pracującą w towarzystwie ubezpieczeniowym w Nowym Jorku i w Los Angeles. Ale po kilku miesiącach rozłąki zeszliśmy się na próbę znowu, a ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, postanowiliśmy wybrać się wraz z gronem przyjaciół razem na Jamajkę.

Wynajęliśmy sobie piękny dom w Ocho Rios, na północnym wybrzeżu. Dom był jak z bajki - położony na wzgórzu, wśród kwiatów i kolibrów ale mimo ciepłej pogody i przyjemnego otoczenia my z Terry w miarę upływu dni czuliśmy coraz wyraźniej, że nadal się od siebie oddalamy. Terry była na mnie zła przede wszystkim za to, że ją porzuciłem, a tu na Jamajce była jeszcze bardziej zła, bo mogła zauważyć, że nasz związek się nie klei i że pewnie znowu się z nią rozstanę.

Nie poruszaliśmy jednak tego tematu. Żyliśmy z dnia na dzień, robiąc wycieczki po lądzie i wypływając łodzią w morze, nigdy nie planując, co będzie po wakacjach, kiedy wrócimy do kraju.

Trochę czasu spędzaliśmy w towarzystwie mojego przyjaciela Kurta i przyjaciółki Terry, Ellen, więc napięcie między nami chwilowo malało. Ale ostatecznie znów zostawialiśmy sami, wakacje miały się ku końcowi i zbliżała się chwila naszego nieuchronnego rozstania.

Przed odjazdem chciałem pojechać na południe do Spanish Town, gdzie, jak słyszałem, było nowo otwarte muzeum dawnego miejscowego rękodziela. Przed wielu laty pracowałem nad książką o siedemnastowiecznej Jamajce i teraz chciałem zwiedzić to muzeum. Terry oświadczyła, że także by chciała ze mną pojechać.

Pewnego pięknego słonecznego dnia wybraliśmy się tam, jadąc na południe szosą przez Góry Niebieskie. Jamajka jest jednym z najpiękniejszych krajów świata, a tego ranka wyglądała szczególnie uroczo. Górską drogą była śliczna, ale kręta, i musiałem prowadzić wóz bardzo uważnie, choć czułem się cudownie. Wkrótce jednak Terry zapragnęła porozmawiać „o nas” i o naszej wspólnej przyszłości. Ja nie chciałem o tym mówić. Wiedziałem, że to może doprowadzić tylko do kłótni. Ale kiedy się temu sprzeciwiłem, Terry uparła się.

- Dlaczego nie chcesz o tym mówić? O co ci chodzi?

Wkrótce wybuchła kłótnia i oboje byliśmy na siebie źli.

Cała rzecz w tym, że Terry nie chciała ze mną zerwać, a ja chciałem.

Nigdy nie mogłem zrozumieć tego szczególnego impasu w związku, kiedy jedna strona już ma go dosyć, a druga utrzymuje, że bynajmniej nie jest z niego niezadowolona. Po prostu nie umiem tego pojąć. Zawsze sądziłem, że jeżeli jedna strona jest niezadowolona, to i druga także musi być niezadowolona. Wydawało mi się niemożliwe, żeby ta druga osoba mogła czuć się naprawdę dobrze w takiej sytuacji.

Na przykład mążus krąży po domu i cały czas zrzędzi, a żonusia mówi:

- Czy wszystko nie jest wspaniałe? Ja myślę, że jest!

Jak może tak mówić? Co jest w tym wspaniałego? Kto by chciał żyć z wiecznie zrzędzącym mężem? Na co on się złości? Dlaczego ona nie reaguje na jego złość? Co się naprawdę między nimi dzieje?

Sądzę, że nic dobrego. Nic zdrowego.

W końcu zauważyłem, że ludzie starają się radzić sobie z trudem rozstania, odgrywając pewne stereotypowe role. Jest rola Porzucającego i rola Porzuconego, jest rola Użalającego się i rola Cierpiącego w milczeniu, jest rola Oskarżyciela i rola Oskarżonego, i tak dalej. Te role nie mają nic wspólnego z tym, co naprawdę się dzieje między ludźmi. Odgrywa się taką rolę zgodnie ze stereotypem znanym z opery mydlanej. To rodzaj psychicznego odpowiednika tanich plastikowych kostiumów, jakie się kupuje dzieciom na Halloween. Te role to taka gotowa konfekcja, nie są dostosowane do indywidualnej sytuacji ludzi, nie są skrojone na ich miarę.

Teraz Terry i ja, jadąc rankiem przez góry do Spanish Town, odgrywaliśmy właśnie taką stereotypową sztukę. Ja zostałem obsadzony w roli Niezadowolonego Mężczyzny, ona grała rolę Kobiety Łagodzącej Niezadowolonego Mężczyzny.

W samochodzie zapadła długa cisza. Krajobraz, który przedtem był tak upojny, wydawał się gęsto zarosłą dziczą. Siedząca obok mnie Terry była posępna i zamknięta w sobie.

Po malowniczym Ocho Rios, Spanish Town zaskoczyło nas nieładem zabudowy i nędzą. To położone na zachód od Kingston skupisko byle jakich bud było biedne, barwne i czaiła się w nim groźba. Nie było tu żadnych turystów, właściwie nie było żadnych białych; czarne twarze patrzące na nas były tępe i wrogie.

Byłem na Jamajce w 1973 roku i spotkałem się wtedy z wrogością wobec turystów. Teraz miałem to samo poczucie. Zatrzymałem się przy stacji benzynowej, żeby napełnić bak. Obsługujący ją mężczyzna podszedł do wozu. Miał kwaśną minę.

- Ładna sztuka - stwierdził, patrząc na zegarek na moim nadgarstku.

- Dziękuję - powiedziałem, natychmiast chowając ramię do wozu. Mój zegarek był to stary plastikowy casio; nie wiedziałem, co w nim takiego ładnego ani dlaczego tak mu się spodobał.

- Do pełna?

- Proszę.

Sięgnął ręką przez okno i strzelił mi palcami przed nosem.

- Kluczyki.

Potrzebne mu były do otworzenia zaworu. Dałem mu kluczyki i odszedł.

- Jezu! - westchnąłem, starając się zapanować nad sobą.

- Ślicznie - powiedziała Terry, kiwając głową. - Prawdziwy przedstawiciel swego kraju.

W czasie kiedy napełniał bak, podeszło kilku wałęsających się w pobliżu czarnych mężczyzn; otoczyli wóz i gapili się na mnie i na Terry. Byli ponurzy i wściekli. Nie odzywali się, tylko obchodzili w koło wóz i się nam przyglądali.

- Na co oni tak patrzą? - spytała zaniepokojona Terry.

- Kto wie?

Jeden z tych mężczyzn kopnął przednią oponę. Inni patrzyli, jak na to zareagujemy. Nie zareagowaliśmy. Po chwili Terry zapytała:

- Chyba nie sądzisz, że coś nam tu się może stać?

- Nie, nie sądzę. - I istotnie nie sądziłem. Ci ludzie, próbując nas zastraszyć, niewątpliwie znajdowali w tym uciechę, ale wątpiłem, by mogło nam się przydarzyć coś złego.

A jednak napięcie nieomylnie wisiało w powietrzu i rad byłem, kiedy posługacz powrócił z kluczykami. Zapłaciłem mu za benzynę i odjechaliśmy.

- Nie mogłeś lepiej wybrać. Czy dlatego chciałeś tu przyjechać? - powiedziała cierpko Terry,

kiedy zatrzymałem wóz.

- Mówiłem ci, chciałem zwiedzić to muzeum.

- Ach tak. Z pewnością o to chodzi.

Terry mogła, gdyby zechciała, przybrać rolę podróżującego ze mną badacza i przyjąć z pogodą wszystkie niedogodności. Ale jest na mnie zirytowana, więc po prostu siedzi z tyłu, nie wspierając mnie w niczym, kiedy ja się wiercę niespokojnie.

W Spanish Town jest mało znaków drogowych, a plan, jaki dostałem w biurze podróży, jest niedokładny, oznaczone są na nim tylko główne trasy przejazdowe. Niekiedy podczas jazdy widzę zielony znak „Muzeum” ze strzałką, ale kiedy jadę w tym kierunku, ulice zataczają pętlę i wracam na to samo miejsce. Nie ma żadnych innych znaków; w końcu widzę inną strzałkę wskazującą, że muzeum jest w przeciwnym kierunku, niż prowadzi ulica, którą właśnie jadę. Na ulicach tłoczą się ludzie, wózki, trąbiące autobusy, płaczące dzieci.

Według mapy muzeum, do którego próbuję się dostać, jest blisko budynków urzędowych, sądu, archiwum, poczty.

Wreszcie przejeżdżam obok białego gmachu w stylu kolonialnym. Czuję, że jestem już blisko.

Przed budynkiem kłębi się tłum czarnych mężczyzn. Jedna ulica jest przejezdna. Ruchem kieruje policjantka. Zatrzymuję się, żeby ją poprosić o pomoc.

- Jechać dalej! Jechać dalej!

- Ale...

- Przejeżdżać, mówię.

Podprowadzam wóz na bok, wysiadam i podchodzę do niej.

- Przepraszam. Zabłądziłem...

- No tak, to jasne - stwierdza irytująco śpiewnym tonem.

Zaciskam zęby.

- Czy może mi pani pomóc? Szukam muzeum.

- Nie ma tu muzeum.

- Ależ tak, jest. Muzeum Towarzystwa Historycznego.

- Jeszcze nie skończone.

- Ale gdzie ono jest?

- Nie wiem. Nie tutaj. Chyba widać.

Przez cały czas kieruje ruchem, nie patrząc na mnie. Jestem gotów ją zabić. Kręcę się przez godzinę po mieście w trudnym ruchu ulicznym, trafiam wreszcie na policjantkę, a ona nie chce mi nic powiedzieć. Wiem, że kłamię. Wyczytałem w przewodniku, że Muzeum Towarzystwa Historycznego ukończono już rok temu. Będę musiał sam sobie znaleźć drogę. Przynajmniej, myślę, niech mi pomoże zorientować się samemu.

- Co to za budynek? - pytam, wskazując palcem wielki biały kolonialny gmach.

- No a co to ma być? To oczywiście sąd.

- Sąd? - pytam z niedowierzaniem. - To dlaczego jest taki obłączony?

- Ci wszyscy ludzie są wezwani do sądu. Czekają na swoją kolej, ale w środku nie ma dla wszystkich miejsca. Niech pan wraca do samochodu i rusza.

Wracam do wozu. Terry czeka na mnie. Wsiadam i zatrząskuję za sobą drzwiczki.

- Cholera jasna - mówię.

- Nic nie szkodzi - odzywa się Terry. - Lester może nam pomóc.

Oglądam się za siebie.

Na tylnym siedzeniu siedzi czarny mężczyzna.

- Halo! - mówi. Wygląda na jakieś dwadzieścia pięć lat, jest wysoki, muskularny i silny.

Wyciąga do mnie rękę na powitanie.

- To jest Lester - przedstawia go Terry.

Odwracam się na siedzeniu, żeby uścisnąć dłoń Lestera, i czuję się bardzo nieswojo z tym obcym człowiekiem w wozie.

- Lester jest przewodnikiem - oznajmia Terry. - Przynajmniej tak mówi.

- Tak jest - potwierdza Lester. - Mogę was zaprowadzić, dokąd tylko zechcecie.

Nie wygląda na przewodnika. Z boku szyi biegnie mu od ucha wielka blizna po cięciu nożem i kryje się pod kołnierzykiem koszuli. Ubranie ma brudne. Czuć od niego wódką.

- Skąd go wzięłaś, Terry?

- Podszedł do wozu, kiedy rozmawiałeś z policjantką, a ja zapytałam, gdzie jest muzeum. Powiedział, że może nas tam zaprowadzić.

Myślę, że jeżeli podszedł do samochodu, to musi być kimś z tłumu ludzi czekających przed sądem. Czekają na rozprawę. Czyli jest kimś, na kogo wygląda, przestępcą.

- To miło ze strony Lestera, że chce nam pomóc - mówię - ale sądzę, że poradzimy sobie sami.

- Naprawdę? - pyta Terry. - Dotąd przez godzinę tylko kręciłeś się w kółko. A może dowiedziałeś się o drogę od tej policjantki?

- Nie - wyznałem.

- Myślę, że jeżeli mamy kiedykolwiek wydostać się z tego zakazanego miejsca, to potrzebujemy przewodnika - mówi Terry. - Chyba że masz zamiar spędzić tu noc?

- Ja was poprowadzę, tak - odzywa się Lester. Mówi cośjeszcze w swoim karaibskim narzeczu, czego absolutnie nie rozumiem. Jest wesoły i przyjacielski, ale mnie się nie podoba. Nie podoba mi się jego blizna po cięciu nożem na szyi. Nie podoba mi się jego zachowanie i nie podoba mi się fakt, że rozsiadł się na tylnym siedzeniu mojego wozu, nim zdążyłem to uzgodnić z Terry.

No, ale jest. Czekają.

- Dobrze, Lester - mówię. - Chcemy pojechać do muzeum.

- Tak, poprowadzę.

- Gdzie jest muzeum?

- Muzeum? - Wygląda na zupełnie otumanionego. - Muzeum? - Potrząsa głową.

- Terry, nie wydaje mi się, by Lester był wykwalifikowanym przewodnikiem.

- Mnie powiedział, że jest.

Myślę: Jezu Chryste, spójrz tylko na tego gościa, którego wpuściłaś do samochodu. Co my teraz zrobimy?

- Uączyiik - rzuca nagle Lester.

- Co takiego?

- Uączyiik - powtarza.

- Włącz silnik - tłumaczy Terry.

- Dlaczego? - pytam.

- Nie możesz pan tu stać - mówi Lester. - Policja pana zapisze, jak pan będziesz tu stał.

Widzę w lusterku policjanta zmierzającego do naszego samochodu. Lester wytropił go już

przedtem i dlatego stał się taki nerwowy. No dobra, myślę. Nadchodzi policjant. Zaraz pozbędziemy się tego Lestera.

Siedzę i czekam.

- Na miłość boską, Michael - mówi Terry - zapal silnik.

- Nie. Ja...

- Co masz zamiar robić? Będziesz tak siedział?

- Myślę.

- O czym? Jedźmy!

- Terry, chciałbym zamienić z tobą parę słów na boku na temat tej sytuacji...

- Chciałeś obejrzeć muzeum, dlatego tu przyjechaliśmy. Lester nas tam zaprowadzi.

- Wygląda na to, że Lester nie wie, gdzie ono jest.

- Wiem, wiem gdzie! - wykrzykuje Lester, nagle ożywiony. - Niech pan rusza i w pierwszą przecznicę skręci w lewo.

- A gdzie jest muzeum? - pytam, wciąż się wahając.

- Niech pan skręci w lewo, a dalej już poprowadzę. Muzeum jest bardzo tuż, tuż, bardzo blisko.

Myślę: To prawda; sądząc z planu miasta, muzeum musi być gdzieś bardzo blisko.

- To tylko dwie przecznice - mówi Lester.

Terry patrzy na mnie wyczekująco.

Myślę sobie: Zaraz tu będzie policjant i będę się mógł pozbyć tego kryminalisty. Ale pozostaje początkowy problem, jak odnaleźć muzeum - z tą Terry obok, wpatrującą się we mnie. A tymczasem Lester chyba sobie przypomniał, gdzie ono jest. Do diabła, podjadę te parę przecznic.

Ruszam i jedziemy przez chwilę. Wiele ulic w tej dzielnicy jest zablokowanych, ale Lester chyba wie, którędy jechać, i prowadzi mnie całkiem sprawnie. Kiedy jacyś przechodnie wchodzą nam w drogę, wychyla się przez okno i krzyczy na nich, a oni na jego widok szybko zmykają. Najwyraźniej ma w sobie coś groźnego.

- Niech pan zatrzyma... Niech pan zatrzyma. Trzeba zaparkować tutaj.

Widzę, że zatoczyliśmy pętlę i wróciliśmy w pobliże gmachu sądowego.

Jesteśmy na jakiejś bocznej uliczce, ale nie widzę nigdzie muzeum.

- Gdzie jest muzeum, Lester? - pytam podejrzliwie.

- Tu, panie - mówi Lester, wskazując palcem na drugą stronę ulicy.

- Gdzie?

- Tu. Właśnie tu. Widzi pan drzwi?

Wtedy dostrzegam małą tabliczkę z napisem „Muzeum” i z godzinami otwarcia. Właśnie wychodzi zza tych drzwi jakaś skandynawska rodzina w lekkich ubraniach, w skarpetkach i sandałach, i siada na schodkach.

Tak. To muzeum. W porządku.

- Dzięki Bogu - mówi Terry, wysiadając z samochodu. Patrzy na mnie oskarżycielsko. - Powiedziałabym, że Lester spisał się bardzo dobrze. Prawda?

Całym swym zachowaniem daję do zrozumienia, że jestem podejrzliwym, pełnym przesądów sukinsynem, a co więcej, nawet nie próbuję uznać, że to właśnie dzięki jej wysiłkom znaleźliśmy wreszcie to przeklęte muzeum.

A ja w istocie jestem trochę zmieszany. Ulżyło mi, że w końcu jesteśmy pod muzeum. I być może pomyliłem się co do tego Lestera.

Ale kiedy wysiadam z mojego miejsca kierowcy i przesuвам siedzenie, aby Lester mógł się wygramolić z tyłu wozu, i kiedy staje obok mnie, zdaję sobie sprawę, że bynajmniej się nie pomyliłem. Lester ma prawie dwa metry wzrostu i jest potężnie zbudowany; ma jeszcze jedną bliźnę po drugiej stronie gardła i dziwny tatuaż na wnętrzu lewej dłoni: skrzynka z X na wierzchu. I chociaż w tej chwili uśmiecha się przyjaźnie, mam wyraźne poczucie, że to podły typ.

Wchodzimy do muzeum. Bilet wejściowy kosztuje dwa szylingi.

- No, Lester - mówię - dzięki za doprowadzenie nas tutaj. - I daję mu dziesięcioszylingowy banknot.

- Nie, nie - mówi, podnosząc rękę.

- Tak, tak - powiadam. - Jesteśmy wdzięczni za pomoc, ale teraz idziemy do muzeum i...

- Nie, nie, idę z wami. Do środka.

- Nie, dziękuję, Lester...

- Tak, tak.

Wtrąca się Terry:

- Zapłać za niego te dwa szylingi i skończmy z tym.

Więc Lester wchodzi do środka razem z nami.

A w środku okazuje się już całkiem jasno, że z Lestera żaden przewodnik. Pierwsza sala zawiera wystawę pojazdów konnych z dziewiętnastego wieku. Pytam o nie Lestera.

- Stare wozy - odpowiada. - Stare drewniane wozy.

Zerkam na Terry. Wzrusza ramionami i odchodzi. Uważa, że Lester jest świetny. Mogę poznać po wyrazie jej twarzy, po jej gestach, że nie podziela mojego punktu widzenia na sytuację.

Chciałbym choćby na parę sekund zostać sam na sam z Terry, by jej szepnąć do ucha, co o tym myślę, ale Lesterowi zawsze się udaje zająć miejsce między nami, tak że nie mogę chwycić jej za ramię i odprowadzić na bok. Bardzo jest w tym zręczny, choć to wszystko odbywa się bez słów. A ta część muzeum jest pusta; nikogo w pobliżu, nawet strażnika.

Zwiedzamy jeszcze kilka sal, a Lester w każdej częstuje nas albo oczywistymi, albo błędnymi komentarzami. Terry wciąż jakby tego nie zauważa.

Wchodzimy na salę, gdzie jest wystawiona porcelana i ceramika. Terry jest tym zainteresowana.

- Lester, czy to oryginalna porcelana angielska?

- Stare talerze - mówi Lester, wskazując gablotę.

- Tak, wiem, ale czy są angielskie?

- Nie, nie są angielskie. Jamajskie. Tutaj znalezione. - I patrzy złym wzrokiem na Terry, jakby tracił już do niej cierpliwość.

Ale tak się z Terry nie postępuje. Przechodzimy do innej sali, a tam już są ludzie, jacyś turyści. Już nie jesteśmy sami. Terry mówi:

- Ten Lester chyba jednak nie jest przewodnikiem.

- Naprawdę? Ja ci powiem, kim on jest. To kryminalista.

- Michael, na miłość boską, ależ ty masz wyobraźnię!

- Tak? A widziałaś jego bliźny? A co robił dziś przed sądem? Zastanowiłaś się nad tym?

- On nie jest kryminalistą - mówi Terry - ale nie jest też dobrym przewodnikiem i powinniśmy się go pozbyć.

- Próbowałem, ale...

- Nie kłóćmy się, po prostu pozbadźmy się go. Dobrze? Rozglądamy się. Lester stoi po drugiej

stronie sali, przyglądając się jakiejś gablocie, ale ze swego miejsca mógł jednak nas dosłyszeć.

Odwraca się z uśmiechem.

- Idziemy?

- Tak - mówi Terry.

Kiedy przechodzimy przez inne sale wystawowe, wszędzie są jacyś ludzie, inni turyści, i czujemy się nieco lepiej. Ale niewiele lepiej.

- Jezu, czy nie ma tu żadnych strażników? - odzywa się wreszcie Terry.

- Nie - mówię. - Nie widzieliśmy żadnego od chwili, kiedyśmy tu weszli.

- Nie ma pieniędzy na strażników - mówi Lester. - Tak samo jak w więzieniu.

- W więzieniu? - dziwi się Terry.

Jest przestraszona. Lester zwraca się tylko do niej, całkiem mnie pomijając. Idzie między mną a Terry. Na niej skupia swoją uwagę.

- Tak, w więzieniu nie ma pieniędzy na strażników, więc nie ma strażników. Więzienie na Jamajce jest bardzo ciężkie.

- Ach tak - mówi Terry. Jest blada. Wprost biała.

- Byłeś w więzieniu, Lester? - pytam.

- Tak.

- Długo?

- Nie. Ostatnim razem tylko sześć lat.

Dla mnie sześć lat to długo.

- Za co siedziałeś? - pytam.

- Za nic - odpowiada Lester.

- Siedziałeś w więzieniu za nic?

Terry patrzy na mnie. Osoba z kwalifikacjami prokuratorskimi nie sądzi, że powinienem prowadzić to śledztwo, ja jednak uważam, że winniśmy ustalić fakty i zastanowić się, co robić dalej.

- Byłeś w więzieniu za nic?

Lester odwraca się ku mnie ze skrzywionymi ustami i chwyta mnie za łokieć.

- Powiedziałem prawdę - parska; czuję, jak pryska mi śliną na twarz. Mówię ci prawdę, mój panie. Nikogo nie zabiłem.

Sześć lat, myślę. To musi być zabójstwo.

Znakomicie!

Patrzę na Terry. Ma oczy szeroko otwarte. Świetnie już rozumie, w co się wplątała.

Ale Lester wciąż mówi, wciąż się broni. Wydaje się jeszcze bardziej poruszony niż my.

- Ostatnim razem tak - mówi. - Ostatnim razem tak, zabiłem go, tak! Przyznaję się, tak. Ale wtedy nie!

- Rozumiem - mówię. Jestem już spokojny. Rozumiem, w czym rzecz, i wiem, co muszę zrobić. Muszę jak najszybciej pozbyć się Lestera. Aby to zrobić, muszę wyszukać jakiegoś policjanta lub przynajmniej znaleźć się w ludzkim skupisku. Rozglądam się po turystach w sali z drukami. Sami starsi ludzie, jacyś Brytyjczycy, żadna z nich pomoc.

- Jak go zabiłeś, Lester? - pytam najobojętniejszym tonem, na jaki potrafię się zdobyć. Mam nadzieję, że powie, iż go zastrzelił, bo widzę, że nie ma przy sobie broni.

- Nożem - odpowiada, kiedy opuszczamy salę druków.

- Nożem?

- Tak. Takim jak ten. - I sięga za pas spodni, wyciągając zza niego olbrzymi nóż sprężynowy. Otwiera go i dźga nim powietrze. - O tak...

- Schowaj to, Lester - mówi Terry.

Lester, łypiąc na nią okiem, chowa nóż z powrotem na brzuchu. Myślę: Zachowaj spokój i pozbadź się go. Ale trudno jest zachować spokój, kiedy się widziało ten nóż. Serce mi wali. I teraz, kiedy już znam fakty, właśnie nikogo obok nie ma. Muzeum staje się nagle puściutkie. Jesteśmy w jego części ogrodowej z eksponatami ze starych cukrowni, jakimiś” wielkimi kamiennymi walcami.

- Wielkie kamienne koła - objaśnia Lester.

- Myślę, że czas już na nas, Lester - mówię. Pamiętam, że przy wejściu stoi strażnik, który sprzedawał nam bilety. Jest już niemłody, ale zawsze to strażnik. I przy wejściu może być także kilku turystów.

- Tak, idziemy. Tędy.

- To nie jest droga do wyjścia - stwierdzam.

- Nie. Wyjdziemy teraz inną drogą.

- Wolałbym wyjść tą samą, Lester.

- Tędy jest lepiej.

- Nie - mówię. - Chcę wyjść tak, jak wszedłem.

Następuje chwila napięcia. Żadne z nas się nie rusza. Zamieramy w milczeniu. Nie sędzę, by Lester wyciągnął swój nóż w muzeum. Myślę, że mogę teraz wymusić na nim swoją drogę. Mogę się uwolnić od Lestera tu w ogrodzie, w pełnym słońcu, przed kamiennym walcem do miażdżenia trzciny cukrowej.

- Na miłość boską, Michael - mówi Terry. - Pójdźmy tak, jak chce Lester.

Jasna cholera! Czy ona nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi?

- Terry...

- No, jeżeli nas dotąd prowadził...

- Terry, pozwól, że załatwię to po swojemu...

- Po prostu chciałam pomóc...

Nie chcę się z nią kłócić przy Lesterze. Widzę, że jest wylękniona, i ze strachu nastawiona pojednawczo. Ale czuję też, że przy Lesterze jesteśmy jak na patelni, którą on w każdej chwili może postawić na ogniu. Gdyby się dobrał do nas gdzieś na ustroniu, mielibyśmy się z pyszna, i dlatego trzeba z tym skończyć. Jej instynkt każe natomiast ciągnąć to dalej.

- Jak wrócimy do samochodu - mówi Terry, kiedy ruszamy - możesz dać Lesterowi jakiś przyzwoity napiwek. - Widać zamierza rozstać się z nim przy wozie. Ale to może okazać się niełatwe.

Idziemy przez boczne zakamarki muzeum i wychodzimy na jakąś pustą uliczkę. Nasz wóz stoi gdzieś koło przecznicy. Wracamy do niego.

- No, było wspaniale. Dziękuję, Lester - mówię, sięgając po portfel. Zamierzam dać mu funta, może dwa funty.

Terry podchodzi do wozu.

- Bardzo ci dziękuję, Lester - mówi.

Lester rozgląda się nerwowo wokół siebie.

- Pojadę z wami - oświadcza.



- Nie, Lester...
- Tak, pojedę. - I pakuje się do wozu.
- Nie, Lester...
- Tak - mówi. - Zawiozę was gdzie indziej.
- My już wracamy.
- To wam pokażę, którądy jechać.
- Sami znajdziemy sobie drogę. Wsiadaj z wozu.

A wtedy odzywa się Terry. Bardzo spokojnie.

- Michael, ja myślę, że on może nam jednak pomóc znaleźć drogę.

Kiedy już mi minęła chęć, by ją zamordować, uświadomiłem sobie, że ona nie wierzy, iż popadliśmy w prawdziwe tarapaty. Jakoś w tym całym napięciu Terry postanowiła nie uznawać, że Lester jest istotnie niebezpieczny, że coś złego może nam się zdarzyć. Wciąż wierzy, że jesteśmy dwojgiem szczęśliwych turystów na wakacjach na Jamajce, i nie dostrzega tego, że znaleźliśmy się w poważnym zagrożeniu.

Rozważam, co mam teraz zrobić. Jestem na pustej ulicy z kryminalistą uzbrojonym w nóż, a moja przyjaciółka siedzi razem z nim w wozie. W tej sytuacji nie byłoby roztropne wdawać się z nim w bójkę. Terry nie wysiądzie, bo jak się wydaje, zamierza go ugłaskać, więc muszę spróbować zrobić coś, co w żaden sposób nie będzie zależne od pomocy Terry - innymi słowy, ruszyć z miejsca, grać na zwłokę i mieć nadzieję na spotkanie policjanta, wypadek uliczny albo jakieś inne wydarzenie, które mi pozwoli uwolnić się od Lestera.

Wsiadam do wozu i ruszam.

Lester za mną radośnie szczyrzy zęby. Wygrał. Siedzi z boku dość daleko za mną, więc nie mogę go widzieć w lusterku. Jedziemy zatłoczonymi ulicami Spanish Town.

To koszmar.

Terry jest bliska hysterii; szczebioce do Lestera o naszym życiu w kraju, o supermarketach, o problemach z parkowaniem; plecie, co jej ślina na język przyniesie. To zupełnie do niej niepodobne.

Prowadzę wóz, rozglądając się za policjantem, wypatrując może zatoru ruchu, który by mi kazał skręcić w boczną uliczkę, gdzie mógłbym wysadzić Lestera. Ale nic nie widzę.

- Masz coś do picia? - odzywa się Lester.

- Nie - odpowiadam.

- Nie? Nic mocniejszego?

- Nie. Chcesz się czego napić?

- Tak. Chcę. Zaraz. - Widząc, że panuje nad sytuacją, zaczyna stawiać żądania.

- Będziemy musieli się zatrzymać przed sklepem alkoholowym - mówię. - Jest tu jeden na lewo. Jedźmy.

Podjeżdżam do krawężnika i wsiadam z wozu. Zostawiam silnik na biegu, bo planuję sobie, że go wypuszczę, a potem wskoczę do samochodu, zatrzasnę drzwiczki i dam gazu.

Lester gramoli się z tylnego siedzenia, potem sięga ręką do kluczyka i gasi zapłon.

- Zostawiłeś wóz na biegu - mówi. Uśmiecha się niewinnie. Staje tuż koło mnie na bruku.

Zdaję sobie sprawę, że tylko na filmach ludzie wskakują do samochodu, wystawiają faceta do wiatru i dają nogę. W prawdziwym życiu, w którym się niestety obecnie znajduję wraz z tym gościem - w prawdziwym życiu to się nie udaje. Nie potrafiłbym dostatecznie szybko wskoczyć do wozu.

W każdym razie on zgasił mi silnik.

Teraz, stojąc obok niego na jezdni, widzę rękojeść noża sterczącą mu zza pasa.

- Potrzebuję pieniędzy - mówi.

Daję mu dwa funty.

- O nie, mój panie. Alkohol na Jamajce jest drogi.

Daję mu pięć funtów. Kiwa głową z uśmiechem.

Czuję wstręt sam do siebie. Wstręt do własnej bezsilności i strachu. Jestem na obrzeżu jakiegoś parszywego miasteczka na Jamajce, a facet, który może jest, a może nie jest przestępcą, który może kogoś zabił, a może nie zabił, który może zechcieć, a może nie zechcieć użyć swego noża przeciw mnie lub Terry, uczynił z nas swoich zakładników, i to w biały dzień, o trzeciej po południu, przed sklepem alkoholowym na rogu ruchliwej ulicy. A ja nie mam pojęcia, co zrobić.

- Wejdz i kup sobie, co chcesz - mówię. - My tu poczekamy na ciebie.

Mówiąc to, czuję się jak skończony idiota. Sam dla siebie nie jestem przekonujący, a już z pewnością nie przekonuję Lestera. Lester zaczyna się śmiać piskliwym, przykrym śmiechem.

- O nie, mój panie. Ja tam wejdę, a ty odjedziesz.

- Ależ nie, nie. Poczekamy tutaj.

Lester z politowaniem kiwa głową.

- Masz mnie za głupca? Wejdiesz razem ze mną.

- Nie, Lester.

- Tak. Wejdiesz ze mną.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Muszę pilnować samochodu.

- To ty zostań, a twoja żona wejdzie ze mną.

- Nie, Lester.

- Tak - mówi, a jego oczy się zwązają. Jest zły. Narasta jakieś olbrzymie napięcie między nami.

Terry na swoim siedzeniu patrzy na nas, słuchając tej wymiany zdań.

Lester zaciska pięści. Myślę, kto może być teraz w tym sklepie i czy w razie gdyby doszło do bitki, ktoś przyszedłby nam z pomocą. Lester szacuje mnie wzrokiem. Czuję, że napięcie wciąż narasta, kiedy on nagle mówi:

- Ładny zegarek.

Patrzy na mój zegarek na ręku. Plastikowy casio. Ja także patrzę.

- Bardzo drogi taki zegarek, prawda?

- Nie tak bardzo.

- Na Jamajce taki zegarek jest bardzo drogi - mówi Lester. - To import.

- Ach tak...

Napięcie ulega teraz pewnemu zelżeniu, bo rozmawiamy o zegarku, co bardzo mi odpowiada. Nagle sam czuję się zainteresowany tym zegarkiem.

- Dasz mi go obejrzeć?

Wyciąga rękę. Jest zupełnie jasne, co zamierza. Jeśli o mnie chodzi, niech go sobie bierze, skoro chce.

- Możesz go sobie wziąć, Lester - mówię.

- Nie, nie. Tylko obejrzę.

- Więc mi go zwrócisz?

- Ależ tak.

Więc w końcu udaję, że dałem się namówić. Zdejmuję zegarek, a Lester wkłada go sobie na przegub ręki i dopasowuje sprzączki. Wskakuję do samochodu, zapalam gaz i odjeżdżam.

We wstecznym lusterku widzę, jak się śmieje i potrząsa głową. Potem wchodzi do sklepu. Wóz bierze zakręt i Lester ginie nam z oczu.

A ja sobie myślę: I tak baterie były już niemal na wyczerpaniu.

Wracamy przez góry do Ocho Rios. Przestałem się już trząść jak w gorączce, teraz jestem wściekły. Naprawdę wściekły. Terry próbuje mnie uspokoić.

- Kupię ci nowy zegarek, Michael. Przecież to był tylko casio.

- Nie o to chodzi.

- No to o co? To zwykły zegarek.

- Terry, sama to powiedziałaś, byłaś wystraszona.

- Trochę się wystraszyłam. Ale nie za bardzo. Nawet nie pomyślałam, że może nam zrobić coś złego.

- Chyba jednak tak, sądząc po twoim zachowaniu.

- No tak, nie byłam pewna, Powiedział mi, że jest przewodnikiem. Terry jest jedną z najinteligentniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem, ale jeśli to jest jej na rękę, potrafi się zachować jak skończony tuman.

- Terry, przecież było jasne, że nie jest przewodnikiem. Co ci, do diabła, przyszło do głowy?

- Chciałam ci pomóc. Potrzebowałeś pomocy.

- Jezu Chryste! Najgorsze, co można było zrobić, to zadać się z takim facetem!

- Masz rację - mówi Terry. - To było całkiem głupie. Masz rację. Przyznaję.

- Zachowujesz się teraz jak prawnik. Nie próbuję wygrać sprawy. Próbuję zrozumieć.

- Przecież przyznałam, że masz rację, i obiecałam, że kupię ci nowego casio. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

- Po prostu nie rób tego więcej.

Patrzy na mnie, jakbym oszalał. Powoli coś zaczyna jej świtać w głowie.

- Sądysz, że zrobiłam to umyślnie?

Oczywiście tak właśnie uważałem. I znów wybuchła o to między nami straszna awantura - o to, czy zrobiła to celowo.

Uważam postępowanie za celowe, niezależnie od tego, czy cel jest uświadomiony, czy nie. Ludzkie zachowanie nie jest przypadkowe; zawsze daje się zanalizować pod kątem jego celu. I wydawało mi się, że Terry umyślnie wprowadziła jakiegoś mężczyznę w nasze życie, żeby mi dokuczyć. Albo jeszcze gorzej.

Terry wciąż obstawała przy tym, że Lester z pewnością nie zrobiłby nam nic złego, że to była tylko czcza gadanina i popisywanie się tym, co nazywała „tym jego nożem”.

Ale zagrożenie było prawdziwe; następnego dnia „Daily Gleaner” doniósł, że znaleziono ciała dwóch niemieckich turystów w parę dni po ogłoszeniu ich zaginięcia podczas wycieczki do Spanish Town. Gazeta nie wspominała, w jaki sposób ci ludzie zginęli, ale z całej opowieści wynikało, że zabłąkali się w dzielnicy, której turyści zazwyczaj nie odwiedzają.

Pokazałem ten artykuł Terry. Odłożyła gazetę na bok bez słowa. Nigdy już nie rozmawialiśmy

o przygodzie z Lesterem. Po powrocie do domu spytała mnie, czy chcę, by mi odkupiła zegarek. Powiedziałem, że nie chcę.

Ale ja także uczestniczyłem w tym epizodzie i przez następne tygodnie próbowałem zrozumieć swoje zachowanie - a szczególnie dlaczego, kiedy zobaczyłem Lestera w samochodzie, nie wezwałem od razu policjanta, nie wyrzuciłem intruza ze swojego wozu pod okiem władzy i nie pojechałem dalej własną drogą.

Rozważywszy całą sprawę, odniosłem wrażenie, że byłem bierną ofiarą przygody z Lesterem. Pozwalałem, by się ciągnęła, byśmy wciąż tkwili w tej niebezpiecznej sytuacji. Dlaczego? O wszystko, o co oskarżałem Terry, mogłem oskarżyć także samego siebie. I im głębiej się nad tym zastanawiałem, tym mocniejsze odnosiłem wrażenie, że Terry wpakowała mnie w tę sytuację, żeby zrobić mi na złość, a ja ją przedłużałem, żeby udowodnić, jaka Terry jest nieodpowiedzialna i że źle postąpiła. Oboje wpakowaliśmy się w niebezpieczną sytuację, by sobie dopiec.

Zdawało się to potwierdzać, jeśli jakieś potwierdzenie było jeszcze potrzebne, że nasz związek miał niezdrowe, neurotyczne podstawy. Sądziłem, że po powrocie do Kalifornii zerwę z Terry raz na zawsze. Może nawet już na lotnisku, zaraz po przejściu przez kontrolę celną. Chciałem jak najszybciej od niej uciec.

Nie rozeszliśmy się jednak. Nadal się widywaliśmy przez całą wiosnę. Byliśmy nieszczęśliwi. Wciąż myślałem: po co to ciągnąć?

Nie było na to odpowiedzi. Ten nieudany związek po prostu trwał. Nie potrafiłem go zerwać, tak jak nie umiałem się pozbyć Lestera - i z tego samego powodu: czy się do tego przyznawałem, czy nie, byłem uwikłany. W końcu po prostu się poddałem i czekałem, aż umrze śmiercią naturalną. Ale on nie umierał.

Ostatecznie w kwietniu wybraliśmy się na krótki wypad do Meksyku. Terry oświadczyła, że nie podoba się jej hotel i nie podoba się jej sposób, w jaki ja się zachowuję. Była odęta i wściekła.

I wtedy coś się zdarzyło, coś po prostu trzasnęło - wycofałem się psychicznie, oderwałem się od niej, dałem jej spokój. Postanowiłem być szczęśliwy, mimo iż ona jest taka zła i odęta.

Więc byłem szczęśliwy. Ale nie było to wcale takie łatwe. Czulem się jakoś niezręcznie. Czulem się jak ktoś, kto z apetytem pałaszuje obiad, smakowicie się obлизuje, zajada, aż mu się uszy trzęsą, a naprzeciw niego siedzi ktoś głodny, kto patrzy na niego oskarżycielskim spojrzeniem.

W tych okolicznościach, kiedy Terry była taka nieszczęśliwa, wymagało ode mnie wielkiego wysiłku czuć się szczęśliwym.

Zmienialiśmy hotele, ale ona wciąż była nieszczęśliwa - przez całe cztery dni milcząca i ponura podczas posiłków. Ciężko pracowałem nad sobą przez cały czas, żeby pozostać szczęśliwym, żeby się na nią nie wściekać, żeby nie dołączyć do jej ponurego nastroju. Było to tak, jakbym przez cały dzień szedł z nią w zawody. Wkładałem ogromny wysiłek, by utrzymać dobry humor i się nie poddać.

Dla zachowania wewnętrznego spokoju każdego ranka wstawałem wcześniej i przez godzinę oddawałem się medytacji. Czwartego rana wyszedłem o wschodzie słońca na plażę, by tam pomedytować. Terry obudziła się i też wyszła na plażę. Zobaczyła mnie, podbiegła, a ja, wciąż pogrążony w spokojnej zadumie, odwróciłem się i zauważyłem, że się zbliża z twarzą wykrzywioną złością, napięta i urażona, i nagle naprawdę ją zobaczyłem. W całkowitym oderwaniu od tego, czego od niej chciałem, od tego, jak na mnie wpływała, jak bardzo mnie zawiodła. W całkowitym oderwaniu od siebie samego. Po prostu ją zobaczyłem. Inną osobę, całkowicie ode mnie oddzielną. To było zdumiewające.

Terry musiała także coś zobaczyć w mojej twarzy, bo zatrzymała się w biegu. Popatrzyła na mnie przez chwilę, a potem się odwróciła i poszła z powrotem do hotelu. Kiedy patrzyłem, jak odchodzi, pomyślałem: To już naprawdę koniec.

Bo ta chwila - chwila, kiedy zobaczyliśmy się wzajem, kiedy wszystko znieruchomiło na piaszczystym brzegu - była prawdziwą chwilą rozłąki i oznaczała kres naszego związku. Nie było to żadne wielkie wewnętrzne objawienie. Po prostu... coś się zmieniło. Coś zostało dostrzeżone. Miesiąc później rozstaliśmy się na dobre.

## *Okaz ludzkiej świetlistości*

Linda ma w sobie wielką siłę - opowiadała moja przyjaciółka Kate. Podczas medytacji żarzy się kolorowo. Powinieneś ją zobaczyć. Ona jest okazem ludzkiej świetlistości.

Kate była młoda, naiwna. A przyjaciółka Kate, Linda, mieszkała w San Diego, dwie godziny drogi samochodem od Los Angeles. Łatwo było odłożyć tę wizytę na później.

Wreszcie któregoś dnia Kate powiedziała:

- Jutro jadę odwiedzić Lindę. Pojedziesz ze mną?

Miałem nazajutrz wolny dzień. Nieźle będzie wyrwać się z miasta.

- Oczywiście - zgodziłem się.

Po drodze Kate powiedziała mi, że Linda ma koło trzydziestu lat i jest nauczycielką w San Diego. Zaczęła oddawać się medytacjom dopiero rok temu i jest w tym naprawdę bardzo mocna. Już zaczynają do niej schodzić się ludzie po poradę. Biedna Linda nie wie, co z tym zrobić; źle się czuje w roli guru, wolałaby żyć po swojemu. Nie bierze pieniędzy za seanse, ale Kate uważała, że w końcu zaczną brać. Sądziła, że Linda powinna rzucić posadę i zostać wyłącznie medium. Wyglądało na to, że to bardzo interesująca osoba.

Co więcej, Kate powtórzyła, że medytacja z Lindą to znaczące przeżycie, bo Linda świeci wtedy różnymi kolorami. Czasem zdarzają się także inne rzeczy. Niekiedy pojawia się jako osoba w innym wieku, bardzo stara albo bardzo młoda. Czasami znika jakaś część jej ciała. Czasem jej ciało zdaje się skręcać i poruszać. Ludzie medytujący wraz z Lindą doznają rozmaitych wrażeń wzrokowych.

Słuchałem tego z rezerwą. Ale wkrótce miałem sam zobaczyć.

Linda zajmowała jakieś niedające się bliżej opisać mieszkanie przy Mission Bay Road niedaleko plaży w San Diego, obwieszane zdjęciami, które robiła na całym świecie w czasie wakacji, bo tak jak ja, była zapaloną podróżniczką. Zobaczyłem uśmiechniętą, nieśmiałą, sympatyczną kobietę. Powiedziała, że chce medytować z każdym z osobna. Ja wszedłem pierwszy.

W przyległej sypialni Linda usiadła pod ścianą, ja przy łóżku i zaczęliśmy. Od dwóch lat, od czasów seminarium Brugha Joya, nie oddawałem się medytacjom. Zamknąłem oczy, by się skupić, oderwać od dobiegającego tu zgiełku, ruchu ulicznego, klaksonów samochodowych, głosów przechodniów.

Nagle poczułem falę ciepła, jakby ktoś w pokoju otworzył drzwiczki do rozpalonego pieca. Rozpoznałem to samo spokojne, miłe poczucie, jakiego doznałem podczas oddziaływania energetycznego u Brugha. Ale wtedy była nas cała grupa. Czy ona sama mogła to wytworzyć?

Otworzyłem oczy.

Linda siedziała ze skrzyżowanymi nogami, wpatrując się we mnie. Nie widziałem kolorów, ale wyczuwałem zagęszczenie atmosfery wokół niej, a nasilenie ciepła wypełniającego pokój było wręcz zadziwiające. Natychmiast wprowadziła mnie w głęboki stan medytacji. Czułem, że się rozprzestrzenia jak nadmuchiwany balon. Było to cudowne, napełniające spokojem uczucie. Linda patrzyła na mnie. Ja patrzyłem na nią.

Twarz Lindy nagle poszarzała. W kilka sekund już nie mogłem dostrzec jej rysów. Znikł gdzieś jej nos, oczy, usta. Tak jakby ktoś naciągnął jej na twarz szarą pończochę. Siedziała wciąż w tym samym miejscu, ale nie mogłem już dostrzec jej twarzy.

Zacząłem mieć trudności z dostrzeżeniem jej lewego ramienia, a potem całej lewej strony jej ciała. Ale prawą wciąż widziałem wyraźnie. Było to fascynujące i nie budziło we mnie najlżejszego lęku. Tak po prostu się działo.

Nagle znów zobaczyłem ją całą. Ale równie nagle zacząłem oglądać zjawisko stroboskopowe. Linda pojawiła mi się jaskrawo oświetlona, a ściana za nią poczerniała. Potem ona poczerniała, a ściana za nią stała się biała. Ten obraz ukazywał mi się przemiennie w równym pulsującym rytmie. Jak oddychanie.

Pulsowanie ustało i na chwilę wszystko wróciło do normalności. Wtedy zobaczyłem, że jej twarz się starzeje, policzki wiotczeją, szczęka opada, oczy mętnieją, włosy pokrywają się siwizną. Przez parę minut siedziała tak posmutniała i stara. Potem to wszystko minęło.

Następnie jej ciało zaczęło się marszczyć po lewej stronie. Tak jakby była wodą, po której przeszła fala. Te zmarszczki przebiegały po niej przez jakiś czas. Miałem możliwość się zastanowić, skąd pochodzi to złudzenie od niej czy ode mnie? - i jak można by je wyjaśnić. Czy to następstwo stanu głębokiej medytacji? Czy to coś, co ona powoduje? Czy to tylko sugestia, na którą ja tak reaguję?

Nagle Linda się odezwała:

- Nie masz wyboru.

Milczałem.

- Musisz zdać sobie sprawę, że nic ci nie pomogą żadne narkotyki, żadne wyprawy do innych miejsc świata, nikt, z kim byś mógł wejść w ściślejsze związki. Nic z tego nie doprowadzi cię tam, dokąd chcesz iść. To, czego szukasz, nie znajduje się nigdzie na zewnątrz. Musisz przestać tam tego szukać. Musisz wejść do wewnątrz.

Brzmiało to banalnie, ale sposób, w jaki to wypowiedziała, nadał całej sprawie jakiegoś nowego znaczenia. W każdym razie ja już od dawna wiedziałem, że słowa są zawsze takie same, chodzi tylko o to, czy się umie je usłyszeć. Cała rzecz polega na tym, by znaleźć kogoś, kto potrafi dotrzeć do człowieka.

W Lindzie, nauczycielce, której życie się przewróciło jak kręgle na pochyłym blacie, było coś, co kazało mi słuchać. I było coś krzepiącego w tym spokojnym cichym, ciepłym poczuciu, jakie mi dawała medytacja obok niej. Było mi z tym dobrze.

Potem poszedłem na obiad z Lindą i z kilkoma jej przyjaciółmi, młodymi ludźmi, którzy medytowali wraz z nią. Wszyscy byli pod wrażeniem doznań wzrokowych, jakich dostarcza Linda. Ciągle się o tym mówiło. Tymczasem ja myślałem, że ten pokaz świetlistości jest efektem ubocznym. Byłem znacznie bardziej pod wrażeniem tego, co zaszło w jej życiu, zmian, jakie się w nim dokonały, pytałem sam siebie, jak to się stało i jak ona sobie z tym radzi. Bo kiedy się widzi choćby nawet mniej doświadczoną osobę, przypomina się sobie, że człowiek zawiera w sobie nieskończony zasób możliwości, że umiejętności można rozwijać i że każdy musi się nauczyć tego, co robi. Więc ilekroć widywałem Lindę, zawsze czułem wdzięczność za to, że miałem okazję oglądać, jak się rozwija i wzrasta, oddana swemu nowemu zadaniu.

## *Oni i one*

W 1983 roku, po więcej niż dziesięciu latach spędzonych w małżeństwie lub w nieformalnych związkach, znów byłem wolny. Mogłem teraz nagle korzystać z wielu możliwości. Prawdziwym dla mnie wstrząsem było odkrycie, jak wiele to zmienia w moim życiu.

Jadłem lunch w restauracji z moim agentem, kiedy podeszła do nas jakaś kobieta, rzuciła na stolik swoją służbową wizytówkę i powiedziała:

- Niech pan do mnie zadzwoni. - Potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Była ładna, ubrana w kostium, nie miała chyba jeszcze trzydziestu lat.

- No, no - powiedziałem. Nigdy dotąd się nie spotkałem z podobnym zuchwalstwem.

- To nowy świat - westchnął mój agent, kręcąc głową.

Było to ekscytujące, ale trochę mnie zdenerwowało, więc nie zadzwoniłem od razu do tej kobiety. Wreszcie wzięła górę ciekawość i przez telefon umówiłem się z nią na spotkanie.

Spotkaliśmy się w japońskiej restauracji. Andrea miała dwadzieścia osiem lat. Pracowała w firmie handlującej nieruchomościami, gdzie zajmowała dość wysokie stanowisko w administracji. Miała ambicje i określone plany: już sobie obmyśliła, jak długo będzie pracować w tej firmie, kiedy z niej odejdzie i co będzie robić dalej.

Nie zadawała mi zbyt osobistych pytań, szczególnie się mną nie interesowała, tylko tym, gdzie mieszkam i czy to blisko od tej restauracji. Podczas obiadu wierciła się niespokojnie. Nie mogłem zrozumieć dlaczego.

Kiedy po posiłku spytałem ją, czy chce kawy czy herbaty, pokręciła głową.

- A może wypijemy ją u ciebie?

Wtedy zrozumiałem jej niecierpliwość, jej brak zainteresowania tym, co miałbym jej do powiedzenia. Zaganiała mnie do sypialni. Andrea traktowała mnie tak, jak ponoć mężczyźni traktują kobiety - jako przedmiot pożądania seksualnego.

Kiedy znaleźliśmy się u mnie w domu, oświadczyła, że nie chce kawy ani herbaty, chce natomiast obejrzeć mieszkanie; zajrzała do łazienki i zobaczyła jacuzzi.

- Ładne jacuzzi - oświadczyła i zaczęła się rozbierać. - Wejdiesz ze mną?

Sprawy potoczyły się bardzo szybko. Miałem przedziwne poczucie, że muszę się starać jej dorównać, dostosować się do nowego tempa lat osiemdziesiątych. Wydawało się, że ledwie usiedliśmy w jacuzzi, a już znaleźliśmy się w łóżku, a ledwie znaleźliśmy się w łóżku, ona już wstała i zaczęła się ubierać. Ja wciąż leżałem i ku swemu zdumieniu usłyszałem własne słowa:

- Kiedy cię znowu zobaczę?

- Zadzwonię - powiedziała, zapinając pasek spódnicy.

Zdawało mi się, że się ubiera z niezrozumiałym pośpiechem. Czy ma po mnie jeszcze jedną randkę?

- Musisz już iść?

- Tak. Nie cierpię tak się popieprzyć i od razu uciekać, ale... mam ciężki dzień jutro. Muszę odpocząć.



Leżałem więc w łóżku i kiedy się tak ubierała, czułem się z każdą chwilą gorzej, i zaraz pomachała mi ręką na do widzenia. A potem usłyszałem trzask zamykanych drzwi i jej wóz ruszający z podjazdu. Pomyślałem: Zostałem wykorzystany.

No tak, na ponad dziesięć lat wypadłem z kursu. Mój przyjaciel David żył samotnie przez cały ten czas. Kiedy następnym razem grałem z nim w tenisa, opowiedziałem mu o tym swoim przeżyciu, które wciąż wprawiało mnie w zakłopotanie - Też to znam - powiedział. Kiedy się pyta: „Kiedy cię znów zobaczę?”, a po jej odejściu człowiek czuje się wykorzystany...

- Tak - poświadczyłem. - Istotnie czułem się wykorzystany. Uwiedziony i porzucony. Coś takiego.

- Wiem. - David pokiwał głową. - To nowy świat. Wszystko się zmieniło. Według Davida feminizm i rewolucja seksualna spowodowały odwrócenie tradycyjnych ról płci.

- Zauważ - powiedział - wszyscy moi przyjaciele chcą się ożenić i założyć rodziny. A kobiety nie chcą. Mężczyźni chcą mieć dzieci. Kobiety nie chcą. Mężczyźni chcą trwałych związków. Kobiety chcą szybkiego stosunku seksualnego, żeby móc zaraz odejść i zająć się własną karierą.

Dla uwyrażnienia tej swojej teorii odwrócenia ról David wynalazł specjalny termin dla kobiet zachowujących się jak Andrea: „żeński *macho*”. David uważa, że ostatnie lata stworzyły kobietom okazję, by mogły zachowywać się jak mężczyźni, ale przejmując pewne tradycyjne formy męskiego zachowania niekiedy je modyfikują, nie rozumiejąc, co się pod nimi kryje.

- Tylko popatrz - mówił. - Kiedy mężczyzna podczas przygody jednej nocy zachowuje się romantycznie, kobiety uważają, że to hipokryzja. Więc tego nie chcą. Kiedy kobieta chce mieć przygodę jednej nocy, jawnie to okazuje. Bęc! Żadnych złudzeń! Ale to nie dlatego, że chce być uczciwa wobec mężczyzny. To raczej brutalność. Bo, mówiąc szczerze, mężczyźni są romantykami. Nam potrzebny jest romans.

Siedzę oto w szatni ze swoim przyjacielem Davidem, który był hollywoodzkim kawalerem przez ponad dwadzieścia lat, romansował z wieloma modelkami i aktorkami, i przyjaźnił się z ludźmi prowadzącymi agencje modelek - a ów David, oblatany światowiec, mówi mi, że to mężczyźni są romantykami, nie kobiety.

- Nie, nie, nie, Davidzie - zaprotestowałem. - Kobiety są romantyczne. Kobiety chcą dostawać od nas kwiaty, słodycze i takie tam rzeczy.

- Nie, nie chcą - odparł David. - Kobiety chcą szacunku i podziwu mężczyzny. A wiedzą, że kwiaty od mężczyzny są oznaką szacunku. Ale na kwiatkach im nie zależy. Wszystkie ich westchnienia, ochy i achy, są tylko dla nas na pokaz. Nie mają takich romantycznych uczuć, jakie przypisują im mężczyźni. To mężczyźni mają romantyczne uczucia. Kobiety są znacznie bardziej trzeźwe i praktyczne.

Nie mogłem się z nim zgodzić.

- No dobrze - powiedział David. - Siedzimy tu w szatni, prawda?

- Prawda.

- Czy kiedykolwiek w szatni rozmawiałeś o kobietach, no wiesz, tak jak kobiety myślą, że rozmawiamy, opowiadając o wszystkich szczegółach randki poprzedniej nocy?

- Nie - odpowiedziałem. - Nigdy.

- Ani ja - zapewnił David. - A czy cię kiedyś jakaś kobieta oskarżała o prowadzenie takich rozmów?

- Tak, oczywiście. - Nie mogłbym wyliczyć, ile razy kobieta mi mówiła, żebym nie opowiadał

o niej swoim przyjaciółom.

- Wiesz, dlaczego kobiety sądzą, że prowadzimy takie szczerze rozmówki? Bo one same tak robią. Kobiety mówią ze sobą o wszystkim.

Wiedziałem, że to prawda. Już dawno się dowiedziałem, jak otwarte są kobiety między sobą i jak są skłonne przypuszczać, że mężczyźni są tacy sami, podczas gdy, o ile mogę sądzić, mężczyźni zachowują w tych sprawach daleko idącą dyskrecję.

- Widzisz - ciągnął dalej David - każda płć przypisuje przeciwnej swoje własne cechy. Kobiety zatem uważają, że mężczyźni są bezwstydnie otwarci, a mężczyźni sądzą, że kobiety są romantyczne. W końcu rodzi się stereotyp, którego nikt nie podważa. Ale w istocie jest całkiem inaczej.

David upierał się przy swoim poglądzie: kobiety są silniejsze, twardsze, bardziej pragmatyczne, bardziej zainteresowane pieniędzmi i zapewnieniem sobie bezpieczeństwa, bardziej skupione na realiach każdej sytuacji. Mężczyźni są słabsi, bardziej romantyczni, bardziej zainteresowani symbolami niż rzeczywistością, krótko mówiąc, żyją urojeniami.

- Mówię ci, tak jest - zapewniał David.

- A co z pojęciem kobiety karmicielki? - spytałem.

- Ono odnosi się tylko do dzieci, nie do mężczyzn. - Potrząsnął smutno głową. - Czy kiedykolwiek marzyłeś o tym, żeby kobieta przysłała ci kwiaty?

To pytanie zbiło mnie z tropu. Żeby kobieta miała przysłać mi kwiaty?

- Tak. Żeby przysłała ci kwiaty, miłą karteczkę z podziękowaniem za przyjemnie spędzony wieczór, coś w tym rodzaju...

Wydało mi się to dziwnym pomysłem. Ale kiedy się nad tym zastanowiłem, poczułem, że byłoby to coś wspaniałego.

- Powiadam ci, Michael. To my jesteśmy romantykami. Przemyśl to.

Przemyślenie tego wydało się głównym zadaniem mego życia w połowie lat osiemdziesiątych. Wszystkie kobiety, z którymi się stykałem w moim prywatnym życiu, pracowały i były często bardzo przejęte swoją pracą. Przez jakiś czas spotykałem się z pewną dziennikarką, pewną sprzedawczynią komputerów, z choreografką i z agentką kompozytorów. Podczas obiadów z tymi paniami wysłuchiwałem litanii ich problemów w pracy.

Sądziły najwyraźniej, że ich kłopoty zawodowe są dla mnie równie interesujące jak dla nich.

Przypomniały mi się czasy, kiedy podczas obiadów monopolizowałem rozmowę na problemach swojej własnej pracy. A teraz, jak to powiedział David, role płci się odwróciły. Ale jakkolwiek się to dawało wytłumaczyć, ało było romantyzmu w tych obiadach. Wręcz przeciwnie, to nowe wyrównanie ról miało zdecydowanie ponury aspekt. Słuchałem wynurzeń tych pań i myślałem: „Tylko wtedy zwracasz na mnie uwagę, kiedy ty mówisz”, ledy ja mówiłem, patrzyły ukradkiem na zegarek. Wszystkie były czymś aabsorbowane, wszystkie się gdzieś spieszyły, wszystkie się zgrywały na ażne osobistości, bez których sprawy się zawałą. Było to imponujące, ale ało podniecające.

- Już dziewiąta. O dziesiątej muszę lecieć. Zdążymy to zrobić czy już ie?

Praktyczne, ale nie nazwałbym tego namiętną randką. Pewnego wieczora siedziałem w kuchni u jednej pani, kiedy z nieudanej andki, trzaskając drzwiami, wpadła jej współlokatorka.

- Jezu, co ma zrobić dziewczyna, żeby się z kimś przespać?! - krzyczaa.

Zawstydzila się, kiedy mnie zauważyła, ale wynikała z tego ciekawa dysusja. A najciekawsze w niej było to, że wyrażane przez te kobiety postay, żale i rozczarowania były dokładnie takie same jak mężczyzn. Obie anie mówiły dokładnie tymi samymi słowami. Nie było żadnej różnicy.

Przemówił do mnie jednak pogląd Davida o różnicy między płciami, że mężczyźni to romantycy, kobiety zaś są pragmatyczne, i że każda płć idzi przeciwną w świetle własnej projekcji. Rozmawiałem o tym wiele, szczególnie z kobietami.

Zauważyłem, że je to gniewa. Nie chciały o tym słuchać.

Z początku myślałem, że to dlatego, że tak często spotykają się z dyskryminacją w miejscu pracy. Wciąż słyszą, że czegoś nie umieją robić, a do czegoś tam się nie nadają. Albo są pomijane przy awansach na wyższe stanowisko. Dlatego są tak niechętne wszelkim twierdzeniom o różnicach między charakterem obu płci, gdyż brzmią dla nich jak próby uzasadnienia tej dyskryminacji.

Ale potem, kiedy wsłuchałem się w ich wyznania, usłyszałem coś innego. Słyszałem zażalenia, „jacy to są mężczyźni”, jak „trzymają się razem”, jak „czują się zagrożeni przez kompetentne kobiety”, jak im „zagroza przeciwna płć”, zażalenia na to, jacy oni są. Jakie problemy stwarzają kobietom, bo sami mają problemy z intymnym życiem, ze swymi uczuciami albo z pragnieniem władzy. Słyszałem mnóstwo o tym, że to postępują tak, a to owak.

Nie mówiło się o poszczególnych mężczyznach ani o poszczególnych zawodach. Nie było w tym żadnych odniesień jednostkowych. Wszystko to stanowiło uogólnienie, sprowadzało się do generalnego twierdzenia, że oni już tacy są.

Pewnego wieczora byłem na proszonym obiedzie. Toczyły się przy nim ożywione rozmowy na ogólne tematy, bynajmniej nie związane z płcią, przeważnie społeczno-polityczne. Przysłuchując się im, zauważyłem, jak chętnie używa się zwrotów: oni nie chronią środowiska, oni nie potrafią porządnie rządzić, oni nie potrafią wytwarzać dobrych produktów, oni nigdy nie podają dokładnych informacji.

Wynikało z tego wszystkiego, że oni rujną świat, a my jesteśmy wobec nich bezradni.

- Zaraz, zaraz - wtrąciłem. - Kto to są ci „oni”, o których mówicie?

Obrzucono mnie zmieszanymi spojrzeniami. Każdy przy stole dobrze wiedział, kim są ci „oni”.

- Słuchajcie - powiedziałem. - Nie sądzę, by cemukolwiek służyło wyobrażenie sobie, że światem rządzą bezimienni łajdacy. Nie ma żadnych „onych”. Są tylko ludzie tacy sami jak my. Jeżeli działania jakiejś korporacji zanieczyszczają środowisko, a jej przedstawiciel wypowiada się nieścisłe w telewizji, to może być, że ten ktoś jest właśnie w trakcie rozwodu, jego dzieci zażywają narkotyki, a on ma mnóstwo na głowie, prowadzenie ogromnej korporacji, spotkania z radą nadzorczą i z udziałowcami, i to wszystko go przygniata, a on jest zmęczony i zaganiany, ten problem zanieczyszczenia jest tylko jednym z jego wielu problemów, a zmiany w rozporządzeniach rządowych są tak częste, że nikt już nie może być pewien, czy łamie prawo, czy nie, jego współpracownicy nie są tak sprawni, jak by chciał, i nie informują go tak rzetelnie, jak by chciał, a może nawet go okłamują. Wcale nie chce wyjść na durnia w telewizji. Wcale nie jest szczęśliwy z tego powodu. Ale tak się zdarza, bo ten facet stara się, jak może, ale nie zawsze mu się to udaje. A komu się to udaje? Przy stole zapadła cisza.

- Niewiele wiem o was - mówiłem dalej - ale co do mnie, to mam się za człowieka inteligentnego, a nie zawsze udaje mi się dobrze pokierować własnym życiem. Popelniam błędy, zabałaganiam sprawy. Robię rzeczy, których potem żałuję. Mówię coś, czego wolałbym nigdy nie powiedzieć. Wielu ludzi, których ogląda się w telewizji, wykonuje odpowiedzialne zadania. Rzecz w tym, że niekiedy wykonują je źle. Ale nie dostrzegam w tym żadnego spisku. Myślę, że ludzie starają się, jak mogą.

Przy stole nadal było cicho.

- A stwarzanie problemu jakichś „onych” - ciągnąłem - ma tę złą stronę, że w ten sposób rzekamy się własnej odpowiedzialności. Kiedy się mówi, że jacyś tajemniczy „oni” dorwali się do władzy, można sobie spokojnie zasiąść i uzalać się, jak „oni” źle postępują. A może „oni” potrzebują pomocy. Może potrzebują waszych pomysłów i waszego poparcia, i waszych listów, i waszego czynnego uczestnictwa. Bo nie jesteście bezsilni, uczestniczycie w tym świecie. To jest także wasz świat.

Takie oto kazanie wygłosiłem przy stole. Potem się zawstydyłem i umilkłem. Ale gdzieś w zakątku umysłu wciąż o tym myślałem. Coś tu jest nie tak. Coś, co nawet nie przychodzi człowiekowi do głowy.

Kiedyś, na początku lat siedemdziesiątych, pewna dziewczyna, zniechęcona moim zachowaniem, powiedziała mi:

- Słuchaj, przyjmij po prostu do wiadomości, że kobiety są takie same jak mężczyźni.
- Co masz na myśli? - zapytałem.
- Że wszystko, co ty myślisz jako mężczyzna, ja myślę jako kobieta. Że wszystko, co ty czujesz, ja czuję.
- Nie, nie.
- Tak, tak.
- No na przykład - powiedziałem - mężczyzna może po prostu spojrzeć na kobietę i zawrócić sobie nią głowę. Bodziec wzrokowy mężczyźnie wystarcza. Ale kobiety nie są takie.
- Czyżby?
- Nie, kobiety potrzebują czegoś więcej niż tylko bodźca wzrokowego.
- Ależ nieraz patrzyłam na przystojnych bubków w obcisłych dżinsach i myślałam sobie: „Tego bym spróbowała”.

To bardzo męska kobieta, pomyślałem i odrzekłem:

- Może ty jesteś taka, ale na inne kobiety to na ogół nie działa w ten sposób.
- Wszystkie moje przyjaciółki są takie same. Wszystkie się oglądamy za obcisłymi portkami. Pomyślałem, że ma widać wiele zboczonych przyjaciółek, i przytoczyłem inny argument:
- Kobiet nie pociąga pornografia, a mężczyzn tak.
- Doprawdy?

I tak spieraliśmy się przez dłuższą chwilę. Ona obstawała przy swoim, że w swoich podstawowych zachowaniach kobiety i mężczyźni są tacy sami i że ja mam całkowicie mylne pojęcie o istniejących między nimi różnicach. W latach siedemdziesiątych było to dość skrajne stanowisko.

Zapomniałem po latach o tej rozmowie, ale teraz, dziesięć lat później mi się przypomniała. Uznałem, że dobrze by było przemyśleć całą sprawę.

Wciąż uważałem, że są różnice między mężczyznami a kobietami. Co prawda, nie pojmowałem ich w tak uproszczony sposób jak przed laty. Ale nadal myślałem, że jednak istnieją. Chciałem się dowiedzieć, na czym polegają.

Potem zacząłem sobie zadawać inne pytanie. Nie: jakie są te różnice, ale: jak powinno się myśleć o kobietach i mężczyznach.

I doszedłem do zadziwiającego wniosku.

Moja przyjaciółka miała rację.

Kiedy się myśli o mężczyznach i kobietach, najlepiej przyjąć założenie, że nie ma między nimi różnicy.

Już od dawna doszedłem do wniosku, że myśląc o chorobie, najlepiej wyobrazić sobie, że się samemu ją wywołało. Może to być prawdziwe, może nie. Ale rzecz w tym, że najlepszą strategią w zwalczaniu własnej choroby jest zachowywać się tak, jakby się mogło nad nią zapanować i zmienić jej przebieg. To pozwala zachować władzę nad własnym życiem.

Podobnie myślałem, że kiedy się myśli o właściwościach obu płci, najlepiej jest wyobrazić sobie, że nie ma podstawowych różnic między nimi. Może to jest prawdziwe, może nie. Ale to najlepsza strategia.

Ponieważ, tak w każdym razie ja to widziałem, największym problemem dla obu płci jest tendencja do uzmysławiania sobie tej drugiej płci jako swego przeciwnictwa, co w końcu prowadzi do tego, że się jest wobec niej bezsilnym. Tak postępują i kobiety, i mężczyźni. Oni już są tacy. One mają do tego skłonność. Nie możemy nic na to poradzić, jak one czy oni się zachowują.

Kiedy obejrzałem się wstecz, uświadomiłem sobie, że w wielu wypadkach nawet nie próbowałem dochodzić do ładu z kobietą, bo zakładałem z góry, że nic nie potrafię zmienić w jej postępowaniu.

Na przykład, kiedy mieszkałem z jakąś kobietą, wiedziałem, że omawia ona ze swymi przyjaciółkami intymne szczegóły naszego pożycia. Nienawidziłem tego. Spotykając taką jej przyjaciółkę, nie znosiłem myśli, że ta kobieta wszystko o mnie wie. Było to dla mnie pogwałceniem mojej prywatności, naszej prywatności. Ale cóż mogłem zrobić? Kobiety ze sobą o tym rozmawiają. Nawigują między sobą tę szczególną zażyłość.

Ale gdybym był w ścisłych stosunkach z jakimś mężczyzną, natychmiast bym mu wyłożył swoje pretensje, gdybym się dowiedział, że rozmawiał o mnie z innym mężczyzną.

Więc dlaczego nie mogłem powiedzieć kobiecie: „Okropnie się czuję, kiedy wiem, że rozmawiasz o nas ze swoją przyjaciółką. Czuję się oszukany, odepchnięty. Dlaczego zdradzasz obcej osobie najbardziej intymne szczegóły naszego związku? To obrzydliwe. Prosisz mnie, bym się przed tobą otworzył, a ja wiem, że zaraz polecisz do telefonu i wszystko przyjaciółce wygadasz. Czy nie widzisz, jak się z tym czuję?”

Odpowiedziałyby oczywiście, że trzeba było jej powiedzieć. Ale nigdy tego nie robiłem po prostu dlatego, że uważałem kobiety za istoty zasadniczo różne od mężczyzn. A formułując te różnice, traktowałem kobiety nieco przedmiotowo. Są inne. Nie mają takich samych uczuć jak ja. To są „one”.

## *Spotkanie z łowcami głów*

Pojechałem na Borneo, żeby zobaczyć Dajaków, tamtejszych łowców głów. Po godzinach lotu nad nieprzebytą dżunglą w coraz mniejszych samolotach, wylądowałem w końcu w małym miasteczku Sibiu nad brzegiem szeroko rozlanej błotnistej rzeki.

Zainstalowałem się w hotelu Paradise, który się szczycił w ogłoszeniu bieżącą zimną i gorącą wodą. Wyszedłem na miasto i zorganizowałem sobie podróż do wioski dajackiej. Słyszałem, że o dwie godziny podróży łodzią od Sibiu są tu wioski, gdzie ludzie dotąd mieszkają w tradycyjnych długich zbiorowych barakach.

Bardzo się ucieszyłem na wiadomość, że Dajakowie są tak blisko. Chciałem tam wyruszyć natychmiast, ale okazało się, że łódź będzie gotowa dopiero nazajutrz rano. Musiałem zatem spędzić resztę dnia w miasteczku.

Obszedłem je dookoła. Powietrze było parne i wilgotne, miasto niewielkie i niezbyt ciekawe. Szybko się nim znudziłem. Przyjechałem tu, żeby obejrzeć Dajaków, a utknąłem w tej miejscinie, na uliczkach, wzdłuż których ciągnęły się kramy chińskich handlarzy. Wydostałem się na rynek nad rzeką. Kłębił się tam tłum Chińczyków i Malajów ubranych na zachodnią modłę w szorty i bawełniane koszulki. Ani śladu Dajaka. Zły byłem, że znalazłem się w takim zbiorowisku, jakie można oglądać codziennie w Singapurze. Chciałem zobaczyć tych cholernych Dajaków!

Zauważyłem, że przygląda mi się, ssąc paluszek, mała dziewczynka w białej sukience. Ja też się jej przyjrzałem. Przestraszona, chwyciła za rękę ojca. Spojrzałem na tę rękę, a potem na jego ramię. Od łokcia w dół ramię mężczyzny było pokryte ciemnoniebieskim tatuażem.

Potem zobaczyłem w wycięciu koszuli dalsze tatuaże. Wiedziałem, że Dajakowie posługują się tatuażem do oznaczenia przynależności do klanu. Zauważyłem, że mężczyzna ma przekłute i zwisające płaty uszne; sięgały mu do ramion.

To Dajak!

Rozejrzałem się po rynku i teraz dostrzegłem, że niemal wszyscy mają tatuaże i obwisłe płaty uszne. Byłem wściekły, że nie mogę spotkać Dajaków, a tymczasem otaczał mnie cały ich tłum.

Kilka lat przedtem, podczas wyprawy do Nepalu, mój przewodnik, Nepalczyk, zabrał mnie na szczyt wzgórza w miejscu zwanym Ghorapani, wskazał ręką rozciągający się przed nami widok i powiedział:

- To wąwóz Kali-Gandaki.

- Uhm - odpowiedziałem. Byłem zdyszany i zmęczony. Było mi zimno. Bolały mnie nogi. Nie zwracałem uwagi na widok.

- To wąwóz Kali-Gandaki - powtórzył znacząco.

- Uhm - potwierdziłem.

To, co miałem przed sobą, nie było nawet wąwozem, ale po prostu wielką doliną biegnącą między ośnieżonymi górskimi szczytami. Bardzo malownicze miejsce, ale wszystkie górskie widoki w Nepalu są malownicze, a ja pod koniec dnia byłem już znużony.

- To wąwóz Kali-Gandaki - znalazłem po raz trzeci. Tak jakbym wciąż nie pojmował, o co chodzi.

- Wspaniały - powiedziałem. - Kiedy pójdziemy na obiad?

Dopiero po powrocie do domu dowiedziałem się, co to takiego wąwóz Kali-Gandaki.

Rzeka Kali-Gandaki przedziera się między szczytami Dhaulagiri na zachodzie a Annapurną na wschodzie - odpowiednio szóstym i dziesiątym z najwyższych szczytów świata. Oba szczyty wznoszą się na wysokość ponad sześciu i pół kilometra nad rzeką, co sprawia, że wąwóz jest tak olbrzymi, iż ledwie można dojrzeć jego dno. Jest czterokrotnie głębszy niż Wielki Kanion amerykański i znacznie szerszy. Między tymi dwoma szczytami można łatwo zmieścić dwadzieścia Wielkich Kanionów.

Wąwóz Kali-Gandaki jest najgłębszym wąwozem świata.

No właśnie.

Chciałbym tam kiedyś wrócić i go obejrzeć.

## *Życie w planie astralnym*

Tuż od kilku lat interesowało mnie zjawisko zapadania mediów w trans. J Mówiąc z grubsza, medium to ktoś, kto osiąga odmienny stan świadomości, a wtedy przekazuje informacje, które inaczej nie byłyby mu dostępne.

Niektóre media zdają się ulegać niewielkiemu tylko rozszczepieniu osobowości i zachowują swoje cechy charakterystyczne, choć mogą utrzymywać, że przemawia przez nie duch przewodni lub ktoś z zaświatów. Inne media zapadają w głęboki trans, podczas którego wydają się przybierać całkowicie nową osobowość o zmienionym imieniu i brzmieniu głosu, o innych ruchach i innym sposobie mówienia. O takich mediach mówi się potocznie, że są pośrednikami osobowości, która bierze nad nimi górę.

Sto lat temu media zazwyczaj utrzymywały, że przemawiają przez nie zmarli o większym lub mniejszym znaczeniu. Współczesne media utrzymują raczej, że są pośrednikami w kontakcie z istotami pozaziemskimi lub z bezcielesnymi postaciami z przyszłości, lub z jednostkami, które w ciągu dziejów przeszły przez wiele wcieleń. Tak więc zjawisko kontaktu z istotami pozaziemskimi za pośrednictwem żywych wydaje się zależne od szerszego kontekstu społecznego, w jakim się pojawia. Istotnie, badania historyczne wskazują, że nabiera ono wagi w okresach niepokojów społecznych lub przy końcu każdego wieku. Teraz, kiedy zbliżamy się do końca naszego stulecia, nie można się dziwić, że problem ten znów stanie się przedmiotem dyskusji i sporów.

W każdym razie gorąco pragnąłem być naocznym świadkiem takiego kontaktu, ale nie nadarzała mi się żadna po temu okazja, aż do roku 1981, kiedy usłyszałem, że pojawił się w mieście doktor Kilarney. Doktor Kilarney żył w dziewiętnastym wieku i był lekarzem irlandzkim, a objawiał się za pośrednictwem pewnej kobiety z Utah. Nigdy nie słyszałem o doktorze Kilarneyu, ale szybko zamówiłem sobie prywatny seans. Była to nader kosztowna przyjemność, a mężczyzna, z którym rozmawiałem przez telefon, głównie interesował się tym, w jaki sposób uiszczę należność. Zrobiło to na mnie dziwne wrażenie. Mimo to zamówiłem się na następny dzień.

Medium okazało się przysadzistą, niechlujnie wyglądającą jejmością w dzinsach i trykotowej koszulce. Mieszkała w małym domku w Torrance. Wyglądała na zdenerwowaną i trzymała się blisko swego męża, wielkiego, zwalistego chłopca. Oboje byli obwieszeni indyjską biżuterią z turkusami. Zapłaciłem, a potem wpuścili mnie do małej sypialni na tyłach domku. Kobieta usiadła na rozbabranym łóżku, zamknęła oczy, wzięła kilka głębokich oddechów i powiedziała z prostackim irlandzkim akcentem:

- Begorrah, a jakże się masz w tak pięknym dniu, mój synu?

Spędziłem w Irlandii kilka miesięcy, kręcąc tam film, i nasłuchiwałem się irlandzkiej wymowy. Akcent doktora Kilarneya uderzył mnie od razu jako fałszywa podróbka. Słownictwo było całkowicie współczesne, tymczasem Irlandczycy wciąż używają wielu dziewiętnastowiecznych zwrotów. W każdym razie doktor Kilarney przemawiał jak mieszkaniec Utah udający Irlandczyka.

A zatem osoba doktora Kilarneya wydała mi się wysoce nieprzekonująca. Z drugiej strony jednak samo medium uległo wyraźnemu przeobrażeniu. Siedziała wyprostowana, oczy jej błyszczały, gesty



nabrały zdecydowania. Miała w sobie jakąś nową energię i ta energia nie zanikała, wciąż była taka sama. Ale przekaz uzyskany za jej pośrednictwem nie był rewelacyjny: dobre rady, żebym był tolerancyjny wobec mojej przyjaciółki, oddawał się systematycznie medytacjom, usilnie pracował nad swoim pisarstwem i zażywał więcej witaminy C. Otrzymałem również zalecenie, by przejść serię odradzających zabiegów u męża tej kobiety. Na odchodne wręczono mi cennik.

Zatem pierwsze moje osobiste doświadczenie z medium zapadającym w trans okazało się całkowitym niewypałem. Jeżeli nawet coś w tym było, ja tego nie dostrzegłem.

W 1982 roku poszedłem na seans z Ramthą, istotą przejawiającą się za pośrednictwem pewnej kobiety nazwiskiem J.Z. Knight. W owym czasie Ramtha była już sławna. Kobieta medium spuściła na kilka chwil głowę, a kiedy ją podniosła, była całkowicie odmieniona: głos miała głębszy i silniejszy, ożywiła się niezwykle i krążyła po pokoju, udzielając poufnych rad pięćdziesięciu zgromadzonym tam osobom. Znow uderzyło mnie władcze, stanowcze zachowanie medium, ale tym razem przekazy były jasne i trafne.

Już się przekonałem, że jasnowidztwo jest możliwe, więc myśl, że ktoś może przewidywać przyszłość pięćdziesięciu osób zgromadzonych w jednej zatłoczonej sali, nie była dla mnie czymś niepojętym. Ale energia Ramthy nie była taka sama jak energia innych mediów, które spotkałem. Większość mediów to ludzie nieśmiali, bierni, niepewni siebie. Ramtha natomiast zachowywała się jak członek Połączonych Sztabów - czuło się w niej ogromną władcą siłę, nawet długo potem, kiedy się już zapomniało, co mówiła.

Spotkanie z Ramthą różniło się od podobnych spotkań także pod innymi względami. Były to: wysokość honorarium, ścisłe przestrzeganie rozkładu jej zajęć oraz teatralna pompa, z jaką medium wchodziło na salę i ją opuszczało. Był to występ gwiazdy i honorarium gwiazdy, i to wszystko skłaniało do zadawania sobie przykrych pytań na temat związków spirytyzmu z komercją.

Nadal więc nie wiedziałem, co mam myśleć o sprawie mediów zapadających w trans. W 1984 roku usłyszałem, że medium Gary odczytuje ludziom przyszłość w Los Angeles. Postarałem się o spotkanie z nim.

Gary był nieśmiałym, spokojnym, atletycznie zbudowanym mężczyzną w wieku około trzydziestu lat. Wy tłumaczył na początku, że jego metoda pracy nie jest taka, jak wyobrażają sobie ludzie, kiedy mają na myśli media zapadające w trans. Jak powiadał, kiedy on zapada w trans, uzyskuje dostęp do czegoś, co nazywał Zapisami Akaszycznymi. Mówił, że zaglądając w te zapiski, uzyskuje całą wiedzę o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości świata. Tak to wyjaśniał.

W praktyce Gary kładł się na sofie, brał kilka głębokich oddechów i zapadał - w jak się wydawało - płytki trans. Kiedy zaczynał mówić, jego głos był jakby zaspany, ale poza tym niczym się nie różnił od zwykłego głosu. Nie otwierał oczu, a jego ciało pozostawało wyprostowane. Nie przemieniał się w widowiskowy sposób w jakąś nową postać. Po prostu leżał na sofie i mówił do siedzącego obok człowieka. Ale w transie przemawiał z niesamowitą pewnością siebie i z wprawiającą w zakłopotanie psychologiczną przenikliwością. Po obcowaniu w ten sposób ze mną przez ponad godzinę wyszedł z transu, przetaił oczy i zapytał nieśmiało, czy wszystko poszło dobrze.

Gary spodobał mi się i spotkałem się z nim jeszcze kilka razy, a potem zająłem się czymś innym. Ale jesienią 1985 roku Gary postanowił nauczać ludzi, jak stać się medium. Zaciekało mnie to i zapisałem się na te nauki. Do lekcji doszło bardzo szybko.

Leżałem na wznak z zamkniętymi oczami, a Gary cicho przemawiał do mnie, prowadząc medytacje zmierzające do tego, bym się jak najpełniej rozluźnił. Po jakichś dwudziestu minutach

zapadłem w stan takiego odprężenia, że zaledwie miałem świadomość własnego ciała. Byłem jakby na skraju snu. Ale kiedy odprężyłem się w dalszym ciągu, poczułem, paradoksalnie, że moje ciało napina się i sztywnieje. Ręce i nogi stały się zziębnięte i nieruchome.

Wraz z tym zeszywnieniem ogarnęła mnie wyostrowiona świadomość tego, co się wokół mnie dzieje, odgłosów dochodzących do mnie nie tylko z pokoju, w którym przebywałem, ale z całego domu i z ulicy. Ta wzmożona świadomość była czymś w rodzaju nadwrażliwości, której doznają ludzie cierpiący na migrenę. Było to dojmujące i dość przykre uczucie.

Gary kręcił się po pokoju. Słyszałem to i chciałem, żeby przestał; poczułem dziwny wewnętrzny przymus i usłyszałem jakby z oddali zaspany głos mówiący:

- Usiądź, Gary.

Gary usiadł.

Nie mogłem tego zobaczyć, ale wiedziałem, że usiadł. Czuję to.

I wtedy zacząłem mu mówić o sprawach, które go niepokoiły. Byłem absolutnie pewien tego, co mówię. Wiedziałem, że mam rację. Gary zadał mi parę pytań o pewną znajomą z Bostonu. Przekazałem mu swoje wrażenia na jej temat. Ale przez cały czas coś we mnie krzyczało: „Skąd możesz coś wiedzieć o jakiejś kobiecie z Bostonu? Zamknij się, nie rób z siebie idioty!” A jednak mu o niej opowiadałem.

Powiedziałem, że przekazałem mu swoje wrażenia, ale to nie jest prawda. Ten ktoś, kto jest mną (mną, obecnie pisarzem), nie potrafi wyjaśnić, co czuł przekazując te uwagi. A jest to takie uczucie:

W sztywnym napiętym ciele tkwi świadomość. Zwykła świadomość kogoś, kto nazywa się Michael, świadomość mojego ja, czy jak tam można ją określić. Odczuwałem tę świadomość jako cienką powłokę na ciele, jak warstewkę farby. A zatem Michael został zepchnięty gdzieś na bok. Wyobrażałem sobie, że Michael jest w moim wielkim palcu u nogi. Wszystko jedno gdzie, w każdym razie stał się nieważny.

Tymczasem wewnątrz mojego ciała przemawia i odpowiada na pytania jakaś inna świadomość. Nie ma ona imienia, przeszłości, cielesnego kształtu, uczuć, zainteresowań. Jest po prostu nagą świadomością. I jest bardzo pewna tego, co mówi. Mówi o Michaelu, jakby Michael był jakąś inną osobą czy też niewielką częścią jej samej. Często podejmuje decyzje co do tego, co ma powiedzieć, w zależności od tego, co może zrozumieć słuchacz. To jakby dokonywanie przekładu z jednego języka na drugi. Czasem ta świadomość musi sobie jakoś radzić z usuniętym na bok Michaeliem, który nagle zaczyna się wstydzić tego, co zostało powiedziane, albo trapić się, że świadomość może nie wiedzieć, co mówi. Przez resztę czasu Michael jest nieobecny, w każdym razie się nie narzuca.

Wszystko to może brzmieć nieco dziwnie, ale w trakcie owładnięcia przez inną świadomość wydaje się tak proste jak gotowanie obiadu czy oglądanie telewizji. Dopiero kiedy przychodzi chwila wynurzenia się z owego stanu, człowiek zdaje sobie sprawę, jak głęboko weń zapadł. Niełatwo z niego powrócić do rzeczywistości, niekiedy trzeba na to kilku minut.

Kiedy po raz pierwszy stałem się przekaźnikiem innej świadomości, pamiętałem wszystko, co mówiłem w transie. Gary twierdził, że on sam nigdy nie pamięta, co mówi w takim stanie. Teraz mogłem stwierdzić, że nie mówił prawdy... Kiedy go przycisnąłem, wyznał, że pamięta więcej, niż się do tego przyznaje. Ale dodał także:

- Tylko trochę poczekaj.

I istotnie, po kilku dalszych seansach goszczenia w sobie cudzej świadomości zacząłem sobie zdawać sprawę, że przestaję pamiętać przekazywane informacje. Zamazywały mi się niczym we śnie.

Przez chwilę po wyjściu z transu pamiętałem wszystko dokładnie, ale zaraz potem wspomnienia zaczynały się zacierać. Po godzinie mogłem sobie przypomnieć przebieg seansu tylko w ogólnym zarysie. Po tygodniu nie pamiętałem już prawie nic. Czasami nawet w ogóle zapominałem, że byłem przekaźnikiem cudzej świadomości.

Po prostu chyba nie było żadnego powodu, żeby przechowywać informacje. Nie miały dla mnie żadnego znaczenia. Jeżeli ktoś chciał się dowiedzieć o zdrowie ukochanego, to jego rzecz, nie moja. Nie było sensu przechowywać tego w pamięci, więc nie przechowywałem.

Przeżycia doznawane w transie były okropnie nieciekawe. Czasem, kiedy przekazywałem głos innej świadomości komuś znajomemu, Michael, słysząc pytanie, doznawał dreszczyku podglądacza. Ale żadnej sensacji nigdy nie było. Przekazywana przeze mnie świadomość była głucha na plotki. Wszystko odbywało się zwyczajnie. Jedynym wysiłkiem, jaki w to wkładałem, był wysiłek tłumaczenia, a jedynym towarzyszącym transowi uczuciem było współczucie.

Kiedy zacząłem uprawiać owo przekazywanie informacji od innej świadomości, dziwiłem się, dlaczego tak łatwo mi to przychodzi. I podejrzewałem, że zapadam wtedy w stan podobny do tego, w którym piszę. Ponieważ spędziłem w życiu wiele czasu na pisaniu, stan ten był mi dobrze znany.

Moja przyjaciółka Judith, z zawodu psychiatra, powiedziała:

- Wcale się nie dziwię, że potrafisz być przekaźnikiem cudzej świadomości, przecież musisz robić to samo, kiedy piszesz. Ale kogo albo co przekazujesz? Pytałeś o to?

- Kogo?

- No tak - powiedziała Judith. - Czy to jest jakaś istota czy duch, czy część ciebie, czy co?

- Nie wiem - odparłem. Nigdy nie zadawałem sobie takiego pytania.

Zagadnąłem o to Gary'ego:

- Co ja przekazuję?

- Uczę cię przekazywać twoje wyższe ja - odpowiedział.

- Co to takiego?

- Ja nazywam to po prostu wyższym ja i to chyba mądra część ciebie, ale właściwie nie wiem, co to jest.

Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej. Zwróciłem się z tym do Stephena.

- To, co robisz, rozmaicie się nazywało w różnych okresach historycznych i tłumaczono to na rozmaite sposoby, ale fakt, że to robisz, wcale mnie nie dziwi.

Przez parę pierwszych tygodni przekazywanie zdalnych informacji było dla mnie niezwykle ekscytujące. Przekazywałem je Anne-Marie. Przekazywałem je ludziom w moim biurze. Przekazywałem je przyjaciołom. Próbowałem to robić w różnych sytuacjach: z otwartymi oczami, chodząc po pokoju, stojąc pod prysznicem. Robiłem rozmaite doświadczenia. Znajdowałem mnóstwo uciechy w tych próbach.

Spotkało mnie tylko jedno rozczarowanie. Choć umiałem przekazywać informacje osobom, które zadawały mi pytania, nie potrafiłem tego zrobić w stosunku do samego siebie. Był to dla mnie ciężki zawód. Tak jakbym odziedziczył ogromny spadek, którego nie mogę wydać na własne potrzeby. W końcu Lisa z mojego biura powiedziała:

- Powiedz mi, jakie pytania chcesz zadać, a ja to zrobię za ciebie.

Pomysł ten wydawał się dziwny, ale okazał się skuteczny. Udało się tą drogą porozmawiać o Michaelu i uzyskać wszelkiego rodzaju pożyteczne odpowiedzi.

A oto częściowy zapis seansu:

Pytanie: Dlaczego Michael nie może znaleźć sobie domu?

Odpowiedź: Uznaje, że jego możliwości są ograniczone, ma poczucie beznadziejności, uważa, że nie może uzyskać tego, czego pragnie. Jest jak samochód, z którego spuszczone benzynę. Pozbawia go energii brak wiary, że może być lepiej.

Pytanie: Jak może temu zaradzić?

Odpowiedź: Musi dokonać wielkiej zmiany. Blokuje sam siebie, póki się nie zmierzy z tym, co mu przeszkadza. Nie ma wyboru. A im prędzej się z tym zmierzy, tym lepiej.

Pytanie: Co mu przeszkadza w dokonaniu zmian?

Odpowiedź: Chyba ogromny niepokój; jego przeświadczenie, że jeśli się z czymś zdradzi, może to być wcześniej lub później użyte przeciwko niemu. Takie było doświadczenie z jego dzieciństwa, choć się już nie powtarzało w wieku dojrzałym.

Pytanie: Czy musi dokonać wielu zmian?

Odpowiedź: Nic nie jest konieczne, ale zmiany byłyby korzystne. Powinien ich dokonać szybko, ale rozważnie. Zająć się tym, co mu naprawdę doskwiera, a pominąć błahostki.

Tak właśnie mówiłem sam o sobie. Kiedy pierwszy raz przeczytałem zapis tego seansu, byłem zdziwiony i lekko zirytowany. Przekazane mi informacje wydały się mi prawdziwe. Ale skoro jestem taki mądry, to w jaki sposób się okazało, że wcale taki mądry nie jestem?

Dotąd nie jest to dla mnie jasne.

W końcu nowość przekazywania obcej świadomości się przeżyła. To tak jak z nowym samochodem - przez jakiś czas jeździ się nim w uniesieniu, a potem pewnego dnia staje się on tylko zwykłym przedmiotem, który przewozi nas z miejsca na miejsce, pojazdem, środkiem lokomocji. Coraz rzadziej odbywałem seanse. Przestałem o nich mówić.

Ale nadal niewiele rozumiałem z tego zjawiska, a chciałem wiedzieć więcej. Co się wtedy dzieje? Czym jest ten stan zeszywnienia, chłodu i braku wszelkich emocji, stan, w którym się zna odpowiedzi na wszelkie pytania?

Częściowo po to, by uzyskać zrozumienie tego stanu czy stanów, dalej pracowałem z Garym. Spotykaliśmy się niemal co tydzień, próbując rozmaitych rzeczy, sterowanej gry wyobraźni, podróży astralnych, wspomnień z poprzedniego życia.

Niekiedy miałem mocne przeżycia, porównywalne do doznań w transie narkotycznym, niekiedy były to spokojne, miłe medytacje. A czasem myślałem: Za długo już siedzisz w Kalifornii. Z szacownego doktora zmieniłeś się w faceta, który leży na sofie i wieści ludziom różne wróżby. Myślisz, że to coś znaczy, ale to tylko banialuki, duby smalone Nowego Wieku, abrakadabra, karmiczne brednie. Uciekaj, Michael, póki czas. Uciekaj, póki na serio nie zaczniesz w to wszystko wierzyć.

Było to jednak dla mnie naprawdę interesujące. Myślałem także, że każdy, kto wkracza na tereny doświadczeń nieakceptowanych, nieuznanych i niepasujących do ogólnych norm społeczeństwa, przeżywa chwile sceptycyzmu.

W każdym razie takie wątpliwości nie były mi obce. I jak się okazało, odezwały się najżywiej w sprawie możliwości uprzednich wcieleń.

Pewnego dnia Gary zaproponował powrót do minionego życia. Zgodziłem się. Nigdy tego nie próbowałem. Musiałem się specjalnie na to nastawić. Mógłbym się świetnie bez tego obejść, ale postanowiłem spróbować.

Gary wprowadził mnie za pomocą muzyki z taśm i medytacji w stan transu. Kiedy byłem już w nim pogrążony, powiedział:

- Teraz niech napłyną do ciebie obrazy i wrażenia z twego innego życia.

Inne życie! To brzmiało jak tytuł opery mydlanej. Ojej!- pomyślałem - Nie wiem, czy potrafię dać sobie radę nawet z tym jednym.

- Po prostu dopuść je - powiedział Gary.

Zdumiewająco szybko ujrzałem Koloseum w Rzymie. Ale nie tę kolistą zrujnowaną budowlę, jaką widuje się na zdjęciach. Byłem pod Koloseum, w krętych korytarzach i ciemnych ciasnych celkach, w których mieszkali gladiatorzy.

Byłem gladiatorem.

- Co się dzieje? - spytał Gary.

- Jestem w Rzymie.

Czułem zapachy areny, krwi, piasku i zwierzęcych odchodów. Nad sobą słyszałem ryk tłumu i tupot nóg. W tej małej, ciasnej celce, w której czekałem, panował upał.

I wtedy odezwał mi się w głowie cichy głosik: „Jasne, Michael. Całkiem jak Kirk Douglas w *Spartakusie*. Ile razy widziałeś ten film? Daj sobie spokój!”

- Gdzie w Rzymie? - spytał Gary.

- W Koloseum.

- No i jak ci tam jest?

- Jestem bardzo silny.

Wiedziałem, że mam ogromne ciało i wielką siłę fizyczną. Byłem zdumiony, że to takie przyjemne poczucie mieć wielkie ciało, być z niego dumnym, nie wstydzić się nagości - a to odczuwałem w moim prawdziwym życiu. Tu w Koloseum potrzebowałem takiego ciała, musiałem na nim polegać. Ale to było ciało inne niż moje, twarde, potężnie umięśnione, pokryte ciemną skórą. I czułem coś innego - napięcie, niepokój, przyływ adrenaliny.

- Muszę zabijać ludzi. Zabijać, nim oni mnie zabiją.

- Jak się z tym czujesz?

- Nic mnie to nie obchodzi. Muszę to robić albo sam zostanę zabity. Ja pierwszy muszę zabić. To moje zadanie.

Znów w głowie odezwał się głosik: „No oczywiście, Michael, to znakomite wyobrażenie, doskonale je wyjaśnia twoja defensywność i zamknięcie w sobie. To nie jest obraz z przeszłego życia, tylko czysta fantazja, i pasuje do ciebie jak skrojona przez Freuda rękawiczka”.

- Znasz ludzi, z którymi walczysz?

- Nie chcę ich znać, bo będę musiał ich zabić.

- Boisz się śmierci?

- Nie.

Ze zdziwieniem stwierdziłem, że to prawda. Czułem ogromne napięcie, ale nie był to strach. Kiedy myślałem, że mogę w przyszłości zostać zabity, przyjmowałem to z rodzajem otepienia. Chyba nie miałem zbyt żywej wyobraźni.

- Ilu ludzi zabiłeś?

- To nieważne.

Moja przeszłość była ciemną plamą. Żadnych wspomnień z dawniejszych walk na arenie. Żadnej myśli o tym, co było przedtem. Żadnej przyszłości, żadnej przeszłości. Po prostu siedziałem w celi, czekając na wezwanie do walki. Słyszałem głosy tłumu. Krzyk: coś musiało się wydarzyć. Czekałem.

- To chyba nie było przyjemne życie.

Chciałem dać Gary'emu w łeb. Czemu się nie zamknie? Na co mu te psychologiczne dociekania? Miałem zadanie do wykonania, proste i jasne. Jego gadanina tylko mnie osłabiała. Nie miałem wyboru. Zabijać albo zostać zabitym. Wszystko inne to brednie.

- Czy miewacie kobiety?

- Czasami.

Sprowadzano niekiedy kobiety wojownikom. prostytutki. Kobiety w sytuacji bez wyjścia. Czasem bogate damy, chcące się zabawić.

- Co czujesz do tych kobiet?

- Nie mam żadnych uczuć.

Co tu czuć? Gary tego nie rozumiał. On przemawiał z innego świata, świata łagodnego. Tu, w Rzymie czułem jedynie, jak jestem wielki, silny i pewien zwycięstwa. Co innego miałem czuć? Na żadne uczucia nie było tu miejsca.

- To musi nie być przyjemne nie mieć żadnych uczuć.

- Nic mi nie jest.

- Nie powiedziałem, że coś ci jest.

- Więc czemu się nie zamkniesz? - spytałem.

- Od jak dawna jesteś gladiatorem? - zapytał Gary.

- Przez całe życie.

Zostałem wzięty do niewoli w Tunezji. Wysłano mnie do Rzymu, a kiedy bardzo wyrosłem, sprzedano mnie na gladiatora. Zwyciężyłem w wielu walkach. Miałem już dziewiętnaście lat. Tak długo przeżyłem.

Znów wtrącił się głosik: „Możesz się wdawać w tyle szczegółów, ile zechcesz, Michael. To i tak tylko twoja fantazja i nie ma nic wspólnego z żadnym przeszłym życiem”.

- Co się z tobą stanie? - zapytał Gary.

- Zginę.

- Jak?

- Lew.

- Jak przeżywasz swoją śmierć?

- Wcale nie przeżywam.

I istotnie nic nie czułem. Było to zwanie, trud, popełniłem jakiś błąd, nic więcej. Co tu przeżywać? Po prostu zwierzęce działanie. Zwanie dwojga zwierząt postawionych naprzeciw siebie.

- Co sądzisz o swoim życiu gladiatora?

Gary mnie nudził. Był głupi z tymi jałowymi pytaniami, nic nie rozumiał. Czasami schodzili się do nas ludzie i zasiadali, nim wyszliśmy do walki, by się nam przyjrzeć i sprawdzić, jak to jest przebywać z człowiekiem, który ma za chwilę zginąć. Chcieli się z nami wdawać w rozmowy, ale nigdy nie dawałem się w to wciągnąć.

- Nie chce mi się więcej z tobą gadać - powiedziałem.

Skończyliśmy seans.

Kiedy wyszedłem z transu, Gary zapytał mnie, co myślę o tym seansie. Odparłem, że wydaje mi się to wszystko jedynie grą wyobraźni i każdemu pilnemu studentowi filologii klasycznej mogłoby się to przydarzyć bez żadnych szczególnych przygotowań. A ja uczyłem się łaciny przez cztery lata.

- Mnie się to wydało autentyczne - powiedział Gary.

- Gary, na miłość boską, przecież jestem pisarzem. Fantazjowaniem zarabiam na życie. Ciągłe to robię i jestem w tym dobry. To nie był żaden przeszły żywot.

Byłem zresztą głęboko przekonany, że to wyobrażenie siebie jako gladiatora coś znaczyło - było wyrazem tego, co często odczuwałem. Od czasu do czasu czułem zagrożenie ze strony pewnych ludzi i musiałem blokować wszelkie uczucie sympatii do nich, bo przewidywałem, że będę z nimi walczyć. Musiałem być zdolny do tego, by ich, przynajmniej symbolicznie, zabić bez żadnych skrupułów. Taki psychiczny pancerz stanowi dla mnie pewien osobisty problem, nie było więc nic dziwnego w tym, że przybrał on taką właśnie formę w mojej wyobraźni.

Nie uwierzyłem, że to było moje przeszłe życie.

- No nie wiem, ale to wyglądało zupełnie prawdziwie - powiedział Gary. - Twoje zachowanie było przekonujące. Raz czy dwa myślałem, że mnie uderzysz.

Odparłem, że jestem pewien, iż to tylko urojenia.

I tak uważam dotąd. Miałem oczywiste dowody występowania jasnowidztwa i telepatii - dowody, które kazały mi uznać te zjawiska za niezaprzeczalnie rzeczywiste - ale nie miałem tego poczucia oczywistości wobec przeszłych wcieleń. Może coś w tym jest, ale ja tego nie doświadczyłem. Żadne zdarzenie w moim życiu nie przekonało mnie, że żyłem już kiedyś w przeszłości.

Albo inaczej: nawet jeśli zdolność wcielenia się w postać kogoś dawno zmarłego jest czymś autentycznym - jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe - to jeszcze wcale nie musi oznaczać, że przypominamy sobie w ten sposób własne dawne wcielenie. Możliwe są także inne wyjaśnienia.

Pewnego dnia Gary zaproponował, żebym spróbował podróży astralnej.

- Czemu nie? - odparłem. Byłem gotów na wszystko, byle nie na przeszłe życie.

Podróż astralna także wymagała specjalnego nastawienia, ale ja miałem doświadczenie z przeżyciami „pozacielesnymi”: już jako dziecko odkryłem, że mogę oddzielić świadomość od ciała i przesuwać ją po całym pokoju. Najwygodniejszym dla niej miejscem wydawał się róg sufitu, skąd mogła patrzeć na mnie z góry. Mogłem ją także wyprowadzić na dwór, gdzie wędrowała po podwórzu albo kręciła się wokół domu, jeśli nie krępowało mnie poczucie, że podglądam innych i wściubiam nos w nieswoje sprawy.

Jako dziecko nie myślałem o tym. Był to po prostu sposób spędzania czasu przed zaśnięciem. Sądziłem, że każdy to potrafi. Niekiedy przy zwiedzaniu muzeum, gdy zaczynałem się nudzić, zabawiałem się zgadywaniem, co jest w następnej sali... Ale to także wydawało mi się czymś zwyczajnym.

Latem po ukończeniu szkoły średniej pracowałem w Wyższej Szkole Medycznej Columbi. Sypiałem wtedy w bursie dla przyszłych internistów i chirurgów. Pokój był pusty, nic w nim nie było. Kładłem się do łóżka, wznosiłem do sufitu i oglądałem siebie samego leżącego w łóżku. Ale

wtedy byłem już dość dorosły, by znaleźć dla tego zajęcia takie pejoratywne określenia, jak „rozszczerzenie osobowości” i „schizofrenia”. Przestałem więc tak się zabawiać.

W każdym razie myśl o podróży astralnej nie wprawiała mnie w popłoch i spróbowałem jej z Garym. Jest to przecież tylko inny rodzaj ukierunkowanej medytacji w odmiennym stanie świadomości. Ukazał mi się przed oczami widok moich jasno się żarzących czakr wijących się jak białe spirale. Potem zobaczyłem samego siebie, jak przedostaję się przez trzecią czakrę i unoszę w wymiar astralny, który ukazał mi się jako zamglony żółty obszar.

Na razie było nieźle. Zacząłem rozumieć, dlaczego ludzie wyobrażają sobie raj jako miejsce mgliste albo zachmurzone. Ten mglisty plan astralny to przyjemne miejsce. Przebywanie w żółtej mgli napełniało spokojem. Dobrze się tu czułem.

- Czy widzisz tam kogoś? - zapytał Gary.

Rozejrzałem się. Nikogo nie zobaczyłem.

- Nie.

- Zostań chwilę i zobacz, czy ktoś się pojawi.

Wtedy zobaczyłem moją babkę, która umarła, kiedy studiowałem medycynę. Pomachała do mnie ręką, a ja pomachałem do niej. Nie byłem zdziwiony jej widokiem i nie odczuwałem szczególnej potrzeby, by się do niej odezwać.

Czekałem więc dalej. Ten plan astralny nie charakteryzował się niczym. Nie było tam palm ani krzeseł, ani niczego, na czym można by usiąść. Było to po prostu miejsce. Zamglone żółte miejsce.

- Widzisz kogoś innego? - spytał Gary.

Nie widziałem. Aż tu nagle...

- Tak. Widzę ojca.

Poczułem się stropiony. Nie byłem w najlepszych stosunkach z ojcem. A teraz pokazuje mi się, kiedy jestem całkiem bezbronny, w odmiennym stanie świadomości.

Zastanawiałem się, co robi, co się stanie. Zbliżał się do mnie. Wyglądał tak samo jak zawsze, tylko był przejrzysty i zamglony, jak wszystko w tym miejscu. Nie chciałem się z nim wdawać w dłuższą rozmowę. Ogarnął mnie niepokój.

Nagle ojciec mnie objął.

I w chwili tego uścisku dojrzałem i pojąłem wszystko w naszych wzajemnych stosunkach, całe uczucie, jakie żywił do mnie, i dlaczego uważał, że jestem trudny, całe uczucie, jakie ja żywiłem do niego, i dlaczego go nie rozumiałem, całą miłość, jaka była między nami, i wszelkie nieporozumienia, które ją stłumiły. Dojrzałem wszystko, co dla mnie zrobił, jak na wszelkie sposoby chciał mi pomóc. Jednym rzutem oka objąłem wszystkie aspekty naszych stosunków, tak jak się obejmuje wzrokiem jakiś mały przedmiocik trzymany w ręku. Była to chwila współczującego uznania i miłości.

Zalałem się łzami.

- Co się tam dzieje?

- On mnie tuli do siebie.

- Co teraz czujesz?

- To... się już skończyło - powiedziałem.

Chciałem mu dać do zrozumienia, że to niezwykle silne doznanie dokonało się w całej pełni w ułamku sekundy. Kiedy Gary mnie o to zapytał, kiedy wybuchnąłem płaczem, już się skończyło. Ojciec odszedł. Nie powiedzieliśmy sobie ani słowa. Wszelkie słowa były nam zbędne. Rzecz się dokonała.



- Jestem zmęczony - powiedziałem i otworzyłem oczy. Natychmiast wyträciłem się z transu.

Nie umiałem tego wyjaśnić Gary'emu - nie umiałem w istocie wyjaśnić tego nikomu - ale moje zdumienie tym eksperymentem odnosiło się w znacznej części do szybkości jego przebiegu. Jak większość ludzi, którzy przechodzili terapię psychoanalityczną, przywykłem do określonego toku kuracji. Walczy się. Rzecz toczy się powoli. Lata mogą upływać bez żadnych zmian. Człowiek się zastanawia, czy odczuwa jakąś różnicę. Czy ma przerwać terapię, czy ciągnąć ją dalej. Pracuje się nad sobą i walczy ze sobą, aż wreszcie osiąga się z trudem zdobyte wyniki.

A co z tym przeżyciem? Nim zdążyłem otworzyć usta, by coś powiedzieć, zdarzyło mi się coś niezwyklego i doniosłego. I wiedziałem, że to będzie trwać. W mgnieniu oka rozwiązał się problem moich stosunków z ojcem. Nie zdążyłem nawet zapłakać, a teraz, kiedy już było po wszystkim, płacz wydawał się spóźniony. Już nie chciało mi się płakać. Doświadczenie było skończone.

Kazało mi się ono zastanowić nad tym, że może mój pogląd na normalną szybkość zmian dokonujących się w psychice jest niesłuszny. Może, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak to zrobić, moglibyśmy dokonywać rewolucyjnych zmian w ciągu paru sekund. Może proces zmian trwa tak długo, bo przeprowadzamy go niewłaściwie. A może dlatego, że się spodziewamy, że to będzie długo trwało.

## *Nowa Gwinea*

Znajduję się w wyplatany z liści palmowych i krytym trawiastą strzechą domku w Tari, odległej prowincji w górach Nowej Gwinei. Wokół otwartego ogniska siedzi sześciu muskularnych nagich mężczyzn. Mają na sobie jedynie spódnice z trawy, łańcuchy z ptasich dziobów na szyjach, patyczki przetknięte przez nosy i kolorowe malowidła na twarzach. Na dworze słyszę trzepot skórzastych skrzydeł nietoperzy owocożernych, latających w nocy. Mam tu zostać przez następne cztery dni.

Moja przyjaciółka Anne-Marie pyta o Rosę, właścicielkę domu. Kiedy jemy obiad w świetle ogniska, Rosę oskubuje zakrwawiony kikut swojego palca wskazującego. Anne-Marie pyta, czy Rosę się skaleczyła.

- Nie - odpowiada nasz australijski przewodnik Nemo. - Obcięła go sobie.

Anne-Marie jest przerażona.

- Obcięła sobie palec?

- Tak. Zezłościła się.

- Na co?

- Na nową żonę Hebrew. Widzicie, Rosę jest drugą żoną Hebrew, a kiedy on jej powiedział, że bierze sobie trzecią, wpadła w szał i obcięła sobie palec. Na znak protestu.

Hebrew, jej mąż, siedzi przy ogniu. Anne-Marie pyta, co o tym myśli.

- Nie podobać mi się to - odpowiada Hebrew w pidżin. Wypróbuj na nas swoją angielszczyznę. - Rosę lepiej skończyć tę głupotę, bo się z nią rozwieść - mówi i klepie się po udzie dla podniesienia znaczenia swoich słów.

- Czy chcecie zobaczyć palec? - pyta Nemo. - Schowała go. Jeżeli chcecie, możecie go obejrzeć.

- Może po obiedzie - odpowiada Anne-Marie.

Zasepiona Rosę wciąż oskubuje strupy z kikuta.

- Powiedziałem jej, żeby tego nie skubała - mówi Nemo - ale chyba wie, co robi.

Kiedy na to patrzę, jedyne, o czym mogę myśleć, to dywany wyściełające windy w hotelu Shangri-La w Singapurze.

Poprzedniej nocy spaliśmy w Shangri-La. Jest to bardzo ładny wielogwiazdkowy hotel, a ponieważ wielu turystów przekracza w Singapurze datę, na dywanach przypomina się im, jaki to dzień. Wchodzi się do windy, a tu dywan z utkany napisem: „Dziś jest sobota. Życzymy przyjemnego dnia”. Codziennie zmieniają te dywany.

A teraz, następnego dnia, jesteśmy w krytej strzechą chacie w centrum Nowej Gwinei, pośród pokrytych malowidłami ludzi. Malutka trzy-, może czteroletnia dziewczynka wpatruje się we mnie z uwagą. To córka Rosę i Hebrew.

- Ile lat ma twoja córka, Hebrew?

- Osiem - odpowiada.

To najwyraźniej nieprawda.

- On nie ma pojęcia, ile ona ma lat - wyjaśnia Nemo. - Żaden z tych tumanów nie wie, w jakim jest wieku. Tutaj to nie ma znaczenia.

Z jakiegoś powodu dziwi mnie to bardziej niż malowane twarze i trawiaste spódniczki. Nie wiedzą, w jakim są wieku? W hotelu Shangri-La jedna ściana w holu jest zawieszona zegarami pokazującymi czas na całym świecie. Hotel Shangri-La ma teleks i inne usługi czynne całą dobę, a tutaj ludzie nie znają pojęcia czasu. Nie znają własnego wieku. Wiek nie ma dla nich żadnego znaczenia. Trudno mi pojąć świat, w którym wiek nie odgrywa żadnej roli.

W każdym razie nie takiego świata się spodziewałem. Zamówiłem sobie parodniowy pobyt w chacie w tubylczej wiosce. Wyobrażałem sobie ustawione półokręgiem chaty w sercu dżungli, z których jedna będzie przeznaczona dla mnie. Taka chata dla gości. Oczekiwałem, że będę mógł uczestniczyć w życiu wsi. Ale ta chata stoi samotnie. Kiedy wychodzę na dwór, nie widzę żadnych innych zabudowań, tylko pola otaczające dom Rosę, gdzie rosną jarzyny *kai-kai*. Najwyraźniej nie ma tu żadnej wioski, ale Nemo wyjaśnia, że pojęcie „wioski” wśród ludu Tari odnosi się do sąsiedztwa. Do innych równie izolowanych chat na terenie kilkunastu kilometrów kwadratowych.

Każda chata i każde pole jest tu ukryte za potężnym wałem ziemnym wysokości czterech i pół metra. Kiedy się jedzie drogą, widzi się po obu jej stronach tylko te wały. Tworzą jakby tunel obrosły zielenią.

Szańce te buduje się dla obrony przed niespodziewanym napadem. Bo plemiona na Nowej Gwinei toczą między sobą nieustanną wojnę i zawsze należy się liczyć z możliwością ataku. Tak jak Sycylijczycy, żyją w atmosferze wiecznej wendety.

Nim tu przybyliśmy, niepokoił się trochę o nasze bezpieczeństwo. Jednak Nemo zapewnił, że możemy się niczego nie obawiać. Tu się zabija za przynależność do pewnych plemion czy klanów, a że my, jako cudzoziemcy, do żadnego plemienia ani klanu nie należymy, nie budzimy wrogości, póki sami nie zmajstrujemy czegoś, by się na nią narazić. W każdym razie trudno mi pogodzić obraz pogodnych mieszkańców Tari z myślą, że są wciąż gotowi do zabijania.

Przeszliśmy z Anne-Marie do sąsiedniej izby i wsunęliśmy się do naszych śpiworów. W świetle lampki naftowej przyglądałem się pięknym wzorom, w jakie wyplecione były liście palmowe stanowiące budulec dla ścian. Harcowały w tych ścianach i piszczały myszy. Słyszeliśmy, jak na dworze latają nietoperze i kaguangi. Z przyległych izb dochodziły odgłosy kłótni i płaczu dziecka. Nad naszymi śpiworami krążyły muchy, cięły nas, wlażyły do nosa.

Wreszcie udało mi się zasnąć. Moją ostatnią myślą było: Co ja tutaj robię?

Nowa Gwinea jest drugą po Grenlandii największą wyspą świata. Powierzchnią dorównuje Szwecji. Zamieszkuje ją trzy miliony ludzi. Jest to kraj górzysty, a z faktu tego wynika ogromna różnorodność obyczajów i języków. Ludzie rozdzieleni trudnymi do przebycia łańcuchami gór zachowują własne obyczaje i własny język; mówi się tu siedmioma tysiącami języków i narzeczy, pidżin stanowi jedyny wspólny sposób porozumienia.

Nowa Gwinea składa się z trzech całkiem oddzielnych stref. Strefa nadbrzeżna całkiem przypominająca takie wyspy Pacyfiku jak Nowa Kaledonia czy Nowa Brytania. Na północ od niej znajduje się gorący płaskowyż porośnięty dżunglą, gdzie ludzkie osiedla skupiły się wzdłuż rzek, głównie nad Sepikiem i jego dopływami. Ale większość ludności żyje w wyżynnej głębi kraju, w górach. Do lat trzydziestych dwudziestego wieku nie wiadomo nawet o istnieniu jakichś tam mieszkańców. I choć przez następne półwiecze wiele się zmieniło, część tego kraju wciąż pozostaje prawie nieznaną. Życie plemienne toczy się tam nadal, takie jak było zawsze.

Chciałem się znaleźć pośród plemiennego ludu, doświadczyć samemu życia, jakie było udziałem

człowieka na tysiące lat przed tym, co nazywamy cywilizacją, więc przebyłem pół świata i oto leżę w plecionej z liści chałupie, gdzieś wysoko w górach i próbuję zasnąć, choć muchy łążą mi po nosie.

Jestem tu, na Nowej Gwinei, pełen powieściowych urojeń. Urojeń antropologa: pogadam z tymi malowniczymi tubylcami i dowiem się, jak żyją. Wielu z nich mówi po angielsku, co jest znacznym ułatwieniem dla antropologa, który odwiedza ich jedynie na krótko. Ale wkrótce stwierdzam, że każdy opowiada co innego. Daje się to szczególnie zauważyć, jeśli rzecz dotyczy czegoś najbliższego mojemu sercu, mnie samego. Na przykład, jeśli w walce gdzieś daleko, powiedzmy, w mieście Mount Hagen jakiś krewny Hebreu zabije kogoś z innego plemienia, to wtedy krewny zabitego może się tu pojawić w poszukiwaniu Hebreu, by wziąć na nim odwet za tamtą śmierć. Czy w takich okolicznościach ja, całkiem niewinny przyjezdny, mogę się znaleźć w niebezpieczeństwie? Jedni mówią, że nie. Inni wzruszają ramionami. Jeszcze inni mówią, że tak. Jeśli głupa wojowników nie znajdzie Hebreu, to może zabić jego żonę i dzieci, a jeżeli ich także nie znajdzie, mogą zabić mnie.

Chciałbym się oczywiście dowiedzieć, która z tych odpowiedzi jest prawdziwa. Ale mi się to nie udaje. Nie potrafię nawet dociec, w jaki sposób Hebreu mógłby się dowiedzieć o jakiejś bitce w Mount Hagen, odległym stąd o ponad półtora tysiąca kilometrów, leżącym za nieprzebytymi górskimi łańcuchami. Skąd się o tym dowie?

Hebreu się śmieje.

- Nie martw się. Jakoś się dowiem.

Okazuje się, że przez małżeństwa klany krzyżują się tu między sobą, więc każda wioska ma swoich szpiegów, którzy donoszą swoim rodzinom o wszelkich planowanych napadach. Co więcej, dzieci przejmują przynależność do klanu po ojcu i po matce, tak więc mieszkańcy Tari mogą niekiedy należeć do siedmiu lub więcej klanów. Każdy ma rozmaite powiązania i zobowiązania, a wszystko to jest niezmiernie skomplikowane.

Z powieści rodem jest także przemądrzały Bwana Michael w koszuli z naramiennikami, który filmuje swoją wierną japońską kamerą barwne obrzędy plemienne. Szczególnie interesuje mnie ryszunek bojowy, który stanowią siekiery, łuki i strzały. Ci ludzie unikają nowoczesnej broni, takiej jak strzelby, bo zadane nimi morderstwo może być ścigane przez policję. A mnie w głowie się nie mieści, że łuki i strzały mogą być naprawdę niebezpieczne, naprawdę śmiertelne.

Hebreu i jego przyjaciele śmieją się ze mnie. Któregoś ranka pokazują mi swoje strzały, które są prostymi kawałkami drewna, bez żadnych piór, z czubkiem zahartowanym w ogniu. Taka strzała może strącić ptaka z gałęzi, ale czy naprawdę można nią zabić człowieka? Hebreu ustawia na środku pola bambusowy kijek o przekroju może pięciu centymetrów. Zaprasza mnie, bym z odległości pięćdziesięciu metrów strzelił do tego wątlutkiego celu. Ale ja jestem niezdarny; wszystkie nieupierzone strzały lecą gdzieś na boki.

Hebreu napina łuk. Jego drewniana strzała przeszywa na wskroś twardy bambus. Jestem zdumiony. Taka strzała mogłaby łatwo przeszyć ludzkie ciało. Po kolei strzelają inni mężczyźni. Wszyscy z odległości pięćdziesięciu metrów trafiają w cienki kijek.

Jest także powieściowym urojeniem ta cała sielankowość pierwotnego życia, pośród szlachetnych dzikusów rodem z dzieł Rousseau, ludzi natury, niedotkniętych zepsuciem, niezaprężonych w jarzmo materialistycznej cywilizacji. Niestety, Hebreu i jego żona nieustannie się kłócą. Ich niemowlak wrzeszczy. Starsze dzieci wyglądają na nieszczęśliwe i starają się schodzić im z drogi.

Pewnego dnia pojawia się w chacie nowo zaślubiona małżonka numer trzy, uzbrojona w kij baseballowy. Jej przybycie stanowi akt wyzwania. Rosę natychmiast naciera na nową żonę z kuchennym nożem w ręku. Przyjaciele i krewni rzucają się, by rozdzielić szamocące się ze sobą kobiety. Rozlegają się krzyki i obelgi. Ktoś odbiera Rosę nóż, ktoś inny pozbawia trzecią żonę baseballowego kija i każe jej odejść, ale ona odmawia. Sytuacja jest przykra, a my, goście, jesteśmy jej świadkami. Nemo proponuje, żebyśmy wyszli na jakiś czas, póki rzeczy się jakoś nie ułożą. Wsiadamy do naszego dżipa. Kiedy ruszamy, Rosę rzuca się ze swoim niemowlęciem na maskę wozu. Zatrzymujemy się, wysiadamy, coś tam jej perswadujemy.

Na współczesne wyczucie ciągnie się to godzinami. Ale uczestnicy awantury nigdzie się nie spieszą. Nie widzą potrzeby szybkiego rozwiązania problemu. W ogóle nie muszą go rozwiązywać. Nie ma powodu, dla którego nie mielibyśmy spędzić całego dnia przed naszym samochodem, wyklócając się o coś.

W końcu trzecia żona, powód całego zajścia, odchodzi, zabierając ze sobą swoją pałkę. Rosę się uspokaja. My wyruszamy na zwiedzenie okolicy.

Ach, ta romantyczność pierwotnej natury! Niestety, na Nowej Gwinei wszystko jest czyjąś własnością. Cała ziemia, każde drzewo, każde zwierzę. Jeśli się czegoś dotknie czy weźmie do ręki, można ponieść za to śmierć. Wysokie ziemne oszańcowania tworzą coś, co przypomina linię Maginota. Nie ma żadnych otwartych widoków, żadnych miejsc nietkniętych ludzką stopą. To strefa wojenna i choć ludzie są przyjaźni, panuje tu atmosfera wiecznej podejrzliwości.

Podczas naszej przejażdżki do wodospadu sprawy w domu jakoś się ułożą. Jest tu piękny wodospad, który koniecznie musimy zobaczyć. Jedziemy do farmy, potem szukamy przez pół godziny jej gospodarza, żeby poprosić o pozwolenie wejścia na jego grunty. Jest wręcz nie do pomyślenia, byśmy tam weszli bez jego zgody. Jeśli go nie znajdziemy, musimy zawrócić.

Widzimy drewniany znak drogowy, na którym widnieje czerwona ludzka ręka i napis: „*Itambu nogat rot*”. Pytam, co to znaczy, a Hebrej patrzy na mnie ze zdziwieniem: Czy nie umiem czytać po angielsku? To znaczy: *It Taboo No Got Right* - innymi słowy: „Wstęp zabroniony”.

Wreszcie gospodarz się znalazł, otrzymujemy pozwolenie i ruszamy do wodospadu. Już za chwilę schodzimy w dół stromym zalesionym zboczem. Ślizgam się i potykam na błotnistej ścieżce. Hebrej pokazuje nam miejscowe osobliwości, drzewo pandanowe i coś, co się nazywa *plenty nut*, coś podobnego do kokosu, stanowiącego ulubione pożywienie *cus cus*, czyli oposów. Albo „roślinę szminkową” o puchatych czerwonych nasionach, z których wyrabia się czerwony barwnik do malowania ciał wojowników.

Jestem wdzięczny za każdą chwilkę wytchnienia; każdy pretekst dobry, by się zatrzymać i uchwycić dech i równowagę. Schodzimy w dół blisko godzinę, a Hebrej mówi:

- W dół to łatwo, pod górę jest trudno.

W końcu słyszę szum wodospadu. Jeszcze piętnaście minut wędrówki i całe listowie wokół nas jest nasiąknięte wodą, a grunt pod nogami staje się wciągającym w głąb bagniskiem. Zapadamy się po kolana. Nasz szlak wiedzie niemal pionowo w dół.

Wreszcie wynurzamy się z leśnej gęstwiny pod niewiarogodnie potężnym wodospadem. Nie możemy go dokładnie obejrzeć, bo otacza go gęsta mgła. Przeciskamy się przez wielkie kamienie, by stanąć u jego postawy. Huk jest tak głośny, że nie możemy ze sobą rozmawiać, nie słyszymy siebie wzajemnie. To nie jest przychylna natura. To groźna siła. Jakby się stało tuż obok głośnika na koncercie rockowym. Mam już dosyć tego huku i jestem zupełnie przemoczony. Wracamy.

Wspięcie się z powrotem na szczyt zajmuje nam godzinę. Bagno wciąga. Nogi mam ciężkie. Co chwila trzeba się zatrzymywać, by się obrać z pijawek. Zataczając się docieram do samochodu i padam bez sił na siedzenie.

- Ten kraj jest postawiony na sztorc - zauważa Nemo, a ja sędzę, że to jeszcze zbyt łagodne stwierdzenie. - Nic dziwnego, że ci faceci są tacy sprawni.

Wracamy, by wziąć udział w *sing-sing*.

*Sing-sing* jest obrzędem, do którego wojownicy Nowej Gwinei malują się w wymyślne wzory i przystrajają tradycyjnym nakryciem głowy, a potem razem tańczą i śpiewają. Ludzie z Tari należą do przyozdobionych najpiękniej; mężczyźni malują sobie twarze na jasnożółty kolor, a na głowach mają pracowicie wykonane stroje z niewiędnących kwiatów i piór rajskiego ptaka. W czasie kiedy się ubierają, wokół zbiera się tłum gapiów. W powietrzu wisi nastrój oczekiwania. *Sing-sing* zaraz się zacznie.

Ale sam taniec przynosi rozczarowanie. Mężczyźni ustawiają się rzędem i śpiewają, i przytupują przez jakieś trzydzieści sekund. Potem się zatrzymują, rozmawiają, palą, śmieją się. Po minucie czy dwóch znów zaczynają śpiewać przez krótką chwilę. Potem znów przerywają. Potem znowu śpiewają. Dla człowieka Zachodu, przyzwyczajonego do przynajmniej trzypięciominutowego występu wokalnego, to ich nagłe zaczynanie i przerywanie śpiewów wydaje się czymś bez ładu i składu. Robię zdjęcia. Znam już wielu z tych mężczyzn, ale teraz, wymalowani i przebrani, zachowują się zupełnie inaczej i z zapalem pozują do fotografii.

Po skończeniu *sing-sing* zdejmują stroje z głów, owijają je w plastik i zabierają ze sobą do domu. Te stroje są niezwykle cenne i obchodzą się z nimi ostrożnie. Ale pozostawiają malunki na twarzach. Tego wieczora, kiedy siedzą, bawiąc się i paląc przy ognisku, wszyscy są żółci i czerwoni. Uwielbiają się przyozdabiać. Hebreu niekiedy przystraja włosy w dzień zielonymi listkami, a wieczorem robaczkami świętojańskimi, tak że jego głowa świeci jak bożonarodzeniowa choinka.

To malowanie twarzy ma swój cel: ma ukryć wojownika. Jeśli ktoś zabija w walce swego wroga, trudno odkryć, kto go zabił. W praktyce jednak wszyscy dobrze wiedzą kto. Jeszcze jedna sprzeczność, zbyt trudna do rozwikłania dla antropologa w tak krótkim czasie.

Chciałbym obejrzeć wojnę plemienną. Czytałem relacje antropologów z takich bitew, odbywających się zgodnie z pewnym ceremoniałem i trwających cały dzień. Wczesnym rankiem obie strony spotykają się na otwartym polu i zaczynają od pysznienia się przed sobą i obrzucania obelgami. Potem rzuca się w stronę wroga kilka oszczepów i strzał. Z biegiem czasu walka się zaognia, aż wreszcie kogoś się zabije lub śmiertelnie zrani. Wtedy wszyscy rozchodzą się do domów.

Przy takich bitwach dopuszcza się obecność widzów, którzy niekiedy wchodzą pomiędzy wojowników i robią im zdjęcia. Mówię, że chciałbym obejrzeć taką bitwę.

Przewodnik, który obwoził turystów po kraju autobusem, opowiadał mi, że pewnego dnia natrafił na taką wojnę plemienną i wszyscy turyści - a byli to Włosi - wysiedli z autobusu, żeby robić zdjęcia. Kiedy się tym zajęli, jeden z wojowników ściał drugiemu głowę siekierą. Tuż przed tłumem turystów.

A oni tego nie zauważyli. Zbyt byli przejęci widowiskiem, barwnymi strojami jego uczestników. Nie zauważyli ściętej głowy, tryskającej krwi i śmiertelnych drgawek.

Ale on zauważył.

- Nie lubię oglądać takich scen - powiedział. - Są zbyt realistyczne.

Wieczorem, kiedy wszyscy zgromadzili się wokół ogniska, pojawia się w rozmowie temat węży. Nemo opisuje jadowite węże Australii. Ludzie z Tari słuchają. Jeden z nich mówi, że widział kiedyś film o wężach.

Wszyscy są bardzo poruszeni, kiedy opowiada o bohaterze tego filmu, który ma na imię Hindy. Hindy bał się węży, a w tym filmie wchodzi do pomieszczenia całkowicie wypełnionego węzami pełzającymi z sykiem po ziemi. Tysiące węży, straszliwych węży! By opanować swój strach, Hindy musiał wejść do tego pomieszczenia i zrobił to! I walczył z tymi węzami, aż je pozabijał co do jednego, i zwyciężył. Taryjczyk mówi, że on sam nigdy by tam nie wszedł, a Hindy wszedł. Te węże były bardzo ekscytujące.

Pytam tego człowieka, czy pamięta coś jeszcze z filmu. Odpowiada, że nie, że to był film o tym chłopaku i o wężach, a cała reszta była tylko wprowadzeniem do tej sceny.

No właśnie! Włoscy turyści robią zdjęcia i nie dostrzegają leżącego przed nimi człowieka bez głowy, a członek jednego z plemion Nowej Gwinei ogląda *Poszukiwaczy zaginionej Arki*, uważając, że jest to film o pewnym chłopaku i o wężach. Im dłużej przebywałem na Nowej Gwinei, tym głębsza mi się wydawała przepaść między naszymi kulturami. Straciłem romantyczne złudzenia, niewiele jednak sobie wyjaśniłem. Pocięły mnie natomiast setki much i wiele mi się poplątało w głowie.

W końcu opuściliśmy góry i dojechaliśmy do rzeki Sepik, nad którą w wilgotnym powietrzu unoszą się całe chmury moskitów, a tamtejsi mieszkańcy wyglądają i zachowują się zupełnie inaczej niż ludzie z Tari. Nie walczą ze sobą. Zabijają się czarami.

Dotarłem wreszcie do wybrzeża. Ostatniego dnia pobytu na Nowej Gwinei nurkowałem do zatopionego bombowca B-24, pozostałości po drugiej wojnie światowej. Wrak był porośnięty koralami i wyglądał pięknie, ale zdziwiło mnie, że jest taki nieduży. W latach czterdziestych B-24 uchodził za wielki samolot. Teraz jego widok na dnie oceanu był uderzającym przypomnieniem, jak bardzo świat się zmienił od tamtego czasu i jak wciąż się zmienia. Kiedy wypłynąłem na powierzchnię, pypytywałem o ten samolot. Czy może ktoś zna jego historię, skąd się tu wziął, dlaczego się rozbił? Nikt nic nie wiedział. Snuto tylko jakieś opowieści, wysuwano teorie, rozważano możliwe warianty zdarzenia.

## *Zginanie łyżek*

Wiosną 1985 roku zostałem zaproszony na przyjęcie połączone ze zginaniem łyżek. Pewien inżynier lotnictwa, Jack Houck, zainteresował się tym zjawiskiem i od czasu do czasu spraszał ludzi na zginanie łyżek. Podano mi adres gdzieś w południowej Kalifornii i zapowiedziano, że mam ze sobą przywieźć sześć łyżek i widelców, nie przedstawiających dla mnie szczególnej wartości, bo zostaną zgięte tego wieczora.

Był to typowy podmiejski dom kalifornijski. Zebrało się tam koło setki ludzi, przeważnie rodziny z małymi dziećmi. Nastrój panował tu świąteczny, choć rozbiegana dzieciarnia wprowadzała sporo zamieszania. Wszyscy byli rozchichotani. Będziemy zaraz zginać łyżki!

Zrzuciliśmy wszyscy przywiezione sztucce na środek podłogi, gdzie utworzyły niemały stos. Potem Jack Houck dorzucił do niego zawartość jeszcze jednego pudła ze sztuccami i pouczył nas, co mamy robić. Powiedział, że zgodnie z jego doświadczeniem, aby zginać łyżki, musimy wytworzyć atmosferę podniecenia emocjonalnego. Zalecił nam, byśmy byli hałaśliwi i ożywieni.

Mieliśmy wybrać sobie łyżkę ze stosu i zapytać ją: „Czy zegniesz się dla mnie?” Jeśli sądzimy, że łyżka nie chce nam odpowiedzieć, rzucamy ją z powrotem na stos i wybieramy sobie inną. Ale jeśli wyczuwamy pozytywne nastawienie naszej wybranej łyżki, to - pouczono nas - musimy ją ustawić pionowo i zawołać do niej: „Zegnij się! Zegnij!” Ośmieloną tym okrzykiem łyżkę należy lekko potrząść w palcach, a niebawem się zegnije.

Tak powiedział Jack Houck.

Ludzie spoglądali po sobie z niedowierzaniem.

Zabawa się zaczęła. Setka ludzi rzuciła się wybierać łyżki, wołać do nich: „Czy się zegniesz?”, odrzucając je, jeśli czuli, że są im niechętne. Wokół siebie słyszałem wszędzie głosy: „Zegnij się, zegnij!”, wołające do wybranej łyżki. Wielu się śmiało. Trudno było nie czuć się głupio, trzymając łyżkę i wołając do niej.

Siedziałem na podłodze obok Judith i Anne-Marie. Już skończyły wołania do swoich łyżek i teraz lekko pocierały je palcami, ale nic się nie działo. Ja także pocierałem jakąś łyżkę, ale także u mnie nie działo się nic. Czuję się idiotycznie. Ogarniał nas ponury nastrój, kiedy tak tarliśmy.

Anne-Marie, nie przerywając zajęcia, powiedziała:

- Nie sądzę, by to mogło podziałać. To głupie. Po prostu nie wiem, jak to może skutkować.

Spojrzałem na jej ręce. Jej łyżka się wyginała.

- Popatrz, Anne-Marie...

Anne-Marie roześmiała się. Jej łyżka zrobiła się jak z gumy. Bez trudu zawiązała ją na supeł.

Nagle zaczęła się wyginać także łyżka Judith. Mogła ją zgiąć na pół. U wszystkich dokoła łyżki się wyginały. Tylko moja pozostała twarda i sztywna. Tarłem ją jak należy, ale nawet się nie rozgrzała.

Byłem zły. Do cholery, pomyślałem, zegnę ją siłą. Spróbowałem: szyjka na pewno się zegnije, ale sama miseczka nie. Próbowałem aż do bólu palców. Potem dałem temu spokój. Jack Houck powiedział, że u niektórych ludzi łyżka się nie zgina. Może ja należę właśnie do takich.



- Gratuluję - powiedziała do mnie Julia.

- Co?

- Gratuluję.

Spojrzałem w dół. Moja łyżka zaczęła się wyginać. Nawet tego nie zauważyłem. Metal stał się giętki jak miękki plastik. Nie był wcale szczególnie rozgrzany, tylko lekko ciepły. Zgiąłem samymi tylko czubkami palców miseczkę łyżki na pół. Nie musiałem nawet naciskać, wystarczyło niemal samo dotknięcie.

Odłożyłem na bok zgiętą łyżkę i sięgnąłem po widelec. Po chwili pocierania widelec skręcił się w obwarzanek. Poszło mi całkiem łatwo. Wygiąłem jeszcze kilka łyżek i widelców.

Potem mnie to znudziło. Dałem sobie spokój z tym wyginaniem i poszedłem na kawę i ciasteczka. Teraz znacznie bardziej interesowały mnie ciasteczka niż cokolwiek innego.

Zginanie łyżek było oczywiście od dawna przedmiotem sporów. Uri Geller, izraelski magik, który utrzymywał, że rozporządza siłami nadprzyrodzonymi, często wyginał łyżki, ale inni magicy, tacy jak James Randi, głosili, że wyginanie łyżek nie jest żadnym zjawiskiem nadprzyrodzonym, że to zwykła sztuczka.

Aleja wyginałem łyżki i wiedziałem, że to nie jest żadna sztuczka. Rozejrzałem się po pokoju i zobaczyłem, jak dzieci, ośmio - i dziewięciolatki, zginają grube metalowe trzonki. One przecież nie chciały nikogo oszukiwać. To były po prostu rozradowane dzieciaki. Cieszyły się, że nie muszą jeszcze iść do łóżek, że wolno im zostać z dorosłymi i bawić się tym głupim wyginaniem sztuczków.

Pomyślałem sobie, że to ważny argument w sporze między magikami. Bo wyginanie sztuczków musi mieć oczywiście jakieś zwykłe wytłumaczenie, skoro robi to setka ludzi uprawiających różne zawody. I nie ma w tym nic tajemniczego; po prostu pociera się łyżkę, a ona za chwilę mięknie i się wygina. To wszystko.

Zauważyłem jednak, że wygięcie łyżki wymaga chyba odwrócenia od niej na chwilę uwagi. Powinno się spróbować ją wygiąć, a potem na chwilę o tym zapomnieć. Może trzeba z kimś rozmawiać, pocierając łyżkę, albo rozglądać się po pokoju. Odwrócić od niej uwagę. I wtedy łatwo się zgina. Kiedy się człowiek w nią wpatruje i martwi, że nic nie potrafi z nią zrobić, jest mniej podatna na zginanie. Trzeba się nauczyć tego odwracania uwagi, ale łatwo do tego dojść. Jest to tak samo łatwe jak, powiedzmy, liczenie w duchu dokładnie w pięciosekundowych odstępach. Trzeba chwilę poćwiczyć, a potem już się udaje.

Dlaczego łyżki się wyginają? Jack Houck miał na ten temat jakieś teorie. Ale ja już od dawna postanowiłem skupiać się na zjawiskach i nie troszczyć o teorie. Nie wiem zatem, dlaczego łyżki się wyginają, ale jest dla mnie oczywiste, że niemal każdy potrafi to sprawić. O co więc tyle hałasu?

Przyjęcie skończyło się koło jedenastej. Judith, Anne-Marie i ja wróciliśmy do domu i zabraliśmy ze sobą wygięte sztuczki. Nazajutrz próbowałem przywrócić moim łyżkom ich pierwotny kształt. Nie udało mi się, ale zbyt mocno się o to nie starałem. Pokazałem te wygięte łyżki paru przyjaciółom, ale tylko niewielu. Cała sprawa wydawała mi się czymś zwyczajnym.

Rok później wspomniałem pewnemu profesorowi MIT, że zginałem łyżki. Przez chwilę milczał, zmarszczywszy brwi.

- Można zginać łyżki - powiedział - za pomocą zręcznościowej sztuczki.

- Chyba tak - potwierdziłem. - Aleja nie znam tej sztuczki.

Profesor znów zamilkł na dłuższą chwilę.

- Czy pan osobiście zginał te łyżki?

- Tak.

Wtedy przeszedł do omawiania całej sprawy. Skąd wzięłem łyżki? Skąd wiem, że nie były przedtem odpowiednio spreparowane? Czy ktoś mi pomagał w zginaniu? Czy ktoś mnie w tym czasie dotykał albo mógł podmienić łyżkę w moich rękach?... Tak ciągnął przez jakiś czas. Staralem się wyjaśnić mu okoliczności i to, że niemożliwe było, by ktokolwiek mógł tam oszukiwać.

- Więc pan wierzy w to wyginanie się łyżek?

- Tak.

- Czy próbował pan dociec, dlaczego się wyginają?

- Nie.

- Chce pan powiedzieć, że doświadczył pan tak niezwykłego zjawiska i nie próbował go sobie wytłumaczyć?

- Nie - oświadczyłem.

- To bardzo dziwne - orzekł. - Powiedziałbym, że pańskie zachowanie jest patologicznym wyparciem się tego, co się panu przydarzyło. Styka się pan z czymś niewiarygodnym i nie robi pan nic, by to zbadać?

- Nie widzę w tym nic patologicznego - powiedziałem. - Nie próbuję badać wszystkiego, co się dzieje na świecie. Wiem na przykład, że kiedy będę szybko wyginał i rozginał drut, to się rozgrzeje i złamie. Ale doprawdy nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Nie sądzę, by było moją sprawą rzucać się za każdym razem do odkrywania przyczyny. A jeśli chodzi o zginanie łyżek, pokój był pełen ludzi robiących to samo i wydawało się to rzeczą dość zwyczajną. Nawet nudną.

Istotnie, kiedy się stykałem ze zjawiskami „nadprzyrodzonymi”, często mnie ogarniało poczucie nudy. Na początku takie wydarzenie wydaje się ekscytujące i tajemnicze, ale bardzo szybko tak powszednim, że trudno się nim dłużej interesować. Wydaje mi się to potwierdzeniem mojego poglądu, że tak zwane metapsychiczne czy paranormalne zjawiska niesłusznie noszą tę nazwę. Nie ma w nich nic nienormalnego. Przeciwnie, są najzupełniej normalne. Po prostu zapomnieliśmy, że umiemy je wywoływać. W chwili kiedy je wywołujemy, natychmiast rozpoznajemy, jakie w istocie są, i myślimy: No i co? Zginanie łyżek to taka sama czynność jak pranie czy jazda na rowerze. Nic znowu takiego. Nie ma o czym mówić.

## *Oglądanie aury*

Nauczanie religijne wywierało na mnie w dzieciństwie głęboki wpływ, bo mówiło o sprawach niewytłumaczalnych. W mojej rodzinie wolno było dyskutować o wszystkim prócz religii. To były sprawy uznawane za bezsporne. Historia o Józefie i o jego wielobarwnym płaszczu to nie było jakieś tam opowiadanie, to był pewnik. Podobnie urodzenie Jezusa Chrystusa z Dziewicy - sprawa, z którą miałem trudności od najmłodszych lat to nie żadna bajeczna opowieść ani metafora. Naprawdę tak było.

Te rzeczy były możliwe, gdyż zdarzyły się bardzo dawno temu. Ich pradawność oznaczała, że wszystko, co nam mówiono w szkółce niedzielnej, choćby było najbardziej niedorzeczne, mamy uznać za prawdę. Rozstąpienie się wód Morza Czerwonego, zamiana wina w krew, krzew gorejący... Teraz nic takiego się nie zdarza. Nawet w Nowym Jorku!

Upłynęło wiele lat, nim poznałem zawiłane prawdy o ciężarnych zakonnicach i rozwiązłych papieżach; nim uznałem opowieści Starego i Nowego Testamentu za dokumenty historyczne, nim spojrzałem okiem antropologa na koczujące pasterskie plemiona Bliskiego Wschodu. Odkryłem tymczasem, że mnóstwo ludzi, łącznie z moimi rodzicami, wcale nie wierzy w dosłowny sens tych religijnych opowieści.

Ale wtedy walczyłem po prostu o to, żeby zrozumieć. A ponieważ opowieści wydawały mi się niewiarygodne, sięgnąłem do obrazków.

Niestety, religijne obrazki wprawiały mnie również w pomieszenie. Na ilustracjach do podręczników szkoły niedzielnej wszyscy nosili szlafroki. Trudno mi było wyobrazić sobie świat, gdzie ludzie chodzą tak ubrani.

A już na widok religijnych dzieł sztuki dla dorosłych, w muzeach, odczuwałem lekką odrazę. Uczucia, jakie budziły, zatraçały o coś, co było rodzajem szaleństwa. Ci pokrwawieni i przebici strzałami święci, z uśmiechem wznoszący oczy do nieba! Nikt mi nie powie, że ci ludzie nie byli zwariowani.

Kręciłem nosem nawet na współczesnych artystów. Unoszący się w powietrzu rabini Chagalla tylko potwierdzali to, co sądziłem o religii - wszystko tam było wywrócone do góry nogami, wirujące, pokręcone i doprowadzało do zawrotu głowy, bo nie było wiadomo, za który koniec uchwycić, by to wszystko rozplatać. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego wszystkie te postaci ludzi i zwierząt są uśmiechnięte, dlaczego nie uważają, że są w okropnym położeniu, jak porwani przez tornado ludzie w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*.

Zbity z tropu, że nie mogę nic z tego zrozumieć, przestałem wierzyć we wszystkie religijne opowieści i wszystkie religijne obrazy. I tak po jakimś czasie przestałem się zastanawiać nad najbardziej dla mnie w dzieciństwie kłopotliwym elementem sztuki religijnej - nad aureolami, które ukazywały się nad głowami niektórych ludzi. Takie żółte krążki za głową.

Co to takiego jest?

Aureola.

Co to jest aureola?

To, co mają prawdziwie pobożni ludzie. To krąg światła.

A czy pobożni ludzie mają to teraz?

Nie. Już nie.

Ale kiedyś mieli?

Artyści sobie wyobrażają, że mieli.

To znaczy, że pobożni ludzie obecnie takich aureoli nie mają, a artyści uważają, że kiedyś mieli?

Czy to złudzenie?

W ten sposób artyści nam pokazują, że ci ludzie na ich obrazach byli bardzo pobożni.

Ach tak!

To wyjaśnienie zupełnie mi nie wystarczyło. Z jednego powodu: aureole przedstawiano w rozmaity sposób. Czasem było to kółko nad głową. Czasem był to pomarańczowy blask bijący z głowy. Czasem tylko jedna postać, taka jak Jezus, miała aureolę. Czasem na obrazie mieli ją wszyscy.

I jeszcze jedno: nikt na tych obrazach nie robił tego, co, jak sądziłem, każda normalna osoba powinna zrobić - wskazać palcem aureolę i powiedzieć: „Patrzenie, on ma nad głową duże żółte kółko”. A może nikt tego nie widział.

Co więcej, są takie obrazy, na których Jezus nie ma aureoli. Jedni artyści malowali aureolę, inni nie. Nowocześni artyści jej nie malują. Wydawało mi się to znaczące. Aureola należy do stylu artystycznego. To po prostu sposób artystycznego widzenia. Aureola nie jest niczym rzeczywistym. Może za dawnych dni ludzie wierzyli w takie zabobony, ale obecnie nie wierzą. Żółte światło bijące z głowy! Też coś!

Nigdy o tym nikomu nie powiedziałem, ale potajemnie wypatrywałem aureoli. Sądziłem, że może nasz pastor, wielebny pan Van Zaten, jest dość pobożny, by ją mieć nad głową. Podglądałem go w czasie nabożeństwa. Ale najwidoczniej jej nie miał, a przynajmniej ja nie mogłem jej dostrzec. Przyglądałem się fotografiom papieża w tygodniku „Life”, ale nigdy nie było nad nim aureoli. Może aureoli nie widać na fotografii.

Niekiedy przyglądałem się swoim przyjaciółom i w sprzyjających warunkach mogłem dostrzec na tle jednostajnie błękitnego nieba coś białawego wokół ich głów. Ale widocznie było to swego rodzaju złudzenie optyczne, spowodowane zbyt usilnym wpatrywaniem się w przedmiot.

Znałem inne złudzenia optyczne, takie jak czarne plamki, które się widzi, kiedy się zamknie oczy i przyciśnie gałki oczne. Albo kiedy się patrzy przymrużonymi oczami na swoje ręce na ciemnym tle, palce wydają się dwukrotnie dłuższe i mają na sobie coś jakby żółte prążki. Jest to oczywiście złudzenie optyczne, spowodowane przez rzęsy przesłaniające pole widzenia.

W każdym razie nigdy nie widziałem żadnej aureoli.

W końcu przestałem jej wypatrywać.

Już jako dorosły zastanawiałem się niekiedy nad aureolą. Odgrywała tak dużą rolę w malarstwie religijnym, czy mogła być jedynie czyimś wymysłem? A jeżeli tak, to dlaczego malarze tak wytrwale trzymali się tego wymysłu? Dlaczego kółko, a nie gwiazda albo półksiężyc? Dlaczego żółte, a nie czerwone, niebieskie albo zielone? Dlaczego malarze tak właśnie przedstawiają aureolę?

Nigdy mi nie przyszło do głowy najprostsze wyjaśnienie: że artyści malowali aureole, ponieważ każdy je ma i każdy, kto zechce, może je zobaczyć.

Tyle że dziś nie nazywamy ich aureolami, nazywamy je aurą.

Chciałem zobaczyć aurę. Uznałem, że pora już spróbować. Wiedziałem, że jeśli się chce do czegoś dojść, nawet w najbardziej tajemniczej dziedzinie, potrzeba pewnej praktyki. Może dużo praktykując, mógłbym się nauczyć spostrzegać aurę.

Słyszałem, że może mnie tego nauczyć Carolyn Conger. Wiosną 1986 roku odbyłem u niej na pustyni kalifornijskiej wraz z ośmioma innymi osobami dwutygodniowe seminarium.

Skromny domek Carolyn był położony u stóp góry wznoszącej się na wysokość półtora kilometra nad pustynią. Carolyn była bardzo przyjacielska.

- Ty pewnie jesteś Michael. - Dała mi szturchańca w bok.

Pierwsza rzecz, jaka mnie w niej uderzyła, to jej ciepło i zwyczajność.

- Zarezerwowałam dla ciebie wielkie łóżko - powiedziała - choć nie wiedziałam, że jesteś taki wysoki. Dlaczego mnie o tym nie uprzedziłeś?

- Zapomniałem. Ale przecież chyba i tak o tym wiedziałaś?

Carolyn była sławną jasnowidzącą.

- O, jesteś skłonny w to wierzyć! - Wybuchnęła śmiechem.

Zaniosłem swoje rzeczy do pokoju, skoczyłem na łóżko i wyjrzałem przez okno. Kiedy wróciłem na dół do pokoju dziennego, pod jego oknem stał kojot. Dorodny szaro-biało-brązowy okaz.

- Popatrz! - zawołałem, myśląc: to znak. To bajeczny znak.

- Tak - powiedziała Carolyn. - Kojoty zawsze tu się schodzą o tej porze. Karmię je.

Pomyślałem: To nie znak. No trudno.

Poznałem innych uczestników grupy. Większość z nich była w wieku od trzydziestu do czterdziestu lat, zwykli pracujący ludzie: jakiś biznesmen z Waszyngtonu, programistka komputerowa z Georgetown, inżynier elektronik z Los Angeles, gospodyni domowa z Oklahomy i druga z Seattle. Najstarszą osobą była pewna emerytowana aktorka z San Francisco, licząca siedemdziesiąt trzy lata. Ta miała w sobie najwięcej energii.

Dom Carolyn był ładnie urządzone, ale na ścianach nie było żadnych obrazów. Carolyn powiedziała, że tyle widzi wokół ludzi, że obrazy tylko by jej przeszkadzały.

Opowiedziała nam, że od urodzenia odznaczała się szczególną wrażliwością. Już od dziecka postrzegała aurę i pytała swoją siostrę o te piękne, lśniące, barwne szaty spowijające wszystkich ludzi. Siostra mówiła, że nie widzi żadnych barw wokół nikogo. Inni członkowie rodziny także ich nie widzieli. Kiedy Carolyn narysowała w szkole drzewa otoczone żarzącą się aurą, usłyszała od nauczycielki: „Czy mogłabyś się bardziej postarać?” Z czasem zdała sobie sprawę, że ma niezwykle dar postrzegania, jakiego nie mają inni ludzie.

Zrobiła doktorat z psychologii i pracowała nad różnymi programami na Uniwersytecie Columbia w Los Angeles. Mówiła też o sobie, że ma zmysł do techniki, i lubiła się zabawiać komputerem i elektronicznymi gadżetami. Nie było w niej absolutnie nic czarodziejskiego.

Nie miała określonego programu zajęć podczas tego seminarium.

- Ale - powiedziała - jeżeli ktoś chce robić coś szczególnego, niech mi powie.

- Chcę zobaczyć aurę - zgłosiłem się.

- Zobaczysz, zobaczysz - zapewniła mnie ze śmiechem.

O szóstej rano przychodził mnich, wyznawca zen, i medytował z nami przez godzinę. Potem

jedliśmy śniadanie i mieliśmy poranną sesję z Carolyn. Po lunchu większość wybierała się na przechadzkę lub spała. Obiad był o szóstej, a po nim odbywała się sesja wieczorna. Wydawało się to podobnie zorganizowane jak seminarium Brugha; rzeczywiście Brugh i Carolyn byli ze sobą zaprzyjaźnieni.

Po pierwszym wieczornym zebraniu powiedziała:

- Wyjdźmy na dwór.

Wyszliśmy na taras. Było koło dziesiątej, świecił księżyc w pełni.

- Spójrzcie na góry.

Spojrzeliliśmy na wznoszące się wysoko za domem góry.

- Czy coś widzicie?

Widziałem góry.

- Nic więcej?

- O co chodzi?

- Nie widzicie, że tam coś się dzieje? Żadnych świateł?

Spojrzałem. Zobaczyłem góry wznoszące się na pustyni, nagie skały w świetle księżyca.

- A co ty widzisz? - spytałem.

Roześmiała się.

- O, tam mnóstwo się dzieje. W górach jest mnóstwo energii.

Spojrzałem znowu i znów nic nie zobaczyłem. Ale potem, kiedy wpatrzyłem się dłużej, dojrzałem coś, co wyglądało jak robaczki świętojańskie. Małe punkciki białego światła. Bardzo blade.

- Widzę małe świetlne punkciki.

- A co jeszcze?

Nic innego nie widziałem.

- Żadnych wybuchów? Pięknych wybuchów? - Głos miała rozmarzony.

Nie, nie widziałem żadnych wybuchów. Na miłość boską, przecież się wpatrywałem w te cholerne góry. I zaczęły mnie ogarniać podejrzenia. Nie chcę dać sobie nic wmówić. Powiedziałem to.

- Po prostu musisz się odprężyć.

Czułem się znakomicie odprężony. Nie mogłem się odprężyć już bardziej.

Znów przyjrzałem się górskim grzbietom. A wtedy ujrzałem pomarańczową mgiełkę, jakby wielki wybuch pomarańczowego pyłu. Przestałem się wpatrywać - to wszystko znikło.

- Widziałem, jak dmuchnęło czymś pomarańczowym.

- Aha! I co jeszcze?

- Czy tam było coś pomarańczowego?

- To była energia. Coś jeszcze?

Spojrzałem. Zobaczyłem jakieś poziome smugi. Białe smugi ciągnące się nad górami.

- Tak - powiedziała Carolyn. - Ja je nazywam węzami. Wzdłuż grani?

- Tak, wzdłuż grani.

Kiwnęła głową.

- Zwykle widuję tam różne rzeczy - rzuciła. - Widuję kropki białego światła, eksplozje i to, co nazywam węzami.

- I sądzisz, że naprawdę tam są?

- A ty tego nie widziałeś?

- To mogło być złudzenie optyczne.

- Jakież by to mogło być złudzenie optyczne?

- Nie wiem. Może to słabe światło księżyca, a może coś się dzieje takiego z siatkówką, że się nam wydaje, iż widzimy te iskierki i inne rzeczy.

- No to wyjdź kiedyś wieczorem, kiedy nie będzie księżyca, i sprawdź, czy tam to wszystko jest.

- A mówisz, że jest?

- Będziesz musiał sam to sprawdzić.

Potem obejrzała się na krzaki jałowca rosnące na dziedzińcu.

- Tylko popatrz na te krzewy.

Spojrzałem. Zdawały się żarzyć w ciemnościach. Obwodził je niebieskozielonawy blask. W niektórych miejscach był mocniejszy, w innych słabszy.

- To jest aura - powiedziała Carolyn.

- Czy drzewa i krzewy też mają aurę?

- No pewno.

- I co to znaczy? - zapytałem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparła. - Ale mają.

Carolyn była ostrożna w formułowaniu hipotez i niechętnie tworzyła konstrukcje myślowe, które by wyjaśniały określone doświadczenia. A ponieważ często prowadziła seminaria, których uczestnicy miewali niezwykle doświadczenia i domagali się od niej, by je wytłumaczyła, nabrała umiejętności uchylania się od odpowiedzi i kierowania pytania z powrotem do pytającego.

Czy kryształy przechowują energię?

- Jeżeli w to wierzysz, jest to dla ciebie prawda - odpowiadała.

Czy codzienna medytacja to coś dobrego?

- Jeżeli w to wierzysz, jest to dla ciebie prawda.

Czy jest coś takiego jak czary?

- Jeżeli w to wierzysz, jest to dla ciebie prawda.

Ale nie zawsze się uchylała. Trzeba ją było dobrze obserwować, by dostrzec, jak ostrożnie, według jakiejś subtelnej skali, różnicuje odpowiedzi. Czy wierzy, że piramidy chroniły żywność przed zepsuciem?

- Nie wiem. Niektórzy wierzą. Albo wierzyli.

Czy wierzy w astrologię?

- Zabawne jest czytać te przepowiednie w gazetach.

Czy wierzy w istnienie Trójkąta Bermudzkiego?

- No...

Czy wierzy w wampiry?

- O nie, oczywiście nie - odpowiadała ze śmiechem.

Ale na ogół była ostrożna w określaniu, co pewne rzeczy znaczą. Ktoś ją zapytał o znaczenie kolorów w aurach.

- Nie wiem, co one znaczą - odpowiedziała. - Ludzie mają na temat tych kolorów różne poglądy, ale ja sama nie wiem. Myślę, że ludzie różnie postrzegają kolory i stany chorobowe powodujące zmianę tych kolorów.

Pewnego wieczora Carolyn zgasiła światło i zawiesiła na drzwiach czarną chustę. Potem poprosiła jednego z panów, by zdjął koszulę i ustawił się na tle tej chusty.

- Co widzicie? - zapytała.

Natychmiast wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego:

- Jego aura jest różowa.

- Pulsuje.

- Jest silniejsza po prawej stronie niż po lewej.

- Ma wiele energii w dłoniach.

Carolyn przytakiwała łagodnie głową, bo jej studenci spisywali się bardzo dobrze. Potem spojrzała na mnie.

- No a ty? Co widzisz?

- Nic - odpowiedziałem.

To była prawda. Nic nie widziałem, a inni widzieli. Im usilniej się wpatrywałem, mrużąc oczy, marszcząc brwi, tym większa ogarniała mnie beznadzieja. Z rozpaczą w sercu słuchałem:

- Jego czakra sercowa jest bardzo czynna.

- Ma czerwoną opaskę na przegubie dłoni.

- Ma lekkie wyładowania koło kolan.

Wszyscy to widzieli, a ja nie.

- Odpręż się - powiedziała Carolyn. - Musisz się odprężyć. Nie przejmuj się tak bardzo.

Przestałem się przejmować. To wszystko jest głupie. Nie chcę oglądać aury. To przecież całkiem nie ma sensu. Kogo obchodzi jakaś aura? Co mi to da? To tylko urojenie. Wszyscy ci ludzie mają urojenia, a ja ich nie mam, bo jestem przy zdrowych zmysłach.

Odwróciłem wzrok i przetarłem oczy. Dam sobie z tym spokój, pomyślałem. Ale spojrzałem znowu.

Zobaczyłem mężczyznę stojącego na tle czarnej chusty. Wokół niego migotała biała poświata rozciągająca się na odległość kilku centymetrów od jego ciała. Najbardziej była widoczna nad głową i barkami, ale dostrzegałem ją wokół całej postaci. Powoli się rozszerzała i kurczyła, jakby w miarę oddechu. Ale te zmiany nie towarzyszyły oddechowi, miały swój własny rytm.

- O Boże! - powiedziałem.

Carolyn się roześmiała.

Ustawiła na tle chusty innego mężczyznę. Ten wyglądał zupełnie inaczej. Miał także wokół siebie poświatę, ale jego poświata pulsowała znacznie szybciej. I miał wiele elektrycznych wyładowań na całej skórze. Z jego czoła strzelały w przestrzeń wielkie iskry. Wokół szyi miał czerwonawą opaskę, głowa tak mu świeciła, jakby ją zanurzył w roztworze fosforu.

- Nie wierzę temu.

- Uwierz - powiedziała Carolyn.

Inni opisywali to, co widzą:

- Aura Johna pulsuje znacznie szybciej.

- Ma czerwoną opaskę na szyi.

- Coś mu strzela z czoła.

Oni widzą to samo co ja! Pomyślałem: To fantastyczne! Umiem postrzegać aurę!

I nagle już nic nie mogłem dostrzec. Widziałem tylko Johna stojącego bez koszuli.

Ale teraz już coś chwyciłem. Miałem poczucie stanu, jaki trzeba osiągnąć, żeby zobaczyć.



Odpnężyłem się.

I znów spróbowałem. Zacząłem sobie uświadamiać, że wymaga to swego rodzaju odwrócenia uwagi, podobnie jak wtedy kiedy się niesie filiżankę pełną kawy. Jeżeli się patrzy na kawę, na pewno się ją rozleje. Jeśli się na nią kompletnie nie zważa, to też się ją rozleje. Trzeba zachować ostrożność, ale zbytnio się nie przejmować, wtedy się ją bezpiecznie doniesie na miejsce. To było coś w tym rodzaju.

Trzeba zachować równowagę.

Znów zobaczyłem aurę. Znowu postawiono pierwszego mężczyznę, George'a, na czarnym tle. Jego aura wciąż pulsowała powoli, znacznie wolniej niż aura Johna. Popatrzyłem na jego twarz i gdy się tak w nią wpatrywałem, poszarzała, a jej rysy niemal się zatarły.

Spytałem o to Carolyn.

- To dlatego - powiedziała - że aura istnieje w trzech wymiarach. Widzisz aurę przed jego twarzą i to ona zaciera jego rysy.

To najwyraźniej to samo, co oglądałem u Lindy, kiedy medytowałem z nią przed kilku laty. Wszystko zaczęło nabierać dla mnie sensu. Przyglądaliśmy się Johnowi jeszcze przez chwilę, a potem Carolyn zapaliła światło.

Umiałem zobaczyć energię z niej bijącą. Była tak silna, że widać ją było nawet w jasnym świetle. Widziałem wielkie jasnozielone obłoki snujące się wokół jej głowy. To fantastyczne!

Ale kiedy tylko się tym zachwyciłem, wszystko znikło mi z oczu. Musiałem się odpnężyć i zacząć od nowa.

Spacerowałem cały wieczór, oglądając aury. Wszedłem na dwór i patrzyłem na górę. Widziałem, jak była czynna, widziałem iskry i „węże”, i wybuchy pomarańczowego pyłu. Patrzyłem na drzewa. Miały wokół siebie poświatę. Wróciłem do domu. Wszystko się tam żarzyło. To było fantastyczne. Nic dziwnego, że Carolyn nie zawiesiła żadnych obrazów na ścianach swego domu. Ta energia stanowiła znacznie ciekawszy widok.

Ale następnego ranka już się oswoiłem ze swoją zdolnością widzenia aury. To mam już za sobą. Co dalej? Byłem pewien, że zdarzy się teraz coś cudownego. Byłem w stanie uniesienia. Spędziłem cały dzień na samotnej wędrowce po górach. Oczekiwałem jakiegoś rewelacyjnego przeżycia, czegoś naprawdę olśniewającego i wspaniałego.

Widziałem kilka królików. Uciekły przede mną.

To było wszystko.

Carolyn zleciła nam ćwiczenie z medytacji.

- Wszyscy w tej grupie potrafią kochać. Chcę, żebyście teraz wyszli i pokochali samych siebie. Usiądźcie pod krzewem jałowca, oddajcie się medytacji i pokochajcie sami siebie, jeżeli potraficie.

Wiedziałem, że to trudna medytacja, ale byłem na nią gotów. Wiedziałem, że dam sobie z tym radę. Pełen ufności poszedłem na pustynię, znalazłem krzew jałowca i usiadłem pod nim. Zacząłem medytować. Ale przyszło mi do głowy, że w piasku mogą być mrówki czy coś takiego. Wierciłem się niespokojnie. A może także jakiś wąż zawisł na tym jałowcowym krzaku. Lepiej to sprawdzić.

Te myśli zakłócały mi medytację. Nie mogłem się skupić. W końcu stwierdziłem, że to nieodpowiedni krzak i przeniósłem się pod inny. Ale ten także nie okazał się odpowiedni.

Poszedłem głębiej w pustynię. Do tej trudnej medytacji potrzebowałem oczywiście zupełnej samotności. Wybrałem sobie krzew, usiadłem pod nim i odetchnąłem. Znowu zobaczyłem królika. Uciekł ode mnie, ale wiedziałem, że jest gdzieś w pobliżu. Kiedy zacznę medytować, wyskoczy i przeszkodzi mojemu skupieniu. Postanowiłem przenieść się w inne miejsce.

Wybrałem sobie nowy krzak. Był nieco przywiedły z jednej strony. Usiadłem pod nim. Ale, ponieważ był przywiedły, nie dawał dostatecznego cienia. Było mi tu za gorąco, żeby medytować. Uznałem, że muszę się przenieść gdzie indziej. Pomyślałem jednak: To śmieszne. Przestań się wiercić i rób swoje.

Zostałem więc i próbowałem oddać się medytacji. Nie mogłem. Nie potrafiłem się skupić. W końcu dałem sobie spokój. Postanowiłem, że pokocham siebie innego dnia.

Mieliśmy wyznaczone dwa dni postu i milczenia. Powiedziano nam, że w tym czasie mamy nie patrzeć nikomu w oczy ani w żaden sposób nie uznawać niczyjej obecności.

I to właśnie było dla mnie niezwykle trudne. Nie potrafiłem być, powiedzmy, w kuchni z kimś innym i go nie zauważać. Nie mogłem udawać, że tego kogoś nie ma. Uważałem, że to ogromnie obraźliwe.

Znoszenie postu nie było trudne. Milczenie nie było trudne. Ale niezauważanie innych było wręcz brutalne. Nie tylko trudno mi było tego przestrzegać, ale czułem się głęboko urażony, kiedy inni tak się odnosili do mnie. Jak mogą tak mnie ignorować? To bardzo przykre.

Zlekceważyłem wszystkie zasady. Próbowałem zaglądać ludziom w oczy, witać ich skinieniem głowy i uśmiechać się do nich. Ale nikt na mnie nawet nie spojrzał. Pierwszego dnia czułem się bardzo nieszczęśliwy.

Potem przywykłem.

Polubiłem większość ludzi z naszej grupy, ale paru nie mogłem znieść. Po prostu mnie drażnili. Jedna z pań była zawsze ponura, łzawa i smutna. Nie mogłem znieść, że wciąż jest taka przygnębiona, chodzi z paczką chusteczek w ręku i pociąga płaczliwie nosem. Dlaczego nie weźmie się w garść i nie zrobi czegoś ze swoim życiem?

A jeden z panów ciągle się na coś uskarżał, wciąż nad sobą biadolił. Nieustannie skarżył się na chwilę obecną i na to, co mu się przydarzyło w przeszłości. Jak to go źle traktowano. Jaką to wyrządzono mu krzywdę. Nieustannie o tym opowiadał. Nie mogłem słuchać tych skarg.

W drugim tygodniu pobytu moja niechęć do tych osób zaczęła mi doskwierać. Chciałem się jej pozbyć. Poszedłem na pustynię, by się zastanowić, dlaczego tak mnie drażnią. Przecież inni także mają swoje przywary, a nie mam im tego za złe. Co jest w tych dwojgu?

Zapewne przypominali mi o tych aspektach mojej własnej osoby, których nie lubiłem, ale choć starałem się, jak mogłem, nie potrafiłem sobie uświadomić, o co tu chodzi. Przecież nie płaczę przez cały czas. Przecież z pewnością nie biadolę nad sobą. A może jednak?

Z drugiej strony, by pozbyć się tej niechęci, musiałem uznać, że przecież ludziom wolno robić kwaśne miny i użalać się. A ja po prostu nie potrafiłem tak postępować.

Ogarnął mnie krytyczny nastrój. Zacząłem zauważać coraz więcej rzeczy, które mi się w tej grupie nie podobają. Na przykład posługiwanie się żargonem.

W takich grupach obowiązuje szczególnie żargon. Ludzie nie myślą o jakiejś sprawie, ale „nad nią

siedzą”. Nie mówią o czymś, ale „się tym dzielą”. Nie mają trudności, ale „problemy”. Nie pomagają, oni „ułatwiają”. Nie mają kochanek czy kochanków, ale „osoby o szczególnym znaczeniu”.

Ten żargon działał mi na nerwy. Kiedy „siedziałem nad swoimi problemami dotyczącymi osoby mającej dla mnie szczególne znaczenie”, uważałem, że lepiej zrobię, jeżeli po prostu pomyślę o kochanej dziewczynie.

Zacząłem uskarżać się w grupie na ten żargon. Uważałem, że ludzie, którzy zebrali się wspólnie, aby zająć się swoim rozwojem duchowym, nie powinni wytwarzać specjalistycznego żargonu. Wyodrębnia on ich jako grupę, wyobcowuje od reszty społeczeństwa i pozwala czuć się kimś wyjątkowym, co ma bezpośredni wpływ na ich doświadczenia. Nikt nie zwracał uwagi na te moje wywody.

Wkrótce potem zacząłem odczuwać, że oni wszyscy są mi całkiem obojętni, że nie zależy mi na dobrych stosunkach ani z nimi, ani z nikim innym. Chodziłem smutny przez prawie całe dwa dni.

A potem poczułem, że już nie mam do nich żadnych pretensji. Wszyscy są w porządku. Lubię ich wszystkich. Nawet żargon przestał mi przeszkadzać.

Robiłem postępy we wszystkich dziedzinach prócz jednej. Od początku seminarium większość nocy spałem na pustyni, a nigdy nie potrafiłem przemóc w sobie bezsensownego strachu przed dzikimi zwierzętami.

Przed kilku laty zdecydowanie stwierdziłem, że nie boję się dzikich zwierząt, ale teraz u Carolyn na samą myśl o nich kulilem się w śpiworze ze strachu.

Przede wszystkim przed skorpionami. Bałem się skorpionów. Nie widziałem dotąd na tej pustyni żadnego, ale wiedziałem, że gdzieś tu są. A grzechotniki? Co będzie, jeśli jakiś wpłźnie do śpiwora? Było jeszcze za chłodno na pojawienie się grzechotników, ale tym bardziej któryś może poszukać ciepła.

I co bym zrobił, gdybym miał takiego węża w śpiworze? I co on by zrobił? Zwinąłby się w kłębek u moich stóp?

Kiedy już miałem dosyć rojeń o grzechotnikach, usłyszałem wycie kojotów i zacząłem trapić się kojotami.

Chyba kojoty nie będą mi dokuczać?

Tak? A pomyśl tylko, jak wyglądasz z tym śpiworze. Jak olbrzymi kawał kiełbasy. Smakowity wór mięsa. W sam raz dla kojota.

Chyba kojoty nie będą mi dokuczać?

Tak? Mogą. Zwłaszcza jeżeli są wściekłe. Wiesz, że wściekłe zwierzęta są nieobliczalne. Nie boją się człowieka. Podejdą całkiem blisko. I tylko jedno ukąszenie...

Nie sądzę, by tu zdarzała się wścieklizna.

Tak? Ale jeżeli kojot cię pogryzie, będziesz musiał brać zastrzyki, a dobrze wiesz, jak nienawidzisz zastrzyków.

Zastrzyk to zastrzyk.

Ale to jednak boli. I wiesz, że zastrzyki nie zawsze działają. Możesz i tak umrzeć. A co... jeżeli coś cię ugryzie, a ty tego nie zauważysz?

Ja bym miał nie zauważyć?

Tak? Nietoperze wampiry mają zęby ostre jak brzytwa i gryzą w stopy między palcami. Nim zdążysz się obudzić, wyssa ci krew.

Tu nie ma wampirów. Czy nie możemy już zasnąć?

Nie. Tu nie jest bezpiecznie.

Mój dialog z samym sobą ciągnął się dalej. Co noc, nim udawało mi się uspokoić i zasnąć, zajmował mi około półtorej godziny. A każda następna noc wcale nie była łatwiejsza. Ostatniej nocy naszego zjazdu obudziłem się koło północy i usłyszałem, jak kojoty buszują w śmietniku koło domu. Chrupały kości. Chrup, chrup.

Ty będziesz następny.

Daj spokój, nie możemy po prostu zasnąć? Pamiętasz tamtego słonia w Kenii? Pamiętasz, jak głupio się wtedy czuleś?

To było wtedy, a teraz jest teraz.

Chrup, chrup.

Pomyśl, jak wygodnie by ci było w domu.

Nie wrócę do domu.

Mite, ciepłe łóżeczko...

Nie wrócę do domu.

Nie chcesz wrócić do domu tylko dlatego, że wszystkim opowiadasz, że nie boisz się zwierząt. Właściwie pysznisz się tym. Nie masz pojęcia, kim naprawdę jesteś. Powiedz sobie szczerze: jesteś przerażony nocowaniem na świeżym powietrzu.

Nie wrócę do domu.

No dobrze. Rób, co chcesz. Kojoty, kiedy skończą z tym śmietnikiem, będą nadal głodne.

Nie wrócę do domu.

I nie wróciłem. Ale walka trwała nieustannie. Moje wewnętrzne głosy wciąż prowadziły ze sobą dialog. A ja myślałem: Czy już wygrałem tę bitwę? Czy mogę już zasnąć? Odpowiedź brzmiała: nie.

I wreszcie, w środku nocy, wykrzyknąłem na cały głos:

- No już dobrze, do cholery! Przyznaję się. Boję się zwierząt.

...I nie wiesz, kim naprawdę jesteś...

- I nie wiem, kim naprawdę jestem.

I z tymi słowami na ustach zapadłem w głęboki sen.

Kiedy wróciłem do domu z tego seminarium, rozglądałem się po ludziach, żeby sprawdzić, czy widzę ich aurę. Widziałem. Było to bardzo zabawne. Kiedy się człowiek znudzi na proszonym obiedzie, może sobie popatrzeć na ludzkie aury.

Ale nie była to najcenniejsza zdobycz, jaką wyniosłem z seminarium. Najważniejsze wydało mi się to, że choć dowiedziałem się o sobie samym więcej niż kiedykolwiek w życiu, musiałem przyznać - tak jak o tym krzychałem na pustyni - że nie wiem, kim jestem.

## *Jakiś dziwny stwór*

Na wiosnę 1986 roku wciąż spotykałem się z Garym, tym, który mnie nauczył, jak być przekaźnikiem odmiennego stanu świadomości. W dalszym ciągu badałem z nim te możliwości.

Starałem się nie oceniać tego, co się dzieje, ale po prostu traktować wszystko jako doświadczenie. Minione żywoty, sterowane medytacje, podróż astralna - wszystko było dla mnie po prostu interesującym spędzaniem czasu.

Takie było moje ogólne nastawienie - ciekawe zajęcie, wiele wątpliwości i najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy - kiedy pod koniec pewnego seansu Gary powiedział:

- Podczas naszych dzisiejszych zajęć wyczułem obok ciebie obecność jakiejś istoty.
- Obecność czego?
- Jakiejś istoty. Ciemnej siły.
- Jakiejś istoty - powtórzyłem. Nie docierało to do mnie. Nie mogłem pojąć, o czym mówi.
- Chyba przeszkadzała nam w pracy - powiedział.
- Co? Ta istota?
- Tak. Jest z tobą związana. Czy tego nie czujesz?
- Nie - odparłem. Zacząłem się niepokoić. Czuję, jak chce mi powiedzieć, że coś ze mną nie jest w porządku. Brzmiało to niedobrze, jak coś poważnego. Jakaś związana ze mną istota! - A co to za istota?
- No, może to być jakaś dusza wyzuta z ciała, jakaś zabłąkana dusza.
- Zabłąkana dusza.
- Coś, co do ciebie przyłgnęło wcześniej w twoim życiu, może kiedy byłeś chory albo za dużo piłeś, albo brałeś narkotyki. Kiedy jesteś osłabiony, takie coś może przyczepić się do twojego pola energetycznego i już nie popuści. I może zostać z tobą przez całe lata. A może to coś, co sam sobie wymyśliłeś. Naprawdę nie wiem. Ale to tutaj jest.

Teraz już zrozumiałem.

- Mówisz, że jestem opętany?
  - Tak to się nazywa...
- Stało się, oszalałem.
- Co się tak nazywa? - Byłem załamany. - Mówisz, że mam w sobie demona czy coś? Potrzebuję egzorcysty?
  - Czy to takie złe? - zapytał spokojnie Gary.
  - Tak! - krzyknąłem. - To okropne! Co mam z tym zrobić?
  - Nie jestem pewien - powiedział Gary. - Będę musiał kogoś o to zapytać.
  - O co?
  - Znam kogoś, kto ma doświadczenie w tych sprawach.
  - Kogoś, kto się zna na egzorcyzmach?
  - Tak. Porozmawiamy o tym jutro.
  - Co ty mówisz? Słuchaj, Gary, ja mam pracę, muszę pisać, muszę być spokojny. Nie możesz

mówić ludziom, że mają do siebie przywiązane jakie istoty i że porozmawiasz z nimi o tym jutro! - Teraz już krzyczałem, wrzeszczałem na niego.

- Słuchaj - powiedział - mnie także to się nie podoba. Porozmawiamy o tym jutro. Jestem jednak całkiem pewien, że masz obok siebie taką istotę. Ale się nie martw. To w końcu nie jest jeszcze koniec świata.

To nie jest jeszcze koniec świata!

Byłem wściekły. Któż to słyszał, żeby mieć przy sobie jakąś nękającą istotę? Następnego dnia znów nie mogłem się skupić, nie mogłem pisać. Byłem zły i przygnębiony. Zadzwoiłem do Gary'ego.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- A jak myślisz? Okropnie.

- No to przyjdź o piątej, odbędziemy seans.

- Dobrze.

- Słuchaj - dorzucił - poprosiłem kogoś, by także przyszedł. To kobieta, psycholog, jeżeli się na to zgodzisz.

- W porządku.

- Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu? Jeżeli nie zechcesz, ona nie przyjdzie.

- Niech przyjdzie.

O piątej wszedłem do mieszkania Gary'ego. Pokój był całkiem odmieniony. Zasłony były zaciągnięte, wszędzie paliły się świece. Na sofie stał rząd obrazów świętych mężów, od Jezusa Chrystusa do Muktanandy, na stolikach były porozstawiane kryształowe kule. Stół do masażu był przykryty białym prześcieradłem.

Oho, pomyślałem, on naprawdę to zrobi. Odprawi nade mną egzorcyzmy.

Zostałem przedstawiony drobnej ładnej kobiecie z krótko obciętymi włosami, Beth. Była bardzo spokojna, ale w całym pokoju dawało się wyczuć napięcie. Gary wydawał się mocno przejęty.

Ja także byłem spięty. Poskarżyłem się jej, jak to Gary mnie zostawił z myślą, że mam przy sobie jakąś istotę, i jakie to według mnie śmieszne, ta cała istota.

Słuchali mnie, a potem odezwała się Beth, z właściwym sobie spokojem:

- A jeśli to prawda?

Wprost mną rzuciło. Ona się z nim zgadza!

- Czy uważasz, że mam koło siebie taką istotę?

- Wyczuwam coś koło ciebie - odpowiedziała.

- No cóż! - westchnąłem.

- Jak będziesz gotów, połóż się na stole - powiedział Gary.

Położyłem się na stole. Byłem teraz niezłe zdenerwowany. Miałem przed oczami melodramatyczne obrazy Maxa von Sydow i Lindy Blair.

Ale byłem także pełen oczekiwania. Egzorcyzmy, no dobrze, zobaczymy, co będzie dalej.

A dalej było tyle, że Gary powiedział:

- Teraz zajmę się przez chwilę Beth, a ty się rozluźnij.

Położyłem się więc na stole, zamknąłem oczy i próbowałem się odprężyć. Słyszałem, jak Gary pomaga Beth ułożyć się na sofie i jak wprowadza ją w trans. Robił to, mówiąc do niej i puszczając monotonną muzykę z taśm. Zajęło to chwilę, nim ją pogrążył w głęboki sen.

Wreszcie tuż obok ucha usłyszałem jego głos:

- Gotów?

- Gotów - powiedziałem. Teraz byłem naprawdę zdenerwowany. Coś we mnie mówiło: „Co za wariactwo z tymi egzorcyzmami, nie wiesz, co się wydarzy; mówisz, że jesteś w posiadaniu jakiegoś demona, a to jakiś idiotyzm”. Ale postanowiłem brnąć w to dalej.

Gary wprowadził mnie w trans niemal tak samo jak przed chwilą Beth. Miałem sobie wyobrazić światło, odprężyć się, wyobrazić sobie, jak moje ego odsuwa się od mojego wnętrza. Zazwyczaj takie wprowadzenie zajmowało zaledwie parę minut, ale tym razem było chyba znacznie dłuższe. Chciał, żebym zapadł w głęboki trans.

W końcu powiedział:

- No dobrze, Michael. Teraz chcę, żebyś ujrzał swoje ciało całkowicie otoczone światłem. Ma być tyle światła, żeby wszystko, co jest ciemne, było wyraźnie widoczne na jego tle.

Zobaczyłem to.

- W porządku. Czy teraz widzisz coś ciemnego obok swego ciała?

Postarałem się zobaczyć. Ku swemu zdumieniu zobaczyłem demona z filmu rysunkowego, coś jakby złego ducha Walta Disneya. Zobaczyłem go przed sobą, u swoich stóp zaś dojrzałem jakby wielką pluskwę czy mrówkę. Za lewym ramieniem spostrzegłem małego człowieczka w kapeluszu, około sześćdziesięciu centymetrów wzrostu.

- Widzisz coś? - pytał Gary.

Czułem się śmieszny. Tym, co przede wszystkim widziałem, był diabeł z filmu rysunkowego i nie miałem zamiaru nawet otwierać ust, by opowiedzieć, że widzę disneyowskiego diabła.

- Nie.

Gary przeszedł przez pokój do sofy, na której leżała Beth.

- Beth, masz już jakie wiadomości?

Usłyszałem, jak odpowiada jakby z głębi transu sennym głosem:

- Koło niego są trzy istoty. Jakiś wielki stwór, jakiś owad i mały człowieczek.

O Boże! - pomyślałem.

Bo przecież nic nie mówiłem. Leżałem z zamkniętymi oczami na stole, a Beth, także z zamkniętymi oczami, na sofie. Nigdy jej przedtem nie spotkałem. W żaden sposób nie mogliśmy się porozumiewać między sobą, a jednak zobaczyła to samo co ja. Jak to możliwe?

Gary wrócił do mnie.

- Czy słyszałeś - szepnął mi w ucho - co powiedziała?

- Tak.

- I co ty na to?

Przyznałem, że ma rację. Opisałem te ciemne istoty. Wtedy mój lewy bark i lewą część szyi zaczął chwytać bolesny kurcz. Przypomniałem sobie, kiedy poczułem coś takiego pierwszy raz. Było to latem 1968 roku, gdy wracałem samochodem z Florydy do domu w Massachusetts. Byłem wtedy studentem medycyny. Wyjechaliśmy z żoną na parę tygodni na Florydę, gdzie chciałem ponurkować i zrobić korektę książki, której zamierzałem nadać tytuł *Andromeda znaczy śmierć*, gdyby miała wreszcie pójść do druku. Praca poszła mi dobrze, ale kiedy jechałem sobie błękitnym volvo, poczułem okrutny ból w lewym barku i szyi. Trzymał mnie koło pięciu miesięcy, potem stopniowo zaczął ustępować. Sądziłem, że to z napięcia mięśni przy pisaniu na maszynie albo przy kierownicy.

- Porozmawiaj z tym człowieczkiem - powiedział Gary.

Próbowałem do niego zagadać, ale się nie odzywał. Wyczuwałem, że pod wielkim kapeluszem

kryje się stary gniewny jegomość, i dojrzałem, że ma w rękę wędkę. Nie mogłem go dobrze obejrzeć, bo stał za mną, za moim ramieniem.

Gary zadał mu parę pytań, zwracając się bezpośrednio do niego, ale nie udało nam się nic wskórać. Milczał jak zakłęty.

Gary zapytał Beth, co mam dalej robić.

- Porozmawiaj z tym stworem, którego masz przed sobą - powiedziała.

- To disneyowski diabeł - odparłem. - Taki z filmu rysunkowego.

- Tak się przedstawia twoim oczom - tłumaczyła. - Chce, żebyś go widział właśnie takim.

- Możesz porozmawiać z tym stworem? - odezwał się Gary.

Spróbowałem. Przypominał mi nietoperza i wpatrywał się we mnie wielkimi pustymi oczami.

Ale udało mi się z nim porozmawiać, tak.

- Spytaj go, od jak dawna jest z tobą.

- Od bardzo dawna. Od lat.

- Zapytaj go, skąd się wziął.

- Ja go stworzyłem.

- Kiedy go stworzyłeś?

- Kiedy miałem cztery lata.

- Poco?

- Dla ochrony.

- Dla ochrony przed czym?

- Przed ojcem.

- Co jest z twoim ojcem?

- Chce mnie zabić.

Stoję przed domem, patrzę na zwirowany podjazd i na mój trzykołowy rowerek. Jestem malutki, mało co sięgam wzrostem ponad jego kierownicę. Dom za mną to wąski piętrowy budynek. Jest wiosna, słoneczny dzień, wokół pełno zieleni. Podjazd prowadzi do drogi, a za drogą wznosi się żółtawe skalne urwisko, wysokie chyba na trzydzieści metrów.

Ojciec właśnie wrócił ze służby na morzu. Mamy się razem wspiać na tę skałę. Żegnamy się z matką, przecinamy drogę i zaczynamy wspinaczkę. Ja wdrapuję się pierwszy, a ojciec idzie za mną, tak żeby mógł mnie złapać, gdybym spadał.

Idziemy pod górę, ja wcale się nie boję, ale wkrótce jesteśmy już wysoko, a skała jest bardzo stroma i nie widać żadnej ścieżki. Nie wiem, za co mam chwycić rękami i gdzie postawić stopę. Oblatuje mnie strach. Oglądam się na ojca, który idzie za mną, i zdaję sobie sprawę, że on także się boi; już widzi, że to trudniejsza sprawa, niż sobie wyobrażał. Już nie czuję się przy nim bezpieczny. Jeżeli spadnę, na pewno mnie nie złapie.

Oklamał mnie. Jestem przerażony. Kamienie są ostre i ranią mi palce. Są kruche i łamią mi się w rękach.

Brniemy jakoś dalej i wreszcie docieramy na szczyt. Wzięliśmy ze sobą chusteczki do nosa, żeby pomachać nimi do mamy daleko w dole. Machamy do niej, a potem schodzimy inną drogą, po łagodnym stoku porośłym sosnowym lasem. Ojciec idzie obok mnie. Serce mi łomocze ze strachu, kiedy tak idę obok niego.

Mount Ivy, Nowy Jork, 1946.

Gary pyta:



- Czy stworzyłeś sobie tę istotę, żeby cię chroniła przed ojcem?

Mój odciec służył w marynarce. Wrócił do domu. Ale matka wolała mnie niż jego i on miał mi to za złe. Chciał, żebym umarł. Chciał, żebym spadł ze skały i się zabił.

Nienawidził mnie.

- Ten twór cię ochronił?

- Tak.

- I dlatego trzymałeś go przy sobie przez te wszystkie lata? - spytał Gary.

Mam trzynaście lat, już przerosłem ojca, ale jestem żałośnie chudy. Gramy na podwórzu w siatkówkę. On wciąż mnie potrąca i popycha podczas gry. Często przewraca mnie na ziemię. Czasem chce mi się płakać.

Roslyn, Nowy Jork, 1955.

- Czy ten stwór chronił cię także w innych sytuacjach?

- Tak.

Jestem w szkole średniej. Mam metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i ważę sześćdziesiąt siedem kilo. Wyglądam jak kościotrup. Ostatniego roku urosłem trzydzieści centymetrów. Jestem najwyższy w całej szkole, wyższy nawet niż nauczyciele. Wszyscy się ze mnie naśmiewają. Starsi chłopcy gonią za mną w drodze do domu, przewracają mnie na ziemię, siadają na mnie i śmieją się do rozpuku.

Ale ilekroć to się zdarza, ilekroć czuję się poniżony, ilekroć ktoś się ze mnie wyśmiewa, spuszczam z uwagi stwora. A wtedy jakby opadała jakaś niewidzialna ściana, cały świat staje się przymglony. Ledwie mogę dosłyszeć te śmiechy. Słyszę w uchu szept. Ten szept mi mówi, że to bęcwały. Ja jestem cwany i jeszcze im pokażę. To bęcwały. Każdy, kto się ze mnie wyśmiewa, to bęcwał.

- Więc ten stwór, którego sobie wymyśliłeś, chronił cię przed bólem?

- Tak.

- Przed bólem dorastania takiego jak twoje.

- Tak.

- A potem?

- W szkole, tak. Potrafiłem się odciąć, patrzeć na kogoś i myśleć: „Ależ z ciebie dupek”, i zmusić ich do milczenia i żeby dali mi spokój.

- A później?

Na medycynie już mniej korzystałem z jego pomocy. Z czasem coraz mniej.

- A teraz? Teraz coś dla ciebie robi?

- Nie.

Uświadamiam to sobie ze zdziwieniem. Obrazy, jakie widzę, to epizody, w których natrafiam na przeszkody, zawady, trudności, a jednak radzę sobie z nimi sam. Już dostatecznie się zahartowałem.

- Więc jesteś gotów pozbyć się swojego stwora?

- Tak.

- Beth, co sądzisz o tym, co powiedział?

- Myślę, że Michael nie jest na to gotów.

- Ani ja - dodaje Gary.

Słucham ich w dziwnym zubożeniu. Czuję się całkiem bierny, po prostu unoszę się na fali napływających obrazów i uczuć. Znów odzywa się Gary:

- Uważasz, że ten stwór już ci nie pomaga? Przekonajmy się. Nic dla ciebie nie robi przy pisaniu?

- Nie.

Jestem tego pewien. Właśnie walczę o to, by się uwolnić od defensywnej opiekuńczości stwora i od tych wszystkich urojeń.

- Co ty na to, Beth?

- Zgadzam się.

- Czy ten stwór coś dla ciebie robi w innych dziedzinach twojej pracy, w filmie czy telewizji?

Nad tym musiałem się zastanowić. Czasem praca w kolektywie naraża na różne przykrości. Ludzie potrafią być nieprzyjemni. Często czułem się urażony, a wtedy ten sam głos szeptał mi coś kojącego do ucha.

- Tak, ale mogę się bez niego obejść.

- Beth?

- Tak. Może.

- Czy stwór pomaga ci czasem w twoich stosunkach z Anne-Marie?

Uświadamiam sobie, że tak.

- Tak, pozwala mi zachować spokój.

Czasem, kiedy się kłócimy, kiedy czuję się fałszywie o coś oskarżony, kiedy próbuje mi wejść na głowę, spuszczam gniewnie zasłonę i chowam się za nią. Mogę wyjść i dąsać się albo siedzieć w pokoju i wściekać się w milczeniu. Ale w obu przypadkach jestem bezpieczny, znajduję się pod ochroną, mogę ochłonać po walce, umocniony w swoim przekonaniu: takie są kobiety, cóż można na nie poradzić, wszystkie są takie same. Wszystkie żyją tym, co zasiał w nich tatuś, a teraz ty to zbierasz. Wcale ich nie obchodzisz, nawet nigdy nie chcą dobrze cię poznać. Po prostu cię wykorzystują.

I snuję tak dalej w tym duchu, upewniony w słuszności swego oburzenia i pogrążony w mile rozgrzewającym gniewie.

- Czy chciałbyś się go pozbyć?

- Nie wiem.

Ta gniewna kryjówka to miejsce, gdzie jestem u siebie. Jeśli się pozbędę tego stwora, będę musiał stawiać czoło na otwartym polu. To może nie być wygodne.

Myślę o innych sytuacjach. Kiedy chciałem powiedzieć coś miłego, ale obawiałem się, że w ten sposób daję jej psychiczną przewagę; kiedy chciałem powiedzieć, że jestem urażony, zamiast się wściekać; kiedy chciałem już puścić gniew w niepamięć, zamiast tkwić w nim przez całe dni jak w płaszczu ochronnym; kiedy chciałem o coś poprosić, zamiast wnosić zażalenie.

Widzę, że lepiej by było pozbyć się tego stwora. A w każdym razie uświadamiam sobie, że jestem już nim zmęczony.

- Mam już dosyć takiego życia. Tak, pozbędę się go.

- Beth?

- Nie czuję, żeby był na to gotowy.

- Ani ja - odpowiada Gary.

Czuję się zobojętniały. Jestem spokojny. Jestem zrównoważony. Unoszę się na fali. Chcę uwierzyć ich słowom. Gary mówi:

- Ten stwór był dla ciebie bardzo ważny przez długi okres twojego życia.

- Tak.

- Chcę, żebyś mu podziękował za wszystko, co dla ciebie zrobił.

- Dobrze.

Zacząłem mu dziękować w duchu.

- Głośno.

- Dobrze.

Zawahałem się. To głupio przemawiać do diabła z filmu rysunkowego, kiedy inni się mają temu przysłuchiwać. Zamierzałem złożyć stworowi oficjalne podziękowanie. Sztwyne, związane zapewnienie o wdzięczności.

Nagle usłyszałem własne słowa wypowiedziane ciepłym głosem:

- Chciałem naprawdę ci podziękować za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Byłeś wiernie przy mnie w trudnych czasach i jestem ci za to głęboko wdzięczny. Nie doszedłbym do niczego bez ciebie, nic bym bez ciebie nie zrobił, zginąłbym bez ciebie, więc istotnie mnie ochroniłeś i zrobiłeś dla mnie coś wspaniałego.

Jestem wstrząśnięty tym, że to mówię, ale wyobrażam sobie jakiegoś krewnego, kogoś, kto od lat gościł w moim domu, a teraz czuję się wobec niego winny, bo muszę go wyprosić. I staram się wyrazić szczerze podziękowania, ale zarazem tak nim pokierować, by się ode mnie wyniósł.

- Będę naprawdę za tobą tęsknił - mówię - ale już czas się rozstać, czas, byś ty poszedł swoją drogą, a ja pójdę swoją; nasze drogi się rozchodzą, wszystko, co dobre, ma swój kres. Ale chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie zapomnę ani o tobie, ani o tym, co dla mnie zrobiłeś.

Teraz płaczę. Naprawdę kocham tego starego stwora, tego wiernego starego sługę. Tak mi przykro, że ranie jego uczucia. Patrzy na mnie zagubionym wzrokiem, ale widzę, że się z tym godzi. Jestem zdumiony tym, że tak bardzo go kocham i że tak mi smutno z powodu rozstania.

Żegnam się z nim.

- Beth?

- Uważam, że jest gotów.

- Zgadzam się. - Gary pochyła się nade mną. - Michael, teraz usuniemy tę istotę.

- Co mam zrobić?

- Nic. Beth to zrobi ze mną. Zrobi to w planie astralnym.

Czuję się nieco odsunięty od tego planu, ale wciąż jestem bierny. Zrobię, co mi każą.

Gary odchodzi. Teraz coś szeptem do Beth. Przenosi ją na plan astralny. Nie mogę dosłyszeć, co mówią, ich głosy są bardzo ciche. Poza tym jestem pogrążony we własnych uczuciach. Płaczę. Jest mi smutno, że mamy się rozstać.

Po chwili słyszę, jak Beth mówi:

- Jeszcze nie odchodzi.

Natychmiast czuję, że to prawda.

Ta istota wciąż trzyma się blisko mnie.

Będę musiał pomóc.

Wyobrażam sobie, że stoję w drzwiach wiejskiej chaty. Istota jest za drzwiami. Czas powiedzieć sobie do widzenia. Odwracam się plecami, by jej ułatwić odejście. Odwracam się, wiedząc, że nigdy jej już więcej nie zobaczę. Wybucham łkaniem. Ale się nie oglądam za siebie, by sprawdzić, czy wciąż jeszcze tam stoi.

- Nie odchodzi.

Wciąż się nie oglądam za siebie. Mam wrażenie, że jeżeli pozostanę tak odwrócony od stwora,

w końcu da za wygraną i odejdzie.

- Nie. Jeszcze nie.

Chcę się do tego przyczynić. Między mną a stworem musi być jakieś powiązanie, choć nie mogę go zobaczyć. Wyobrażam sobie wielką parę nożyc i z ich pomocą tnę powietrze wokół swojego ciała, przecinając wszelkie więzy. Tnę zamaszycie.

- Wciąż nie odchodzi.

Może za bardzo się staram. Może powinienem dać temu spokój. Niech to Beth zrobi sama.

Widzę ją teraz nad sobą na planie astralnym, w przytłumionym żółtym świetle. Tak jakbyśmy stali na zboczu, a ona była na nim nieco wyżej, w żółtej mgłę. Widzę, jak tam stoi, i nagle dostrzegam wyraźnie stwora.

Jest malutki, sięga jej ledwie do pasa. Ufnie na nią spogląda.

On jest po prostu jak małe dziecko.

Czuję nagły przypływ wzruszenia, smutku na widok tej uformowanej na obraz swego małego stwórcy drobnej istoty, przestraszonego, zagubionego dziecka, które musi teraz odejść. I żał mi siebie samego, że muszę się z nim rozstać, i właśnie w chwili przypływu tego smutku dzieciak ginie gdzieś w oddali.

Beth mówi głuchym głosem:

- Odszedł.

Beth budzi się z transu i ja budzę się z transu. Siadamy, oszołomieni. Gary podaje nam po szklance wody. Patrzę na zegarek. Zajęło to nam trzy i pół godziny. Nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Nie martw się, już odszedł i nie wróci - mówi Gary i zaleca mi, bym uważał, jak będę wracał do domu.

Wracam do domu i opowiadam o wszystkim Anne-Marie. Jest bardzo poruszona. Ale nie mówię o tym nikomu innemu. Ilu ludziom można się przyznać, że się przeszło przez egzorcyzmy?

W każdym razie rodzi się istotne pytanie, jaki to odniesie skutek. Przez najbliższe parę dni niewielki. Potem pokłóciłem się z Anne-Marie. Zaczęło się jak zwykle, ale szybko potoczyło inaczej. Stwierdziłem, że chodzę w kółko po kuchni, zastanawiając się, dokąd pójść. Tak jakby znikł z naszego mieszkania jeden pokój. Tego pokoju, który był moją ucieczką, jakby już nie było. Musiałem zostać i załatwić sprawę do końca. Następne kłótnie także były inne i po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że zmiana nastąpiła już na dobre.

Zauważyłem także, że bardziej dotkliwie odczuwam drobne życiowe przykrości, jakieś przejściowe niesnaski i nieporozumienia z ludźmi, ich kłamstwa i pospolite wyzwiska. Stało się to dla mnie niezwykle bolesne. Nigdy przedtem tak mnie to nie raniło. Ale jednocześnie stwierdziłem, że wiele osób odnosi się teraz do mnie lepiej niż dawniej. A w każdym razie po kilku tygodniach poczułem, że powraca mi moja zdolność do samoobrony.

Parę miesięcy później rozmawiałem z moją znajomą Lu, psychologiem z zawodu. Z pewnym wahaniem wspomniałem jej o tym przeżyciu, będąc ciekaw, jak ona na to zareaguje.

- To ciekawe - powiedziała. - Wiele osób ma obecnie takie doświadczenia.

Zdziwiłem się.

- Naprawdę?

- O tak. Te stwory są teraz bardzo popularne.

Musiąłem się roześmiać.

## *Bezpośrednie doświadczenie*

Przyjmując, choćby tylko hipotetycznie, możliwość egzystencji takiej dziwnej istoty, oddaliłem się znacznie od racjonalnych, akademickich tradycji intelektualnych, w których zostałem wychowany. Myśl o tym, jak daleko od nich odszedłem, wprawiała mnie w stan lekkiego zdenerwowania, postanowiłem więc podsumować wnioski, jakie wyciągnąłem z moich doświadczeń przez te wszystkie lata. Wziąłem kawałek papieru i wypisałem je sobie. Byłem zdumiony, kiedy stwierdziłem, że nie jest ich wcale tak wiele.

1. Można w uprawniony sposób stwierdzić, że świadomość ma swoje wymiary, których dotąd się nie domyślaliśmy. Różne stany świadomości są znacznie bardziej zróżnicowane i ze sobą sprzeczne, niż przedtem uznawałem. Nie jestem bardziej przekonany o tym, że któryś z tych stanów świadomości ma znaczenie metafizyczne, niż o tym, że miałem związaną ze sobą jakąś realną istotę. Nie jestem w ogóle przekonany o egzystencji takich istot. Ale uznaję, że na pewnym poziomie różnica między istotą realną a będącą jedynie metaforą może być nieznaczna. Muszę pamiętać, że świadomość sama w sobie jest potężną siłą: ludzie w każdej kulturze na mocy jedynie własnych przeświadczeń mogą okuleć bądź oślepnąć, a nawet umrzeć.

Dla mnie owa różnorodność stanów świadomości stanowi krajobraz umysłowy, podobny do fizycznego krajobrazu naszej planety. Uważam, że warto badać ten krajobraz świadomości. Zgłębianie jej różnych stanów zaspokaja moje osobiste zainteresowanie. Ale nie wszystkich to musi interesować.

Mam jednak wrażenie, że te badania są czymś więcej niż moją osobistą sprawą. Przypuszczam, że w przyszłości rozpoznanie różnych stanów świadomości będzie miało wciąż rosnące znaczenie w leczeniu chorób, profilaktyce zdrowia i rozwoju sił twórczych.

W miarę jak będzie się rozpoznawać praktyczne zastosowanie odmiennych stanów świadomości, coraz bardziej zwyczajne i powszechne staną się procedury osiągania tych stanów. Cała koncepcja zmian stanów świadomości utraci swój egzotyczny i budzący grozę charakter.

2. Przynajmniej niektóre zjawiska metafizyczne są rzeczywiste. Dzieli się je na ogół na zjawiska telepatyczne (komunikacja między umysłami), jasnowidztwo (postrzeganie na odległość), przepowiadanie (postrzeganie przyszłych zdarzeń) oraz psychokinezę (wpływanie za pomocą samej myśli na zdarzenia lub przedmioty). Obejmuje to w zasadzie szeroki zakres często zachodzących na siebie zjawisk.

Stwierdziłem, że pewni ludzie mają niewytłumaczalną obecnie zdolność do rozpoznawania przeszłych lub przyszłych zdarzeń. Najbardziej przekonujące dowody istnienia takich zdolności zaczerpnąłem z całkiem banalnych informacji otrzymywanych na mój własny temat.

Przypuszczam, że każdy ma w jakimś stopniu zdolności metapsychiczne, tak jak każdy jest w pewnym stopniu uzdolniony do wyczynów sportowych lub twórczości artystycznej. Niektórzy ludzie są szczególnie utalentowani, innych ich osobiste zainteresowania prowadzą do rozwoju tych

zdolności. Ale samo zjawisko jest czymś zwykłym i szeroko rozpowszechnionym.

Nie mam pojęcia o granicach tych metapsychicznych zdolności. Nie wiem na przykład, czy ktoś może przenieść przedmiot z miejsca na miejsce tylko myśląc o nim. Nie wiem nawet, jak zdobyć takie pojęcie, bo nie mam żadnej teorii wyjaśnienia zjawisk metapsychicznych.

3. Istnieją dotąd jeszcze nie rozpoznane energie związane z ludzkim ciałem. Te energie można wyczuć i zobaczyć, i mają one związek z leczeniem, zdrowiem i chorobą.

Chociaż istnienie tych energii jest oficjalnie uznane w niektórych systemach teoretycznych, takich jak hinduska joga czy chińska wiedza o akupunkturze, nie jest ono dotąd uznane w zachodniej medycynie.

Sądzę, że to sprawa najbliższej przyszłości. Kiedy to się stanie, medycyna będzie musiała przejąć coś z tradycyjnej mądrości, dotyczącej znaczenia zachowania przy łożu chorego i trzymania go za rękę - co teraz uważa się, w odróżnieniu od metod naukowych, za „sztukę medycyny”.

To wszystkie wnioski, do jakich doszedłem. I niezbyt się one różnią od tego, w co wierzył Carl Gustaw Jung lub głosił William James. Różnią się tylko od tego, w co wierzy pewne grono zadufanych, niewnikliwych naukowców z dziedziny medycyny. Ale swego czasu Jung i James także wiedli spór z takimi naukowcami.

Następnie zrobiłem listę spraw, w które nie wierzę, a ta była znacznie dłuższa. Nie wierzę w lewitację, w latające talerze, w UFO, w dawnych astronautów lądujących w Peru, w Trójkąt Bermudzki, w przybyszów z kosmosu, w chiromancję, numerologię, astrologię, w chirurgię medialną, w odrodzenie, w biorytmy, w tajemnicze zbiegi okoliczności ani w moc piramid.

W końcu zrobiłem sobie listę wierzeń, co do których nie mam żadnego zdania, albo dlatego, że brak na nie wszelkich dowodów, albo dlatego, że są według mnie zasadniczo kwestią wiary. Są to wierzenia w reinkarnację, w minione żywoty, w dziwne stwory, w duchy stukające w ściany domów, w upiory, w yeti, w potwora z Loch Ness i w moc kryształowej kuli.

Ale kiedy przyjrzałem się tym listom, uznałem, że nie o to mi chodziło. Wszystkie moje wędrówki odbyłem jedynie po to, by się czegoś dowiedzieć o sobie samym. Prawdziwą zdobyczą tych wędrówek nie było to, że sobie uświadomiłem, co na tym świecie budzi moją wiarę, a co niewiarę, ale to, czego się dowiedziałem o sobie.

Kiedy wspominam swoje podróże, widzę, jak niemal obsesyjnie ogarniało mnie pragnienie nowych doświadczeń, które by mi dostarczały coraz większej wiedzy o samym sobie. Potrzebowałem ich, by się bronić przed popadnięciem w apatię. Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie ze mną było.

Z jednej strony przypuszczam, że poszukiwanie nowych doświadczeń wynika z pewnej skłonności. Jest to skłonność nabyta, w moim przypadku jeszcze za młodu. Nauczyłem się od moich rodziców postrzegać nowe doświadczenia jako coś ożywczego i uciesznego, coś, co nie budzi lęku. Jest to zatem postawa wyuczona.

Z drugiej strony postrzegam moje podróże jako posunięcie strategiczne, służące rozwiązywaniu własnych problemów życiowych. Ilekroć coś mi nie szło, coś mi się w życiu nie udawało, wsiadałem do samolotu i leciałem gdzieś daleko. Nie po to, by uciec od problemów, ale by móc na nie spojrzeć z pewnej perspektywy. I stwierdziłem, że to strategia skuteczna. Wracałem potem do życia z nowym poczuciem równowagi. Potrafiłem sięgnąć do istoty zagadnienia, już nie kręciłem się bezradnie w kółko, wiedziałem, czego chcę i jak to osiągnąć. Byłem skupiony i skuteczny w działaniu.

I za każdym razem działo się tak dlatego, że wyjechałem i dowiedziałem się czegoś o sobie.

Czegoś, co powinienem wiedzieć.

Mam poczucie, że zdobycie tej samowiedzy staje się coraz trudniejsze we współczesnym świecie. Coraz więcej ludzkich istot żyje w środowiskach miejskich, w otoczeniu innych ludzkich istot i ludzkich wytworów. Coraz bardziej się od nas oddala świat naturalny, tradycyjne źródło samoświadomości.

Co więcej, w ostatnim stuleciu żyjemy w coraz mocniej na nas napierającym świecie mediów elektronicznych. Oddziaływania tych mediów są absolutnie obce naszej prawdziwej naturze. To oszalałające życie w świecie dziesięciosekundowych spotów, z których każdy nas zmusza, byśmy coś kupili, coś robili, coś myśleli w określony sposób. W przeszłości ludzie nie byli tak osaczeni.

I myślę, że to nieustanne osaczenie sprawiło, iż staliśmy się niebezpiecznie podatni na naciski z zewnątrz. Oderwani od bezpośrednich doświadczeń, odcięci od własnych uczuć, a niekiedy od własnych doznań, jesteśmy aż nazbyt skorzy do przyjmowania narzuconych poglądów i punktów widzenia, które bynajmniej nie są nasze własne.

W 1972 roku kupiłem sobie dom na wzgórzach Los Angeles. Wprowadziłem się do niego i przez kilka miesięcy byłem niezmiernie szczęśliwy.

Pewnego dnia wspomniałem pewnemu znajomemu, że mam dom na wzgórzach.

Powiedział na to:

- Mam nadzieję, że nie dokuczają ci węże.

- Jakie węże? - zapytałem.

- Grzechotniki. Na tych wzgórzach jest pełno grzechotników.

- Nie żartuj.

- Ależ mówię serio. Nie widziałeś żadnego?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Ale one tam są. Masz jakąś działkę wokół willi?

- Tak. Prawie hektar ziemi. Od strony wzgórza.

- To na pewno są. Tylko poczekaj. Węże wyłazą, kiedy jest sucho. We wrześniu albo w październiku. Poczekaj.

Wróciłem do mojego ślicznego domu w stanie głębokiej depresji. Już mnie wcale nie cieszył. Wciąż się rozglądałem, czy nie ma gdzieś grzechotnika. Bałem się, że może się także wśliznąć do sypialni, więc co wieczór zamykałem dokładnie wszystkie drzwi, by żadnego nie wpuścić do domu. Myślałem, że mogą się dostać do basenu, by napić się wody, więc omijałem go z dala, zwłaszcza w upalne dni, kiedy mogły się wygrzewać na słońcu na pomoście. Nigdy nie obchodziłem wokół mojej posiadłości, bo byłem pewien, że w krzakach są węże. Chodziłem jedynie dróżką wiodącą od garażu do domu i zanim skręciłem, ostrożnie wyglądałem zza rogu. Ale z czasem coraz mniej chętnie wychodziłem na dwór. Stałem się więźniem we własnym domu. Jedynie na podstawie tego, co mi powiedziano, zmieniły się całkowicie moje zachowanie i mój stan emocjonalny. Nadal nie zobaczyłem jeszcze żadnego węża, ale się bałem.

Wreszcie pewnego dnia usłyszałem, jak mój ogrodnik nieustraszenie przedziera się przez krzaki na skraju działki. Spytałem go:

- Czy są tutaj grzechotniki?

- No pewno - odparł. - We wrześniu albo w październiku.

- I nie boisz się ich?



- No cóż, pracuję tu od sześciu lat, a w tym czasie widziałem tylko jednego. Więc się nie boję, nie.

- A co zrobiłeś, kiedy spotkałeś tego grzechotnika?

- Zabiłem go.

- Jak?

- Poszedłem po łopatę, wróciłem i go zabiłem. To był zwykły grzechotnik.

- Spotkałeś tylko tego jednego?

- Tak.

- Jednego węża przez sześć lat?

- Tak.

Poszedłem do domu po ręcznik i przesiedziałem resztę dnia nad basenem. Czuję się świetnie. Jeden wąż na sześć lat to coś, o czym należy pamiętać, ale nie muszę koniecznie angażować załogi do wież strażniczych, by miała mnie strzec w każdej chwili.

A zatem po raz kolejny, nie spotkawszy się z żadnym wężem, zmieniłem stanowisko, a także zachowanie i stan emocjonalny. Byłem nieco ostrożniejszy niż przedtem, ale już czuję się swobodnie.

Przed odejściem ogrodnik powiedział:

- Może być pan pewien, że nie ma wielu węży na tej działce.

- Skąd wiesz?

- Bo tu jest dużo susłów.

Od tygodni próbowałem pozbyć się susłów, które ryły mój trawnik. Susły były dla mnie czymś nowym: nie spotyka się ich we wschodniej części kraju. Są to małe, miło wyglądające gryzonie, które ryją pod ziemią całą sieć korytarzy, sprawiając, że twardy grunt zmienia się w coś na kształt gąbki. Czasem szedłem po trawniku i zapadałem się w niego po kostki. Miałem przed oczami obraz, jak mój cały dom się zapada, bo susły wydrążyły o jeden tunel za dużo. Rozkładałem więc truciznę i zastawiałem pułapki, i strzelałem do nich z wiatrówki. Wszystko to bez żadnego skutku. Każdego ranka nowe bruzdy wyorane przez susły przecinały trawnik. Było to niezmiernie denerwujące. Mój dom stał się Suślim Parkiem Narodowym.

Teraz zdałem sobie sprawę, że jeśli więcej grzechotników sprzymierzy się ze mną i obierze sobie siedzibę koło mojego domu, rozwiąże to irytujący problem susłów. Zacząłem sobie życzyć, żeby się tu pojawiło więcej grzechotników. Czy mogę coś zrobić, żeby je tu ściągnąć? Czy mam wystawiać ich ulubione przysmaki, a może miski z wodą? Co jest na mojej działce takiego, że grzechotniki się z niej wyniosły i zostawiły mnie zdanego na łaskę susłów?

Tak więc znów zmieniłem punkt widzenia. Teraz dotkliwie odczuwałem brak grzechotników, pragnąc, żeby ich było więcej. Przeszedłem przez te wszystkie odmiany stanowisk, nadal nie widząc żadnego węża. Nie mogłem stwierdzić, że przeżyłem następujące po sobie okresy spokoju, paniki i pragnień z tego powodu, że przeszedłem przez jakieś życiowe bezpośrednie doświadczenia. Zdobyłem nowe wiadomości, ale nic mi się nie wydarzyło.

Czuję się inaczej tylko dlatego, że zmieniałem punkt widzenia. Każdej takiej zmianie towarzyszyła całkowita zmiana postawy, stanu psychicznego, zachowania, emocji. Każda nowa perspektywa, w jakiej oglądałem świat, natychmiast zupełnie mnie odmieniała.

Ale nie było to wcale skutkiem bezpośredniego doświadczenia. Nigdy nie było to w wyniku czegoś, co się istotnie przydarzyło.

Nienawykli do bezpośredniego doświadczenia, odczuwamy przed nim lęk. Nie chcemy czytać książki ani iść na wystawę do muzeum, dopóki nie przeczytamy recenzji, by wiedzieć, co mamy o tym sądzić. Tracimy zaufanie do własnych spostrzeżeń. Chcemy poznać znaczenie doświadczenia, zanim go doznamy.

Obawiamy się bezpośredniego doświadczenia i robimy wszystko, co można, aby go uniknąć.

Uznałem, że lubię podróże, bo wytrącają mnie z utartych torów i z rutyny powszechnego dnia. Im więcej podróżowałem, tym lepiej sobie te podróże organizowałem. Wciąż dodawałem do podróżnego bagażu rzeczy, które lubiłem. Zabierałem oczywiście książki, które chciałem przeczytać. Potem zabierałem walkmen i taśmy z ulubioną muzyką. Wkrótce zacząłem zabierać ze sobą także bloki papieru i kolorowe kredki do rysowania. Potem laptop do pisania. Potem tygodniki do przejrzenia w samolocie. I sweter, na wypadek gdyby w samolocie zrobiło się chłodno. I krem do rąk, gdybym miał zbyt wysuszoną skórę.

Niebawem podróż zaczęła być znacznie mniejszą uciechą, bo teraz wchodząc do samolotu uginałem się pod ciężarem tych rzeczy, które, jak uważałem, muszę zabrać ze sobą. Zamiast uciec przed dawną rutyną, popadłem w nową. Już nie wymykałem się ze swojego biura: dźwigałem na własnych barkach większą część zawartości swojego biurka.

Postanowiłem więc pewnego dnia, że wsiądę do samolotu, nie zabierając ze sobą nic. Nic, co by mnie zabawiło, nic, co by mnie chroniło przed nudą. Wchodziłem do samolotu w stanie paniki - nic z tych rzeczy, do których przywykłem! Co ja zrobię?

Okazało się, że świetnie spędziłem czas. Czytałem tygodniki, które były na pokładzie samolotu. Rozmawiałem z ludźmi. Wyglądałem przez okno. Rozmyślałem o różnych sprawach.

Okazało się, że wcale nie są mi potrzebne te wszystkie przedmioty, o których sądziłem, że ich potrzebuję. W gruncie rzeczy czułem się bez nich znacznie lepiej.

Jedną z największych trudności, jakie sprawia doświadczenie bezpośrednio, jest to, że jest ono uzależnione od różnego rodzaju teorii i związanych z nimi oczekiwań. Trudno jest coś obserwować, nie tworząc sobie teorii wyjaśniającej, co widzimy. Ale jak powiedział Einstein, z teoriami jest taki kłopot, że wyjaśniają nie tylko to, co zostało zaobserwowane, ale także i to, co może być zaobserwowane. Na podstawie przyjętych przez nas teorii budujemy oczekiwania. A te oczekiwania niekiedy nas zawodzą.

Hotel Claridge w Londynie słynie z zaspokajania osobistych upodobań gości. Jeżeli lubisz mieć w nocy przy łóżku wodę mineralną, personel hotelu to zauważy i będziesz miał co wieczór postawioną przy łóżku wodę mineralną. Jeżeli lubisz, żeby to było pół butelki, będziesz miał pół butelki. A ponieważ cały personel jest angielski, żadne dziwactwo nie jest dla niego zbyt dziwaczne, by go nie spełnić.

Mieszkałem w Claridge'u przez kilka miesięcy w 1978 roku, przepracowując pewien scenariusz. Pisałem na maszynie i ciąłem strony, i sklejałem je w innej kolejności. Ale nie mogłem dostać dozownika z taśmą klejącą; dysponowałem tylko rolką zwykłego skocza i parą nożyczek. Oczywiście za każdym razem, kiedy odcinałem kawałek taśmy, jej koniec przyklejał się do rolki i musiałem dobrze się natrudzić, by go odskrobać paznokciami, kiedy chciałem odciąć następny kawałek. W końcu wpadłem na pomysł, żeby odcinać długie kawałki taśmy i zawieszać je na gałkach szuflad po obu stronach biurka. Pozwalało mi to odcinać między gałkami tyle taśmy, ile było mi potrzeba.

Obwieszałem tak szuflady przez kilka tygodni.

Po roku powróciłem do Claridge'a i wynająłem w nim pokój. Pokój był ładny, ale miał pewną osobliwość - ktoś porozwieszał paski szkockiej taśmy na szufladach stojącego w kącie biurka.

Pamiętali! Pochlebilo mi to, ale starałem się sobie wyobrazić, co też personel musiał o tym myśleć. Kto wie, dlaczego ten facet to sobie upodobał? Ale zawsze w ten sposób obwieszał kawałkami taśmy szuflady. Niech więc tak będzie po jego przyjeździe, żeby pan Crichton dobrze się tu poczuł.

Ten przykład pokazuje, na czym polega trudność z tworzeniem teorii. Wyściowe spostrzeżenie było właściwe, ale wnioski z niego wyciągnięte niesłuszne.

Wyeliminowanie wszelkich teorii i tylko postrzeganie - po prostu bezpośrednio doświadczanie - to ogromny wysiłek. Ale subiektywne doświadczenie winno się cieszyć choćby chwilą wolności, nim spróbujemy je wcisnąć w pojęciowy kaftan bezpieczeństwa.

Niekiedy lepiej po prostu siedzieć i patrzeć.

Zdumiewające, ile się można dowiedzieć w ten sposób.

Ufam, że doświadczenia, o których piszę w tej książce, może powtórzyć za mną każdy, kto zechce tego spróbować.

Pojechałem do Afryki. Możesz pojechać do Afryki. Możesz mieć trudności z wygospodarowaniem czasu albo pieniędzy, ale każdy ma trudności, jeżeli chce sobie cokolwiek zorganizować. Wierzę w to mocno, że jeżeli się tylko dostatecznie mocno chce, można pojechać wszędzie.

I to samo dotyczy wędrówek wewnętrznych. Nie musicie wierzyć moim słowom, kiedy piszę o czakrach albo o energii uzdrawiającej, albo o aurach. Jeżeli tylko zechcecie, możecie sami odkryć to wszystko. Nie wiercie mi na słowo. Bądźcie tak podejrzliwi, jak tylko wam się podoba.

Odkryjcie to sami.

Mam wielu przyjaciół naukowców, którzy mnie traktują z żartobliwą pobłażliwością. Lubią mnie mimo moich poglądów. Ale nauczyłem się już z nimi nie dyskutować. Jeżeli nie chcesz sam tego doświadczyć, to nawet tak pospolite zjawisko jak medytacja będzie ci się wydawać dziwaczne i bezsensowne. Z mojego punktu widzenia ci naukowcy są dokładnie tacy sami jak członkowie pewnego szczepu z Nowej Gwinei, którzy nie chcą uwierzyć, że metalowy ptak, którego widzą na niebie, zawiera w środku ludzi. Jak można ich przekonać? Jeśli nie zechcą udać się na lotnisko i zobaczyć tego na własne oczy, wszelka dyskusja na ten temat jest doprawdy niemożliwa.

Natomiast jeśli udadzą się na lotnisko, to oczywiście wszelka dyskusja będzie już zbędna.

A więc sprawdźcie wreszcie sami.

Jest wokół wielu ludzi, którzy mogą pomóc w tych wewnętrznych badaniach. Można ich uznać za agentów biur podróży do własnego wnętrza. Oferują tury trwające jeden dzień, wyprawy na weekend, na dwa tygodnie. Jak wszyscy agenci biur podróży, jedni są błyskotliwi i wymowni, drudzy cisi i małomówni; jedni ściągają do siebie znakomitości i gwiazdy mediów elektronicznych, inni świat lekarski, jeszcze inni ludzi chorych. Niektórzy są jawnymi oszustami i nie spełniają swoich obietnic. Niektórzy są nieprzewidywalni. Jedni stawiają wysokie wymagania i otaczają się nimbem niezwykłości, inni są przystępni i otwarci. Jedni oddziałują na intelekt, inni na emocje, jeszcze inni na uczucia religijne.

Można stąd wyruszyć na wiele wypraw. Można nawet zostać stałym uczestnikiem zjazdów, przenosząc się z jednego seminarium na drugie, i stać się tak pięknie rozwiniętą istotą, że na jej

widok ludziom dookoła zacznie się zbierać na mdłości.

Możecie się zastanawiać, jak odnaleźć odpowiednią osobę, grupę czy konferencję. Jeśli się dobrze rozejrzycie, na pewno coś znajdziecie. A jeżeli to, co znajdziecie, wam nie odpowiada, szukajcie dalej, aż wreszcie traficie na to, czego chcecie. Nie będę wam nikogo polecał ani radził, co robić. Ale przekażę wam kilka przestroóg, wynikających z moich doświadczeń w wędrówkach w głąb siebie:

1. Bądźcie ostrożni wobec każdego, kto daje wam do zrozumienia, że zna odpowiedź na wasze pytania. Prawdziwy strzelec zawsze próbuje uniknąć wyciągania broni. To samo jest z prawdziwym guru. Przecież na wasze pytania nie ma odpowiedzi nikt, prócz was samych.

2. Unikajcie tych, którzy się otaczają żarliwymi wyznawcami. W większości przypadków rozwój osobisty tylko przejściowo towarzyszy życiu w jakiejś szczególnej grupie.

3. Wystrzegajcie się każdego, kto interesuje się waszym stanem majątkowym.

4. Oczekujcie wyników. Nikt nie doznaje oświecenia przez jedną noc, ale jeżeli nie osiągniecie wyników, zmieńcie metody. Nie bójcie się eksperymentować - nikt, prócz was, nie ma dla was odpowiedzi.

5. Zawierzcie instynktowi. Jeżeli coś wam dobrze pachnie, nie dajcie się innym zniechęcić. Jeśli czujecie, że coś jest nie tak, zmykajcie.

Doszedłem do dość prostego poglądu na to wszystko. W człowieku tkwi naturalny opór przeciwko zmianom. Wszyscy popadamy w szablonowe nawyki, które ograniczają nam życie, ale trudno nam z nimi zerwać. Rilke opisał to w prostych słowach:

*Gdziekolwiek jesteś, pewnego wieczora Przekrocz próg dobrze znanego ci domu.  
Bezmierna przestrzeń jest blisko.*

## Postscriptum: sceptycy z Cal Techu

Wiosną 1987 roku poznałem Paula MacCready'ego, dowcipnego i czarującego inżyniera lotnictwa, który w 1977 roku skonstruował lotnię Kondora, spełniając w ten sposób jedno z najdawniejszych marzeń ludzkości - lot człowieka. MacCready stworzył następnie Albatrosa, pierwszy samolot napędzany siłą ludzkich mięśni, który przeleciał nad kanałem La Manche. Skonstruował także samolot o napędzie słonecznym.

W czasie rozmowy Paul zaczął się pogardliwie wyrażać o metapsychice i ludziach, którzy utrzymują, że widzą aurę. Uważał, że w najlepszym wypadku padli ofiarą oszustwa, a w najgorszym sami są oszustami.

Sprzeciwiłem się temu, a w dyskusji, która z tego wynikła, Paul powiedział mi, że jest czynnym członkiem oddziału CSICOP w Pasadenie.

CSICOP (The Committee for the Scientific Investigation of Claims of the Paranormal - Komitet do spraw Badań Naukowych nad Zjawiskami Uchodzącymi za Paranormalne) został powołany w 1976 roku przez grupę wybitnych filozofów, psychologów, przedstawicieli nauk ścisłych oraz magików. W swoim kwartalniku „The Skeptical Inquirer” z powodzeniem demaskowali rzekomą paranormalność pewnych zjawisk. Oddziały CSICOP działały w całym kraju, a oddział w Pasadenie, do którego należało wielu uczonych z Cal Techu, był szczególnie aktywny. MacCready uznał, że powinienem wygłosić w nim odczyt.

Zgodziłem się natychmiast. Pomyślałem sobie, że może to być ciekawe doświadczenie zarówno dla mnie, jak i dla słuchaczy. Paul zapewnił mnie, że załatwi dla mnie zaproszenie. Zabrałem się więc do przygotowywania odczytu.

Ponieważ niewiele wiedziałem o działalności CSICOP, najpierw przeczytałem wybór artykułów z „The Skeptical Inquirer”, opublikowany w tomie pod tytułem *Science Confronts the Paranormal*. Wiele z tych artykułów nie wzbudziło we mnie żadnego zainteresowania, gdyż demaskowały takie zjawiska, jak biorytmy, chiromancja, astrologia, UFO i Trójkąt Bermudzki, w które i tak nie wierzyłem. Inne, dotyczące badań nad potworem z Loch Ness, wydały mi się nieciekawe, bo nie zawierały żadnych filozoficznych ani intelektualnych implikacji.

Ale w kilku artykułach wzburzył mnie zgoła nieumiarkowany ton wielu autorów, których podziwiałem: wykazywali skłonność do przypisywania swoim oponentom najniższych motywów postępowania. Prawdę mówiąc, było chyba po obu stronach sporo osobistych niechęci, prowokujących do obrzucania się wyzwiskami. Na przykład omawiając domniemane podobieństwa między fizyką a wschodnim mistycyzmem, będące przedmiotem rozważań takich pisarzy jak Fritjóf Capra, Issac Asimov zauważa:

...Jeśli intuicja jest równie ważna dla świata jak myśl racjonalna i jeżeli mędrcy Wschodu wiedzą o kosmosie tyle samo co fizycy, to dlaczego nie odwrócić sprawy? Dlaczego nie posłużyć się wiedzą Wschodu jako kluczem do rozwiązania niektórych nierozwiązanych dotąd kwestii w fizyce? Na przykład, jaki jest podstawowy składnik podatomowych cząsteczek, które fizycy nazywają kwarkami? I konkluduje:

Jakąż bzdurą jest cała ta intuicyjna prawda i jak śmieszne jest, kiedy racjonalny umysł w chwili słabości pada przed nią na kolana.

Nie, to nie jest śmieszne, to tragiczne. Już był przynajmniej jeden taki moment w dziejach, kiedy racjonalna świecka myśl starożytnych Greków ugięła się przed mistycznym aspektem chrześcijaństwa. I co z tego wynikło? Ciemnota średniowiecza.

Nie możemy sobie pozwolić na nowe średniowiecze\*.

Były to mocne słowa i czytając je zacząłem pojmować, że w CSICOP chodzi o coś więcej niż tylko o rzeczowe rozprawienie się z wątpliwymi danymi. W wywodzie Asimova zawarte było implicite porównanie między nauką a religią jako między dwoma konkurującymi ze sobą poglądami na świat. Otwiera to oczywiście możliwość uznania, że nauka jest swego rodzaju religią - ale na ten heretycki pogląd tylko niewielu naukowców mogłoby przystać. Przeglądając tom artykułów CSICOP, zacząłem dostrzegać, że nauka, widząc zagrożenia, walczy o przewagę nad innymi sposobami postrzegania świata.

Jeśli miałem przekonująco wystąpić przed oddziałem CSICOP w Pasadenie, musiałem starannie przygotować wykład.

Zacząłem od oświadczenia, że się nie spodziewam, by to, co powiem, zmieniło czyjeś poglądy. Nie zamierzam tego wieczora w Pasadenie nikogo o niczym przekonywać.

\* Issac Asimov *Science and the Mountain Peak*, w: ibidem, s. 299. 376

Przyznałem, że ja sam wierze w prawdziwość pewnych zjawisk metapsychicznych, a wiem, że większość moich słuchaczy w nią nie wierzy. Zaproponowałem, żebyśmy zamiast dyskutować o szczegółach, wszyscy się zgodzili, że w końcu historia dowiedzie, czy to ja się mylę w swoich poglądach, czy oni. Możemy wszyscy ufnie oczekiwać rozwiązań w tej materii.

Tymczasem chciałem opowiedzieć moim słuchaczom o niektórych swoich doświadczeniach, które doprowadziły mnie do zmiany własnych poglądów, i spróbować im wytłumaczyć, jak obecnie przedstawiają się dla mnie te sprawy. Gdyż prawdziwy problem, tak jak ja go widzę, wykracza daleko poza względnie wąską kwestię zjawisk „paranormalnych”. Dotyczy intelektualnej postawy nauki u schyłku dwudziestego wieku.

Potem zapytałem: czy komuś na tej sali usuwano migdałki albo trzeci migdał? Czy ktoś przeszedł operację raka piersi? Czy ktoś przebywał na oddziale intensywnej terapii? Czy komuś zakładano bajpas przy chorobie wieńcowej?

Oczywiście wielu z obecnych miało podobne doświadczenia.

Powiedziałem: a zatem wszyscy jesteście dobrze obyci z przesądami, bo zabiegi te są przykładem działań opartych na przesądach. Przeprowadza się te wszystkie zabiegi bez naukowego dowodu, że przynoszą jakkolwiek korzyść. Nasze społeczeństwo wydaje miliardy dolarów rocznie na przesadną medycynę, i to stanowi znacznie większy problem - a także koszt - niż rubryka z astrologiczną przepowiednią w gazetach, co z takim zapalem zwalcza trust mózgow z CSICOP.

I dodałem: nie odżegnujemy się zbyt szybko od mocy przesądów w naszym życiu. Kto z nas, mając zawał serca, odmówi leczenia się na oddziale intensywnej terapii tylko dlatego, że takie oddziały nie mają potwierdzonej skuteczności? Wszyscy podejmiemy taką kurację.

Potem wspomniałem o wielu przypadkach nadużyć w badaniach naukowych. Izaak Newton zapewne preparował swoje dane\*, a na pewno robił to Gregor Mendel, ojciec nauki

o dziedziczeniu\*\*.

Włoski matematyk Lazzarini sfalszował doświadczenie, na którego podstawie ustalił wartość liczby

\* Zob. Richard S. Westfall *Newton and the Fudge Factor*, „Science”, 179 (1973), s. 751-758.

W sprawie omówienia pełnego zakresu zainteresowań Newtona, od alchemii do Starego Testamentu, zob. biografia Newtona w: R.S. Westfall *Never at Rest*, Cambridge University Press, Cambridge 1981.

\*\* R.A. Fisher *Has Mendel's Work Been Rediscovered?* „Annals of Science” 1 (1936), s. 115-124.

$K$ , a jego wynik pozostał niepodważony przez całe pół wieku\*. Pewien brytyjski psycholog wymyślił nie tylko swoje dane, ale także asystentów, którzy je zbierali\*\*. W ostatnich latach zdarzały się przypadki nadużyć, w które zamieszani byli William T. Summerlin ze Sloan-Kettering, doktor John Long oraz doktor John Darsee z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Harvarda. W innych takich przypadkach brali udział: zespół badawczy w Instytucie Rakowym Dany Farer, doktor Robert Slutsky z Wydziału Medycznego Uniwersytetu Columbia w San Diego, doktor Jeffrey Borer z Uniwersytetu Cornella i Stephen Breuning z Uniwersytetu w Pittsburghu. Chociaż większość tych przypadków dotyczy medycyny i biologii, są także przypadki nadużyć i na innych polach: wycofano właśnie trzy artykuły z „Journal of the American Chemical Science”, a w sprawie toczy się śledztwo. Zakres takich oszustw nie jest znany, ale przypomniałem moim słuchaczom, że nadużycia w nauce niewątpliwie istnieją. Jednak z faktu, że zdarzają się oszuści, nie można wyciągać wniosku, że należy zaniechać danej dziedziny badań.

Potem nadmieniałem, że cała nauka nie kieruje się jedynie racjonalnością, podobnie jak inne pola ludzkiej działalności, takie jak przemysł czy handel. Max Planck, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, powiedział: „Nowa prawda naukowa nie odnosi zwycięstwa, przekonując swoich przeciwników i sprawiając, że dostrzegają światło. Zwycięża raczej dlatego, że jej przeciwnicy w końcu wymierają i wyrasta nowe pokolenie, już z nią oswojone”.

Przypomniałem słuchaczom o mniemaniu naukowców wszystkich wieków, że już wszystko wiedzą. Na przykład francuski anatom baron Georges Cuvier, jeden z najświetniejszych i najbardziej wpływowych naukowców swoich czasów, oświadczył w 1812 roku, że „niewielka jest nadzieja na odkrycie nowych gatunków wielkich czworonogów”. Niestety dla Cuviera, po jego stwierdzeniu nastąpiło odkrycie niedźwiedzia kadiaka, goryla górskiego, okapi, tapira białogrzbietego, warana z Komodo, gazeli Granta, zebry Grevy'ego, czarnego hipopotama i pandy olbrzymiej, by wymienić tylko kilka wielkich czworonogów. Podobne roszczenia co do posiadania niemal kompletnej wiedzy zgłaszali fizycy prawie wszystkich generacji, ale okazywały się zawsze fałszywe.

\* Norman T. Gridgeman *Geometrie Probability and the Number Pi*, „Scripta Mathematica” 25 (listopad 1970), s. 183 i mn.

\*\* Zob. L.S. Hearnshaw *Cyril Burt, Psychologist*, Cornell University Press, Ithaca, Nowy Jork 1979.

Przypomniałem słuchaczom o zdarzających się w przeszłości pomyłkach świata nauki w uznaniu prawdziwych odkryć dokonywanych współcześnie. Kiedy J.J. Thomson dokonał pomiaru masy i ładunku elektronu, koledzy podejrzewali go o oszustwo, gdyż był powszechnie znany z tego, jak niezdarnie się obchodzi z aparaturą pomiarową\*. Kiedy w 1932 roku Carl Anderson z Cal Techu

odkrył istnienie pozytronu, zarówno Bohr, jak Rutherford „od ręki” odmówili uznania jego odkrycia\*\*. Przedstawiona w 1922 roku przez Alfreda Wegenera teoria o dryfowaniu kontynentów jest oczywista dla każdego, kto spojrzy na mapę i sprawdzi, jak kontury lądów przystają do siebie, a jednak geologowie musieli walczyć aż czterdzieści lat, by przekonać do niej tak wybitnych jej przeciwników, jak Harold Jeffreys i Maurice Ewing.

Przypomniałem następnie moim słuchaczom, że szybkość postępu w nauce jest bardzo zmienna. Prawo ciążenia Newtona obowiązywało niezmiennie przez ponad dwa stulecia, póki nie stwierdzono, że podważa je precesja Merkurego\*\*\*. I przeciwnie, przynajmniej od dwóch wieków, od czasu dyskusji naukowców w Paryżu z udziałem Benjamina Franklina i Lavoisiera, którzy odmówili mesmeryzmowi wszelkiej wartości, praktykowanie hipnozy budziło powszechną nieufność, a jednak obecnie hipnoza znalazła uznanie i szerokie zastosowanie. A więc szybkość postępu w jakiejś dziedzinie nauki nie jest żadnym wskaźnikiem prawdziwości jej osiągnięć.

Następnie wskazałem na poszukiwanie nowinek i mody w nauce, którym ulegają wszyscy naukowcy. Cała rzesza najwybitniejszych uczonych świata uznała za całkowicie stosowne zaproponować społeczeństwu kosztowne badania życia pozaziemskiego\*\*\*\*, chociaż badanie to, zdaniem George'a Gaylorda Simpsona, jest „badaniem bezprzedmiotowym”\*\*\*\*\*. Przekonanie

\* Emilio Segre *From X-Rays to Quarks: Modern Physicists and Their Discoveries*, Freeman, San Francisco 1980, ss. 16-19.

\*\* Daniel J. Kevles *The Physicists*, Knopf, Nowy Jork 1977, s. 233. \*\*\* Można uznać, że określenie „podważa” jest zbyt mocne, że precesja Merkurego każe tylko wprowadzić pewne modyfikacje do mechaniki Newtonowskiej, czyli rozumieć teorię Newtona jako pozwalającą określać jedynie przybliżone wartości. Taki argument jest niesłuszny. Nazwać teorię względności Einsteina modyfikacją mechaniki Newtonowskiej to tak jakby bombę atomową nazwać modyfikacją prochu strzelniczego. By wnikliwie rozważyć głęboki wstrząs intelektualny spowodowany upadkiem mechaniki Newtonowskiej, zob. J. Bronowski *The Common Sense of Science*, Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1978.

\*\*\*\* Carl Sagan *Extraterrestrial Intelligence: An International Petition*, „Science”, 218 (1982), s. 426.

\*\*\*\*\* G.G. Simpson *The Non Prevalence of Hutnanoids*, „Science”, 143 (1964), ss. 769-775.

o istnieniu życia pozaziemskiego jest aktem czystej wiary. Niewielu natomiast, a chyba nawet żaden z tych wielkich naukowców nie podpisałby się pod wnioskiem o badanie zjawisk metapsychicznych, bo paranormalność nie jest obecnie w modzie, a życie pozaziemskie jest. A przecież bezsprzecznie jest znacznie więcej dowodów na występowanie zjawisk metapsychicznych niż na istnienie życia pozaziemskiego.

Mówiłem im dalej, że moim zdaniem nauka nie różni się zbyt wiele od innych dziedzin ludzkiej działalności. Są w niej mocno zakorzenione i święcone przesady, są w niej oszustwa, są potknięcia i błędy, jest zachowawczość i zwykły upór, i są modne kierunki. Marzello Truzzi, były redaktor dziennika CSICOP, słusznie zauważa: „Naukowcy nie są wzorami racjonalności, obiektywizmu, szerokich horyzontów umysłowych i pokory, jak by chcieli być postrzegani przez innych”\*.

Przypomniałem o tym słuchaczom nie po to, by umniejszyć wartość nauki, ale po to, by umieścić działania naukowe w bardziej realistycznej perspektywie, uwzględniającej zjawiska dotąd nie przyjmowane do świadomości.



Następnie powiedziałem, że chciałbym poruszyć sprawę największych przeszkód występujących przy próbie naukowych badań omawianych zjawisk. W wielu przypadkach badacze działania tak zwanych sił metapsychicznych spotykają się z oporem ze strony tak zwanych praktyków, którzy twierdzą, że nie mogą osiągać wiarygodnych efektów na zamówienie; że nie mogą pracować w warunkach laboratoryjnych, że przeszkadza im otoczenie unoszących brwi sceptyków i tak dalej. Wydaje się, że owi praktycy uzależniają zjawiska metapsychiczne od swego wewnętrznego stanu. Muszą być „w nastroju”, a z nastroju łatwo ich wytrącić. Tradycyjnie naukowcy uważają, że trudno uznać takie stanowisko. Stany mistyczne, stany medytacyjne, popadanie w trans, z tym wszystkim trudno jest się im pogodzić.

A przecież każdy zna z potocznego życia czynności, do których trzeba być „w nastroju”, na przykład stosunek seksualny: kobieta musi wydzielać śluz, a mężczyzna mieć erekcję. Inną zależną od wewnętrznego stanu czynnością jest działalność twórcza, której nie można rzetelnie wykonywać na żądanie, o czym świadczy obfita literatura poświęcona „zabiegom o względy muzy”.

\* Marcello Truzzi *On the Reception of Unconventional Scientific Claims*, w: *The Reception of Unconventional Science*, red. Seynorr H. Mauskop, AAAŚ Selected Symposium 25, Boulder, Col” Westview Press, 1979, s. 130.

Wiemy z subiektywnych doniesień i z naszego własnego doświadczenia, że tym uzależnionym od naszego wewnętrznego stanu zjawiskom towarzyszą zmiany świadomości. Może to być wyczuwana subiektywnie albo realna zmiana w przepływie energii czy w koncentracji, może to być zmiana w postrzeganiu czasu i tym podobne. Te zmiany mogą być różne każdego dnia, mogą przebiegać inaczej u każdej osoby, a u tej samej osoby ulegać przemianom z doświadczenia na doświadczenie. Ta wielka zmienność owych doświadczeń i subiektywność ich charakteru sprawiają, że badanie zjawisk uzależnionych od stanu wewnętrznego jest trudnym wyzwaniem dla badań naukowych.

Chciałbym tylko państwu przypomnieć, że naukowe badanie zjawiska twórczości nie powiodło się w naszym stuleciu lepiej niż naukowe badanie zjawisk metapsychicznych, i to z tych samych przyczyn. A przecież nikt nie zaprzeczy, że twórczość istnieje. Tylko trudno ją badać.

Sceptyczni naukowcy często twierdzą, tak jak Carl Sagan, że cudowne zdobycze prawdziwej nauki znacznie przewyższają domniemane cuda nauki marginalnej. Sądzę, że można odwrócić ten pogląd i stwierdzić, że cuda prawdziwej świadomości znacznie przewyższają to, czego istnienie uznaje konwencjonalna nauka. Przypuśćmy, na przykład, że wam powiem, iż napada na was grupa osiłków, a wy, nim was powalą na ziemię i stratują, macie rzucić piłką na odległość siedemdziesięciu metrów i trafić w jednometrowy cel, który widzicie przed sobą. Wątpię, czy ktokolwiek na tej sali by to potrafił. A jednak podczas sezonu piłki nożnej możemy w telewizji oglądać takie nieprawdopodobne zdarzenie w każde niedzielne popołudnie. Zmiany w świadomości zawodowych piłkarzy, konieczne do tego, by wykonać strzał z głębi boiska, są dla nas czymś powszednim, a więc niezauważalnym, ale to daje nam przynajmniej do myślenia, że może inne wyuczone zmiany świadomości, wyrosłe na gruncie innych kultur i tradycji, mogą także dawać zadziwiające rezultaty, Próbowałem poprzednio potocznie przedstawić naukowe zastrzeżenia wobec tak zwanych zjawisk paranormalnych. Prawda, że wiele z nich to przesady, ale w świecie nauki, takim jak świat wysoce technicyzowanej medycyny, także jest wiele przesądów.

Prawdą jest, że w dziedzinie metapsychiki działa wielu oszustów, ale wśród naukowców także

zdarzają się oszuści.

Prawdą jest, że badania w tej dziedzinie postępują powoli, ale to samo się dzieje w wielu dziedzinach nauki, zwłaszcza jeśli są słabo finansowane.

Prawdą jest, że niektóre zjawiska paranormalne wydają się zależne od wewnętrznego stanu psychicznego i są powiązane ze świadomością, ale wiele jest takich samych zjawisk w naszym codziennym życiu, a prowadzą one niekiedy do takich niezwykłości jak nowe malarstwo czy strzał do bramki podczas nietelnego meczu.

A skoro tak, to moim zdaniem żaden z tych tradycyjnych zarzutów naukowców nie usprawiedliwia rezygnacji z badań w tej dziedzinie. Przyjrząwszy się sprawiebliżej, znajduję trzy inne, znacznie poważniejsze powody niechęci do podejmowania takich badań.

Pierwszym takim powodem jest quasi-religijny niepokój, jaki budzą te zjawiska w zatwardiałym naukowcu. Na początku naszego wieku Freud i Jung zerwali przyjiżn z powodu odmiennego stosunku do zjawisk nadprzyrodzonych\*. Jung był nimi jawnie zainteresowany\*\*, Freud zaś nie. Przed rozłamem Fred napisał do Junga: *Mój drogi synu, zachowaj chłodną głowę, bo lepiej jeshzegoś nie zrozumieć, niż poczynić tak wielkie poświęcenia, by to zrozumieć*\*\*\*. *A entuzjastyczne zainteresowanie Junga astrologią, którą badał jah system psychologicznej projekcji, nie zaś jako fizyczną rzeczywistość, siania Freuda do odpowiedzi: „Obiecuję ci, że uwierzę we wszystko, co wyłącza racjonalnie. Ale nie tak chętnie to uczynię...”\*\*\*\**

Powstaje pytanie: dlaczego? Dlaczego Freud był tak oporny? Sam bez wahań oddawał się studiom nad mitologią i sztuką. Ale okultyzm go najwyraźniej niepokoiła sposób trudny do wytłumaczenia. Dałoby się wykazać, że ów niepokójina w gruncie rzeczy korzenie religijne, sięgające tak głęboko, że trzeba bj dłuższej rozprawy, by je ujawnić, a to by odbiegało od naszego tematu.

W dodatku zjawisk paranormalne budzą również lęk zrodzony z pewnego przesądu intelektualnego. Założyłbym się, że każdy tu na tej sali odczuwa go w poważnym stopniu. Wszyscy odebraliśmy znakomite wykształcenie i wyćwiczono nis w racjonalnym linearnym myśleniu. Nauczono nas cenić wartość takiej myśli i owoce takiej myśli. Więc odwracamy się z wyraźną niechęcią od tych półek w księgarni, na których ustawiono książki z dziedziny okultyzmu, pisaninę wszelkiego rodzaju ciemnych i zacofa

\* Zob. CG. Jung *lemories, Dreams, Reflections*, Random House, Nowy Jork 1962. \*\* Jung napisał swsją pracę doktorską na temat okultyzmu: *On the Psychology of So-Called Occult Phenomena*, w: CG. Jung, *Psychology and the Occult*, Princeton, Bollingen Sens XX, ss. 6-91.

\*\*\* Cytowane w: Jug *Psychology...* op. cit., s.vii. \*\*\*\* Cytowane w: Jug *Psychology...* op. cit., s. ix.

nych autorów. Ci ludzie nie podzielają naszego sposobu myślenia ani naszych sądów o rzeczywistości, a my otrząsamy się z obrzydzenia, kiedy oglądamy ich dzieła.

Czy się do tego przyznajemy czy nie, każdy, kto sobie zdobył jakiś akademicki status, przestrzega pewnych kryteriów w doborze odniesień, na które się powołuje w swoich pismach, a przede wszystkim w doborze tematów, jakimi się zajmuje. Podejrzewam, że te kryteria odzwierciedlają wszechwładny przesąd panujący nad wszelkimi akademickimi rozważaniami o zjawiskach paranormalnych - tak jak niepoehlebna opinia o Mesmerze zapanowała nad wszystkimi sądami o hipnozie, której wartość wyznawał.

Trzecią przyczyną, dla której naukowcy są tak niechętni badaniom zjawisk nadprzyrodzonych, jest to, że wydają się one przeczyć znanym fizycznym prawom natury. Po co zajmować się czymś, co jest niemożliwe? Tylko szalenięc będzie tracił na to czas. Nie można nie doceniać problemu niezgodności faktycznych danych z teorią. Arthur Eddington powiedział kiedyś, że nie powinno się nigdy wierzyć żadnemu doświadczeniu, póki nie potwierdzi go teoria, ale tego humorystycznego poglądu nie można przecież brać na serio.

Dzieje nauki w istocie potwierdzają prymat teorii. Bronowski pisze: „Karol Darwin nie wynalazł teorii ewolucji, już jego dziadek ją znał. On badał mechanizm ewolucji: mechanizm doboru naturalnego (...). Kiedy Darwin go [ów mechanizm] ogłosił, teoria ewolucji została przez wszystkich przyjęta i uważano, że jest rzeczą najbardziej oczywistą, by nazwać ją teorią Darwina”\*

Innymi słowy, dane wspierające teorię ewolucji - takie jak doniesienia o kopalnych szczątkach - były od dawna znane, brak jednak było przekonującej teorii, by wyjaśnić te dane. Kiedy Darwin ogłosił swoją teorię, uznano również wiarygodność danych.

Zważcie teraz na tak zwane zjawiska metapsychiczne, takie jak jasnowidztwo, widzenie przeszłości i psychokineza. Teoria fizyki zdaje się zaprzeczać im wszystkim. W każdym razie nie istnieje żadna teoria, która by je obejmowała. I to chyba jest główną przyczyną, dlaczego zaprzecza się danym świadczącym o tych zjawiskach.

Jakim danym? - możecie zapytać. Wielu naukowców twierdzi, że nie ma w ogóle żadnych danych - że żadne wydarzenie tego rodzaju nie jest

\* J. Bronowski *The Common Sense of Science*, op. cit., s. 61.

należycie udokumentowane, należycie sprawdzone, a zatem wszystkie mogą być wynikiem zręcznego oszustwa.

Zdarzają się jednak przypadki, które zdają się rzucać wyzwanie takim naukowym interpretacjom - jest nim w szczególności przypadek słynnego medium ubiegłego wieku, pani Piper, której patronował sam William James, profesor psychologii na Uniwersytecie Harvarda. Pani Piper przez blisko ćwierć wieku była poddana ścisłej obserwacji, a jednak żaden sceptyk nie potrafił wykazać jej oszustw ani podstępnych sztuczek.

Wciąż jednak podejrzewano ją o oszustwo. Rozgniewany tym James napisał:

„Naukowcy”, którzy dopatrują się tu oszustwa, winni pamiętać, że tak w nauce, jak i w codziennym życiu hipoteza po to, by można o niej poważnie dyskutować musi być dokładnie sformułowana, a nazwania czegoś oszustwem, bez wskazania, na czym ono polega, po prostu „oszustwem” w ogóle, oszustwem *in abstracto*, nie można uważać za specyficznie naukowe objaśnienie specyficznych konkretnych faktów”\*. A innym naukowcom, którzy nadal podtrzymywali tezę o wciąż niewykrytym oszustwie, James odpowiedział:

Uważam, że największym źródłem przekłamań w badaniach natury jest utrwalone przeświadczenie, że pewien rodzaj zjawisk jest niemożliwy\*\*.

Poza węższym zagadnieniem, czy w ogóle zachodzą takie szczególne zjawiska jak jasnowidztwo, telepatia albo oglądanie aury, istnieje szerszy problem dotyczący współczesnej nauki. Myślę mianowicie o pewnej sztywności poglądów panujących wśród naukowców, o pewnej skłonności do mieszania współczesnych teorii naukowych ze stanowiącą ich podstawę rzeczywistością.

Jacob Bronowski, jeden z najwybitniejszych komentatorów stosunku nauki do innych rodzajów ludzkiej działalności, zawsze przypominał, że teorie naukowe są pewnym zmyśleniem. „Nauka, tak

jak sztuka, nie jest odwzorowaniem natury, ale jej przetworzeniem”\*\*\*. Nauka przedstawia nam

\* William James *Review of 'A Further Record of Observations of Certain Phenomena of Trance' by Richard Hodgson* (1898), w: William James, *Essays in Psychological Research*, Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1986, s.189.

\*\* List do Carla Stumpa w: *The Letters of William James*, red. Henry James, Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1920, t. I, s. 248. \*\*\* J. Bronowski *Science and Human Values*, Harper and Row, Nowy Jork 1956, s. 20.

obraz świata, lecz nie należy mylić tego obrazu z samą rzeczywistością, z której powstaje.

A jednak wszyscy mamy skłonności do mylenia opartych na zmyśleniu przekonaniach z samą rzeczywistością. Sądzę, że większość z was, lecąc samolotem nad Stanami Zjednoczonymi i wyglądając przez okno, dziwi się, że nie widzi linii rozdzielających poszczególne stany, jak na mapie. Ja sam dobrze pamiętam wstrząs, jaki przeżyłem, kiedy po raz pierwszy oglądałem pod mikroskopem ludzką tkankę i stwierdziłem, że jest bezbarwna. Spodziewałem się, że zobaczę różową komórkę i purpurowe jądro. Ale te kolory pochodzą od sztucznego zabarwienia preparatu mikroskopowego. Prawdziwa komórka jest bezbarwna.

Oczywiście wiedziałem o tym, tak jak wszyscy wiemy, że nie ma na ziemi żadnych kresek wyznaczających granice kraju. Ale o tym zapominamy. I w gruncie rzeczy zapominamy o tym z zadziwiającą łatwością.

Zostałem wychowany w dwudziestowiecznej zachodniej, racjonalnej naukowej tradycji. Nauczono mnie myśleć, że naukowy pogląd na świat jest poglądem poprawnym, a każdy inny to czysty przesąd. Zgadzałem się ze słowami Bertranda Russella: „Czego nam nauka nie może powiedzieć, tego ludzkość nie może poznać”.

Miałem jednak kilka doświadczeń, które były sprzeczne z tym poglądem, a moje późniejsze doświadczenia wyłamywały się z racjonalnych naukowych ram widzenia świata. Nadal uważam naukowy pogląd na świat za użyteczny i często z dobrym dla siebie skutkiem go podzielałem. Ale obecnie uważam, że nauka stwarza jedynie arbitralny i ograniczony model rzeczywistości.

Rzeczywistość jest bowiem szersza - znacznie szersza - niż to, co o niej wiemy, niż to, co potrafimy o niej powiedzieć.

Sprawdźmy to na przykładzie krótkiego doświadczenia.

Pomyślcie o kimś, kogo dobrze znacie.

Teraz sformułujcie słuszne zdanie opisujące tę osobę.

„George jest człowiekiem zrównoważonym”.

Możliwe, że kiedy się nad tym zastanowicie, zaczną się wam przypominać przypadki, kiedy George wpadał w złość albo był czymś przygnębiony, albo z jakichś powodów był w złym humorze. Pomyślcie o wyjątkach od waszej ogólnej opinii.

Będziecie więc musieli przyznać, że wasze zdanie nie było sformułowane zbyt ściśle. Możecie je zmodyfikować i powiedzieć: „George często bywa zrównoważony”, ale i takie zdanie jest właściwie wykrętne. Słowo „często” oznacza tylko, że wasze zdanie jest czasem słuszne, a czasem nie. A skoro nie mówi o tym, kiedy wasze twierdzenie jest niesłuszne, niewiele tu może pomóc.

Będziecie więc musieli wyłożyć rzecz jaśniej i rozwinąć zdanie:

„George jest człowiekiem zrównoważonym, prócz poniedziałków, kiedy poprzedniego dnia

przegrała jego ulubiona drużyna piłkarska, albo kiedy pokłóci się z żoną, albo wtedy, kiedy jest zmęczony i źle się czuje - przeważnie pod koniec tygodnia, ale nie zawsze - albo kiedy jego szef daje mu do wiwatu, albo kiedy musi ponownie napisać sprawozdanie, albo kiedy musi wyjechać z miasta... albo kiedy... albo kiedy...”

Wkrótce zobaczycie, że wasze zdanie zamienia się w esej, a i tak jeszcze nie powiedzieliście o George’u wszystkiego, co wiecie. Wciąż nie macie jego kompletnego opisu. Możecie wypisywać o nim całe strony, i tak nigdy nie skończycie. W gruncie rzeczy próba pełnego i rzetelnego stwierdzenia zrównoważonego charakteru George’a jest beznadziejna. Przedmiot jest zbyt skomplikowany. Od początku była to próba beznadziejna.

Spróbujmy więc jeszcze raz.

„George jest czysty i porządny”.

Uważacie, że temu nie da się zaprzeczyć. George jest zawsze starannie ubrany, a na jego biurku panuje porządek.

Ale czy widzieliście jego warsztat w przydomowym garażu? Cóż za bałagan! Narzędzia wszędzie porozrzucane. Żona musi zawsze po nim sprzątać. A co się dzieje w bagażniku jego samochodu! Po prostu graciarnia. A on nawet się nie zatroszczy o to, by zrobić tam porządek.

„George jest zazwyczaj czysty i porządny”.

Ale teraz już widzicie, dokąd taka modyfikacja może doprowadzić - do kolejnego eseju.

Wypowiedzmy o nim zatem takie twierdzenie, które będzie kompletne, a zarazem zwięzłe: „George ma szpakowate włosy”.

Sądzicie, że tak właśnie jest. Ma szpakowate włosy, to nie ulega kwestii.

Oczywiście nie wszystkie jego włosy są szpakowate, choć przeważnie są, zwłaszcza na skroniach i nad karkiem. Więc w tym zdaniu jest pewne uproszczenie, ale nie da się mu zaprzeczyć.

Ale jeśli nawet obecnie George ma szpakowate włosy, nie miał ich parę lat temu. A kiedyś w przyszłości jego włosy staną się białe. Więc jest to poprawny opis George’a tylko teraz, w obecnej chwili. Nie jest to opis George’a generalny i niezmienny.

Próbujmy dalej:

„George ma metr osiemdziesiąt trzy wzrostu”.

I znów jest to prawda w granicach dokładności pomiaru. Zapewne nie mierzy dokładnie metr osiemdziesiąt trzy. Chyba mieści się gdzieś w granicach metra siedemdziesięciu siedmiu i metra osiemdziesięciu pięciu. I oczywiście nie zawsze miał metr osiemdziesiąt trzy. W dzieciństwie był znacznie niższy. Więc i takie stwierdzenie jest jedynie przybliżeniem.

„George jest mężczyzną”.

No tak. Ale określenie „mężczyzna” jest szczególnego rodzaju. Jeśli się dobrze w nie wmyślić, słowo „mężczyzna” jest zdeterminowane kulturowo. W chwili urodzenia nie był jeszcze uważany za mężczyznę. Trzeba do tego osiągnąć pewien wiek i pozycję społeczną, by zostać uznanym za prawdziwego mężczyznę.

„George jest istotą rodzaju męskiego”.

Temu nie da się zaprzeczyć. George zawsze był, jest i będzie istotą rodzaju męskiego. To nie podlega dyskusji. To niezmienna prawda. Jest to dokładny opis stanu faktycznego George’a.

Oczywiście przez „istotę rodzaju męskiego” rozumiemy, że ma ona chromosom X i chromosom Y. Ale tego z całą pewnością nie wiemy, prawda? George mógłby mieć jakiś dodatkowy chromosom. Mógłby być jedynie pozornie istotą rodzaju męskiego.

I tak dalej.

Z naszego doświadczenia z formułowaniem sądów o George'u można wyciągnąć dwa wnioski. Pierwszy, że każdy taki sąd da się podważyć. Dlaczego?

Dlatego, że nasze twierdzenia o George'u stanowią jedynie przybliżenie, uproszczenie. Prawdziwa postać zwana George'em jest bardziej skomplikowana niż każdy sąd, jaki o niej wydamy. Dlatego możemy zawsze w tej realnej postaci odnaleźć także cechy sprzeczne z tym, co o niej powiedzieliśmy.

Drugi wniosek jest ten, że z naszych twierdzeń o George'u najpewniejsze są te najmniej interesujące. Nie możemy powiedzieć nic istotnego o jego nastrojach, zamiłowaniu do porządku czy o całej złożoności jego postępowania. Jesteśmy na znacznie pewniejszym gruncie, opisując najprostsze aspekty jego powierzchowności: kolor włosów, wysokość, płeć i tym podobne. W tych sprawach - przy uwzględnieniu błędu pomiaru i zmian związanych z upływem czasu - możemy być pewni tego, co o nim mówimy.

Ale tylko krawiec mógłby się tym szczyścić. I istotnie, mógłby to być powód do dumy dla krawca. Po zrobieniu wielu przymiarek na George'u i po każdej przymiarce poprawiając szablon wykroju, krawiec mógłby w końcu skroić podczas jego nieobecności garnitur, który będzie na nim leżał jak ulał, kiedy go przymierzy po wykończeniu.

Jest to triumf sztuki brania dokładnych pomiarów. Ale ubranie, które tak świetnie leży, może odziewać człowieka, o którym krawiec nic zgoła nie wie. I nawet nie chce wiedzieć. Mogą go nie obchodzić inne aspekty George'a. To nie jego sprawa.

Z drugiej strony, to, co nas najbardziej interesuje w George'u, to nie są bynajmniej jego wymiary. Nas interesują właśnie te jego cechy, które krawca zgoła nie obchodzą. Ale znacznie trudniej jest określić te inne cechy, niż krawcowi wziąć dokładne pomiary z George'a.

Krawiec może dokładnie opisać George'a, a my w ogóle nie potrafimy tego zrobić.

A zatem, skoro krawiec jest taki świetny - tak mu się udaje to, co robi mogłoby nas podkusić, by właśnie jego zapytać:

- Kim jest George?

Krawiec odpowie:

- George ma wymiary numer 44.

A kiedy mu powiemy, że ta jego odpowiedź nas nie zadowala, odpowie nam z całą pewnością siebie, że niewątpliwie słusznie go ocenia, bo potrafi mu skroić garnitur, który będzie na nim świetnie leżał już od pierwszej przymiarki.

Na tym w istocie polega problem naukowego poglądu na rzeczywistość. Nauka jest rodzajem uświetnionej roboty krawieckiej, metodą brania pomiarów z czegoś, z rzeczywistości, której można wcale nie rozumieć.

Nauka jest najwyższym dobrem. Z pewnością przyniosła nam wielkie dobrodziejstwa. Byłoby szaleństwem się od niej odwrócić albo zanegować jej osiągnięcia.

Równym szaleństwem byłoby sądzić, że rzeczywistość ma wymiary numer 44. A jednak wydaje się, że tak właśnie sądzi zachodnia społeczność. Przez czterysta lat nauka odnosiła takie sukcesy, że wreszcie krawiec zdominował mentalność społeczną. Jego wiedza wydaje się bardziej ścisła i doniosła niż wiedza oferowana przez inne dyscypliny, jak historia psychologia bądź sztuka.

I w końcu stajemy wobec takich wytworów nauki z mdlącym poczuciem pustki. Podejrzewamy, że w rzeczywistości jest coś więcej, niż mogą nam to objawić nawet najdokładniejsze pomiary.

Ale powróćmy do poprzedniego zagadnienia: opisu George'a. Kiedy bierzemy pod uwagę cokolwiek innego niż jego wymiary, stwierdzamy, że niezwykle trudno wyrazić jakikolwiek sąd o George'u, któremu nie można by było natychmiast przeciwstawić innego, równie prawdziwego.

Możemy zatrzymać się dłużej przy tym zagadnieniu i dalej poszukiwać niepodważalnych sądów o George'u. Ale w końcu, po wielu niepowodzeniach, zaczniemy podejrzewać, że to zadanie w żaden sposób nie może nam się udać. Rzeczywista prawda o George'u wciąż będzie się nam wymykać. Cokolwiek powiemy, to będzie nie to.

W tej sprawie słowa kogoś, kto powiedział: „Nie jest w mocy słów określić istnienie”, nie brzmią już tak ezoterycznie. Wydaje się, że właśnie sami doszliśmy do takiego wniosku. Jest to stwierdzenie Lao-cy, chińskiego mistycznego myśliciela sprzed dwudziestu pięciu wieków. Lao-cy uparcie to powtarzał: „Istnienie jest nieskończone i nie daje się określić”.

Ale jeżeli tak właśnie jest - jeżeli rzeczywistość będzie się zawsze wymykać wszelkim określeniom, tak jak wymyka się George - to co możemy zrobić?

*Nie potrzeba wybiegać na dwór, By coś lepiej zobaczyć, Ani wyglądać oknem. Schroń się raczej W głąb siebie.*

*Bo im dalej od siebie odejdziesz, tym mniej się dowiesz.*

Lao-cy tłumaczy tutaj, że należy się zwrócić ku własnemu wnętrzu, ku własnemu wewnętrznemu poczuciu rzeczywistości, zamiast szukać jej na zewnątrz. Mogłoby się wydawać, że słowa te zawierają krytykę akademickiego wykształcenia, i istotnie gdzie indziej mówi już o tym otwarcie:

*Porzuć te wszystkie wspaniałe nauki!*

*Skończ z nudziarstwem Przytakiwania temu, a może owemu.*

*Jakże mało znaczą różnice między nimi.*

*To jest na pewno tym, a tamto na pewno owym.*

*I jakież Z tego, choćby znikomy, pożytek?*

Lao-cy głosi wiele podobnych twierdzeń, które zdają się sprzeciwiać szkolnemu wykształceniu, a nawet w ogóle wiedzy. Dlaczego tak sądzi?

*Ludzie, uważając coś za piękne, Sądzą, Że coś innego piękne nie jest.*

*Uważając, że ktoś jest sprawny, Osądzają, że kto inny nie jest sprawny.*

*Zycie i śmierć, choć jedno się rodzi z drugiego, Wydają się w sporze jako stadia zmiany, Łatwe i trudne jako fazy dokonań, Długie i krótkie jako miary przeciwieństw, Wzniosłe i niskie jako stopnie odniesień.*

*Ale skoro zmienność tonów nadaje głos muzyce I temu, co jest, co było i będzie, Najzdrowszy na umyśle człowiek Nie podejmuje żadnych działań, Nie obala żadnych praw.*

*Wszystko, co mu się przydarza, przyjmuje takie, jakie jest...*

Lao-cy mówi w istocie tyle: nie wyróżniajcie jakichś szczególnych cech, bo każde takie wyróżnienie wywołuje jednocześnie swoje przeciwieństwo, a w wielu przypadkach ta gra przeciwieństw stanowi tak nierozzerwalną całość, jak zmienność tonów stanowi muzykę. Mówi też:

nigdy nie osiągnięcie jasnego oglądu świata, jeżeli będziecie go postrzegać poprzez rozróżnienia...

*Najlepszą próbą, czy człowiek jest mądry Jest to, czy przyjmuje życie w całości takim, jakie jest, Nie musząc go wymierzać ni badać dotykem By pojąć bezmierność nietykalnego źródła Jego obrazów...*

Postawa Lao-cy ukazuje, jak można poradzić sobie z faktem, że cokolwiek powiemy o rzeczywistości, jest nieuchronnie fałszywe albo niepełne. Lao-cy powiada, że powinniśmy życie przyjmować w całości takim, jakie jest, nie musząc go rozumieć.

Postawa taka jest w pewnym sensie irracjonalna, a już z całą pewnością antyintelektualna. Ale ukazuje wyraźnie nakreśloną perspektywę. Choć nie każdemu może ona przypaść do gustu, musimy jednak uznać, że jest to prawdziwe rozwiązanie prawdziwego problemu.

Swego czasu Jacob Bronowski usiłował przekonać swoich słuchaczy, w większości o humanistycznym wykształceniu, by zwrócili większą uwagę na nauki ścisłe, wykazując im związki tych nauk z humanistyką. Trzydzieści lat później sytuacja się odwróciła. Teraz, jak mi się zdaje, trzeba przypominać naukowcom o podobieństwach, jakie zachodzą między ich działalnością a działalnością innych ludzi, a w szczególności wymaga przypomnienia fakt, że racjonalna redukcja oni styczna metoda naukowa nie jest jedyną drogą wiodącą do odkrycia użytecznej prawdy.

Uważam wiarę w jedyność tej metody za najcięższy przesąd panujący wśród znanych mi naukowców. Mój przyjaciel Marvin Minsky w swojej świeżo wydanej książce pisze w niezmiernie krytycznych słowach o stanach mistycznych: uznaje te stany za „zgubne” i mówi o „ofiarach podobnych przypadków”:

Pewność można tu osiągnąć jedynie odcinając się od badań... Godzić się na dopuszczenie paradoksu, to jakby nachylić się nad przepaścią. Możecie się przekonać, jak łatwo w nią wpaść, a potem nie móc się z niej wydostać. Skoro dopuszcza się sprzeczność, tylko niewiele umysłów potrafi odeprzeć takie urągające zdrowemu rozsądkowi slogany jak ten, że »wszystko jest jednością«,\*.

Jeszcze dosadniej Stephen Hawking mówi o mistycyzmie, że jest on „...kryjówką. Jeśli fizyka teoretyczna i matematyka są dla ciebie za trudne, szukasz ucieczki w mistycyzmie”\*\*.

Takie stwierdzenia, z grubsza biorąc, są zgodne ze zdaniem Asimova, że ucieczka w intuicję jest dobra dla tych, którzy stracili cierpliwość. Hawking posuwa się dalej, sugerując, że mistycyzm jest dobry dla tych, którzy nie są dostatecznie inteligentni, by zajmować się fizyką.

Nie zgadzam się z tym stanowiskiem. Może najłatwiej mi będzie wyrazić swoje zastrzeżenia, stwierdzając, że w samej fizyce nie znajduję dostatecznych podstaw do wytłumaczenia zachowań fizyków.

Skąd się bierze wiara fizyków w jej spójność, w jej jednorodność? Ta wiara jest tak silna, że ludzie poświęcają życie, by dowieść jej prawdy. Ale przecież tego nie widać. To, co przed sobą widzimy, przedstawia najwyraźniej świat niejednorodnych przedmiotów i bezładnych wydarzeń. Szukamy

\* Marvin Minsky *The Society of Mind*, Simon and Schuster, Nowy Jork 1986, s. 65. \*\* Renee Weber *Dialogues with Scientists and Sages: The Search for Unity in Science and Mysticism*, Methuen, Nowy Jork 1986, s. 210.



tkwiącej u ich podłoża jedności i ją znajdujemy. Nawet jeśli się zgodzimy, że naukowe postrzeganie jedności nie jest takie samo jak mistyczne postrzeganie jedności, i tak pozostaje pytanie: co zmusza naukowca do poszukiwania jedności? Czy chodzi tu o ujęcie świata w formuły matematyczne? A czyż jakikolwiek trzeźwo myślący naukowiec wierzy, że wystarczy mu to czysto formalistyczne zainteresowanie, by go skłaniać do długoletniej pracy po wiele godzin dziennie? Czy nauka stanowi tak totalny system wzajemnych odniesień, że jedyną siłą napędową jego trudów jest chęć ustalenia wewnętrznych związków między teoriami?

Ja sądzę, że nie. Przypuszczam, że siłą, która zmusza naukowców do tak wytężonej pracy, jest poczucie, że nasz świat - rzeczywistość - skrywa w sobie pewien ład, a naukowiec usiłuje wydobyć ten ład na światło dzienne. Przymus wewnętrzny, pod jakim działa naukowiec, jest taki sam jak przymus wewnętrzny mistyka. Każe mu on zgłębiać do dna sprawy, badać, jak istotnie funkcjonuje świat, poznawać naturę rzeczywistości. Pewien fizyk, laureat Nagrody Nobla, napisał:

Chciałem nauczyć się rysować z bardzo osobistej przyczyny: pragnąłem wyrazić swój zachwyt pięknem tego świata. A zachwyt trudno opisać, bo to jest uczucie. Jest to podobne do uniesienia religijnego, kiedy się czuje, że ma się oto do czynienia z bóstwem, które panuje nad wszystkim w całym wszechświecie. Kiedy się pomyśli, że sprawy, które wydają się tak różne i które toczą się tak różnie, są kierowane „zza kulis” przez tę samą organizację, według tego samego prawa fizycznego, czuje się tchnienie wszechogarniającego porządku. Jest w tym zachwyt matematycznym pięknem natury i sposobem jej funkcjonowania: uświadomienie sobie, że zjawiska, jakie oglądamy, wynikają ze złożonej interakcji atomów; poczucie, że to jest wspaniałe i pełne dramatycznego napięcia. Sądziłem, że owo uczucie nabożnej czci - czci naukowej - mógłbym przekazać za pomocą rysunku komuś, kto ma podobne przeżycia. Mogłoby to mu przypomnieć choć na chwilę o wspaniałości wszechświata\*.

Niektórzy z was mogą rozpoznać w autorze tych słów Richarda Feynmana, wybitnego członka Cal Techu. Przytaczam ten ustęp, gdyż, jak mi się zdaje, przedstawia on dokładnie taki sam wnikliwy jednolity wgląd wewnętrzny w istotę natury, jaki obrzucają oszczerstwami inni naukowcy. A także dlatego, że to stwierdzenie ów najbardziej godny zaufania i daleki od wszelkiej

\* Richard Feynman *Surely You 're Joking, Mr. Feynman?*, Norton, Nowy Jork 1985, s. 261. 392 małości autor obwarowuje pewnymi ograniczeniami. Feynman mówi, że jego uczucia są „podobne do uniesienia religijnego”. Docenia jedynie „matematyczne piękno” natury. A nabożna cześć jest czią „naukową”, tak jakby cześć naukowa różniła się czymkolwiek od zwykłej czci.

Wydaje mi się to dziwnie ostrożnym wyrazem tego, co jak sądzę, jest niemal powszechnym ludzkim uczuciem.

A skoro mowa o artystycznej karierze Feynmana, warto wspomnieć tu o jednym z jego odkryć, którego dokonał później. W jakiś czas potem, kiedy zaczął rysować, zwiedzał Kaplicę Sykstyńską. Zostawił w hotelu przewodnik, więc tylko obchodził wnętrze kaplicy i przyglądał się obrazom. Uznał, że niektóre z tych malowideł są świetne, a inne, jak się wyraził, „to szmelc”. Wróciwszy do hotelu, sprawdził, że jego sądy były zgodne z ocenami wyrażonymi w przewodniku.

Było to dla mnie wielkim przeżyciem, że ja także umiem odnaleźć różnicę między wielkim dziełem sztuki a takim, które nim nie jest, choć nie potrafię jej określić. Jako naukowiec zawsze sądziłem, że dobrze wiem, co robię, więc miałem skłonność do patrzenia z góry na artystę, który mówi: „To wspaniałe” albo „To kiepskie”, a potem nie potrafi wyjaśnić dlaczego... Ale teraz sam

w to wpadłem. Teraz ja także mogłem zrobić to samo!\*

Dlaczego mówi, że wpadł? O co tu właściwie chodzi?

W swoich wspomnieniach Feynman raczej krótko zbywa inne niż fizyka dziedziny ludzkiej działalności. Jest człowiekiem poddanym rygorom myślenia matematycznego i nie przejawia większego zainteresowania filozofią, historią sztuki czy psychologią. Są to dziedziny, które nie mają dla niego znaczenia; ci zaś, którzy je uprawiają, „nie wiedzą, o czym mówią”. A jednak w Kaplicy Sykstyńskiej przeżył coś, co podważa jego dotychczasowe pojęcie o tych dziedzinach. Po prostu, sam uprawiając sztukę, zdobył umiejętność oceny innych dzieł, zgodnej z uznanymi opiniami zapisanymi w historii sztuki.

Feynman nie omawia szerzej tego godnego uwagi incydentu, choć najwyraźniej byłoby tu coś więcej do powiedzenia. Po pierwsze, z jego doświadczenia można wnioskować, że choć sam nie próbował sobie jasno uświadomić kryteriów swoich ocen, te kryteria istnieją. Muszą istnieć, gdyż inaczej by nie znalazł potwierdzenia swoich opinii w przewodniku. Po drugie, te kryteria nie są arbitralnym wymysłem kręgów akademickich, skoro

\* R. Feynman *Surely You're Joking*, op. cit., s. 266.

Feynman mógł je zastosować tylko dzięki własnemu doświadczeniu artystycznemu, które zdobył rysując. Kryteria, jakimi posługuje się historia sztuki, mają w istocie coś wspólnego z samym tworzeniem sztuki. W historii sztuki także obowiązuje pewien rygor, czego dowiódł Feynman, dochodząc na własną rękę do wspólnych z nią wniosków. Jest to rygor inny niż ten, który obowiązuje w matematyce, niemniej także jest rygorem.

Kiedy taki artysta jak Jasper Johns mówi: „Ja po prostu próbuję znaleźć jakiś sposób na to, żeby robić obrazy”\*, ma na myśli dokładnie to samo co fizyk, który mówi: „Ja po prostu szukam sposobu, jak uprawiać fizykę”. Podobnie jak naukowiec, artysta także musi korzystać z dorobku swoich poprzedników. Artystę, tak jak naukowca, może onieśmielać ich dzieło.

Więc kiedy naukowiec pogardliwie odnosi się do sztuki jako do bezładnej dziedziny, w której „wszystko uchodzi”, oznacza to, że nie rozumie, na czym polega twórczość artystyczna. Nie wie, co odrzuca. Naukowiec ma tylko wyobrażenie o tym, czym jest tworzenie sztuki, a to wyobrażenie jest fałszywe. Jest stereotypowe i niezgodne ze stanem faktycznym.

Zasięg niewiedzy naukowców o prawdziwej działalności nienaukowców sięga chyba szczytu, kiedy się zabierają do rozważań o stanach medytacyjnych, o odmiennych stanach świadomości albo o sporach dotyczących zjawisk metapsychicznych. Jeśli się samemu tego nigdy bezpośrednio nie doświadczyło, można oczywiście uznać opisy tych stanów za czyste dziwactwo, dlatego tylko, że te doświadczenia różnią się od doświadczeń zwykłej świadomości. Ale nie ma w nich nic tajemniczego, a już z pewnością nic złowrogiego. Są po prostu inne. To inny rodzaj świadomości.

Spotkałem się w moim życiu z pewnym geniuszem komputerowym i przyglądając się mu nie umiałem pojąć, jak on to robi. Musiałem po prostu, sprawdziwszy go parę razy, pogodzić się z tym, że to potrafi. Znałem pewnego reżysera filmowego z fotograficzną pamięcią, ale był raczej nudny, bo na każdym kroku wygłaszał wykłady omawiające wszelkie tematy w najdrobniejszych szczegółach. Nauczyłem się przy tym, żeby się z nim nie spierać na temat najbliższego nawet faktu, bo zawsze miał rację. Ale także nie mogłem pojąć, jak on to robi.

Mam podobne wrażenia, kiedy się stykam z ludźmi o zdolnościach metapsychicznych. Mogą zrobić coś, czego ja nie mogę. Dla nich taka zdolność jest czymś powszednim i ma swoje dobre i złe

strony.

\* Michael Crichton *Jasper Johns*, Abrams, Nowy Jork 1977.

Często słyszałem, jak sceptycy mówią, że gdyby było coś prawdy w doznaniach metapsychicznych, to ludzie o takich uzdolnieniach powinni grać na giełdzie albo obstawiać konie na wyścigach. O ile mi wiadomo, wielu z nich to robi. Uprawiają też niekiedy po kryjomu swoją działalność jako doradcy wielkich korporacji i świata biznesu. Ludzie wstydzą się do tego przyznać, ale tak jest, można się było tego spodziewać.

I przypominę wam w tym miejscu, gdzie przede wszystkim możecie stwierdzić istnienie tak zwanych zdolności metapsychicznych. Znów zacytuję rozsądnego doktora Bronowskiego:

W nauce, przepowiadanie jest procesem świadomym i racjonalnym. Ale nie jest to jedyny sposób przewidywania przyszłości u ludzkich istot. Ludzie miewają trafne przeczucia, których niekiedy nie można uzasadnić w racjonalny sposób, a niektóre z nich w ogóle się wymykają takiej analizie. Za przykład może tu służyć fakt, że większość ludzi odgaduje zakrytą kartę lepiej, a niektórzy znacznie lepiej niż maszyna działająca na zasadzie losowej. Nie powinno to nikogo dziwić. Z pewnością ewolucja dokonała na nas swego doboru, gdyż jesteśmy hojniej wyposażeni w dar przewidywania niż inne zwierzęta. Tym darem jest racjonalna inteligencja, która jest czymś wspaniałym i w gruncie rzeczy niewyjaśnionym. A kiedy racjonalna inteligencja obraca się ku przyszłości i rzutuje wnioski z minionych doświadczeń na nieznanne jutro, to proces ten jest... wielką tajemnicą\*.

Powracając do punktu wyjścia, muszę dodać, że doznawanie owych innych form świadomości wydaje mi się dość zwyczajnym, nawet powszednim doświadczeniem. Te odmienne formy świadomości - osiągnane dzięki wrodzonym zdolnościom czy na drodze ćwiczeń - prowadzą do nowego rodzaju poznania, innego postrzegania ładu leżącego u podstaw tego świata. Nie jest to postrzeganie dające się ująć w formuły matematyczne, jest jednak postrzeganiem. Zanim się je odrzuci jako oszustwo i urojenia, warto by było, jak się zdaje, doświadczyć ich bezpośrednio. Jeżeli nie chcecie zapoznać się z nimi bezpośrednio, narażacie się na zarzut, że odrzucacie coś, czego nie rozumiecie.

A tym samym zubożacie własne doznania rzeczywistości.

Gdyż, jak powiedziałem, naukowe postrzeganie rzeczywistości samo nie jest rzeczywistością. Nawet najpowszechniejsze i najbardziej niepodważalne naukowe prawo nie jest pełnym opisem rzeczywistości. Zawsze pozostaje coś jeszcze do poznania.

\* J. Bronowski *The Common Sense of Science*, op. cit., s. 109.

Myślę, że ważne jest, by sobie to w pełni uświadomić. Feynman, dla którego jestem pełen podziwu, mówi o ludziach niebędących naukowcami, że „nie rozumieją świata, w którym żyją”. To chyba jego ulubione powiedzenie; powtarzał je często w czasie śledztwa po katastrofie wahadłowca.

Ale powiedzmy sobie jasno: nikt nie rozumie świata, w którym żyje. Ani wy, ani ja, ani Richard Feynman. Każdy z nas może rozumieć jakiś jego ułamek, jakiś aspekt całości, ale rzeczywistość w całej swojej pełni, w całym swoim zakresie, wymyka się wszelkim opisom.

A jeżeli inne sposoby poznania są duchowe, subiektywne i z natury rzeczy nie podlegają weryfikacji, nie musi to koniecznie oznaczać, że są mniej interesujące i mniej użyteczne.

Ludzie, którzy uważają liczby za obce swojej naturze, nie stanowią jedynie marginesu tego

świata, nie są grupą wyzutyk z praw, pogardzanych ignorantów nieumiejących rozwiązać równania różniczkowego, a zatem niemających dostępu do uzyskanych na podstawie matematyki prawd.

Bo sama wiedza ścisła to jeszcze za mało.

Prawdziwy naukowiec z krwi i kości, postawiony w obliczu ludzi wyznających kreacjonizm i wierzących w autentyczność zjawisk metapsychicznych, czuje się zmieszany. Uważa, że piękno i złożoność świata rzucają wyzwanie jego racjonalnej myśli, która potrafi im sprostać. Dlaczego - pyta ze zdziwieniem - innym nie odpowiada jego wizja świata?

Dlaczego sama wiedza ścisła to jeszcze za mało?

Najprostsza odpowiedź brzmi tak: chociaż nauka jest procedurą badawczą o przeogromnym zasięgu i mocy, nie mówi nam o tym, co naprawdę chcemy wiedzieć. Wyraził to prosto Max Planck: „Skąd przychodzę i dokąd zmierzam? To wielkie, niezgłębione pytanie, które sobie stawia każdy z nas. Nauka nie zna na nie odpowiedzi”.

A to dlatego, że nauka nie może odpowiedzieć na pytanie, dlaczego coś się dzieje.

Znów się powołam na Feynmana, który w popularnym wykładzie o elektrodynamice kwantowej mówi: „Chociaż wam opisuję, jak działa natura, nie zrozumiecie, dlaczego tak działa. Ale, widzicie, nikt tego nie rozumie. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego natura zachowuje się w tak osobliwy sposób”\*.

To prawda, lecz wypowiedź ta pomija fakt, że chociaż wiedza o tym, jak działają rzeczy, wystarcza, by manipulować naturą, ludzie naprawdę chcą

R. Feynman *QED*, Princeton University Press, Princeton, New Jersey 1965, s. 10.

wiedzieć, dlaczego rzeczy tak działają. Dzieci nie pytają, jak to się dzieje, że niebo jest błękitne, pytają, dlaczego jest błękitne.

Feynman powiedziałby zapewne, że to pytanie jest bez znaczenia. I istotnie nie ma na nie miejsca w kontekście współczesnej myśli naukowej. Ale nie jest bynajmniej oczywiste samo przez się, że taki stan rzeczy będzie trwał wiecznie. Fizyk John Bell zauważa:

Ojcowie założyciele mechaniki kwantowej szczycili się tym, że zaniechali myśli o wyjaśnianiu. Byli dumni z tego, że zajmują się jedynie zjawiskami. Odżegnywali się od spojrzenia poza te zjawiska, uważając, że to jest cena, jaką trzeba zapłacić za korzystny kontrakt z naturą. I jest faktem historycznym, że ci, którzy wobec realnego świata na poziomie mikroskopowym przyjęli postawę agnostyczną, odnosili wielkie sukcesy. Swego czasu było to postępowanie słuszne. Ale nie sądzę, by miało tak być zawsze\*.

Pewien matematyk jednak zauważa:

Fizycy niemal nigdy nie stawiają sobie pytania: dlaczego? Cały nacisk kładąc na pytanie: jak? Metafizykę kosmosu wyrażają abstrakcyjne formuły matematyczne, w których się absolutnie nie mieszczą pojęcia przyczyny i celu. Rzeczywistość współczesnej kosmologii jest rzeczywistością matematyczną\*\*.

Cóż, rzeczywistość matematyczna jest z natury rzeczy arbitralna\*\*\*. A za postrzeganie wszechświata jako bezcelowego płaci się swoją cenę. Współczesna nauka uważa model matematyczny za triumf rozumu. Hannah Arendt zauważa jednak:

Naszą współczesność, zdominowaną przez technikę, charakteryzuje fakt, że rozum, jako dana nam

władza samodzielnego dochodzenia do

\* Wywiad z Johnem Bellem w: *The Ghosts in the Atom*, red. P.C.W. Davies i J.R.

Brown, Cambridge University Press, Cambridge, Mass. 1986, s. 51.

\*\* Philip J. Davies, Reuben Hersh *Descartes' Dream: The World According to Mathematics*, Harcourt Brace Jovanovich, Nowy Jork 1986, s. 275.

\*\*\* Werner Heisenberg zauważa: „Nie możemy w żadnym normalnym języku tak opisać zjawisk atomowych, by uniknąć dwuznaczności. Przedwcześnie byłoby jednak obstawać przy tym, że unikniemy tej trudności, ograniczając się jedynie do posłużenia się językiem matematyki. Nie jest to prawdziwe wyjście z sytuacji, skoro nie wiemy, w jakiej mierze język matematyki da się zastosować do tych zjawisk. W ostateczności nawet nauka musi się uciekać do zwykłego języka, ponieważ tylko on daje nam pewność, że istotnie pojęliśmy te zjawiska”. Werner Heisenberg *Across the Frontiers*, Harper Torchbooks, Nowy Jork 1971, s. 119.

prawdy na drodze myślowej, zaginął i zastąpiła go bezstronna [technologia], czynnie zaangażowana w wytwarzanie abstrakcyjnych teorii matematycznych i w poszukiwanie ich odpowiedników w fizyce\*.

Nie widzę nic złego w matematycznym postrzeganiu świata, póki się nie pozwala, by taka perspektywa miała się stać dominująca. Bo jako ludzkie istoty, żyjące własnym życiem, podejmujące decyzje za siebie i za społeczeństwo, musimy odnaleźć sens tego świata. A ten sens musi się opierać na szerokiej podstawie. Pewien matematyk mówi tak:

Jestem świadom, z ilu czynników składa się ów sens... miłość i język, mit, racjonalna myśl i nieracjonalny instynkt, ludzkie instytucje, prawo, historia, rytuał, wiara religijna, mistyka, transcendencja, alegoryczność, poczucie estetyczne, zabawa, widzenie świata jako zagadki, widzenie świata jako sceny, kontemplacja życia i śmierci, przymusy narzucone przez fizykę i biologię, to i setki innych spraw, wiodą nas do zrozumienia sensu świata\*\*.

Może dlatego Einstein powiedział kiedyś:

Ludzkość ma wszelkie powody, by wyżej cenić głosicieli moralnego ładu i wartości niż odkrywców obiektywnej prawdy. To, co ludzkość zawdzięcza takim postaciom jak Budda, Mojżesz i Jezus, znaczy dla mnie znacznie więcej niż wszystkie osiągnięcia badawczej i konstruktywnej myśli.

W gruncie rzeczy wnikliwość mistyka jest nam potrzebna dokładnie tak samo jak wnikliwość naukowca. Jeżeli braknie jednej z nich, ludzkość będzie zubożona. Carl Gustaw Jung powiedział:

Natura psyche sięga w nieznanne dziedziny daleko poza zakres naszego rozumienia. Zawiera ona tyle zagadek, ile cały kosmos ze swoim układem galaktyk, wobec którego majestatycznej konfiguracji jedynie umysł pozbawiony wyobraźni może nie uznać własnej bezradności. Dlatego, jeżeli z potrzeby serca albo w zgodzie z dawnymi pouczeniami ludzkiej mądrości, albo z uznania psychologicznego faktu, że zjawiska telepatii w istocie zachodzą, ktoś wyciąga wniosek, że psyche w swoich

\* Philip J. Davies, Reuben Hersh *Descartes' Dream*, op. cit., s. 294. \*\* Tamże, s. 297.

najgłębszych pokładach uczestniczy w formach istnienia poza czasem i przestrzenią, wtedy krytyczny rozum może to odeprzeć tylko jednym argumentem, że nic z tego nie wynika dla nauki. Co więcej, ten ktoś będzie miał nieocenioną przewagę, bo idzie za istniejącą od niepamiętnych czasów i powszechną skłonnością ludzkiej duszy. Każdy, kto nie wyciąga takiego wniosku, czy to z powodu

sceptycyzmu, czy braku odwagi, czy niewłaściwego psychologicznego doświadczenia, czy z bezmyślnej ignorancji, niewątpliwie może być pewien, że wchodzi w konflikt z wrodzonymi prawdami. A odstępianie od takich wrodzonych prawd rodzi neurotyczny niepokój. Niepokój rodzi poczucie bezsensu życia, a poczucie bezsensu życia jest chorobą duszy, której pełnego zasięgu i pełnego znaczenia nasz wiek jeszcze nawet nie zaczął pojmować\*.

Bardzo państwu dziękuję.

Takie było moje przemówienie dla sceptyków w Pasadenie. Ale nigdy mnie nie zaproszono na ten odczyt, nigdy więc go nie wygłosiłem.

\* CG. Jung *Psychology*, op. cit., ss. 136-137.